

Opracowanie stanowi zbiór wybranych artykułów prasowych Jana Myrcika, które ukazały się na łamach lokalnych czasopism w ostatnich dziesięcioleciach przełomu XX i XXI wieku. Publikacja powstała z myślą o społeczności lokalnej zafascynowanej działalnością kronikarską autora. Książka składa się z dwóch tomów, z których pierwszy obejmuje tematykę religijną i historyczną ziemi lublinieckiej, ze szczególnym uwzględnieniem wydarzeń w Koszęcinie. Autor skrupulatnie i z właściwą dla siebie starannością odnotował wszystkie ważne wydarzenia z punktu widzenia lokalnej społeczności w odniesieniu do zmian w kraju i na świecie. Tom II jest integralną częścią publikacji i zawiera artykuły opisujące tematykę społeczną, kulturalną, „wielkich ludzi”. Zawiera również „słowo po śląsku”.

JAN MYRCIK (urodzony w 1931 roku w Koszęcinie) magister pedagogiki kultury, nauczyciel, wykładowca; znawca i badacz kultury, historii, tradycji ludowej, obyczajów, zabytków i dialektu śląskiego; pisarz, poeta i publicysta. Wieloletni dyrektor Domu Kultury w Koszęcinie. Założyciel prywatnego Ośrodka Kultury i Edukacji Regionalnej „U Myrcika” w Koszęcinie, twórca pomnika Epitafium dla poległych. Autor ponad trzydziestu publikacji książkowych i kilkuset artykułów prasowych. Inicjator wielu przedsięwzięć kulturalno-oświatowych. Laureat wielu prestiżowych nagród i odznaczeń państwowych.



9 788393 568079



Artykuły prasowe — JAN MYRCIK

I

Artykuły prasowe

JAN MYRCIK

TOM I

wydanie I

Koszęcin 2019



Artykuły prasowe

J A N M Y R C I K

TOM I	wydanie I	Koszęcin 2019
--------------	-----------	---------------

Artykuły prasowe – Jan Myrcik

Teksty:

Jan Myrcik

Redakcja:

Jolanta Pilarska

Projekt graficzny i skład:

Aleksandra Toborowicz

Korekta:

Anna Gabryś

Fotografia autora publikacji (s. 6):

Aneta Konieczny

Copyright © Jan Myrcik

Koszęcin, 2019

ISBN: 978-83-935680-7-9

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Społecznych w Koszęcinie

ul. Rzeczna 6, 42-286 Koszęcin

Ośrodek Kultury i Edukacji Regionalnej „U Myrcika”

ul. Kochickiego 2, 42-286 Koszęcin

Nakład: 200 szt.



**POWIAT
LUBLINIECKI**



Publikacja sfinansowana z dotacji Powiatu Lublinieckiego
w ramach realizacji zadania publicznego.

Artykuły prasowe

JAN MYRCIK

TOM I

wydanie I

Koszęcin 2019



CZĘŚĆ I TEMATYKA RELIGIJNA

Kiedy ochrzczono Koszęcin? (1)	13
Kiedy ochrzczono Koszęcin? (2)	14
Koniec wieku xx	16
Jubileuszowy Rok 2000 w parafii NSPJ w Koszęcinie	18
Wierzę w jeden święty, powszechny Kościół...	21
Wielkie sprawy w małym Koszęcinie	23
Kult maryjny w Koszęcinie	24
Życie parafialne Koszęcina	26
Mowa naszych przodków	27
Nie tak bystro płynie rzeka...	28
Boże, z Twoich rąk żyjemy...	30
Cicha noc, święta noc...	32
Gorzkie żale, przybywajcie...	33
Święci Jan i Paweł – patroni Koszęcina	35
Galilejczyku, zwyciężyłeś!	36
Jest wiele serc	38
W proch się obrócisz!	39
Drogą życia... do Trójcy Świętej	41
Peregrynacja obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w Koszęcinie	43
Sto lat kościoła NSPJ w Koszęcinie	45
Historia kościoła Trójcy Świętej w Koszęcinie	47
275 lat kościoła Trójcy Świętej w Koszęcinie	51
Kościół pałacowy w Koszęcinie	52
Droga Krzyżowa sprzed 250 laty	54
Zastanów się, o człowiecze...	55
Introibo ad altare Dei	56
Msza święta w kościele pałacowym	58
Drewniane kościoły na ziemi lublinieckiej	59
Kościół Trójcy Świętej w Koszęcinie	61
Kościółek bruskowskich kuźników	63
Wielki brat św. Franciszka i wszystko wielkie	64
Pobłogosław mnie, Ojcze	66
Koszęcińskie dzwony	67
Nie wszystkie dzwony przetopiono na armaty	70
Słowo mówione jest ulotne...	71
Koszęcin wybrał dla mnie Bóg	73
Benefis ks. prałata Tadeusza Fryca z okazji 80. rocznicy urodzin	75
Sługa Boży ksiądz biskup Wilhelm Pluta	77
Przyjaciół papieża i Zatraskany Pasterz	79
List pasterski o biskupie Wilhelmie Plucie	80

Dziękczynienie za błogosławionego Edmunda Bojanowskiego	82
Narodziła się nam dobroć	83
W kilku zdaniach o papieżach	84
Diecezjalne Sanktuarium Matki Boskiej Lubeckiej	88
Budowa kościoła św. Wawrzyńca w Kochanowicach	89
Krótki rys historyczny miejscowości należących do parafii w Jędrysku	91
Kościół i inne obiekty parafialne w Kaletach	94

CZĘŚĆ II TEMATYKA HISTORYCZNA

Ziemia lubliniecka	101
Ziemia lubliniecka – odkrywanie piękna	104
Kilka zdań o gminie Koszęcin	105
Mała Ojczyzna Koszęcin	106
Spacerkiem po starym Koszęcinie	108
Życie społeczno-kulturalne Koszęcina	110
Architektura zabytkowa w Koszęcinie	113
Drewniana architektura sakralna na Śląsku	115
Miejsca pamięci w Koszęcinie i gminie Koszęcin (pomniki, cmentarze i tablice pamiątkowe)	117
Saga rodu Hohenlohe-Ingenfingen	119
Ostatnie święta ostatniego księcia w Koszęcinie	121
Ostatnia droga ostatniego pana na Koszęcinie	123
Debata nad księciem	125
Biegł do swoich – a oni go nie przyjęli	128
Nigdy więcej!	130
Pro Memoria	131
Zło rodzi zło	132
II wojna światowa w Koszęcinie	134
Krótką historią wojen, powstań i buntów na ziemi śląskiej	140
„Służba Polsce” – co to było?	143
Styczeń 1945 roku	144
Wojenne Golgoty	145
Cóż tam, panie, w polityce?	147
Bohaterowie naszych ulic	149
Koszęcin na starej fotografii	151
Sami nie wiecie, co posiadacie	153
Wiemy, co posiadamy	155
Dzieje oświaty na Śląsku w latach 1939–1946 i wcześniej	158
Organizacja koszęcińskiego szkolnictwa po II wojnie światowej	164
Glinica – rys historyczny miejscowości	169
Sto lat szkoły w Glinicy	174
Gwiazda betlejemska zaświeci nad Bruśkiem	176
Franciszek Ochman i jego konik	178



Od Autora

Szanowny czytelniku, dziękuję za to, że wziąłeś tę książkę albo, mówiąc w liczbie mnogiej, te dwa tomy moich artykułów prasowych do ręki. Nie przerażaj się tym, że są to książki trochę opasłe i że każda z nich liczy prawie dwieście stron zapisanego drobnym drukiem tekstu.

Zapewniam, że ta lektura nie jest jakimś „romansidłem” ani posklecaną z różnych „ściąg” tzw. literaturą zwartą. Przeciwnie. Jest to zbiór autentycznych artykułów prasowych, napisanych w określonym czasie, dotyczących określonej tematyki i zamieszczonych w określonych czasopismach.

Artykuły zawarte w tym dwutomowym wydawnictwie są wyselekcjonowane z kilkuset opublikowanych wcześniej felietonów i umownie podzielone na cztery działy. W pierwszym tomie znajdują się dwa rozdziały: „Tematyka religijna” i „Tematyka historyczna”. W drugim – artykuły zaliczone do „Tematyki społecznej i kulturalnej”, „Wielcy ludzie naszej ziemi” oraz „Napisane po ślonsku”. Dla pewnej orientacji pragnę przybliżyć treść, którą czytelnik znajdzie w tak wyznaczonych rozdziałach.

Tom I – Tematyka religijna

Zamieszczono tu wybór artykułów z przełomu wieków XX i XXI – magicznej zmiany drugiego i trzeciego tysiąclecia po Chrystusie. Ten szczególny czas – który się już nigdy nie powtórzy – był podarowany nielicznym mieszkańcom ziemi, szczęśliwie właśnie wtedy przeżywających swoje lata na tym „łez padole”.

Również i ja miałem szczęście żyć w tym ciekawym czasie. Obserwowałem te wszystkie ważne i najważniejsze wydarzenia dotyczące historii świata, a szczególnie Kościoła, z perspektywy koszęcińskiego zaścianka i powiatowego „zaścianka”. Moja i twoja, drogi czytelniku, Mała Ojczyzna, ten nasz wspólny *Heimatland*, ten światowy – można by ironicznie powiedzieć – „grajdołek”, przeżywał ów podarowany przez Boga czas bardzo aktywnie. Byliśmy wtedy autentyczną częścią świata, biorącą aktywny udział w wielkim historycznym spektaklu ludzkich dziejów.

Miałem wówczas możliwość kronikarskiego zarejestrowania licznych zdarzeń – mówiąc inaczej ważnych wydarzeń zachodzących równocześnie na świecie i w małym Koszęcinie – w czasopiśmie „Z życia kościoła i parafii”, czyli tygodniku parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Koszęcinie.

Tom I – Tematyka historyczna

W tym rozdziale jest mowa o zagmatwanych dziejach historycznych śląskiej krainy ze szczególnym uwzględnieniem ziemi koszęcińskiej i powiatu lublinieckiego. Wszystkie artykuły zamieszczone w tej części publikacji ukazywały się wcześniej w czasopiśmie: „Z życia kościoła i parafii” oraz w periodyku „Ziemia Lubliniecka”, wydawanym przez starostwo powiatowe w Lublińcu. Do tej tematyki zaliczam nie tylko sprawy, które mówią ogólnie o wydarzeniach historycznych, ale także to wszystko, co człowiek żyjący na tej konkretnej ziemi stworzył „wysiłkiem woli, rąk, myśli i dusz”. Oprócz wątku *stricte* historycznego dotyczącego wydarzeń, dat, wojen i krótkotrwałego pokoju, czytelnik znajdzie tu także artykuły mówiące o niepowtarzalnym pięknie ziemi lublinieckiej, zarówno w aspekcie architektonicznym, jak i przyrodniczym, o pięknych kościołach i kapliczkach, o architekturze pałacowej i dworskiej, o parkach i alejach wysadzanych przed wiekami kasztanowcami i dębami, a także o szalonej miłości do wszystkiego, co składa się na magiczne określenie „Mała Ojczyzna”, albo inaczej – ale także historycznie – na *Heimatland*. Są w tym rozdziale również wymienieni z nazwiska i tytułu, z funkcji i generalskich szlifów dawni właściciele tej wspaniałej ziemi – hrabiowie i książęta zasiadający w parlamentach i piastujący najwyższe godności. W wielu artykułach jest mowa o kataklizmach, które niosą ze sobą wojny i skazują na poniewierkę niewinnych ludzi, a także o obozach zagłady i stalinowskich łagrach, w których zginęły setki koszęcinian i obywateli ziemi lublinieckiej.

Tom II – Tematyka społeczna i kulturalna

W tym rozdziale publikacji pragnę podzielić się z czytelnikiem szeroko pojętą wiedzą o tym wszystkim, co ogólnie składa się na kulturowy portret społeczności lokalnej. Znajdują się tu również nazwiska liderów podejmujących przeróżną działalność społeczno-kulturalną, zarówno w samym Koszęcinie, jak i w całym powiecie lublinieckim, a patrząc szerzej na to zagadnienie, także daleko poza granicami naszej krainy. Artykuły są poświęcone przykładowo Fryderykowi Wilhelmowi Degnerowi i jego wielkim dziełom architektonicznym, a także oświacie, działalności kulturalnej, społecznej i szacunkowi do przeszłości.

Z artykułów dotyczących ludzkich losów czytelnik dowie się, kim byli np. bracia Ranoszkowie, Tyjduś Ulfik, Józef Ulfik – abstynent – i inni. Dowiemy się także, kogo i co miał na myśli poeta wołający, aby „nie deptać przeszłości ołtarzy” i „niepełnosprawni są wśród nas”.

Tom II – Wielcy ludzie naszej ziemi

Rodzaj ludzki składa się ze „zwyczajnych” ludzi zamieszkujących w różnych krainach, na różnych kontynentach, w różnych państwach i w małych miejscowościach rozsianych po szerokim świecie. Są jednak między ludzkim „pospółstwem” także ci, którzy wyrosli ponad przeciętność, którzy zapisali się na kartach lokalnej historii czymś szczególnym i nieprzemijającym. Takie jednostki nazywamy „zasłużonymi” albo „wielkimi”. Byli oni aktywni w różnych dziedzinach zawodowych bądź w działalności społecznej w formacie globalnym dotyczącym kontynentu, narodu, bądź też poprzez zasługi dla Małych Ojczyzn i społeczności lokalnych.

Bywało, że znaliśmy tych ludzi, którzy – jak nam się wtedy wydawało – niczym szczególnym się nie wyróżniali. Ich wielkość często została zauważona dopiero po ich odejściu do wiecznego bytu.

Właśnie ich portrety są przedstawione w rozdziale „Wielcy ludzie naszej ziemi”. Poznajemy tujejszych poetów: Walentego Roździeńskiego, Juliusza Ligonia, księdza Konstantego Damrota, Józefa Lompę i Jana Nikodema Jaronia. Następnie są wspomniani m.in. profesorowie: Jerzy Pietrucha, Antoni Gładysz i Adolf Dygacz, księża: Antoni Ryguła, Józef Żurek i Henryk Leszek Irek, muzyk, przyrodnik i sportowiec – Czesław Pietruszka, muzyk i psycholog – Józef Mitas, zasłużona nauczycielka i długoletnia dyrektorka koszęcińskiej szkoły – Aniela Pietrek, zafascynowani kulturą i społeczną aktywnością – Jan Famuła i jego syn Antoni. Biografie i dokonania wyżej wzmiankowanych, a także wielu innych zasłużonych dla Koszęcina i powiatu lublinieckiego ludzi zamieszczałem na przestrzeni lat na łamach gazety „Ziemia Lubliniecka” po to, aby trwali w ludzkiej pamięci.

Tom II – Napisane po ślonsku

Na zakończenie moich rozważań prasowych zamieszczam artykuły i wiersze napisane „mżyłóśnikom ślonskiygo godania”...

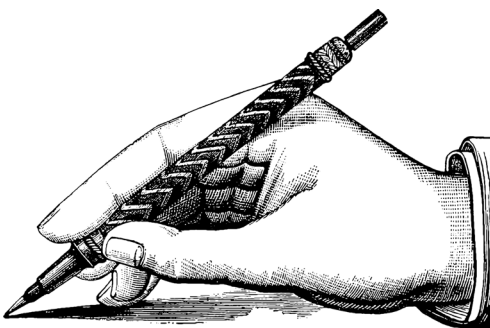
Podsumowując i – muszę to powiedzieć – wyrażając moją osobistą, głęboką refleksję po ponownej lekturze setek napisanych w minionych dekadach artykułów, jestem z jednej strony przygnębiony upływającym czasem, ale także bardzo ucieszony faktem, że te Myrcikowe rozważania religijne, kulturowe i historyczne, a także wspomnienia o wielkich ludziach Koszęcina i ziemi lublinieckiej ukazują się w książkowej formie.

Dziękuję serdecznie dr Annie Korzekwie-Wojtal za pomysł i chęć wydania tej publikacji, a także za piękne „Posłowie”. Dziękuję dr Aleksandrze Toborowicz

za profesjonalne opracowanie projektu graficznego i skład publikacji oraz Annie Gabryś za skrupulatną korektę tekstów. Dziękuję starostwu lublińskiemu ze starostą Joachimem Smyłą i wicestarostą Tadeuszem Koniną na czele, za życzliwość i finansowe wsparcie.

Serdeczne słowa podziękuję kieruję do moich bliskich – córki Jolanty Pilarskiej za „pierwsze czytanie” i redakcję tej publikacji i wszystkiego, co ojciec napisał. Wnukom, Filipowi Pilarskiemu, uczniowi Technikum Informatycznego w Tarnowskich Górach i jego siostrze Paulinie dziękuję za „szukanie” na ikonkach, starych dyskach, dyskietkach i pendrive’ach tekstów artykułów i ich fachowe przeniesienie na nowe nośniki bądź za żmudne przepisywanie i kopiowanie licznych tekstów pisanych przed „erą komputerową”. Dziękuję wreszcie mojej żonie Anieli za wielką, trwającą już ponad 60 lat cierpliwość i życzliwość dla mojego hobby. I chcę jej powiedzieć, że te dwa tomy jej dedykuję.

*część pierwsza:
tematyka religijna*



Jubileuszowy Rok 2000 w Koszęcinie

Kiedy ochrzczono Koszęcin? (1)

Każdy cywilizowany człowiek świata wie, że chrześcijaństwo trwa już dwa tysiące lat. Wiedzą o tym wyznawcy Chrystusa, wiedzą innowiercy i niewierzący. Wszyscy bowiem niezależnie od wyznawanej wiary i filozofii życia odmierzamy upływający czas kalendarzem gregoriańskim, wszyscy używamy terminu: „po narodzeniu Chrystusa” („nowa era”) lub też „przed Chrystusem” („stara era”).

Każdy Polak wie, albo – powiedzmy – powinien wiedzieć, że Polska przyjęła wiarę w Chrystusa w 966 roku. W następnym 967 roku powstało pierwsze w Polsce biskupstwo w Gnieźnie. Powstawały wtedy z pewnością diaspory (parafie) i budowała się hierarchia Kościoła. A jak to mogło być w Koszęcinie? Kiedy Koszęcin uwierzył w Chrystusa? Do jakich parafii i diecezji należeliśmy? Niestety, nie na wszystkie postawione tu pytania istnieją odpowiedzi. Piękna legenda o Białej Damie mówi, że koszęcińska księżna Przesława uwierzyła w Jezusa jeszcze w czasach pogańskich, za co została przez swego ojca Gosława Koszęńskiego uwięziona i stracona. Jeśli w czasach pogańskich, to przed 966 rokiem? Czy to możliwe? Czytałem w artykule: „Die gründung des Bistums Breslau”, że św. Wojciech przechodząc przez Śląsk około 950 roku ochrzcił przynajmniej pewną część tej krainy na katolicyzm. Może również ochrzczono wówczas mieszkańców naszej Małej Ojczyzny? Wiadomo, że w x wieku przebywali misjonarze na Śląsku, że nawracali do jedynego Boga. Pewne światło na potwierdzenie tego, rzuca wmurowany w kamień węgielny budującego się w 1828 roku południowe skrzydła pałacu koszęcińskiego akt, którego treść zamieściła „Myslowitzer Stattdblatt” z 18 grudnia 1862 roku. W części historycznej tego aktu jest zdanie mówiące, że „[...] pierwszy kościół Trójcy Świętej miał być zbudowany w czasie wprowadzania chrześcijaństwa na ziemi śląskiej...”¹. Jeśli tak było naprawdę, to jesteśmy ochrzczeni w połowie x wieku, a więc Koszęcin przyjąłby wiarę wcześniej od księcia Mieszka?

Ale to jeszcze nie historia koszęcińskiego lokalnego Kościoła, chociaż jak się potocznie mówi, każda legenda zawiera pewną prawdę. Może rzeczywiście białogłowa Viktoria oglądała trzy postacie Trójcy Świętej nie w xv czy xvi wieku, ale już w dziesiątym stuleciu, kiedy to naszymi drogami wędrował być

1 [...] *da die Dreifaltigkeits-Kirche Entstehungsmethode ihre Beziehungen an die Einführung des Christentums in Schlesien anreichen last...*

może św. Wojciech ze swymi misjonarzami? Może to wtedy – jak się wspomina – zbudowano pierwszy cudowny kościółek Trójcy Świętej w Koszęcinie? Szkoda, że najazdy husyckie już w XV wieku niszczą nasze kościoły, zniszczyły z pewnością wiele dokumentów mówiących o przeszłości, szkoda, że okrutna wojna trzydziestoletnia zniszczyła prawie wszystko, co zapisano na kartach metrykalnych w parafiach i w diecezji wrocławskiej, szkoda, że reformacja była tak nietolerancyjna, szkoda, że wojny, kataklizmy itp. Szkoda. Ale taki jest świat, taka była i jest jego historia.

Dobrze jednak, że rodzą się ludzie, którzy prawie ze zgłiszcz „sklejają” na nowo historię państw, kościołów, parafii. Wrocław miał szczęście do wielkiego teologa i historyka Jungnica, który na przełomie XIX i XX wieku mozolnie, na podstawie protokołów kanonicznych odtwarzał historię biskupstwa wrocławskiego i kilkaset parafii, i wydał ten materiał w czterech grubych tomach: *Visitationsberichte der Diözese Breslau*. Sądów – w którym parafia istniała już w XII wieku – miał także swoich historyków, choćby wspomnieć ks. Franciszka Jeziorskiego, czy też publicystę ks. Karola Urbana. Dla Koszęcina „zrobił swoje” tak jak umiał Józef Ulfik w napisanym rękopisie *Dzieje Koszęcina*. Dzięki troskliwej opiece sadowskich i koszęcińskich księży ocalały stare księgi metrykalne i inne archiwalia, z których można czerpać wiedzę o przeszłości naszej ziemi, naszych parafii i o ludziach mieszkających tu od wieków.

W następnym numerze „Gazety parafialnej” dalszy ciąg historii życia religijnego Koszęcina.

Jubileuszowy Rok 2000 w Koszęcinie

Kiedy ochrzczono Koszęcin? (2)

W naszej „Gazecie parafialnej” z dnia 14 maja 2000 roku, przypomnieliśmy pradzieje koszęcińskiego kościoła lokalnego. Dzisiaj – kontynuując ten wątek – pragnę przybliżyć życie parafialne i podporządkowanie diecezjalne naszej miejscowości na przestrzeni wieków.

Koszęcin, do czasu powołania w naszej miejscowości samodzielnej parafii w 1869 roku, należał „od zawsze” do bardzo starej i rozległej parafii sadowskiej, która powstała prawdopodobnie już w XII wieku. Byliśmy jednak od niepamiętnych czasów filią tej parafii mającą swoją siedzibę w kościele pałacowym, w którym posługiwali kapelani pałacowi. Od 1908 roku, kiedy nasi przodkowie, przy wielkiej finansowej i materialnej pomocy księcia K.G.

zu Hohenlohe-Ingelfingen wybudowali kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa, parafię przeniesiono do nowej, zaprojektowanej przez architekta Schneidera świątyni. Z koszęcińskiej wspólnoty wyodrębniły się trzy parafie: Podwyższenia Krzyża Świętego w Strzebinu (1951), Matki Boskiej Fatimskiej w Bruśku-Drutarni (1977) i Trójcy Świętej w Koszęcinie (1972).

Jest historycznie udowodnione, że już w XIII i XIV wieku Koszęcin i inne miejscowości naszej gminy płaciły „świętopietrze”, a pierwsza pisana wzmianka o Koszęcinie z 1275 roku miała także aspekt religijny. Biskup krakowski Paweł z Przemkowa nakazał wówczas Koszęcinowi płacić dziesięcinę snopów na rzecz parafii Kamień koło Bytomia. Powyższe wskazuje, że byliśmy wówczas, podobnie jak większość parafii śląskich, podporządkowani biskupstwu krakowskiemu. Diecezja krakowska powstała prawdopodobnie w 999 roku, a jej pierwszy biskup miał nosić imię Popo. Szóstym z kolei biskupem Krakowa był św. Stanisław, patron Polski. Na krakowskim tronie biskupim zasiadał również św. Wincenty Kadłubek. Diecezja krakowska przechodziła różne koleje losu: była największą w Europie (koniec XVIII w.) posiadającą 1010 kościołów i bardzo malusieńką (po rozbiórze Polski w 1772 roku), dzielącą się na zaledwie trzy małe dekanaty. O tym, że biskupem Krakowa był kardynał Wojtyła – obecny papież, wie chyba każdy Polak. Ale to są już późniejsze dzieje krakowskiego kościoła diecezjalnego.

Nie wiemy dokładnie od kiedy nasze tereny podporządkowano diecezji wrocławskiej. Ale z protokołów kanonicznych wynika, że już w XV i XVI wieku wizytował nasze parafie biskup wrocławski, zaś w XIV wieku niektóre miejscowości parafii sadowskiej płaciły uposażenie biskupowi wrocławskiemu. Diecezja ta miała powstać po Zjeździe Gnieźnieńskim w 1000 roku, kiedy to spotkali się cesarz Otton III z Bolesławem Chrobrym. Różnie układała się historia tej wielkiej i zasłużonej diecezji. Były lata i wieki wspaniałego rozkwitu, ale był też czas ogromnego kryzysu, szczególnie podczas najazdów husytów, podczas reformacji i po przyłączeniu Wrocławia do protestanckich Prus w 1742 roku i w czasie *Kulturkampf*.

Znamy dokładną datę powstania diecezji śląskiej, do której Koszęcin przez 67 lat należał (1925–1992). Powstała ona w wyniku powstań śląskich i podziału Górnego Śląska, najpierw jako „Administracja Apostolska” (7 listopada 1922), a 14 grudnia 1925 papież Pius XI bullą *Vixdum Poloniae Unitas* erygował nową diecezję katowicką. Pierwszym ordynariuszem był – późniejszy prymas polski – kardynał Hląd (zaledwie pół roku), drugim był biskup poznański Arkadiusz Lisiecki, który zarządzał diecezją tylko przez cztery lata, zmarł bowiem nagle podczas wizytacji parafii w Cieszynie w maju 1930 roku. Jego

następcą był także poznaniak bp Stanisław Adamski, który kierował diecezją (z przerwą wojenną) do swojej śmierci w 1967 roku. Czwartym z kolei ordynariuszem został mianowany ks. Herbert Bednorz, który posługiwał kościołowi katowickiemu do 1985 roku, kiedy to przeszedł na emeryturę. Jego następcą jest ks. arcybiskup Damian Zimoń, obecny metropolita archidiecezji katowickiej.

Aktualnie nasza parafia przynależy do diecezji gliwickiej, utworzonej bullą papieża Jana Pawła II *Totus Tuus Poloniae populus* z 25 marca 1992 roku. Jej ordynariuszem, od samego początku istnienia jest ks. bp Jan Wietorek, zaś biskupem pomocniczym jest ks. bp Gerard Kusz. Diecezja gliwicka składa się z 18 dekanatów i 148 parafii.

Refleksja nad intronizacją Pisma Świętego

Koniec wieku xx

Wszędzie, w środkach masowej komunikacji, w codziennych rozmowach, w przesyłanych życzeniach a także w głoszonych w kościołach homiliach, przewija się ostatnio myśl o końcu wieku, końcu tysiąclecia i o tym, co nas czeka w najbliższej i dalszej przyszłości. Jeżeli się coś kończy musi się coś rozpocząć. Skończył się rok 2000, to rozpoczął się 2001. Kończy się drugie tysiąclecie chrześcijaństwa, to wchodzimy w trzecie milenium.

Czas, który minął jest dla nas bardziej zrozumiały, wiemy co wydarzyło się dwa tysiące lat temu, przed tysiącem laty, w minionym wieku, albo w ubiegłym roku. Nie wiemy jednak, co przyniesie nowy rok, nowy wiek, nowe tysiąclecie. Tytułu do dzisiejszych rozmyślań nad upływającym czasem „użyczył” mi Kazimierz Przerwa-Tetmajer, który równe sto lat temu napisał wiersz pt. *Koniec wieku XIX*. W tej pięciostrofowej retoryce autor przywołuje towarzyszące ludzkości i przekleństwo i wzdargę i walkę, ale mówi także o „bycie przysłym”, aby w ostatniej zwrotce postawić pytanie:

*Cóż więc jest? Co zostało nam, co wszystko wiemy,
dla których żadna z dawnych wiar już nie wystarcza?
Jakaż jest przeciw włóchni złego twoja tarcza,
człowiecze, z końca wieku?... Głowę zwiesił niemy.*

Po stu latach, człowiek końca xx wieku, czy też inaczej człowiek początku trzeciego tysiąclecia „zwiesza głowę niemy”, bo tak naprawdę nie za wiele

się zmieniło w minionych stu latach, tysiącleciu. Jesteśmy nadal pyłkiem i „w proch się przemieniamy”. Tak było od zarania istnienia ludzkości przed tysiącami i milionami lat, tak jest i tak pozostanie. To prawda, że człowiek robi ogromne postępy, że myśl ludzka – zdawało by się – nie ma granic, że rozbiliśmy atom, podbijamy kosmos, wchodzimy w erę rozwijających się środków masowego przekazu. Wielcy tego świata zadziwiają nas swoim geniuszem. Świat antyczny z wielkimi myślicielami, wspaniałe kultury pierwotnych ludów, Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Kopernik i tylu innych wspaniałych ludzi. Człowiek tworzy „nowe”, aby łatwiej było nam żyć, ale człowiek potrafi także niszczyć. Z jednej strony jesteśmy przepojeni humanizmem, a z drugiej strony jesteśmy barbarzyńcami. Wystarczy wspomnieć Hitlera czy Stalina, a zawali nam się XX wiek, wystarczy wspomnieć współczesne wojny bratobójcze, nędzę i głód milionów ludzi i bogactwo nielicznych, a zawali nam się czas cudów techniki i nauki. Za Tetmajerem zmuszeni jesteśmy „zawiesić głowy”, bo i tak w proch się przemienimy. Ale taki pesymistyczny obraz świata prowadzi donikąd. Człowiek musi podążać ku przyszłości, nie wolno nam „zakopywać” otrzymanych od Stwórcy talentów.

Ostatnio Kościół na nowo przypomina nam „prawdę” na godne życie. Podczas odwiedzin kolędowych w każdej koszęcińskiej rodzinie odbędzie się intronizacja Pisma Świętego. Ludzie napisali tysiące i miliony ksiąg i książek, z których pokaźna część weszła do skarbnicy kultury światowej. Jednak większość tych dzieł prędkiej czy później idzie w zapomnienie, język staje się archaiczny, tematyka i fabuła starzeją się.

Jest jednak księga nad księgami, dzieło nad dziełami, jest fenomen słowa pisanego – Pismo Święte. Jakoś chyba nie za bardzo uważnie słuchamy Kościoła, który od wieków nakazuje nam czytać Świętą Księgę, który prosi, aby w każdej katolickiej rodzinie znajdował się egzemplarz Pisma Świętego.

W numerze 53. naszej „Gazety parafialnej” ks. proboszcz Tadeusz Fryc w artykule pt. „Intronizacja Pisma Świętego w rodzinach” przybliżył nam w szczególności to wydarzenie, które będzie naszym udziałem podczas odwiedzin kolędowych. Warto przypomnieć znaczenia słowa „intronizacja”, które znaczy nie mniej, nie więcej jak „wyniesienie na tron”, na najważniejsze miejsce w moim i twoim domu, w mojej i twojej świadomości. Pismo Święte ma być księgą *primo* naszego ziemskiego bytowania, ma być naszym przewodnikiem w 2001 roku i w trzecim tysiącleciu chrześcijaństwa. I chyba u progu nowego roku, nowego wieku i nowego tysiąclecia życzymy sobie nawzajem, aby „nasze prace, trudy i zabawy, błogosławił Bóg łaskawy”. A inspiracja

do godnego życia płynie z nauki Kościoła, której fundamentem jest Pismo Święte. Miłej lektury na dziś, na jutro i na całe życie życzy tobie i sobie niżej podpisany Jan Myrcik.

Jubileuszowy Rok 2000 w parafii NSPJ w Koszęcinie

Kilka zdań o służbie liturgicznej

Od 2000 lat Wielkanoc jest największym wydarzeniem Kościoła. Niewątpliwie przebogata liturgia tego święta wzmacnia naszą wiarę, pozwala głębiej przeżywać pamiątkę Zmartwychwstania. Nasza parafia ma szczęście do wspólnie zorganizowanej służby liturgicznej, a mówiąc prościej do dobrze dobrego i oddanego grona ministrantów i lektorów. Wielka to zasługa naszych księży, rodziców i wychowawców, a także samych ministrantów. Są wśród nich trzecioklasiści z podstawówki, licealiści, a nawet studenci, jest ich chyba łącznie około pięćdziesiątki. Budująca jest ich postawa przy ołtarzu: są pobożni, taktowni i zdyscyplinowani, czytają – prawie recytując – Pismo Święte, śpiewają trudne solowe teksty liturgiczne niczym wytrawni mistrzowie, posługują się swoistą „musztrą” liturgiczną, wykonując wszystkie czynności jakby na rozkaz.

Łacińskie słowo *ministrare* znaczy służyć, zaś słowo *ministrant* (i *minister* również) znaczy sługa. Myślę, że parafianie podzielą moją opinię, że nasi ministranci i lektorzy to dobrzy, żeby nie powiedzieć wzorowi słudzy. Widzimy ich zawsze – od najmniejszego do najstarszego z rękami modlitewnie złożonymi, zawsze „poustawiani” według wzrostu, zawsze w odprasowanych i lśniących czystością szatach liturgicznych. Dzięki nim nasze uczestnictwo w Eucharystii staje się pełniejsze i bardziej pobożne. Podziękujmy im za tę służbę życząc, aby Koszęcin miał zawsze takich ministrantów i takich opiekunów, bo – mówiąc szczerze – nie wszędzie tak jest.

Już się zbliżył miesiąc maj...

„Już rozkwita ziemski gaj. Dziś swej Matce i swej Pani, każdy cześć i chwałę daj...” – mówią słowa starej pieśni maryjnej, jakby zachęcając nas do udziału w nabożeństwie majowym. Miesiąc maj jest niewątpliwie najpiękniejszym miesiącem roku kalendarzowego: przyroda budzi się intensywnie do życia, dni wydłużają się, a słońce staje się bardziej złociste.

Od dawien dawna ten cudowny miesiąc poświęcony jest Matce Boskiej, zaś w Polsce nabożeństwa majowe mają wiekową chyba tradycję. Także trzeci

dzień maja poświęcony jest Królowej Korony Polskiej i na dodatek jeszcze obchodzimy w tym dniu rocznicę ustanowienia w 1791 roku Konstytucji 3 Maja. Kiedyś całymi rodzinami wybierano się wieczorową porą na „majowe”. Śpiewano tam przepiękne, bogate w treści i linii melodycznej pieśni maryjne, których całe mnóstwo zamieszczały nasze śpiewniki i książeczki do nabożeństwa, choćby wymienić *Skarbiec modlitw i pieśni*. Tak było też zawsze w Koszęcinie, tak jest i tak powinno zostać. Niech szczególnie w Roku Jubileuszowym, każdego dnia, w każdej rodzinie padnie zdanie: „Idziemy na Majowe!”, i niech nam przyświeca hasło „Przez Maryję do Jezusa”.

Przyjdźmy do naszej wspaniałej świątyni wieczorową porą, na jedyne pół godziny. Popatrzmy na „grę” światła słonecznych przebijających się przez witraże absydy prezbiterialnej i na złocisty obraz częstochowskiej Madonny w ołtarzu głównym, który nasze babcie przyniosły procesyjnie z Jasnej Góry, wchłóńmy woń kadzideł i pozwólmy się pobłogosławić hostią umieszczoną w zabytkowej – sprzed wieków – monstrancji.

Tam w kościele, „na majowym” przypomnimy sobie *Litanie Loretańską*, *Wezwania do Matki Boskiej* i zaśpiewamy: *Chwalcie łąki umajone, Słowiki już śpiewają i Już się zbliżył miesiąc maj*.

PS 3 maja ks. proboszcz dwukrotnie pochwalił parafian, raz za „pełny kościół” na sumie, a drugi raz za liczny udział w nabożeństwach majowych. Ale do kościoła chodzi się nie tylko dla pochwały, raczej na chwałę Boga. Przypomnijmy jeszcze: nabożeństwa majowe codziennie o godzinie 18:30, a w niedziele o godzinie 15:00... i to tylko w maju!

Patronem jest św. Florian

Mówiliśmy, że ministranci to służdy. Powiedzmy również, że strażacy to także służdy. Koszęcińska straż pożarna już prawie od stu lat (1902) służy Bogu i bliźniemu. Hasło „Bogu i bliźniemu” nasi strażacy wypisali już dawno temu na swoim sztandarze i konsekwentnie je realizują.

Straż pożarna zawsze była organizacją apolityczną i społecznikowską, zawsze stała blisko Kościoła i człowieka. Szczególnie strażacy-ochotnicy zasługują na słowa wielkiego uznania i szacunku, bowiem oni służą bezinteresownie.

Patronem strażaków jest św. Florian, rzymski rycerz urodzony w pobliżu Wiednia, który za obronę wiary poniósł śmierć męczeńską. W koszęcińskim kościele NSPJ stoi od dziesięcioleci piękna figura św. Floriana, ufundowana z pewnością przez samych strażaków.

W dniu swego patrona koszęcińscy strażacy co roku mają mszę świętą dzięczynną, również w tym roku, 7 maja o godzinie 10:30 zjawią się w świątyni, aby pochylić sztandary i głowy przed Najwyższym.

W ostatnim czasie prawie codziennie wyją syreny, a po kilku minutach samochody bojowe pędzą do akcji, aby ratować ludzki dobytek. Wydaje się, że strażakom przyświeca zdanie: „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”. Strażacy są gotowi na każde wezwanie, o każdej porze dnia i nocy. Znamy ich także z innej działalności, chociażby ze służby dla lokalnego Kościoła. Corocznie – niby drużyna św. Floriana – zaciągają wartę przy grobie Chrystusa, widać ich na procesji Bożego Ciała przy baldachimie i w poczcie sztandarowej. Jeszcze niedawno temu koszęcińska orkiestra strażacka była obecna na uroczystości zmartwychwstania i na pasterce. Towarzyszyła nam pod batutą społecznych dyrygentów – panów Gada i Maronia – na procesji Bożego Ciała i oznajmiała grą z wieży kościelnej nadchodzący odpust w kościele NSPJ. Ale wtedy chyba Ochotnicza Straż Pożarna posiadała... ochotniczą orkiestrę?

W dniu patrona – św. Floriana – dziękujemy strażakom-ochotnikom za ich ofiarność i społeczną służbę dla bliźnich, życzymy im zdrowia i błogosławieństwa Bożego.

Dwa zdania o dzwonach dla naszego kościoła

Finalizuje się powoli sprawa dzwonów milenijnych dla naszej parafii. Najprawdopodobniej w październiku Roku Jubileuszowego 2000, w rocznicę poświęcenia naszej świątyni będziemy wiedzieli „w którym kościele dzwonią”. Fundujemy trzy nowe dzwony, a jako czwarty zawiśnię na wieży zwiastun minionych wieków, zabytkowy dzwon o pięknej barwie głosu. Napisałem 11 lipca 1999 roku w artykule pt. „Koszęcińskie dzwony” takie zdanie: „Koszęcinianie już nieraz dawali dowody ofiarności. Zrzućmy się jeszcze raz, aby nam *Anielską pieśń dzwon grał*”.

I od pewnego czasu „zrzućmy się”, ale jeszcze dużo trzeba. Za zgodą organizatorów koncertu zespołu „Śląsk”, chętni mogą wrzucić do koszyczka ofiarę na nasze dzwony. A może są w naszej parafii ludzie (jeden się już zadeklarował), którzy zechcą mieć swój indywidualny udział w fundacji milenijnego dzwonu?

Jubileuszowy Rok Święty 2000 w Koszęcinie

Wierz w jeden święty, powszechny Kościół...

Tego jeszcze z całą pewnością, w prawie tysiącletniej historii Koszęcina nie było. W środę 24 maja Jubileuszowego Roku 2000 przy ołtarzu w kościele NSPJ w Koszęcinie pojawiło się dwóch czarnoskórych ojców oblatów z Madagaskaru, w asyście przebywającego od 20 lat w ich kraju, ojca superiora Romana Krausego urodzonego w Koszęcinie.

Było to piękne i głęboko religijne spotkanie „starego”, bo liczącego chyba tysiąc lat Kościoła katolickiego w Koszęcinie, z „młodym”, zaledwie stuletnim Kościołem z tej części Madagaskaru, gdzie od 20 lat pracują polscy oblaci. Przed częstochowskim *Obrazem Czarnej Madonny* umieszczonym w centralnej części ołtarza głównego modlili się „czarni”, bardzo młodzi i urodziwi ojcowie oblaci z Madagaskaru.

Spotkanie misyjne rozpoczęło się mszą świętą koncelebrowaną, następnie odprawiono uroczyste nabożeństwo majowe, zaś całość zakończyła się – przy bardzo licznym udziale parafian – spotkaniem z Afrykańczykami w kaplicy Katolickiego Centrum Kultury.

Przybliżmy w kilku zdaniach daleki Madagaskar. Jest to ogromna wyspa położona u wybrzeży Afryki licząca 587 tys. km² i 13 milionów mieszkańców. Powierzchnia wyżynno-górzysta, tylko u wybrzeży krajobraz nizinny. Klimat bardzo niezycielny człowiekowi, gorący i wilgotny. Kraj, który po wiekach niewoli wybił się w połowie XX wieku do wolności, jest gospodarczo zacofany, a ludność – szczególnie wiejska – cierpi niedostatek i biedę. Madagaskar miał bardzo trudną i wielowiekową drogę ku wolności. Państwo plemienne od XIV wieku zostało w XVI stuleciu podbite przez Portugalię, później nastąpiła penetracja przez Francję i Anglię. Przed 20 laty na Madagaskarze wylądowali ojcowie oblaci z Polski, wśród nich obecny na spotkaniu o. superior Roman Kraus.

Na spotkaniu w kaplicy młodzi wiekiem i kapłańskim stażem czarnoskórzy ojcowie przedstawili nam swoją trudną drogę życiową. Pierwszy z nich, ojciec Jean Didier Zanadrafara mówił w języku francuskim o historii swego rodzinnego kraju, o swojej licznej rodzinie, o ogromnych trudnościach – głównie ekonomicznych – zdobywania wiedzy, a także o dopiero kilkudziesięcioletnim katolicyzmie swych bliskich i o swojej drodze do kapłaństwa. Drugi ojciec Verana Anselme opowiedział swoje dzieje w języku malgaskim.

Niewyobrażalnie trudna to droga życiowa, dla nas Europejczyków nie do zaakceptowania, nie do przeżycia. W tym kraju większość ludzi mieszka w buszu, gdzie żyją w biedzie i niedostatku. Wszędzie – do szkół, do kaplic i świątyń – chodzą boso, wydeptanymi od pokoleń ścieżkami. Żywią się przeważnie ryżem przygotowywanym na przeróżne sposoby.

Opowieści obu afrykańskich ojców słuchało się jak fantastycznej opowieści o antycznych herosach z tym, że nie chodziło tu o półbogów z mitologii greckiej, ale o bohaterski lud Madagaskaru, który na co dzień musi się zmagać z nieźyciową aurą, tajfunami, biedą i walką o przetrwanie. Szkoda, że nie rozumieliśmy ani francuskiego, ani malgaskiego języka. Ale dzięki tłumaczeniu na bieżąco tekstów swoich braci w zgromadzeniu przez ojca Romana, pojmowaliśmy doskonale ich płynny język. (Myślę, że ojcowie Malgasze są wspaniałymi kaznodziejami).

Zebrani na spotkaniu, nie tylko słuchali ciekawych opowieści, ale i uważnie przypatrywali się egzotycznym gościom. Wrażenie robiły śnieżnobiałe sutanny przepasane czarnym szerokim pasem, za którym tkwił krzyż misyjny ojców oblatów. Czarne jak heban uśmiechnięte twarze kontrastujące z ubiorem, powaga i duma z faktu, że jest się Malgaszem, katolikiem i wszechstronnie wykształconym teologiem i filozofem były jakby uzupełnieniem ich opowieści o ludziach z dalekiego kraju, o misyjnej posłudze Kościoła i o wierze w tego samego Boga.

Na zakończenie tego niepowtarzalnego spotkania wszyscy trzej ojcowie odśpiewali tradycyjną wśród katolików Madagaskaru pieśń religijną. A my wszyscy, trzymając się za ręce, wspólnie z nimi „odtańczyliśmy” taniec miłości, jedności i szacunku do Boga, Kościoła i ludzi. Można było w tym geście zrozumieć całą prawdę naszej wiary i powiedzieć: „Wierzę w jeden święty i powszechny Kościół katolicki...” święty i powszechny tam w Rzymie, gdzie rezyduje nasz Ojciec Święty Jan Paweł II, tam w Madagaskarze, gdzie rodzi się przyszłość naszego Kościoła, tu w Polsce, gdzie od wieków śpiewamy *My chcemy Boga* i na całym świecie.

Pragnę w imieniu licznie zgromadzonych na liturgii i na spotkaniu w kaplicy ludzi, serdecznie podziękować ojcom z Madagaskaru za to jedyne w swoim rodzaju spotkanie, a ojcu Romanowi – który był u nas obecny już po raz trzeci – mówimy „do zobaczenia” – niestety dopiero za kilka lat, bo Madagaskar, jego druga ojczyzna, jest za daleko od Koszęcina. Słowa podziękki kierujemy również do ks. proboszcza Tadeusza Fryca za szczególną życzliwość dla gości i parafian.

Chrystus w Eucharystii i *Uśmiechnięta Madonna* odwiedzili kościół pałacowy **Wielkie sprawy w małym Koszęcinie**

To, co działo się w Koszęcinie w niedzielę 31 października 2004 roku należy zaliczyć do wielkich wydarzeń historii lokalnej. W niecodzienny sposób rozpoczęto tu – ustanowiony 15 października br. przez papieża – Światowy Rok Eucharystyczny. W kościele NSPJ świętowano uroczystie 96. rocznicę poświęcenia tego pięknego, neogotyckiego, a od kilku lat i zabytkowego kościoła, którego budowa, architektura i dzieła sztuki sakralnej są niepowtarzalne. O godzinie piętnastej tego samego dnia odbyło się niecodzienne nabożeństwo maryjne w... kościele pałacowym, kiedyś parafialnym, który pięknie odrestaurowany przypominał nam dawną, wielowiekową historię koszęcińskiej wspólnoty. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, licznie zebrani uczestnicy wspaniałej ceremonii różańcowej przeżyli to, co było udziałem naszych praojców przez kilka wieków w tej świątyni. Mogliśmy adorować Boga ukrytego w monstrancji. To niesamowite i prawie nie do wiary. W niedzielę Chrystus – poprzez swoją obecność i błogosławieństwo – przebaczył powojenną nietolerancję i bluźnierstwa uświęconego koszęcińskiego miejsca. Poprzez zapalenie świec pamięci nad grobowcami oddano także hołd spoczywającym w kościele pałacowym panom na Koszęcinie. Zebrani mogli także podziwiać piękną wystawę fotograficzną *Na szlaku architektury drewnianej województwa śląskiego* opracowaną przez Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie. Również „wielką sprawą” była kilkugodzinna prezentacja w części prezbiterialnej kościoła pałacowego, unikalnej XIV-wiecznej rzeźby gotyckiej przedstawiającej Matkę Boską z Dzieciątkiem, której niesamowite losy związane są od 600 lat z Koszęcinem.

Właśnie o gotyckiej *Uśmiechniętej Madonnie* wystruganej przed wiekami w dębowym drewnie przez nieznanego artystę, chciałbym w kilku zdaniach opowiedzieć. Swoją wiedzę o tym unikacie opieram głównie na dokumentacji sporządzonej przez konserwatorów dzieł sztuki: Agnieszkę i Tomasza Trzosów, którzy zajmowali się pracą konserwatorską i – jak mogliśmy się przekonać oglądając z bliska to dzieło – wywiązali się z tego zadania wspaniale. Ośmielałam się także – może trochę hipotetycznie – dociec kilkusetletniej historii tej rzeźby. Została ona trochę przypadkowo znaleziona dziesięć lat temu. Prawdopodobnie, przenosząc w 1908 roku dzieła sztuki sakralnej z kościoła pałacowego do nowo wybudowanego kościoła NSPJ, ulokowano „starą rzeźbę” w schowku nad łóżą kolatorską. Później zapomniano o tym fakcie na długie dziesięciolecia. Odnalezioną rzeźbę wystawiono w KCK na okolicznościowej

wystawie z okazji 125-lecia życia parafialnego, nie znając jednak jej pełnej wartości. Pomógł nam kontakt z pracownikami Wojewódzkiego Oddziału Służby Ochrony Zabytków w Częstochowie, którzy znaleźli środki i konserwatorów, za co jesteśmy im bardzo wdzięczni.

Wartość rzeźby oceniali wybitni specjaliści, choćby tylko wspomnieć wymienionych już konserwatorów sztuki, ale także dra hab. Wiesława Włocha i Jana Gałaszka – ministerialnych rzeczoznawców. I na zakończenie akapit z dokumentacji konserwatorskiej: „Rzeźba przedstawia Matkę Bożą z Dzieciątkiem. Postać Matki Bożej ujęta jest w kontrapoście (typ pięknej Madonny). Odziana jest w bogato drapowaną suknię i płaszcz spięty dwiema broszami. Na głowie postaci korona złożona, pod nią maforium. Na lewej ręce madonny siedzi Dzieciątko Jezus odziane w długą drapowaną szatę, prawa ręka uniesiona w geście błogosławieństwa. Lewą przyciska do piersi gołębia z rozpostartymi skrzydłami. Rzeźba pozbawiona jest pierwotnej polichromii”.

Myślę, że o tej rzeźbie będziemy jeszcze mówić i pisać. Jest z pewnością jedną z najstarszych rzeźb gotyckich na Śląsku, dotychczas nigdzie i przez nikogo niewspominaną. We fragmentach nosi ślady spalenizny. Moja hipoteza: To dzieło musiało się już znajdować we wcześniejszym kościele zamkowym przed 1595 rokiem, kiedy to Lisowczycy spalili zamek i Koszęcin. Rzeźbę – dzięki Bogu – uratowano.

Życie religijne Koszęcina

Kult maryjny w Koszęcinie

Zbliżająca się piękna religijna uroczystość goszczenia w Koszęcinie kopii cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej będzie wydarzeniem, które wpisze się na trwałe do kronik kościelnych i do historii Koszęcina. Także, łączące się z tą uroczystością misje święte, to niewątpliwie epokowe wydarzenia dla parafialnych wspólnot naszej miejscowości.

Warto przy tej niecodziennej okazji wspomnieć o bogatych tradycjach maryjnych Koszęcina, które sięgają głęboko w minione wieki. Wystawiony w początkach XVII wieku kościół pałacowy – którego budowę rozpoczął w 1609 roku Andrzej Kochcicki, a dzieła dokończył w 1646 roku hrabia Filip de Rauthen – poświęcony został Matce Boskiej Wniebowziętej. Jak podają stare źródła kronikarskie, świątynia ta była miejscem wielkiego nabożeństwa do Matki Boskiej. Niemieckie źródła podają, że w tym kościele modliła się

królowa Marysienka Sobieska, oczekująca w Koszęcinie u swego krewniaka powrotu króla Jana III Sobieskiego z Odsieczy Wiedeńskiej. Tu posługiwali liczni kapelani pałacowi wywodzący się z klasztoru oo. paulinów na Jasnej Górze, choćby wymienić o. Norberta Kotosa (1724–1726), o. Franciszka Malachiasza (1744–1749), o. Iwo Wentricha (1751–1754) i wielu innych. Oni wszyscy szerzyli na naszej ziemi wielki kult do Bogarodzicy.

Również miejsce, na którym stanął w 1908 roku kościół pod wezwaniem NSPJ, było mocno związane z kultem maryjnym. Stała tutaj mała kapliczka z wiekową figurą Matki Boskiej, którą nasi przodkowie darzyli wielką czcią.

Trzeci koszęciński kościół, wspaniały zabytek drewnianej architektury sakralnej pod wezwaniem Trójcy Świętej, związany jest również z kultem do Matki Boskiej. Śledząc niepowtarzalną historię tego cudownego miejsca, w którym już co najmniej w XV wieku zbudowano pierwszy kościół, spotykamy się z wielkim nabożeństwem do Bogarodzicy. Stojąca w centralnej części ołtarza głównego wspaniała pod względem artystycznym, prawie naturalnych rozmiarów *Pietà* z 1510 roku, jest niewątpliwie odbiciem tego nabożeństwa. W tym samym kościele, po lewej stronie drzwi wejściowych, wisi trzystuletni obraz przedstawiający Matkę Boską w otoczeniu Świętych Dominikańskich. W owalu tego obrazu nieznany z nazwiska artysta umieścił 15 scen różańcowych. Obraz ten podarowany prawdopodobnie przez dominikanów z Boronowa, jest świadectwem odwiecznego przywiązania koszęcinian do modlitwy różańcowej.

70 lat temu, w 1927 roku, Związek Matek Polek w Koszęcinie prowadzony przez ząną gospodynię Annę Dreszer, pod duchowym przewodnictwem ks. proboszcza Waltera Gąski i pani Stefanii Burzyńskiej zamówił w Częstochowie dużych rozmiarów obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Obraz poświęcono na Jasnej Górze i przyniesiono procesyjnie przez pielgrzymów do kościoła NSPJ w Koszęcinie. Obecnie obraz umieszczony jest w ołtarzu głównym, tworząc ciekawą kompozycję religijno-artystyczną, umożliwiającą ukazanie albo pięknego płótna z wizerunkiem Serca Jezusowego, albo wymienionego wyżej obrazu.

Trzeba również wspomnieć o wielkim nabożeństwie do Matki Boskiej koszęcińskich księży, którzy począwszy od kapelanów pałacowych, poprzez proboszczów i wikarych przewodzili temu kultowi. To głównie dzięki nim udajemy się corocznie na Jasną Górę, do Piekar, na Górę Świętej Anny, do Lichenia. Odwiedzamy także sanktuaria maryjne znajdujące się poza granicami naszego kraju.

W najbliższy poniedziałek Ona sama przyjedzie do nas w kopii Jasnogórskiej Madonny. Niech zobaczy Koszęcin odświętny i bogato przystrojony, niech spotka tu rzesze wiernych, przygotowanych na Jej przyjęcie poprzez misje święte prowadzone przez zacnych ojców franciszkanów.

Życie parafialne Koszęcina

Długo, bo całe wieki koszęcinianie musieli czekać na własną parafię. Wszystkie okoliczne wioski, dwory i przysiółki podporządkowane były przez długie stulecia jednej z najstarszych i największych na Śląsku parafii w Sadowie. Mówiąc więc o życiu parafialnym Koszęcina, trzeba się odnieść do Sadowa, a także do kaplicy pałacowej i kościółka Trójcy Świętej w Koszęcinie.

Sadowska parafia powstała jeszcze na prawie polskim co najmniej w XIII wieku i figuruje ona w spisie świętopietrza z 1447 roku. Kościołem tej rozległej parafii była – stojąca do dzisiaj – świątynia pod wezwaniem św. Józefa, zbudowana z glazów polnych w 1331 roku. Przed reformacją kościół ten był pw. Wszystkich Świętych, a w czasie reformacji władali nim protestanccy kaznodzieje. Dawne życie parafialne powiązane było ze sferą społeczno-kulturową, edukacyjną, a nawet gospodarczą, wszystkich 32 wiosek, które do 1868 roku należały do rozciągającej się na 220 km² sadowskiej parafii. O powyższym świadczą zachowane do dnia dzisiejszego liczne archiwalia, w których przewija się przede wszystkim życie religijne, ale również dzieje oświaty i inne wydarzenia, które dotyczyły parafii. Do sadowskiej wspólnoty należało do końca XIX wieku pięć kościołów: Trójcy Świętej w Koszęcinie (1724), św. Marcina w Cieszowej (1751), kaplica pałacowa w Koszęcinie (1609), kościółek św. Jana Chrzciciela w Brušku (poł. XVII w.) i kościół NMP w Olszynie (1888). Parafia sadowska liczyła w połowie XIX wieku 7500 wiernych, zaś proboszcz – oprócz posługi duszpasterskiej – zarządzał szkołami działającymi na terenie parafii.

Najstarsze z zachowanych dokumentów metrykalnych sięgają 1673 roku. Znani są też wszyscy proboszczowie sadowskiej parafii, wśród nich Franciszek Jeziorski i Karol Urban – historycy i kronikarze życia parafialnego.

Po wybudowaniu kaplicy pałacowej Koszęcin stał się filią sadowskiej parafii, a w drugiej połowie XIX wieku uzyskał kuraturę. Obecni tu byli – czasem z kilkuletnimi przerwami – kapelani pałacowi, z których wielu zabiegało o własną parafię w Koszęcinie. W 1869 roku Koszęcin wraz z wioskami: Strzebinie, Łazami, Bruskiem, Prądami, Drutarnią i Pustą

Kuźnicą – uzyskał pełne prawa parafialne. Pierwszym proboszczem parafii koszęcińskiej przy kościele pałacowym był ks. Karol Dietrich. Po nim obowiązki te pełnili: ks. Józef Kudzielka, ks. Antoni Thiel, ks. Ernest Lehmann, ks. Gustaw Chęciński, ks. Gustaw Majs, ks. Karol Boehm, ks. Edward Sobek, ks. Jerzy Wójcik, ks. Walter Gaska, ks. Anastazy Muża, ks. dr Wilhelm Pluta (późniejszy biskup), ks. Jerzy Reginek, ks. Augustyn Zając. Od 1968 roku do dnia dzisiejszego proboszczem koszęcińskiej parafii pw. NSPJ jest ks. prałat Tadeusz Fryc. Z parafii wyświęconych zostało dotychczas 17 księży, i 15 sióstr zakonnych, zaś trójka kleryków studiuje na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Opolskiego. W roku 1972 powstała w Koszęcinie druga parafia pw. Trójcy Świętej. Od jej ustanowienia do dnia dzisiejszego proboszczem tej wspólnoty jest ks. Antoni Ryguła. W roku 1951 wyodrębniła się z parafii NSPJ parafia pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Strzebinie, a w 1977 roku parafia Matki Boskiej Fatimskiej w Brušku-Drutarni.

Mowa naszych przodków

Język (w sensie językoznawczym) składa się z wytworzonych społecznie i obowiązujących znaków dźwiękowych oraz reguł określających ich użycie jako narzędzi komunikacji społecznej. Język narodowy albo państwowy to język – mówiąc ogólnie – którym posługują się organy władzy.

Na świecie poznano dotychczas około 2600 języków. Nikt jednak nie zliczył dotychczas narzeczy (pojęcie szersze od gwary) i gwar, które odróżniają od siebie ludy etniczne. Gwara, zwana inaczej dialektem, albo też „mową wsi” lub „mową ludu”, to terytorialna odmiana języka narodowego. Różnice między tymi „mowami” polegają na odmiennych cechach fonetycznych, składniowych i leksykalnych. Ale gwara to nie tylko odmiana języka, to także tożsamość odróżniająca ludzi pod względem kultury, religii, tradycji, historii i obyczajowości.

W Polsce istnieje wiele grup etnicznych posługujących się odmienną mową, mających głębokie poczucie więzi grupowej. Można tu wymienić mowę Górali, Kaszubów, czy też – co nas bardzo interesuje – mowę Ślązaków. Myślę, że nasz dialekt jest szczególnie interesujący, składa się bowiem ze słownictwa języków państw ościennych, ale nade wszystko jest to słownictwo staropolskie, jest to mowa, którą posługiwał się lud w dawnej Rzeczypospolitej.

Był czas kiedy hanysów wyśmiewano i poniewierano za odmienność kulturową, w tym głównie za odmienność języka (niektórzy niedouczeni nadal

nas poniżają). Ale coraz częściej słychać głosy w obronie gwary. Nawołują do tego wybitni naukowcy, również niektóre instytucje np. telewizja, radio, czy placówki kultury i oświaty, poprzez organizację różnych imprez starają się ocalić regionalizm językowy.

Dbajmy zatem i my o język naszych przodków. Uczmy dzieci i młodzież języka literackiego, ale nie dajmy „pogrześć mowy” naszych ojców i dziadów – śląskiej gwary. To dobrze, że w Koszęcinie wielu ludzi posługuje się gwarą, są tacy, którzy umieją tylko „godać”. Myślę, że oni modlą się także gwarą. W naszym kościele obserwuję od lat pewnego parafianina, który – tak mi się wydaje – modli się tak jak w zamieszczonej niżej rymowance, którą zatytułowałem *Modlitwa starego Ślązaka*.

<i>Przeboc Pon Bocku</i>	<i>Jo po naszymu</i>
<i>Że inacyj żykom</i>	<i>Ciebie Boże prosza</i>
<i>Nie z Gebyjtbuchu</i>	<i>Żeby mi stykło</i>
<i>Bo jo lichu cytom</i>	<i>Jutro na chlyp grosza</i>

<i>Choć przeca trocha</i>	<i>Żeby mi słonko</i>
<i>Z książek cytać umia</i>	<i>Na niebie śwjyciło</i>
<i>Tych uconych słów</i>	<i>I żeby gożyj</i>
<i>Nie bardzo rozumia</i>	<i>Już nigdy nie było</i>

<i>Wjym, że w żykaniu</i>	<i>Przeboc Pon Bocku</i>
<i>Ciebie Boże spotkom</i>	<i>Że się Ciebie Spytom</i>
<i>Choć byda godoł</i>	<i>Czyś mie pochopił</i>
<i>Nasom słonskom gotkom</i>	<i>Choć po słonsku żykom.</i>

Kończy się 1998 rok

Nie tak bystro płynie rzeka...

Powyższe słowa, to początek wspaniałej pieśni religijnej, którą śpiewamy tylko jeden, jedyny raz w roku. Zresztą nie wszyscy znają słowa tego magicznego utworu o upływającym czasie. Nie znają tej pieśni na pewno ci parafianie, których zabraknie w kościele w ostatni dzień starego roku. Ale to wcale nie zmienia faktu, że rok bieżący „[...]” spłynie z tej doczesności w bezdenne morze wieczności”.

Każdy upływający rok zbliża wszystkich i wszystko, co żyje, do nieubłaganego kresu. Upływający czas liczy się dla każdego jednakowo, niezależnie od tego czy to będzie niemowlę, czy też doświadczony starzec. Każdemu doda się 365 dni, albo – licząc inaczej – każdemu odliczy się tę liczbę dni. Szukamy trafnej definicji na upływający czas, którego jak wiadomo, nie da się ani na sekundę zatrzymać. Dobrze więc będzie, aby przynajmniej w tym szczególnym, ostatnim dniu roku skierować swoje myśli ku... cmentarzowi. Pomyśleć o tych, dla których czas przestał się liczyć, którzy odeszli już na wieczną wachnię, na spotkanie Apokalipsy.

Każda szanująca się firma sporządza na koniec roku bilans, przeprowadza re-manent, zwany także inwentaryzacją. Liczy się towary i wyroby, liczy się zyski i straty. To samo czynią indywidualni ludzie, rodziny, społeczności i państwa. Niewątpliwie bardziej dostrzegalne jest to, czego zabrakło, są ci, których straciliśmy na zawsze, jest doznana bieda i krzywda. Liczą się jednak także plusy. Dla jednych będą to zarobione pieniądze, dla innych odzyskane zdrowie, ukończona szkoła czy uczelnia. Może to być radość z narodzonego dziecka, wprowadzenie się do wymarzonego domu czy mieszkania, a także zwyczajne, ludzkie szczęście.

Rozglądnijmy się pod koniec upływającego roku po koszęcińskich domach i ulicach. Przekonamy się, że zabrakło w 1998 roku 45 współmieszkańców, dokładnie tylu, ilu odeszło w ubiegłym 1997 roku. Byli wśród nich nasi najbliżsi, sąsiedzi, dzieci, ludzie starzy i osoby w sile wieku.

Przypomnijmy sobie również tych ludzi, którzy nie z własnej winy – a może na skutek naszych zaniedbań – zeszli w tym roku na manowce ludzkiej egzystencji. Policzmy także ile tysięcy litrów alkoholu wypił Koszęcin w 1998 roku. Zbilansujmy ludzką biedę, poniewierkę i niedolę. Pomyśl, że nikt nigdy nie policzy ludzkich łez – w tym także łez tych najmniejszych – wylanych na skutek egoizmu starszych, bądź naszej nieodpowiedzialności za los bliźnich.

To wszystko trzeba policzyć i zsumować, trzeba porównać obie strony bilansu – dodatnią, po to, aby w nowym roku dobro pomnażać, ujemną, aby błędów nie popełniać. Niech w ostatnich godzinach starego roku i u progu nowego roku przyświecają nam słowa wspomnianej na wstępie pieśni:

*Tak prędko rok przeszły minął,
Że właśnie w momencie zginął.
I spłynął z tej doczesności,
W bezdenne morze wieczności.*

*Boże bądź i w roku nowym,
Nam na ratunek gotowym.
Błogosław Boże łaskawy,
Nasze trudy i zabawy...*

Zanim chleb znajdzie się na stole **Boże, z Twoich rąk żyjemy...**

Tradycyjnie, chyba od wieków, Koszęcin obchodzi dożynki. Jest to święto stare jak świat – dodajmy – jak świat chrześcijański, jest to czas dziękczynienia Bogu za zebrane plony. Wszyscy znamy trud pracy rolnika, jego heroiczne zmaganie się z ziemią i nie zawsze życzliwą przyrodą po to tylko, aby chleb był na stole. Ale ludzie wierzący wiedzą, że bez Bożego błogosławieństwa daremna jest nasza praca. „Jeżeli domu sam Pan nie zbuduje, daremnie się nad nim rzemieślnik frasuje”, „Boże z Twoich rąk żyjemy, choć naszymi pracujemy”, „Błogosław Boże łaskawy, nasze prace i zabawy”. Te i inne pieśni dziękczynne i błagalne śpiewamy przy różnych okazjach.

Warto może, choćby tylko raz w roku wspomnieć, jak to dawniej bywało, zanim chleb znalazł się na stole. Jak dawniej koszęcińscy „gospodorze”² musieli ciężko, w pocie czoła pracować i bez przerwy patrzeć w niebo, by dobry Bóg darzył właściwą pogodą, aby szczęśliwie zasiać, skosić, pozwozić i wymłócić. Była to zupełnie inna praca od trudu dzisiejszego żniwowania. Cofnijmy się więc w czasie o 80, 60, a może tylko o 50 lat. Nie było wtedy traktorów i przy-czep, kombajnów, sadzarek, siewników i tyle innego sprzętu, dzięki któremu dzisiaj łatwiej, szybciej i bezpieczniej uporać się z chlebem. Dawniej, aby zasiać, skosić, pozwozić do stodół, wymłócić, zmielić i upiec chleb, trzeba było wiele pracowitych rąk i ogromnego trudu pracy. Na chleb pracowali staroszkowscy, młodzi, ich dzieci i wnuki, znajomi i sąsiedzi. Potrzebne były mocne i wytrzymałe konie, różnego rodzaju fura, najczęściej na żelaznych obręczach. Każde gospodarstwo musiało posiadać stodołę. Im więcej ziemi, tym więcej ludzi, koni, stodół, wozów było potrzeba.

Praca nad chlebem rozpoczynała się jesienią nawożeniem, orką, siewem i tylu innymi pracami. Zasiane ziarno musiało być doglądane i pielęgnowane, aby plon był stokrotny. Dawniej nie stosowano nawozów sztucznych, chleb uprawiano ekologicznie, chociaż nie znano tego terminu. Gdy już zboże dojrzewało, gdy kłosa zaczynały się złocić, a pocierane w chłopskich dłoniach zwalniały ziarno, przystępowano do żniw. Klepano kosy, liczono kośników, wynajmowano „ubieraczki”, przygotowywano wozy drabiniaste i patrzono w niebo.

Kiedy zaś znikły poranne rosy... zaczynało się. Im silniejszy chłop, tym szerszy pokos. Kośnicy „siekli” szeregiem, oddaleni od siebie na bezpieczną odległość,

2 „Gospodorze” – tak tutaj nazywano rolników.

za nimi podążały ubieraczki – silne wiejskie kobiety. Brały szybkim ruchem wiązkę skoszonego zboża i niczym akrobatki skręcały błyskawicznie powrosło, którym także po czarodziejsku owiażywały snop, przycisnąwszy go kolanem, aby było mocniej. W pewnej odległości za kośnikami i ubieraczkami szły dzieci, których zadaniem było stawianie w równych odstępach „kupek”, składających się z sześciu do ośmiu snopów.

Około południa przywożono na pole posiłek. Mężczyźni otrzymywali zazwyczaj „srogi kawołek wursztu”, inni „żymła z lyjberwursztym”. Piło się gorzką kawę zbożową. Niektórzy – jeśli starczyło czasu – „wyciągali” się na miedzy, aby wyprostować zmęczone grzbiety. Po krótkim, śniadaniowym odpoczynku praca szła dalej, często do późnych godzin wieczornych.

Po kilku dniach, jeśli sprzyjała pogoda i gdy snopy obeschły, przystępowano do zwózki zboża. Na polach, na podwórkach i w stodołach wrzała praca. Pełne i puste drabinioki mijały się w pośpiechu na wiejskich i polnych drogach. Na polach silni mężczyźni, dwuzębnyimi widłami na długich stylach podawali snopy, które dobrzy fachowcy precyzyjnie układali na wozach. Później podawano długi powąz i upinano go silnie łańcuchami. Jeżeli po drodze wóz się nie wywrócił – co się niestety często zdarzało – wjeżdżano z dobytkiem do stodoły. Tam szybko rozładowywano zboże układając je w sąsiekach, i praca zaczynała się od nowa. Na pole, załadunek i do stodoły.

Po wykopkach kartofli, buraków i innych okopowych przystępowano do młócki. Mniejsi gospodarze młócili cepami na klepiskach w stodołach, zasobniejsi posiadali „dreszmasyny” i „geple” na podwórkach. Konie całymi dniami od jesieni, często przez całą zimę, chodziły w kółko uruchamiając siłą swoich mięśni mechanizm kieratu przenosząc poprzez metalowe sztangi napęd na młocarnię. Stodoła zawsze pełna była ludzi. Jedni podawali snopy z sąsieków na maszynę, inni – po przecięciu powróśla nożem – podawali je do „lody”, jeszcze inni zakładali na specjalne uchwyty przy młocarni puste worki i odnosili pełne. Po wymłóceniu „fajowano” zboże, oddzielając plewy od ziarna. Do tego służyła specjalna maszyna napędzana ręcznie za pomocą korby. Następnie zboże suszono na strychach, mieszając je kilka razy dziennie drewnianymi łopatami. Słomę magazynowano w stodołach, rzadko na przymach, i używano na ściółkę lub przeznaczano na karmę. Nic nie mogło się zmarnować. Wysuszone ziarno wożono do wodnych młynów, których w okolicy było kilka, m.in. na Piasku, na Piłce i w lesie niedaleko „Rokosiego mostu”. Kiedy w 1925 roku Jończykowie zbudowali nowy, elektryczny młyn, cała okolica poczęła korzystać z ich usług. Przed laty w każdym chłopskim domu był piekarniok. W Koszęcinie ten ważny

obiekt znajdował się przeważnie wewnątrz domu, ale bywały też piekarniki stojące na podwórkach. Chleb piekło się raz w tygodniu po dziesięć i więcej dużych okrągłych „pecynków”, według specjalnej technologii i odpowiedniego rytuału.

Szkoda, że ten sielankowy krajobraz żniwny zniknął bezpowrotnie. Nie ma już kośników i ubieraczek, nie zobaczysz już na polach szeregów suszących się snopów, a po ulicach jeżdżących wozów drabiniastych. Już nie skosztujesz chleba z prawdziwego, domowego piekarnioka. Szkoda.

Są jednak rolnicy i są żniwa. Jest także żniwne – nie wiem dlaczego dzisiaj nazywane „dożynkami”. Warto i trzeba koniecznie podtrzymywać piękną tradycję święta plonów. Trzeba też wzorem naszych ojców i dziadów pamiętać, że najważniejszą częścią dożynek jest dziękczynienie składane Bogu u stóp ołtarza. To pocieszające, że Koszęcin pamięta o tej sprawie i o słowach pięknej pieśni żniwnej – „Boże z Twoich rąk żyjemy, choć naszymi pracujemy”.

Cicha noc, święta noc...

*Wszystko śpi, atoli czuwa Józef i Maryja,
Niech więc Boska ich Dziecina
W błogim spokoju śpi, w błogim pokoju śpi*

Nadszedł cudowny czas świętowania Bożego Narodzenia. Już od ponad dwóch tysięcy lat cały chrześcijański świat czci tę wielką rocznicę, która rok rocznie zapiera dech w piersiach, i tym najmniejszym, i tym, którzy „na tym łąz padole” przeżyli już swoje lata. Boże Narodzenie jest świętem dla wszystkich: dla biednych i bogatych, dla uczonych i prostaczków, dla zdrowych i schorowanych. Jest czasem błogosławionym dla wierzących i „niepraktykujących”. Także ateści – szczególnie ci mieszkający pod polskim niebem – cieszą się „po cichu” z Chrystusowego Narodzenia, poddając się – jak to czasem mówią – „polskiej tradycji”.

W wigilijny wieczór zapalą się w naszych domach światła na przystrojonych choinkach, a w pięknych stajenkach – na Śląsku zwanych „betlejemkami” – ustawimy Świętą Rodzinę, pasterzy i Trzech Mędrców³.

3 Przypomnijmy, że stajenkę zawdzięczamy św. Franciszkowi. Prawdopodobnie także choinka została wymyślona przez „biedaka” z Asyżu.

Każda prawie polska rodzina zasiądzie do wigilijnego stołu nakrytego białym obrusem, aby podzielić się opłatkiem, tą symboliczną komunią jedności i wiary. Uświęcone polską tradycją jest także wolne miejsce przy stole. Pomyślmy w ten wieczór o tych wszystkich, których dotknęła „polska bieda”, którzy nie mają często ani domu, ani stołu, ani choinki, ani prezentu pod nią. Pomyślmy o nich, i jeśli możemy, pomóżmy im przeżyć święta, podzielmy się z nimi opłatkiem i przysłowiową kromką chleba.

Pośrodku tej Świętej Nocy skrzyknijmy się wszyscy słowami starej kolędy *Pójdźmy wszyscy do stajenki*, aby wspólnie w Bożym Domu przywitać Nowonarodzonego. Polska liturgia bożonarodzeniowa, polskie kolędy i nasze kolędowanie są niepowtarzalne. Jakże pięknie łączą się w nich wątki religijne z patriotycznymi. Szczególną polską kolędą jest *Bóg się rodzi*. Niech dwie strofy tego hymnu – pierwsza i ostatnia – zakończą moją krótką refleksję nad nocą, w której narodzi się Bóg-człowiek.

*Bóg się rodzi, moc truchleje
Pan niebiosów obnażony,
Ogień krzepnie, blask ciemnieje
Ma granice Nieskończony:
Wzgardzony okryty chwałą,
Śmiertelny Król nad wiekami;
A Słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami.*

*Podnieś rączkę, Boże Dziecię!
Błogosław krainę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie,
Wspieraj jej siłę swą siłą,
Dom nasz i majątność całą
I wszystkie wioski z miastami;
A Słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami.*

Zbliża się czas Wielkiego Postu

Gorzkie żale, przybywajcie...

Nasz cykl rozmyślań nad mową naszych przodków rozpoczęliśmy od języka gwarowego. Następny artykuł był poświęcony „mowie” naszych rodzimych poetów, zaś dzisiaj chciałbym zwrócić uwagę czytelnika na fenomen pieśni religijnej, na jego poetykę i niepowtarzalne teksty.

W starym, prawie 150 lat liczącym modlitewniku – *Dostateczny śpiewnik kościelny i domowy* – wydanym u T. Zalewskiego w niemieckich Piekarach w 1848 roku, znalazłem rozdziałik zatytułowany „Pieśni polskie”, który zainspirował mnie do napisania tego felietonu.

W drugiej połowie XX wieku zrodził się w muzyce, a właściwie w śpiewie, nowy kierunek nazwany poezją śpiewaną. Wybitni twórcy, korzystając z dzieł

poetów, „dorabiają” do ich utworów muzykę, zaś artyści-spiewacy, w swoisty, śpiewany sposób recytują tę twórczość.

Pomyślałem sobie: przecież w Kościele już od wieków śpiewamy poezję najznakomitszych twórców. Szczególnie polskie utwory religijne są zarówno w treści, jak i w muzyce najwspanialsze, bo też ich twórcy zapisali się złotymi zgłoskami w naszej literaturze. Wystarczy wspomnieć chociażby Jana Kochanowskiego z jego hymnem *Czego chcesz od nas, Panie...*, czy też Franciszka Karpińskiego z jego pieśnią poranną *Kiedy ranne wstają zorze* i pieśnią wieczorną *Wszystkie naszeienne sprawy*.

A co dopiero mówić o nieszporach z licznymi wspaniałymi hymnami, które rozpoczynają się słowami „Rzekł Pan do Pana mego łaskawym”. Jesteśmy obecnie w czasie Wielkiego Postu i mamy możliwość uczestniczyć w najpiękniejszym, śpiewanym nabożeństwie *Gorzkie żale*. Te wspaniałe utwory znajdują się już we wspomnianym śpiewniku, co znaczy, że śpiewano je na Śląsku co najmniej 150 lat temu. Chyba Kościół nie posiada piękniejszych słów wyrażających żal i ból, nie ma chyba piękniejszej modlitwy wielkopostnej i wspanialszej poezji śpiewanej od *Gorzkich żalów*. Wystarczy wspomnieć początek niektórych hymnów: „Rozpłynięcie się me żrenice...”, „Płaczą rzewnie aniołowie...”, „Uderz Jezu, bez odwłoki w twarde serc naszych opoki...”.

Cały rok liturgiczny jest w naszej kulturze chrześcijańskiej, szczególnie w Kościele katolickim, naznaczony pieśnią i zawartą w niej poetyką. W okresie Bożego Narodzenia śpiewaliśmy: *Anioł pasterzom mówił...*, *W żłobie leży, Bóg się rodzi* i tyle innych wspaniałych polskich kołęd. W czasie Wielkiego Postu śpiewamy: *Wisi na krzyżu, Jużem dość pracował, Ach mój Jezu, jak Ty kłęczysz*. W pięknym okresie Wielkanocy zaśpiewamy: *Wesoły nam dzień dziś nastał, Wysławiamy Chrysta Pana, Zwycięzca śmierci, piekła i szatana*. A pieśni maryjne: *Serdeczna Matko, Nie opuszczaj nas, Gwiazdo śliczna wspaniała, Pod Twój płaszcz się uciekamy, My chcemy Boga*.

Jest jeszcze ogrom innych wspaniałych pieśni, które śpiewamy od pokoleń w naszych kościołach: suplikacje – *Święty Boże, Święty Mocny, Kto się w opiekę odda Panu swemu, Ciebie Boże wielbimy*, nazywany też śląskim *Te deum*. I jeszcze inne pieśni, nazywane kiedyś mszalnymi – *Co nam nakazuje nasza wiara, Boże, sędzio sprawiedliwy*.

Wspomnieliśmy tylko małą część pieśni religijnych, które są obecne w naszych świątyniach i naszych domach od wieków. Przetrwały tylko dzięki temu, że są niepowtarzalne, że tworzyli je ludzie wielkiego talentu i głębokiej wiary. Te pieśni, to już od dawna swoista klasyka śpiewu liturgicznego. Wiele z tych utworów znajduje się w programach i podręcznikach szkolnych, zaś

księgi, w których znajdują się pierwodruki tych tekstów, przechowywane są pieczołowicie w archiwach kościelnych i bibliotekach uniwersyteckich. Chciałbym podziękować naszym księżom za to, że nie „zmodernizowali” naszych pięknych śląskich i koszęcińskich tradycji religijnych, za to, że mamy możliwość śpiewać na nabożeństwach pieśni naszych ojców i dziadów. Szczególnie zaś należy dziękować za to, że w Koszęcinie przetrwały *Nieszpory* i *Gorzkie żale*. Nasz papież na audyencji wielkopostnej powiedział: „Łączę się z Wami, drodzy Rodacy w tym najpiękniejszym nabożeństwie *Gorzkie żale*”. Myślę, że słowa Ojca Świętego należy głośno powtórzyć w Koszęcinie i w innych kościołach, tam gdzie te piękne nabożeństwa przetrwały i trwają, i „zarazić” inne wspólnoty tym, co w polskim Kościele jest takie piękne i ważne.

Święci Jan i Paweł – patroni Koszęcina

W dniu 26 czerwca Koszęcin obchodzi swoje Święto Gminne, w którym czczeni są od wieków patroni naszej miejscowości – święci bracia Jan i Paweł. Nie wiemy dokładnie od kiedy nasi przodkowie obrali świętych męczenników za swoich przedstawicieli u Boga, ale z całą pewnością ich kult w Koszęcinie – podobnie jak w wielu innych miejscowościach na Śląsku, także w innych krajach – sięga głęboko w historię Kościoła, być może do III wieku, kiedy to uśmiercono świętych męczenników. Tradycja tego święta była u nas żywa od pokoleń i upływających wieków. Zawsze nasi ojcowie, dziadowie i wcześniejsze pokolenia mówiły: że czcimy to święto od pradziejów, „od zawsze”. 26 czerwca nikt w Koszęcinie i w okolicy nie miał się żadnej pracy, wszyscy świętowali. Wcześniej, kiedy nie istniał jeszcze kościół NSPJ, msze święte w tym dniu odbywały się w kościele pałacowym, który mocą fundacji był zawsze – od jego wybudowania (1609) do poświęcenia świątyni (1646) i wybudowania w 1908 roku kościoła NSPJ – katolickim kościołem parafialnym. Koszęcin także od wieków posiadał duży i piękny artystycznie obraz przedstawiający św. Jana i Pawła, który przechowywano w kaplicy pałacowej⁴. Wiemy, że od czasu wybudowania kapliczki na Słupiskach, prawdopodobnie w połowie XVIII wieku, lud po nabożeństwie w kościele obnosił procesyjnie obraz ulicami – małego wówczas Koszęcina – na to, topograficznie najwyższe w miejscowości miejsce i pozostawiał go w kapliczce „na Słupiskach”.

4 „Duży obraz do noszenia ze św. Janem i Pawłem” istniał w spisie przekazania w 1908 roku sprzętu liturgicznego i sztuki sakralnej z kościoła pałacowego do nowej parafii.

„Słupiska” są znane od czasów właściciela Koszęcina – hrabiego von Sparweina (1568–1576), który w tym miejscu urządził miejsce kaźni dla swych poddanych. Do wbitych w żwirowatą ziemię słupów (stąd „Słupiska”) przywiązywano wycieńczonych ludzi skazując ich na niechybną śmierć. Za swe nieludzkie czyny cesarz wydziedziczył hrabiego, zabierając mu cały majątek. Na koszęcińskiej Golgocie postawiono najpierw krzyż, a w późniejszych latach kapliczkę, poświęcając ją patronom Koszęcina św. Janowi i Pawłowi. Od pierwszych lat XX wieku szlak procesji rusza od kościoła NSPJ na Słupiska. Józef Ulfik napisał w swojej kronice *Dzieje Koszęcina* takie zdanie: „Koszęcin będzie istniał, dopóki mieszkańcy będą czcili swoich patronów Jana i Pawła”. Ale chyba ta przestroga nie waży na naszej wierności Kościołowi i naszym patronom. Jesteśmy – cały Koszęcin i obie dzisiejsze parafie koszęcińskie – wierni naszym bogatym tradycjom religijnym, i tak jak przed laty i przed wiekami, podążamy w dniu naszych patronów utartym szlakiem, z kościoła na Słupiska. Od kilkudziesięciu lat – kiedy to skradziono z kapliczki na Słupiskach nasz wiekowy skarb – obraz z podobiznami naszych patronów – niesiony jest nowy obraz ufundowany przez anonimowych darczyńców. Ośmielam się postawić hipotetycznie datę wyboru na patronów Koszęcina św. Jana i Pawła na rok 1720. Wtedy to Koszęcin spotkało wielkie nieszczęście. Jak dowodzi w swojej pisanej niemieckim gotykiem *Historii kościoła Trójcy Świętej* proboszcz Sadowa ks. Jezierski: „straszna burza zniszczyła pierwotny kościół, roznosząc belki po całym lesie”. Myślę, że to nieszczęście spowodowała „trąba powietrzna”. Koszęcin narzekał w różnych czasach historycznych na wielkie niepogody, powodzie i klęski żywiołowe, ale ta, która zniszczyła nasz święty przybytek poświęcony Trójcy Przenajświętszej, była największym nieszczęściem. Postanowiono więc oddać się w opiekę św. Jana i Pawła, nazywanych *Wetterheilige* albo *Gewitterheilige*, aby oni czuwali nad naszym bezpieczeństwem. Ten wybór nie zawiódł naszych przodków, ani nas – potomnych. Niech zatem Bogu będą dzięki.

26 czerwca – Święto Gminne Koszęcina **Galilejczyku, zwyciężyłeś!**

W dawnych czasach każda, nawet najmniejsza miejscowość na Śląsku, stanowiła oddzielną gminę posiadającą własną autonomię, swoje władze i pieczęć gminną. Na pieczęci Koszęcina, oprócz napisu widniała pila – znak leśnej pracy. Prawie każda miejscowość miała również swoich patronów, których

mieszkańcy w szczególny sposób czcili. Święto Gminne było świętem całej miejscowości, świętem lokalnego Kościoła. Wtedy nikt – nawet innowierca nie pracował. Lud spędzał czas na modlitwie i świętując odpoczywał po trudach dnia codziennego. Większość koszęcińskich rodzin do dnia dzisiejszego nie ima się w tym dniu żadnej pracy.

Nie wiemy dokładnie, w którym wieku Koszęcin obrał sobie za patronów św. Jana i Pawła. Przypuszczać można, że miało to miejsce może już w 1576 roku, kiedy to cesarz niemiecki odebrał majątek ówczesnemu właścicielowi Koszęcina – hrabiemu Sparweinowi. Ten okrutny pan, który panował tu w latach 1568–1576 urządził na „Słupiskach” – w miejscu, gdzie co najmniej od dwóch wieków stoi kapliczka patronów Koszęcina – swoistą golgotę, skazując tam wielu naszych przodków na męki, tortury i śmierć. Od niepamiętnych czasów, w dniu 26 czerwca koszęcinianie chodzą procesyjnie z obrazem swoich patronów do kapliczki przy ulicy Boronowskiej.

Dlaczego właśnie Jan i Paweł byli tak ważnymi postaciami dla naszych praojców? Nietrudno to zrozumieć studiując biografie świętych braci, którzy żyli na przełomie III i IV wieku po Chrystusie. Pochodzili z bardzo bogatej rodziny i oboje piastowali wysokie urzędy u córki cesarza Konstantyna, który był bardzo łaskawym panem dla prześladowanych od trzech wieków chrześcijan. To właśnie on nadał religii katolickiej charakter narodowy. Jednak po śmierci cesarza, kiedy na tron dostał się jego bratanek Julian, prześladowania rozpoczęły się na nowo. Wtedy to Jan i Paweł rozdali swój majątek ubogim i udali się do Rzymu, aby prosić władcę o tolerancję dla chrześcijan. Jednak nowy cesarz chcąc ich zjednać do służby na swoim dworze, dał im dziesięć dni czasu do złożenia ofiary bożkom pogańskim. Bezskutecznie. Wysłano więc żołdaków pod komendą oficera Terencjusza, którzy pojawszy braci, zabili ich i wrzucili do lochu. Miejsce śmierci Jana i Pawła słynęło cudami, a wielu oprawców nawracało się. Cesarz Julian, który w wieku 32 lat został śmiertelnie ranny w bitwie z Persami, na krótko przed śmiercią zawołał: „Galilejczyku, zwyciężyłeś!”.

Święci Jan i Paweł są symbolem wierności Kościołowi, a dla nas koszęcinian, są od wieków orędownikami u Boga. Stara koszęcińska legenda mówi, że dopóki będziemy czcili naszych świętych patronów, błagając ich o wsparcie u Boga, dopóty Koszęcin będzie obdarowywany szczęściem, jeśli będzie inaczej to...? Dlatego – drogi współmieszkańcu Koszęcina – przyjdź w Święto Gminne, dnia 26 czerwca na wieczorne nabożeństwo do kościoła NSPJ, aby później, gdy już zapadnie zmierzch, odprowadzić ze świecą w ręce wiekowy obraz naszych patronów do kapliczki na Słupiskach.

Jest wiele serc

Święto Gminne patronów Koszęcina św. Jana i Pawła miało w tym roku szczególny scenariusz. Już od kilku miesięcy trwały intensywne przygotowania do tego dnia, zaś 26 czerwca dla niektórych organizatorów rozpoczął się o świcie, a zakończył przed północą.

„Udało wam się”, „To była wspaniała impreza!”, „Róbcie takie coś częściej” – takie pochlebne zdania słyszało się przez cały świąteczny dzień. Te słowa dla wielu utrudzonych organizatorów były jedyną „zapłatą” za godziny, dni i tygodnie ofiarnej pracy. Ale przecież oni więcej nie chcieli, pragnęli tylko, aby się udało, aby współparafianie odpoczęli, aby świętowali tak jak należy, aby ten koszęciński dzień poświęcili Bogu i sobie. Może to jednak nie cała prawda? Chcieli także coś zarobić. Nie dla siebie, dla innych, dla dzieci, dla tych dzieci, których oczy są czasem wilgotne, dla tych dzieci, których my starsi pozbawiamy dzieciństwa. I ta sprawa się udała. Wiele dzieci będzie miało trochę dzieciństwa, odpoczną w górach, a świetlica będzie także funkcjonowała nadal.

To był również pogodny dzień, rozpoczęty mszą świętą dla dzieci o godzinie dziewiątej. Później uroczystie poświęcono plac zabaw przy KCK, w którym także otwarto wystawy plastyczne dzieci. 300 kolorowych kart opowiada artystycznie o pladze pijaństwa, o zabytkach i o „Wakacjach z Bogiem”. Plac zabaw poświęcił ks. proboszcz T. Fryc, a później zjeżdżalnię i huśtawkami zawładnęły dzieci. Okazało się, że „tego” od lat brakowało w Koszęcinie, chyba zapomniano, że dzieci mają także takie potrzeby. Chwała tym, którzy zbudowali dzieciom to miejsce wypoczynku i zabawy. O godzinie jedenastej ruszył z placu kościelnego barwny korowód prowadzony ulicą ks. Gąski do już prawie zapomnianego gminnego parku. Na czele szły kolorowo ubrane dzieci z reklamowymi hasłami firm koszęcińskich kupców, rzemieślników i innych ofiarodawców. Później jeźdźcy na koniach, bryczka z „przewielebnymi” i wielu uczestników parafialnego festynu. W parku czekały już... kielbaski z rożna, kołaczki, kawa i różne ciastka, lody, wata cukrowa; jednym słowem – taka odpustowa mozaika, a także wielki asortyment słodczy i napojów „bezprocentowych”. Było wiele imprez sportowych, konkursów zręcznościowych i zabaw, występy artystyczne i popisy śpiewacze w konkursie piosenki. Powodzeniem cieszyły się międzyparafialne zawody w piłce nożnej i w innych dyscyplinach sportowych zarówno dzieci, jak i dorosłych, wygrywane raz przez „górną”, raz przez „dolną” parafię, przy czym lepsi byli

jednak parafranie Trójcy Świętej. Ale przecież była to tylko dobra zabawa, trwająca bez przerwy do godziny osiemnastej. Po dwugodzinnej przerwie wiele ludzi z obu koszęcińskich parafii przyszło na świąteczną Eucharystię, aby później około godziny dwudziestej pierwszej odprowadzić obraz naszych patronów do kapliczki na Słupiskach. I było zaskoczenie. Słońce, które nam cały dzień towarzyszyło schowało się za horyzont, a z zachmurzonego nieba padał deszcz. Ale prawie wszyscy szli na Słupiska.

Było nas dużo, zarówno w kościele jak i na festynie, w przyszłym roku będzie jeszcze więcej. Bo w „Jana i Pawła” Koszęcin ma świętować, modlić się i odpoczywać.

Drogi czytelniku! Nie znajdziesz w tym tekście nazwisk, ani nazwisk tych, którzy święto organizowali, ani tych licznych, którzy je wspierali materialnie, ani nawet tych, którzy powinni być, a nie przyszli... mimo zaproszeń. Pierwszym i drugim nie trzeba pokłasku, oni po prostu okazali serce, poświęcili swój czas, wiedzę i środki dla dobra innych, wspomogli słabszych i biedniejszych. A ci, którzy powinni w święcie uczestniczyć (bez żadnych zobowiązań) a nie przyszli – nie zasługują na wzmiankę.

Tegoroczne Święto Gminne Koszęcina przeszło do historii, zostanie w dobrej pamięci bardzo licznej części koszęcinian.

Penetracja grobowców w kościele pałacowym

W proch się obrócisz!

Każde, nawet najciekawsze, najbarwniejsze i najbogatsze życie ma swój kres.

Mówi się, że właściwie jedyną sprawiedliwością na tym świecie jest śmierć.

Na przestrzeni lat i wieków zapełniają się cmentarze i inne miejsca pochówku. Podobno co dwanaście sekund umiera człowiek. Biedniejsi spoczywają na wieki w skromnych mogiłach, bogatszych i bardziej znaczących grzebie się w grobowcach i kryptach, ich groby przyozdabia się bogato zdobionymi nagrobkami i epitafiami, a ich ciała spoczywają w metalowych trumnach.

Kilka dni temu całą Polskę obiegła – poprzez telewizję i prasę – wiadomość o penetracji grobowców znajdujących się w koszęcińskim kościele pałacowym. Naukowcy z krakowskiego oddziału PAN, wyposażeni w nowoczesną aparaturę przebadali podziemia liczącego prawie 400 lat kościoła. Ta akcja to planowy etap prac konserwatorskich tego sakralnego obiektu, któremu słusznie – także za moją namową – dyrekcja zespołu „Śląsk” przywraca dawny historyczny wygląd architektoniczny.

Dzięki życzliwości tej dyrekcji i innych kompetentnych osób, mam przyjemność uczestniczyć bezinteresownie w tych ciekawych pracach dotyczących przeszłości Koszęcina. Staram się też od wielu lat o ochronę miejsc i obiektów zabytkowych, w tym szczególnie o godność naszego kościoła pałacowego. Ale dzisiejszy „spacer” nie o tym będzie. Dzisiaj wybierzemy się na drogę, która każdego – bogatego i biednego, uczonego i prostaczka, cwaniaka i sprawiedliwego prowadzi do innego bytu, do wieczności. Dzisiaj chciałbym iść razem z czytelnikiem za słowami poety, który powiedział: „Trudne pisma na nagrobkach mało kto z nas czyta. Dziecko wskaże na mogiłę, a czyjaż to spyta?”. W dzisiejszym moim artykule chciałbym dać odpowiedź na następujące pytanie: „A czyje to mogiły znajdują się w podziemiach koszęcińskiej kaplicy pałacowej?”.

Podczas różnych, amatorskich – ale skutecznych badań archiwaliów, głównie kościelnych oraz niemieckojęzycznych materiałów historycznych ks. Karola Urbana – mogę w sposób chronologiczny ustalić nazwiska i rody właścicieli Koszęcina, którzy w kościele pałacowym znaleźli miejsce wiecznego spoczynku. Jednak dokładne miejsca pochówku do końca XVIII wieku nie są znane. Wiemy tylko tyle, że poprzez apsydę prowadziło wejście do dawnych grobowców. Na starym planie przyziemia kaplicy jest napis: *Eingang in die Gruft*⁵. Wiadomo z przekazów osób kompetentnych, mieszkających dzisiaj poza granicami Polski, że ostatni pan na Koszęcinie Karol Gotfryd zu Hohenlohe-Ingenfingen kazał pod koniec 1944 roku – na krótko przed opuszczeniem na zawsze Koszęcina i swych licznych dóbr – zamurować apsydę i wejście do grobowców. W naszej kaplicy pałacowej apsyda usytuowana jest od północy i należy do najpiękniejszych architektonicznych części obiektu. W środku znajdują się piękne kolumny, sklepienie hemisferyczne i nisze w ścianach przeznaczone kiedyś na figury. Do 1908 roku stał tam piękny, drewniany ołtarz św. Józefa.

W starych, nieodkrytych do dziś grobowcach, spoczywają bardzo znani i cieni kiedyś daleko poza Koszęcinem, a nawet poza granicami kraju właściciele Koszęcina m.in.: Mikołaj Filip von Rauthen – krewniak króla Jana III Sobieskiego, który panował na Koszęcinie w latach 1647–1693 roku, zięć Rauthena – Jerzy Sobocki i jego żona Anna Zuzanna, spoczywają tam następne pokolenia tego rodu – Karol Henryk Sobocki, Rudolf Sobocki i jego syn Henryk II Sobocki – założyciel słynnego teatru pałacowego, a także ich rodziny.

5 Tłum. „wejście do grobowców”.

Znamy – i to w sposób dokładny – grobowce rodu Hohenlohe-Ingenfingen, które znajdują się w części prezbiterialnej kaplicy pałacowej. Spoczywa tam założyciel koszęcińskiej linii Hohenlohych – generał artylerii, wielki teoretyk wojskowości oraz Prezes Izby Panów, a później – przez krótki okres – kanclerz Prus, który tę władzę przekazał Bismarckowi, spoczywa tam syn Adolfa – Fryderyk Wilhelm, także generał i adiutant samego cesarza oraz jego o 26 lat młodsza żona Anna, matka ostatniego pana na Koszęcinie. Pochowani zostali tam również: brat Fryderyka, zdegradowany generał Karol i siostra Luiza oraz przedwcześnie zmarłe dzieci tego rodu. Niedane było spocząć tu – ze względu na wojnę i nietolerancję powojenną – Karolowi Gotfrydowi, mimo że wybudował sobie grobowiec i zawiesił nad nim piękne epitafium ze wszystkimi personaliami za wyjątkiem daty śmierci. Umarł na przysłowiowym wygnaniu w 1960 roku i pochowany został na katolickim cmentarzyku w małej miejscowości Kraubath w austriackiej Styrii.

Kończąc ten smutny „spacer” po miejscu, gdzie spoczywają prochy dawnych właścicieli Koszęcina, ogarnia mnie smutek, że właśnie najlepszemu z nich, o którym nasi przodkowie mówili „dobry *Prinz*”, który wybudował nam wspaniały kościół NSPJ, który zostawił nam i naszej Małej Ojczyźnie tyle dóbr materialnych, który do końca swoich dni wspierał materialnie tych, którzy na jego dobrach pracowali, że właśnie on musiał spocząć na obcej ziemi. Myślę sobie również: A może by tak w 2000 roku sprowadzić małą urnę z prochami naszego księcia i pochować ją godnie w pustym do dziś grobowcu? I jeszcze jedno: „Ale nie deptacie przeszłości ołtarzy!”, kościół pałacowy to sakrum swoistego rodzaju i wchodząc tam należy przysłowio- wą czapkę zdjąć, aby uszanować to miejsce i tych, którzy tam spoczywają. Myślę, że już nigdy nie wpadnie nikomu do głowy myśl, aby powtórzyć to, co „ćwiczone” tam w latach powojennych w części, gdzie kiedyś stał ołtarz. Myślę także, że tam już nigdy nie będzie magazynu strojów. Kościół pałacowy to bowiem wielkie sakrum Koszęcina.

Drogą życia... do Trójcy Świętej

Jest w roku taki szczególny dzień, w którym każdy z nas rozmyśla o ludzkim przemijaniu. Także listopadowa pogoda – często mglista i deszczowa – pogłębia te nastroje. Pierwszego listopada udajemy się wszyscy na usłane krzyżami cmentarze, aby na grobach bliskich i znajomych zapalić znicze – symboliczne ognie łączności z tymi, którzy odeszli na zawsze.

Dzień Wszystkich Świętych wrosnięty jest głęboko w tradycje chrześcijaństwa i sięga swym rodowodem początków VII wieku. To wielkie święte zawdzięczamy papieżowi św. Bonifacemu IV. Panował on w stolicy apostolskiej od 25 lipca 608 roku do 8 maja 615 roku i zaraz na początku swego pontyfikatu uświęcił dla kultu chrześcijańskiego pogańską świątynię Agrypy – słynny Panteon. W przeddzień tej uroczystości, przeniesiono z katakumb rzymskich wielką ilość relikwii świętych męczenników, układając je na bogato wystrojonych ścieżkach, a w następnym dniu pochowano je w świątyni, która odąd stała się miejscem kultu Najświętszej Marii Panny i świętych męczenników za wiarę. Od tego pamiętnego dnia, corocznie obchodzono w tej świątyni dzień „Wszystkich Świętych”, zaś papież Grzegorz IV ustanowił dzień pierwszego listopada jako święto obowiązujące w całym Kościele katolickim.

Dzień pierwszego listopada uczy szacunku do ludzkiego przemijania, zaś Kościół nakazuje, aby w tym dniu w sposób szczególny czcić Świętych Pańskich. Dzień ten, jak żaden inny, przypomina człowiekowi o ludzkiej bezradności wobec majestatu śmierci, przypomina o odwiecznej drodze prowadzącej każdego, począwszy od kołyski drogą ku wieczności.

Stary, liczący ponad 400 lat koszęciński cmentarz przy „Trójcy”, zapełnia się każdego roku w tym dniu po brzegi ludźmi przychodzącym tu z bliska i z daleka. Tak będzie i w tym roku. Prawie na każdym grobie zapłoną znicze, które wieczorową porą zaświecą ognistą łuną. Na tym szczególnym dla nas wszystkich miejscu, spoczywają prochy znanych i nieznanych, prochy tych, którzy odeszli przed wiekami i tych, których może wczoraj tu pochowano. Staniemy w zadumie nad mogiłami naszych najbliższych, których jeszcze ciągle oplakujemy, pochylimy także głowy nad grobami krewnych, znajomych, sąsiadów. W najstarszych zachowanych grobach na koszęcińskim cmentarzu spoczywają księża: kuratus, a właściwie pierwszy proboszcz Koszęcina – ks. Karol Dietrich († 1882), i kapelan pałacowy ks. Karol Denisch († 1848). We wspólnej mogile złożono prochy dziewięciu żołnierzy „września”, którzy padli w pierwszym dniu wojny w 1939 roku. Z pewnością najstarszym miejscem pochówku jest część prezbiterialna kościółka Trójcy Świętej, w której podziemiach pochowano 50 dobrodziejów kościoła. W nawie głównej znajduje się grobowiec nieznanej osoby, zaś pod wieżą spoczął w 1724 roku budowniczy aktualnego kościoła Jakub Ridzinger. Stara płyta nagrobna Katarzyny Skalowej – odnaleziona w 1972 roku – zdeponowana jest w kaplicy cmentarnej.

Cmentarz przy kościele Trójcy Świętej nie jest jedynym miejscem wiecznego spoczynku w Koszęcinie. Do czasu zakończenia II wojny światowej istniał

w parku, w pobliżu Sroczej Góry, cmentarz ewangelicki. Ostatnim po-
grzebem na tym miejscu był pochówek niemieckich żołnierzy poległych
19 stycznia 1945 roku w Koszęcinie, którym odmówiono miejsca na cmen-
tarzu przy kościele Trójcy Świętej. Podczas wojen, wielkich epidemii dżu-
my i cholery, które dziesiątkowały miejscową ludność, zmarłych grzebano
na „Żydowinie” i w innych, dziś już nieznanych miejscach.

Dzień Wszystkich Świętych i następujący po nim Dzień Zaduszny to także
dni pamięci o tych, którzy spoczywają z dala od bliskich, na nieznanych
polach bitewnych i na obcej, nieznanej ziemi. Koszęcin ma wiele takich,
anonimowych grobów, bowiem z naszej miejscowości poległo w dwóch
ostatnich wojnach światowych prawie trzystu mężczyzn. Dla nich również
zapalimy znicze pamięci na tradycyjnym miejscu przy krzyżu stojącym
obok kościółka.

Za wszystkich, którzy wyprzedzili nas na drodze ku wieczności, za tych
nad których mogiłami pochylimy czoła, ale także za tych, których groby
są z dala od nas, albo których prochy nie mają określonego miejsca, zmó-
wimy *Ojciec nasz*. Pamiętajmy w tych dniach zadumy szczególnie o drodze,
która prowadzi nas od urodzenia ku śmierci, o drodze, która wiedzie ku
koszęcińskiej „Trójcy”.

Peregrynacja obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w Koszęcinie

Zbliżająca się piękna, religijna uroczystość powitania i goszczenia w koszęciń-
skiej parafii NSPJ kopii cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej
będzie wydarzeniem, które wpisze się na trwałe do kronik kościelnych
i do historii Koszęcina.

Także łączące się z tą uroczystością misje święte to niewątpliwie wydarzenie
epokowe dla parafialnej wspólnoty.

Warto przy tej niecodziennej okazji wspomnieć o bogatych tradycjach ma-
ryjnych Koszęcina, które sięgają głęboko w minione wieki. Wystawiony
w roku 1609 kościół pałacowy przez A. Kochcickiego pw. Wniebowzięcia
NMP był – jak mówią zapisy kronikarskie – miejscem wielkiego nabożeń-
stwa do Matki Boskiej. Niemieckie źródła podają, że przed ołtarzem Matki
Boskiej w kościele pałacowym modliła się królowa Marysieńka Sobieska
oczekująca w Koszęcinie u swego krewnego hrabiego Rauthena przez trzy
tygodnie powrotu króla z Odsieczy Wiedeńskiej. Tu posługiwali liczni

kapelani pałacowi wywodzący się z jasnogórskiego zakonu paulinów, choćby wymienić: o. Norberta Kotosa (1724–1726), o. Franciszka Malachiasa (1744–1749), o. Iwo Wentricha (1751–1754), czy też oo. Eryka Zeisgerbera, Barnabę Piaseckiego i Henryka Mutschwilla, którzy w latach 1777–1784 opiekowali się kaplicą pałacową i z pewnością szerzyli głęboki kult do Matki Boskiej Częstochowskiej.

Także miejsce, na którym stanął w 1908 roku kościół NSPJ, było głęboko związane z kultem maryjnym. Stała tutaj mała kapliczka z wiekową figurą Matki Boskiej, którą nasi praojcowie darzyli szczególnym kultem i nabożeństwem.

Również kościół Trójcy Świętej związany jest głęboko z tradycją maryjną. Śledząc niepowtarzalną historię kościoła i cudowności miejsca, na którym już w XV wieku stanął pierwszy (a może kolejny?) kościół, spotykamy się z wielkim nabożeństwem do Bogarodzicy. Stojąca w centralnej części ołtarza głównego wspaniała pod względem artystycznym *Pietà* z 1510 roku jest niewątpliwie synonimem tego nabożeństwa. W tym samym kościele, z lewej strony drzwi wejściowych, wisi liczący 300 lat obraz różańcowy przedstawiający Matkę Boską w otoczeniu świętych dominikańskich z 15 scenami z nowego testamentu. Obraz ten namalowany zapewne przez dominikanów z Borowa jest świadectwem odwiecznego przywiązania koszęcinian do modlitwy różańcowej.

I na koniec tych rozważań wróćmy do czasów bardziej współczesnych. Otóż, 70 lat temu, w roku 1926 Związek Matek Polek prowadzony przez ząną gospodynię (w nawiasie powiem – moją babcię) Annę Dreszer, pod duchowym kierownictwem ks. proboszcza Waltera Gąskę i aptekarkę Stefanię Burzyńską, zamówił w Częstochowie ogromnych rozmiarów złoty obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Poświęcony na Jasnej Górze został przeniesiony przez pielgrzymów do Koszęcina i zawieszony na bocznej ścianie przy ołtarzu głównym.

Proboszcz Wilhelm Pluta, późniejszy biskup i Sługa Boży „wkomponował” obraz w szafie ołtarza głównego tworząc ciekawą kompozycję religijno-artystyczną⁶. Trzeba także wspomnieć o wielkim nabożeństwie do Matki Boskiej wszystkich księży pracujących w Koszęcinie – począwszy od kapelanów pałacowych, proboszczów i wikarych, którzy potrafili w doskonały sposób łączyć bogate tradycje maryjne z aktualnymi potrzebami religijnymi. To dzięki nim mamy grotę maryjną (1950) i liczne rzeźby maryjne, to dzięki

6 Można na przemian oglądać i adorować obraz Serca Jezusowego i Matki Boskiej Częstochowskiej.

nim rokrocznie od dziesięcioleci udajemy się pielgrzymim szlakiem na Jasną Górę, do Piekar, do Lichenia, na Górę Św. Anny, a także do zagranicznych sanktuariów maryjnych.

A teraz, w najbliższy poniedziałek, za wiekowe przywiązanie i nabożeństwo do Matki Boga, Ona sama wybiera się do nas. Niech zobaczy Koszęcin odświętny, bogato wystrojony i rzesze wiernych przygotowanych – poprzez misje święte – na jej przyjście.

ps Jeżeli można, to pragnę w imieniu własnym i licznych parafian serdecznie podziękować ojcom franciszkanom prowadzącym misje święte za wspaniałe kazania, za niestereotypowe przybliżanie Boga, a także – i to szczególnie – za akcenty patriotyczne, za publiczne przyznawanie się do śląskiego rodowodu i podnoszenie godności Ślązaka. Myślę, że apel o pielęgnowanie tradycji i historii naszej Małej Ojczyzny odniesie w Koszęcinie pożądany skutek.

Sto lat kościoła NSPJ w Koszęcinie

Mały, niespełna pięcioletni Koszęcin posiada trzy zabytkowe świątynie: kościół pałacowy (1609), kościół Trójcy Świętej (1724) i kościół NSPJ, który w 2008 roku obchodzi swój stuletni jubileusz i któremu parafia poświęca Rok Jubileuszowy oraz niniejszy kalendarz. Dzieje Koszęcina, które sięgają legendarnych, przedchrześcijańskich czasów, zakodowane bywały w licznych podaniach i opowieściach. Pierwsza historyczna wzmianka o Koszęcinie pochodzi z 1275 roku i dotyczy dziesięciny nadanej przez krakowskiego biskupa Pawła z Przemkowa. Koszęcin zawsze związany był z ziemią śląską, z którą dzielił jej dobre i złe czasy, przynależąc do Polski, Korony Czeskiej, Austrii, Prus i Niemiec. Czerpiąc z różnorodnych kultur budowaliśmy przez stulecia naszą chrześcijańską tożsamość. Koszęcin do 1532 roku był własnością Piastów Opolskich, później panami na Koszęcinie były czeskie, polskie i niemieckie rody szlacheckie – wśród nich: Kochcicy, Rauthenowie, Sobkowie, Sparweinowie, Stöselowie, Hohenlohowie i inni.

Przez długie wieki Koszęcin i 32 okoliczne wioski przynależały do rozległej parafii w Sadowie. Od początków XVII wieku, kiedy wybudowano kościół pałacowy, Koszęcin stał się filią rozciągającej się na powierzchni 220 km² sadowskiej parafii i posiadał własnego kapelana pałacowego. W połowie XIX wieku wspólnota otrzymała kurację, a w roku 1869 samodzielną parafię.

Jednak rozbudowująca się miejscowość – do której przyłączono jeszcze kilka wiosek i przysiółków – potrzebowała większej świątyni. Od połowy XIX wieku koszęcinianie czynili intensywne starania o budowę nowego kościoła, wysyłając liczne petycje zarówno do władz kościelnych jak i świeckich. Jednak o losach nowego kościoła decydował przede wszystkim właściciel Koszęcina. Pod koniec XIX wieku – po śmierci w 1895 roku niezyczliwego katolikom księcia Fryderyka – szesnastoletni wówczas spadkobierca księżę Karol Gotfryd wyraził zgodę na budowę nowej świątyni, stając się równocześnie jej fundatorem. Budowniczym kościoła był pracowity i ofiarny ks. proboszcz Karol Böhm.

Lokalizacja świątyni NSPJ nie była przypadkowa. Do parceli podarowanej przez księcia dokupiono jeszcze działkę, na której stała kapliczka z czczoną figurą Matki Boskiej. W roku 1906 podpisana została umowa budowy świątyni opiewająca na koszt 115 tys. marek. Projekt wykonał Ludwиг Schneider z Opola, który był wybitnym architektem. Zaprojektował już wcześniej ponad 50 obiektów sakralnych, najwięcej na Śląsku. Ogromne koszty budowy pokryto w następujący sposób: księżę Karol ofiarował 60 tys. marek, setki kubików drewna i pół miliona cegieł. Postawił do dyspozycji transport konny i siłę roboczą. Wrocławska kuria przekazała 15 tys. marek, a parafia miała pokryć 30 tys. marek (z których do roku 1923 zapłaciła jedynie 7 tys., pozostałą część „umorzyła” inflacja).

Kościół NSPJ w Koszęcinie budowano w rekordowym tempie – od wiosny 1907 roku do 15 października 1908 roku, kiedy to nastąpiło poświęcenie świątyni. Całą mroźną zimą 1907 roku wożono saniami materiały budowlane, korzystając zarówno z chłopskich, jak i dworskich usług. Później wznoszono mury, wieże i dachy kościoła, wykonując wszystkie prace ręcznie. Pierwsze nabożeństwo w nowym kościele odprawił 15 października 1908 roku budowniczy kościoła ks. proboszcz Karol Böhm. W 1908 i 1909 roku księżę Karol ufundował dla kościoła trzy ołtarze: główny z obrazem Serca Jezusowego i boczne poświęcone św. Józefowi i Matce Boskiej, także ambonę, chrzcielnicę i dwie stalle przeznaczone dla właścicieli pałacu i sióstr zakonnych. Wszystkie te dzieła sztuki wykonała wrocławska firma „Kunsttichlerei” C. Buhla. Organy osiemnastogłosowe zbudował w roku 1917 – kosztem 5400 marek – Hugo Krebs z Opola, zaś freski w apsydzie prezbiterialnej – przedstawiające sceny z życia Chrystusa – wykonał w 1914 roku opolski artysta Otto Konialerski. W późniejszych latach następował dalszy wystrój kościoła – zakupiono duże stacje Drogi Krzyżowej – dzieła artysty wrocławskiego J. Waldeckiego i kilka figur, zamontowano liczne ławy, zelektryfikowano kościół i zakupiono sześć

dzwonów. Księżę podarował także dwie duże figury aniołów, przywiezione wcześniej z Wiesbaden.

Piękny – od 10 lat już zabytkowy – kościół NSPJ w Koszęcinie, to szczególnie relikt wiary naszych przodków. Tutaj bowiem wierni Kościoła katolickiego wspólnie z protestanckim księciem zbudowali sobie i potomnym wspaniałą, neogotycką świątynię. Parafia pamięta o tym wielkim darze postawionym przed wiekiem w trudzie i znoju Bogu i ludziom, pamiętamy także o wielu wielkich remontach przeprowadzanych za proboszczowania ks. prałata T. Fryca. Bogu i ludziom, którzy wzniesli ten przybytek, wspólnota NSPJ będzie dziękować w Roku Jubileuszowym, który rozpoczęto misjami świętymi w październiku 2007 roku, a który zakończy się 15 października 2008 roku.

Historia kościoła Trójcy Świętej w Koszęcinie

Dzieje historyczne

Historia zabytkowego kościoła Trójcy Świętej w Koszęcinie sięga bardzo odległych czasów. Miejsce, na którym stoi dzisiejsza świątynia jest od dawna wspominane jako święty zakątek miejscowości, na którym przez wieki rozgrywały się dzieje legendarne i historyczne związane z wiarą i Kościołem. To tutaj w zamierzonych czasach objawiły się białogłowie Wiktorii – córce młynarza Pudelki – trzy dziecięce postacie uosabiające Tróję Świętą, prosząc o wybudowanie w tym miejscu kościoła.

W starym niemieckim dokumencie z 1830 roku wspomina się, że pierwsza drewniana kaplica miała tu stać już w czasie wprowadzania chrześcijaństwa na ziemi śląskiej. Później wspominany jest drewniany kościółek z 1564 roku, którego budowa przedstawiona jest na ośmiosceniowym obrazie znajdującym się do dnia dzisiejszego w kościele. Ta świątynia została zniszczona przez szalejącą nad Koszęcinem burzę w 1720 roku. Dzisiejszy kościół budował w latach 1720–1724 sprowadzony z Nysy mistrz ciesielski Jakub Ridzinger, który natychmiast po poświęceniu świątyni zajął się budową – opodal niej – zajazdu, w którym dzisiaj mieści się leśniczówka. Niestety, 6 czerwca 1724 roku, spadł z drabiny ponosząc śmierć. Pochowany został w podziemiach wieży dopiero co wybudowanego kościoła. Warto wspomnieć, że dzisiejszy kościół został wówczas znacznie powiększony w stosunku do pierwotnego, który sięgał zaledwie do wysokości kruchty. Nawę kościoła wybudowano na części cmentarza, gdzie znajdowały się groby księży i zakonników.

Architektura i zabytkowe wnętrze kościoła

Kościół Trójcy Świętej w Koszęcinie zaliczany jest do unikatowych zabytków drewnianej architektury sakralnej na Śląsku i w Polsce. Piękno architektoniczne tej świątyni, a także jej wnętrze zauroczyć może zarówno zwykłego śmiertelnika, jak też wytrawnego znawcę architektury i sztuki. Kościół zbudowany jest z drewna, orientowany, jednonawowy, konstrukcji zrębowej na podmurowaniu kamiennie-ceglastym. Prezbiterium trójboczne, zakrystia o stropie belkowanym, nad nią loża kolatorska. Chór muzyczny wsparty na czterech ozdobnych słupach, na nim organy z połowy XIX wieku, albo wcześniejsze. Wokół kościoła otwarte soboty pokryte gontem. Wszystkie dachy i zadaszenia pobite gontem, nad nawą i prezbiterium dachy siodłowe. Dwie wieże: wysoka od zachodu – słupowa, szalowana deskami z kopulastym hełmem, niższa wkomponowana w dach nad prezbiterium, ośmioboczna, przeznaczona na sygnaturkę. Drzwi wejściowe do kościoła od zachodu umieszczone w wieży – w obramowaniu prostokątnym, drzwi boczne od południa i północy zamknięte łukiem, klepkowe, zbite kutymi gwoździami. Wewnątrz kościoła trzy ołtarze: główny – barokowy z pierwszej połowy XVIII wieku z dekoracją bujnego akantu, z bramkami, obok których obrazy alegoryczne. W środkowej części w szafie ołtarzowej duża *Pietà* z 1510 roku. Po lewej i prawej stronie ołtarza głównego stoją odnowione w ostatnich latach dwa XVIII-wieczne ołtarze boczne. Lewy – poświęcony św. Annie Samotrzeciej – z dwiema kręconymi kolumnami, bogatą dekoracją snycerską i rzeźbami św. Barbary i św. Jadwigi. Prawy ołtarz boczny z figurą św. Jana Nepomucena cechuje bogata dekoracja snycerska z motywów roślinnych. W kościele obok lewego ołtarza stoi XVIII-wieczna drewniana chrzcielnica, nad nią zawieszona na ścianie duża płaskorzeźba przedstawiająca Osoby Trójcy Świętej w bogatym obramowaniu snycerskim z motywami bujnego akantu. Obok prawego ołtarza bocznego XVIII-wieczna ambona, nad nią kompozycja Trójcy Świętej złożona z rzeźb Boga Ojca na baldachimie z posążkami dwóch aniołków i gołębic, niżej obraz Chrystusa – Dobrego Pasterza.

Dzieła sztuki sakralnej w kościele Trójcy Świętej

- obraz olejny *Legenda o kościółku Trójcy Świętej i cudach z nim związanych* z datą 1564, anonimowego autora. W dużym prostokątnym obramowaniu osiem scen związanych z budową dawnego kościółka. Pod detalami gotyckie napisy w języku staropolskim – olejny obraz Matki Boskiej Różańcowej z XVIII wieku zawieszony obok lewego

- ołtarza bocznego, przedstawia na planie głównym Matkę Boską w otoczeniu świętych dominikańskich z Różą Limańską. Wokoło obrazu sceny związane z Tajemnicami Różańcowymi. Obraz podarowany prawdopodobnie przez boronowskich dominikanów;
- obraz św. Trójcy z XVIII wieku, ludowy, malowany na desce, wkomponowany w szczytową partię ozdobną ołtarza głównego;
 - dużych rozmiarów obraz olejny św. Barbary z początku XX wieku, zawieszony na ścianie po prawej stronie drzwi wejściowych;
 - olejny obraz *Dwie Maryje* z XVIII wieku, znajdował się dawniej na zawieszeniu szafy ołtarza głównego, zasłaniając na co dzień wiekową, drewnianą *Pietę*;
 - duży olejny obraz św. Dominika z Dzieciątkiem, z początku XX wieku znajduje się na ścianie po lewej stronie chóru muzycznego;
 - epitafium Katarzyny Skalowej z 1602 roku, wykonane z piaskowca, z wykutą czechizmem inskrypcją, wmurowane w ścianę kaplicy pogrzebowej;
 - w kościele znajduje się kilka rzeźb z początku XVI wieku, które w minionych czasach – w liczbie 36 – miały znajdować się na tryptykowym ołtarzu głównym; rzeźby – skradzione bądź zdeponowane w muzeach – przedstawione są w formie wiernych kopii w części prezbiterialnej kościoła;
 - organy z końca XIX wieku (albo wcześniejsze) wykonane bądź remontowane przez organomistrza Pawła Czopka z Olesna, znajdują się na chórze muzycznym;
 - pień legendarnego dębu związanego z objawieniami, znajduje się po lewej stronie ołtarza głównego;
 - szafka z legendarną uzdą i pazurem dużego raka zawieszona jest obok ołtarza św. Jana Nepomucena;
 - na wieży słupowej, gdzie do 1942 roku wisały dwa XVII-wieczne dzwony zabrane przez wojsko, zawieszono w roku milenijnym 2000 – trzy jubileuszowe dzwony, ufundowane przez b. proboszcza Antoniego Rygułę, parafian i państwa Klarę i Edwarda Bambynek.

Cmentarz i dawne miejsca pochówku w kościele

Początki cmentarza rozciągającego się wokół kościoła Trójcy Świętej w Koszęcinie sięgają pierwszych lat XVI wieku. Dawniej grzebano tutaj wiernych Kościoła katolickiego i nielicznych protestantów z kilku pobliskich miejscowości. W 1909 roku książę Karol Gotfryd zu Hohenlohe wybudował w parku

ewangelicki cmentarz, zaś w latach 50. XX wieku usamodzielniała się strzebińska parafia i uruchomiła tam cmentarz. Od tego czasu miejsce pochówku przy „Trójcy” służy tylko Koszęcinowi. Najstarsze zachowane groby kryją prochy kapelana pałacowego ks. Karola Dehnischa (1817–1846) i kuratusa ks. Karola Dietricha (1821–1882). Współcześnie pochowano od północnej strony kościoła czterech księży: ks. Antoniego Dreszera, ks. Antoniego Rygułę, ks. Leszka Irka i ks. Józefa Żurka. Na cmentarzu, od strony wschodniej, znajduje się murowana kapliczka, a w niej studnia ze źródłaną wodą. Dawniej znajdowała się tam ludowa figura św. Jana Nepomucena.

Wewnątrz kościoła w podziemiach prezbiterium pochowano na przestrzeni wieków ponad pięćdziesięciu „dobrodziejów Kościoła”, zaś pośrodku nawy znajduje się grobowiec „dostojnika Kościoła”, a pod wieżą pochowano w 1724 roku budowniczego aktualnej świątyni Jakuba Ridzingera. Sadowskie księgi pogrzebowe – prowadzone w filialnym kościele pałacowym w Koszęcinie od XVII wieku – kryją w sobie wiele tajemnic koszęcińskiego kościoła i cmentarza.

Parafia pw. Trójcy Świętej w Koszęcinie

Mimo, że kościół Trójcy Świętej jest najstarszą z trzech zabytkowych koszęcińskich świątyń, życie parafialne erygowano tu dopiero 10 grudnia 1977 roku. Wcześniej – w 1966 roku – utworzono przy kościele rektorat, powołując na rektora późniejszego, długoletniego proboszcza ks. Antoniego Rygułę (1931–2002). Drugim proboszczem parafii pw. Trójcy Świętej w Koszęcinie był ks. Jan Matla, który ten urząd pełnił od maja 2002 roku do września 2011 roku. Obecnie, od 2011 roku do dzisiaj, proboszczem parafii Trójcy Świętej w Koszęcinie jest ks. Krzysztof Rzeźniczek. Cała trójka księży proboszczów – oprócz powinności duszpasterskich, wiele uwagi, pracy i środków poświęciła dbałości o nasz wspaniały zabytkowy relikw, jakim był, jest i pozostanie kościół Trójcy Świętej w Koszęcinie. W latach 2015–2017 świątynia dzięki generalnemu remontowi całej połaci dachu i ścian bocznych odzyskała – ogromnym kosztem finansowym i wielkim staraniami ks. proboszcza – dawny blask, ale ciągle wymaga dalszych remontów, renowacji i konserwacji.

PS Bliższe i obszerniejsze informacje o historii, architekturze i niepowtarzalnym pięknie zabytkowego kościoła i wspaniałej, unikalnej sztuce sakralnej, znajdują się w napisanej przez Jana Myrcika monografii tego obiektu, noszącej tytuł: *Zabytkowy Kościół Trójcy Świętej w Koszęcinie*.

275 lat kościoła Trójcy Świętej w Koszęcinie

To niewątpliwie wielkie święto dla wszystkich koszęcinian, to także wielki dzień dla obu lokalnych wspólnot Koszęcina. Ale nasza „Trójca Święta” sięga daleko poza terytorium gminy, sięga głęboko w historię i tradycję religijną ziemi śląskiej.

Niedziela 24 października 1999 roku jest zatem świętem co najmniej dekanalnym, a wizyta na uroczystościach J.E. ks. bpa ordynariusza nadaje temu świętu charakteru diecezjalnego.

Kult Trójcy Świętej w Koszęcinie nie rozpoczął się dopiero 275 lat temu, kiedy to wielki mistrz ciesielski Jakub Ridzinger wybudował w miejscu wcześniejszego XVI-wiecznego kościoła – zniszczonego przez burzę – dzisiejszą świątynię. Odnalezione niedawno w archiwum wrocławskim dokumenty mogą „cofnąć” historię pierwszego kościółka, zbudowanego na cudownym koszęcińskim miejscu, do... XII wieku (?). Taką bowiem wiadomość wmurowano w akt erekcyjny budującego się w 1828 roku zachodniego skrzydła koszęcińskiego pałacu. A więc początek chrystianizacji ziemi śląskiej? A więc kult Boga Trójjedynego w Koszęcinie sięga tak odległych czasów? Trzeba by „zbudzić” w ten uroczysty dzień świętowania pokolenia naszych przodków spoczywających na tym wielowiekowym cmentarzu w cieniu naszego kościółka, aby przekonać się jak bardzo wierzyli i ufali Trójcy Świętej. Trzeba posłuchać strof naszego poety Juliusza Ligonia, który przed 130 laty pisał:

*Cieszymy się, mili bracia, że tu w śląskiej ziemi
Sam Pan Bóg miejsce obrał na mieszkanie z nami.
Tylko Go nie oddalmy przez grzechy od siebie,
A On nas będzie zawsze wspomagał w potrzebie.*

Koszęciński kościół Trójcy Świętej stoi w dolinie, otoczony wiekowymi lipami i kasztanowcami, stoi dokładnie w miejscu wskazanym przed wiekami Wiktorii przez trzy dzieciące Istoty Boskie uosabiające Trójcę Świętą, jak to czytamy w starych zapisach i jak to pokazują różne symbole znajdujące się w kościele Trójcy Świętej.

Nasz kościół ma – oprócz religijnego – także bogaty wymiar artystyczny, jest zabytkiem drewnianej architektury sakralnej, a znajdujące się wewnątrz dzieła sztuki wpisane są do skarbnicy narodowych dóbr kultury.

Przypomnijmy jeszcze raz zapis w książce *Sanktuaria polskie* mówiący o naszym drewnianym kościele Trójcy Świętej: „[...] Dawne szczególne nabożeństwo

do Trójcy Przenajświętszej. Odpusty gromadziły tu dziesiątki tysięcy wier-
nych. Do dziś zbierają się tu tysięczne rzesze...”

Niech ta piękna uroczystość jubileuszowa koszęcińskiej Trójcy Świętej będzie
dla nas wszystkich bodźcem do wierności Kościołowi w nadchodzącym
trzecim tysiącleciu chrześcijaństwa, a ufundowane nowe dzwony przez
parafian i czcicieli Trójcy Świętej niech roznoszą swoim „graniem” sławę
koszęcińskiego cudownego miejsca.

Tę wierność zademonstrowaliśmy w piątkowe popołudnie bardzo licznym udziałem
w historycznej Drodze Krzyżowej (około 700 uczestników) prowadzącej
z kaplicy pałacowej do kościoła Trójcy Świętej. Organizatorzy serdecznie
dziękują wszystkim, którzy przyczynili się do uświetnienia tej pielgrzym-
ki. Słowa podziękujemy do dyrektora zespołu „Śląsk” – pana Adama
Pastucha – i pracowników obsługi za kaplicę i cztery stacje, dziękujemy
naszym księżom za bogatą liturgię i wszystkim za wszystko. To wydarzenie,
oprócz przeżycia religijnego miało także wielki wymiar kulturowy i histo-
ryczny. Nasza Mała Koszęcińska Ojczyzna zasługuje na wielkie lekcje naszej
lokalnej historii.

Kościół pałacowy w Koszęcinie

Niejako w nawiązaniu do dnia Wszystkich Świętych i Dnia Zaduszych, chciał-
bym przybliżyć czytelnikowi jeszcze jeden szczególnie cmentarz, ukryty
pod sklepieniem koszęcińskiej świątyni pałacowej.

Krótko o historii kościoła pałacowego

Kościół pałacowy (1609) jest od wieków integralną częścią zabudowań pałaco-
wych, należących do kompleksu pałacowo-parkowego w Koszęcinie. Jest
to chyba jedyny tego typu zespół na śląskiej ziemi, którego architektura
i przyroda przetrwały – w zasadzie – trudne czasy powojennej nietolerancji.
W „zasadzie”, bo jednak zmieniono w latach 50. XX wieku arkadowy podjazd
do zachodniego skrzydła i wieżę kościoła. Podzielono też – we wczesnych
latach powojennych – między PGR-y i użytkowników pałacu – zabytkowe
budynki i duży park, niszcząc w dużym stopniu jego wspaniały „angielski”
charakter. W 1945 roku rozgrabiono przebogate wnętrza pałacu, a w maju
tego samego roku spalono na dziedzińcu bezcenny księgozbiór biblioteki pa-
łacowej i przebogate archiwum. Wyrzucono też wówczas – na przysłowiowy
bruk – wszystkie świętości z kościoła pałacowego, przeznaczając – na długie

lata – to uświęcone wiarą i tradycją miejsce na „salę ćwiczeń” dla Ogólnopolskiej Szkoły Aktywu Młodzieżowego, a później na... magazyn.

Na szczęście, powyższy akapit to już tylko smutna refleksja nad przeszłością, którą piszący te słowa pamięta z autopsji. Koszęciński pałac miał szczęście. Od 1953 roku do dziś jest w posiadaniu zespołu „Śląsk”. W ostatnich kilku latach – dzięki ogromnej pracy dyrekcji „Śląska” a szczególnie dyrektora naczelnego Adama Pastucha – pałac całkowicie odrestaurowano. Kościół pałacowy znów świeci dawnym blaskiem (na razie architektonicznym). Odbywają się tam koncerty, a także – od czasu do czasu – nabożeństwa.

Chciałbym jednak wszystkim przypomnieć o ważnym fakcie: kościół pałacowy to sakrum i wielki zabytek naszej kultury, w którym historia, tradycja i wiara pozostawiła swe niezatarte piętno. Dzisiaj „zdradzę” dwie tajemnice, o których jeszcze nigdy nie pisałem. Są to grobowce znajdujące się pod całym kościołem i dzieło wielkiego artysty Theodora von Gosen.

W podziemiach nawy głównej kościoła znajdują się wyłącznie groby znaczących właścicieli pałacu m.in. prochy: rodziny Rauthenów⁷, szczątki kilku pokoleń rodziny Sobków⁸, groby rodów von Stösel, von Sparwein i innych.

W części prezbiterialnej spoczywają pokolenia ostatnich panów na Koszęcinie⁹: Adolf zu Hohenlohe, Friedrich-Wilhelm zu Hohenlohe, Anna zu Hohenlohe, Luisa zu Hohenlohe i kilkoro ich dzieci. Hohenlohowie koszęcińscy to wielce zasłużony dla śląskiej ziemi ród, to także ludzie kultury, gospodarki, polityki i generalicji.

W początkach XX wieku pozostawił tu swój niezatarty ślad artystyczny wielki wrocławski twórca Theodor von Gosen (1873–1943). Wykonał on dla prezbiterium kościoła pałacowego w Koszęcinie gigantyczne dzieło metaloplastyki zatytułowane *Christus am Kreuze*¹⁰ składające się z dużych rozmiarów metalowego krzyża, epitafiów i lichtarzy. Kompozycja poświęcona była pochowanym w grobowcach pod absydą prezbiterialną trzem pokoleniom rodu Hohenlohe-Ingensingen. Na nasze wielkie szczęście przechował się krzyż i większość epitafiów. Zaginęły lichtarze i jedna tablica.

PS Udostępniłem „Ziemi Lublinieckiej” (do jednorazowej publikacji) kilka unikalnych zdjęć pochodzących z ocalałych zbiorów rodziny Hohenlohych.

7 Rodzina Rauthenów to bliscy krewni króla Jana III Sobieskiego.

8 Rodzina Sobków piastowała wysokie stanowiska państwowe, byli też budowniczymi teatru pałacowego.

9 Za wyjątkiem ostatniego Karola Gotfryda.

10 Tłum. „Chrystus na krzyżu”.

Droga Krzyżowa sprzed 250 laty

Zupełnie przypadkowo udało mi się odnaleźć w berlińskiej bibliotece starą, niemiecką mapę wojskową z 1747 roku, na której naniesiona jest krzyżykami Droga Krzyżowa prowadząca z kaplicy pałacowej do kościoła Trójcy Świętej. Albo odwrotnie – z kościoła Trójcy Świętej do kaplicy pałacowej? Potwierdza się więc ogromny kult do naszego koszęcińskiego sanktuarium Trójcy Świętej. Potwierdza się także zapis odnotowany w książce pt. *Sanktuaria polskie*, w której pod hasłem „Koszęcin” czytamy m.in. „Dawne szczególne nabożeństwo do Trójcy Przenajświętszej. Odpusty gromadziły tu dziesiątki tysięcy wiernych. Do dziś zbierają się tu tysięczne rzesze”.

Myślę, że rocznica 275-lecia kościoła Trójcy Świętej w Koszęcinie i zbliżające się trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa są doskonałą okazją do powtórzenia tej pokutnej i błagalnej zarazem drogi i do zainicjowania w Koszęcinie plenerowej Drogi Krzyżowej, wytyczonej 250 lat temu. O tej propozycji rozmawiałem już z proboszczami naszych parafii, którzy życzliwie ustosunkowali się do mojej propozycji.

Skorzystajmy z tej historycznej okazji i przyjdźmy wszyscy ze świecami – symbolami wiary i nadziei 22 października do naszej kaplicy pałacowej, skąd o godzinie szesnastej wyruszymy utartym przed wiekami szlakiem.

Stacje Drogi Krzyżowej będą rozlokowane zgodnie z zaznaczeniem na mapie sprzed 250 laty. Pierwsza stacja – w kaplicy pałacowej, II – na dziedzińcu pałacowym, III i IV – w parku w kierunku „bramy cesarskiej”. Stacje V i VI – przy kapliczkach św. Jana i św. Wawrzyńca. Następne, do stacji XII będą rozmieszczone przy ulicy Sobieskiego. Stacja XIII znajdzie się przy kostnicy, zaś ostatnia XIV stacja będzie na cmentarzu pod krzyżem misyjnym.

Udział w tej historycznej Drodze Krzyżowej, którą przed wiekami podążali nasi przodkowie i liczni pielgrzymi niech będzie naszą powinnością i dumą, symbolem naszego patriotyzmu lokalnego i religijności.

Przy stacjach Drogi Krzyżowej będziemy się modlili za naszą przeszłość, za tych wszystkich, którzy na przestrzeni wieków żyli i trudzili się na naszej koszęcińskiej ziemi. Ale ta Droga niech będzie także początkiem naszej wędrówki w trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa.

Mieszkańcy koszęcińskich wspólnot: dzieci, młodzież i starsi, wszyscy, którzy mamy sprawne nogi, spotkajmy się w piątek 22 października 1999 roku o godzinie szesnastej w kaplicy pałacowej, niezależnie od pogody i bez rumieńca zawstydy.

Te Deum na zakończenie plenerowej Drogi Krzyżowej
Zastanów się, o człowiecze...

Koszęcin rozpoczął w ubiegłym roku „plenerową” Drogę Krzyżową, w której udział wzięło około 800 wiernych. W Niedzielę Palmową Jubileuszowego Roku 2000 trasą zapoczątkowaną przez naszych przodków przeszło 250 lat temu, podążało już 1500 parafian obu koszęcińskich wspólnot. Obecni byli także mieszkańcy okolicznych miejscowości i goście z Chorzowa, którzy na tę okoliczność przybyli autokarem.

W starym – z 1846 roku – modlitewniku znalazłem nabożeństwo zatytułowane: „Droga krzyża Jezusowego, czyli Stacje, które kiedy kto nabożnie odprawi otrzyma Odpusty. Tak pozwolili Ojcowie Święci, Papieże, a osobliwie Ojciec Święty Papież Klemens XII”.

Dziesiątki tysięcy pielgrzymów – jak to czytamy w starych zapisach kronikarskich – chodziło co roku przed odpustem Trójcy Świętej, wydeptanymi ścieżkami „drogą krzyża Jezusowego”, szli od kościoła pałacowego, do szczególnego miejsca *trinitatis* – kościoła Trójcy Świętej w Koszęcinie. Stare mapy wojskowe z 1747 i z 1781 roku zaznaczały tę „drogę” prowadzącą do miejsca cudami słynącego, gdzie „białogłowa Wiktoria oglądała około dębu trzy Boskie Postacie Trójcy Świętej”. Była to wówczas droga prowadząca wśród kwitnących zbóż i zielonych łąk, bowiem jedynymi obiektami zaznaczonymi na mapach, oprócz 14 krzyży, były wspomniane dwa kościoły i „owczarnia” niedaleko „Żydowiny”.

Tegoroczna Droga Krzyżowa ulicami Koszęcina rozpoczęła się w kościele pałacowym, który ludzie ze „Śląska” życzliwie wysprzątały i wyczyściły z powojennej nietolerancji. Zrobiono nam również miłą niespodziankę „otwierając” – zamurowaną późną jesienią w 1944 roku – piękną architektonicznie absydę, o której krążą ciekawe i prawie niewiarygodne historie. Piękne stacje przygotowali ci sami – co w ubiegłym roku – ludzie. Koszęcińscy policjanci bezinteresownie zabezpieczyli trasę Drogi Krzyżowej (wszystkim złożono pisemne podziękowania). Dziękujemy proboszczom koszęcińskich parafii, ojcu franciszkaninowi, ks. Leszkowi i ks. wikaremu Krzysztofowi za udział i liturgię, dziękujemy wszystkim, którzy pomagali przy montażu i transporcie stacji i przy innych pracach związanych z tegoroczną Drogą Krzyżową ulicami Koszęcina. Przede wszystkim jednak dziękujemy Bogu za „rozchmurzenie” nieba nad Koszęcinem, bo przecież jeszcze na dwie godziny przed rozpoczęciem Drogi Krzyżowej padał rześisty deszcz, a gdy ruszaliśmy zaświeciło złote słońce.

To cieszy, że w Roku Jubileuszu dwóch tysięcy lat chrześcijaństwa, koszęcińskie parafie potrafią się „skrzyknąć” dla wielkiej Bożej sprawy, że wspólnie przygotowujemy i podążamy Drogą upamiętniającą Golgotę Chrystusa, że wspólnie nasza młodzież przystąpiła do sakramentu bierzmowania. Obie uroczystości były wielkim religijnym przeżyciem. Droga była publiczną manifestacją wiary, zaś bierzmowanie egzaminem dojrzałości chrześcijańskiej naszej młodzieży. Przyznam, że byłem zbudowany – podobnie jak chyba wszyscy uczestnicy tej ostatniej uroczystości – postawą ósmoklasistów. Panny i kawalerowie szli do ołtarza ze złożonymi w modlitewnym geście rękami. Rodzice i wychowawcy znają ten trudny i buntowniczy przedział wiekowy, kiedy to ma się „naście” lat. Dlatego powiedzmy publicznie naszej młodzieży i tym, którzy ich do sakramentu bierzmowania przygotowali, że jesteście im wdzięczni za taką właśnie postawę i że wierzymy w nich.

Po odbytej Drodze Krzyżowej, po sakramencie bierzmowania, po pięknych, głębokich religijnie i refleksyjnych naukach rekolekcyjnych, po tych wzruszających przeżyciach religijnych, możemy Bogu zaśpiewać śląskie *Te Deum* – *Ciebie Boże wielbimy* i *Nie rzucim Chryste świętyń Twych*. Chrześcijański Koszęcin buduje w Roku Jubileuszowym podwaliny pod trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa w naszym lokalnym, koszęcińskim Kościele.

Drugi zjazd koszęcińskich ministrantów

Introibo ad altare Dei

W niedzielę, dnia 16 grudnia 2001 roku odbył się w koszęcińskiej parafii NSPJ drugi zlot ministrantów tej parafii. Pierwsze spotkanie miało miejsce trzy lata temu, dokładnie w 90. rocznicę wybudowania kościoła parafialnego. Wtedy to zjawilo się w Koszęcinie około setki byłych i aktualnych ministrantów. Tym razem było nas 76, z tego prawie połowa to „weterani” służby liturgicznej, pozostali to aktualni ministranci i lektorzy, z których trójka studiuje na Wydziale Teologii Uniwersytetu Opolskiego. Inicjatorem pierwszego zjazdu – co było mi bardzo miło usłyszeć podczas powitania przez ks. bpa Wieczorka – była moja skromna osoba, drugi zjazd zorganizowali ks. wikary Krzysztof i pan Telicki. Spotkanie rozpoczęło się uroczystą mszą świętą o godzinie dziesiątej trzydzięci, później wspólny obiad i „kawa” (wszystko za „składkowe” uczestników). A potem konkursy wiedzy historycznej, wspomnienia itp.

Zaliczam się do jednych z najstarszych ministrantów. Starszymi wiekiem ode mnie byli tylko Paulek Świtała, Marian Lange i Fritz Masztalerz. Ale było także wielu po czterdziestce i około pięćdziesiątki. Czuliśmy się bardzo blisko, zarówno przy ołtarzu, jak i na przysłowiowej kawie. Młodszy służyli bezpośrednio przy ołtarzu, starsi zajęli miejsca w pierwszych ławach. Piękną jak zwykle homilię – tym razem na temat służby liturgicznej – wygłosił ks. wikary, którego zasługą jest ogromna liczba ministrantów i niebywale skuteczna formacja ich charakterów. Przez to stwierdzenie nie umniejszam w tym zakresie zasług naszego proboszcza, bo wcześniej było podobnie, a myślę, że to już tradycja naszej parafii. Sparafrazuję tu – ks. prałat mi wybaczy – stare przysłowie, i powiem: „Jak fardoze grają, tak ministranci tańczą”.

Widziałem w życiu wiele kościołów, w kraju i poza jego granicami, na wschód i zachód od Koszęcina. Dzięki szczęśliwemu trafowi, byłem przez wiele lat pilotem zagranicznych wycieczek i pielgrzymek, uczestniczyłem w wielu mszach świętych poza Koszęcinem, i powiem szczerze: takiej służby liturgicznej jak u nas, nie widziałem ani w Lourdes, ani w La Salette, ani w Mariazell, ani w Wiedniu, Paryżu, Berlinie, Pradze, nigdzie. Może w Częstochowie podczas odpustów. Siedząc w pierwszej ławie naszego przepięknego kościoła, przyglądałem się „musztrze” ministrantów, ich zachowaniu się przy ołtarzu, ich uczestniczeniu w ceremonii Aktu nad Aktami¹¹, jakim jest msza święta. Ogromnie budujące zachowanie się tych przecież bardzo młodych chłopców, ich powaga i rzeczywiste uczestniczenie we mszy świętej ubogacza wiernych. Oni rozumieją słowa: (choć nie znają łacińskiej ministrantury) *introibo ad altare dei* – „przystępuję do ołtarza Bożego”. Często się mówi: „Ucz się od starszych”. Przepraszam, że w tym przypadku odwrócę to porzekadło i powiem: „Uczmy się od młodszych”. Widziałem także – bo byłem w zasięgu ręki – jak ministranci przekazywali sobie „znak pokoju”. To wyglądało jak mała kompania honorowa Wojska Polskiego na musztrze: odwrócenie się do siebie, podanie ręki, ukłon, i z powrotem do „sytuacji wejściowej”. I przy tym powaga. Byłem zbudowany.

I jeszcze jedno. Myślę o aspekcie wychowawczym. Bycie ministrantem to przecież zajęcie pozalekcyjne – jakby powiedział pedagog, to czas wolny. Myślę, że w kryzysie wychowawczym, w czasie kiedy zatracono w Koszęcinie od lat ruch harcerski, kierujący się prawem skautingu: „Harcerz służy Bogu i Polsce”, jedynie „ruch ministrancki” („ruch” – bo jest ich wielu) to jedyna organizacja, która robi „dobrą robotę”. Dziękuję Wam chłopcy!

11 Określenie mszy świętej przez autora tekstu – Jana Myrcika.

Msza święta w kościele pałacowym

Dokładnie – chyba co do dnia – odprawiona została po 95 latach w kościele pałacowym msza święta. W październiku 1908 roku poświęcono i oddano wiernym nowo wybudowany kościół NSPJ. Ostatnią, pożegnalną mszę świętą w kościele pałacowym odprawił ówczesny proboszcz Koszęcina ks. Karol Böhm. Kościół pałacowy od tego czasu do 1945 roku przeszedł w posiadanie protestantów i nie odprawiano tam liturgii mszalnej. To, co wydawało się nieprawdopodobne, stało się rzeczywistością. 22 października 2003 roku proboszcz parafii NSPJ ks. prałat Tadeusz Fryc „wprowadził” poprzez celebrację mszy świętej – po prawie wiekowym niebycie – na nowo Chrystusa w Eucharystii do pałacowej świątyni. Ten dzień jest dla mieszkańców Koszęcina i gminy, a także dla wielu znawców historii koszęcińskiego pałacu – a szczególnie kościoła pałacowego – Wielkim Dniem. Święte miejsce, jakim niewątpliwie była, jest i pozostanie kaplica pałacowa, zostało poprzez mszę świętą oczyszczone z nietolerancji religijnej i rozgrywających się tu dramatów szczególnie w okresie po II wojnie światowej. Przypomnę tylko rok 1945, kiedy to wyrzucono z kościoła wspaniałe dzieła sztuki, m.in. metalowy krzyż i epitafia – prawdopodobnie prace wielkiego mistrza Uniwersytetu Wrocławskiego, pochodzące z początku XX wieku, ambonę i organy z początku XVII wieku (!), piękne lichtarze i wiele innych wspaniałych dzieł sztuki religijnej, które sprowadzały tu bogate i słynne rody panów na Koszęcinie. Następnie do kaplicy zwożono archiwalia książąt Hohenlohe-Ingelfingen, w tym bezcenne polskie pergaminy, aby w maju 1945 roku spalić część tych skarbów na przysłowiowych stosach wraz z bezcenną biblioteką pałacową. Kościół był bowiem potrzebny „Ogólnopolskiej Szkole Organizacyjnej” ZMW, później ZMP i OM TUR, która w Koszęcinie działała przez kilka lat i zapisała tutaj niechlubne karty swej działalności. Także późniejsze lata nie były łaskawe dla kościoła pałacowego, którego wewnątrz zaadaptowano na... magazyny słynnego zespołu.

Ale „wszystko dobre, co się dobrze kończy” mówi stare polskie przysłowie. Dzięki światłym i życzliwym ludziom kościół pałacowy – podobnie jak cały kompleks pałacowy – wraca w ostatnich latach do łask. Pięknie odremontowany, z zachowaniem (prawie?) wszystkich elementów zabytkowej architektury, staje się dziś jakby podwójną świątynią, poświęconą Bogu i kulturze.

Może jeszcze „coś” trzeba przywrócić pałacowi w Koszęcinie, szczególnie kościołowi pałacowemu? Ja osobiście czekam na jeszcze jeden wielki – może o znaczeniu historycznym i artystycznym, a przede wszystkim

religijnym – akcent (?). Ale to zostawmy przyszłości, może niezbyt odległej? Zostawmy to tym, którzy znają historię pierwszych powojennych lat i „ogolnienia” kościoła pałacowego ze wszystkich prawie świętości, i „coś” co zmieniono – niepotrzebnie – w architekturze pałacu w późniejszym czasie (?).

I na zakończenie tych krótkich rozważań, niejako na kanwie tego historycznego wydarzenia w kaplicy pałacowej, jeszcze kilka zdań. Msza święta w kaplicy pałacowej odprawiona była w intencji wielkiej artystki i pedagoga zespołu „Śląsk”, śp. Aliny Ilnickiej. Myślę, że niejako jej odejście, a już z pewnością pierwsza rocznica śmierci były przyczynkiem do tego historycznego wydarzenia. I jeszcze jeden akcent tej doniosłej i historycznej uroczystości – występ orkiestry i chóru „Śląska”, wzruszający spektakl w tej niesamowicie akustycznej świątyni. Utwory religijne, które przed kilku laty zespół „Śląsk” włączył do swego repertuaru, ubogacają tekstem i muzyką naszą kulturę.

Za mszę świętą celebrowaną prawie po wiekowej przerwie w kaplicy pałacowej, za gest dobrej woli подарowany nam i naszej historii, pragnę w imieniu mieszkańców Koszęcina i okolicy serdecznie podziękować ks. prałatowi Tadeuszowi Frycowi, dyrekcji, artystom i pracownikom administracyjnym „Śląska”.

Przywróciliście nam miejsce nie tylko materialnej kultury, ale i wymiar religijny tego sakrum, w którym nasi przodkowie byli chrzczeni, bierzmowani i zaślubiani, miejsce wiecznego spoczynku licznych pokoleń panów na Koszęcinie. Piszącego ten artykuł – Jana Myrcika – upewniliście w przekonaniu, że po latach laicyzmu i nietolerancji religijnej Światło Wiary wraca na swoje miejsce. Warto było, powiem, że zawsze warto przekonywać ludzi, żeby wrócili nam historię.

Drewniane kościoły na ziemi lublinieckiej

Ziemia śląska to przebogata skarbnica historii i kultury zapisywanej tu od wieków. Mimo różnych kataklizmów dziejowych, mimo wojen, głodu i poniewierki lud tutejszy tworzył niezatarte dobra, które przetrwały wieki. Jeszcze do niedawna Śląsk był postrzegany jako kraina fabryk kopalń i hut. Ale na naszych oczach ginie przemysłowy krajobraz tej ziemi, znikają kominie fabryczne i kopalniane wieże wyciągowe. Stara, piękna architektura przemysłowa idzie powoli do historycznego i kulturowego lamusa.

Ale ziemia śląska to przede wszystkim kraina związana od tysiąclecia z Kościołem, z głęboką religijnością Ślązaków i ze wspaniałą architekturą sakralną. Szczególnie urzekają drewniane kościoły, wspaniałe perły architektury

zrębowej. Utopione w zieleni, często wśród wiekowych cmentarnych lip, dębów czy kasztanowców są symbolem naszego krajobrazu i świadectwem zasobnych terenów leśnych. W drewnianych świątyniach zakodowane jest nie tylko piękno architektoniczne, ale także kultura minionych wieków, talent i pracowitość naszych praojców, a nade wszystko głęboka religijność ludu śląskiego.

Kościół drewniany oprócz funkcji religijnej, dla której zostały zbudowane, spełniają również doniosłą rolę poznawczą i kulturotwórczą, przyciągając ku sobie tysięczne rzesze miłośników. Szczególnie piękne są wnętrza świątyń, niezmieniane od wieków. Znajdują się tam także ciekawe rozwiązania architektoniczne i dzieła sztuki sakralnej: drewniane ołtarze, ambony, chrzcielnice, a także obrazy i malowidła ściennie. Kościoły drewniane to bezcenny skarb naszej, ale również europejskiej i światowej kultury.

Na ziemi lublinieckiej – oprócz wielu innych wspaniałych obiektów zabytkowych – znajduje się aż siedem drewnianych świątyń i jedna stara dzwonnica:

- kościół św. Jana Chrzciciela w Brušku (poł. XVIII w.);
- kościół Trójcy Świętej w Koszęcinie (1724 r.);
- kościół św. Marcina w Cieszowej (1751 r.);
- kościół św. Walentego w Woźnikach (1696 r.);
- kościół św. Anny w Lublińcu (1653 r.);
- kościół MB Różańcowej w Boronowie (1611 r.);
- kościół Narodzenia NMP w Gwoździanach (1576 r.);
- dzwonnica w Sadowie (poł. XVII w.).

Warto wybrać się w plener i zwiedzić zabytki naszej Małej Powiatowej Ojczyzny. Szczególnie zachęcam do odwiedzenia drewnianych świątyń utopionych w wiosenno-letnim bądź w zimowym krajobrazie. Najpewniej wybrać się tam w niedzielne czy świąteczne dni. Wtedy w ciszy i zadumie można się zapoznać ze świadectwem historii i sztuki sprzed wieków. Oczaruje cię wszystko – drogi czytelniku – a woń kadzideł, którą „oddychają” wiekowe ołtarze, figury, drewniane sklepienia, ściany i podłogi, przypomni ci czas wielkiej wiary, zmysłu i kunsztu artystycznego naszych rodzimych mistrzów, którzy stworzyli na naszej śląskiej ziemi niezatarte piękno. Zapewniam, będziesz szczęśliwy i zadowolony.

Zwiedzamy drewniane kościoły **Kościół Trójcy Świętej w Koszęcinie**

Już od trzech tygodni zachwycamy się na szpaltach naszej „Gazety parafialnej” drewnianymi kościołkami stojącymi od wieków na naszej ziemi: „Dzisiaj chcemy zwiedzić koszęciński kościół Trójcy Świętej, szczególny relikwiarz naszej przeszłości i teraźniejszości.

Każdy mieszkaniec Koszęcina i okolicy zna to święte miejsce, każdy prawie wie co ono dla nas znaczy, i prawie każdy chciałby kiedyś spocząć na wieki w cieniu „Trójcy”, wśród tysięcy, którzy przed nami odeszli.

O tym szczególnym miejscu czytamy także w licznych publikacjach, starych i współczesnych, łacińskich, polskich i niemieckojęzycznych. W książce *Sanktuaria polskie* jest m.in. taka wzmianka: „Dawne szczególne nabożeństwo do Trójcy Przenajświętszej. Odpusty gromadziły tu dziesiątki tysięcy wiernych, do dziś zbierają się tu wielotysięczne rzesze”.

Jest więc nasza „Trójca” nie tylko zabytkiem architektury sakralnej, jest przede wszystkim miejscem czczonym od wieków. Tutaj, jak mało gdzie, łączy się głęboki kult do Trójcy Świętej z „kultem” do sztuki, do wspaniałych dzieł sztuki snycerskiej i ciesielki artystycznej.

Drogi czytelniku! Wiem, że znasz to miejsce, ale pozwól, że podzielę się z tobą własnym spojrzeniem na koszęcińską „Trójcę”. Podpierając się wyczytaną wiedzą o tym sanktuarium i jego historii. Wspominają o powyższym protokoły kanoniczne już od XVI wieku, pisali też o „Trójcy” zacni i mądrzy proboszczowie sadowskiej parafii, m.in. Thomas w 1550 roku, ks. Jeziorowski w 1721 roku czy wreszcie kronikarz śląski ks. Karol Urban proboszczujący w Sadowie na przełomie XIX i XX wieku.

Wspominali ten kościół ks. Wawrzyniec Joannston z Namysłowa w 1676 roku, czy wreszcie Juliusz Ligoń w pięknym wierszu pt. *Cudowny kościół Trójcy Świętej w Koszęcinie*.

Nasz kościół – jak mówią opisy – stoi na objawionym miejscu, gdzie przed wiekami trzy postacie Trójcy Świętej spotykały się z białogłową Wiktorią. Tutaj już od XV wieku gromadziły się tłumy modląc się do objawionego Boga, tutaj w zamierzchłej przeszłości Wincenty Kluczyński postawił mały, leśny kościółek Trójcy Świętej. Stare opisy wspominają o licznych uzdrowieniach, a nawet wskrzeszeniach, o cudownej wodzie, która uzdrawiała i o innych wydarzeniach związanych z wiarą. Właśnie ten głęboki kult do Trójcy Świętej znajduje odbicie w urokliwej architekturze i pięknym wystroju wnętrza aktualnego kościoła. Został on zbudowany w 1724 roku przez Jakuba

Ridzingera w miejscu wcześniejszego z xv wieku. Zbudowany jest z drewna, konstrukcji zrębowej na podmurówce z kamienia. Wokół kościoła biegną „soboty”, dachy, zadaszenia i ściany boczne pokryte gontem. Prezbiterium trójboczne, po prawej stronie zakrystia, nad nią łoża kolatorska ze schodami od zewnątrz. Chór muzyczny wsparty na ozdobnych słupach, na nim stare organy.

W kościele znajdują się trzy ołtarze z XVIII wieku: główny – barokowy z dekoracją z bujnego akantu, z piękną *Pietą* z 1510 roku i dwoma płaskorzeźbami św. Mikołaja i Stanisława. Nad ołtarzem obraz ludowy Trójcy Świętej. Prawy ołtarz boczny, rokokowy, z figurą św. Jana Nepomucena o bogatej dekoracji snycerskiej z motywów roślinnych. Lewy ołtarz boczny poświęcony św. Annie Samotrzeciej z dwiema kręconymi kolumnami, obrazami i rzeźbami św. Barbary i prawdopodobnie św. Jadwigi.

W kościele znajdują się piękne obrazy malowane na suficie: św. Rodzina, św. Franciszek, św. Jadwiga i postać anioła z napisem *Gloria in excelsis Deo*. Przy bramkach obok ołtarza głównego osiem obrazów alegorycznych. Podziwiać można również obrazy: *Objawienie Trójcy świętej* z datą 1564, MB Różańcowej z XVIII wieku (zapewne malowany przez zakonników z Boronowa).

Na uwagę zasługuje późnobarokowa ambona z rzeźbą Boga Ojca na baldachimie oraz chrzcielnica drewniana – barokowa z XVIII wieku.

W części prezbiterialnej, pod ołtarzem pochowano przed wiekami około 50 dobrodziejów Kościoła, zaś w nawie głównej znajdują się dwa grobowce bliżej nieznanymi osob.

Kościół otoczony jest założonym w 1500 roku cmentarzem, do którego ogrodzenie zafundowała pod koniec XIX wieku księżna Adelajda zu Hohenlohe. Wybudowała ona również kostnicę, w której znajduje się płyta nagrobna Katarzyny Skalowej z 1602 roku, odnaleziona w latach 70. XX wieku.

I na zakończenie ciekawostka jakby z ostatniej chwili: na starej mapie z 1747 roku znajdującej się w berlińskim archiwum, zaznaczonych jest krzyżkami 14 stacji Drogi Krzyżowej prowadzącej z kaplicy pałacowej do kościoła Trójcy Świętej. Zapewne przed wiekami nasi przodkowie chodzili w czasie Wielkiego Postu Drogą Krzyżową z kościoła pałacowego do Trójcy Świętej? Może i współczesny Koszęcin wybierze się kiedyś tym pokutnym szlakiem.

Myszę, że warto i trzeba.

Zwiedzamy drewniane kościółki

Kościółek bruśkowskich kuźników

Wieś Brusiek znana jest co najmniej od XIV wieku, kiedy to ówcześni właściciele Koszęcina wybudowali tu pierwszą hutę żelaza. Nie wiadomo dotychczas czy miejscowość wzięła swój początek od nazwiska kuźnika Bruśka, czy też ten protoplasta śląskiego hutnictwa wziął nazwisko od tej słynnej, leśnej osady. Pewne jest, że Bruśkowie – uchodzący za najlepszych w swym fachu – panowali tu przez kilka wieków.

Z bruśkowskich przodków wywodzi się także Walenty Rożdzieński, syn Jakuba Bruśka, który swoje nazwisko przyjął od Rożdzenia, dzisiejszej dzielnicy Katowic, gdzie zawiadywał – podobnie jak jego ojciec – hutami. Rożdzieński, któremu Koszęcin postawił skromny pomnik – zasłynął na całym świecie z jedyne go dzieła literackiego o etosie ciężkiej pracy *Officina ferraria – abo warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego* wydane go u Kempiniego w Krakowie w 1612 roku. Książka ta – która trzysta lat „przeleżała” w Bibliotece Kapitulnej w Gnieźnie – opiewa trud pracy ludzkiej, opisuje krajobrazy ziemi koszęcińskiej, wspomina wielokroć Brusiek, opisuje ówczesne zwyczaje, obyczaje i wierzenia naszych przodków.

Brusiek, to jednak nie tylko kolebka śląskiego hutnictwa, to również osada, w której znajdowało się wiele zabytków dawnej szczególnie, drewnianej architektury, produkowano tutaj także wyroby z „metaloplastyki” – krzyże metalowe, ozdobne metalowe obramowania grobów itp.

Kiedy pod koniec XIX wieku wygasają na zawsze bruśkowskie kuźnice, wioska obumiera, później już w naszych czasach giną zabytkowe obiekty – stodoły przeniesiono do skansenu w Chorzowie, inne liczne zabytki uległy zagładzie w wyniku ludzkiego niedbalstwa lub różnych „przeróbek”.

Pozostał jednak kuźniczy kościół, pamiętający dawne czasy ludzkiego trudu. Stoi on na skraju wioski, w otoczeniu leśnego krajobrazu, pośrodku wiekowego cmentarza. Został zbudowany w połowie XVII wieku w miejscu poprzedniego, prawdopodobnie z XV stulecia. Calusieńki z drewna sosnowego, konstrukcji zrębowej, orientowany. Wieża słupowa, szalowana deskami o rzadko spotykanym kształcie. Wszystkie dachy pokryte gontem, w ostatnich latach gruntownie odnowione. Wnętrze tego malusieńkiego kościółka ozdobił w 1693 roku Wawrzyniec Grochowski piękną polichromią szablonową, a swoje nazwisko uwiecznił na belce w kruchcie. Nawa o kształcie zbliżonym do kwadratu, sufity płaskie, we wschodniej części małe prezbiterium. Jeden ołtarz z obrazem św. Jana Chrzciciela – patrona tego

kościół. Znajduje się tu piękna drewniana chrzcielnica z datami 1400 (?) i 1882, a także kilka mniejszych zabytkowych detali. Chór muzyczny wsparty na słupach, na nim malusieńkie stare organy. Niestety, przed dwoma laty skradziono z kościoła 14 zabytkowych stacji Drogi Krzyżowej ze wspianymi snycowanymi ramami, świeczniki i krzyże. Ocalały na szczęście dwie stare i bardzo wartościowe rzeźby z XVI wieku przedstawiające MB z Dzieciątkiem i św. Annę. Podczas włamania były na wystawie w Katolickim Centrum Kultury w Koszęcinie.

Bruśkowski kościółek był filią sadowskiej parafii, później od 1869 roku koszęcińskiej, a aktualnie należy do parafii MB Fatimskiej w Drutarni.

Jeżeli drogi czytelniku, znajdziesz trochę czasu w wiosenny czy letni dzień, wybierz się w ten urokliwy zakątek naszej gminy. Łatwo znajdziesz kościółek, miejsce, gdzie przez wieki modlili się ludzie najcięższej pracy, o których Walenty Rożdżeński powiedział w *Officynie*....

Musi się w naszej hucie z ogniem biedzić zawždy!

Patrząc, jako się to na mnie skwarzy ciało!

Aż u nas w tym ogniu mamy męki mało?

Płomień leci z iskrami w oczy jak perzyny,

Piekę się ustawicznie ogniem z każdej strony!

Refleksja po Wielkim Tygodniu

Wielki brat św. Franciszka i wszystko wielkie

Zdarzają się w życiu społeczeństw, narodów, instytucji i wspólnot wydarzenia wielkie. W życiu Kościoła taką wielką sprawą są niewątpliwie święta Wielkanocy – Zmartwychwstanie Chrystusa. Poprzedza je Wielki Tydzień z przebogatą liturgią trwającą od Wielkiej Środy do Wielkiego Piątku. Wszystko wtedy jest wielkie, największe.

Koszęcińskie parafie od trzech lat mają swoją plenerową Drogę Krzyżową zapoczątkowaną przez naszych praojców kilka wieków temu. To wydarzenie religijne staje się z każdym rokiem większe. W Niedzielę Palmową szło nas już 1700 osób (!).

Parafia NSPJ w Koszęcinie miała także w tym roku wielkie – powiedziałbym na swój sposób „rewolucyjne” – rekolekcje¹². Wygłosił je wielki brat

12 Rekolekcje – wg *Słownika wyrazów obcych* to „ćwiczenia religijne”.

św. Franciszka – ojciec franciszkanin Sylwester. Celowo użyłem terminu „wielki brat”, aby odróżnić to sformułowanie od głupiutkiego i prymitywnego programu TV pod tym samym tytułem, w którym ludzie „wybrani” pozwalają się mediom ogłupiać i ogłupiają innych. Tam też są „rekolekcje” – ćwiczenia, np. każdy z bywalców klękał w „czerwonej kaplicy” przed niewidzialnym „wielkim bratem” i „modlił się do złotej rybki o spełnienie marzeń”. Innym niereligijnym wydarzeniem tego czasu było „ułaskawienie” pewnego ministra, który „małpował” kiedyś Ojca Świętego czyniąc znak krzyża – i na prośbę prezydenta – całując ziemię, innymi słowy szydził z autorytetu papieża i Kościoła. To też są swoiste „rekolekcje” uprawiane przez „rekolekjonistów” z minionej epoki.

Ale wróćmy do rekolekcji ojca Sylwestra. Kościół NSPJ „zamierał” z wrażenia. „Takie kazania”, „takie chodzenie po kościele”, „takiego czegoś” jeszcze tu nie było”. Ochrypli głos wspaniałego liryka słowa Bożego trzymał nas przez cały tydzień w niesamowitym napięciu. Od ołtarza wiało filozofią wiary, teologią i miłością. Patrząc na ojca Sylwestra, na jego sposób przeprowadzania „ćwiczeń religijnych” można mieć pewność, że on głęboko wierzy w to, co mówi i czyni. Odbiór jego kazań jest niewątpliwie trudnym zadaniem, bo trzeba bardzo uważać na każde słowo, na każde zdanie i każde przytoczone między wierszami słowa, które są cytatem z Pisma Świętego. Ojciec Sylwester jest mistrzem słowa i gestu – powiedziałbym – jest on kopią św. Franciszka. O kazaniach ojca Sylwestra można powiedzieć: „trudna to mowa”. Ja i ty, drogi współparafianinie, musimy się nauczyć słuchać. Idąc na rekolekcje musimy zostawić zegarki w domu, także naszą „świeckość” musimy zostawić poza Kościołem i musimy „Kościoła słuchać w każdy czas, by w świętej wytrwać wierze”.

Powyższe słowa to naprawdę moja osobista refleksja nad tym, co przeżyliśmy w Wielkim Tygodniu, to także chęć podzielenia się z czytelnikiem zadowoleniem, że mogliśmy słuchać, a czasem być „dotknięci” dosłownie i w przenośni, słowem i ręką przez tego franciszkanina – swoistego uzdrowiciela dusz i serc.

Kilka słów o ojcu Sylwestrze **Pobłogosław mnie, Ojcze**

Minęły święta Bożego Narodzenia. Ale z pewnością przez pewien czas będziemy pod ich urokiem, będziemy żyli atmosferą Nowonarodzonego.

Myszę, że będziemy także – przynajmniej przez pewien czas – żyli treściami kazań świątecznych, wygłoszonych przez ojca Sylwestra. Głęboka, filozoficzna myśl, a także prostota słów wygłoszonych homilii (na każdej mszy świętej inne treści) pozwalały nam lepiej i pełniej przeżyć Misterium Narodzenia Boga. Ojciec Sylwester – franciszkanin – idąc śladami swego nieodścignionego mistrza św. Franciszka „przepoił” swoją mowę iście franciszkańskim duchem. Przywołał na przykład przed oczy naszej wyobraźni wszystkie zwierzęta z betlejemskiej stajni, przedstawiając ich najcenniejsze cechy: siłę, posłuszeństwo, pracowitość, wierność i zobowiązał nas niejako do naśladowania ich zwierzęcej... osobowości. W innej homilii mówił o pasterzach, zarówno o tych z Betlejem, jak i o współczesnych, zobowiązując nas do współpasterzowania tj. do aktywniejszego udziału w życiu parafialnym.

Ojca Sylwestra poznałem na pielgrzymim szlaku. Wspólnie prowadziliśmy w tym roku pielgrzymkę „świeckich franciszkanów” ze Strzebinia po gościnnej ziemi Czech i Austrii. Skojarzyłem te piękne homilie ze spotkaniami księży i siostr z Czech. Bowiem w kazaniach ojca Sylwestra były często obecne zwierzęta, a ci ludzie z dzisiejszych Czech i Słowacji w minionej epoce żyli w zwierzęcym systemie, a także przez 40 lat pracowali w czechosłowackich kołchozach przy zwierzętach.

Wsiadając do pielgrzymkowego autokaru wczesnym rankiem, aby udać się w dalszą drogę, spotkaliśmy siostrę – staruszkę niosącą duży dzban mleka do swych schorowanych współzakonnicek. Na widok franciszkańskiego habitu siostra – także franciszkanka – o mało nie uklęknęła. Zaprosiła nas do swojego kościoła, w którym ojciec Sylwester odprawił mszę świętą.

Miejscowość Lechowice leżąca przy granicy czesko-austriackiej posiada piękny, stary zamkowy kościół. Parafią kieruje stary, 83-letni, sparaliżowany proboszcz, który „przykuszykał” do świątyni, aby nas pozdrowić. I tu sens tego spotkania: proboszcz ów przesiedział kilka dziesięcioleci w więzieniach komunistycznych, a później do czasu „aksamitnej rewolucji” w Czechach pracował ciężko w kołchozie – wśród zwierząt. Stracił siły i zdrowie, ale nie zdradził Boga i ludzi. Mówił po czesku, ale wszyscy go rozumieli, właściwie nie trzeba było słów, wystarczył kontakt wzrokowy z tym umęczonym

człowiekiem. A na zakończenie ze łzami w oczach poprosił – zwracając się do księdza Sylwestra: „Ojcie, pobłogosław mnie!”. Trzymając się drżącymi rękoma ołtarza, później jego stopni, z trudem przyklęknął, a ojciec Sylwester położył na jego umęczonej głowie kapłańskie ręce i zrobił duży znak krzyża. Później jedna z czterech sióstr mówiła o losie swego klasztoru w czasach komuny. Wszystkie zakonnice ze wszystkich czechosłowackich klasztorów zostały jednej nocy wywiezione w nieznane, siostry z Lechowic umieszczono w... zakładzie psychiatrycznym jako... pacjentki. Przez 40 lat upadłano je ciężką pracą w „gnoju” przy hodowli buhajów (?).

Ojcie Sylwestrze! Tak jakoś dziwnie skojarzyłem te dwa zwierzęce i pasterskie światy, przy których byliśmy niejako obaj obecni. Ten betlejemski sprzed 2000 lat przybliżony w pasterkowej homilii w Koszęcinie i ten niedawny czechosłowacki, także ze zwierzętami w kołchozowych chlewniach. Także z pasterzami – księżmi i siostrami – nieludsko, po zwierzęcemu traktowanymi przez zwierzęcy system władzy.

Koszęcińskie dzwony

Dzwony są świadkami zamierzchłych, często niepamiętnych czasów. Od starożytności zwoływały ludzi na ważne wydarzenia dziejowe i na nabożeństwa do świątyni. Oznajmiały chwile zwycięstw, radości, grozy, smutku i żałoby. Dzwony, podobnie jak ludzie, mają dusze, bijące serca i imiona.

Od VI wieku po Chrystusie, dzwon został upowszechniony w Europie. Przy kościołach poczęto stawiać dzwonnice i w uroczysty sposób zawieszano na nich, wcześniej poświęcone dzwony. Od VIII wieku znane są już na starym kontynencie ludwisarnie, w których odlewano ze spiżu, brązu, złota i srebra dzwony. Fach ten przechodził i przechodzi nadal z ojca na syna i z pokolenia na pokolenie, trzymając w wielkiej tajemnicy odlewniczą sztukę. Bo, aby dzwon miał „klang”, trzeba nie łada sztuki. Dzwony są też z innego powodu dziełami artystycznymi. Przepięknie ozdobione różnego rodzaju ornamentami, herbami panów i fundatorów, podobiznami świętych, których imiona noszą oraz wspaniałą pisownią, są dziełami różnych muz. Dzwony noszą także daty „urodzenia” i „mówią” nam kto był ich ojcem chrzestnym i twórcą.

Największym, najcięższym i zarazem najbardziej znanym dzwonem w Polsce jest dzwon Zygmunt, znajdujący się od 1520 roku na Wawelu w Krakowie.

Odlał go w tym mieście Hans Beham, znany i ceniony fachowiec. Dzwon ten opisywali pisarze i opiewali poeci. W wierszu *Na pogrzeb Kościuszki* wieszcz wołał: „Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy, jęczą chwilę, modlitwami rwą się pod niebiosy. A nad nimi dzwon Zygmunt, żałość górująca, wszystko chłonie, a to niby ojczyzna płacząca”. Kiedy indziej poeta powie: „Na Anioł Pański biją dzwony. Niech będzie Chrystus pochwalony”, albo „Anielską pieśń dzwon grał”.

Dzwony od wieków były kosztowną inwestycją, na którą mało kto mógł sobie pozwolić, i tak jest do dnia dzisiejszego. Fundatorami dzwonów byli zawsze ludzie zamożni i znaczący: królowie, możnowładcy, biskupi, albo też zbiorowe społeczności, jak parafie, cechy, i różne organizacje.

Nas jednak interesują dziś koszęcińskie dzwony. A mamy się czym pochwalić i zaimponować innym. Nie po raz pierwszy powiem, że mieliśmy na Koszęcinie mądrych, szczodrych i dobrych panów, także fundatorów dzwonów. Mamy pisane wiadomości, że już w 1522 roku „dzwoniły nad kościołem Trójcy Świętej w Koszęcinie¹³ dwa dzwony, jeden o wadze 300 kg i średnicy 77 cm, drugi o wadze 170 kg i średnicy 44 cm”. Szkoda, że delegat biskupa wrocławskiego nie wymienił wtedy w protokole kanonicznym fundatora. Już nigdy nie poznamy historii tych dzwonów, bowiem podczas ostatniej wojny przetopiono je na armaty. W 1942 roku, taki sam los spotkał dzwony z kościoła NSPJ ufundowane w początkach XX wieku. Wojsko niemieckie zabrało wówczas cztery dzwony: „Augustyn” – ufundowany przez parafian, „Karol” – fundacji księcia Karola Gotfryda zu Hohenlohe, „Kazimierz” – fundacji aptekarza Burzyńskiego i „Katarzyna” – подарowany przez kolejarzy. Ale to nie wszystkie i nie najważniejsze wiadomości o koszęcińskich dzwonach. Niedawno w piśmie parafialnym czytelnicy mogli przeczytać o nie najlepszej „kondycji” wieży kościelnej i o propozycji budowy – wzorem innych parafii – dzwonnicy przy kościele NSPJ w Koszęcinie, i co nie ulega wątpliwości, zawieszenia tam dzwonów.

Skoro zabrano nam w 1942 roku dzwony, to znaczy, że nie mamy „czym” dzwonić, dlatego od wielu lat „dzwonimy” elektrycznie z taśmy. Co prawda na wieży znajdowały się jakieś dzwony – jeden popękany i wyszczerbiony stał na niedostępnym podeście, dwa inne wisały od lat „bez głosu”. Postanowiono je zdjąć, aby przyjrzeć im się z bliska, myślano nawet, że jeżeli będą zniszczone i bezwartościowe, to można by je przetopić na nowe.

13 Jeszcze tym wcześniejszym – przyp. J.M.

Dnia 13 lipca 1999 roku, w kilka dni po zdjęciu dzwonów z wieży, odczytałem na prośbę ks. proboszcza niesamowicie piękne i ciekawe inskrypcje na dwóch większych dzwonach. Trzeci – chyba najstarszy dzwon – nie posiada żadnych ozdób ani napisów. Milczące od dziesięcioleci dzwony okazały się nie lada sensacją. To oszałamiające, że po całych wiekach, dzięki tym dzwonom można się tak wiele dowiedzieć o przeszłości Koszęcina. I tu już szczegóły – starszy z dzwonów pochodzi z 1681 roku. Jeden z napisów brzmi: *Gos mich Casper Wul in Breslau*¹⁴. Na kielichu dzwonu znajduje się pewnego rodzaju szyfrogram. W owalu widnieje dotychczas nierozpoznana podobizna świętego i rozmieszczone wokół tego wizerunku cztery litery – N P V R. Należy z całą pewnością przyjąć, że litery oznaczają panującego wówczas na Koszęcinie krewniaka króla Jana III Sobieskiego – Nikolausa Philippa von Rauthena. To właśnie on dokończył rozpoczętą przez Andrzeja Kochcickiego budowę aktualnej kaplicy pałacowej, fundując z pewnością dla tej świątyni ów dzwon. Drugi z dzwonów – chyba jeszcze ciekawszy od pierwszego – nosi w sobie dalsze karty naszej historii. To dzieło ufundował jeden z najmądrzejszych i najszlachetniejszych panów na Koszęcinie, Karol Henryk Leopold von Sobeck, twórca teatru pałacowego i człowiek znany daleko poza Śląskiem. Wzmiankowany dzwon posiada oprócz pięknej ornamentyki, trzy napisy, rozmieszczone w różnych częściach kielicha. U góry czytamy: A D¹⁵ 1776 *Carl Heinrich Leopold Graf von Sobeck lis mich umgießen*¹⁶. Niżej napis: *Den Hoch, Wohl geboren Herrn Nicolau, Philipp Frey Herrn Rauthen, Erbherr der Herschaft Koschentin ihrer Koenghmajyest zu*¹⁷ *Pohlen und Schweden. Camerherrn*¹⁸. I jeszcze jeden napis: *Johan, Christian Casper Nerger gus mich*¹⁹. Ustalenie – ze względu na brak jakichkolwiek napisów – rodowodu trzeciego dzwonu, będzie trudne. Myślę jednak, że fachowiec z tej dziedziny może odsłonić jego tajemnicę.

Kończąc tę prawie bajeczną historię o odnalezionych dzwonach nasuwa się refleksja: nigdy nie jest za późno na historię. Ona – choć czasem milcząca i zakomspirowana przez całe wieki – czeka na swych odkrywców, aby mówić o przeszłości. Te trzy dzwony nie pójdą nigdy na przetop, bo to byłoby barbarzyństwem. One muszą być „do oglądania”, one będą nas uczyły szacunku

14 Tłum. „Odlął mnie Casper Wul we Wrocławiu”.

15 Litera „b” odwrócona – J.M.

16 Tłum. „Hrabia Karol Henryk Leopold kazał mnie przetopić”.

17 Litera „z” odwrócona – J.M.

18 Tłum. „Wysoko urodzonemu panu Mikołajowi, Filipowi baronowi Rauthen panu dziedzicznemu dóbr koszęcińskich, majestatowi królewskiemu Polski i Szwecji, szambelanowi”.

19 Tłum. „Odlął mnie Jan Krystian Kasper Nerger”.

do europejskiej kultury i historii, którą Koszęcin zapisywał już przed wiekami. A dzwonić powinny w Koszęcinie nowe dzwony.

Koszęcinianie już nie raz dawali dowody ofiarności. Zrzućmy się jeszcze raz, aby nam „Anielską pieśń dzwon grał”. Okazja po temu niebagatelna – Rok Jubileuszowy i początek trzeciego tysiąclecia chrześcijaństwa. Może po wiekach potomni będą podziwiać ufundowane przez nas dzwony, tak jak my dzisiaj podziwiamy koszęcińskie dzwony z 1681 i 1776 roku.

Po 64 latach odnaleziono trzy najstarsze dzwony z naszych kościołów

Nie wszystkie dzwony przetopiono na armaty

To brzmi jak sensacja i z pewnością jest sensacją. Z wielką radością pragnę oznajmić mieszkańcom powiatu lublinieckiego, a szczególnie mieszkańcom Sadowa, Cieszowej i Koszęcina, że nie wszystkie dzwony zabrane w 1942 roku z naszych kościołów na cele wojenne, przetopiono na przysłowiowe armaty. Z wież śląskich świątyń „pościągano” w latach 1942–1944 ponad 3 tys. dzwonów, i wszystkie – jeszcze do niedawna uważano za bezpowrotnie stracone. W niektórych parafiach znajdują się do dziś – pożółkłe, często ręcznie napisane – zaświadczenia stwierdzające, że „dzwony zabrano na cele wojenne”. Na nic zdały się poszukiwania przez poszczególne parafie starych, zabytkowych dzwonów, które wspominano przed wiekami w kronikach i o których krążyły legendy „stare jak świat”. Wszystko bezskutecznie. Po latach złudnych nadziei, parafie fundowały nowe dzwony dla swoich kościołów. Bo w tradycji – co najmniej od VI wieku po Chrystusie – dzwony wzywały na nabożeństwa, a poeci utrwalali w nas przekonanie, że „Na Anioł Pański biją dzwony” i „Anielską pieśń dzwon grał”. Dzwony były i są świadkami zamierzchłych czasów, oznajmiały chwile zwycięstw, grozy, radości, smutku i żałoby. Dzwony – podobnie jak ludzie – mają dusze, bijące serca i imiona. Noszą także – zapisane w inskrypcji – swoiste daty urodzenia np. „odlał mnie w AD...” albo „odlano mnie w Roku Pańskim...”. Dzwony od wieków były kosztowną inwestycją, na którą mało kto mógł się zdobyć. Dawniej fundatorami byli najzamożniejsi panowie: królowie, hetmani, biskupi, książęta.

Nas jednak interesują dziś ocalałe i odnalezione dzwony, pochodzące z pierwszej połowy XVI wieku. Wszystkie trzy dzwoniły początkowo w nieistniejących już kościołach, stojących kiedyś w miejscu dzisiejszych: Trójcy Świętej w Koszęcinie, św. Marcina w starej sadowskiej dzwonnicy. Nie znamy – na razie

ich imion, fundatorów i inskrypcji, ale domyślać się można, że będzie to „szlagier” dla naszej lokalnej i śląskiej historii.

Powiedzmy coś o tych skarbach: Otóż śląskich dzwonów, zabranych podczas II wojny światowej poszukiwał od lat profesjonalista (a prywatnie przyjaciel piszącego te słowa), magister historii sztuki – Przemysław Nadolski. Kiedy znalazł wieść o tym, że ponad 200 dzwonów – dodajmy wielkich skarbów śląskiej kultury – ocalało z zawieruchy wojennej, poczęły się ich żmudne, ale skuteczne poszukiwania. Wiedziałem o wszystkim od lat, ale nigdy w najśmielszych oczekiwaniach nie przypuszczałem, że gdzieś w niemieckich kościołach, odbudowanych ze zgliszcz wojennych, dzwonią od ponad 60 lat nasze dzwony:

- dzwon pochodzący z Koszęcina (*Koschenthin*) odlany w 1566 roku o wadze 300 kg znajduje się obecnie w dzwonnicy kościoła Maryjnego w Selbitz – RFN;
- dzwon z Cieszowej (*Cieschowa*) odlany w roku 1670 o wadze 53 kg i średnicy 45 cm dzwoni w kaplicy Anioła Stróża w Winsen – RFN;
- dzwon z Sadowa (*Sodow*) odlany w roku 1522 o wadze 240 kg, znajduje się w aktualnie w dzwonnicy kościoła św. Stefana w Deusen – RFN.

Dzwony zostały zidentyfikowane tylko dzięki nazwom miejscowości znajdujących się w inskrypcjach. Przypuszczać należy, i mam taką nadzieję, że rozpoczęta już przeze mnie korespondencja z właścicielami „naszych dzwonów” przyniesie niebawem dalsze ciekawe wiadomości o tych starych pamiątkach sprzed wieków, które dotychczas znamy tylko dzięki protokołom kanonicznym zamieszczonych przez Jungnica w jego *Visitationsberichte der Diözese Breslau*. O wszystkich szczegółach – fundatorach, inskrypcjach i innych danych – będę informował zainteresowanych tym ciekawym odkryciem.

List otwarty do ks. proboszcza parafii NSPJ

Słowo mówione jest ulotne...

Przewielebny Księżu Proboszczu!

Gdyby nie nasza parafialna gazetka, nie miałbym chyba nigdy okazji, aby napisać do Księdza prawdziwy list. Jednak te słowa kierowane są nie tylko do naszego Duszpasterza, ale również do czytelników, a mówiąc szczerze, piszę je także w ich (niektórych parafian) imieniu.

Gwoli prawdy muszę przyznać, że na tematy, które pragnę w tym liście poruszyć rozmawiałem już zarówno z Ks. Proboszczem jak i z ks. wikarym Krzysztofem, ale chciałbym, aby ta „rozmowa” odbywała się niejako przy udziale wszystkich zainteresowanych.

Wiem, że słowo pisane (w przeciwieństwie do słowa mówionego) ma przedłużony żywot, że można je wielokroć powtarzać, przypominać sobie na nowo, a składające się z pięknych słów teksty można na nowo przeżywać.

Właśnie chodzi mi dzisiaj o słowa, o teksty wygłaszane przez naszych Duszpasterzy homilii, albo mówiąc – po staremu – kazań. Wielka szkoda, że kazanie można usłyszeć tylko jeden, jedyny raz, w konkretną niedzielę czy święto, na konkretny temat. Chciałbym – i tu nie jestem osamotniony – aby teksty wygłaszane przez naszych księży homilii drukowano w naszej coniedzielnej „Gazecie parafialnej”, po to, aby można je było jeszcze raz (albo wiele razy) przeczytać i przeżyć na nowo. Chciałbym, aby stały się one pewnego rodzaju „parafialnym słowem na niedzielę dzisiejszą”.

Muszę przyznać, że jestem pod głębokim wrażeniem kazania wygłoszonego przez Ks. Proboszcza w ubiegłą niedzielę (3 grudnia 2000), ale także pod urokiem wielu innych homilii wygłaszanych przez naszych księży. Wiem, że przygotowanie każdego wystąpienia wymaga od prelegenta wielkiej pracy. Trzeba godzinami szperać po różnorodnych księgach i składać ze zrozumiałych dla wszystkich słów, zrozumiałe teksty. A homilia to „nie byle jaki” tekst. To oparte o najważniejsze Księgi Pisma Świętego „Słowo Boże” głoszone w myśl słów Chrystusa: „Idźcie i nauczajcie”. Jestem przekonany, że zamieszczanie w gazetce tekstów wygłaszanych co niedzielę przez naszych księży kazań, pomnoży to nauczanie.

Chciałbym – korzystając niejako z okazji – prosić także naszych księży o swoje korepetycje z właściwego zachowywania się w kościele na mszy świętej (a może to tylko ja jestem pod tym względem zaniedbany?). Chodzi mi głównie o to: Jak zachować się bezpośrednio po przyjęciu Komunii Świętej? Nasze zachowania są bardzo różne – jedni czynią znak krzyża świętego lub „coś w tym rodzaju”, inni z nas kłaniają się, jeszcze inni klęczą „dłużej”, zamykają oczy itp. Chciałbym, aby przypomniano nam, co oznacza gest podania sobie ręki (albo jak to jest w niektórych parafiach, ukłonu) na słowa „przekażcie sobie znak pokoju” (większość z nas nie mówi nic, inni uśmiechają się do siebie, jeszcze ktoś inny potrząsa naszą ręką jakbyśmy się spotkali po latach). Chciałbym, aby przypomniano nam dlaczego na „Ewangelię Świętą” czynimy trzy małe znaki krzyża świętego na czole, ustach i sercu? Większość z nas zapomniała symboliki i znaczenia tych ważnych gestów. Dobrze by

było – moim zdaniem – przypomnieć nam dlaczego podczas mszy świętej tyle razy „wstawiamy” i „siadamy”?

Myślę, że na łamach naszej gazetki parafialnej mógłby się ukazywać swoistego rodzaju „Kodeks porządnego parafianina”, świadomego tego, co dzieje się w kościele i jak się tam zachowywać, aby godnie przeżywać liturgię.

Przepraszam za publiczne przyznanie się do „nienależytego zachowywania się w kościele”. Myślę jednak, że jest to w naszym życiu parafialnym (a chyba nie tylko naszym?) już prawie grzech powszedni.

Krótki biogram proboszcza Tadeusza Fryca

Koszęcin wybrał dla mnie Bóg

Słowa zacytowane powyżej i szerszy komentarz dotyczący długoletniego proboszczowania w parafii NSPJ w Koszęcinie, skierował ks. prałat Tadeusz Fryc do dziennikarza „Gościa Niedzielnego” na dwa lata przed pójściem – w roku 2006 – na zasłużoną emeryturę. Aby to zdanie nie było wyjęte z kontekstu, przytaczam cały akapit zamieszczony w obszerniejszym wywiadzie.

„Wierni są bardzo przywiązani do Kościoła. Odznaczają się głęboką wiarą i szczerą pobożnością. Po kilku dziesięcioleciach pracy wśród mieszkańców Koszęcina wiem, że zawsze mogę na nich liczyć, zwłaszcza obecnie, kiedy podjęliśmy się kosztownego remontu naszej świątyni. Ale dla mojej pracy zawsze najważniejsza była troska o zbawienie wiernych. Kościół rodzi się i dojrzewa zawsze w ludzkim sercu. W Koszęcinie, wśród moich wiernych czuję się dobrze. Przecież zostawiłem tu ogromną część swojego życia i nie żałuję dnia, kiedy biskup Bednorz skierował mnie właśnie tutaj. „Dziś jestem przekonany, że Koszęcin wybrał dla mnie Bóg”.

Ksiądz prałat Tadeusz Fryc urodził się 31 sierpnia 1932 roku w Kochłowicach. Posiada dwoje rodzeństwa – wspomnianą już siostrę Marię Zofię – zakonnicę w Zgromadzeniu Sióstr Służebniczek Najświętszej Marii Panny, która przez kilka lat była Matką Generalną swego Zgromadzenia, i brata Franciszka – emerytowanego profesora Uniwersytetu w Guildford w Anglii. Ksiądz proboszcz Tadeusz Fryc po ukończeniu studiów teologicznych w Krakowie przyjął święcenia kapłańskie 7 września 1955 roku, pełniąc przez następny rok obowiązki wikarego w Brzozowicach-Kamieniu. W latach 1956–1961 był wikarym w Radzionkowie i katechetą w miejscowym liceum. Następne siedem lat pracował w Wyższym Seminarium Duchownym w Krakowie

jako prokurator-przełożony i wykładowca tej liczącej wówczas ponad 400 studentów uczelni. Posiada wielkie zasługi dla tej instytucji, szczególnie w ocaleniu jej substancji materialnej, którą władze komunistyczne chciały zarekwirować. Od 1 września 1968 roku do końca czerwca 2006 roku pracował nieprzerwanie jako proboszcz parafii NSPJ w Koszęcinie, stając się poprzez 38-letnią posługę proboszczowską nie tylko swoistego rodzaju rekordzistą tej wspólnoty, ale także niedoścignionym organizatorem życia parafialnego i społecznej aktywności mieszkańców Koszęcina. Przy parafii – za jego zasługą – działają nie tylko liczne organizacje kościelne, ale także grupy społeczno-charytatywne, jak Abstynencki Klub Wzajemnej Pomocy „Radość” skupiający ludzi uzależnionych, wywodzących się z różnych miejscowości Śląska, czy też Koło Caritas wspomagające ludzi potrzebujących materialnego wsparcia z Koszęcina i gminy, a także np. z obszarów klęsk żywiołowych. Ksiądz prałat Tadeusz Fryc posiada ogromne – niedające się zbilansować – zasługi wychowawcze dla kilku pokoleń koszęcinian, którym wpajał nie tylko wartości religijne, ale także społeczno-obywatelskie. Potrafił zintegrować środowisko wokół pilnych prac remontowych i inwestycyjnych, takich jak budowa kaplic katechetycznych, w których prowadzono katechizację i działalność wychowawczą dzieci i młodzieży w czasach wyłączenia tej działalności ze szkół, czy też liczne remonty kościoła wymagające wielkiego wsparcia finansowego. Ksiądz prałat Fryc posiada także duże zasługi dla miejscowej i ponadlokalnej kultury poprzez reaktywowanie działalności chóru „Lutnia”, dbałość o tradycyjne Święto Gminne, plenerową Drogę Krzyżową, czy też coroczne patriotyczne nabożeństwa za ojczyznę, a także poprzez organizację wielkich i licznych koncertów zespołu „Śląsk” w kościele NSPJ w Koszęcinie, które stały się początkiem wejścia zespołu do polskich kościołów. Był także współinicjatorem – wraz z innymi ludźmi spoza zespołu (?) – opracowania nowatorskich, religijno-patriotycznych programów zespołu. Odosobnionym działaniem ks. proboszcza Tadeusza Fryca była także zgoda i przychylność (dla Jana Myrcika, który opracował dla obu obiektów *Białe karty*²⁰) na wprowadzenie pięknego neogotyckiego kościoła i unikatowego architektonicznie probostwa do katalogu zabytków architektury w Polsce. Ksiądz prałat Fryc pełnił przez wiele dziesięcioleci różne funkcje na szczeblu diecezjalnym. Był – z wyboru – członkiem Rady Kapłańskiej jeszcze w diecezji katowickiej, a później – z chwilą powołania

20 Białe karty ewidencyjne – dokumentacja przygotowywana w celu umieszczenia obiektów w ewidencji zabytków.

diecezji gliwickiej – pełnił tę funkcję z nominacji ks. bpa ordynariusza Jana Wieczorka. Od założenia diecezji gliwickiej, chyba do dzisiaj – jest duszpasterzem trzeźwości i ludzi uzależnionych. 11 czerwca 2001 roku Ojciec Święty Jan Paweł II uhonorował ks. proboszcza Tadeusza Fryca godnością prałata za zasługi dla Kościoła i wiernych. W 2005 roku ks. prałat Tadeusz Fryc znalazł się wśród 12 finalistów Ogólnopolskiego Konkursu na Proboszcza Roku, zaś w czerwcu 2006 roku Rada Gminy Koszęcin przyznała mu, za wielkie zasługi społeczno-wychowawcze dla mieszkańców gminy, zaszczytny tytuł Honorowego Obywatela Koszęcina. Posiada także Złoty Krzyż Zasługi, statuetkę „Za zasługi dla powiatu lublinieckiego” i statuetkę „Anioła Miłosierdzia” za troskę o ludzi potrzebujących i za zasługi dla Caritas. We wrześniu 2006 roku – przechodząc na emeryturę – ks. prałat Tadeusz Fryc pożegnał się oficjalnie ze swoją parafią, w której nieprzerwanie, przez 38 lat pracował bardzo owocnie i bezkonfliktowo, zasługując w pełni na miano „proboszcza szczególnego”, a także na wielki, niezastąpiony autorytet i ogromny szacunek. Nie pożegnał się jednak z ukochanym Koszęcinem. Tu zamieszkał i tu służy nadal ludziom i Kościołowi poprzez posługę duszpasterską i wielkie zaangażowanie społeczne.

„Szanuj i poważaj starość, przecież to twoja przyszłość”

Benefis ks. prałata Tadeusza Fryca z okazji 80. rocznicy urodzin

Zacytowane u samej góry artykułu przysłowie – które prawdopodobnie w czasach antycznych skreślił któryś z filozofów greckich – napisał kilkadziesiąt lat temu na dębowej desce koszęciński rzeźbiarz ludowy Augustyn Gwóźdź. Ta mała tabliczka wisi na jednej ze ścian w moim skromnym muzeum i przypomina wszystkim zwiedzającym, że prawie każdy z nas idzie drogą życia – czasem – jak mówi poeta – poprzez „dzieciństwo sielskie i anielskie”, poprzez „wiek męski” ku starości, inni powiedzą, ku jesieni życia. Zastrzegłem się, że „prawie wszyscy”, bo wielu „odchodzi” wcześniej do wiecznego Bytu niedoczekawszy się starości, odchodzi „nie narodziwszy się” w ogóle na ten świat, umierając w kwiecie wieku – w dzieciństwie, młodości i w wieku dojrzałym, ku rozpaczyci rodziców i bliskich, niezapisawszy swoich *tabula rasa*. Inaczej jest z ludźmi, których Bóg obdarzył dłuższym, albo wręcz długim życiem, dając im czasem wiele talentów i nakazał pomnażać ich liczbę, aby gdy staną u kresu swoich dni powiedzieć: „Pójdź błogosławiony...”, bo

pracowałeś długie lata w trudzie i znoju, orząc Boską glebę i siejąc ziarno wiary, bo zostawiłeś na tym łez padole obfity plon twoich zmagani, twojej heroicznej pracy i bezgranicznej życzliwości do ludzi. Te ostatnie słowa odnoszą się już do ks. prałata Tadeusza Fryca – jubilata, który na przełomie sierpnia i września 2012 roku obchodził swoje 80. urodziny²¹. Z tej także okazji – w ramach XIX Spotkania z Kulturą i Historią odbył się 1 września 2012 roku w koszęcińskim Domu Kultury benefis czczący ten wspaniały jubileusz. W uroczystości przygotowanej sali zgromadziło się ponad 70 do-
stojnych gości, reprezentujących różne kręgi społeczne i różne stany. Zjawili się przede wszystkim najbliżsi ks. prałata: rodzona 84-letnia siostra Zofia – zakonnica, piastująca w swoim zakonnym życiu wiele godności, będąc i Matką Generalną Prowincji i Matką Generalną Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP. Z dalekiego Londynu przyleciał do Koszęcina 87-letni brat ks. Tadeusza, Franciszek Fryc, emerytowany profesor jednego z londyńskich uniwersytetów, którego we wczesnej młodości wojenna poniewierka „przeniosła” na zachód z dala od bliskich i rodzinnych Kochłowic. Na spotkanie przybyli księża, którzy współpracowali z dostojnym jubilatą, siostry zakonne, zaprzyjaźnieni profesorowie i inni notable, przedstawiciele władz gminy, członkowie licznych grup społeczno-kulturalnych i organizacji przykościelnych, których ks. prałat przed laty – pełniąc obowiązki proboszcza – wychowywał dla Kościoła i społeczności obywatelskiej. Była także grupa dzieci z „Przedszkola u cioci Mariolki”, która zaśpiewała prałatowi *Barkę* i inne piękne pieśni religijne przeplatając ten repertuar uroczystą poezją. Oprawą muzyczną – ku radości wszystkich zebranych, a szczególnie ks. prałata – zajęli się muzycy, bracia Meisnerowie, którzy na fortepian i puzon wykonali wiele utworów muzyki poważnej najwybitniejszych klasyków. Także artysta-muzyk Brunon Czaja zadedykował jubilatowi wspaniałe utwory na skrzypce. Benefis od przysłowiowego „A do Z” przygotowali pracownicy koszęcińskiego Domu Kultury, którego dyrektorka Renata Pyrek prowadziła także tę wspaniałą – trwającą równie cztery godziny – imprezę. Wielu z zebranych zabierając głos składało jubilatowi życzenia i obdarowywało go kwiatami i komplementami, przypominając jego nieprzeciętne 38-letnie proboszczowanie w Koszęcinie i – także nieprzeciętne – metody działania i przedsięwzięcia organizacyjne. Piszącego te słowa spotkał także wielki zaszczyt przedstawienia w tzw. „laudacji” bogatej biografii ks. prałata

21 31 sierpnia – urodziny, 1 września – benefis, 2 września – uroczysta msza św. koncelebrowana z dwoma intencjami dziękczynnymi za ks. prałata Tadeusza Fryca.

Tadeusza Fryca, jego uzdolnień i wielkich dokonań na niwie Kościoła i życia społeczno-kulturalnego. Jego życie i działania zostały nagrodzone m.in. godnością Prałata Jego Świątobliwości Jana Pawła II, Złotym Krzyżem Zasługi, Honorowym Obywatelstwem Koszęcina, statuetką „Za zasługi dla powiatu lublinieckiego”, statuetką „Anioła Miłosierdzia” za działalność charytatywną Caritas i innymi wyróżnieniami. Z całej uroczystości nakręcono płytę pamiątkową, której odtwarzanie będzie przypominać samą uroczystość, jak i jej głównego bohatera.

Kandydat na ołtarze

Sługa Boży ksiądz biskup Wilhelm Pluta

Czczymy już „naszą” św. Edytę Stein, która przez swych dziadków związana była z Lublińcem. W mieście działa od lat stowarzyszenie i małe muzeum poświęcone świętej. Do godności błogosławionego Kościół wyniósł – pracującego kiedyś w lublinieckim Niższym Seminarium Ojców Oblatów – męczennika ojca Józefa Cebulę. Teraz coraz głośniej o wyniesieniu na ołtarze Sługi Bożego ks. biskupa Wilhelma Pluty, którego starsza generacja mieszkańców ziemi lublinieckiej знаła osobiście, który zostawił tu swój głęboki ślad kapłańskiej posługi.

Ksiądz biskup dr Wilhelm Pluta urodził się 9 stycznia 1910 roku w Kochłowicach. Po śmierci swej matki Agnieszki w 1939 roku, dziewięcioro dzieci wychowywał ojciec – sztygar górniczy kopalni „Wirek”. Zafascynowany fachem ojca, Wilhelm pragnął także zostać górnikiem, marzył nawet o studiach w Akademii Górniczej. Ale wiadomo, że jego losy potoczyły się inaczej. Dziecinne marzenia Ślązaka o pracy w podziemiach kopalni szybko wygasły. Po ukończeniu niemieckiej szkoły podstawowej w Turzokolonii i – już polskiego – gimnazjum klasycznego w Katowicach, późniejszy biskup wstępuje do Wyższego Seminarium Duchownego w Krakowie, aby w roku 1934 otrzymać święcenia kapłańskie. Należy nadmienić, że Wilhelm Pluta był wzorowym uczniem i studentem z celującymi ocenami. Władał biegle kilkoma językami: niemieckim, francuskim łaciną i greką. Posiadał rozległą wiedzę z dziedziny filozofii, psychologii, historii, pedagogiki. Był wybitnym znawcą teologii dogmatycznej i moralnej. W 1947 roku – będąc proboszczem w Koszęcinie – doktoryzował się. Jako kapłan pracował w gimnazjum męskim w Bielsku, następnie był wikarym w rodzinnej parafii Trójcy Świętej

w Kochłowicach, w parafii św. Antoniego w Chorzowie, w parafii św. Antoniego w Leszczynach i w parafii w Wirku.

Od 19 października 1946 do 6 grudnia 1948 roku ks. Wilhelm Pluta proboszczował w parafii NSPJ w Koszęcinie, a następnie w latach 1948-1951 pracował w parafii św. Mikołaja w Lublińcu. Kiedy już był biskupem, napisał do swych dawnych parafian ziemi lublinieckiej: „Ze wzruszeniem wspominam te lata, kiedy mi było dane pracować dla Was, ale i z Wami. Byliście bowiem bardzo dobrzy nie tylko dla mnie jako Waszego proboszcza – ale i dla sprawy Bożej. Nigdy mi nie uczyniliście najmniejszej krzywdy czy przykrości, a zawsze mogłem na Was liczyć. Nigdy nie lekceważyliście Bożych spraw”. Podobne słowa kierował do wiernych diecezji gorzowskiej, której był ordynariuszem w latach 1958-1986, do swej tragicznej śmierci²².

To prawda, że ks. Pluta potrafił zjednywać ludzkie serca, to prawda, że był on dla wszystkich wielkim autorytetem – dla parafian, dla duchowieństwa i dla... papieża, który modląc się u jego grobu powiedział m.in.: „Biskupie Wilhelmie, dziękuję Ci za to, co uczyniłeś dla Kościoła na tej ziemi. Za Twój trud, odwagę i mądrość. Dziękuję Ci za to, co uczyniłeś dla Kościoła w naszej ojczyźnie”. Ojciec Święty dobrze znał biskupa Plutę i darzył go wielką przyjaźnią. 4 lipca 1958 roku razem otrzymali sakrę biskupią, razem pracowali na Soborze Watykańskim II, razem przez wiele lat posługiwali Kościołowi w Polsce pracując na odpowiedzialnych stanowiskach w Episkopacie Polski i w diecezjach.

Nie sposób w krótkim artykule wymienić choćby tylko części zasług ks. bpa Wilhelma Pluty, nie sposób ukazać jego wielkiej wiary, talentu, zdolności, twórczości, i – co jest główną treścią tego artykułu – jego świętości. Tę ostatnią sprawę zostawmy jednak Kościołowi, który bardzo szybko dostrzegł i docenił jego charyzmat i jego zasługi dla Kościoła, wszczynając przed kilku laty proces beatyfikacyjny. Może już wkrótce nasz człowiek, biskup Wilhelm Pluta – którego wielu z nas znało osobiście – zostanie wyniesiony na ołtarze. Może już jako błogosławiony i święty będzie nosił zaszczytny tytuł „Zatroskany Pasterz”, którym jeszcze za życia obdarzyli go wierni ogromnej diecezji gorzowskiej. Może – przez beatyfikację biskupa Wilhelma będzie nam dane uwierzyć, że naprawdę... święci są wśród nas”.

22 Ks. Wilhelm Pluta zginął w wypadku samochodowym na drodze do Gubina 22 stycznia 1986 roku.

96. rocznica urodzin i 20. rocznica śmierci
Sługi Bożego ks. biskupa Wilhelma Pluty

Przyjaciel papieża i Zatroškany Pasterz

Pisząc te słowa mam przed sobą wydany pięć lat temu piękny album poświęcony księdzu biskupowi Wilhelmowi Plucie, o znamienym tytule *Zatroškany Pasterz* i artykuł „Przyjaźń świętych” zamieszczony w „Aspektach” – katolickim piśmie diecezji zielonogórsko-gorzowskiej z 22 stycznia 2006 roku. Albumem niejako rozpoczynano proces beatyfikacyjny, zaś „Przyjaźń świętych” dotyczy wielkiej przyjaźni łączącej Ojca Świętego Jana Pawła II z biskupem Wilhelmem Plutą.

Proces beatyfikacyjny – to jeden wielki powód, żeby nie powiedzieć nakaz do kolejnego wspomnienia wielkiego człowieka śląskiej ziemi, którego Kościół pragnie wynieść na ołtarze. Ale są jeszcze dwa inne – bardziej przyziemne – powody: 96. rocznica urodzin (9 stycznia 1910) i 20. rocznica tragicznej śmierci Sługi Bożego Wilhelma Pluty (22 stycznia 1986). Dzisiaj – dzięki życzliwości rodziny księdza biskupa – wspomnimy go nie tylko słowem, ale i obrazem zaczerpniętym z rodzinnego i biskupiego albumu.

Ksiądz biskup W. Pluta urodził się w 1910 roku w Kochłowicach na Górnym Śląsku. Po maturze w klasycznym gimnazjum w Katowicach i studiach na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie przyjmuje 24 czerwca 1934 roku z rąk księdza biskupa Bromboszcza święcenia kapłańskie. Na uł zdobył także magisterium (1935) i doktorat (1947). Obowiązki wikariusza pełnił w Bielsku-Białej, w Kochłowicach i w Chorzowie. Od roku 1942 do 1945 jest administratorem w Leszczynach. Następne pięć lat pracuje na ziemi lublinieckiej. W latach 1946–1948 jest proboszczem w parafii NSPJ w Koszęcinie, zaś w latach 1948–1951 kieruje parafią św. Mikołaja w Lublińcu. Później przez pięć lat jest proboszczem w Katowicach-Załęzu (1951–1956) i przez dwa lata (1956–1958) pełni obowiązki rektora Seminarium Pastoralnego dla neoprezbiterów. Od otrzymania sakry biskupiej w 1958 roku z rąk kardynała Wyszyńskiego, do swej śmierci w 1986 roku, jest ordynariuszem największej w Polsce diecezji gorzowskiej. Przez całe swe kapłańskie życie szczególną troską obdarzał rodziny i ludzi konsekrowanych. Papież Jan Paweł II – wielki przyjaciel księdza biskupa Pluty powiedział przy jego grobie: „Biskupie Wilhelmie, dziękuję Ci za Twój trud, odwagę i mądrość, za to, co uczyniłeś dla Kościoła w naszej Ojczyźnie”.

My dziękujemy mu w te rocznicowe dni modlitwą za to, co dla nas czynił, kiedy był wśród nas, i za to, co dla nas czyni, będąc już w Domu Ojca, w bliskości przyjaciela Jana Pawła II, gdzie oboje oczekują światła świętości.

Przytoczmy na zakończenie słowa księdza biskupa, którymi w liście z 1974 roku wspominał ludzi ziemi lublinieckiej: „[...] ze wzruszeniem wspominam te lata, kiedy mi było dane pracować dla Was, ale i z Wami. Byliście bowiem bardzo dobrzy dla mnie jako Waszego proboszcza – ale i dla sprawy Bożej”.

PS Zwracamy się z serdeczną prośbą do mieszkańców powiatu lublinieckiego, aby podzielili się z redakcją swoją wiedzą o Słudze Bożym księdzu biskupie W. Plucie, aby udostępnili zdjęcia, dyplomy, pisma, książki (z autografem) itp. Chcielibyśmy stworzyć jakiś skromny dokument bytności na ziemi lublinieckiej Sługi Bożego i kandydata na ołtarze księdza biskupa W. Pluty.

List pasterski o biskupie Wilhelmie Plucie

6 lutego 2000 roku, nasza „Gazeta parafialna” zamieściła obszerną informację dotyczącą biografii księdza biskupa Wilhelma Pluty i modlitwę o proces beatyfikacyjny tego wielkiego kapłana wywodzącego się ze śląskiej ziemi.

Dokładnie w czternastą rocznicę jego tragicznej śmierci (zginął w wypadku samochodowym na drodze do Gubina 22 stycznia 1986 roku) biskupi diecezji gorzowsko-zielonogórskiej, ks. bp diecezjalny Adam Dyczkowski i biskupi pomocniczy ks. ks. Paweł Socha i Edward Dajczak wydali list pasterski poświęcony pamięci ks. biskupowi Wilhelmowi Plucie. Treść tej bardzo ciekawej odezwy skierowanej do wiernych diecezji, której założycielem i długoletnim ordynariuszem był biskup W. Pluta, dotarła do moich rąk i w niniejszym artykule pragnę ją krótko czytelnikowi przedstawić.

We wstępie biskupi piszą: „Mimo upływu tak wielu lat, pamiętamy dobre oczy swojego Pasterza, który całym sercem kochał powierzonych mu przez Boga wiernych i niezmordowanie karmił nas Bożym słowem i Ciałem Pańskim...” Następnie kreślą jego zasługi dla Kościoła w Polsce, przytaczając słowa wypowiedziane przez Ojca Świętego nad grobem biskupa w czasie jego wizyty w Gorzowie 2 czerwca 1997 roku. Przypomnijmy, że Gorzów nie był w planie pielgrzymki papieskiej, a wizyta Ojca Świętego w katedrze nastąpiła na jego wyraźną prośbę. Znamienne i warte zacytowania są słowa wypowiedziane przez papieża nad grobem biskupa W. Pluty: „Pragnę z wdzięcznością wspomnieć śp. ks. biskupa Wilhelma Plutę. On budował niejako fundamenty

Kościoła gorzowskiego w czasach bardzo trudnych dla naszego kraju. [...] On tu jest na pewno razem z nami. Biskupie Wilhelmie, dziękuję Ci za to, co uczyniłeś dla Kościoła na tej ziemi. Za Twój trud, odwagę i mądrość. Dziękuję Ci za to, co uczyniłeś dla Kościoła w naszej Ojczyźnie”.

Karol Wojtyła dobrze znał biskupa Wilhelma Plutę. Znał go już jako biskup i kardynał krakowski, a później, już jako papież z uwagą śledził jego pracę i zaangażowanie w diecezji, Episkopacie Polski i jako uczestnika Synodu Biskupów w Rzymie.

Wielką wiedzę, wiarę, mądrość i świętość biskupa Pluty, jego gorzowscy następcy wspominają takimi słowami: „Życie duchowe, modlitwa i działalność duszpasterska biskupa Wilhelma Pluty, a także słowa Ojca Świętego publicznie wypowiedziane w czasie pielgrzymki w Gorzowie, stają się dla nas wyzwaniem. Stają się wymogiem podejmowania starań o wyniesienie na ołtarze tak utrudzonego, odważnego, mądrego zasłużonego dla Kościoła i przenikniętego duchem modlitwy biskupa Wilhelma Pluty...”. W dalszej części listu pasterskiego biskupi gorzowscy wspominają liczne prośby kapłanów i wiernych o podejmowanie starań mających na celu wyniesienia na ołtarze śp. biskupa W. Plutę. List pasterski kończy się słowami: „Ufamy Bogu, że modlitwy całej wspólnoty diecezjalnej w intencji beatyfikacji biskupa Wilhelma Pluty sprawią, iż podejmowane starania w Konferencji Episkopatu Polski o wszczęcie procesu beatyfikacyjnego i samo przeprowadzenie badań o heroicznosci cnót przyniesie naszej diecezji obfite owoce w postaci wstawiennictwa zmarłego w opinii świętości biskupa Wilhelma”.

PS Piszący te słowa miał możliwość przeczytania niesamowicie interesującej i obszernej pracy doktorskiej poświęconej biskupowi Wilhelmowi Plucie. Autor tego dzieła, poprzez dokładne badania empiryczne, ukazuje pełny obraz osoby świętobliwego biskupa, jego ogromne zawierzenie Bogu i zaangażowanie w sprawy Kościoła i ludzi. Wspomnianą pracę doktorską czyta się jak naukowo opracowany żywot świętego. W świetle treści tej pracy nie dziwią słowa biskupów napisane we wspomnianym liście pasterskim: „Mamy nadzieję, że modlitwy nasze będą owocować potwierdzeniem przez Kościół kultu biskupa Pluty najpierw jako sługi Bożego, a kiedyś jako błogosławionego”.

My koszęcinianie, wśród których pracował późniejszy biskup, my, którzy znaliśmy go, mamy taką samą nadzieję.

Dziękczynienie za błogosławionego Edmunda Bojanowskiego

W niedzielę 14 listopada 1999 roku odbyła się w starej, przepięknej katedrze wrocławskiej, niecodzienna uroczystość. Pod przewodnictwem ordynariusza archidiecezji wrocławskiej ks. kardynała Henryka Gulbinowicza, w asyście kilkudziesięciu księży, setek sióstr ze Zgromadzenia Służebniczek NMP i zapelnionej wiernymi katedry, odprawiona została uroczysta msza św. dziękczynna za wyniesienie na ołtarze błogosławionego Edmunda Bojanowskiego.

Piszący te słowa został na to wielkie ogólnopolskie święto zaproszony przez Matkę Generalną Sióstr Służebniczek Zofię Fryc – za... kilka zdań poświęconych błogosławionemu zamieszczonych w świeżo wydanej książce noszącej tytuł *Poeci ziemi lublińskiej* – i skorzystał z tego wielkiego wyróżnienia.

Kim był błogosławiony Edmund Bojanowski, czym zasłużył sobie na świętość i jakie łączyły go związki z ziemią śląską? Urodził się 14 listopada 1814 roku w Grabonogu w Poznańskim. Był synem ziemianina wywodzącego się ze szlachty śląskiej – właściciela kilku wiosek i matki z Unimskich pochodzącej również ze znanego rodu. Od wczesnej młodości Edmund znany był z nieprzeciętnych zdolności intelektualnych, szczególnie pasjonowała go literatura i kultura ludowa. Podobnie jak u nas Józef Lompa, również Bojanowski zbierał stare ludowe pieśni, bajki, klechdy i właśnie na tym polu współpracowali ci wielcy ludzie zapisani w XIX-wiecznej literaturze. Ale łączyła ich także służba dla najbiedniejszych, poniewieranych i opuszczonych ludzi wsi.

Bojanowski miał od dzieciństwa kłopoty ze zdrowiem, z tego też względu nie ukończył studiów rozpoczętych we Wrocławiu, a kontynuowanych później w Berlinie. Oddał się bez reszty najbiedniejszym, najbardziej potrzebującym. Gromadził w założonym przez siebie sierocińcu i małym szpitaliku sieroty i ludzi dotkniętych epidemią cholery. Zakładał ochronki, biblioteki i swoistego rodzaju placówki kulturalne mające na celu wydzwignięcie biedoty wiejskiej z zacofania i niedostatku. Ukoronowaniem jego bogatego w różnych działaniach, ale obciążonego nieustanną chorobą życia, było założenie w połowie XIX wieku nowego zgromadzenia zakonnego – Sióstr Służebniczek NMP. Jest to wydarzenie tym bardziej znaczące, gdyż Edmund Bojanowski był człowiekiem świeckim. Dzisiaj służebniczki liczą ogółem prawie 3500 sióstr. Pracują w 470 placówkach krajowych i w 60 placówkach w 15 krajach świata, w tym również w Afryce i Ameryce.

Kilkuosobowa delegacja z Koszęcina z ks. proboszczem Tadeuszem Frycem czuła się we wrocławskiej katedrze jak w przysłowiowym własnym domu.

Nasze parafie przynależały bowiem przez całe wieki do 1923 roku do diecezji wrocławskiej. Również w tej katedrze, w kaplicy św. Michała Archanioła spoczywają doczesne szczątki znanego biskupa wrocławskiego, urodzonego w Cieszowej ks. Jana Strachwitza. Podczas uroczystości nasze miejsca były bardzo blisko ołtarza w zarezerwowanej części kościoła, skąd mogliśmy pełniej uczestniczyć w uroczystościach religijnych i również z bliska przyjrzeć się przebogatemu wnętrzu tej wspaniałej romańskiej świątyni.

Uroczystość rozpoczęła się powitaniem dostojnych gości przez Matkę Generalną siostrę Zofię. Wspaniałą homilię – przyjętą oklaskami – wygłosił ks. prof. Marian Fąka, autor licznych publikacji, w tym także książki o błogosławionym Edmundzie Bojanowskim noszącej tytuł *Ziarno wrzucone w ziemię*. Piękne słowa skierował do zebranych J.E. ks. Kardynał Gulbinowicz, zaś ozdobnikiem tej przebogatej liturgii były przygotowane na najwyższym poziomie artystycznym śpiewy w wykonaniu utalentowanych sióstr.

Koszęcińską delegację spotkał również zaszczyt uczestniczenia w towarzystwie dostojnych gości w przyjęciu przygotowanym w Domu Generalnym Sióstr Służebniczek we Wrocławiu.

Za ten wielki zaszczyt bezpośredniego uczestnictwa w dziękczynieniu za wyniesienie na ołtarze błogosławionego Edmunda Bojanowskiego, za ogrom życzliwości, której doświadczyliśmy we Wrocławiu pragnę w imieniu koszęcińskiej delegacji jak najserdeczniej podziękować wszystkim siostrom z Matką Generalną siostrą Zofią na czele. Dziękujemy również ks. proboszczowi Tadeuszowi za „transport”.

Opłatek w pałacu

Narodziła się nam dobroć

We wtorek, dnia 21 grudnia 1999 roku, w dawnej sali balowej koszęcińskiego pałacu, miała miejsce niecodzienna uroczystość. Dla zaproszonych przez dyrekcję gości, ale także dla siebie, artyści zespołu „Śląsk” – który od kilku miesięcy nosi imię swego założyciela i długoletniego dyrektora prof. Stanisława Hadyny – wystąpili ze wspaniałym koncertem kolędowym. Było to ze wszech miar spotkanie w rodzinnym gronie, kolędowanie Maluczkiemu, który urodził się – po raz dwutysięczny – tym razem nie w ubogiej stajence, ale w koszęcińskim pałacu. Kolędownali Mu szczególnie kolędnicy, w najpiękniejszych ludowych strojach, śpiewając i grając najpiękniejsze kolędy.

Od wielu lat zespół sięga głęboko w genezę twórczości ludowej, do jej religijnego nurtu, przez co zjednuje sobie wdzięczność tysięcy wielbicieli. W koncertach „Śląska” stare polskie kolędy nabierają barwniejszego kolorytu, są bardziej ludowe i przez to bliższe naszym sercom. Ale to, co zobaczyliśmy i usłyszeliśmy w „opłatkowy” dzień przeszło najśmielsze oczekiwania. To był pewnego rodzaju szok – i repertuarowy, i choreograficzny, i etnograficzny. Wspaniale opracowane muzycznie kolędy, chyba po raz pierwszy w kolędowaniu włączeni zostali artyści baletu, wyciągnięto także z „lamusa” magazynowego stare, chyba co najmniej trzydziestoletnie stroje, najmniej stylizowane i przez to bardzo piękne. Ciasnota na sali pozwoliła widzom być bliżej artystów, podziwiać ich kunszt i urodę. Można było dostrzec pracę tych, których nie ma na scenie. Artystycznie wplecione warkoczki, czyściutkie, precyzyjnie odprasowane i wyrównane jak na defiladzie stroje, delikatne makijaże i oddanie sztuce. Myślę, i jestem tego pewny, zresztą to można było odczytać z radosnych uniesień, że śpiewanie kolęd sprawiała artystom – podobnie jak widzom i słuchaczom – autentyczną radość. Oni swoim śpiewaniem, swoim talentem radowali nie tylko obecnych na sali, oni śpiewali Jemu, Nowonarodzonemu. To dotyczy również artystów-muzyków, artystów baletu, kadry artystycznej z dyrygentem Krzysztofem Dziewiętkim, choreografem Władysławem Stefanikiem i dyrektorem artystycznym Jerzym Wójcikiem. Dostojni goście, w tym wysocy przedstawiciele Urzędu Marszałkowskiego Sejmiku Województwa Śląskiego mogli się naocznie przekonać, że zespół „Śląsk” jest nadal tym samym zespołem co przed laty, że jest nadal potrzebny ziemi śląskiej i Polsce, że daje radość i szczęście. Nic więc dziwnego, że wicemarszałek Sejmiku Województwa Śląskiego wręczył oficjalnie na tym uroczystym spotkaniu panu Adamowi Pastuchowi nominację na dyrektora naczelnego zespołu „Śląsk”.

Od św. Piotra do Jana Pawła II

W kilku zdaniach o papieżach

Jubileusz dwóch tysięcy lat Kościoła to także jubileusz dwóch tysięcy lat papieństwa. Od słów Chrystusa „Ty jesteś Piotr, czyli Opoka, i na tej opoce zbuduję Kościół mój...” rozpoczęła się historia biskupów Rzymu.

W noc wigilijną 1999 roku papież Jan Paweł II otworzył symbolicznie świętą bramę bazyliki św. Piotra. Cały chrześcijański świat i nie tylko chrześcijański, wejdzie w trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa. To naprawdę ogromne

szczęście i wielka łaska dla naszego pokolenia, że dane nam będzie przekroczyć ten wysoki, magiczny próg spinający tysiąclecia, że będziemy mogli świętować dwutysięczną rocznicę narodzin Jezusa Chrystusa.

Wiemy coś niecoś o tym, jak wyglądał świat dwa tysiące lat temu. Był bardzo słabo zaludniony, sytuacja komunikacyjna i informacyjna była niesamowicie trudna. Na świecie i w Europie obowiązywało prawo pogańskie. Ale najważniejsze wydarzenie sprzed dwóch tysięcy lat – narodzenie Boga-człowieka – przybliżyli nam ewangelisci. Wtedy rozpoczął się czas „po Chrystusie”, albo mówiąc po świecku, rozpoczęła się „nowa era”. Świat rozpoczął odmierzenie czasu od roku zerowego. 33 lata później Piotr usłyszał słowa „[...] Ty jesteś Piotr, czyli Opoka...” i rozpoczęła się historia papieży.

Od św. Piotra do Jana Pawła II w stolicy apostolskiej zasiadało 262 papieży. Historycy kościoła doliczyli się również 39 antypapieży – ludzi, którzy w sposób nielegalny uważali się za następców św. Piotra. Najczęściej papież wybierali imię Jan (dwudziestoczekrotnie), imiona Benedykt, Grzegorz i Klemens wybierane było siedemnastokrotnie, Piusów było dwunastu, a Stefanów dziesięciu. Imiona Roman, Dodues i Xystus wybierane były tylko jeden raz. Również tylko jeden papież nosił imię Piotr. Imię Jan Paweł wybrało dwóch ostatnich papieży. Prawie wszyscy papieże pochodzili z Włoch, z innych krajów było ich zaledwie kilku, wśród nich Karol Wojtyła, który po 455 latach panowania Italczyków, nie pochodzi – jak wszystkim wiadomo – z Włoch.

Mówiąc o papieżu Polaku, o papieżu Słowianinie, nasuwa się nieodparcie myśl o proroczym wierszu Juliusza Słowackiego z 1848 roku, w którym przepowiedział światu, że pan Bóg „Dla słowiańskiego oto papieża otworzy tron...”.

Wspomnijmy zatem najkrócej jak tylko można biografie dwóch papieży. Tego, który rozpoczynał dzieje Kościoła dwa tysiące lat temu – św. Piotra, i tego, który wprowadzi Kościół w trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa.

Święty Piotr pochodził z Betsaidy, gdzie wraz z bratem Andrzejem zajmował się rybołówstwem. Jezus nadał Szymonowi imię Piotr²³. Piotr był najbardziej oddanym Chrystusowi uczniem spośród dwunastu apostołów. Razem z Janem przygotował Ostatnią Wieczerzę, był też jako pierwszy przy pustym grobie Jezusa i jako pierwszy zobaczył go zmartwychwstałego. Po śmierci i zmartwychwstaniu Jezus postawił Piotra na czele Kościoła. Pierwszy papież piastował ten urząd do 64 lub 65 roku n.e., kiedy to w czasie prześladowań Nerona poniósł śmierć męczeńską przez ukrzyżowanie głową w dół.

23 Imię Piotr – po aramejsku *Kepha*, co znaczy skała.

Święty Piotr był człowiekiem z ludu wziętym, prostym i niewykształconym rybakiem. Ostatni natomiast, papież Karol Wojtyła, jest wszechstronnie wykształconym profesorem i kardynałem, pisarzem i uczonym, wybitnym teologiem i filozofem, a także wspaniałym kaznodzieją i mówcą. Urodził się 18 maja 1920 roku w Wadowicach, gdzie ukończył również szkołę średnią. Rozpoczęte studia przerywa II wojna światowa. Następnie pracował ciężko w kamieniołomach. Później studia teologiczne i kapłaństwo. Jako wikary posługiwał w Niegowici koło Bochni. Później, w 1948 roku – doktorat, w 1953 – habilitacja, zaś w 1956 Karol Wojtyła zostaje profesorem. Sakrę biskupią otrzymał w lipcu 1958 roku, arcybiskupem zostaje w 1963 roku, a kardynałem w 1967 roku. 16 października 1978 roku, po niespodziewanej śmierci Jana Pawła I, Karol Wojtyła zostaje wybrany na 262. papieża. Jan Paweł II zna biegle kilka języków, jest autorem licznych rozpraw naukowych, utworów literackich i scenicznych, a także wielu encyklik i innych dokumentów stolicy apostolskiej, jest wielkim pielgrzymem Dobrej Nowiny. Jako człowiek, kapłan i papież może być przykładem dla ludzkości i Kościoła. Myślę (choć nie wierzę w przepowiednie), że Juliusz Słowacki swoim wierszem „wyprorokował” zalety i geniusz Jana Pawła II, bo chyba ten wiersz Słowackiego, którego fragmenty poniżej zamieszczam... jest o nim.

Pośród niesnasek Pan Bóg uderza

W ogromny dzwon,

Dla słowiańskiego oto papieża

Otworzył tron.

Ten przed mieczami tak nie uciecze

Jako ten Włoch,

On śmiało, jak Bóg, pójdzie na miecze;

Świat mu – to proch!

Twarz jego słowem rozpromieniona,

Lampa dla sług,

Za nim rosnące pójdą plemiona

W światło, gdzie Bóg.

Na jego pacierz i rozkazanie

Nie tylko lud –

Jeśli rozkaże, to słońce stanie,

Bo moc – to cud!

*On się już zbliża – rozdawca nowy
Głobowych sił:
Cofnie się w żyłach pod jego słowy
Krew naszych żył;
W sercach się zacznie światłości Bożej
Strumienny ruch,
Co myśl pomyśli przezeń, to stworzy,
Bo moc – to duch.*

*A trzeba mocy, byśmy ten pański
Dźwignęli świat:
Więc oto idzie papież słowiański,
Ludowy brat;
Oto już leje balsamy świata
Do naszych łon,
A chór aniołów kwiatem umiata
Dla niego tron.*

*On rozda miłość, jak dziś mocarze
Rozdają broń,
Sakramentalną moc on pokaże,
Świat wzięwszy w dłoń;*

[...]

*Takiego ducha wkrótce ujrzycie
Cień, potem twarz:
Wszelką z ran świata wyrzuci zgniłość,
Robactwo, gad,
Zdrowie przyniesie, rozpali miłość
I zbawi świat;
Wnętrze kościołów on powymiata,
Oczyści sień,
Boga pokaże w twórczości świata,
Jasno, jak dzień.*

Diecezjalne Sanktuarium Matki Boskiej Lubeckiej

Przed dwunastu laty – dekretem z 14 sierpnia 1994 roku – biskup gliwicki Jan Wieczorek ustanowił wiekowy kościół w Lubecku Diecezjalnym Sanktuarium Matki Boskiej.

To wielkie wyróżnienie tej zabytkowej świątyni nie było przypadkowe. Przyczyniły się do tego całe wieki życia parafialnego, a nade wszystko, przechowywana tam, słynąca łaskami, malowana na srebrnej blasze o wymiarach 12,5×7,5 cm miniatura cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Ważnym dokumentem, który przyczynił się do powyższego dekretu, była napisana ponad 80 lat temu przez lubeckiego proboszcza Banasia, mała książeczka zatytułowana: *Historja Kościoła Katolickiego w Lubecku i słynącego tam łaskami obrazu Matki Boskiej*. Ksiądz Banaś napisał tę książeczkę z kilku powodów, które przedstawił w czterech rozdziałach: „Historja Lubecka i kościoła jego”, „Historia cudownego obrazu”, „Cuda i łaski”, „Ostatni remont kościoła”.

Z pewnością napisanie tej broszurki kosztowało proboszcza wiele wysiłku i czasu. Musiał poznać historię miejscowości i historię kościoła. Prześledził wiele dokumentów znajdujących się zarówno w parafii (księgi metrykalne, kroniki itp.), jak i „cywilne” akta dotyczące dóbr parafialnych, budowy i remontów kościoła, protokołów kanonicznych i innych. W rozdziale „Ostatni remont kościoła” ks. Banaś – niczym wytrawny księgowy – przedstawił parafianom swoisty bilans przychodów i kosztów przeprowadzonego przez siebie remontu kościoła i kłopotów z tym związanych.

Historia Lubecka sięga początków XIII wieku. Pierwszy dokument dotyczący dla „Lubiczka” powstał w 1226 roku, zaś pierwsze zapisy dotyczące kościoła w Lubecku pochodzą 1342 roku. W 1362 roku – jak dowodzi historyk Herman Neuling: „podpisał Joannes, plebanus de Lubiczko dokument księcia opolskiego Wojciecha”. A więc życie parafialne w Lubecku istniało już przed 600 laty.

Aktualny, zabytkowy kościół w Lubecku pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny zbudowano w 1679 roku. Wielokrotnie remontowany i przebudowywany. Dzisiejszy kształt architektoniczny kościoła pochodzi z 1787 roku. Wtedy, przy znacznej rozbudowie świątyni, wybudowano w miejsce drewnianej, murowaną wieżę. Kościół orientowany, murowany z kamienia i cegły, potynkowany, jednonawowy. Dachy siodłowe, pokryte blachą. W kościele trzy ołtarze: główny – późnobarokowy, flankowany kolumnami

z rzeźbami świętych. W retabulum ołtarza czczony obraz Matki Boskiej Lubeckiej. Ołtarze boczne z drugiej połowy XVII wieku poświęcone są św. Urbanowi i św. Walentemu. W kościele ambona barokowa i chrzcielnica z XVII wieku oraz inne dzieła sztuki sakralnej. W ścianie płyta nagrobna Jana Kochcickiego z 1549 roku.

Historia słynącego łaskami obrazu Matki Boskiej Lubeckiej sięga 1716 roku, kiedy to w dziwnych okolicznościach odnaleziono ową kopię cudownego obrazu MB Częstochowskiej. Od tego czasu kościół w Lubecku stał się miejscem pątniczym. Proboszcz Banaś o tym wydarzeniu napisał m.in.: „Kościół w Lubecku wśród innych tym się odznacza, że w nim znajduje się łaskami słynący obraz Matki Boskiej”. Jedną trzecią swej książeczki, bo aż 30 stron, poświęcił autor obrazowi i spisany przez swoich poprzedników licznym łaskom wymodlonym u stóp lubeckiej Madonny.

Długie, ciekawe wieki Lubecka, jego kościoła i życia parafialnego, a nade wszystko słynącego łaskami obrazu Matki Boskiej, przyczyniły się do faktu podniesienia świątyni stojącej na „Lubeckiej Górze” do godności Diecezjalnego Sanktuarium Matki Boskiej Lubeckiej.

Z lubeckim kościołem związana była przez wszystkie lata swego życia Franciszka Ciemięga (1867–1935), o której – nie wiadomo dlaczego – ks. Banaś nie wspominał w swoim dziełku. Ta świątobliwa, prosta kobieta – zwana potocznie „Francką” lub „Dziółszką z Kanusa” zmarła w opinii świętości, a jej grób przylegający do zewnętrznej ściany prezbiterium, jest ciągle otaczany wielkim szacunkiem i czcią.

Ciekawostki historyczne sprzed wieków

Budowa kościoła św. Wawrzyńca w Kochanowicach

W gminie Kochanowice – w skład której wchodzi sołectwa: Kochanowice, Harbułtowice, Droniowice, Jawornica, Lubecko, Kochcice, Lubockie-Ostrów, Pawelki oraz przysiółki Szklarnia i Swaciok – zamieszkuje aktualnie niespełna 7 tys. mieszkańców. Kiedyś dobra tej ziemi należały m.in. do hrabiowskiej rodziny von Aulock. W 1823 roku Sylwiusz von Aulock wybudował w Kochanowicach kościół pw. św. Wawrzyńca. I właśnie o ciekawych zdarzeniach mających związek z tą budową chciałbym dzisiaj wspomnieć.

Kochanowice przynależały do 1844 roku do parafii Lubecko, z której ksiądz odprawiał w tutejszym kościółku msze święte.

W roku 1889 – ze względów na zagrożenie budowlane – rozebrano mały, wiekowy drewniany kościółek w Kochanowicach. Ze starych belek, zakupionych za 225 marek, rolnik Klemens Kadzioch wybudował mały domek mieszkalny. Od tego czasu mieszkańcy Kochanowic uczęszczali do filialnego kościołka w Lisowie, w którym odprawiano zaledwie kilka mszy świętych w roku.

W pierwszej połowie XIX wieku, ze względu na rozbudowujące się w okolicy kopalnictwo rud żelaznych ilość mieszkańców wzrastała. Istniała więc potrzeba wybudowania nowego, większego kościoła. Ówczesny pan na Kochanowicach powziął decyzję przystąpienia do budowy nowej świątyni, nie w Lisowie, lecz w miejscu swego zamieszkania – w Kochanowicach. Z tego powodu napisał w swoim pamiętniku: „Po szczęśliwym zakończeniu strasznej wojny 1812–1815 powziąłem decyzję, aby Bogu Najwyższemu i Wszechmocnemu na chwałę wystawić w Kochanowicach, na mój koszt kościół pw. św. Wawrzyńca. Natychmiast przystąpiłem do gromadzenia materiałów budowlanych i w dniu 19 marca 1822 roku położono kamień węgielny pod nową świątynię”.

Jak wynika z historycznych zapisków, roboty ruszyły z miejsca i nabrały wielkiego tempa. Położono fundamenty, wybudowano ściany główne i już prawie kończono budowę wieży, kiedy stało się nieszczęście. Wieża runęła. I tu zaczyna się „ciekawostka” nazywana także przez współczesnych cudem.

Prześledźmy to niesamowite zdarzenie za zapisem fundatora hrabiego Sylwiusza von Aulok zamieszczonym w jego pamiętniku: „Rankiem 14 sierpnia 1822 roku, kiedy po obudzeniu się chciałem wstać z łóżka, naszała mnie wielka słabość. Postanowiłem więc jeszcze na pewien czas pozostać w łóżku. Kiedy zasnąłem, śniłem o strasznej tragedii. Znajdowałem się w budującym się kościele, kiedy z górnej części wieży wypadły trzy cegły i wysoka wieża natychmiast poczęła się walić. W tym momencie obudziłem się i szybko pobiegłem na plac budowy. Natychmiast zauważyłem zarys na wieży i dałem poleceniu czterem murarzom, aby szybko opuścili budowę. Ze względów na wysokość, pracowało na wieży także ponad trzydziestu pomocników, którzy na specjalnych noszach i taczkach donosili i dowozili cegłę i inne materiały budowlane. Im też dałem polecenie natychmiastowego i szybkiego opuszczenia miejsca pracy. Kiedy około godziny dwunastej znajdowałem się wspólnie z właścicielem dóbr panem Gratzą, w środku kościoła wypadły z wieży, na wysokości sklepienia chóru, trzy cegły i ledwo zdążyliśmy – poprzez zakrystię – wydostać się na zewnątrz. Widzieliśmy wraz

z uratowanymi pracownikami walącą się wieżę, która wówczas swą wysokością przekraczała dzisiejszą. Bogu wszechmogącemu należy dziękować za to, że ten wielce nieszczęśliwy wypadek nie pociągnął za sobą żadnych ofiar”. Prawdopodobną przyczyną zawalenia się wieży był błąd murarzy, którzy pomiędzy skrajne cegły murów wrzucali kamień wapienny, „rozlasowany” niebawem przez wilgoć.

Niemal natychmiast po nieszczęściu przystąpiono do usunięcia gruzu i budowy nowej wieży, którą w tym samym – 1822 roku – doprowadzono do wysokości dachu. 9 września 1823 roku – w dniu urodzin fundatora – umieszczono w kopule wieży, w pozłożonym naczyniu akt historyczny i większą ilość monet. Poświęcenie kościoła – „długiego na 70 stóp, szerokiego na 42 stopy i wysokiego na 59 stóp” miało miejsce 5 października 1823 roku. Aktu tego dokonał kuzyn fundatora biskupa Maroka i Wrocławia w asyście krewnych rodu von Aulock i ogromnych rzesz wiernych.

Krótki rys historyczny miejscowości należących do parafii w Jędrysku

Rodowód miejscowości Jędrysek i Kalety, a także innych wiosek należących wcześniej i dzisiaj do parafii św. Józefa w Kaletach-Jędrysku sięga zamierzchłych czasów.

Z różnych źródeł dowiadujemy się, że były to przed wiekami leśne osady, których nieliczni mieszkańcy zajmowali się uprawą ziemi, hodowlą, a później także kuźnictwem.

Jędrysek – to miejscowość wywodząca się niewątpliwie od kuźnika zwanego Jędryskim. O kuźniku tym wspomina w swoim dziele *Officina ferraria, albo warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego* Walenty Roździeński. Autor książki wydanej w roku 1612 u Kempiniego w Krakowie, pisanej prawdopodobnie na koszęcińskim pałacu pod patronatem Andrzeja Kochcickiego, opisuje interesujące nas miejscowości przy okazji omawiania kuźnic stojących nad rzeką Mała Panew. Idźmy zatem szlakiem wodnym prowadzeni przez zacnego mistrza Walentego:

*Te kuźnice Małpadwią z przodu nazywano
Od Małpadwie, iż ją zbudowano
Przy niej; zaczym tych czasow te wszystkie kuźnicze,
Małpadewskimi zową, co są na tej rzece.
Których jest siedm: od gory Zielonego pierwsza,
Wtorą miodowską tę, co jest jej bliższa,
Pod tą jest barzo stara kuźnica kuczowska,
Czwarta niżej w poł mili leży jędryskowska.
Niżej zaś jędryskowskiej w ćwierć mili kuźnice
Jest plaplińska kuźnica tam, gdzie Pałecznice
Strumień wpada w Małpadew, którą osobliwie
Na kopcu postawiono w miejscu grzecznym prawie...*

Ten fragment *Officyny* utwierdza w przekonaniu, że nazwy miejscowości Kuczów i Jędrysek wywodzą się od nazwisk, bądź imion dawnych właścicieli kuźnic. Dzięki Roździeńskiemu wiemy także, że wioski te istniały już na pewno z początkiem XVII wieku, zaś stwierdzenie „bardzo stara kuźnica kuczowska” odsyła nas głęboko w minione wieki.

Także „Protokółarz woźnicki” (1483–1598) wspomina o tych miejscowościach. Księga notuje Jędryska pod datą 1505 roku w notatce „mistrz Jędrysek czynszuje produkcją jednego tygodnia w żelazie, czyli pięć wozów”, zaś o Kuczu napisano w 1560 roku, iż „na kuźnicach był mu winien u Miodka i u Kucza”. W roku 1598 wzmiankowany jest w aktach magistratu w Tarnowskich Górach niejaki Bieniek, pochodzący z kuźnicy Jędryskowej.

Wspomniana także przez Roździeńskiego kuźnica plaplińska znajdowała się między Kaletami i Drutarnią.

Jędrysek stanowił do 1933 roku samodzielną gminę i administracyjnie należał do powiatu tarnogórskiego.

Miejscowość Truszczyca leżąca także nad rzeką Mała Panew, datowana jest już w roku 1392, kiedy tę wioskę zakupił Trusk. To właśnie od jego nazwiska, zdaniem J. Musioła wioska przybrała nazwę. Wypowiedź zaś Jana Nowaka – autora książki o Tarnowskich Górach – dowodzi jej pochodzenia od „trusi” czyli królików, których w okolicznych lasach było bardzo dużo.

Miejscowość wspomniana jest z początkiem XVII wieku, kiedy stanowiła własność Puecklera. W 1697 roku kupił tę wioskę Mikołaj Holly, a w 1709 roku Henryk Brusiek. Od 12 października 1750 roku Truszczyca stanowi własność hrabiego Henkla von Donnersmarcka. Oprócz działających kuźnic

w roku 1768 czynna tu była fryszerka. Truszczycę w roku 1871 zamieszkiwało 96 mieszkańców, w roku 1891 – 140, 1920 – 243, 1936 – 248, 1958 – 174. Ówczesne statystyki podają także imię i nazwisko właściciela młyna – Tomasza Świtałę – zarządzającego nim w 1721 roku.

W 1765 roku wizytator szkolny zanotował: „Truszczyca ma posyłać do szkoły dwie dziewczyny, ale żadna nie chodzi”.

Kuczów – który administracyjnie należy do miasta Kalety był także przez wiele dziesięcioleci częścią parafii jędryskowskiej.

Miejscowość ta, w której już około 1365 roku były czynne dymarki, posiada bardzo bogate tradycje kuźnicze trwające do początków XIX stulecia. W połowie XVIII wieku kuczowską kuźnicę dzierżawił Jan Koulhaszcz płacąc za roczną dzierżawę „tysiąc dukatów i 60 centnarów żelaza”.

Jedną z licznych kolonii Kuczowa była wtedy osada Kalyta (Kalety), gdzie stać miała kuźnica.

Kuczów zamieszkiwało w 1901 roku 231 mieszkańców. Samodzielna kiedyś gmina Kuczów miała pieczęć z herbem wyobrażającym mechaniczny młot nad kowadłem.

Mała wioska Mikołeska została założona około roku 1780 i skupiała głównie robotników wypalających węgiel drzewny – potrzebny do wytopu żelaza. Ludzi trudniących się tym zawodem nazywano smolarzami bądź kurzokami. Miejscowość ta w XIX wieku miała obszar tysiąca hektarów, z czego przeszło 90% stanowiły lasy należące do rodu Hohenlohe.

W 1806 roku wybudowano tu szkołę, wtedy też Mikołeskę przyłączono do utworzonej parafii w Jędrysku. Na początku wieku mieszkało tu 150 ludzi, zaś w roku 1926 – 206.

Wioska była kiedyś samodzielną gminą, mającą w pieczęci godło przedstawiające mały domek z dymiącym kominkiem.

Kalety, od 1951 roku miasto Kalety, są także podobnie jak Jędrysek, Kuczów, Mikołeska czy Truszczyca miejscowością bardzo starą. Niestety trudno dociec początków tej dawnej osady, a także genezy jej nazwy. Dawne Kalety to mały przysiółek graniczący z dużo większym Zawodziem, które później już w początkach XIX wieku stopiło się w jeden organizm administracyjny z Kaletami. Na pewno także i tutaj przez wieki wytapiano żelazo, z pewnością w okolicznych lasach wypalano węgiel drzewny. Wiadomo, że w połowie XVIII wieku, wspomniany wcześniej hutnik Koulhaszcz – właściciel Kuczowskiej kuźnicy posiadał także „najbardziej zasobną kolonię Kalyta”, a w 1790 roku założył tu fabrykę pilników, noży i innych wyrobów hutniczych, a także... guzików. Ten przedsiębiorczy człowiek – protoplasta

uprzemysłowienia Kalet – przeprowadzał już pod koniec XVIII wieku próbę koksowania węgla.

Kalety i inne dzielnice dzisiejszego miasta od XVII wieku należały do rodziny Donnersmarcków. Kiedy w połowie XIX stulecia upada w tych okolicach hutnictwo, Donnersmarck na terenie dawnej huty urządza tartak, a w latach 1882–1884 buduje nieopodal fabrykę celulozy, która w późniejszym okresie produkowała także papier. W 1918 roku posiadłość tę kupuje spółka „Natronag”, która przetrwa tu do końca II wojny światowej. Fabryka Celulozy i Papieru przez cały wiek dawała zatrudnienie mieszkańcom Kalet i okolicy. Pod koniec XIX stulecia pracowało tu 300 ludzi, w roku 1930 już 900 pracowników, aby pod koniec lat 80. dojść do liczby przekraczającej dwa tysiące zatrudnionych. Niestety, historia fabryki skończyła się w naszych czasach. W roku 1933 nastąpiła reorganizacja administracyjna w byłym województwie śląskim. Między innymi od powiatu tarnogórskiego odłączono wtedy Kuczków, Jędrysek i Truszczyce, które razem z Drutarnią utworzyły gminę Kalety. Obszar miasta wynosi ponad 50 km², z czego ⅓ stanowią lasy. Na początku wieku Kalety zamieszkiwało niecałe 200 osób. W roku 1930 prawie 2000, obecnie razem z dzielnicami 9040 mieszkańców.

Kościół i inne obiekty parafialne w Kaletach

Pracowity, sumienny i mądry proboszcz żyglińskiej parafii ks. Karol Klose, który tam proboszczował przez 46 lat, postanowił u schyłku swego życia założyć w Jędrysku samodzielną parafię. W swojej kronice w Żyglinie napisał w 1894 roku: „[...] Pewnie bardzo potrzebny byłby nowy system parafialny dla Jędryska, Truszczyca i sąsiadujących z nimi trzech dalszych wsi, ale do parafii w Lubczy należących: Kalet, Zawodzia i Kuczowa”.

Proboszcz żygliński napotykał się jednak na duże trudności ze strony parafii w Lubczy, a także upór owych trzech wiosek pragnących kościół wybudować w małych wówczas Kaletach. Po pokonaniu powyższych kłopotów przystąpiono ostatecznie do budowy dużej plebanii, która przez kilka lat miała być także kościołem. Probostwo było na ówczesne czasy dobrze zaprojektowanym, wielofunkcyjnym budynkiem²⁴, gdzie oprócz mieszkania dla proboszcza znajdowała się także kaplica mogąca pomieścić 600 wiernych. W kaplicy, poświęconej 20 stycznia 1898 roku zbudowano ołtarz Najświętszej

24 *Kirchen und Wohnungs - gebäude.*

Panny Marii Nieustającej Pomocy²⁵. 28 listopada 1898 roku ks. Karol Klose otrzymał nominację na proboszcza w nowej, jędrysowskiej parafii, zaś od 19 stycznia 1897 roku zamieszkał na stałe w Jędrysku. 26 lutego 1896 roku ks. Gwardian Alfons Rogocz z Góry Św. Anny poświęcił подарowane przez siebie do jędryskowskiej kaplicy stacje Drogi Krzyżowej.

Kroniki z tego okresu zanotowały także jakby mniej ważne szczegóły, jak np. o zamontowaniu 16 lipca 1897 roku na probostwie piorunochronu, który jednak nie uchronił budynku przed szkodą. Równy bowiem miesiąc później, 16 lipca tegoż roku uderzenie pioruna poważnie uszkodziło plebanię. Kronikarz napisał wtedy: „Boże uchron nas od podobnych nieszczęść”. Zakupiono wówczas obraz św. Floriana i zawieszono w kaplicy. Kościółek farny upiększono i przyozdobiono w następnych latach, aby mógł służyć wiernym do roku 1900, kiedy to oddano do użytku kościół pw. św. Józefa.

Rozrastająca się parafia, do której przyłączono okoliczne wioski, potrzebowała pilnie kościoła, dlatego ks. proboszcz Klose postanowił jak najprędzej przystąpić do jego budowy. 29 maja 1899 roku wmurowano kamień węgielny pod nową świątynię, która jako pierwsza na terenie diecezji wrocławskiej miała być poświęcona św. Józefowi – robotnikowi. Już dużo wcześniej proboszcz Klose napisał w kronice żyglińskiej: „Kościół w Jędrysku miał powstać pod wezwaniem św. Józefa, patrona chrześcijańskich robotników”. Z chwilą rozpoczęcia budowy świątyni już w nowej, jędryskowskiej kronice zanotował: „Boże, to na Twoją chwałę! Chroń robotników od niebezpieczeństwa i nieszczęśliwych wypadków – za pośrednictwem Panny Marii i św. Józefa, patrona budującego się kościoła, a także wszystkich aniołów i świętych. Amen”.

Budowniczym kościoła – po wygranym przetargu – został mistrz budowlany z Tarnowskich Gór – Kotzullla. Już 16 sierpnia 1900 roku miała miejsce uroczystość oddania do użytku wiernych i poświęcenia kościoła św. Józefa w Jędrysku. Ucieszony tym faktem ks. Klose napisał w kronice: „Chociaż kościół jest bezstylowy (*ohne stil*) to jest on jednak wygodny, dobrze zbudowany, z piękną wieżą i trzema dzwonami, tylko zakrystia jest trochę za mała”. Ta pochlebna opinia fundatora kościoła została dwa lata później skorygowana. Następcą zmarłego w 1902 roku ks. Klosego ks. proboszcz Rogowski musiał przeprowadzić poważny remont świątyni, ponieważ „Kościół, choć nowy był niesumienne zbudowany. Budowniczy wykorzystał podeszły wiek sędziwego ks. fundatora, aby jak najwięcej zarobić” – napisano

25 *Der Allerheiligsten Jungfrau Maria der Immerwährenden Hilfe.*

w kronice. Godzi się przypomnieć, że fundatorem zarówno probostwa, jak i kościoła był proboszcz Klose, który na powyższą inwestycję przeznaczył około 50 tys. marek. Także sumę 3 tys. marek i drewno na kościół podarował hrabia Donnersmarck, a parcelę pod budowę probostwa i kościoła przekazał bezpłatnie mieszkańiec Jędryska – Potempa.

W następnych latach urządzono wnętrze kościoła. Jako pierwszy z trzech ołtarzy ufundowany został ołtarz Serca Pana Jezusa wykonany przez firmę „Mrowiec” z Gliwic, później przeniesiono z dotychczasowej kaplicy do kościoła obraz Matki Boskiej. Z kościoła w Dębnie²⁶ sprowadzono ołtarz główny św. Józefa, chrzcielnicę i balaski „za marny grosz – 50 marek”.

Jeśli dać wiarę zapiskom kronikarskim, to w kaletańskim kościele znajdowały się także dzieła sztuki sakralnej. Były nimi stacje Drogi Krzyżowej wykonane przez znanego na Śląsku z działalności społeczno-kulturalnej Stanisława Ligonia. Pospolity „Karlik z Kocyndra” był jednak przede wszystkim artystą-malarzem, którego dzieła zdobią wiele kościołów. W maju 1903 roku gliwicka firma „Kurycz” zbudowała w kościele organy za sumę 3 tys. marek. Na przestrzeni prawie wieku jędryskowski kościół był wyposażany zarówno w sprzęty liturgiczne, jak i praktyczne. W roku 1920 wybudowano dodatkowe ławki na chórze, „który stał dotąd pusty”. Dzieło to wykonał za kwotę 780 marek stolarz Augustyn Potempa. W niedzielę, 5 marca 1923 roku, poświęcono dwa nowe dzwony: „Jozephus” – 172,5 kg wagi oraz „Carolus” – 50 kg wagi. Dzwony te zostały odlane w słynnej wrocławskiej *Glockengießerei – Geitner und Söhne* za kwotę 18 500 marek. W roku 1924 na posiedzeniu Zarządu Kościelnego postanowiono usunąć ołtarz Matki Boskiej, aby na tym miejscu postawić... trzy nowe ławki!

Już tylko dla celów statystycznych przypomnijmy niektóre fakty. W sierpniu 1925 roku zakupiono za kwotę 1500 zł nową monstrancję. W tym samym roku zamontowano na wieży kościelnej zegar wykonany przez firmę „Weule” z Niemiec. W święta Bożego Narodzenia 1925 roku zaświeciło w kościele po raz pierwszy światło elektryczne. Instalację i sieć wykonali pracownicy fabryki „Natronag”. W 1933 roku poszerzono chór, naprawiono dach i wieżę oraz wymalowano kościół. Także w czasach powojennych przeprowadzono wiele napraw i remontów, a także wielką modernizację wnętrza kościoła w roku 1968, która polegała na usunięciu z kościoła wszystkich ołtarzy zniszczonych – jak to czytamy w kronice – przez korniki. Projekt nowego wystroju kościoła wykonał artysta Józef Kołodziejczyk z Tychów. Nowy układ

26 Dziś – Katowice-Dąb.

przedstawia w sposób nieco stylizowany płaskorzeźbę św. Józefa, dużych rozmiarów krzyż zawieszony w przestrzeni prezbiterialnej, jak również inne elementy sakralne – pulpit, chrzcielnicę, tabernakulum. Parafianie przez długi okres czasu nie mogli w pełni zaakceptować nowego wystroju kościoła. Dzisiaj świątynia jest miejscem modlitwy dla 6500 parafian.

Po wybudowaniu probostwa i kościoła przystąpiono do urządzenia cmentarza. 20 stycznia 1898 roku Królewska Rejencja w Opolu przekazała nowej parafii na własność plac, proboszcz za kwotę 2200 marek wyłożył z własnych oszczędności, wybudował kostnicę i urządził miejsce wiecznego spoczynku. Pierwszym pogrzebem na kaletańskim cmentarzu był pochówek szesnastoletniego młodzieńca. Także w latach 50. ks. Krawczyk zaadoptował budynki gospodarcze na sale katechetyczne. 1 kwietnia 1995 roku ks. biskup Gerard Kusz poświęcił budowany wysiłkiem całej wspólnoty, duży wielofunkcyjny dom parafialny.

Z tej okazji wydano piękny, kolorowy folder przedstawiający m.in. projektantów, wykonawców i fundatorów, a także dane dotyczące finansowania oraz kubaturę budynku. Ksiądz prałat Bernard Fabian – długoletni proboszcz parafii i dziekan – na kartach folderu serdecznie podziękował wszystkim, którzy przyczynili się do tego dzieła.

*część druga:
tematyka historyczna*



Nasza Mała Ojczyzna

Ziemia lubliniecka

Dzieje każdego skrawka ojczystej ziemi mają swoją odrębność historyczną, etnograficzną i kulturową. Taki skrawek ziemi pod słońcem nazywamy Małą Ojczyzną. Dzisiaj chciałbym z tobą – drogi czytelniku, mieszkańcu ziemi lublinieckiej – porozmawiać o twojej ziemi, o jej zagmatwanej historii, o ludziach, którzy od wieków są tu zakorzenieni i o tych, których różne losy, w różnych przedziałach czasowych tu przywiodły, a którzy wspólnie są gospodarzami i włodarzami tej krainy. To bowiem ludzie tworzą szeroko pojęte dobra kultury i dbają o ich trwałość. Chciałbym na te sprawy spojrzeć niejako po europejsku, bez egoistycznych (żeby nie powiedzieć nacjonalistycznych) uprzedzeń. Ziemia lubliniecka, przynależąca od tysiąca lat do śląskich korzeni, zapisywała bowiem swe burzliwe dzieje będąc pod różnymi narodowymi „berłami” i „koronami”.

Pierwsze źródłowe wiadomości o niektórych miejscowościach położonych na terytorium dzisiejszego powiatu lublinieckiego pochodzą co najmniej z XII wieku. W XIII i XIV wieku prawie wszystkie wioski i miasteczka wymieniane są już w spisach „świętopietrza”. Sama nazwa „powiat lubliniecki”, pojawiła się po raz pierwszy w 1342 roku, jednak dopiero w XVIII wieku „powiat” stał się jednostką administracyjną, wchodzącą w skład księstwa opolsko-raciborskiego.

Ziemia lubliniecka jest pojęciem szerszym od powiatu lublinieckiego. W różnych okresach historycznych przynależały do powiatu różne gminy i miejscowości, a po nowym podziale administracyjnym państwa w 1998 roku „odłączyły” się od nas, miasta i gminy Dobrodzień i Kalety.

Powiat lubliniecki położony jest w północnej części województwa śląskiego i obejmuje swym zasięgiem miasto Lubliniec, miasto i gminę Woźniki oraz gminy: Boronów, Ciasna, Herby, Kochanowice, Koszęcin i Pawonków. Terytorium powiatu wynosi 800 km², a zamieszkuje je przeszło 80 tys. mieszkańców. Graniczymy z powiatami: myszkowskim, częstochowskim, kłobuckim, tarnogórskim, strzeleckim i oleskim. W swym rozwoju historycznym cała ziemia lubliniecka przynależała zawsze do śląskiej ziemi, dokładniej do Górnego Śląska. Najstarsze ślady ludzkiej działalności na terenie powiatu lublinieckiego sięgają młodszej epoki kamiennej, przypadającej na czas 4500–1700 lat p.n.e. W okresie wczesnego średniowiecza tereny stanowiące dzisiejszy powiat lubliniecki leżały na pograniczu terenów zamieszkałych przez plemiona śląskie – Opolan, i małopolskie – Wiślan. W X wieku ziemia

nasza wchodzi – podobnie jak cały Śląsk – w skład monarchii piastowskiej i już od wieku XI znajdowała się pod panowaniem książąt śląskich. Po śmierci Władysława I Opolczyka dochodzi do podziału Górnego Śląska na cztery części i od tego czasu ziemia lubliniecka wchodzi w skład księstwa opolskiego, którego pierwszym właścicielem był Bolko I Opolczyk. Z początkiem XIV wieku wielu książąt śląskich – pod naciskiem króla czeskiego Jana Luksemburczyka – staje się lennikami Korony Czeskiej i w ten sposób ziemia śląska, w tym i tereny powiatu lublinieckiego znalazły się pod panowaniem Czech. Piastowie opolscy zarządzali ziemią śląską do 1532 roku, kiedy to umiera bezpotomnie książę Jan Dobrotliwy. Byliśmy później poddanyymi Habsburgów i królów czeskich, a po wojnach śląskich – w 1742 – ziemia lubliniecka wraz z większością ziem śląskich przechodzi pod panowanie Prus.

Zagmatwane losy polityczne, gospodarcze i kulturowe, przez które przechodziła ziemia śląska, powodowały – oprócz bardzo negatywnych skutków, także i pozytywy – następowało bowiem wzajemne przenikanie się kultur. Przyczyniła się do tego również tzw. kolonizacja fryderycjańska przeprowadzona w latach 1741 i 1805, w wyniku której także na naszym terenie powstawały nowe osiedla np. Piasek (kiedyś nazywany ewangelickim) i Kolonia Strzebińska. Osadników osiedlano również w Boronowie i jego okolicy, a także w innych miejscowościach, głównie nad Małą Panwią i Liswartą.

Tylko wojny niszczyły ład, porządek i dorobek pokoleń, były – oprócz nieurodzajów i epidemii – główną przyczyną głodu, biedy i śmierci tysięcy ludzi na Śląsku. Szczególnie tragiczne była wojna trzydziestoletnia (1618–1648) i trzy wojny śląskie (1740–1742, 1744–1745, 1756–1763). Później I i II wojna światowa (1914–1918, 1939–1945) oraz – patrząc obiektywnie – także powstania, te wcześniejsze – „chłopskie”, i te późniejsze nazywane śląskimi. Wszystkie te kataklizmy przyniosły z sobą wiele nieszczęść, krzywd, rozłąki rodzin i ogromne straty materialne. Pewnie, że różne „strony” w „różnych okresach historycznych” te wydarzenia komentowały różnie, nadając im czasem nawet wymiar nacjonalistyczny. Z całą pewnością jednak, w wyniku wojen, powstań i innych niepokojów cierpią wszyscy, niezależnie od tego, po której stronie się opowiadają i po której stronie walczą. Ale tu na Śląsku było jeszcze „inaczej źle”, tu brat walczył przeciw bratu, tu nienawiść działała w obu kierunkach, tu nie było zwycięzców i pokonanych, tu przegrywał lud śląski. Losy historyczne, odbijały się echem więzień i obozów śmierci, zarówno dla tzw. propolskich jak i dla tzw. „proniemieckich” Ślązaków, ginących w różnych mundurach, uśmiercanych w różnych obozach i łagrach.

Ziemię śląską dzielono i eksploatowano od wieków, dzielono i eksploatowano także ludzi.

Przypomnijmy dzisiaj, to jest w czasie kiedy Polska zmierza do Zjednoczonej Europy kilka prawd historycznych. Otóż, od czasu kiedy poczęto nazywać naszą ziemię „Śląskiem” stanowiła ona własność wielu państw i różnych władców. Od XIV wieku do 1923 roku nie było tu Polski, a północno-zachodnie gminy powiatu lublinieckiego dopiero w 1945 roku znalazły się na mapie Rzeczypospolitej. Granica państwowa w okresie międzywojennym przebiegała przez gminy Pawonków, Ciasna i Koszęcin, dzieląc powiat lubliniecki na dwie części położone po polskiej i niemieckiej stronie. Granica boleśnie rozdzieliła rodziny, gospodarstwa i dorobek historyczny wielu pokoleń.

Historia jest dorobkiem wieków i pokoleń i wywiera ona piętno nie tylko na dzieje określonej ziemi, ale także na dorobek materialny i kulturowy jej mieszkańców. Nas Ślązaków, zamieszkujących ziemię lubliniecką, podobnie jak Ślązaków w ogóle, rozpoznaje się po gwarze, po odziedziczonych tradycjach, podobno również po pracowitości, porządku, religijności. Braliśmy od państw i narodów, które tu panowały to, co najlepsze. Przekazywano nam czasem i to, co mniej lepsze, albo co wręcz złe. Ale nigdy Ślązacy nie czynili zła z własnego wyboru. Wiele zawdzięczamy niemieckiej kulturze, bo z tym państwem związane były nasze losy przez stulecia, ogromnie dużo jest w nas Ślązakach z polskiej kultury, szczególnie w języku gwarowym, religijności, tradycjach, obyczajach, w literaturze. Mamy także naleciałości czeskie. To przecież tu rodzili się i działali Roździeński, Lompa, Ligoń, Damrot i Jaroń, tu osiedlali się książęta czescy, polscy i niemieccy. Ziemia śląska, szczególnie ziemia lubliniecka usiana jest zabytkami i miejscami pamięci historycznej – siedem drewnianych świątyń, dziesiątki kapliczek i krzyży przydrożnych, pałace i zamki. To wszystko świadczy o naszej przeszłości, o naszej historii i tradycji, której nie musimy się wstydić, ale o którą mamy się troszczyć.

W 1998 roku nowy powiat lubliniecki wybrał po latach, w demokratycznych wyborach Radę Powiatu, także gminy od kilku kadencji wybierają swoich reprezentantów władzy. To radni, burmistrzowie, wójtowie i starosta z zarządami, zobowiązani są w naszym imieniu dbać o dobro naszej Małej Ojczyzny. Pamiętajmy o tych sprawach także już dzisiaj, przygotowując się do kolejnych wyborów, pamiętajmy, że to ludzie – a nie partie – decydują o twojej i mojej przyszłości, dlatego już dzisiaj „ogłądaj” się za godnymi reprezentantami twojej Małej Ojczyzny.

Ziemia lubliniecka – odkrywanie piękna

Ziemia śląska to przebogata skarbnica kultury zapisywanej tu od wieków. Mimo licznych kataklizmów dziejowych, wojen, głodu i poniewierki, lud tutejszy tworzył niezatarte dobra duchowe i materialne, które przetrwały do dnia dzisiejszego.

Właściwie to trudno sobie jeszcze dziś wyobrazić tę ziemię bez fabryk, hut i kopalń, bez wielkomiejskiego zgiełku i dymiących kominów. Minione dwa wieki pozostawiły tu głębokie ślady uprzemysławiania tej pięknej krainy.

Ale ziemia śląska, szczególnie jej północna część z powiatem lublinieckim, uchroniła się od przemysłowej i poprzemysłowej dewastacji, była jest i pozostanie piękna.

Zachowała się tutaj piękna przyroda z nieprzebranymi lasami, wspaniałymi parkami (parki przypałacowe w Koszęcinie i Kochcicach), z pasmami uprawnych pól i kwiecistymi łąkami. Wiele tych terenów zaliczonych jest do chronionych prawem parków krajobrazowych (Park Krajobrazowy Lasy nad Górną Liswartą), rezerwatów przyrodniczych (Jeleniak-Mikuliny) i licznych pomników przyrody.

A ileż tu piękna architektonicznego? Zabytkowe kompleksy pałacowo-parkowe w Koszęcinie i w Kochcicach, pałace w Wierzbju, Koszęcinie, Kochanowicach i innych miejscowościach. Prawie w każdej miejscowości powiatu lublinieckiego znajdziemy chronione prawem – pałace, dworki, architekturę folwarczną i inne obiekty świeckie. A co dopiero mówić o architekturze sakralnej? Wspaniałe, unikalne w swym kształcie i formie architektonicznej są drewniane kościoły w Boronowie, Koszęcinie, Brušku, Cieszowej, Woźnikach, Lublińcu, Gwoździanach i Sadowie. Wszystkie postawione przed wiekami, stoją dzięki dobrym i mądrym opiekunom, utopione w zieleni wśród wiekowych lip, dębów i kasztanowców, otoczone często wiekowymi cmentarzami. Oprócz drewnianych zabytkowych świątyń stoją tu liczne murowane kościoły, także wpisane do katalogu zabytków. Spotkamy je m.in. w Kochanowicach, Lublińcu, Koszęcinie, Sadowie, Woźnikach i w wielu innych większych lub mniejszych miejscowościach na ziemi lublinieckiej. We wnętrzach tych świątyń zakodowane jest nie tylko piękno artystyczne, ale także szeroko pojęta kultura i religijność ludu śląskiego sprzed wieków. Przemierzając piękną ziemię lubliniecką spotkamy ogromną liczbę pięknych – często bardzo starych – kapliczek i krzyży przydrożnych, postawionych przez naszych przodków w miejscach nieszczęść i radości, na dawnych – dziś już nieistniejących – cmentarzach pomorów, na rozstajach dróg.

Kapliczki te są poświęcone różnym świętym patronom, czczonym tu od niepamiętnych czasów.

Warto przyrzeć się tym unikalnym dziełom sztuki z bliska, warto wstąpić do wnętrza lub zajrzeć do środka „przez szybę” i pomyśleć, że to piękno jest dziełem naszych przodków i naszym szczęściem i że ma trwać następne wieki.

Kilka zdań o gminie Koszęcin

Gmina Koszęcin położona na północ od Katowic i w pobliżu wielkich ośrodków miejskich, zaliczana jest do większych i atrakcyjniejszych gmin w województwie śląskim. Otoczona lasami borów opolsko-lublinieckich, pozbawiona zanieczyszczeń przemysłowych, oferuje coraz liczniej przybywającym tu turystom doskonale warunki wypoczynku.

W swym tysiącletnim rozwoju historycznym zarówno Koszęcin, jak i tereny dzisiejszej gminy przynależały zawsze do ziemi śląskiej. Do 1532 roku – kiedy to umiera Jan Dobrotliwy – Koszęcin przynależał do Piastów opolskich. Później ziemiami tymi na przestrzeni wieków władały polskie, niemieckie i czeskie rody arystokratyczne, wśród nich: Kochcicy, Rauthenowie, Sobkowie, Hohenlohowie.

Z gminy Koszęcin wywodzą się znani śląscy poeci: Walenty Roździeński – autor poematu *Officina ferraria* z 1612 roku i Juliusz Ligoń urodzony w 1823 roku w przysiółku Prądy.

Na terenie gminy Koszęcin znajduje się wiele pięknych obiektów zabytkowych, zarówno architektury sakralnej i świeckiej. Stoją tu od wieków drewniane świątynie z bogatymi wnętrzami, otoczone starymi cmentarzami: w miejscowości Brusiek – słynącej od XIV wieku z kuźnictwa, znajduje się kościół św. Jana Chrzciciela z połowy XVIII wieku, w Koszęcinie stoi kościół Trójcy Świętej zbudowany w miejscu wcześniejszych w 1724 roku, w Cieszowej na uwagę zasługuje drewniany kościół św. Marcina z 1751 roku, spichlerz z XVIII wieku i liczący 600 lat zniszczony cmentarz żydowski. W miejscowości Sadowo oprócz starego z 1331 roku kościoła św. Józefa, można podziwiać drewnianą dzwonnice z XVII wieku. Jest tu także wiele pomników i rezerwatów przyrody.

Prawie w każdej wiosce gminy Koszęcin można spotkać zabytkową architekturę folwarczną, stare obiekty mieszkalne, stodoły, spichlerze itp. W neoklasykistycznym pałacu w Koszęcinie, którego początki sięgają XVII wieku, rezyduje od 48 lat Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny,

który rozślawił polską kulturę ludową na całym świecie. Oprócz licznych, zabytkowych obiektów na uwagę zasługuje kościół NSPJ z 1908 roku, pałacyk Nadleśnictwa z 1810 roku i budynek poczty z 1881 roku. Godny obejrzenia jest wspinał się odrestaurowany pałacyk z XVIII wieku w Wierzbju.

Gmina Koszęcin zajmuje powierzchnię 129 km², z czego połowę stanowią piękne lasy. Działa tu dobrze zorganizowana baza turystyczno-rekreacyjna rozlokowana w różnych częściach gminy. W Koszęcinie całodzienny wypoczynek oferuje Gminny Ośrodek Sportu i Rekreacji z boiskami, akwenami wodnymi, kąpieliskiem, gastronomią i miejscami noclegowymi w hotelu, domkach campingowych i na polach namiotowych. Inne ośrodki preferujące m.in. jazdę konną znajdują się w Sadowie-Podlesiu, Piłce i Koszęcinie.

Bogata historia i dzieje kultury ziemi koszęcińskiej zakodowane są w zabytkowej architekturze, zaś zieleń lasów i parku oraz akweny wodne zachęcają do odwiedzenia pięknej ziemi koszęcińskiej. Gminę Koszęcin zamieszkuje ogółem ponad 11 tys. osób, z tego: Koszęcin – 4461, Strzebiń – 2948, Sądów – 1386, Rusinowice – 1336, Wierzbie – 391, Cieszowa – 298, Bukowiec – 189, Prądy – 173, Łazy – 165, Piłka – 79, Brusiek – 59, Irki – 39, Rzyce – 29, Nowy Dwór – 10, Krywałd – 1.

Mała Ojczyzna Koszęcin

Niemcom zazdroszczę jednego słowa, którym określają najbliższe sercu miejsca na ziemi – *Heimat*. Język polski, mimo swego bogatego słownictwa, nie posiada dotychczas adekwatnego odpowiednika tego rzeczownika, a termin „Mała Ojczyzna” jest tylko jego namiastką. To dobrze, że od pewnego czasu w Polsce dostrzegamy potrzebę miłowania małych ojczyzn, że coraz częściej mówimy o patriotyzmie lokalnym. Chyba powoli zaczynamy rozumieć słowa pewnego XIX-wiecznego polityka: „Kto nie kocha małej ojczyzny, ten nie jest w stanie kochać dużej ojczyzny”. Kierowany tym powiedzeniem chciałbym przybliżyć w skrócie wspinał się dzieje Koszęcina – mojej i twojej, drogi czytelniku, Małej Ojczyzny.

Pierwsza wzmianka o Koszęcinie pochodzi z 1275 roku i dotyczy dziesięciny snopów nadanej przez biskupa krakowskiego Pawła z Przemkowa. Badania archeologiczne dowodzą, że na naszej ziemi ludność prowadziła osiadły tryb życia już w młodszej epoce kamiennej przypadającej na lata 4500–1700 p.n.e. Koszęcin przez cały okres swych dziejów związany był administracyjnie z ziemią śląską, początkowo podporządkowany Piastom opolskim, później dzielił

dobrze i źle losy Górnego Śląska, przynależąc do różnych rodów szlacheckich. Wielowiekowe uwarunkowania społeczno-polityczne i kulturowe sprawiały, że mieszkali tu na równych prawach Polacy władający językiem niemieckim, jak i Niemcy mówiący po polsku, zarówno katolicy, protestanci jak i żydzi. Panami na Koszęcinie – w chronologicznym ujęciu – byli: do 1532 roku Piastowie opolscy, następnie Jerzy Brandenburski, Ferdynand z Czech, Mikołaj Las-sota, Sparwein, Kochciccy, Ferdynand von Blacha, Rauthenowie, Sobkowie, von Mützel, von Eckenberg, von Stössel i od 1805–1945 roku trzy pokolenia rodu Hohenlohe-Ingelfingen.

Koszęcin to nie tylko miejscowość o pięknych kartach historycznych, to również kraina licznych zabytków kultury – pałaców, kościołów, kapliczek, architektury folwarcznej – sięgającej swym rodowodem XVII–XIX wieku. Koszęciński pałac odwiedzali król Jan III Sobieski z Marysieńką oraz niemieccy królowie i cesarze. Z Koszęcinem związali się urodzeniem, bądź pochodzeniem poeci: Walenty Roździeński, Juliusz Ligoń i poeta łaciński a zarazem kaznodzieja i kapelan pałacowy Daniel Morovius. Tutaj w zamierzczłej przeszłości były najbogatsze biblioteki, teatry pałacowe i miejsca spotkań wybitnych ludzi kultury i oświaty, a szczególnie poezji i muzyki.

Wielkim walorem Koszęcina i okolic jest przyroda – park pałacowy i ogromne połacie lasów, alejki starodrzewia, łąki, pola i ogrody, a wśród nich liczne pomniki przyrody i rezerwaty.

Koszęcin zawsze był i jest Małą Ojczyzną rdzennej ludności mieszkającej tu od wielu pokoleń, jest także Małą Ojczyzną tych wszystkich, którzy z różnych powodów się tu osiedlali i z tą miejscowością związali losy swoich najbliższych. Wszyscy mieszkańcy Koszęcina są odpowiedzialni za los swej Małej Ojczyzny, za jej „dziś” i „jutro”. Jesteśmy także odpowiedzialni za przechowanie bogatych tradycji tej ziemi, za ocalenie licznych jeszcze zabytków i urokliwego krajobrazu naszej miejscowości.

PS Szanowny czytelniku! Jestem zmuszony skorygować niektóre fragmenty tego artykułu. Niestety, park koszęciński nie jest już miejscem „urozmaiconego drzewostanu”. W ostatnim czasie wycięto tam po barbarzyńsku – przy błogosławieństwie miejscowych władz – wiele starych, pomnikowych drzew. Zniszczeniu uległa także zabytkowa architektura dworska przy ulicy Ligonja i nie tylko tam. Zapraszam na ostatnie już może spaceru urokliwą alejką kasztanową prowadzącą na dworzec, która była i – mimo zaniedbań ludzi odpowiedzialnych – nadal jest urokiem Koszęcina. Wydano bowiem „wyrok” na ten wiekowy relikw przyrodniczy Koszęcina i jak zapowiedziano na zebraniu sołeckim 8.05.1994 roku: „[...] będzie ona w pień

wycięta”. Podobno władza lokalna ma już plan „zagospodarowania” tego terenu. Być może za niedługo, zamiast „szlakiem zabytków Koszęcina”, będziemy podążać szlakiem knajp i sklepów monopolowych, których namnożyło się ostatnio w Koszęcinie co niemiara. Tym „szlakiem” trafisz również do pałacu i do innych miejsc, które niedawno jeszcze były chlubą Koszęcina. Ta droga prowadzi jednak złudnym szlakiem i w końcu doprowadzi na manowce kultury.

Wierzę jednak – mimo wszystko – w mądrość i rozagę władz Koszęcina. Szczególnie wiele nadziei wiąże z nadchodzącymi wyborami do Rady Gminy. Wierzę, że Koszęcin – moja i twoja Mała Ojczyzna będzie dla nas koszęcinian – i nie tylko dla nas – najpiękniejszym miejscem pod słońcem.

Spacerkiem po starym Koszęcinie

Zawsze ludzie starsi opowiadają młodszemu pokoleniu jak to pięknie dawniej bywało. Podobno wówczas ludzie byli bardziej życzliwi, gościnniejsi, mniej zdenerwowani i mądrzejsi. Nie było pośpiechu i właściwie żyło się od wschodu do zachodu słońca.

Chciałbym na chwilę wrócić do tych pięknych, osnutych legendą czasów. Razem z czytelnikiem przejść dawną *Dorfstrasse* (ul. Wiejską), zajrzeć w zaułki małych uliczek, które wówczas nie miały jeszcze nazw i wspominać o przeszłości.

W początkach XX wieku Koszęcin skupiał się wokół dzisiejszego centrum. Dopiero po I wojnie światowej rozpoczęto budowę osiedla południowego, zaś po II wojnie – głównie w wyniku parcelacji dóbr książęcych, miejscowość poczęła się rozbudowywać.

Dawna *Dorfstrasse*, później *Hauptstrasse* (ul. Główna) miała swój początek na wysokości kapliczki św. Wawrzyńca (dalej były pola i łąki) i rozciągała się do dużego mostu na wysokości dzisiejszej ulicy Rzecznej (dalej były ogrody i pola). Po obu stronach ulicy znajdowały się głębokie rowy, przez które prowadziły mosteczki, prowadzące do każdej posesji. Wzdłuż drogi rosły stare jesiony i kasztanowce.

Po lewej stronie ulicy – patrząc od południa – znajdowały się następujące budynki: dom starców i szpital, piękne budynki z połowy XIX wieku zlikwidowane w latach 50. XX wieku (obecnie ośrodek zdrowia i dom opieki). Za parkiem, ozdobą architektoniczną były stojące do dziś – chociaż nie najpiękniej przebudowane – budynki urzędników i służby dóbr książęcych. Przed wybudowaną w 1881 roku pocztą, znajdował się drewniany herest

(więzienie) i domek kapelana pałacowego. Po prawej stronie ulicy Głównej, za kapliczką św. Jana, stała kuźnia i mały domek kowala, następnie – w pięknym ogrodzie – zlokalizowany był bliźniaczy budynek (stojący do dzisiaj) dla nadleśniczych, i także – przylegający do wspaniałego ogrodu – pałacyk *Forstamtu*, dzisiejszego Nadleśnictwa, wybudowany przez Wilhelma Degnera w 1810 roku. Na prawo – przy dzisiejszej ulicy Ligonii – rozciągał się duży folwark z budynkami gospodarczymi, warsztatami, stodołami i czworakami dla robotników rolnych. W dużym budynku „na rogu” (dzisiaj fotograf i sklep) czynny był hotel „Salomon”. Tuż za nim, wybudowany w 1871 roku, czworak z czerwonej cegły, służący pracownikom księcia. Dalej stała – rozebrana w latach międzywojennych – najstarsza w Koszęcinie szkoła, a za nią, trzy małe budyneczki kryte gontem, podobne do stojącej do dziś chałupki przed urzędem gminy.

Okrasą ulicy był dom żydowskiej rodziny Hofmannów zagrabiony podczas wojny przez ówczesnego *Bürgermeistra* Wegnera na siedzibę gminy. Starzy państwo Hofmannowie mieli dwójkę dzieci – Ernę, która w 1938 roku poślubiła warszawskiego fabrykanta i prawdopodobnie wyemigrowała do Palestyny – co uratowało jej życie – i syna Alfreda, prowadzącego po rodzicach „wielobranżowy” sklep. Co to był za sklep... Tu kupiłeś wszystko, od nafty, gutaliny, mydła i naftaliny, po wszystkie artykuły spożywcze, obuwie, tekstylia, słodczyce, wszystkie narzędzia, po materiały budowlane. W tym domu miał także przez wiele lat swój zakład fryzjerski pan Koroszowicz, który był zarazem nauczycielem gry na skrzypcach. Mieszkała tam również rodzina Zoporowskich, prowadząca w małym domku – gdzie dziś przystanek autobusowy – karczmę, a w późniejszym okresie, również malusieńką stację benzynową. Obok budynku „Żyda”, gdzie dziś rynek, stał mały domek i zabudowania gospodarcze z kuźnią pana Szeligi. Hofmannowie zginęli w obozie zagłady i nikt dotychczas nie zapytał o ich los. Po prawej i lewej stronie ulicy Głównej mieszkali zacięci gospodarze Koszęcina, choćby wymienić Ulfików, Liborów, Siwych, Nancków, Słabików, Ochmanów, Brzeziniów. Dzisiejszą ulicą Boronowską płynęła rzeczka przemieszczająca swoje wody przez mały, obramowany drewnianymi palami stawek, zwany „kaśnią”. Przez ulicę – na wysokości kwaciarni państwa Stroby – przerzucony był drewniany most, który zlikwidowano w początkach XX wieku, budując tu trwałą nawierzchnię z kamiennej kostki. Na początku XX stulecia, a również i później, gdzieś do lat 50., na omawianej ulicy (dziś ul. Powstańców Śląskich) nie było prawie żadnego ruchu kołowego. Większość ludzi chodziła środkiem ulicy, gdyż w Koszęcinie nie było trwałych chodników. Czasem

tylko przejechał tędy chłopski wóz lub piękna książęca dorożka. Większość ludzi pracowała na „pańskim”, bądź w książęcych lasach. Do pracy wzywał zawieszony w dworze na „krowiarni” – przy dzisiejszej ulicy Ligonja – dzwon, do którego tonów jakiś dowcipniś ułożył krótką, dosadną piosenkę: „Wy woły wołańskie, wyłażcie na pańskie”. W ostatnich latach zniszczono wiele zabudowań dworskich, a trochę wcześniej, bliżej nieznany „kolekcjoner” ukradł ów historyczny dzwon. Dawna ulica Wiejska jest dziś zatłoczoną pojazdami arterią, przez którą trudno przejść na drugą stronę. Cywilizacja zniszczyła stary, spokojny i romantyczny Koszęcin, za którym mi czasem tęskno. Chciałbym znowu spotkać na koszęcińskich drózkach, dobrych prostych i mądrych ludzi, którzy niestety już dawno odeszli na zawsze. Chciałbym zobaczyć na ulicy Wiejskiej drabiniaste wozy na żelaznych kołach, wypełnione po brzegi snopami zboża, chciałbym, aby minęła mnie książęca dorożka z woźnicą na koźle. Ale wiem, że to już nie wróci, wiem, że „świat swoją pójdzie drogą”. Powtórzę więc tylko za poetą: „Tęskno mi, Boże”.

Życie społeczno-kulturalne Koszęcina

W dawniejszych czasach, działalnością społeczno-kulturalną w mniejszych miejscowościach, zajmował się głównie kościół przy udziale szkoły. Do końca XIX wieku nie istniała na terenie Koszęcina ani jedna formalnie działająca organizacja kulturalna. W 1902 roku powstała tu *Freiwillige Feuerwehr* – Straż Ogniowa, przemianowana później na „Ochotniczą Straż Pożarną”. Hasłem tej apolitycznej organizacji było zawołanie: „W służbie Bogu i bliźniemu”, zaś jej głównym celem było gaszenie pożarów, które wówczas – ze względu na drewniane budynki kryte strzechą – były nagminnym nieszczęściem. Jednak strażacy prowadzili również szeroką działalność społeczno-kulturalną, organizując zabawy taneczne, festyny, zawody strażackie, a także kółka teatralne i orkiestry dęte.

Jednak zorganizowane życie społeczno-kulturalne w Koszęcinie poczęło się rozwijać w latach 20. XX wieku. Już w 1919 roku powstało tu – głównie z inspiracji aptekarskiej rodziny Burzyńskich – Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe św. Jacka, która to organizacja prowadziła – na ówczesne czasy – bardzo szeroko pojętą działalność: organizowanie wycieczek krajoznawczych (Kraków, Wieliczka, Ojców, Częstochowa), uprawianie turystyki – wyjazdy na „drabiniokach” przystrojonych „brzoziczkami” do bliżej położonych atrakcyjnych miejscowości, uprawianie gimnastyki, sportu itp. Wszystkim

tym formom towarzyszył polski śpiew. Dlatego przy Towarzystwie utworzono natychmiast sekcję śpiewaczą „Lutnia”. I właściwie rok 1919 należy przyjmować jako początek istnienia chóru „Lutnia” w Koszęcinie. Dnia 1 lutego 1922 roku powstał w Koszęcinie „konkurencyjny” do „Lutni” Chór im. Paderewskiego, początkowo jako chór mieszany, a później – aż do czasu zaniechania działalności w lutym 1937 roku – jako chór męski „Paderewski”. Działał on prawdopodobnie przy założonym w tym samym czasie Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”. Z chwilą przyłączenia Górnego Śląska do Polski powstały w Koszęcinie liczne organizacje społeczno-kulturalne, takie jak: Towarzystwo Teatralne, Związek Matek-Polek i Związek Młodych Polek, a także inne przykościelne organizacje, które oprócz charakteru religijnego, prowadziły także szerszą pojętą działalność środowiskową. Również kluby piłkarskie – z najstarszym „Konkordią” – które powstawały w Koszęcinie po I wojnie światowej, prowadziły oprócz rywalizacji sportowej, także działalność kulturalną. Powstał także w tym czasie „Związek Kupców i Rzemieślników” – organizacja społeczno-kulturalna skupiająca tzw. stan średni. Liczne organizacje chłopskie, wspólnie ze związkami kościelnymi, takimi jak: Stowarzyszenie Mężów Katolickich, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży i innymi wymienionych wcześniej, organizowały w Koszęcinie „Żniwne”, wielkie święto, które miało zarówno charakter religijny, jak i świecki. Młodzież i dzieci skupione były w społecznie akceptowanej organizacji noszącej nazwę Związek Harcerstwa Polskiego. Do tej organizacji należała większość uczniów szkoły podstawowej i młodzież, zarówno chłopcy jak i dziewczyny z ZHP – oprócz bardzo skutecznej działalności wychowawczej – spełniał również funkcje religijne, turystyczno-krajoznawcze, sportowe, a nade wszystko patriotyczne.

Opiekunami i animatorami działalności społeczno-kulturalnej, a także religijnej – byli przede wszystkim miejscowi nauczyciele, a także liderzy związków, księża i organiści. Wszystko opierało się na społecznej działalności, wszystko przynosiło określone efekty wychowawcze i pozwalało kulturalnie spędzać wolny czas.

Cały ten aktywny ruch społeczno-kulturalny był w Koszęcinie obecny szczególnie w okresie międzywojennym, ale także we wczesnych latach powojennych. Od 1948 roku ówczesne władze polityczne poczęły gwałtownie ingerować w tę działalność. Zlikwidowano Związek Harcerstwa Polskiego, Sodalicję Marianską i inne, oparte na nauce kościoła i na przedwojennych patriotycznych wzorcach organizacje. Cenzurowano repertuar chórów i zespołów teatralnych, co przyczyniało się do zamierania – często na długie

lata – aktywności społecznej i przerwania pięknych tradycji amatorskiego ruchu artystycznego. Niektóre organizacje już nigdy nie odrodziły się w dawnej formie, jak np. Skauting i Sodalicja Marianańska. Po długich latach społecznego niebytu i niejako działania w „podziemiu przykościelnym”, odrodził się w latach 90. XX wieku, dzięki garstce entuzjastów chór mieszany „Lutnia” i szczęśliwie – mimo przeróżnych trudności – trwa nadal.

Rajmund Hanke – długoletni prezes Oddziału Śląskiego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, a także płodny publicysta, nazwał w *Słowniku polskiego śpiewactwa na Górnym Śląsku* przedział czasowy od początku do połowy XX stulecia „złotym wiekiem śpiewactwa górnośląskiego”. Myślę, że ten czas (choć termin „wiek” dotyczył tylko „półwiecza”) był także „złotym wiekiem” koszęcińskiej kultury, w tym szczególnie chóru „Lutnia”, który – jak wiadomo – miał swój początek w 1919 roku i który przetrwał w tej formie do 1953 roku. Właśnie, jakby na ironię losu, w 1953 roku rozpoczął w Koszęcinie swoją karierę zespół „Śląsk”. Niektórzy nawet wiązali upadek „Lutni” z pojawieniem się wielkiego konkurenta, ale to był tylko wyjątkowy zbieg okoliczności. „Śląsk” był zawsze zespołem profesjonalnym, ponadregionalnym i takim powinien pozostać.

Wojna i okupacja pozostawiły wyrwę w pięknych tradycjach ruchu śpiewaczego na Śląsku. Wiele śląskich chórów – w tym i koszęcińska „Lutnia” – miało także drugą, trwającą kilkadziesiąt lat przerwę. „Lutni” nie było w tym czasie oficjalnie ani na afiszach, ani na scenach. Koszęcińscy chórzyscy identyfikowali się zawsze z Kościołem i z niepodległym państwem, byli bowiem – jak sami o sobie mówili i mówią – wychowani w religijno-patriotycznych tradycjach okresu międzywojennego. Skoro więc repertuar religijny podlegał cenzurze i był zabroniony, chór „Lutnia” zawiesił niejako swą podstawową działalność. Wielu z byłych chórzystów uprawiało inne, mniejsze formy śpiewactwa i muzykowania np. w orkiestrach dętych, w kołach mandolinistów i gitarzystów, śpiewano w zespołach wokalnych, w kręgach koleżeńskich czy wręcz w zaciszach domowych.

Wraz z upadkiem państwa socjalistycznego w 1989 roku, przyszedł czas na odrodzenie śląskiej, w tym i koszęcińskiej chóralistyki. Ale to już dzieje najnowszego chóru „Lutnia”, zapisane skrętnie – podobnie jak wcześniejszy okres zespołowego śpiewania i biesiadowania – w treści tej broszury. Autorka tekstu – pani magister polonistyki Teresa Kołodziej – pięknym i barwnym językiem opisała te dzieje i ludzi, którzy je tworzyli.

Cieszę się, że chór „Lutnia” obchodzi w 2004 roku 85. rocznicę powstania w Koszęcinie zorganizowanej formy śpiewactwa i że w swej twórczości nawiązuje

do wspaniałych tradycji naszej rodzimej kultury. Kończąc tych kilka zdań „Słowa wstępnego” powiem jeszcze za Schillerem: „Tam się łącz gdzie śpiewają, bo źli ludzie pieśni nie znają”.

Architektura zabytkowa w Koszęcinie

Pałac w Koszęcinie

Od 1953 roku w koszęcińskim pałacu ma siedzibę Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny. Pierwotnie posiadłość ta stanowiła własność Piastów opolskich, następnie różnych rodów polskich, czeskich i niemieckich. Od początku XIX wieku do stycznia 1945 roku właścicielami pałacu było kilka pokoleń rodziny Hohenlohe-Ingenfingen. Pałac związany z pobylem króla Jana III Sobieskiego z rodziną i niemieckich królów.

Początki obecnego pałacu sięgają roku 1609, kiedy to ówczesny pan na Koszęcinie, Andrzej Kochcicki, rozpoczął w miejscu spalonego przez Lisowczyków w 1595 roku zamku, budowę kaplicy i skrzydła północnego. Pałac rozbudowała w latach 1828–1830 rodzina Hohenlohych o skrzydło zachodnie, zgodnie z projektem berlińskiego architekta Rocha.

Pałac składa się z trzech nieregularnych skrzydeł architektonicznych zgrupowanych wokół otwartego dziedzińca. Przy narożniku północno-zachodnim znajduje się kaplica pałacowa, która dzięki fundacjom Sobka i Mützela związana była bardzo silnie z życiem społeczno-religijnym Koszęcina i okolicy. Główne, zachodnie skrzydło pałacu posiada ciekawe rozwiązania architektoniczne. Pośrodku, na parterze, prostokątna sala wsparta na kolumnach, wcześniej nazywana białą salą, dziś stanowi jadalnię. Ponad nią dawna sala balowa, wyższa od pozostałych, oświetlona drugą strefą okien, z ciekawymi rozwiązaniami architektonicznymi – dziś sala chóralna. W niej zachowany z przeszłości duży rozmiarów złocony żyrandol. Od strony południowo-zachodniej przed ryzalitem znajduje się taras wsparty na pięciu półkolistych arkadach filarowych, z osią widokową na zachodnią część parku ze stawem. Arkadowy podjazd został w latach powojennych przebudowany, tracąc swoje pierwotne przeznaczenie i wygląd architektoniczny. Do sali balowej przylega sala kominkowa z zachowanym kominkiem z początku XIX wieku i innymi elementami dekoracyjnymi. Od strony południowo-wschodniej zachodniego skrzydła pałacu, sala zielona z obrazami romantycznymi i pięknym, w stylu empirowym piecem kaflowym. Do kompleksu pałacowego zaliczyć należy wiele przylegających budynków jak dzisiejsza

sala baletowa – dawniej ujeżdżalnia koni, jak oficyny, czworaki, budynki administracyjne i gospodarcze, wszystkie pochodzą co najmniej z połowy XIX wieku.

Budynek Nadleśnictwa

Pałacyk zbudowany w 1810 roku przez Fryderyka Wilhelma Degnera, nadwornego architekta i inspektora budownictwa w dobrach rodziny Hohenlohe-Ingenfingen. Degner zaprojektował i wybudował wiele wspaniałych obiektów mieszkalnych i przemysłowo-gospodarczych jak np. nieistniejący już wielki piec w Bruśku, jak – niestety zniszczone w ostatnich latach – zabudowania folwarczne w Koszęcinie, Cieszowej, Prądach, Łazach i w innych miejscowościach należących do panów na Koszęcinie. W omawianym budynku mieścił się przez półtora wieku Zarząd Dóbr Pałacowych (*Forstamt*), i dopiero we wczesnych latach powojennych, kiedy upaństwowiono książęce lasy, zlokalizowano tam Nadleśnictwo Koszęcin.

Obiekt wybudowany na planie prostokąta w stylu klasycystycznym, murowany z cegły, potynkowany, parterowy, na wysokim podmurowaniu. W piwnicach pod budynkiem sklepienia żaglaste na gurtach. Układ wnętrza dwutraktowy, od strony zachodniej elewacja jedenastotraktowa z portykiem wspartym na czterech kolumnach, zwieńczonym trójkątnym przyczółkiem. Do drzwi wejściowych prowadzą dwustronne podjazdy, dawniej brukowane kamieniem, dziś wyłożone płytkami ceramicznymi. Przy elewacji od strony ulicy Ligonja portal flankowany dwiema kolumnami, nad którymi trójkątny przyczółek, w którym znajdował się – zniszczony po 1960 roku – herb rodowy Hohelohych. Dach naczółkowy, był wcześniej pokryty dachówką, obecnie blachą. Obiekt, dzięki troskliwej dbałości gospodarzy, mimo prawie dwuwiekowemu trwaniu jest – tak jak przed laty – wizytówką Koszęcina.

Budynek poczty

Obiekt wybudowano w 1881 roku, w miejscu wcześniejszego, drewnianego domku kapelana pałacowego. W roku 1910, kiedy w Koszęcinie pojawiły się pierwsze telefony, dobudowano do budynku od strony południowej „rozmównicę”. Budynek murowany z cegły, dawniej fugowany, w latach 80. XX wieku potynkowany. Zwieńczenia dachu schodkowe, zakończone wieżyczkami z cegły. Połąć dachu wcześniej pokryta dachówką, obecnie blachą w kształcie dachówki. Układ wnętrza dwuklatkowy, ze zmienioną remontami i adaptacją wewnętrzną architekturą. Do lat powojennych stał obok poczty, gdzie dziś księgarnia, drewniany budynek więzienny, przed

którym usadowiona była „budka” stróża, pilnującego zarówno więzienia, poczty, jak i porządku publicznego Koszęcina.

Zabudowania folwarczne

W pierwszej połowie XIX wieku, wspomniany już wcześniej architekt i inspektor budowlany Fryderyk Degner, pobudował w Koszęcinie i w innych miejscowościach należących do koszęcińskich właścicieli, liczne zabudowania folwarczne. Obiekty o cechach klasycystycznych są murowane z cegły i po-tynkowane. Zaliczamy do nich oficyny, czworaki, domy mieszkalne i stajnie. Oficyna usytuowana jest obok bramy wjazdowej na dziedziniec zewnętrzny przed pałacem. Prostokątna, parterowa z mieszkalnym poddaszem. Przebudowy i adaptacje zmieniły jej pierwotny wygląd. Zachowały się do czasów dzisiejszych, dawne czworaki usytuowane częściowo przy pałacu, częściowo przy ulicy obok pałacu, przekształcone w czasach powojennych, niektóre w złym stanie technicznym. Ciekawy kompleks architektury folwarczej znajdował się przy dzisiejszej ulicy Ligonja. W latach po II wojnie światowej w posiadaniu Państwowych Gospodarstw Rolnych, popadł w ostatniej dekadzie XX wieku w ruinę. Na folwark składały się następujące budynki: stajnie, wzniesione na planie wydłużonego prostokąta, przylegające od północy do ulicy. Elewacja dłuższego boku od dziedzińca posiada cztery wystawki gospodarcze o wykroju falistym, zwieńczone wspólnym obiegającym gzymsem. Okna przeważnie półkoliste, sklepienia żaglaste na gurtach, wsparte na wolnostojących filarach. Dach naczółkowy, kryty dachówką. Obiekt wymaga gruntownego remontu. Przy obszernym dziedzińcu stał do niedawna – obecnie całkowicie zdemolowany – budynek administracyjny, dalej stodoła, budynki gospodarcze, warsztaty – kowalski i kołodziejski oraz wozownia przylegająca od strony zachodniej do stajni. Obok niej, wybudowana chyba w drugiej połowie XIX wieku – „krowiarnia”, ze spichlerzem na piętrze. Niegospodarność i niedbalstwo ostatnich właścicieli tych obiektów przyczyniły się do ich zniszczenia.

Drewniana architektura sakralna na Śląsku

Ziemia śląska to przebogata skarbnica kultury zapisywanej tu od wieków. Mimo licznych kataklizmów dziejowych, wojen, głodu i poniewierki lud tutejszy tworzył niezatarte dobra, które przetrwały do dnia dzisiejszego. Jeszcze do niedawna Śląsk był postrzegany – i ciągle jeszcze jest postrzegany – jako

kraina fabryk, hut i kopalń. Jednak na naszych oczach zmienia się przemysłowy stereotyp tej krainy, ginie górnictwo i hutnictwo, znikają kominy fabryczne i kopalniane wieże wyciągowe. Stara, piękna i często zabytkowa architektura przemysłowa idzie powoli do historycznego i kulturowego lamusa. Ale ziemia śląska to przede wszystkim kraina związana od tysiąclecia z Kościołem, z głęboką religijnością tutejszego ludu i ze wspaniałą architekturą sakralną. Szczególnie urzekają drewniane kościoły, wspaniałe perły architektury zrębowej. Utopione w zieleni, często wśród wiekowych cmentarnych lip, dębów czy kasztanowców, są symbolem naszego krajobrazu i zasobnych terenów leśnych, które dawniej tysiącami hektarów pokrywały tę ziemię. W drewnianych świątyniach zakodowane jest nie tylko piękno architektoniczne, ale także kultura minionych wieków, talent i pracowitość naszych praojców, a nade wszystko głęboka religijność ludu śląskiego.

Kościoły drewniane, oprócz funkcji religijnej, dla której zostały zbudowane, spełniają również doniosłą rolę poznawczą i kulturotwórczą, przyciągając ku sobie tysięczne rzesze miłośników. Chwała Bogu, że ich opiekunem jest Kościół, że są wspaniali księża, którzy – oprócz powinności duszpasterskiej – są także kustoszami tych zabytkowych obiektów.

Drewniana architektura sakralna była obecna na Śląsku już co najmniej od XII wieku. Większość drewnianych kościołów, które przetrwały do naszych czasów, zbudowano z drewna sosnowego i świerkowego, nieliczne z modrzewia. Prawie wszystkie są orientowane (prezbiterium ukierunkowane na wschód), na podmurówkach z kamienia lub cegły, z wieżami słupowymi i wieżyczkami na sygnaturkę, niektóre otoczone sobótkami. Dachy i zadaszenia pobite gontami. Wiele drewnianych kościołów stoi w miejscu wcześniejszych, o których wspominają liczne protokoły kanoniczne i miejscowe przekazy historyczne.

Bardzo piękne są wnętrza świątyń, często niezmieniane od wieków. Znajdują się tam ciekawe rozwiązania architektoniczne i dzieła sztuki sakralnej: drewniane ołtarze, ambony, chrzcielnice i rzeźby, także stare malowidła i obrazy. Kościoły drewniane to bezcenny skarb naszej, ale także europejskiej i światowej kultury. Szkoda, że wiele z nich, z różnych względów uległo już w naszych czasach zniszczeniu. Wielka szkoda, że niektóre świątynie „zginęły” na zawsze na skutek współczesnego wandalizmu. Statystyki są alarmujące. Z przeszło 500 drewnianych kościołów, które stały na Śląsku na przełomie XVI i XVII wieku, przetrwało do 1870 niespełna 200. Na początku XX wieku doliczono się na Górnym Śląsku już tylko 154 drewnianych kościołów. Dzisiaj jest ich jeszcze mniej, ale to wielkie szczęście, że istnieją, że żyją liturgią, że

służą Bogu i wiernym. Na rynku brak jest od wielu lat katalogów zabytków i monograficznych opisów dóbr kultury, szczególnie drewnianej architektury sakralnej. Także koszęcińska „Trójca Święta” – o której pisałem szerzej w książeczce pt. *Drewniane kościoły na ziemi lublinieckiej*, a wcześniej w małej broszurce – czeka od lat na nowe, poszerzone opracowanie. Niedawno proboszcz parafii Trójcy Świętej ks. Jan Matla przypomniał mi także o tej potrzebie. Powiem, że to wcale niełatwe zadanie, bo „Trójca Święta” w Koszęcinie, to nie tylko „drewniany kościółek” o pięknej, unikalnej architekturze, ale to także szczególne miejsce, swoistego rodzaju sakrum – które, jak pisał Juliusz Ligoń „Sam Pan Bóg obrał na mieszkanie z nami”. Wiem, że mieszkańcy Koszęcina, a również wielu ludzi z dalszych i bliższych okolic czeka na „jedno” i na „drugie”, na dzieje historyczne i zabytkowe walory kościoła, ale także na tę sferę, którą musimy postrzegać nie tylko zmysłami i „uczonością”, ale raczej oczyma wiary, odnosząc się z wielkim szacunkiem do tradycji i praktyk religijnych związanych z kościołem Trójcy Świętej w Koszęcinie.

Miejsca pamięci w Koszęcinie i gminie Koszęcin (pomniki, cmentarze i tablice pamiątkowe)

Pomnik ku czci Walentego Roździeńskiego w Koszęcinie (przy kapliczce św. Wawrzyńca) zbudowany w 1986 roku z inicjatywy Jana Myrcika dla uczczenia wielkiego Ślązaka – Walentego Roździeńskiego, którego rodowód pochodzi z Bruśka. Walenty Roździeński rozsławił na całą Polskę i Europę dzieje starośląskiego hutnictwa i górnictwa wydając w roku 1612 w Krakowie książkę pt. *Officina ferraria abo huta i warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego*. Roździeński pisał swoje dzieło przez jedenaście lat korzystając z bogatej biblioteki koszęcińskiego pałacu, którego właścicielem był Andrzej Kochcicki. Temu panu zadedykował jedyną książkę²⁷.

Pomnik ku czci Juliusza Ligonia w Prądach pod Koszęcinem, w miejscu urodzenia wielkiego śląskiego poety – kowala Juliusza Ligonia. Uroczystość odsłonięcia pomnika – zbudowanego z inicjatywy Jana Myrcika – miała miejsce w 1978 roku z okazji 155. rocznicy urodzin poety. Juliusz Ligoń pisał wiersze, poematy, dramaty i inne utwory. Najpiękniejszy wiersz *Mowa polska* mówi o wielkiej miłości Ligonia do Polski. J. Ligoń związany był także

27 O Roździeńskim i Kochcickim pisze J. Myrcik w swoich książkach: *Koszęcin i okolice*, *Koszęcin na starej fotografii* i *Od Piastów opolskich po rozśpiewany „Śląsk”* i *Poeci ziemi lublinieckiej*.

wielką wiarą i posługą z kościołem Trójcy Świętej w Koszęcinie. W roku 1855 remontował kościół, odnajdując tam starą kronikę, która później zaginęła. Napisał też piękny wiersz poświęcony kościołowi Trójcy Świętej. O Juliuszu Ligoniu czytaj w książkach Jana Myrcika: *Koszęcin na starej fotografii*, *Koszęcin i okolice*, *Drewniane kościoły na ziemi lublinieckiej*, *Koszęcińskie kościoły i kapliczki*, *Poeci ziemi lublinieckiej*.

Grób – pomnik ku czci „żołnierzy września” znajduje się na koszęcińskim cmentarzu przy kościele Trójcy Świętej. Powstał on w 1945 roku. Pochowano tam prochy dziewięciu polskich żołnierzy, którzy polegli 1 września 1939 roku w lesie niedaleko kościoła. Przeniesiono tam także prochy szesnastoletniego powstańca śląskiego Władysława Filipczyka, który w wyniku odniesionych ran w II powstaniu śląskim pod Babienicą przewieziony został do „szpitala powstańczego”, którym była kostnica. Prawie wszyscy polegli pochodzili z okolic Woźnik.

Cmentarz w Koszęcinie jest też miejscem pamięci. Pochodzi prawdopodobnie z XVI wieku. Najstarsze groby to: grób kapelana pałacowego z 1848 roku – ks. Denischa – i grób ks. Dietricha – pierwszego proboszcza Koszęcina z 1882 roku. Sadowskie księgi pogrzebowe wspominają wielu zasłużonych ludzi spoczywających na koszęcińskim cmentarzu, wśród nich hrabinę Katarzynę Skalową, której płyta nagrobna z 1602 roku (odnaleziona w 1972 roku) znajduje się w kaplicy pogrzebowej przy cmentarzu Trójcy Świętej.

Zniszczony w latach powojennych **cmentarz ewangelicki w parku koszęcińskim** założony w 1909 roku. Pochowano tam wówczas księżnę Annę, której prochy w tym samym roku przeniesiono do kaplicy pałacowej. Na cmentarzu pochowano 1 stycznia 1945 roku 42 żołnierzy niemieckich poległych w Koszęcinie i jednego rosyjskiego jeńca rozstrzelanego w Koszęcinie.

Tablica pamiątkowa na dawnej aptece (naprzeciw szkoły) odsłonięta z inicjatywy Jana Myrcika w 1981 z okazji 60. rocznicy III powstania śląskiego i plebiscytu.

Pomnik ku czci dwóch polskich lotników zestrzelonych 1 września 1939 roku nad Strzebinem zbudowano z inicjatywy Jana Myrcika i odsłonięto w 1986 roku.

Płyty nagrobne rodu Hohenlohe-Ingenfingen znajdują się w kościele pałacowym w Koszęcinie. Poświęcone są księciu Adolfowi zu Hohenlohe, jego synowi księciu Wilhelmowi i jego żonie księżniczce Annie, siostrze ostatniego pana na Koszęcinie, księżniczce Luizie i księciu Karolowi Gotfrydowi zu Hohenlohe.

Cmentarz żydowski w Cieszowej, który istnieje prawdopodobnie od XVI wieku jest również zaliczany do miejsc pamięci. Niestety po ostatniej wojnie został zniszczony i bezcenne macewy (macewa to płyta nagrobna) zostały w większości rozkradzione i zniszczone.

Cmentarz przy zabytkowym kościele św. Marcina w Cieszowej (1755) pochodzi z 1522 roku. Znajduje się tam kilka starych grobów.

Cmentarz przy kościele św. Józefa w Sadowie (1331) istnieje od niepamiętnych czasów. Zachowały się tam groby trzech zacnych proboszczów m.in. grób wielce zasłużonego dla kościoła i naszej historii ks. Karola Urbana.

Saga rodu Hohenlohe-Ingenfingen

To pocieszające, że wielu ludzi – nie tylko mieszkańców Koszęcina – dopytuje się od pewnego czasu o ciekawe losy koszęcińskiej linii Hohenlohe-Ingenfingen (w transkrypcji czytaj „Hołynłoły”). Szczególnie cieszy fakt, że o wątki historyczne Koszęcina dopominają się ludzie młodzi, nawet dzieci, ciekawi wiedzy o swojej Małej Ojczyźnie.

Hohenlohowie to jeden z najstarszych i najbogatszych rodów arystokratycznych w Niemczech, którego początki sięgają XII wieku. Na przestrzeni stuleci rodzina ta rozgałęziła się na kilkanaście linii, z których koszęcińska – należąca do najmniejszych – wymarła wraz ze śmiercią ostatniego pana na Koszęcinie. Założycielem koszęcińskiej linii był książę Fryderyk Ludwik Karol zu Hohenlohe-Ingenfingen – Graf von Gleichen – pan na Langenburgu, Kranichfeldzie, Öhringen i Koszęcinie. Dobra koszęcińskie składające się wówczas z miejscowości Koszęcin, Piasku, Piłki i Irek, otrzymał 22-letni książę Adolf w roku 1819 od swej babci hrabiny Osten-Sacken, jako wiano ślubne. Majątek ten zakupiono kilka lat wcześniej na licytacji od państwa pruskiego za kwotę 57 tys. talarów reńskich. W protokole sprzedaży znajdował się m.in. następujący inwentarz: 50 tys. mórg lasów, 16 tys. mórg pól, 250 mórg stawów rybnych, 3200 owiec, 69 koni, 100 wołów, 72 krowy i 15 świń.

Książę Adolf był pruskim generałem artylerii, wybitnym teoretykiem wojskowości i wielkim politykiem. Piastował najwyższe urzędy państwowe, pełniąc między innymi funkcje prezesa Izby Panów, premiera i kanclerza Prus. Urodził się 29 stycznia 1773 roku, w mieście Karlsruhe w Wirtembergii – skąd wywodziła się koszęcińska linia tego rodu, zmarł w Koszęcinie 24 kwietnia 1873 roku. Jego o dwa lata młodsza żona księżna Luiza von Langenburg

urodziła mu trzech synów i dwie córki. Wszyscy synowie byli – podobnie jak ojciec – generałami armii pruskiej. Najstarszy z nich – Karol – został jednak po wielu latach służby zdegradowany za awanturniczy tryb życia i zamiast odziedziczyć spadek po ojcu, osiadł w małym dworku w Czarnym Lesie. Najmłodszy natomiast – książę Kraft – ożenił się ze swoją gospożą, co było powodem nieporozumień rodzinnych i osiadł w Dreźnie, gdzie po latach służby w generalskim mundurze zmarł w 1891 roku.

Dobra koszęcińskie odziedziczył w wieku 47 lat, urodzony w Koszęcinie w 1826 roku książę Fryderyk Wilhelm zu Hohenlohe, generał porucznik armii pruskiej, adjutant samego cesarza i bliski współpracownik Bismarcka. Był on wysokim dowódcą we wszystkich trzech wojnach prowadzonych przez Prusy i za swe zasługi odznaczony najwyższymi orderami i obsypany zaszczytami. Ożenił się mając 40 lat z młodszą o 22 lata księżną Anną von Giech. W koszęcińskim pałacu osiadł dopiero po zakończeniu służby wojskowej, a jego stosunek do podwładnych i własnej żony był bardzo naganny. Zmarł w Koszęcinie w 1895 roku i pochowany został w podziemiach kaplicy pałacowej. Po jego śmierci właścicielem pomnożonych dóbr koszęcińskich został jedyny syn, szesnastoletni wówczas książę Karol Gotfryd, charakterem zupełnie niepodobny do ojca. Przerwał on także rodzinną tradycję generalską, chociaż przez sześć lat służył w cesarskim wyborowym pułku *Leib Garde Kürassier Regiment* dorabiając się stopnia rotmistrza. Po zakończonej służbie wojskowej w 1907 roku, podróżował przez dwa lata po Europie, interesując się kulturą i zbierając wzorce do nowoczesnej gospodarki leśnej, rolniczej i przemysłowej. Jego majątek należał do największych na Śląsku i w Niemczech. Karol Gotfryd był właścicielem Koszęcina, Boronowa, Cieszowej, Bruśka, Strzebinia, Łazów, Tworoga, wielu przysiółków i dworów, ogromnych terenów leśnych sięgających kilkadziesiąt tysięcy hektarów, dużego areалу pól i łąk, a także części przemysłu górnośląskiego. Posiadał również pałace w Koszęcinie i Tworogu oraz wiele innych budynków, dziś przeważnie o charakterze zabytkowym. Był człowiekiem bardzo ugodowym i hojnym dla swych poddanych. Na początku XX wieku rozparcelował swój majątek w Rusinowicach, następnie – kiedy Koszęcin należał już do Polski, oddał wiele ziemi na potrzeby budującego się osiedla w Koszęcinie, przyczynił się także bardzo przy budowie katolickiego kościoła NSPJ w Koszęcinie, pokrywając 80 procent kosztów. Budował i utrzymywał domy starców i szpital w Koszęcinie.

Z początkiem stycznia 1945 roku opuścił rodzinną miejscowość, udając się do swej małej posiadłości w miejscowości Kraubath, niedaleko Graz w Austrii,

gdzie umiera 11 lipca 1960 roku, mając niespełna 81 lat. Książę Karol Gotfryd był kawalerem do kresu swoich dni, a koszęcińskie dobra zamierzał przekazać dwom siostrzeńcom. Jednak wojna i jej skutki polityczne pokrzyżowały wszystkie plany. Jeden ze spadkobierców poległ na wschodnim froncie, drugi osiadł w Stanach Zjednoczonych, a ogromny majątek został po II wojnie upaństwowiony.

Piękny koszęciński pałac, który Hohenlohowie rozbudowali i upiększyli, został w 1945 roku wyszabrowany, a bogaty księgozbiór i niektóre archiwalia spalono. Kościół pałacowy, który obecnie wraca do łask, najpierw różnymi „imprezami” zbezczeszczone, a później zamieniono na magazyn. Piękną, koszęcińską rezydencją „władali” od 1945–1953 roku, najpierw PGR (na szczęście chyba tylko przez pół roku), a później przez trzy lata (na nieszczęście) zlokalizowano tu Centralną Szkołę Aktywu Młodzieżowego OM TUR. Przez następny okres czasu kompleks pałacowy był filią Państwowego Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Lublińcu, zaś od lipca 1953 roku do dnia dzisiejszego jest kompleksem pałacowo-parkowym zarządzanym przez dyrekcję Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

Przy świątecznym stole

Ostatnie święta ostatniego księcia w Koszęcinie

Im dłuższy dystans historyczny dzieli nas od pobytu na koszęcińskim pałacu rodzin książęcych, tym opowiadki o minionym czasie przybierają postać legend czy bajek z tysiąca i jednej nocy. O tym, że pałac koszęciński był zawsze ostoją kultury, wiedzą co poniektórzy, chociaż kazano nam przez dziesięciolecia milczeć o burżujach, pruskich junkrach itp. Wspomnijmy dziś jednak chociażby Andrzeja Kochcickiego, który gromadził w koszęcińskim pałacu w połowie XVII wieku elitę ówczesnych ludzi kultury, który posiadał w pałacach w Koszęcinie i Lublińcu przeogromny księgozbiór, w oparciu o którego dzieła Walenty Roździeński napisał poemat o etosie ludzkiej pracy *Officina ferraria*. Wspomnijmy hrabiego Rauthena – krewniaka króla Jana III Sobieskiego – wielce zasłużonego dla śląskiej i polskiej kultury. Powiedzmy też, że zięć Rauthena – Henryk Sobek zbudował w Koszęcinie teatr pałacowy, do którego sprowadził artystów z Berlina i Wrocławia.

A jak było za Hohenlohych? Niestety, o ostatnich panach na Koszęcinie wiemy wciąż bardzo mało.

Zniszczono bowiem – w maju 1945 roku – okazałą część archiwaliów i pałacowy księgozbiór, wyszabrowano przebogate zbiory kultury, w tym najstarsze polskie rękopisy przechowywane na Śląsku. Chciano, aby ogień strawił historię ostatnich koszęcińskich panów, aby już nikt i nigdy nie poznał prawdy. Koszęcińska linia Hohenlohych wymarła wraz ze śmiercią ostatniego pana i dotychczas nie zdołano prawdopodobnie napisać jej monografii. A jednak po latach milczenia odgrzebujemy pamięć. Spalono dzieła, ale ludzkiej pamięci nie zdołano „wypalić”. Ludzie – tak to bywa – im starsi, tym pamięcią sięgają do czasów bardzo odległych, często do lat dzieciństwa i młodości. Przypominają sobie jak to było wtedy, gdy w pałacu mieszkali ludzie z „błękitną krwią”, kiedy po parku spacerowały *princesy*, kiedy panowie dbali o szkoły, szpitale, kościoły, kiedy podobno każdy miał pracę (ostatni książę zatrudniał przeszło tysiąc ludzi). Ale to mowa bardzo „przyziemna”, a ja chciałbym dzisiaj o świętowaniu, o ostatnim Bożym Narodzeniu księcia Karola Gotfryda w koszęcińskim pałacu.

W sierpniu 2000 roku odwiedził mnie przybyły z RFN do Koszęcina pan Paul Odoj, którego rodzina przez pokolenia była na służbie u Hohenlohych. Byłem z nim w pałacu, gdzie oglądając sale i inne miejsca pałacu opowiadał w szczegółach o tym, co tam „pierwej było”. Dowiedziałem się np. o funkcji jaką pełniła za księcia „biała sala”. Trochę wcześniej – chyba w sierpniu – otrzymałem od pani Felicji Brzozy, która dawniej była telefonistką w pałacu, dwa poźółkle ze starości zaproszenia na pałacowe koncerty, powiedzmy na ostatnie koncerty z udziałem księcia. Pierwsze to *Einladung zu einer Musikalischen Feierstunde*, która odbyła się w białej sali „jego książęcej mości Karola Gotfryda zu Hohenlohe-Ingelfingen” 19 listopada 1944 roku o godz. 20:00. Wystąpili wtedy: Czesława Grzesik – sopran²⁸, Johanna Petz – fortepian, Wanda Strześ – wiolonczela, Werner Schueck – fortepian. W programie były m.in. utwory Schuberta, Brahmsa, Nardiniiego i kilka kompozycji Wernera Schuecka. Koncerty pt. *Musikalische Feierstunden* odbywały się w koszęcińskim pałacu cyklicznie, ale ten z 19 listopada był z pewnością ostatnim. Odbył się jednak jeszcze jeden koncert w białej sali – *Weihnachtskonzert*, także pod kierownictwem Wernera Schuecka, 25 grudnia 1944 roku. Nie był to jednak koncert kolędowy, chociaż zaśpiewano dwie pieśni bożonarodzeniowe – *Alle Königskerzen werden blühen* – P. Graenera i *Maria Wiegenlied* – M. Regera. Wszystkie inne utwory miały raczej smutny i bardzo poważny charakter. Do Koszęcina zbliżał się front, a czerwonoarmiści byli

28 Czesława Grzesik, koszęcinanka z urodzenia, była artystką operetki.

tylko o 20 dni od Koszęcina (wkroczyli tu 19 stycznia 1945 roku). Grano więc i śpiewano wtedy: *Gebet aus Rienzi* R. Wagnera, *O frage nicht* Zyklusla, *Unterm Fenster i So wahr die Sonne scheint* R. Schumanna, czy też *Wir armen, armen Maedchen* A. Lortzinga.

Oba ostatnie koncerty w koszęcińskim pałacu, którym przysłuchiwał się zatroskany o swój los książę, przygotował przebywający wtedy w pałacu w Koszęcinie niemiecki artysta, którego wojna ubrała w mundur Wehrmachtu. Wiemy, że ten człowiek przeżył kataklizm wojny i jak wynika z przesłanego dawno temu do Koszęcina folderu, był kompozytorem i dyrygentem *Mozartchor* w Radebeul. Książę już nigdy nie wrócił do Koszęcina, chociaż bardzo pragnął – szczególnie na krótko przed swoją śmiercią w 1961 roku – odwiedzić miejsce swego urodzenia, w którym spędził 60 lat życia i gdzie pozostawił ogromny majątek, a także groby swoich przodków. Jego grobowiec stoi pusty, także na metalowym epitafium z wykutymi personaliami nie ma daty jego śmierci. Ostatnie lata swego życia spędził w Kraubath w Austrii, gdzie mieszkał u swojego leśniczego na poddaszu. Zmarł w lipcu 1960 roku i pochowany został na małym, przykościelnym katolickim cmentarzyku.

Ostatnia droga ostatniego pana na Koszęcinie

O ostatnim księciu na Koszęcinie pisałem już na łamach naszej gazety kilka artykułów, m.in. „Ostatnie święta księcia Karola Gotfryda w Koszęcinie”, „Debata nad księciem” i „Panowie na Koszęcinie”. Nigdy jednak, w żadnej z moich publikacji nie opisałem ostatniej drogi księcia opuszczającego mroźną, styczniową zimą 1945 roku, na zawsze rodzinny Koszęcin. Mimo tego, że znam z relacji zaprzyjaźnionej z moim domem, mieszkającej od końca wojny w Niemczech pani Hedel Cebulski – córki ostatniego długoletniego *Leibjegra* – i wielu innych ludzi związanych z pałacem, to „ostatniej drogi” księcia dotychczas nie znałem. Różni ludzie różnie mówili i pisali na ten temat, przeważnie niezycliwie dla księcia. A to, że uciekał przed Rosjanami wynajętą pojazdem do Tworoga i nie zapłacił za tę usługę, a to, że na Nowym Dworze zbudował specjalną rampę do załadowania pociągu ze skarbami ostatniego pana na Koszęcinie i inne temu podobne brednie. Jedyne żyjący świadek tych wydarzeń, dziś już 84-letni Paweł Skubała, który wspólnie z kilkoma rodzinami związanymi blisko z pałacem podążał tą samą „ostatnią” drogą, co uchodzący koszęciński książę, milczał o tym fakcie jak przysłowiowy głąz. Dopiero miesiąc temu przekonałem go, że

nie powinien zabierać tych wspomnień „do grobu”. I otworzył się. Spędziłem w jego domu przy ulicy ks. Gąski w Koszęcinie dobrych parę godzin, słuchając jak i w jakich warunkach ostatni koszęciński książę opuszczał na zawsze swoje pałace z przebogatymi skarbami i ogromne dobra składające się z dziesiątków tysięcy hektarów lasów i pól, także z licznych zakładów pracy i gospodarstw rolnych. Ta podróż z Koszęcina do bawarskiej miejscowości Tombach, wynosząca prawie tysiąc kilometrów, trwała ponad trzy tygodnie. Księżciu, jadącemu „dekawką” – najlichszym ze swoich czterech markowych („Mercedes”, „Chorsch”, „Ford”) samochodów osobowych, które zostawił w garażach znajdujących się wówczas po przeciwnej stronie Nadleśnictwa – towarzyszyła zaprzęgnięta w najsilniejsze konie „rolwaga”, nakryta brezentową plandeką. Konny wóz, na którego koźle jechał książęcy woźnica Franciszek Skubała (ojciec wówczas czternastoletniego Pawła) i „pilotujący” całą wyprawą 60-letni książęcy kucharz Obst, wyjechała z Koszęcina – przy przeszło dwudziestostopniowym mrozie – 18 stycznia 1945 roku o godzinie jedenastej. Trasa wiodła leśnymi drogami przez Piłkę, Kokotek, Pustą Kuźnicę w kierunku Odry i dalej... Pod plandeką siedział wspomniany Paweł Skubała, żona kucharza Obsta, trójka członków rodziny Cebulskich i „starzy” Potempowie – razem dziewięć osób. Książę wyjechał następnego dnia – 19 stycznia o godzinie piątej rano²⁹. Małym samochodem kierował najbardziej zaufany człowiek księcia, pierwszy sługa i sekretarz pan Cebulski, którego dwoje dzieci siedziało na tylnym siedzeniu „dekawki”. Bardzo uciążliwa – ze względu na zimową pogodę i zatłoczone wojskiem i wojennym sprzętem drogi – podróż, dała się wszystkim we znaki. Najbardziej zachorował blisko siedemdziesięcioletni książę, który później miesiącami kurował się w zamku zaprzyjaźnionej księżnej von Ostenburg w Tombach, gdzie skończyła się ucieczka z Koszęcina. Po wycofaniu się z zajętej przez czerwonoarmistów Austrii, książę przeniósł się do małej miejscowości Kraubath niedaleko Graz, gdzie posiadał ponad 500 hektarów lasów i gdzie w 1960 roku zmarł.

O „ostatniej podróży” księcia Karola Gotfryda zu Hohenlohe-Ingelfingen, ostatniego pana na Koszęcinie, napisałem wszakże z jednego tylko względu – że ten człowiek był na wskroś szlachetny, że nieprawdą jest jakoby miał kogoś oszukać, czy nie zapłacić za usługę. Nie jest także prawdą, że zabrał z sobą najcenniejsze skarby i dobra. Niczego nie zabrał, wszystko co posiadał zostawił

29 Warto wspomnieć, że tego samego dnia około godziny 10:00 wkroczyły do Koszęcina rosyjskie wojska.

w Polsce i Polsce, a mówiąc trochę dokładniej, wszystko zgodnie z naszym obowiązującym wówczas prawem zostało upaństwowione. Naturalnie nie wszystko, przed aktem nacjonalizacji „zrobiono” w pałacu „porządek”. Różne „władze” i różni ludzie, którzy przyszli w 1945 roku „rządzić” Koszęcinem wykradli i splądrowali pałac, a cenne i bezcenne archiwalia i skarby naszej literatury spalono na stosach na pałacowym dziedzińcu i na placu przed kaplicą pałacową.

Debata nad księciem

O zasłużonych ludziach nazywanych czasem „wielkimi” albo „dobrymi” pisaliśmy na łamach powiatowej gazety już wielokrotnie. Przeważnie w tych artykułach chodziło o ludzi, którzy zapisali się w naszej lokalnej – powiatowej, czy gminnej historii czymś szczególnym: prawym życiem, obroną biednych i uciemżonych, pisarstwem, sprawami Kościoła, szeroko pojętą kulturą, architekturą, przyrodą itp. W ogromnej większości przedstawiano dotychczas biografie ludzi zasłużonych dla polskości ziemi lublinieckiej – a patrząc szerzej – ziemi śląskiej, czy wręcz sprawie narodowej (K. Damrot, J. Lompa, J. Ligoń, W. Roździeński, J.N. Jaroń, prof. Gładysz i inni).

Dzisiaj – zainspirowany „Debatą (radiową) nad księciem” chciałbym przedstawić krótko biografię i zasługi człowieka z „innej półki” – innej przynależności narodowościowej i warstwy społecznej, nie mówiąc już o majątności i „błękitnej” krwi. Artykuł ten będzie zrozumiały dla ludzi znających – choćby tylko encyklopedycznie – historię ziemi śląskiej i jej poplątane losy na przestrzeni minionych wieków. Poniżej opisaną „sprawę” zrozumie też każdy, kto ma w swej duszy zapisany obiektywizm historyczny, czy też potrafi czytać dzieje historyczne ziemi śląskiej – w tym także biografie zasłużonych dla niej ludzi – „po europejsku”, bez egoizmu politycznego, „hurapatriotyzmu” i bez kierowania się sloganowym przysłowiem: „Póki świat światem, Polak i Niemiec nie będą bratem”.

Chodzi o księcia Karola Gotfryda zu Hohenlohe – pana na Koszęcinie od 1895 do 19 stycznia 1945 roku, którego Rada Gminy Koszęcin – na wniosek Doróżnej Komisji Historycznej – zaliczyła w poczet „Zasłużonych dla Gminy Koszęcin”.

Książę Karol Gotfryd zu Hohenlohe-Ingelfingen urodził się w Koszęcinie 8 października 1879 roku, zmarł – „na powojennym wygnaniu” – w małej austriackiej wiosce Kraubath 11 lipca 1960 roku i spoczywa na tamtejszym,

katolickim cmentarzu, chociaż sam był gorliwym protestantem. Warto wspomnieć, że Hohenlohowie to jeden z najstarszych rodów arystokratycznych w Europie, którego prapoczątki sięgają VIII wieku (niektórzy historycy dowodzą, że nawet... II wieku). Linia koszęcińska – nosząca nazwę Hohenlohe-Ingelfingen rozpoczęła się od księcia Ludwika. Później panowali tu – dziadek Karola Gotfryda, książę Adolf (pruski generał, prezes Izby Panów, a nawet premier Prus), a po nim – ojciec ostatniego pana na Koszęcinie, także generał – książę Fryderyk Wilhelm zu Hohenlohe-Ingelfingen, Graf zu Gleichen. Ostatni książę, nazywany w Koszęcinie i okolicy „dobrym księciem” miał dla społeczności gminy Koszęcin i kilku innych gmin – np. Boronowa i Tworoga – wielkie zasługi, dbając o całą sferę społeczno-ekonomiczną wszystkich mieszkańców. Hohenlohowie osiedli na Śląsku pod koniec XVIII wieku, a w Koszęcinie od 1809 roku. Śląsk należał wówczas (dokładnie od 1724 do 1922 roku) do państwa pruskiego. Wcześniej przez blisko dwa wieki panowali tu Austriacy, a jeszcze wcześniej – też prawie przez dwa stulecia – ziemia śląska należała do Korony Czeskiej. Polski nie było tu przez ponad 600 lat. Książę Karol Gotfryd został uchwałą Rady Gminy Koszęcin uhonorowany symbolicznie i pośmiertnie – ze względów politycznych – o wiele dziesięcioleci za późno. Wniosek Doraźnej Komisji Historycznej wspominał wiele bardzo pozytywnych dla mieszkańców Koszęcina i gminy zasług tego wspomniałego, głęboko religijnego i hojnego człowieka, który nikomu nie wyrządził najmniejszej szkody.

Debata radiowa miała miejsce 13 października 2009 roku w dawnej „Białej sali” koszęcińskiego pałacu, w której do dzisiaj zachowały się na mozaikowej posadzce powtarzające się elementy rodowego herbu Hohenlohych. Obradowano – prawie dokładnie – w 130. rocznicę urodzin księcia. Początkowo myślałem, że z tej właśnie racji Radio Katowice przyjechało Koszęcinowi pogratulować skromnego uhonorowania wielce zasłużonego dla ziemi koszęcińskiej człowieka, że wskażą nas może, jako przykład europejskiego spojrzenia na historię i sprawiedliwą ocenę ludzi. Było prawie na „odwyrtek”. Na „debacie” dowiedzieliśmy się, że radio dostało przysłowiowy cynk od „kogoś” z Koszęcina i przyjechało tu, aby – wspólnie z mieszkańcami (zjawilo się... 18 osób) – uporządkować „nie dobrą sprawę” związaną z uhonorowaniem przez Radę Gminy Koszęcin niemieckiego księcia³⁰.

30 Książę posiadał niemieckie, austriackie i prawdopodobnie polskie obywatelstwo.

Hohenlohowie władali ogromnymi – stale pomnażanymi – dobrami, liczącymi w XX wieku – tylko na ziemi lubliniecko-tarnogórskiej – ponad 30 tys. hektarów lasów i pól oraz różnymi zakładami pracy i folwarkami z bogatą ilościowo i – jak na ówczesne czasy – także jakościowo substancją gospodarczą i socjalną. Ogółem ród ten posiadał ponad 950 różnego rodzaju budynków (lub mieszkań), w tym 220 mieszkalnych. Wszyscy robotnicy folwarczni, większość robotników leśnych, myśliwi i cała ogromna służba mieszkała z rodzinami „gratisowo” w utrzymywanych przez księcia budynkach. Prawdą jest także fakt, że książęta z rodu Hohenlohe – a szczególnie ostatni pan na Koszęcinie Karol Gotfryd – dbali o sferę socjalną i szeroko pojęte zdrowie swoich poddanych, utrzymując dla nich szpital i duży dom starców³¹ w Koszęcinie, a także „szpitole”³² w Koszęcinie, Boronowie i stojący do dnia dzisiejszego „szpital” w Tworogu. Książę Karol Gotfryd utrzymywał zbudowaną przez swego poprzednika aptekę³³ i dom lekarza przy ulicy Ligonja. Był kolatorem wszystkich katolickich kościołów, szczególnie dbając o drewnianą architekturę sakralną. Zarządzał i opiekował się wszystkimi szkołami w swoich dobrach, do których należały m.in. miejscowości: Koszęcin, Strzebiń, Cieszowa, Brusiek, Tworóg, Rusinowice, Hadra, Łazy, Boronów i wiele innych „dworów”, takich jak np.: Nowy Dwór³⁴, Dolnik³⁵, Górny Dwór³⁶ i wiele innych osad.

Był fundatorem wspaniałego architektonicznie i dużego – od 13 lat już zabytkowego – kościoła NSPJ w Koszęcinie i wspierał materiałami i finansowo wybudowane w 1898 roku probostwo, a wcześniej – on i jego poprzednicy udostępniali katolikom kościół pałacowy. Książę utrzymywał zbudowaną w Koszęcinie w 1881 roku przez swego ojca pocztę, która służyła zarówno pałacowi jak i okolicznym wioskom. Wspierał finansowo wielu ludzi, których spotkało nieszczęście i bieda. Był – po prostu człowiekiem z wielkim sercem. I takim został zapamiętany w Koszęcinie i okolicy. I właśnie za jego dobroć gmina Koszęcin „powiedziała” mu – po 50 latach od jego śmierci – „dziękujemy”. I tylko tyle. Nic więcej, bo za „Zasłużonego dla gminy Koszęcin” nie ma żadnych materialnych, czy finansowych profitów. Trzeba się zatem dziwić paru ludziom, którzy ostatniego pana na Koszęcinie postrzegają inaczej, którzy wprowadzili w błąd „Ligoniowe” – Polskie Radio Katowice,

31 Wcześniej także sierociniec.

32 Odpowiedniki domów opieki.

33 Apteka zakupiona w 1910 roku przez Burzyńskich.

34 *Neuhof*.

35 *Niederhof*.

36 *Oberhof*.

twierdząc, że „ta sprawa” podzieliła mieszkańców gminy. To absurd i trochę wstydu dla niektórych, bo „Biesiadzie” przysłuchiwało się przysłowiowe „pół Polski”.

Biegł do swoich – a oni go nie przyjęli

Były wtedy siarczyste mrozy i wielkie śniegi. Z początkiem stycznia 1945 roku, wiadomo już było, że do Koszęcina zbliża się front. Resztki wyniszczonych wojenną poniewierką wojsk niemieckich uchodziły w chaosie na zachód, a ich miejsce zajmowała na krótko formacja paramilitarna *Volkssturm* (obrona cywilna), składająca się ze starych, słabych i schorowanych mężczyzn. Nocami na północnym nieboskłonie widać było ogniste kule lecące ze wschodu na zachód – znak zbliżającej się ofensywy.

19 stycznia 1945 roku w godzinach porannych Koszęcinem wstrząsnęła kanoada. Paliły się już stodoły przy dzisiejszej ulicy Sienkiewicza, waliły się wieża i dach kościoła zniszczone kilkoma pociskami. Ciężkie niemieckie działa porozstawiane na peryferiach miejscowości przestały strzelać, trafione celnie przez czerwonoarmistów. Wystraszeni ludzie biegali po wsi szukając schronienia, wśród nich także żołnierze Wehrmachtu, z których kilku ocalało tu swe życie.

O dziewiątej rano, na plac przy gminie wjechała radziecka *Pancerspitza*, składająca się z około 15 czołgów, na których jak mrówki siedzieli zmarznięci żołnierze piechoty. Na pierwszym czołgu widoczny był dużych rozmiarów portret Stalina. Wojsko pospiesznie zeskakiwało z czołgów i z pepeszą gotową do strzału penetrowało zaułki uliczek i podwórka, po czym wracało z powrotem na plac. Zjawili się również pierwsi, odważni koszęcinianie, wśród nich pan Skowronek, Hadzik, Brzezina i wikary ks. Erwin Muszer oraz kilku chłopców. Staliśmy wszyscy pod głośnikiem zamocowanym na długiej rurze, stojącym na środku placu. Głośnik, który przez okres wojny powiadamiał nas o zwycięskim marszu *Drang nach Osten* milczał już od pewnego czasu. Ale dzisiaj na placu mówiło się po sześcioletniej przerwie znowu po polsku, dzisiaj byli tu Ruscy, którzy – jak się okazało – strzelali nie tylko do Niemców. Wszyscy byliśmy świadkami dramatu młodego człowieka, który jako jeniec rosyjski pracował na *Oberhofie* w dobrach księcia Hohenlohego. Kiedy zobaczył radzieckie czołgi jadące od Boronowa biegł do „swoich”, a swoich go nie przyjęli. Władowali go na czołg i przywieźli na plac przy gminie. Dwójka czerwonoarmistów doprowadziła skazańca pod płot pana Szeligi,

kilka metrów od mojego domu rodzinnego. Jeden z żołnierzy dwoma strzałami z pistoletu, mierząc prosto w serce, pozbawił go życia. Zdjęli mu buty i zameldowali przełożonemu. Dowiedzieliśmy się, że niewola to zdrada, a za zdradę... „kula w łeb”.

W godzinach popołudniowych tego wyzwolenczego dnia – kiedy Koszęcin był jakby niczyj – ani wojsk niemieckich, ani rosyjskich – razem z kilkoma rówieśnikami oglądałem plon koszęcińskiej wojny. Tym „plonem”, oprócz zniszczeń materialnych, byli polegli żołnierze niemieccy w liczbie około trzydziestu. Leżeli przysypani świeżym puchem śniegu na koszęcińskich ulicach i w polu. Najwięcej padło ich przy ulicy Boronowskiej, od lasu po kapliczkę na Słupiskach. Uciekali rowem, i tam padali, co parę metrów, w pojedynkę, już bez broni. Młody żołnierz w niemieckim mundurze leżał przy rozbitym dziale blisko skrzyżowania dzisiejszych ulic Leśnej i Ligonii. Dostał strzał w głowę, ale jeszcze żył. W lewej ręce trzymał kawałek chleba, jakby polową, żołnierską komunię na wieczną drogę. Zabrały go sankami do koszęcińskiego szpitala siostry zakonne, ale po dwóch dniach skonał.

Zabici żołnierze, leżeli w miejscach gdzie padli, przeszło dziesięć dni. Później „dwójkarze” – Ślężacy z Volkslistą II, ładowali ich ciała na sanie pana Brzeziny, który zawiózł ten wojenny „bagaż” na miejsce wiecznego spoczynku. Pochował ich ks. Muszer na ewangelickim cmentarzu, w skrytości przed władzą. Spoczęli obok siebie w jednej mogile, żołnierze Wehrmachtu i jeńiec – czerwonoarmista.

Utkwiły mi głęboko w pamięci z tamtego dnia dwie sceny: Oczyma wyobraźni widzę chłopięcą twarz młodego Rosjanina rozstrzelanego przez swoich. Nim przeszyto mu kulami serce, z błagających o litość oczu płynęły ostatnie łzy. Widzę także konającego na zmrożonym śniegu, z rozwaloną głową, żołnierza Wehrmachtu. Oboje umierali z dala od swych domów, oboje polegli śmiercią bohatera, jakże różną śmiercią. Pasowałyby tu wtedy napisane kilka lat później przez Zofię Nałkowską słowa: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”.

I na zakończenie tych wspomnień osobista refleksja: Za kogo właściwie ci ludzie oddali życie? Dlaczego musieli tak strasznie umierać? Myślę również – po latach od tamtego dnia – że każdemu żołnierzowi, niezależnie od tego jaki mundur nosił, trzeba zapalić zniczą pamięci. Oni nie chcieli wojny, oni nie chcieli umierać w Koszęcinie. Oni wszyscy chcieli być w domu.

65. rocznica wybuchu II wojny światowej

Nigdy więcej!

Ten pogodny, słoneczny i upalny dzień utkwił głęboko w pamięci wszystkich, którzy go przeżyli. Zawsze pierwszego września wracamy myślą i wspomnieniami do samego początku zła, „które ludzie ludziom zgotowali”. II wojna światowa rozpoczęła się na Westerplatte dokładnie 1 września 1939 roku o godzinie piątej rano. Kilka minut później rozpoczęła się także w Koszęcinie. Wczesnym rankiem tego pamiętnego dnia przelatywały nad Koszęcinem eskadry samolotów, budząc warkotem maszyn śpiących ludzi, siejąc strach i niepewność.

Wojną „pachniało” w Koszęcinie już znacznie wcześniej, kiedy to zaciągano do wojska chłopców – rezerwistów. Każdego dnia ćwiczyli w pocie czoła, każdy dzień zaczynali i kończyli na dużym placu przy „starej szkole” – gdzie dziś Dom Strażaka – hymnami Karpińskiego: *Kiedy ranne wstają zorze* i *Wszystkie nasze dzienne sprawy*. Ludność obserwowała także znacznie wcześniej dziwne rzeczy dziejące się na granicy polsko-niemieckiej. Przedwojenny Koszęcin był bowiem miejscowością przygraniczną. Na południe, za Bruśkiem była granica, na zachód, za Pawonkowem byli Niemcy. Tam od miesięcy wszystko było przygotowane do *Drang nach Osten*.

Kilka dni przed 1 września 1939 roku, rozpoczął się w spokojnym Koszęcinie duży ruch. Ludzie w pośpiechu uciekali na wschód czym się tylko dało – furmankami, rowerami, różnego rodzaju wózkami. Uchodzili w pojedynkę i całymi rodzinami, zabierając z sobą trochę dobytku i inwentarza. Część uciekinierów wracała po kilku dniach bez dobytku, niektórzy nie wrócili nigdy. Nie wrócił do swej parafii ks. proboszcz Gąska, który razem z dwudziestoletnim wówczas organistą Sylwestrem Karmańskim, opuścił Koszęcin przed wkroczeniem armii niemieckiej, nie wrócili koszęcińscy policjanci, nie wrócił Józef Myrcik i wielu innych mieszkańców naszej wioski.

Tego wrześniowego dnia – uzbrojone przeważnie w karabiny – polskie wojsko zajmowało stanowiska w lesie na południe od Koszęcina i na polach od Piasku po ulicę Lubliniecką. Wczesnym rankiem wybuchła strzelanina. Przed godziną ósmą, w tumanach kurzu – bo pogoda była piękna tego dnia – jechały w górę od Piłki i Bruśka, zmotoryzowane kolumny zwycięzców. Około południa tego dnia w Koszęcinie nie było już Polski. W lesie za „Trójcą” grzebano imiennych i bezimiennych żołnierzy w polskich mundurach, których prochy dopiero w 1945 roku przeniesiono na godne miejsce przy starym drewnianym kościółku. Bilans rozpoczętej 1 września 1939 roku wojny był tragiczny

dla Koszęcina. We wrześniowych mundurach polegli żołnierze i policjanci (ci ostatni w Katyniu). A kiedy Koszęcin nazwano już *Koschentin*, a Śląsk – *Schlesien*, już w innych mundurach padło przeszło stu młodych mężczyzn z naszej małej miejscowości. Pierwsi oddawali swe życie za „świętą sprawę ojczyzny”, drudzy – *für Führer, Volk und Vaterland*. To także tragizm wojny dla śląskich rodzin.

Pierwszy dzień września jest dla starszych dramatyczną datą, dla młodszej generacji już tylko kartą historii. I chociaż czas goi rany, niech ta tragiczna data rocznicy wybuchu II wojny światowej, będzie dla jednych i drugich lekcją pamięci.

Za wszystkich którzy nie przeżyli, którzy nigdy nie powrócili do swych domów i do swych bliskich zrózmy pacierz, a za lata bez wojny zaśpiewajmy *Dawcy Pokoju* – dziękczynny hymn i proszmy... aby nigdy więcej!

Dzień Wszystkich Świętych

Pro Memoria

Jest w roku taki dzień, w którym każdy człowiek – niezależnie od swych przekonań – rozmyśla o ludzkim przemijaniu. Także listopadowa pogoda – często mglista i deszczowa – pogłębia ten nastrój.

Pierwszego listopada udajemy się wszyscy na usłane krzyżami cmentarze, aby na grobach bliskich i znajomych złożyć wiązanke kwiatów i zapalić znicze pamięci, symboliczne ognie łączności z tymi, którzy odeszli na zawsze do wiecznego bytu.

Dzień Wszystkich Świętych wrosnięty jest głęboko w tradycje chrześcijaństwa i sięga początków VII wieku. To wielkie święto – czczone przez wierzących i niewierzących – zawdzięczamy papieżowi św. Bonifacemu IV, panującemu na stolicy Piotrowej dokładnie od 25.07.608 do 8.05.615 roku. W początkach swego pontyfikatu uświęcił on dla kultu maryjnego i Świętych Męczenników świątynię pogańską Agrypy – słynny Panteon. W przeddzień tej uroczystości przeniesiono z katakumb rzymskich relikwie wielu świętych męczenników i ułożono je na osiemnastu bogato wystrojonych ścieżkach, aby następnego dnia pochować je. Od tego czasu corocznie święcono w tym kościele „Wszystkich Świętych”. Papież Grzegorz IV ustanowił dzień pierwszego listopada świętem obowiązującym w całym Kościele.

Dzień Wszystkich Świętych uczy szacunku do ludzkiego przemijania, do majestatu śmierci, do Apokalipsy. W tym szczególnym dniu zapełniają się

po brzegi kościoły i cmentarze. Na wszystkich grobach płoną znicze, które wieczorową porą zaświecą wielką luną. Wspominamy w tym dniu tych, którzy może przed wieloma laty odeszli od nas na wieczną wachtę, ale także tych, których może wczoraj pochowaliśmy.

Dzień Wszystkich Świętych i następujący po nim Dzień Zaduszny to także dni pamięci o tych, którzy spoczywają z dala od rodzinnych stron, którzy swe – często młode życie – stracili na polach bitewnych rozsianych po całym świecie, którzy zginęli w obozach zagłady i na przeróżnych golgotach XX wieku. To także dzień pamięci o tych, których cmentarze zostały zapomniane i prawie przestały istnieć, głównie ze względu na naszą nietolerancję (także religijną i narodowościową), to także miejsca śmierci tych, których przypominają jedynie przydrożne krzyże lub symboliczne kapliczki. Dla nich wszystkich zapaliliśmy światła pamięci i prosiliśmy Dawcę życia i śmierci: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie”.

PS „Zapomniane cmentarze” to m.in.: cmentarz na „Żydowinie” – gdzie pochowano setki zmarłych na epidemii cholery, cmentarz ewangelicki – na którym jeszcze w pierwszych powojennych latach stało około 120 pomników, a do dziś znajduje się tam jedynie zbiorowa żołnierska mogiła ze stycznia 1945 roku, mieszcząca prochy 45 niemieckich żołnierzy i jednego czerwonoarmistę rozstrzelanego przez „swoich”, to kościół pałacowy, mieszczący wiele grobowców panów na Koszęcinie, to także żydowski cmentarz w pobliskiej Cieszowej, sięgający swym rodowodem XVII wieku.

Zło rodzi zło

Po przeszło pięciu latach wojny i okupacji hitlerowskiej, 19 stycznia 1945 roku do Koszęcina zawitała wolność. Bilansowano skutki wojny. Przy obronie Koszęcina w 1939 roku poległo dziewięciu żołnierzy. Na innych frontach w polskich mundurach straciło życie wielu chłopców, wśród nich: Alojzy Stojek, Jan Janeczek, Jan Dreszer, Emil Knop, Franciszek Słodczyk. W lasach katyńskich rozstrzelano koszęcińskich policjantów: Józefa Witka, Leopolda Tyrola i Alojzego Krzeszoka. Obozy koncentracyjne uśmierciły: aptekarza Kazimierza Burzyńskiego, powstańców Opiełkę i Ochmana oraz kilku innych. Później, już w czasie wojny wcielono do Wehrmachtu kilkuset mężczyzn z Koszęcina, z których ponad 150 nigdy nie powróciło do domów. Jakby tego było mało, w powojennych obozach uśmiercono dalszych koszęcinian.

Wojna pozostawiła ogromne straty materialne i moralne wśród społeczności Koszęcina. Liczono, że wraz z końcem wojny zło się także skończyło, że teraz zapanuje spokój, ład i porządek, że nie będzie krzywd i zemsty. Ale tak nie było.

W Koszęcinie ukształtowała się polska władza gminna, która miała panować nad porządkiem. Mieli ocalić dobytek ludzki, sklepy i mieszkania, w tym również poniemieckie. Mieli ochronić bogactwo koszęcińskiego pałacu. Wyszło inaczej, nie uchroniono. Władza się zmieniła, przyszli nowi, funkcjonariusze UB i kilku milicjantów, a także paru komisarzy rolnych, których zadaniem było tępić koszęcińskich „szwabów”, niszczyć „kułaków”, wprowadzać nowy porządek w śląskim Koszęcinie.

Przypomnijmy, że w czasie wojny rządził tu przybyły z Niemiec hitlerowski *Bürgermeister* Józef Wagner, teraz także przyszli ludzie z zewnątrz, którzy nie znali ani uwarunkowań historycznych ziemi śląskiej, ani przekonań mieszkających tu ludzi. Wtedy, podczas wojny Ślązaków nazywano często „Poler”, teraz nierzadko „German” albo „Szwab”, wtedy, podczas wojny Ślązaków ponumerowano na tzw. „Volksliście”, teraz korzystano z tego podziału. „Dwójkarzy”³⁷, którzy często słabo mówili po niemiecku, zapędzano do bezpłatnej pracy i wywożono w nieznane. Jeśli wracali z tułaczki, to nie mieli już domów i przez wiele lat byli obywatelami „drugiej” kategorii. Ich dzieci nie przyjmowano do 1947 roku do polskiej szkoły. Podczas wojny wielu koszęcinian nosiło znak „P”, teraz „dwójkarzom” malowano na plecach literę „N” (Niemiec). Ale przecież nie o to chodzi. Większość tych tak strasznie doświadczonych przez „jednych” i „drugich” ludzi, odeszła już na zawsze od nas. Swoje niezapisane biografie zabrali ze sobą na cmentarz przy kościele Trójcy Świętej. Także śląskie koszęcińskie matki, nieutulone w płaczu, nie oplakują już swych synów, których traciły w polskich i niemieckich mundurach albo w pasiakach więziennych. Odeszły do wieczności po cichu, zabierając ze sobą ból i żal. Pozostała jednak, i powinna pozostać w małym Koszęcinie pamięć historyczna tamtych czasów. Powinna pozostać tu i tam – w świecie, w świadomości państw i narodów, po to, aby zło się nie powtórzyło.

„Zło rodzi zło”, a chciałoby się, aby „dobro rodziło dobro”. Żeby zaś dobro rodziło dobro, trzeba plenić zło. Może dopiero Zjednoczona Europa zabliźni rany naszej historii.

37 Dwójkarze to Ślązacy przynależni do II grupy niemieckiej listy narodowościowej (Volkslisty II).

II wojna światowa w Koszęcinie

Wspomnienia to coś pięknego w życiu jednostek i społeczeństw. Umożliwiają one dzięki „zapisywaniu” w mózgu – na tym swoistym niedoścignionym twardym dysku pewnych zdarzeń – na ich przechowywanie i późniejsze odtwarzanie. Późniejsze – to znaczy... za kilka minut, za kilka dni, za kilka lat, albo wiele dziesięcioleci. Podobno im człowiek starszy, tym dokładniej przypomina sobie zdarzenia najdawniejsze, te ważne albo błahe sprawy z młodości, albo z wczesnego dzieciństwa. Wspomnienie bardzo często przychodzi nieproszone, rozgrywa się w intelekcie człowieka i „idzie” z powrotem na swoją „ścieżkę”. Często jednak wspomnienia kojarzone są z jakimiś nowymi wydarzeniami, doświadczeniami, przeżyciami. Wtedy „przychodzą” dawne przeżycia i człowiek odbiera je niczym projekcję filmową i – na nowo – jak za dawnych lat przeżywa radość, uniesienie, szczęście albo smutek, przygnębienie i dramat.

Właśnie w moim mózgu, na skutek rocznic np. wybuchu i zakończenia II wojny światowej, rocznic „odzyskania” lub „wyzwolenia” zaczyna się kotłowanie i na pierwszy plan wysuwają się przeżycia wojennego dramatu, moje osobiste albo te, które dotknęły dziesiątków tysięcy i milionów innych ludzi.

Ten numer „Ziemi Lublinieckiej” dotrze do czytelnika w pięknym okresie Bożego Narodzenia, kiedy to w ludzkich sercach rodzi się na nowo spokój i miłość. Później, kilka dni po świętach, kiedy do drzwi zapuka kolejny Nowy Rok, życzliwość ludzka nie zna granic. Wszyscy wszystkim życzą wszystkiego najlepszego. Ale za kilka następnych dni będzie kolejna – już 67. rocznica wyzwolenia. Przez niektórych zapomniana, wyśmiewana, nazywana „kolejną okupacją”, przez młodszą generację często wcale niezarejestrowana w historycznej pamięci. Ale tak czy inaczej, zakończenie najstraszliwszej wojny było największym błogosławieństwem dla tych wszystkich, którzy ją przeżyli. Ziemia lubliniecka odzyskała wolność w drugiej dekadzie stycznia 1945 roku, a Koszęcin, o którym chcę poniżej napisać na temat „jak w tytule”, został wyzwolony dokładnie w piątkowe popołudnie 19 stycznia 1945 roku.

Wybuch II wojny światowej w Koszęcinie nastąpił 1 września 1939 roku, prawie w tym samym czasie, co na Westerplatte. We wczesnych godzinach porannych zaczęła się w zachodniej i południowej części miejscowości strzelanina. Niemieckie wojska, które stały już od wielu tygodni na odległej zaledwie o 8 km od Koszęcina granicy, wjechały kolumnami czołgów, samochodów pancernych i motocykli do prawie pozbawionego obrony Koszęcina. Nad

koszęcińskim niebem przelatywały eskadry samolotów niemieckich strasząc warkotem silników spanikowaną ludność. Poległo tu wówczas dziewięciu żołnierzy polskich. Wehrmacht posuwał się dalej w kierunku Częstochowy. Polska, która po sześciu wiekach zmartwychwstała tu w 1922 roku, przestała istnieć. Niemcy włączyli Śląsk do III Rzeszy, wprowadzili błyskawicznie niemiecką administrację i szkolnictwo i nazwali wszystko *Befreiung* – wyzwoleniem spod polskiej okupacji. Tak było tu od 1 września 1939 roku do pamiętnego 19 stycznia 1945 roku. Kiedy wybuchła II wojna światowa miałem osiem lat i ukończoną pierwszą klasę polskiej szkoły. Kiedy wojna w Koszęcinie się kończyła byłem uczniem ostatniej, siódmej klasy niemieckiej *Grundschule* w Koszęcinie i szło mi na czternasty rok życia.

Wojna nazywana czasem „współczesną wojną”, to nie tylko bitwy na odległych frontach, z dala od spokojnych miast i wiosek. II wojna światowa rozgrywała się wszędzie: na lądzie, morzu i w powietrzu, na pierwszej linii frontu była najstraszniejsza, ale nikt nie mógł żyć spokojnie na tzw. szerokim zapleczu frontowym, tam także groziła śmierć i poniewierka, tam trzeba było żyć w ciągłym strachu o siebie i bliskich, szczególnie o tych, których wcielano do wojska i wysyłano na różne fronty, skąd wielu nie wróciło nigdy do rodzinnych domów.

Wszystkie dzieci w Koszęcinie i na całym Górnym Śląsku były poddane rygorystycznej nauce języka niemieckiego. Posługiwanie się językiem polskim było bezwzględnie zakazane i karane surowymi karami cielesnymi. W koszęcińskiej *Grundschule* nauczyciele wymierzali karę „za polskie gadanie” kijem zwanym potocznie „witką”, zaś po lekcjach *Hauptlehrer* Chmiel „poprawiał” w szkolnej piwnicy karę, bijąc po przysłowiowej „żici” węzem od hydroforu. Ta „metoda” przynosiła nadspodziewane wyniki – po niespełna roku wszyscy w miarę zdolni uczniowie władali dobrze językiem niemieckim. Także „zajęcia pozalekcyjne” były podporządkowane wychowaniu dzieci i młodzieży w duchu niemieckiego nacjonalizmu. Śpiew był jednym z ważnych przedmiotów, uczono nas przede wszystkim młodzieżowych i wojskowych piosenek. Także historia nazizmu i jej *führera* „prała nasze dziecinne mózgi”. Wszystkich przydzielono obowiązkowo do poszczególnych – zależnych od wieku – organizacji takich jak *Kindergruppe*, *Jungvolk*, a także DJ i HJ oraz dziewczyny – do BDM. Jeśli ktoś nie przyszedł na wyznaczoną zbiórkę był na nią doprowadzany przez starszych aktywistów, którzy w dwójkę przychodzili do rodziców, bądź opiekunów i zabierali dziecko, a rodziców pouczyli o obowiązku dla *Vaterlandu* i o grożących restrykcjach. Dłuższe

zbiórki odbywały się najczęściej w niedzielne dopołudnia i były podporządkowane zajęciom terenowym. *Geländespiele* odbywały się najczęściej w parku na Sroczej Górze w okolicach baszty parkowej i nosiły w sobie załączki taktyki wojskowej. Przez pewien czas istniał także obowiązek nałożony na fryzjerów strzyżenia chłopców na tzw. *Hitlerschnitt*.

Podczas wojny wszystko było podporządkowane wojnie. Godzina policyjna rozpoczynała się o zmroku i trwała do świtu. Była radykalnie przestrzegana i kontrolowana przez żandarma noszącego nazwisko Junak i jego podopiecznych funkcjonariuszy. Wszystkie towary – począwszy od cukierków i zabawek do artykułów spożywczych i przemysłowych, były na „kartki” i reżimowo rozliczane. Wiezorami i nocami obowiązywał *Verdunkelung* – polegający na zaciemnianiu okien specjalnie produkowanym dla tych celów czarnym papierem na roletach. Na otwartej przestrzeni – podwórkach, placach i ulicach nie wolno było używać światła latarek i zapalać zapalek i zapalniczek. Budynki podpiwniczone przeznaczano na schrony przeciwlotnicze i oznaczano „świecącymi farbami” hasłem *Luftschutzkeller*. Dzieci szkolne ćwiczone co kilka dni jak należy korzystać z tych środków ochrony.

Od 1940 roku Ślązaków, którzy ukończyli osiemnasty rok życia (a od 1944 roku także siedemnasto- i niespełna siedemnastoletnich) zaciągano do wojska – Wehrmachtu. Młodszych szesnastolatków obowiązywał półroczny pobyt w paramilitarnej organizacji *Reichsarbeitsdienst* (służba pracy dla kraju), który w Niemczech hitlerowskich istniał już w czasach przedwojennych. Młodzież po ukończeniu szkoły podstawowej wysyłano obowiązkowo na roczny (czasem trochę krótszy) *Landjahr* polegający na rocznej pracy w gospodarstwach rolnych. Można to wszystko krótko skomentować następująco: człowiek w Niemczech hitlerowskich, a szczególnie w czasie wojny był – od dziecka, poprzez wiek młodzieńczy do oddania życia „za wodza, naród i ojczyznę”³⁸ – własnością państwa – dodajmy – darmową, bezwzględnie podporządkowaną i wykorzystywaną własnością. Propaganda Gebelsowska była wszędzie wszechobecna. Na plakaty i ulotki nie szczędzono papieru. Pamiętam do dziś afisze z malowidłami i napisami: „Pst... Feind hört mit”, „Volkssturm – Um Freiheit und Leben”, „Kohlenklau”, „Räder müssen rollen für den Sieg!”, „Sieg oder Bolschewismus” i inne.

Chciałbym w tym artykule napisać także o życiu koszęcińskiego kościoła w czasie wojny, bo od 1941 roku byłem ministrantem, a przez ostatnie dwa lata wojny – ministrantem kościelnym, bo wszyscy starsi ode

38 *Für Führer Volk und Vaterland*.

mnie koledzy – ministranci byli już na *Landjahrze*, w *Arbeitsdienstcie* lub w Wehrmachcie. Proboszczem w Koszęcinie w czasie wojny był wspaniały ks. dr Anastazy Muża, który przyszedł do Koszęcina na „przechowanie” z Piotrowic. Był Kaszubem władającym doskonale zarówno polskim jak i niemieckim językiem³⁹. Wikarym był ks. Erwin Muszer⁴⁰, późniejszy proboszcz strzebińskiej parafii. Widziałem z bliska, a poniekąd przygotowywałem liczne dramatyczne ceremonie pogrzebowe bez zmarłych, nabożeństwa prześlągalne, nabożeństwa różańcowe z „zaleckami” za poległych chłopców. W kościele, w tym czasie nie było prawie widać mężczyzn, za wyjątkiem tych, którzy już ze względu na lata czy choroby nie mogli się przydać wojennej machinie. Za to było pełno kobiet i dzieci, często już młodych wdów i osieroconych dzieci. Z Koszęcina poległo w Wehrmachcie 170 mężczyzn⁴¹. Z należących do koszęcińskiej parafii NSPJ miejscowości: Strzebiń, Prądy, Łazy, Brusiek, Drutarnia i innych przysiółków poległo około 80 osób. Z tego prostego rachunku wynika, że w koszęcińskim kościele NSPJ, wówczas *Herz Jesuskirche* odbyło się około... 250 żołnierskich „pogrzebów”. Nabożeństwo pogrzebowe poległego żołnierza nie różniło się zasadniczo od „normalnego” pogrzebu. Była msza święta i łacińskie ceremonie pogrzebowe, w ławkach siedziała pogrążona w głębokim smutku rodzina poległego, a duży koszęciński kościół był zawsze przepełniony wiernymi. Brakowało tylko prawdziwej trumny z poległym żołnierzem. Ale z tym „problemem” poradzono sobie od pierwszego żołnierskiego pochówku. Przed ołtarzem ustawiano katafalk, na nim piękny, wykonany z dykty szkielec w kształcie stylizowanej trumny i przykrywano go grubym, czarnym płótnem ze zwisającymi „frędzlami”. U góry – na płachcie – widniał duży biały krzyż. Po bokach stały cztery drewniane (około 130 cm wysokości) świeczniki z dużymi woskowymi świecami. Obok świec stali „na bacność” – przez całe nabożeństwo – sprowadzani z wojskowego lazaretu⁴² – żołnierze w hełmach i galowych uniformach. Ten widok oraz całkiem zaciemniony kościół, pogrążał i tak już bardzo smutną ceremonię. Takie pogrzeby odbywały się w koszęcińskim kościele od 1941 roku prawie raz w tygodniu – kiedy to otworzył się wojną z Rosją wschodni, śmiertelny front. Pamiętam jednak dwa pogrzeby żołnierskie z pochówkiem poległego. Pierwszy to pogrzeb żołnierza polskiego Alojzego Stojka

39 Ks. dr Anastazy Muża [...] znał także grekę, łacinę i włoski – w tych językach studiował i napisał rozprawę doktorską *O istocie Trójcy Świętej*.

40 Ks. Erwin Muszer – piszący się wówczas Muscher.

41 Niektórych z nich najpierw uznano za *vermisst* – „straconych”.

42 Lazaret od 1941 roku do końca wojny mieścił się w budynku szkolnym.

z Koszęcina, który poległ w Taninie 1 września 1939 roku i został pochowany na cmentarzu przy kościele Trójcy Świętej. Drugi taki żołnierski pogrzeb miał Józef Żurek, który poległ w wehrmachtowskim mundurze pod koniec 1944 roku, niedaleko od rodzinnego Koszęcina, wycofując się wraz ze swoją jednostką z frontu wschodniego. Najbardziej uroczysty „żołnierski pogrzeb” miał w Koszęcinie, poległy w Nikolskoje i tam spoczywający porucznik Konrad Alfred Maximilian Maria książę zu Hohenlohe-Ingelfingen, spadkobierca ogromnych dóbr po księciu Karolu Gotfrydzie. Na tej uroczystości – oprócz chyba ponad tysiąca koszęcinian – obecna była cała świta niemieckiej, szlachecko urodzonej arystokracji, przeważnie ewangelickiego wyznania, co wówczas było ewenementem, gdyż wtedy żaden katolik nie wchodził do ewangelickich świątyń i żaden ewangelik do katolickich kościołów. Wtedy msze święte odbywały się tylko wczesnym rankiem, przeważnie o godzinie szóstej, bądź szóstej trzydziści, aby ministranci mogli zdążyć na ósmą do szkoły. Nie było też mowy o mszach świętych koncelebrowanych. Każda msza była odprawiana w jednej intencji. Podczas wojny w naszym kościele oprócz proboszcza i wikarego odprawiali jeszcze często dwie, czasem trzy msze święte „ciche”⁴³ ranni księża – żołnierze ze wspomnianego już szpitala wojskowego w Koszęcinie. Bywało, że w tym samym czasie przy wszystkich czterech ołtarzach⁴⁴ odprawiane były msze święte. Przy głównym ołtarzu – „głośna” to znaczy „śpiewana” w łacińskim ceremoniale, a przy bocznych ołtarzach – ciche msze święte z jednym ministrantem. Tak było do 19 stycznia 1945 roku, kiedy do Koszęcina wjechała od Boronowa licząca 15 czołgów rosyjska *Pancerspitza*.

Ostatni dzień wojny w Koszęcinie kończył hitlerowską okupację w naszej miejscowości i był dniem, słusznie nazywanym „Dniem wyzwolenia”. Czekałszy na ten dzień z wielką radością i nadzieją, ale także pełni strachu i niepewności. Rano tego dnia ks. proboszcz Muza odprawił jeszcze mszę świętą i udzielił wszystkim obecnym w kościele „rozgrzeszenia generalnego” (bez spowiedzi). Strach przed czerwonoarmistami był ogromny, bo w szkołach, na afiszach i wszędzie mówiono nam, że Ruscy wszystkich pozabijają, albo – jeszcze gorzej – że każdy „Ruski” to „*Menschenfresser*”⁴⁵. O godzinie dziewiątej tego pamiętnego dnia czołgi rosyjskie wjechały na plac przy gminie, tuż obok mojego rodzinnego domu. Tam widziałem z bardzo

43 *Stille Messe*.

44 Istniał jeszcze wówczas ołtarz św. Teresy.

45 Tłum. ludożerca.

bliska wojskową egzekucję. Swoi rozstrzelali dwoma strzałami z pistoletu w serce – swego – rosyjskiego – będącego w niemieckiej niewoli – chłopca, który parę chwil wcześniej przybiegł do nich z *Oberhofu*⁴⁶. W tym dniu – oprócz wielu innych nieszczęść – poległo w Koszęcinie i w jego bliskich okolicach kilkadziesiąt niemieckich żołnierzy. Wszyscy prawie byli uśmierceni z pistoletów maszynowych przez znajdujących się na czołgach „sołdatów”, kiedy rowem przy ulicy Boronowskiej począwszy od lasu, w głębokim śniegu, już bez broni szukali „ostatniej deski ratunku”. Oglądałem wiele razy tych pozabijanych, przeważnie starszych żołnierzy, bo leżeli przysypani mroźnym śniegiem na koszęcińskiej ziemi prawie dwa tygodnie, czekając na pochówek. Jeden z tych nieszczęśników poległ obok mojej posesji, dokładnie w miejscu, gdzie postawiłem kilka lat temu wszystkim poległym żołnierzom pomnik. To paradoksalne, ale prawie w tym samym miejscu, dokładnie 10 metrów w kierunku południowym, poległ 1 września 1939 roku na kasztanowej alejce jeden z dziewięciu polskich żołnierzy. I już ostatnie zdania. Żołnierzy Wehrmachtu nie wolno było pochować na cmentarzu, mieli być zakopani w miejscu niegodnym pochówku, gdzieś w polu albo w lesie. Na szczęście stało się inaczej. W skrytości przed ówczesną władzą, dzięki wielkiej zasłudze ks. Erwina Muszera, przetransportowano poległych saniami starego pana Brzeziny na cmentarz ewangelicki w koszęcińskim parku. Ładowali ten „wojenny bagaż” na sanie „dwójkarze” (z *Volksli-stą* II) z Koszęcina i zawozili na miejsce wiecznego spoczynku – to znaczy na zawsze. Tam w zmrożonej ciężką zimą ziemi zakopano ich we wspólnej mogile – 45 Niemców i jeden Rosjanin. Postawiono na ich mogile drewniany – brzozyowy krzyż – symbol żołnierskiej śmierci i pamiętano o nich przez wszystkie lata. Koszęcin, cywilizowany Koszęcin, nigdy nie zapomni o zmarłych i pochowanych na ewangelickim cmentarzu. Wszyscy wiemy, że tam „leżą” w uświęconej ziemi kości zmarłych, choć miejsca ich pochówków zbezczeszczono w latach powojennych, rozkradziono pomniki i „zamazano” groby. Pamiętajmy o łacińskim zawołaniu: „*Corpora dormiunt, vigilans animae*”, co znaczy: „Ciała śpią, dusze czuwają”. Tak musi być i na ewangelickim cmentarzu w Koszęcinie!

46 *Oberhof* – folwark księcia znajdującego się wówczas na prawo od ulicy Boronowskiej pod lasem, „na Górcie”.

Śmierć pokochała ziemię śląską i zawsze zbierała tu obfite żniwo
Krótką historia wojen, powstań i buntów na ziemi śląskiej

Historia jest nauką dotyczącą procesu rozwoju społeczeństw, narodów, państw, w tym również Małych Ojczyzn. Historia dzieli się m.in. na starożytną, nowożytną, najnowszą itp. Właściwie każda dziedzina życia społecznego podlega rozwojowi i posiada określoną historię. Dotyczy to szczególnie ziem pogranicza, gdzie rodzima ludność zmuszona była przyjmować dobre i złe nawyki od państw i narodów, które nią władały. Taką właśnie ziemią jest lublinieckie, a patrząc szerzej cała ziemia śląska.

Dzisiaj, w czasie obchodów Święta Zmarłych – 2008 roku – chciałbym wspólnie z państwem zająć się ciekawym, ale i bardzo tragicznym okresem historycznym Śląska, zamykającym się w czasie od pradziejów naszej Małej Ojczyzny do II wojny światowej i jej skutków. Zanim jednak przystąpię do meritum sprawy, chciałbym krótko przypomnieć odległą i bliższą nam historię omawianej ziemi.

Ślady ludzkiej działalności na dzisiejszym terenie powiatu lublinieckiego sięgają epoki kamiennej (450–1700 lat p.n.e.). Już w średniowieczu zamieszkiwali tu Ślężanie (od góry i rzeki Ślęży). Pierwsze, źródłowe wiadomości o niektórych miejscowościach położonych na ziemi lublinieckiej pochodzą już z XII wieku. W następnych, XIII i XIV stuleciu, prawie wszystkie wioski i miasteczka wymieniane są już w spisach „świętopietrza”. W okresie wczesnego średniowiecza tereny stanowiące dzisiejszy powiat lubliniecki leżały na pograniczu zamieszkałym przez plemiona śląskie Opolan i małopolskie Wiślan. W X wieku ziemia nasza, podobnie jak cały Śląsk, wchodzi w skład monarchii piastowskiej, a od XI wieku – do śmierci Jana Opolczyka byliśmy poddanymi Piastów opolskich. Po śmierci tego władcy dochodzi do podziału Górnego Śląska na cztery części i od tego czasu ziemia lubliniecka wchodzi w skład księstwa opolskiego, którego pierwszym właścicielem był Bolko I Opolczyk. Z początkiem XIV wieku wiele śląskich książąt – pod naciskiem króla czeskiego Jana Luksenburczyka – staje się lennikami Korony Czeskiej, i w ten sposób ziemia śląska w tym i lublinieckie, znalazły się – przez 140 lat – pod panowaniem Czech (1392–1526). W pierwszej połowie XVI wieku Śląsk dostaje się w ręce Austrii – albo mówiąc potocznie Habsburgów – i pozostaje pod ich panowaniem przez ponad 200 lat (1526–1740). Od Lutra i jego reformacji rozpoczyna się w Europie nowy okres, w tym także – niestety – wojna trzydziestoletnia. Poczęły się pojawiać konflikty między katolikami i protestantami. Lud przechodził za przyczyną panów – głównie

w miastach – na protestantyzm, aby po pewnym czasie powrócić do katolicyzmu. Wojna trzydziestoletnia rozpoczęła się wybuchem powstania w Czechach, aby później rozprzestrzenić się na Europę i stać się jej dramatem. Po stronie protestantów opowiedziała się większość stanów śląskich, w tym właściciel ziemi lublinieckiej i innych dużych dóbr, Andrzej Kochcicki. Stanął on przy boku szwedzkiego przywódcy wojsk protestanckich generała Mansfelda, aby później, po niepowodzeniach i klęsce, przypłacić to utratą ogromnych majątków i śmiercią. Wojna trzydziestoletnia, zamykająca się w czasie 1618–1648, a później wojny śląskie (1740–1742, 1744–1745, i 1756–1763), pogrążyły naszą ziemię w niedostatek i nieprawdopodobną nędzę. Rozprzestrzeniały się zarazy, głód śmierć i zniszczenie. Nastąpiła degradacja rozwijającej się wcześniej oświaty i kultury, przestały istnieć znaczące szkoły w Brzegu i w Nysie, w których także studiowali ludzie z ziemi lublinieckiej. Krwawe bitwy wojny trzydziestoletniej dziesiątkowały ludność Śląska, i chociaż te najgorsze omijały szczęśliwie ziemię lubliniecką, to jednak cierpienie i wyniszczenie tutejszego ludu było przeogromne. Zahamowany został na długie lata rozwój ziemi śląskiej, w tym szczególnie, ze względu na niepowodzenie Andrzeja Kochcickiego – ziemi lublinieckiej. Po wojnach śląskich ziemia lubliniecka wraz z większością ziem śląskich (poza Cieszynem, Opawą i Karniowym) przechodzi pod panowanie Prus, aby z tym państwem dzielić przez długi okres swoje losy (1740–1918). Można w skrócie powiedzieć, że ziemia śląska na skutek uwarunkowań politycznych, przynależności do różnych państw, do różnych kultur, stawała się odmienna od kultur narodowych spotykanych w innych krajach. Całymi wiekami czerpał Śląsk z tej mozaiki kulturowej, wytwarzając specyficzny – gdzie indziej niespotykany – rodzaj społeczności lokalnej, z własną gwarą, tradycją, etnografią. Do rozwoju śląskiej ziemi, szczególnie ziemi lublinieckiej przyczyniała się także tzw. kolonizacja fryderycjańska, przeprowadzana w latach 1741 i 1805 roku. Utworzone wtedy – poprzez osadzanie ludności z głębi Niemiec – około 500 wiosek, w tym Piasek i Kolonię Strzebińską (*Ludwigstahl* i *Erdmannsheim*), a także inne osiedla nad rzekami Mała Panew i Liswartą.

Jednak zawsze, kiedy zabiły wojenne rany, przychodziły następne wojny, bunt i powstania. Warto – bardzo krótko – wspomnieć te ważniejsze kataklizmy Śląska: 1010–1515 – spustoszenie Śląska przez cesarza Henryka II, 1039 i 1093 – najazdy książąt czeskich. 1132–1134 – następne trzy najazdy Czech, 1241 – najazd Mongołów, 1315 – inkwizycja na Śląsku, 1331 – wojna polsko-krzyżacka, 1345–1348 – wojna czesko-polska o Śląsk, 1425–1434 – najazdy

husyckie, 1618–1648 – wojna trzydziestoletnia, 1621 – napady lisowczyków, 1632 – zniszczenie Śląska przez wojska protestanckie, 1663 – wojna Turcji z Austrią, 1740–1763 – trzy wojny śląskie, 1811 – powstania chłopskie. Duże straty przyniosły naszej ziemi wojny napoleońskie i ich skutki, 1848 – Wiosna Ludów. Później dwie straszne wojny światowe (1914–1918 i 1939–1945). Klęska Niemiec po I wojnie światowej zrodziła w Europie nowy porządek polityczny. Powstały – nieobecne – często od wieków – na mapach – nowe „stare” państwa, w tym i Polska. Śląskiem wstrząsnęły niebawem trzy powstania śląskie (1919, 1920, 1921). Jednak o przynależności narodowej ziemi śląskiej zdecydować miał plebiscyt przeprowadzony w 1921 roku. Głosowanie (60 do 40 procent dla Niemców) nie rozstrzygnęło „sprawy” do końca. Śląsk podzielono niejako „przy biurku”. Skutkiem tej decyzji, południowo-wschodnia część powiatu lublinieckiego „przypadła” Polsce, zachodnie natomiast tereny ziemi lublinieckiej pozostały w Niemczech. Granica przebiegała w Pawonkowie, obok Ciasnej i w gminie Koszęcin, kilka kilometrów za Bruśkiem. Dzisiaj z perspektywy 87 lat, które upłynęły od tego czasu, w dalszym ciągu nie ma „jednolitego spojrzenia” na ten okres historyczny, który tak boleśnie odbił się na pokoleniach Ślązaków. Dziś, kiedy jesteśmy w Unii Europejskiej, patrzymy na te wydarzenia inaczej od poprzednich pokoleń. Może „Europa” nazwie nasze zrywy powstańcze po prostu „wojną domową”, „powstaniami bratobójczymi” lub „wojnami śląskimi”. Stworzono niejako „klimat” do następnego dramatu Śląska i Ślązaków jakim była II wojna światowa i jej bolesne skutki polityczne. Dzisiaj świat dostarcza nam wiele dowodów na to, że wojny i różnego rodzaju powstania nie rozwiązują „spraw na zawsze”. Wystarczy przypomnieć chociażby tylko podział Niemiec na RFN i NRD, podział Jugosławii i jego skutki i nasze polskie sprawy „wschodu” i „zachodu”, które mimo upływu ponad 60 lat są nadal dramatem historycznym, albo lepiej powiedziawszy, dramatem ludzi, w tym także i mieszkańców ziemi lublinieckiej. Każda wojna, każdy najad i powstania były i są dramatem. Wydaje się, że śmierć pokochała ziemię śląską i zawsze zbierała tu obfite żniwo.

Chciałoby się zatem dzisiaj – kiedy już od paru lat jesteśmy w Unii Europejskiej – powiedzieć jeszcze raz: „Europo, witaj nam”, bądź dla wszystkich narodów starego kontynentu dobrą i sprawiedliwą matką, a dla mieszkańców ziemi śląskiej, w tym lublinieckiej, miej szczególną życzliwość i zalecz rany, które ciągle bolą. Niech czasy wojen i powstań już nigdy tu nie wrócą.

„Służba Polsce” – co to było?

Dziś już mało kto wie, co to było „Służba Polsce”. Pamiętają to jedynie ci, którzy we wczesnych latach powojennych byli obowiązkowo „zaciągani” do tej paramilitarnej organizacji, której junacy za darmo harowali przy ciężkich pracach fizycznych i byli zmuszani do ćwiczenia się w sztuce wojennej i poznawania rodzącego się „ustroju sprawiedliwości społecznej”. Organizacja ta powstała ustawą sejmową 25 lutego 1948 roku i była podporządkowana PPR i ZWM (o tym wtedy nikt z nas młodych ludzi nie wiedział, to można teraz dopiero wyczytać w Internecie). Pamiętam dokładnie, że w marcu 1950 roku byłem razem z wieloma kolegami wezwany na komisję kwalifikacyjną do Lublińca i uznany „za zdolnego do służby w Powszechnej Organizacji »Służba Polsce«”. W kwietniu jechaliśmy już długim pociągami w bydlęcych wagonach do Warszawy. Podróż trwała dość długo, chyba całą dobę. Zostaliśmy wyładowani na zrujnowanym wojną Dworcu Gdańskim, skąd pieszo maszerowaliśmy wśród gruzowisk na Bielany. Tam na błoniach, po lewej stronie parku bieleńskiego stały już dziesiątki przygotowanych dla nas namiotów. W tym samym dniu ubrano nas w mundury, które przypominały trochę – szczególnie bluzy – mundury wojska Andersa. Powiedziano nam, że służyć będziemy w 2. Warszawskiej Brygadzie SP. Od następnego dnia zaczęła się musztra i nauka śpiewu. Pamiętam do dziś hymn SP, którego pierwsza zwrotka brzmiała tak:

*Znów się pieśń na usta rwie, SP hej SP,
Nierozłączne siostry dwie, młodzież i SP.*

*Szumem wabi morza siny brzeg, wzywa pieśń Warszawy,
Rytmem łopat rozdzwonimy wnet piastowskie szlaki sławy.*

[...]

*Dalej z nami fundamenty kłaść pod gmach Polski nowy,
Maszeruje rozśpiewana brać w przyszłości świat tęczy.*

Później, przez cztery prawie miesiące chodziliśmy odgruzowywać stolicę. Szło się pieszo aż do dzisiejszego ronda na Żoliborzu, skąd furmankami, czasem samochodem ciężarowym zawożono nas do miejsca pracy. Łopaty nosiliśmy zawsze z sobą, bo były potrzebne do ładowania gruzu na jednokonne, wąskie furmanki. Silniejsi chłopcy rozwalali kilofami większe bryły cegieł z zawalonych domów. Jeszcze dzisiaj – oczyma wyobraźni – widzę ogromne zwały

gruzów po obu stronach każdej wąziutkiej ulicy. Nie pamiętam natomiast dokładnie, ile godzin trwała praca, ale zapamiętałem ogromne zmęczenie ciężką fizyczną pracą. Po powrocie były zajęcia wojskowe i praca świetlicowa. Na Bielanych stały jeszcze dwie Brygady, z lewej strony junacy w wojskowych, lotniczych mundurach, którzy odbudowywali lotnisko, a z prawej strony rozbite były namioty Żeńskiej Brygady sp, wśród których było dużo dziewcząt – ochotniczek z Polonii francuskiej. Wszystkie były zatrudnione przy porządkowaniu parku bielańskiego i zniszczonych zabudowań klasztornych. Ja jednak miałem tam trochę szczęścia. Po pewnym czasie, dzięki zdolnościom plastycznym dostałem się do świetlicy Brygady, gdzie wspólnie z kilkoma kolegami zajmowałem się dekoracją otoczenia, wykonywaniem „gazetek ściennych” i... witaniem przez radiowęzeł przychodzących z zajęć pododdziałów, dedykując im – za wykonanie prac „ponad normę” pieśni patriotyczne. Na pagonach mego munduru pojawiały się coraz wyższe stopnie. Byłem junakiem, starszym junakiem, patrolowym i podhufcowym. Do domu wróciłem w początkach lipca 1950 roku, aby za dwa lata iść znowu „na dwa lata” do zaszczytnej służby w Ludowym Wojsku Polskim, gdzie „dorobiłem” się kaprała i pisarza sztabowego. Policzyłem, że Polsce służyłem dwa i pół roku za „gratis”, nic nie zyskując materialnie i prawie nic intelektualnie.

Tej rocznicy już nie wspominamy

Styczeń 1945 roku

Po 1945 roku w miesiącu styczniu obchodzono na naszej lublinieckiej ziemi „rocznicę wyzwolenia”. W domach kultury odbywały się akademie, w szkołach uroczyste apele, świętowano w zakładach pracy, w jednostkach wojskowych, w organizacjach kombatanckich. Pisano o wyzwoleniu w gazetach, wspomniano w radio – a później, gdy powstała TV – pokazywano „te sprawy” także obrazem. I od kilku lat zapanowała na ten temat przysłowiowa „grobowa cisza”, tak jakby w styczniu 1945 roku nic ważnego się nie wydarzyło. Cicho jest nie tylko u nas, na ziemi lublinieckiej, cicho prawie na ten temat jest w Polsce, coraz ciszej w Europie. Aby nie drażnić ludzi wspomnieniami o wojnie porozbierano pomniki „wdzięczności”, usunięto tablice pamiątkowe, „porozwożono” gdzieś prochy „bohaterów radzieckich” i nastał czas sielanki historycznej. Mamy z tą „sprawą” spokój. Nie tęsknię za PRL-owską i PZPR-owską Polską, nie tęskno mi za akademiami, porankami i masówkami z tamtych czasów.

Ale moje pokolenie, które przeżyło wojnę wie, co znaczyl styczeń 1945 roku. Wtedy się wszystko zmieniło, wtedy, po sześciu latach – dla nas przynajmniej – skończyła się straszna wojna. Od 19, 20 i 21 stycznia 1945 (w zależności od dnia wyzwolenia poszczególnych miejscowości) mogliśmy znowu mówić po polsku, a od marca 1945 roku chodzić do polskiej szkoły. Nie ciągnano już młodych roczników – chłopców Ślązaków po szesnaście, siedemnaście lat – do wojska, przeznaczając ich na przysłowiowe „mięso armatnie”. Od tego czasu wszyscy liczyli i opłakiwali bliskich, którzy polegli na frontach, których zakatowano w hitlerowskich i sowieckich łagrach, którzy umarli na skutek wojennej poniewierki. (Myślę, bo takich statystyk nie spotkałem, że z powiatu lublinieckiego w wojennej zawierusze zginęło parę tysięcy ludzi. Brak jest jakiegokolwiek statystyki i wspomnień historycznych powiatu lublinieckiego z lat 1939–1945... i późniejszego okresu także). Styczeń 1945 roku był jednak czasem wyzwolenia, był to także czas wielkich ofiar dla „wyzwolicielei” – prostych żołnierzy z gwiazdą na czapkach – których losy wojenne gnały ze wschodu na zachód, po to, aby przynieść nam wolność, a im często śmierć na zaśnieżonych polskich, w tym także lublinieckich polach. Szkoda mi wszystkich żołnierzy, niezależnie od tego, jaki mundur musieli nosić i „za kogo” musieli oddać życie. Przecież oni nie chcieli wojny i nie chcieli umierać. Dlatego pamiętajmy o styczniu 1945 roku, pamiętajmy, my starsi, którzy doświadczyliśmy wojny i przekazujemy tę prawdę innym, po to i z tą nadzieją, abyśmy już nigdy nie zaznali wojny.

Wojenne Golgoty

Jest w kalendarzu liturgicznym kościoła katolickiego okres Wielkiego Postu, który prowadzi nas nieomylną drogą, na owe wzgórze pod Jerozolimą, na którym przed ponad dwoma tysiącami laty ukrzyżowano Boga-człowieka. To miejsce nazwano Golgotą, od aramejskiego *gulgolta*, odpowiednika hebrajskiego *gulgolei* – „czaszka”.

Ale Golgota to nie tylko historyczne miejsce, jakiś tam punkt geograficzny czy topograficzny. „Golgota” – z łacińskiego *Calvaria* – to przede wszystkim miejsce moralnego odniesienia, naznaczone męką i cierpieniem, a dopiero później śmiercią. Na golgotcie, czy golgotach było najpierw upodlenie fizyczne, psychiczne i moralne, do granic ludzkiej wytrzymałości, a dopiero później krzyż, szubienica, gilotyna, czy też przysłowiowa „kula w łeb”.

Wiemy, że Jezus Chrystus swoim cierpieniem, przesłuchaniami „od Annasza do Kajfasza” i swoją śmiercią wywyższył krzyż, podnosząc go do symbolu wiary chrześcijańskiej. Polski poeta zawołał:

*Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem
Polska jest Polską, a Polak Polakiem.*

Można by sparafrazować myśl Karola Bolińskiego i powiedzieć: „Tylko pod tym znakiem – człowiek jest człowiekiem”, bowiem od krzyża, od Jerozolimskiej Golgoty rozpoczęła się nowa era Europy i świata – cywilizacja chrześcijańska. Od tego czasu liczymy lata: „przed Chrystusem” i „po Chrystusie”.

Ale pod koniec XX wieku przyszło nam się oswoić z nowym znaczeniem pojęcia „golgota”. Niedawno zmarły ks. prałat Peszkowski, naoczny świadek golgoty tysięcy polskich oficerów w lasach katyńskich, któremu cudem udało się uniknąć śmierci, nazwał kraj na wschód od Polski „niehumanitarną Ziemią”, a miejsca kaźni „Golgotą Wschodu”. Tam bowiem ginęły tysiące i miliony ludzi, bez sądów i rozpraw, tylko dlatego, że byli inni, że wierzyli w Boga, że chcieli prawdy i sprawiedliwości, często za to, że byli Polakami.

A ile „golgot” rozegrało się w innych częściach świata? Ile ludzkich dramatów miało miejsce na ziemiach naszych sąsiadów, na naszej polskiej i śląskiej ziemi. Ilu ludzi ginęło na polach bitewnych, ilu patriotów i innych niewinnych ludzi uśmiercono w PRL-owskich więzieniach. Coraz częściej ujawniana jest prawda o tamtych dniach. Maltretowani AK-owcy, więźniowie polityczni, księża. A Auschwitz i inne hitlerowskie, czy radzieckie fabryki śmierci? A po wojnie „Świętochłowice” i „Mysłowice”. A wygnania „ze wschodu na zachód” i ze Śląska dalej na zachód? A wszędzie ból, cierpienie i nierzadko śmierć. Chciałoby się zapytać po latach: Nie dosyć było golgoty Chrystusa? A za Zofią Nałkowską powiedzieć: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”.

Słowo „golgota” zamieniane bywa często na „kalwaria”, przy czym to drugie oznacza także mękę i śmierć, ale wyobrażaną w rzeźbach i obrazach. W swoim życiu widziałem wiele znanych i mniej znanych kalwarii – od Częstochowy po Lourdes i La Salette. Widziałem także jedną „świecką golgotę” w Stalingradzie, dziś już Wołgogradzie. Wybudowali ją komuniści, upamiętniając najstraszniejszą bitwę II wojny światowej i jej ofiary. Ta Droga Krzyżowa rozpoczyna się od doliny Wołgi i prowadzi kilkukilometrową drogą w górę, aż na kurhan Mamaja. Spotykamy tam także *Pietę* – pomnik matki, w której ramionach kona syn – czerwonoarmista, pomnik dziewczynki oplakującej śmierć ojca i „sanktuarium poległych” z tysiącami nazwisk wyrytych

na granitowych, czarnych ścianach. Z samego środka tej gigantycznej rotundy wyłania się dłoń ze świetlistą pochodnią, przestrzegająca przyszłe pokolenia przed tragizmem wojny. Na samym szczycie kurhanu Mamaja stoi – sięgający prawie 100 metrów wysokości – pomnik Matki-Ojczyzny, trzymającej w rozłożonych ramionach wieniec laurowy dla setek tysięcy poległych w bitwie o Stalingrad. I na zakończenie tych wspomnień jeszcze tylko jedno krótkie zdanie: „Nigdy więcej wojny”.

Quo vadis... Polsko?

Cóż tam, panie, w polityce?

Właściwie to na łamach tej gazetki nie powinno się pisać o polityce. Ciągłe nas upominają, i niektórzy z nas się z tym pokornie zgadzają, że Kościół nie powinien politykować. Czym to właściwie jest ta polityka, skoro tylko dla wybrańców przeznaczona?

Sięgnąłem do słowników i znalazłem taką oto prostą definicję: „Polityka to sztuka rządzenia państwem: organizacja, kierowanie, administracja sprawami wewnętrznymi i zagranicznymi państwa, narodu, kraju. Polityka to także działalność mająca na celu zdobycie, utrzymanie i wykorzystanie władzy państwowej przez daną klasę...”. Pochodnymi tej definicji są również inne „polityki”, np. polityka oświatowa, polityka agrarna, polityka kultury, polityka społeczna, polityka kryminalna i inne, w tym także – i nie ma w tym, moim zdaniem, nic dziwnego – polityka Kościoła czy – używając liczby mnogiej – polityka Kościołów. Ale nie o tym chcę dzisiaj mówić.

Interesuje mnie – śledząc zarządzanie naszym państwem w okresie PRL, a nie stety i nie rzadko dzisiaj, realizowanie przez niektórych polityków jednego punktu zacytowanej wyżej definicji, mianowicie, „wykorzystywanie” władzy, już nie tylko dla powodzenia jakiejś tam partii, ale dla zwyczajnej, czasem ordynarnej prywaty.

Ostatnio głośno w Polsce o niesamowicie wysokich odprawach pieniężnych niektórych szefów firm i o niebotycznych zarobkach niektórych prominentnych polityków. Podobno są to ludzie genialni, nie do zastąpienia, i dlatego muszą być tak „ustawieni”, aby ich nikt nie ruszył z posad. I dlatego miesięczna pensja takiego superczłowieka wynosi tyle, ile normalny, wykształcony człowiek nie zarobi w ciągu całego, np. czterdziestoletniego okresu pracy. A odprawy? To się po prostu w głowie nie mieści.

Doszło tak daleko, że najwyższy organ władzy – Sejm Rzeczypospolitej Polskiej – musi na ten niezręczny temat debatować, i nie bardzo wiadomo, „co z tym fantem zrobić”. Przypatrzmy się dobrze, my szarzy obywatele, jak to jest w tej polityce – szczególnie finansowej – przypatrzmy się władzy „od góry do dołów”, bo jak poinformował prezes Najwyższej Izby Kontroli, w niżej zorganizowanych jednostkach dochodzi także do patologii finansowo-płacowych.

400 tys. zł, słownie: czterysta tysięcy złotych odprawy pieniężnej za to, że jakiś nieudacznik ma po dwóch latach opuścić stanowisko. Inny prominent otrzyma za dwutygodniową pracę w gorzowskim PKS-sie 62 tys. zł odprawy i jeszcze pół miesięcznej pensji, którą miał w angażu w wysokości 17 tys. złotych. A pan prezes „Nafty” dostanie po dwóch latach pracy, dwa miliony złotych odprawy. Któryś z marszałków małego województwa powiedział publicznie w telewizji, że 18 tys. zł miesięcznie za jego pracę... to wcale nie dużo. Ponoć wielu niżej stojących w hierarchii politycznej i samorządowej prominentów ustaliło sobie pensje po 12, 15 tys. złotych miesięcznie, a za 5 tys. zł – tak powiedział organ kontrolny – mało który wójt chce pracować.

„Quo vadis, Polsko?” – zapytałby dziś może Henryk Sienkiewicz, Piotr Skarga powiedziałby może niektórym politykom – „nierządem stoicie”, a Piłsudski przygotowałby może dla niektórych „komnaty” w Berezie Kartuskiej. Bohater *Wesela* sformułowałby dzisiaj swoje pytanie trochę inaczej. Może zapytałby: „cóż tam, panie, w polityce?” i dodałby: „prominenci trzymają się mocno?”.

Jeżeli były minister skarbu państwa, który prywatyzował „Naftę”, i ustalił prezesowi tej firmy takie, a nie inne warunki płacy, mówi publicznie w telewizji, że tak trzeba, aby następna ekipa rządowa nie zdjęła tego pana ze stanowiska, to można zapytać: „Quo vadis, Polsko?” Jak to właściwie jest w tej Polsce? Czy tutaj naprawdę muszą żyć tacy „geniusze”, którzy, gdy „zawałą” pracę w jednej firmie, biorą bezwstydnie gigantyczny haracz, nazywany odprawą i za ogromne pieniądze idą psuć inną firmę. Później znowu odprawa i „w koło Macieju”. Na wszystkim się znają, podołają każdej pracy, są multifachowcami, byle za wielkie pieniądze. Nie obchodzi ich, że wkoło bieda piszczy, że ich ogromne fortuny pochodzą z pieniędzy podatników, bądź z upadających firm, że w Polsce żyje jedna czwarta ludności na pograniczu ubóstwa, że jest wielkie bezrobocie.

Niestety, część z tych, którym powierzono losy ludzi, instytucji i zakładów pracy, którym zaufano, zapomina – po zajęciu miejsca w głębokim, wygodnym

fotelu – skąd przyszli. Im wystarczą dwa, cztery lata, aby się urządzić na całe życie. A moralność, a etyka? – te pojęcia są im obce.

Myszę, że powołane instytucje, a także społeczeństwo powinny w jakiś skuteczniejszy sposób kontrolować ludzi i instytucje żyjące ze społecznego grosza. Ci zaś, którzy mają stanowić o praworządności państwa, winni tworzyć skuteczne prawo i je egzekwować, bo szary obywatel może jedynie ponarzekać i od czasu do czasu postawić sobie pytanie „Quo vadis, Polonia?”.

Bohaterowie naszych ulic

Już od wielu wieków – chyba od średniowiecza – w niektórych krajach zaczęto ulicom nadawać „imiona”. Powodowane to było głównie względami „adresowymi”, by wiadomo było, że na „takiej ulicy”, pod „takim numerem” mieszka „taki, a nie inny człowiek”, lub znajduje się „taki urząd”. W średniowieczu wielkie miasta posiadały w większości mnóstwo małych i wąskich uliczek, które nie były jeszcze nazwane, tak jak to dzisiaj bywa. Na każdej prawie uliczce znajdował się jakiś „punkt orientacyjny”. Mieszkali tam np. rzemieślnicy o określonych fachach – szewcy, młynarze, kowale. Mógł się tam także znajdować dom jakiegoś dostojnika miejskiego, duchownego, człowieka, albo większej grupy ludzi o innej narodowości itp. Mógł tam także być kościół, ratusz, zamek, staw, jakieś stare lipy, czy dęby, lub jakiś inny znak charakterystyczny tylko dla danej okolicy, albo ulicy. Dziś jeszcze w wielkich miastach można spotkać ulicę Szewską, Młyńską, Stawową, Dębową, Zamkową, Franciszkańską, Klasztorną itp., choć tych obiektów, tych fachów i tych zakładów już dawno tam nie ma. Wielki skok cywilizacyjny – także w nazewnictwie ulic – zawdzięczamy „wynalezieniu” poczty, która nie tylko przewoziła ludzi, ale także listy i pocztówki, zwane też kartami pocztowymi. Dzisiaj, podobnie jak setki już lat temu, nie tylko wielkie aglomeracje miejskie, ale coraz częściej także wioski, mające kilkanaście (a czasem tylko kilka) ulic albo uliczek nadają im nazwy, a domom numerację, aby było lepiej trafić pod wskazany adres. Dzisiaj mamy już wyspecjalizowaną dziedzinę nauki – toponomastykę, która wyodrębnia toponim zajmujący się badaniem nazw miejscowych, w tym także ulic i ich historię. Ulice noszą różne nazwy i różne imiona (raczej nazwiska). Z tego tytułu można przykładowo nazwy ulic podzielić na:

- noszące nazwy przyrodnicze – flory i fauny;
- noszące nazwy geograficzne – wskazujące dokąd prowadzi ulica;

- noszące nazwy dotyczące tematyki wojennej lub wyzwolenczej;
- noszące nazwy wybitnych ludzi, zasłużonych dla świata, ojczyzny, regionu, miejscowości;
- noszące nazwy neutralne, niezwiązane z ww. podziałem.

Nazwy ulicom nadają samorządy terytorialne, biorąc pod uwagę np. wnioski mieszkańców, często propozycje samych radnych, także warunki polityczne, tradycje, uwarunkowania historyczne itp. Chyba najczęściej zmieniano nazewnictwo ulic na Śląsku, głównie ze względów politycznych. Najwcześniej ulice nosiły nazwy niemieckie, albo raczej pruskie dotyczące niemieckiej i pruskiej historii i pruskich bohaterów. Później, w okresie międzywojennym – w tej części Śląska, którą przydzielono Polsce – wszystko poszło „na odwyrtkę”, ulice nosiły nazwy sławiące polską, albo propolską historię i polskich, albo propolskich bohaterów. W czasie wojny, kiedy Górny Śląsk „przydzielono III Rzeszy”, znowu zmieniano nazwy ulic na niemieckie, często związane z III Rzeszą i jej „bohaterami”. Po 1945 roku śląskie ulice otrzymywały znowu nazwy związane z polską historią i polskimi bohaterami, jednak związanymi z nową, socjalistyczną rzeczywistością. Po zmianach politycznych w 1989 roku nastąpiło „oczyszczanie” nazw ulic na bardziej demokratyczne. Na tablice wrócili bohaterzy i wątki historyczne II Rzeczypospolitej, a wyrzucono na śmietnik historii prawie wszystko to, co związane było z PRL-em i z ZSRR-em oraz z „przewodnią siłą narodu” – PZPR-em.

Dzisiaj ważnym elementem nazewnictwa ulic powinna być obiektywność historyczna i mądrość ludzi, którzy zajmują się nazewnictwem ulic, głównie chyba radnych, aby nazwy ulic były zgodne z historią i tradycją miejscowości lub regionu i nie nosiły nazw przypadkowych bohaterów, aby nie przynosiły wstydu miejscowości, a przeciwnie, aby dodawały miejscowościom splendoru i kolorytu.

To niekoniecznie miał być artykuł o historii nazewnictwa ulic. Miał raczej dotyczyć jednego bohatera koszęcińskiej ulicy – ks. Konstantego Damrota i ciekawej propozycji informującej o osobie patronującej danej ulicy. To, co powyżej napisano jest jakby „przy okazji”. Wielu mieszkańców różnych miejscowości – w tym i Koszęcina – nie zna bohaterów swoich ulic. Często stawiane są kontrowersyjne pytania: „Kto to jest Damrot?” (na tablicy figuruje bowiem tylko nazwisko). „Kto to jest Konrad Mańka?”. „Dlaczego w pewnej dzielnicy Koszęcina wiele ulic nosi nazwy kwiatów, kiedy na tych piaskach nigdy takie rośliny nie rosły?”. Pytanie o ks. Damrota zadali mi poważni obywatele, mieszkańcy ulicy Damrota, twierdząc, „że skoro my nie znamy jego biografii,

to na pewno inni też nie znają, i zrodził się pomysł, który się już realizuje. Przy ulicy umieszczona będzie mała tablica informacyjna o ks. Konstantym Damrocie. Może to recepta na przybliżenie ludziom bohaterów naszych ulic? Jest jeszcze inna propozycja: wydanie przez „Stowarzyszenie” albo przez gminę lub Urząd Miasta broszurki zatytułowanej np. *Patroni ulic Koszęcina* albo *Nazwy i bohaterowie ulic Lublińca*. Byłby to niebanalny dokument geograficzny i historyczny danej miejscowości.

Koszęcin na starej fotografii

Koszęcin i gmina Koszęcin zapisały na przestrzeni wieków piękne karty swych dziejów, odtwarzane najpierw z bajek, legend i opowiadań, a później z dokumentów archiwalnych. A kiedy w drugiej połowie XIX wieku pojawiła się fotografia, dokumentowali również losy tej ziemi obrazem.

Od wielu lat nosiłem się z zamiarem przypomnienia tego, co nasi przodkowie zatrzymali w kadrze aparatu fotograficznego. Zawsze bowiem każdy z nas z sentymentem powraca do przeszłości, do tych pięknych czasów, które minęły bezpowrotnie, do tych dobrych ludzi, którzy dawno odeszli od nas do innego, wiecznego bytu. Wspominamy piękne krajobrazy rodzinnych stron, uroki przyrody, architekturę. Wracamy myślą do dobrych i złych czasów, w których żyli nasi ojcowie i dziadowie. W każdym koszęcińskim domu znajdują się pamiątki rodzinne, pieczętowlowicie przechowywane. Zdara się jednak, że poniewierają się po naszych obejściach stare fotografie, często powklejane w archaiczne albumy. Na ścianach naszych mieszkań wisały w pięknych, często pozłacanych ramach portrety ślubne naszych dziadków, może rodziców lub krewnych. Po latach, a może po wieku, dzieci albo wnukowie już nie rozpoznają na starych fotosach swoich przodków i wtedy robi się „porządek”. Stare pamiątki rodzinne, fotografie sprzed lat, wędrują na przysłowiowy śmietnik.

W Koszęcinie poczęto fotografować od czasu, kiedy tylko pojawiła się *camera obscura*, ta światłoczuła skrzyneczka, z niewielkim otworem pozwalającym uwiecznić widziany obraz. Na luksus zakupu aparatu fotograficznego pierwsi mogli sobie pozwolić panowie na Koszęcinie, trochę później urzędnicy księcia i bogatsi mieszkańcy, zaś upowszechnianie się techniki rejestrowania obrazu wśród koszęcinian, przypada dopiero na lata 40. XX wieku. Już jednak pod koniec XIX stulecia pojawiły się pierwsze pocztówki z architekturą Koszęcina. Pokazywano głównie pałac, kościół Trójcy Świętej,

pocztę i budynek dzisiejszego Nadleśnictwa. Także z przełomu XIX i XX wieku pochodzą pierwsze fotografie portretowe. Są to zdjęcia mężczyzn pełniących służbę wojskową w pruskich garnizonach Berlina, Poczdamu, Wrocławia. Znakomitym wówczas mistrzom fotografii pozowali przeważnie w galowych mundurach gwardii cesarskiej, do której powoływał ich adiutant cesarza generał Fryderyk zu Hohenlohe – pan na Koszęcinie. Z tego okresu pochodzą także pierwsze zdjęcia ślubne młodych par z Koszęcina, które do ołtarza udawały się jeszcze w strojach ludowych. Nieco później, już w okresie międzywojennym, pojawiły się zdjęcia grupowe gości weselnych, pierwszokomunijne, szkolne. Fotografowano uroczystości rodzinne, wycieczki, ciekawsze wydarzenia społeczno-kulturalne itp.

W mojej książce *Koszęcin na starej fotografii* czytelnik znajdzie szeroki przekrój życia społecznego Koszęcina, zarejestrowany aparatem fotograficznym w czasie od końca XIX wieku do połowy XX stulecia. Przedstawiony zbiór 168 zdjęć, wybrany z prawie tysiąca fotogramów, pochodzi z dwóch źródeł: od życzliwych mieszkańców Koszęcina – którym za udostępnienie serdecznie dziękuję – i z moich prywatnych zbiorów. Wszystkie zdjęcia są w tonacji czarno-białej, prawie wszystkie zostały wykonane przez amatorów fotografii w bardzo odległym czasie. Dlatego jakoś ich może budzić zastrzeżenia u wytrawnych amatorów techniki fotograficznej. Dziś wystarczy wziąć aparat do ręki i „pstryknąć”, dawniej trzeba było nastawiać światło, odległość, przysłonę, czas. Dawniej technika wykonania zdjęcia i technologia obróbki były zupełnie niepodobne do dzisiejszych metod „fabrykowania” zdjęć.

Prezentowany w mojej książce materiał fotograficzny podzielony został na umowne działy tematyczne: „Koszęcin na starej pocztówce”, „Szkoły i edukacja”, „Ludzie Koszęcina”, „Koszęcinianie w różnych uniformach”, „Życie społeczno-kulturalne”, „Kościół lokalny”. Drugą, niejako uzupełniającą stroną tej publikacji, tworzącą w pewnej mierze swój odrębny świat opisywania przeszłości, jest zawarty tu materiał dotyczący historii Koszęcina, uzupełniony wyborem moich artykułów prasowych zamieszczanych w różnych czasopiśmie, głównie jednak w tygodniku „Z życia Kościoła i Parafii”. Tworzy to – być może – niekonwencjonalny układ literackiego opisywania zdarzeń, ale ja chciałbym w tym dziełku – adresowanym głównie do koszęcinian, do moich sąsiadów, przyjaciół, krewnych; do tych, którzy może jeszcze pamiętają ludzi i zdarzenia zarejestrowane na zamieszczonych tu zdjęciach – opowiedzieć naszą przeszłość, nie tylko obrazem, ale i piórem malowaną. Życzeniem moim jest, aby młoda generacja mieszkańców Koszęcina, a może i czytelnicy spoza tej miejscowości mieli możliwość poznania naszej wspaniałej przeszłości, aby

zapoznali się z tym, co minęło bezpowrotnie, z tym co straciliśmy na skutek wojen i ich konsekwencji, ale także z tym, co pozostało. Młodszych i starszych współmieszkańców pięknego Koszęcina zachęcam, aby przejrzeni się w lustrze naszej lokalnej historii, aby jeszcze bardziej pokochali to, co było, to co trwa i co powinno pozostać. W genach minionych czasów zakodowana jest bowiem nasza przyszłość, nasze trwanie i miłość do Małej Ojczyzny.

W sprawie koszęcińskiej kultury materialnej

Sami nie wiecie, co posiadacie

Piękne i mądre polskie przysłowie mówi: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie”. Kamil Cyprian Norwid w jednym ze swoich filozoficznych utworów powiedział: „Aby mierzyć drogę przyszłą, trzeba wiedzieć, skąd się wyszło”, zaś Adam Asnyk w wierszu *Do młodych* woła: „Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy, Choć macie sami doskonalsze wzniesić; Na nich się jeszcze święty ogień żarzy I miłość ludzka stoi tam na straży, I wy winniście im cześć!”. We wszystkich wyżej wymienionych cytatach poeci nawołują do ochrony przeszłości, do szacunku do dóbr kultury materialnej i duchowej. Jest bowiem kultura całokształtem materialnego i duchowego dorobku ludzkości, a także poziomu rozwoju grup społecznych i jednostek (rozwoju umysłowego, moralnego, obyczajowości, obycia, taktu itp.).

Kulturę, według tej uproszczonej definicji należy odnosić do całego świata, do kontynentów i państw, ale także do regionów i najmniejszych gajdołków, rozsianych po całym cywilizowanym i niecywilizowanym świecie. Rozwój kultury zależny jest od ludzi, którzy ją tworzą i którzy są odpowiedzialni za jej trwałość i ochronę. Na szczeblu międzynarodowym i krajowym, a również w niżej zorganizowanych jednostkach administracyjnych, działa wiele wyspecjalizowanych agend troszczących się i odpowiadających za teraźniejszość i przyszłość dóbr kultury.

Ustanowione są, i obowiązują prawne ramy ochrony wartości kulturowych. To cywilizowani ludzie tworzą dobra kultury, ale to także niecywilizowani ludzie niszczą je, czyniąc to świadomie bądź nieświadomie. Wielkie spustoszenia w kulturze powodują wojny i różne kataklizmy (od czasów prehistorycznych po dzień dzisiejszy), mniejsze spustoszenie czyni głupota ludzka, nieoczytanie i niedouczenie panów na stołkach, którzy często przychodzili i przychodzą tu nadal z innych kultur nawracać „tubylców”, poprzez swoistego rodzaju *Kulturkampf*. Takich „naprawiaczy” kultury zanotowała w różnych okresach

historycznych ziemia śląska, w tym także Koszęcin. Wojna trzydziestoletnia zniszczyła w Koszęcinie wspaniały ośrodek międzynarodowej (polskiej, niemieckiej i czeskiej) kultury i myśli humanistycznej prowadzony przez Andrzeja Kochcickiego. Po drugiej wojnie światowej wykradzono przebogate wnętrze koszęcińskiego pałacu, zbezczeszczono i zniszczono wielowiekowe miejsce kultu religijnego – kaplicę pałacową. W maju 1945 roku spalono na dziedzińcu pałacowym ogromny księgozbiór koszęcińskiego pałacu. To wszystko można jednak „zwalić” na wojny i nietolerancję.

Ale co powiedzieć o czasach najnowszych, o powojennej rzeczywistości, a szczególnie o ostatnich dziesięciu latach, kiedy to utworzono w Polsce nowy porządek polityczny i nowy ład kulturowy, mający chronić obywatela, zabezpieczając jego dobra osobiste, materialne i duchowe, w tym również relikty przeszłości? W Koszęcinie nie o wszystko się zatroszczono, tu jest wiele do nadrobienia. Jak wygląda ten „stary” Koszęcin i „stara” gmina? Co zrobiono z zabytkami architektury folwarcznej i dworskiej w Cieszowej, Łazach, Prądach, Sadowie, Wierzbii i Koszęcinie? Przecież tam jeszcze tak niedawno kwitło życie i szła... produkcja? Widziałeś, drogi czytelniku, mieszkający od pokoleń w Koszęcinie, jak wygląda ongiś słynące na Europę gospodarstwo po księciu przy ulicy Ligonii? Czy widziałeś oficyny, czworaki i stodoły stojące w dawnym dworze i przy ulicy Zamkowej? Miałeś niedawno okazję wstąpić po 44 latach do kaplicy pałacowej, w której twoi przodkowie byli chrzczeni, bierzmowani i zaślubiani, w której od wieków spoczywają pokolenia panów na Koszęcinie... i co powiesz? Te wszystkie obiekty wybudowane trudem pracy naszych praojców jeszcze tak niedawno „żyły”. Pomyśl, czy budując „nowe” trzeba niszczyć „przeszłości ołtarze”? A może to ktoś chce zniszczyć twoją kulturę, twoje korzenie? Nikt nie pomyślał o starych szkołach wybudowanych pod koniec XIX wieku w Cieszowej, Łazach i Strzebinie, które swoją architekturą mogły zdobić szarą prowincję gminy i stanowić kulturalną i administracyjną bazę. Sprzedano je za przyszłowiowe grosze, aby „wzbogacić” gminę podatkami od nowych właścicieli (tak władza tłumaczyła te transakcje). Ta sama „władza”, która beczynn timer przyglądała się dewastacji (i jeszcze jej błogosławiła), która za marne srebrniki pozbywała się tzw. mienia gminnego, umarzała setki milionów starych złotych podatków tym właśnie, którzy to niszczyli⁴⁷.

A co z substancją przyrodniczą? Czy policzyłeś ile – niepotrzebnie – wycięto w ostatnich latach drzew w Koszęcinie i w gminie? Profesor Kwiatkowski,

47 Patrz artykuły w „Echu Gminy” nr 4: „Dla potomnych” i „Z prac Komisji Doraźnej”.

wielki autorytet kultury, widząc powalone toporem przy ulicy Boronowskiej piękne jesiony powiedział: „Jak wy się Boga nie boicie?”. A czy wiesz jakie przeprowadzono pielęgnacje zasobów chronionej przyrody? Prawie nic takiego nie miało miejsca. A widziałeś popegeerowski park, cmentarz żydowski w Cieszowej i cmentarz protestancki w Koszęcinie? Myślę, że ogromna większość koszęcinian wie, „co posiadamy” i jest zatroskana o to, co straciłszy i co jeszcze możemy utracić. Istnieje jeszcze nadzieja na odzyskanie mienia będącego w zarządzie Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa i uchronienia go od zupełnej dewastacji. Rodzi się pomysł, proponowany także wcześniejszym władzom, zagospodarowania obiektów na cele kultury i turystyki regionalnej. Czy ocalimy przeszłość? To zależy od operatywności władz lokalnych, powiatowych i wojewódzkich, to zależy także od ciebie i ode mnie. Dbajmy wszyscy o naszą przeszłość, zarówno o tę architektoniczną jak i przyrodniczą (także o alejki starodrzewia w parku i prowadzącą na dworzec), dbajmy o to, aby „Polak nie był mądry – dopiero – po szkodzie” i o to, abyśmy nie zdeptali „przeszłości ołtarzy”. Niech władza cywilna uczy się od Kościoła jak dbać o relikty przeszłości. Wstąp do koszęcińskich i znajdujących się na terenie gminy kościołów, a przekonasz się, że przeszłość jest piękna i może cieszyć zarówno ciebie jak i następne pokolenia, przekonasz się, że wiekowe obiekty mogą stać następne wieki i być użyteczne.

Zabytki na ziemi lublinieckiej

Wiemy, co posiadamy

Znana jest dokładna liczba chronionych prawem obiektów zabytkowych w powiecie lublinieckim. Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Katowicach – Delegatura w Częstochowie przesłała na ręce Starosty Lublinieckiego wykaz wszystkich obiektów budowlanych wpisanych do rejestru zabytków. Jest ich łącznie 44.

Poniżej przedstawiam te obiekty w rozbiciu na poszczególne gminy powiatu:

Gmina Boronów

Boronów

- zespół kościoła parafialnego, drewniany kościół pw. Matki Boskiej Różańcowej (1611 r.), wieża (ok. 1700 r.), cmentarz, drewniana bramka w ogrodzeniu (1 ćw. XVII w.);

Gmina Ciasna

Ponoszów

- zespół dworski (pocz. XIX w.);

Patoka

- zespół pałacowo-parkowy (XIX/XX w.);

Sieraków

- zespół pałacowo-parkowy (2 poł. XIX w.);

Wędzina

- zespół pałacowo-parkowy (poł. XIX w.);

Zborowskie

- fabryka fajek drewnianych (XVIII w.);

Gmina Herby

Hadra

- zespół zabudowań folwarcznych: spichlerz, rządówka, obora (1 poł. XIX w.);

Gmina Kochanowice

Kochanowice

- kościół pw. św. Wawrzyńca (1823 r.);
- pałac z dawnymi zabudowaniami folwarcznymi wraz ze spichlerzem podworskim;

Lubecko

- kościół pw. Wniebowzięcia NMP (1679 r.);

Kochcice

- zespół pałacowy i folwarczy: pałac, wozownia, rządówka, gorzelnia;
- pięć budynków mieszkalnych, tzw. „Dom wdów”, cielętnik z ogrodzeniem i bramami (pocz. XX wieku), spichlerz, stajnie, park;

Gmina Koszęcin

Brusiek

- kościół filialny pw. św. Jana Chrzciciela – drewniany (2 poł. XVII w.);

Cieszowa

- kościół filialny pw. św. Marcina (1651 r.) wraz z otoczeniem;
- spichlerz drewniany (2 poł. XVIII w.);
- zespół zabudowań folwarcznych (poł. XIX w.);

Koszęcin

- kościół NSPJ (1908 r.);
- plebania (1898 r.);
- kościół Trójcy Świętej, drewniany (1724 r.);
- budynek Nadleśnictwa (1810 r.);
- zespół pałacowy (1609 r.) rozbudowany w latach 1828–1830 oraz park przypałacowy;
- dawna oficyna pałacowa (1 poł. XIX w.);
- stajnie murowane (1 poł. XIX w.);

Sadów

- kościół parafialny pw. św. Józefa (1631 r.);
- dzwonnica (XVII w.);

Wierzbie

- pałac murowany wraz z otoczeniem (1 poł. XVIII w.);

Gmina Pawonków

Draliny

- zespół pałacowy – pałac, spichlerz, park (poł. XIX w.);

Gwoździany

- kościół drewniany pw. Narodzenia NMP (1576 r.);
- zespół pałacowo-parkowy (poł. XIX w.);

Łagiewniki Wielkie

- zespół dworski: dwór, park, ogrodzenie z bramą wjazdową (XVIII/XX w.);

Nowe

- zespół dworski: dwór, park (2 poł. XIX w.);

Pawonków

- kościół parafialny pw. św. Katarzyny i plebania (1811 r.);

Lubliniec

- stare miasto w granicach średniowiecznego założenia – układ urbanistyczny;
- kościół parafialny pw. św. Mikołaja (ok. 1580 r.);
- kościół filialny pw. św. Anny, drewniany (1653 r.);
- zamek przy ul. Grunwaldzkiej;
- pałacyk przy ul. Piłsudskiego 8;
- budynek mieszkalny, plac K. Mańki 6;
- kamienica, plac K. Mańki 9;

Gmina Woźniki

Lubsza

- kościół parafialny pw. św. Jakuba (1 poł. xv w.);
- organistówka przy ul. Lompy 8 (poł. xviii w.);
- plebania (1 poł. xviii w.);

Piasek

- kościół ewangelicki;

Woźniki

- miasto w ramach historycznego założenia – układ urbanistyczny;
- kościół parafialny św. Katarzyny (xiv w.);
- kościół drewniany św. Walentego (cmentarny) (1696 r.).

Oto „przeszłości ołtarze” w powiecie lublinieckim. Oto architektura, którą chlubiśmy się i która – być może – przetrwa do następnych pokoleń. Czy przetrwa? To wcale nie jest pewne, bowiem wiele z wymienionych wyżej budynków jest w tragicznym stanie i za niedługo „rozpadnie się w proch i w pył”. Najlepiej utrzymane są obiekty architektury sakralnej, najbardziej zaniedbana jest piękna architektura dworska, folwarczna i niektóre pałace. Niestety, powiat lubliniecki nie jest najlepszym mecenasem chroniącym przeszłość. Niektóre jednostki administracyjne nie posiadają prawie „niczego”, co może zaświadczyć o ich przeszłości architektonicznej, czy przyrodniczej.

Głównymi winowajcami – jeśli chodzi o ochronę dóbr kultury – są władze jednostek administracyjnych. To na nich głównie ciąży obowiązek chronienia przeszłości. Warto się rozejrzeć po swoim mieście czy gminie. Warto chronić przeszłość, bo „jak cię widzą, tak cię piszą”.

Jak jo chodził do szkoły

Dzieje oświaty na Śląsku w latach 1939–1946 i wcześniej

Krótko o najdawniejszych dziejach oświaty

Dzieje szkolnictwa świadczyły zawsze i świadczą także dzisiaj o poziomie intelektualnym obywateli, a – patrząc szerzej na ten problem – także o kulturze całego społeczeństwa. Z pewnością lokalna oświata małej Glinicy, prowadzona w mrokach dziejów w szkołkach przykościelnych, a później w elementarnych szkołach ludowych, nie miała chyba zasadniczego wpływu na rozwój umysłowy jej mieszkańców, ale stanowiła ona na pewno ważny etap w rozwoju historycznym ludności tej miejscowości. Rozwój szkolnictwa

powszechnego, jego w miarę upływu czasu upowszechnianie, przyczyniało się do wzrostu świadomości pokoleń, do sięgnięcia z czasem po gazetę i książkę, a także z całą pewnością do podpisywania się – zamiast krzyżkami – pełnym nazwiskiem i imieniem.

Trudno więc pokusić się o dokładniejsze opisanie dziejów oświaty lokalnej Glinicy przed XVIII wiekiem. Nie zachowały się bowiem do naszych czasów materiały faktograficzne z minionych wieków. Były one – podobnie jak inne archiwalia – niszczone przez zmieniające się ustroje państwowe, wojny i inne kataklizmy dziejowe. Niszczono także – szczególnie w czasie wojny trzydziestoletniej (1618–1648) i wojen śląskich dokumentację kościołów i parafii, w tym także zapisy dotyczące oświaty. Z przekazów zawartych w kronikach wiadomo jednak, że prawdopodobnie już w XVI, a na pewno w XVII wieku, istniały w niektórych miejscowościach na Śląsku szkoły przykościelne – szczególnie tam, gdzie działały gminy parafialne. Według dawnych zapisów – w nieistniejącej już niestety – kronice parafialnej, w Lubecku istniała taka placówka, do której uczęszczali także dzieci z Glinicy. Potwierdzenie tej informacji znajdujemy w protokołach kanonicznych spisanych przez Jungnica w jego wiekopomnym dziele *Visitationsberichte der Diözese Breslau*⁴⁸. Na stronie 324 tej książki znajdujemy łaciński opis wizytacji parafii w Lubecku z 1687 roku. Wizytator ks. Marcin Stephetius wspomina tam nauczyciela Aleksiusa Kobielskiego, będącego zarazem organistą, który – jak tam zapisano – „piecze hostie”. Wizytator pisze także o pięciu rolnikach z Glinicy, którzy w „naturaliach” płacili wspomnianemu nauczycielowi dziesięcinę snopów. Z tych dochodów ów organista-nauczyciel miał także wybudować szkołę. Łaciński opis tego akapitu brzmi następująco: „[...] *Cirka scholiarchiam; Alexius Kobielski est simul organista, servit uno anno. Salarium et provisio eius; in pago Glinicza habet a 5 rusticis deciman manipularem, item. Schola est noviter reaedifikata ex supradieta eins decima; praeterka habet consueta accidentia, aspersionum et strenam. De inventute in aestate nihil habet in schola, in hieme habet aliquot pueros...*”. Jakby ta opisana przez wizytatora szkoła nie wyglądała, czy uczyło się tam dziesięciu chłopców, czy pięciu, czy „chodzili” do tej szkoły tylko kilka miesięcy czy tygodni w roku – to na pewno jest to bardzo wczesny początek oświaty i edukacji wiejskiej. Bardziej dokładnie można mówić o szkolnictwie XVIII wieku, a więc już w czasie podległości tych ziem pod władzę Prus, które w roku 1740 załadowały ziemią śląską. Prowadzano w tym państwie coraz

48 Tłum. „Protokoły kanoniczne diecezji wrocławskiej – część I – Archidiakoniat Opolski”.

bardziej dokładne statystyki, które dotyczyły także lokalnej oświaty – budynków szkolnych, liczby uczniów i nauczycieli, a nawet uposażenia tych ostatnich. Całą organizacją i dokumentacją wiejskiego szkolnictwa zajmował się dawniej kościół lokalny, a proboszcz był zarazem inspektorem szkolnym na terenie swojej parafii. Także bogata szlachta była zobowiązana do świadczeń na rzecz szkolnictwa, poprzez np. budowę nowych szkół. Z pewnością w kronikach (jeśli się takie zachowały) i w innych dokumentach starej lubeckiej parafii można jeszcze dzisiaj doszukać się wiadomości o szkolnictwie z minionych wieków.

Pruska statystyka z 1855 roku wspomina – oprócz innych ważnych spraw – także starą szkołę w Glinicy, zbudowaną w 1842 roku, w której jeden nauczyciel uczył 64 dzieci. Może warto w tym miejscu przytoczyć fragment tej statystyki, aby dowiedzieć się jak wyglądała Glinica przed 150 laty. W tłumaczeniu z niemieckiego czytamy: „Gmina Glinica jest oddalona od miasta powiatowego o 4/5 mili w kierunku północno-zachodnim. Miejscowość leży przy drodze prowadzącej do Olesna. Oprócz Glinicy do gminy przynależy jeszcze przysiółek Dąbrowa. Miejscowość posiada 48 posesji, 1008 morgów pól ornych, 108 morgów łąk, 22 morgi ogrodów i 80 mórg nieużytków. Ziemia jest średniej klasy i obsiana jest żytem, jęczmieniem i owsem oraz obsadzona kartoflami. Rolnicy hodują 22 konie, 14 wołów, 165 krów, 80 cieląt, 46 sztuk świń i 4 kozy. Glinica posiada fabrykę fajansów, która – ze względu na trudności produkcyjne – zatrudnia „tylko na dniówkę” miejscowych mieszkańców – pracujących na co dzień w swoich gospodarstwach. Glinica płaci rocznie 58 talarów podatków gruntowych i 220 talarów podatku „od klasy” ziemi. Miejscowość posiada masywnie zbudowaną w 1842 roku szkołę, w której jeden nauczyciel uczy 64 uczniów”. W 1855 roku Glinicę zamieszkiwało 422 obywatele. Sześć lat później liczba mieszkańców wzrosła o 32 ludzi, wśród nich było 425 katolików, 19 protestantów i 10 żydów. Cała ludność mieszkała w 53 domkach, mając do swej dyspozycji 40 budynków gospodarczych i trzy warsztaty rzemieślnicze”.

Wspomniana w części opisowej statystyki z 1855 i 1861 roku szkołka okazała się po kilkadziesiąt lat za mała dla wzrastającej liczby dzieci. W 1907 roku wybudowany został istniejący do dnia dzisiejszego budynek szkolny, w którym – jak to wynika z danych statystycznych z 1910 roku – liczbę ponad 100 dzieci uczyło trzech nauczycieli. Kierownikiem szkoły był wówczas nauczyciel Ganitta. W Glinicy istniała wtedy – podobnie jak w 60 innych miejscowościach powiatu – „stacja biblioteki wędrownej” (*Wanderbibliotheksstation*).

Stałe biblioteki znajdowały się pod koniec XIX wieku w Kaletach, Lublińcu, Dobrodzieniu, Woźnikach i w Koszęcinie.

Oświata ludowa w państwie pruskim

Państwo pruskie kładło duży nacisk na zdyscyplinowanie szkolnictwa powszechnego poprzez wprowadzenie obowiązkowego szkolnego, kształcenie nauczycieli, budowę nowych szkół i mieszkań dla nauczycieli. 18 maja 1801 roku wydano w Poczdamie ustawę szkolną nazwaną „Regulament dla niższych Szkół Katolickich w miastach i po wsiach w Xięstwie Śląskim i Hrabstwie Glackim”. Praktycznie od tego czasu poczęto budować na Śląsku, w tym w wielu wioskach powiatu lublinieckiego, nowe szkoły, które jednak wkrótce okazywały się za małe, aby pomieścić wzrastającą liczbę uczniów. Powiat lubliniecki wzbogacony został nowymi – murowanymi już z cegły – szkołami w dwóch etapach: wiele obiektów postawiono w ostatniej dekadzie XIX wieku, a pozostałe miejscowości otrzymały nowe szkoły w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku. Można śmiało powiedzieć, że na przełomie XIX i XX wieku każda, nawet najmniejsza wioska w powiecie lublinieckim posiadała własną szkołę i „swojego” nauczyciela, lub – jeśli liczba uczniów przekraczała setkę dzieci – swoich nauczycieli. Dla „rektorów” i ich rodzin gmina zabezpieczała mieszkania, opał, ogródki, a nawet kilka mórg pola. Najczęściej w budowanych szkołach znajdowało się jedno lub dwa mieszkania dla nauczycieli. Organizacja wczesnego szkolnictwa pruskiego różniła się zasadniczo od dzisiejszych czasów. Rok szkolny zaczynał się wiosną przed Wielkanocą. Pojęcie wakacji nie było jeszcze znane. Zajęcia – ze względu na małe szkołki – odbywały się dla tych samych dzieci w godzinach 9:00–12:00 i 14:00–16:00. Latem, w czasie nasilonych prac polowych, lekcje trwały w godzinach południowych – 12:00–15:00. Dzieci podzielone były na trzy klasy z następującym programem: klasa I – uczenie się liter i sylabizowania, II klasa – pisanie i czytanie, III klasa – rachunki, religia, historia biblijna, geografia, śpiew, a nawet gimnastyka. Wielki nacisk kładziono wówczas na zajęcia praktyczne – ze szczególnym akcentem na prace gospodarcze, w tym na sadzenie i pielęgnację drzew owocowych⁴⁹. W 1872 roku państwo pruskie wydało nową ustawę oświatową, która „odebrała” nadzór nad oświatą kościołowi, przekazując te uprawnienia państwu, a mówiąc bardziej konkretnie – gminom świeckim. Szkolnictwo pruskie przeszło wielką ewolucję – od bardzo skromnych początków: niechęci rodziców do szkoły,

49 Sadzonki do szkół w powiecie lublinieckim sprowadzano nawet z ogrodów poczdamskich.

braku jakiegokolwiek współpracy szkoły z rodzicami, nieregularnego uczęszczania uczniów do szkoły, zatrudniania dzieci w folwarkach i manufakturach itp. – do nowoczesnego – jak na owe czasy – szkolnictwa. Ustawa ta „podzieliła” rok szkolny na dwie części: zajęcia zaczynały się od kwietnia, a kończyły się w marcu roku następnego. Dzieci i nauczyciele mieli wakacje: wielkanocne, zwane także wiosennymi, ferie letnie (na okres żniw) i jesienne wakacje – tzw. *Kartoffelferien*. Dla dzieci, wakacje nie były jednak czasem błogiego wypoczynku, służyły one wówczas głównie do zatrudniania uczniów przy ciężkich pracach polowych. Ciekawie przedstawiało się uposażenie nauczycieli, które składało się z dwóch źródeł: dochodów gotówkowych (płaconych wcześniej w talarach, a później w „markach”) i z „naturaliów” (towarów wytwarzanych najczęściej w miejscowych dworach).

Przykładowo roczne uposażenie nauczyciela Fritza z Koszęcina – który wcześniej zatrudniony był także w innych miejscowościach powiatu lublinieckiego – wynosiło w 1845 roku:

w gotówce:

- z gminy – 45 talarów;
- z dworu⁵⁰ – 53 talary i 25 groszy;
- ekwiwalent na opał – 31 talarów;

w naturaliach:

- 16 szefli żyta (wartość 20 talarów);
- 66 funtów soli (2 talary i 19 groszy);
- opał na dwie kuchnie (wartość 2 talarów);
- jedna kopa słomy (wartość 14 talarów);
- cztery „ósemki” piwa albo trzy szefle jęczmienia;
- jedna fura siana;
- jedna fura „potrowu”⁵¹.

Oprócz powyższego wynagrodzenia nauczycielowi Fritzowi przydzielono jeszcze sześć morgów pola i sześć łokci ogródka. Skromniejsze wynagrodzenie miał w trochę wcześniejszym okresie – jak to przytacza w swojej książce *Między prawdą a legendą* Maria Hofmann – nauczyciel z Kochcic Tomasz

50 Gospodarstwo rolne właściciela miejscowości – J.M.

51 Siano z drugiego pokosu – J.M.

Matuszek, który „otrzymywał rocznie 26 reńskich talarów i 20 srebrnych groszy, 20 kop zboża, 33 funty soli, 2 fury siana, 3 fury słomy i 51 fur drewna”.

W wioskach istniał wyraźny podział na dzieci z „wioski”⁵² i na dzieci z „dworu”⁵³. Taki podział istniał w niektórych miejscowościach jeszcze w latach międzywojennych. Pruskie statystyki uwzględniały powyższy stan informując np.: „Do szkoły w Koszęcinie uczęszczało w 1905 roku – 413 dzieci, w tym z dworu – 124, z wioski – 289 dzieci”. Problemem pruskiego szkolnictwa na Górnym Śląsku był fakt, że ogromny odsetek dzieci nie znał języka niemieckiego. Statystyka z 1861 roku informowała o tym zjawisku w sposób następujący: „Powiat lubliniecki zamieszkuje 43 931 obywateli. Z tej liczby w miastach mieszka 6312 ludzi, z tego w Lublińcu – 2365, w Dobrodzieniu – 2399 i w Woźnikach – 1478 mieszkańców. Na wioskach mieszka ogółem 37 689 ludzi. Z ogólnej liczby: wyznania katolickiego jest 41 210, ewangelików – 1713 i żydów – 1114. Językiem niemieckim mówi 4510 osób – w 887 rodzinach, językiem polskim posługuje się 39 418 mieszkańców w 7934 rodzinach, trzy osoby w jednej rodzinie mówią innym językiem”.

Nauczyciele pruscy pracowali ciężko. Klasy były bardzo przepełnione, liczące czasem do 100 i 130 (?) uczniów, z których większość siedziała w długich – na szerokość klasy – ławkach, po 8–10 uczniów – a część stała „pod ścianami”. Obowiązek szkolny w pruskiej szkole trwał początkowo cztery lata, a później osiem lat, które były podzielone na tzw. *Unterstufe*⁵⁴ i *Oberstufe*⁵⁵. Patrząc „po dzisiejszemu” na dawne szkolnictwo, trzeba stwierdzić, że już pod koniec XIX wieku wiele dzieci z *Oberstufe* posiadało książkę zatytułowaną *Deutsches Lesebuch für Oberschlesien*, w której zawarte były podstawowe wiadomości z literatury niemieckiej – prozy i poezji, wiadomości z historii, geografii, przyrody, śpiewu itp. Uczniowie – szczególnie na wsiach – nie posiadali – patrząc po dzisiejszemu – tornistrów i teczek. „Rzeczy szkolne” nosiło się „pod pazom”, a składały się one z „tabulki ze szwamem i szmatką”, z drewnianej *Federkastli*⁵⁶ z wyżłobionymi przedziałkami, w których były – łamiące się „rysiki”, ołówki – zwykłe i *Kopierstift*y, a także metalowe „piórka” i drewniane *Federhaltry*. Starsi uczniowie posiadali także najwyżej trzy zeszyty – jeden w „kratkę”, drugi w linie i trzeci „bez linijek”. Dzieci – szczególnie

52 Dzieci pochodzące z rodzin chłopskich.

53 Dzieci robotników najemnych, pracujących w pańskich dobrach.

54 Coś w rodzaju dzisiejszego „nauczania początkowego”.

55 Dzieci od piątej do ósmej klasy.

56 Tłum. piórnik.

w mniejszych miejscowościach, grupowane były w klasach o zbliżonych przedziałach wiekowych i uczęszczwały na zajęcia „razem” – a nauczyciel stosował dla nich „zajęcia ciche” (czytanie, rysowanie, liczenie) i „głośne”. Podczas gdy część klasy czytała „po cichu”, inne dzieci uczyły się „głośno”. Z uczęszczaniem dzieci do szkoły były jednak ciągle jeszcze kłopoty. Większość uczniów „chodziła” do szkoły bardzo nieregularnie. Latem rodzice zatrudniali swoje dzieci w pracach polowych, a zimą, ze względu na wielką biedę i brak odpowiedniego ubrania, a szczególnie obuwia⁵⁷, nie posyłano dzieci do szkoły. Kierownicy szkół bardzo często pisali skargi na rodziców do różnych urzędów, w tym także do proboszczów. Zmuszało to landratów lublinieckich do wydawania przeróżnych zarządzeń zamieszczanych nawet w „Lublinitzer Kreisblatt”. Także księża często apelowali z ambony, aby rodzice posyłali swe dzieci do szkoły i latem i zimą.

Polska szkoła na Śląsku 1922–1939

Pruskie szkolnictwo skończyło się na Górnym Śląsku w 1922 roku, kiedy to w wyniku przegranej przez Prusy w 1918 roku I wojny światowej, a później – po trzech powstaniach śląskich (1919, 1920, 1921) i plebiscycie (maj 1922), podzielono tę krainę między Polskę i Niemcy. Powiat lubliniecki „pocięty” został granicą, pozostawiając wiele miejscowości położonych od Pawonkowa na zachód przy Niemcach – z Gwoździanami i Dobrodzieniem, a także z miejscowością Ciasna. Południowa granica przebiegała między Bruśkiem a (już niemieckim) Tworogiem.

70 lat temu przyszła do nas wolność!

Organizacja koszęcińskiego szkolnictwa po II wojnie światowej

Po wyzwolenicznym styczniu 1945 roku wszystko zaczynało się od nowa. Po wojnie tworzone polską administrację, odbudowywano polskie życie społeczno-kulturalne i tworzone – po sześciu latach okupacji – polskie szkolnictwo. Koszęcińska administracja składała się na początku z tutejszych Ślązaków, głównie z powstańczym rodowodem. Głównym celem tych ludzi było stworzenie zrębów polskości w Koszęcinie i ocalenie od rabunku

57 Prawie wszystkie dzieci chodziły do szkoły – jeszcze w okresie międzywojennym – od wiosny, często do późnej jesieni – „po bosoku”.

tw. dóbr poniemieckich, w tym szczególnie koszęcińskiego pałacu. Ale ich władza trwała krótko. Po kilku tygodniach Koszęcinem rządili już ludzie z zewnątrz – mieniący się „władzą ludową”. Oni – głównie funkcjonariusze UB i milicjanci – zaprowadzali w Koszęcinie i w gminie „nowy porządek”, którego rezultatem była wywózka tzw. Niemców i „zagospodarowanie” ich majątków. Oni także kierowali wyszabrowaniem koszęcińskiego pałacu i licznych książęcych posiadłości.

Po niespełna miesiącu od wkroczenia do Koszęcina Armii Czerwonej, rozpoczęto w koszęcińskiej szkole znowu uczyć po polsku. Po tym czasie mogłem znowu mówić po polsku i chodzić do polskiej szkoły, w której (po sześciu latach edukacji w niemieckiej szkole) uczyli mnie w języku polskim przedwojenni polscy nauczyciele, których poznałem jako uczeń pierwszej klasy w 1938 roku. Tych parę słów refleksji historycznej, niech czytelnik uzna za „wstęp” do zasadniczego artykułu dotyczącego organizacji koszęcińskiego szkolnictwa w 1945 roku.

Dziwne zaiste, były losy historyczne edukacji na Śląsku, w tym i w Koszęcinie. Od połowy XIV wieku do 1923 roku nie było tu Polski, a więc i szkolnictwa polskiego. Panowała tu najpierw – przez prawie dwa wieki – Korona Czeska, później – także prawie dwa stulecia – rządziła tu Austria Habsburgów, a od 1724 roku – w wyniku wygranej wojny z Austrią – do plebiscytu w 1922 roku, rządy sprawowało państwo pruskie. Na pewno za czasów czeskich, szkoły w dzisiejszym pojęciu nie istniały. Szkolnictwo – jeśli takowe za austriackich czasów w ogóle istniało, zarządzane było przez władze kościelne tego państwa. Prawdopodobnie szkoły przykościelne istniały wówczas przy kaplicy pałacowej w Koszęcinie i przy kościele w Sadowie, gdzie znajdowała się wtedy ogromna parafia, do której należały 32 wioski i kilka przysiółków. Były to jednak malusieńkie szkoły prowadzone przez księdza i organistę. Uczyło się w nich kilkoro, albo – najwyżej – kilkanaścioro dzieci. Dopiero państwo pruskie wprowadziło obowiązkową oświatę szkolną, która i tak nie była od razu powszechna. Poprzez różne sankcje i kary dla rodziców w ostatnich dekadach XIX wieku, szkoła nabierała dzisiejszego charakteru. Wtedy to Prusy zbudowały w każdej, nawet najmniejszej wiosce, murywane szkoły z mieszkaniami dla nauczycieli. Trzeba jednak dopowiedzieć, że edukacja pruska kończyła się z reguły na zaliczeniu przez uczniów tzw. *Unterstufe* i *Oberstufe*. Po ukończeniu tej drugiej części szkoły uczeń był absolwentem pruskiej *Grundschule*. Z chwilą przyłączenia części Górnego Śląska do powstałego w 1918 roku – po 123 latach niewoli – państwa polskiego, na Śląsku zorganizowano polskie szkolnictwo, które – niestety – w 1939

roku – na skutek włączenia Śląska do III Rzeszy – zlikwidowano, prowadząc tu do końca II wojny szkolnictwo niemieckie. Nie było wtedy mowy o edukacji przedszkolnej w dzisiejszym pojęciu.

Namiastką instytucji – dzisiejszego przedszkola, były wprowadzone w Prusach instytucje pod nazwą *Kindergarten*, co znaczyło – „ogród dziecięcy”. Pionierem tego ważnego przedsięwzięcia był niemiecki pedagog Friedrich Fröbel, który w roku 1840 zorganizował w Bad Blankenburg pierwszy na świecie *Kindergarten*, w którym dzieci uczono poprzez zabawę i proste pomoce naukowe. Fröbel dowiódł, że dzieci przedszkolne posiadają zdolności do uczenia się i zapamiętywania.

Chyba także w Koszęcinie już w czasach pruskich – w drugiej połowie XIX wieku – istniały formy instytucjonalnego opiekowania się dziećmi przedszkolnymi. Dowodzi tego utworzenie tutaj przez księżniczkę Adelajdę – córkę księcia Adolfa zu Hohenlohe-Ingelfingen instytucji pod nazwą *Adolfstiftung*. Był to duży sierociniec dla sierot wojennych, mieszczący się przy ulicy Dąbrówki. Zapewniano w nim całkowitą opiekę i naukę dzieciom z różnych stanów i w różnym wieku, z całego ogromnego obszaru należącego do bogatego rodu Hohenlohe. Poszczególnymi grupami wiekowymi opiekowały się katolickie siostry zakonne, chociaż fundatorka była protestantką. „Fundacja Adolfa” posiadała – oprócz wielkich funduszy zgromadzonych w bankach, także budynki i ponad sto morgów pól rozciągających się od ulicy Dąbrówki po Piasek. Warto dodać, że w połowie XIX wieku przy ulicy Dąbrówki wybudowano szpital i dom starców, które zniszczono w latach 60. XX wieku. Stawiam hipotezę, że w „Fundacji Adolfa” istniała – rozszerzająca się w Prusach i w innych krajach Europy – instytucja *Kindergarten*. Fundacja *Adolfstiftung* istniała w Koszęcinie od 1875 roku do kapitulacji Prus, tzn. do końca I wojny światowej, kiedy w Koszęcinie rodziła się już Polska, a wielkie fundusze walutowe zdeponowane w bankach – na skutek inflacji przepadły na zawsze. Przed II wojną światową – w latach 1935–1939 – istniała przy Szkole Podstawowej w Koszęcinie – należąca administracyjnie do szkoły ochronka, do której uczęszczało od 50 do 70 dzieci. Także podczas II wojny światowej – w niemieckim wówczas Koszęcinie, nazywanym *Koschentin*, istniał dla wszystkich dzieci *Kindergarten*. Myślę, że nie od rzeczy będzie przypomnienie, że instytucję „ochronki” opiekującą się dziećmi osieroconymi i z ubogich rodzin, wprowadził w Polsce – szczególnie na ziemi poznańskiej i na Śląsku – Edmund Bojanowski (współpracujący m.in. z Juliuszem Ligoniem). Głównie w tym celu założył on Zgromadzenia Sióstr Służebniczek

NMP, które prowadziły „ochronki”. Obecnie błogosławiony Edmund Bojanowski jest patronem Sióstr Służebniczek NMP.

Utworzeniem polskiej szkoły w Koszęcinie po II wojnie światowej zajął się Michał Czernecki, urodzony w Hadrze. Jedyne on ocalał z tej „koszęcińskiej grupy” we wczesnych latach powojennej władzy, bowiem tylko on znał się na szkolnictwie, bo tu pracował przed wojną jako nauczyciel i kierownik szkoły. Już 5 lutego 1945 roku przystąpiono do porządkowania szkoły po byłym szpitalu Wehrmachtu, który istniał od 1941 roku, w pięknym gmachu wybudowanej w 1935 roku szkoły w Koszęcinie. Po tygodniu prac porządkowych licznej grupy ludzi, dawne sale szpitalne zamieniono na nowo w klasy szkolne i 10 lutego 1945 roku rozpoczęto naukę. Do polskiej szkoły zapisano wówczas 291 dzieci. Nie przyjęto wtedy do szkoły ponad stu dzieci, których rodzice posiadali II grupę niemieckiej listy narodowościowej i około 40 dzieci, które przed wojną uczęszczały do niemieckiej szkoły podstawowej – *Prinzliche Grundschule*. Te dzieci przyjęto do polskiej szkoły dopiero w roku szkolnym 1946/1947. Wówczas szkoła liczyła 429 uczniów. Grono nauczycielskie w lutym 1945 roku tworzyli: Michał Czernecki – kierownik szkoły, Berta Treścińska, Helena Klepacz (przed wojną Ferensówna), Jerzy Klepacz, Augustyna Famuła (przed wojną Treścińska), Helena Bidzińska, Julia Mańka i Teodor Walczak. W marcu 1945 skierowano Teodora Walczaka i Jerzego Klepacza na stanowisko kierownika szkoły (Walczak – Dobrodzień, Klepacz – Ligota Dobrodzieńska). Na ich miejsca do koszęcińskiej szkoły zatrudniono Józefa Janika, Kazimierza Borgulę i Władysława Bednarskiego oraz Władysławę Gabriel – uczącą języka francuskiego. Religii uczył koszęciński wikary ks. Erwin Muszer. Szkoła w latach 1945–1946 prowadziła tzw. „Kursy dokształcające z języka polskiego i literatury polskiej dla młodzieży dorastającej”, w których uczestniczyło 108 słuchaczy (dodajmy – byłych uczniów niemieckiej szkoły). W szkole odbywały się także „Kursy dla młodzieży dorosłej w zakresie siedmiu klas szkoły powszechnej”. W tym celu uczestnicy zostali podzieleni na trzy komplety obejmujące 87 słuchaczy. Na te kursy musiała uczęszczać młodzież, która wcześniej z różnych przyczyn – głównie związanych z wojną – nie ukończyła niemieckiej szkoły powszechnej.

Michał Czernecki opisał przed laty – na moją prośbę – powojenny majątek szkoły i prowadzoną w niej edukację w następujący sposób: „Do tutejszej szkoły należały dwa budynki. W jednym z nich, wybudowanym w 1935 roku przez gminę Koszęcin, znajduje się 13 sal, jedna pracownia robót ręcznych, jedna kuchnia wraz z dwoma przyległymi pokojami, jedna sala gimnastyczna, jedna łaźnia z natryskami, kancelaria, przedpokój i pokój nauczycielski,

mieszkanie dla woźnego oraz ustępy dla dziewcząt i chłopców. Drugi budynek – dawna niemiecka szkoła księcia Hohenlohego wybudowana w 1931 roku obejmuje dwie sale przeznaczone na przedszkole oraz mieszkanie dla kierownika szkoły. Do budynku szkolnego przylega ogród szkolny o powierzchni 680 m², boisko szkolne o pow. 4105 m². Do szkoły należy także jeden hektar pola”.

W lutym 1945 roku kierowniczką przedszkola była Krystyna Tustanowska, zaś personel stanowiły: Dorota Węglarczyk, Czesława Grzesik i Jadwiga Gałuszka. W następnym, 1946 roku, obsadę wychowawczyń przedszkola stanowiły tylko dwie panie: Krystyna Tustanowska – kierowniczka, pełniąca zarazem funkcję wychowawczyni i Dorota Węglarczyk – wychowawczyni. Do przedszkola podzielonego na dwa oddziały, uczęszczało 95 dzieci, z czego 45 dziewcząt i 50 chłopców. Z działalności przedszkola w 1946 roku, Michał Czernecki wymienił uroczystość św. Mikołaja, „którą dzieci uświetniły bardzo udanymi występami”. Przedszkolacy korzystali też wówczas z bezpłatnego dożywiania. W 1947 roku kierowniczką przedszkola – liczącego 67 dzieci była Dorota Węglarczyk, a wychowawczynią – Pelagia Pałka. Interesującą sprawą koszęcińskiego przedszkola było utworzenie w nim w 1948 roku tzw. „klasy wstępnej” dla rocznika 1942. Dzieci te, w liczbie 58 uczniów, uczyły się w II półroczu czytania pisania i rachowania (była to używając dzisiejszego pojęcia chyba – „zerówka”). Po analizie koszęcińskiego szkolnictwa w minionych wiekach należy przypuszczać, że zarówno dzieci szkolne, jak i przedszkolne w Koszęcinie były objęte instytucjonalnymi formami wychowawczymi już w XIX wieku, jednak instytucja przedszkola powstała w Koszęcinie – podobnie jak w wielu miejscowościach Polski – dopiero w 1945 roku. Od samego początku istnienia, koszęcińskie przedszkole mieściło się w siedzibie wybudowanej w 1931 roku szkoły dla mniejszości niemieckiej. Tam działa do dnia dzisiejszego, już równe 70 lat. Warto może jeszcze dodać, że fundator – książę Karol Gotfryd zu Hohenlohe posadził w dniu poświęcenia tej szkoły – 15 września 1931 roku – w bliskiej odległości od budynku – dąb – „symbol trwałości”. Przedszkole przyjęło przed laty nazwę „Przedszkole pod dębem”. Jest to – patrząc po europejsku – nazwa historyczna, czcząca przyrodę i zasłużonego dla Koszęcina księcia.

Glinica – rys historyczny miejscowości

Glinica jest małą – liczącą niespełna tysiąc mieszkańców – wioską, należącą do gminy Ciasna w powiecie lublinieckim. Tyle można się dowiedzieć z hasła zamieszczonego w encyklopedii powszechnej o dzisiejszej Glinicy.

W niektórych dawnych publikacjach – łacińskich, polskich i niemieckich można było wyczytać znacznie więcej. Przytoczę tylko dwa krótkie akapity, które w tłumaczeniu na język polski brzmią następująco: „Glinica jest najstarszą wioską w powiecie lublinieckim, wzmiankowaną już w 1189 roku w dokumencie biskupa Siroslaus, który podarował tę miejscowość zakonnikom Joannitom⁵⁸ ze Striegau”. W innym łacińskim dokumencie czytamy, że „Glinica była wzmiankowana także w rejestrach dziesięciny – *Registrum Wyasdense*, CDS – tom 14 – w latach 1295–1305”.

W wiekach XVIII i XIX wieś słynęła z pięknych wyrobów fajansowych, które rozślawiały mistrzowski talent mieszkańców Glinicy daleko poza Śląsk. W roku 1753 Glinica otrzymała od króla pruskiego przywilej produkowania wyrobów fajansowych. Pierwsza manufaktura tego „przemysłu” powstała w tym samym roku, z inicjatywy ówczesnego właściciela wiosek Zborowskie i Glinicy – Andreasa de Garnier, który był także właścicielem słynnej na całe Prusy fabryki fajek. W roku 1767 dobra glinickie przejmuje siostra Andrzeja – Anna Barbara – hrabina von Gaschin z domu Garnier, która znacznie rozbudowała swój zakład i – poprzez sprowadzenie z głębi Prus fachowców – modelarzy i projektantów: Johanna Müllera, Josefa Dreyhanna i Antoniego Frentsla – postawiła produkcję glinickich fajansów na wysokim poziomie. Produkty z Glinicy były wówczas chronione znakami fabrycznymi: „GG” (*Gaschin Glinitz* albo *Glinitz – Gleinitz*) oraz „DG” (*Dominium Glinitz*). Ozdobami na wazonach, zastawach stołowych i innych produktach były dekoracje przyrodnicze (flora i fauna) i wyrafinowane figury – bogato plastycznie modelowane, o przeróżnej gamie kolorystycznej (czerwień, zieleń, żółcień, czerni). Już w początkach XIX wieku część produkcji przeznaczona była dla ludu, głównie jako podarunki weselne. Ciekawostką były polskie, a raczej śląskie gwarowe napisy jak np. „Już wos zodyn niy rozłoncey – jeno Pon Bog Wszechmogoncy”. Gwoli przypomnienia – od połowy XVIII wieku do końca I wojny światowej cały Śląsk należał do Prus, a językiem obowiązkowym – szczególnie od wprowadzenia *Kulturkampf*, stawał się język niemiecki.

58 Joannici – zakon rycerski św. Jana Chrzciciela, zwany również zakonem „szpitalników”, założony przez kupców włoskich około 1070 roku dla obrony pielgrzymów udających się do Ziemi Świętej – przyp. J.M.

W dawnych dokumentach „reklamowych” – orientujących także kupców wybierających się do Glinicy po atrakcyjne towary – opisywano dokładnie miejscowość jako wieś „leżącą przy starej drodze krajowej prowadzącej kupieckim traktem z Krakowa do Wrocławia”. Glinickie fajanse – które traktowano jako dzieła sztuki – znalazły swoje miejsce w wielu muzeach, choćby tylko wymienić: Kunstsammlung – Breslau i Schlesisches Grenzlandmuseum – Beuthen.

Miejscowość na przestrzeni swych długich dziejów należała do licznych panów, z których warto wymienić: Andrzeja de Garnier (1753), hrabinę von Gaschin z domu de Garnier (1767), Rudolfa von Blacha (1787), Traugotta von Holz (1792), Augusta Ferdynanda von Klinkowskiego (1799). Później od 1855 do 1861 roku Glinica – podobnie jak wiele innych miejscowości powiatu lublinieckiego – była własnością spółki „Minerwa”, a następnym włodarzem na Glinicy był właściciel dóbr rycerskich Oskar von Koszielsky. Produkcja glinickich fajansów nie wytrzymywała konkurencji i w roku 1870 zaniechano definitywnie jej produkcji. Wieś na przestrzeni wieków dzieliła losy historyczne Górnego Śląska przynależąc do Polski, Czech, Austrii, Prus i Niemiec. Wielokulturowość Śląska miała także swoje bogate odbicie w wierze katolickiej, w wychowaniu, oświecie i szeroko pojętej kulturze.

Glinica stała się polską miejscowością przygraniczną. Pierwszym polskim kierownikiem szkoły w Glinicy był od 1923 roku nauczyciel Paweł Lenart. Udało się także ustalić późniejszych nauczycieli: pana Desperka i pana Tomanka. 1 września 1939 roku, w słoneczny piątkowy poranek, dokładnie o piątej rano, wybuchła II wojna światowa. Jej historyczny prapoczątek miał miejsce na Westerplatte. Ale lokalna historia mówi także o fakcie, że w Glinicy wojna rozpoczęła się o piętnaście minut wcześniej. Niemieckie wojska wyważyły szlabany graniczne w Ciasnej, odległej od Glinicy zaledwie o parę kilometrów, już przed piątą rano i wdarły się – mimo zaciętej obrony tych terenów przez 74. Górnośląski Pułk Piechoty – na glinickie pola, a później zajmowały Glinicę i okoliczne wioski i parły na wschód. Podobnie wyglądało na południowej granicy polsko-niemieckiej w powiecie lublinieckim. 2 września 1939 roku, w małej Glinicy, nie było już Polski. Nie było także polskich nauczycieli, którzy po wakacjach nie zameldowali się w Glinicy. Niemcy błyskawicznie wprowadzili swoją administrację i niebawem przystąpili do organizowania niemieckiego szkolnictwa. Miejskowa szkoła, która służyła od 1910 roku najpierw Prusom, później w okresie międzywojennym – polskiej edukacji, przeszła znowu w niemieckie ręce. W czasie

wojny, od września 1939 roku do stycznia 1945 roku, cały Górny Śląsk został włączony do III Rzeszy. Glinicę przechrzczono znowu na *Glinitz*, a szkołę podstawową nazywano *Grundschule* albo *Volkschule* i niemieccy nauczyciele, sprowadzeni tu zza byłej granicy, z Olesna i Kluczborka, uczyli niemieckiego języka, niemieckiej historii i co najgorsze... także historii hitlerowskiej III Rzeszy. Język polski był bezwzględnie zakazany, a za używanie słownictwa polskiego były wymierzane kary cielesne. Może z tego ponurego okresu wojny warto wspomnieć nazwiska dwójki nauczycieli. W mieszkaniu na piętrze szkoły zamieszkiwał wraz z żoną starszy pan o nazwisku Mende, noszący prawdopodobnie wcześniej polskie nazwisko... Mrugała, który przybył tu w roku 1940 z Kluczborka, zaś mieszkanie na parterze szkoły przydzielono znacznie młodszemu nauczycielowi Kampikowi, który z rodziną przeniósł się do Glinicy z pobliskiego Olesna. W opinii miejscowej ludności niemieccy nauczyciele nie byli entuzjastami hitlerowskiego nacjonalizmu. Oboje mówili także dobrze po polsku, jednak nie wolno im było – pod karą więzienia – kontaktować się z miejscową ludnością w tym języku, przeciwnie – byli zobowiązani tępić polską mowę. Tę opinię potwierdza także wywiad, którego udzieliła mi w listopadzie 2006 roku, dziś już dziewięćdziesięcioletnia pani Łucja Gładysz, żona pierwszego po II wojnie nauczyciela i kierownika polskiej szkoły w Glinicy, Antoniego Gładysza. Powiedziała o nich tak: „Obu nauczycieli znaleźliśmy już w czasie wojny. Byli to w zasadzie porządni ludzie, których zmuszono uczyć w Glinicy. Ja i mój mąż znaleźliśmy ich już w czasie wojny. Mąż ukrywał się i pracował jako pomocnik młynarski w miejscowym młynie, a ja też tam pracowałam, bo właścicielem młyna był mój wujek. Mieliśmy z tymi niemieckimi nauczycielami i ich rodzinami kontakty także po wojnie. Starszy nauczyciel, pochodzący z Kluczborka mógł zabrać po wojnie swój dobytek w rodzinne strony”. Pani Gładyszowa opowiedziała mi także fragment życiorysu drugiego nauczyciela Kampika. Otóż został on z Glinicy powołany do Wehrmachtu i po pewnym czasie słuch o nim zaginął. Uznano go za „straconego” (*vermisst*) albo poległego. Wielkie zdziwienie było, gdy krótko po wojnie Gładyszowie dowiedzieli się od jego żony, która przyjechała do Glinicy zobaczyć swoje wykradzione i splądrowane mieszkanie... „że ten niemiecki nauczyciel uciekł z Wehrmachtu do Amerykanów i wstąpił do... polskiego wojska w armii generała Andersa”.

Niemieckie szkolnictwo w czasie wojny sprawiało uczniom wiele trudności. Przecież byli wychowywani w polskim języku, wielu z nich uczęszczało do polskiej szkoły przed 1939 rokiem, a także – mimo bezwzględnego zakazu

używania w domach języka polskiego – prawie we wszystkich glinickich rodzinach mówiło się w domach po polsku, albo mówiąc bardziej dokładnie „gadało się po śląsku”.

Nowe dzieje polskiego szkolnictwa w Glinicy rozpoczęły się w marcu 1945 roku, a ich organizatorem i nauczycielem – a zarazem kierownikiem szkoły – był przez dwa i pół roku – od marca 1945 do czerwca 1947 roku – Antoni Gładysz, wówczas magister z dwoma fakultetami – polonistyki i socjologii, późniejszy profesor zwyczajny, doktor habilitowany nauk humanistycznych – socjolog kultury, nauczyciel akademicki i prorektor Uniwersytetu Śląskiego, a także uczony i badacz, autor wielu książek, podręczników akademickich i publikacji naukowych.

W książce *Lubliniec – zarys rozwoju powiatu* czytamy o powojennym okresie oświaty na stronie 306 tej monografii: „W styczniu 1945 roku po wyzwoleniu przez Armię Czerwoną, w dziejach ziemi lublinieckiej zaniedbanej w okresie międzywojennym, zniszczonej rabunkową gospodarką okupacyjną i działaniami wojennymi, rozpoczął się nowy okres doniosłych przemian we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego, w tym też i w szkolnictwie. Tu trzeba było zaczynać wszystko od podstaw. Budynki szkolne w większości zdewastowane, огоłocone ze sprzętu i pomocy naukowych wymagały remontów i ponownego wyposażenia”.

Okres pewnego beładu organizacyjnego trwał przez kilka tygodni również w Glinicy. Tu także wyszabrowano ze szkoły to wszystko, co się szabrownikom mogło przydać i to, co złodziejom nigdy nie było potrzebne. Splądrowano mieszkania nauczycielskie, poniszczono niemiecką dokumentację szkolną, tę z czasów II wojny i tę z okresu pruskiego szkolnictwa (dokumentację polskiej, międzywojennej szkoły zniszczyli Niemcy, kiedy przejmowali władzę we wrześniu 1939 roku).

Glinica miała jednak szczęście. W pobliżu szkoły, w miejscowym – dziś już zrujnowanym młynie – pracował przez kilka lat w czasie wojny, nikomu prawie nieznany z nazwiska i z wyuczonej profesji pomocnik młynarski, nazywany wtedy potocznie „Antek młynorz”. Nikt nie wiedział wówczas w Glinicy i w powiecie lublinieckim, że młynarzem był ukrywający się przed Niemcami absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Poznańskiego. Zaraz po przejściu frontu, kiedy organizowało się polskie życie społeczne w powiecie lublinieckim, Antoni Gładysz znalazł się w gronie pionierów tworzących zręby polskiego szkolnictwa. W cytowanej już wyżej książce

Lubliniec – zarys rozwoju powiatu czytamy: „[...] Byli wśród nich⁵⁹: Tadeusz Budz, Michał Bednarek, Michał Czarnecki, Piotr Gasztych, Stanisław Gawron, Antoni Gładysz...” i wymienionych jest jeszcze kilkanaście innych nauczycieli. Gładyszowi powierzono organizację polskiej szkoły właśnie w Glinicy, gdzie znał wszystkich mieszkańców i z pewnością wszystkie dzieci. Już 23 stycznia 1945 roku Polski Komitet Obywatelski w Lublińcu powołał Antoniego Gładysza „do współpracy przy zarządzaniu gmachami publicznymi i inwentarzem”, upoważniając go równocześnie do noszenia opaski biało-czerwonej. W lutym 1945 roku przystąpiono do porządkowania szkoły w Glinicy, do wykonania spisu uczniów, uporządkowania mieszkań nauczycielskich i obejścia. Od połowy marca tego roku szkoła w Glinicy rozpoczynała nowy rozdział swych dziejów. Antoniemu Gładyszowi przydzielono mieszkanie na piętrze szkoły, a dolne mieszkanie otrzymała pani Klemkowa – długoletnia więźniarka hitlerowskich obozów koncentracyjnych, która przez pewien czas pracowała w Glinicy jako nauczycielka, przenosząc się później do pracy w bibliotece powiatowej w Lublińcu. Antoni Gładysz pracował w glinickiej szkole do 30 sierpnia 1947 roku, przekazując protokolarnie obowiązki nauczyciela i kierownika szkoły panu Bodzianowskiemu. Ciekawy był ten pionierski okres polskiej powojennej szkoły. Zupełny brak podręczników, przyborów szkolnych, pomocy naukowych itp. Polskiej mowy uczono się przez cały 1945 rok głównie z kilku przedwojennych podręczników szkolnych i z książeczek do nabożeństw kościelnych. Jedynym środkiem lokomocji nauczyciela Gładysza był rower marki „Renoma”, na który miał kartę rowerową nr 38 wydaną w 1 sierpnia 1945 roku przez Urząd Gminy w Glinicy. Posiadał także dwujęzycznie napisane (po polsku i rosyjsku) zaświadczenie – wydane 13 kwietnia 1945 roku przez Inspektora Szkolnego w Lublińcu pana Maniaka – następującej treści: „Niniejszym zaświadcza się, że obywatel Antoni Gładysz ur. 18.11.1915 pełni obowiązki kierownika szkoły w Glinicy, pow. lubliniecki, i może używać roweru w sprawach służbowych”. Dramatem był fakt, że po dwóch miesiącach ów rower został właścicielowi skradziony. Te i inne wiadomości uzyskałem od pani Łucji Gładyszowej, wdowie po prof. Antonim Gładyszu. Ciekawostką rodzinną państwa Gładyszów jest fakt, że dwaj synowie: Jan (1947) i nieżyjący już Marcei (1946) urodzili się w glinickiej szkole.

59 Nauczycieli – J.M.

PS W historii powojennej – i nie tylko – obecność Antoniego Gładysza w szkole podstawowej w Glinicy powinna być zapisana złotymi zgłoskami. Życie tego człowieka, jego akademickie studia u wielkich pedagogów, później wielka kariera naukowa i wspaniałe cechy jego charakteru zasługują na większą uwagę. Dlatego odsyłam czytelnika do zamieszczonego w tej książeczce krótkiego szkicu biograficznego prof. Antoniego Gładysza pt. *Wielki człowiek w małej Glinicy*.

Sto lat szkoły w Glinicy

Dzień 15 września 2007 roku zapisze się zapewne złotymi zgłoskami we wcale niebagatelnej, wielowiekowej historii małej Glinicy. Miejscowość ta, zaliczana do najstarszych wiosek na Śląsku, słynęła bowiem przed wiekami z produkcji fajansów. Zamieszkiwały tam różne rody, w potężnym młynie – który w XX wieku był wizytówką Glinicy – mielono chlebobadną mąkę, a w „nowej szkole” uczyły się glinickie dzieci. „Nowa szkoła” została wybudowana w 1907 roku przez Prusaków, bowiem „stara szkoła” wybudowana w 1842 roku nie spełniała już standardów wymaganych w pruskim – na wysokim poziomie stojącym – szkolnictwie.

Dziś w Glinicy nie produkuje się już dzieł sztuki fajansowej, nie ma już od dawna hrabiów i szlachciców, a w ruinach młyna można by jedynie „kręcić” najstraszniejsze horrory. Z obiektów użyteczności publicznej został jedynie budynek szkolny. Napiszmy to trochę inaczej... została – dzięki Bogu – piękna szkoła, albo lepiej powiedziawszy – został wzorcowy, wczesnodwudziestowieczny kompleks architektoniczny zabudowań szkolnych. Przed szkołą stoi do dziś – także wiekowy – kamienny krzyż, na którym fundatorzy napisali krótkie zdanie wypowiedziane przez konającego Boga na Golgocie: *Es ist vollbracht*.

Dobrze, że są jeszcze u nas mądrzy i roztropni ludzie (myślę także o „ludziach władzy” na ziemi śląskiej, a szczególnie w powiecie lublinieckim), którzy chcieli i chcą coś z piękna tej ziemi, z jej zagmatwanej historii, architektury, przyrody itd. ocalić i zostawić dla przyszłych pokoleń.

Takich ludzi w ostatnim czasie spotkałem właśnie w Glinicy i w Ciasnej. Ba, zostałem nawet przez nich zaproszony do współpracy przy organizacji szczytnego przedsięwzięcia związanego ze stuleciem szkoły: opracowania zarysu monograficznego miejscowości, nadania szkole imienia prof. Gładysza, i przedstawienia na sesji Rady Gminy Ciasna ważności tych spraw. Skoro o ludziach mowa, to wymieńmy kilku z nich, nie ujmując niczego

wielkiej anonimowej rzeszy ludzi, którzy pomagali organizować to wielkie święto w Glinicy. Zapamiętałem ks. dra hab. J. Bremera, ks. Pawołąkę (oboje pochodzą z Glinicy) i najbardziej zaangażowanego człowieka w tym małoobjętnym przedsięwzięciu – pana Bogdana Wolińskiego. Wiem o wielkim zaangażowaniu pana wójta gminy Ciasna – Józefa Kuleja, Rady Gminy Ciasna i jej przewodniczącej, pani Strzody, dyrektorki Zespołu Szkół w Ciasnej i nauczycieli filii tej szkoły w Glinicy. Nade wszystko zapamiętałem rodzinę Gładyszów z seniorką – panią Łucją Gładyszową, żoną prof. Antoniego Gładysza, którego imię otrzymała szkoła. Uroczystość zaszczyściło wielu znakomitych gości, wśród nich: poseł na Sejm RP – pan Andrzej Grzesik i starosta lubliniecki Joachim Smyła. Bardzo bogaty był program uroczystości, który rozpoczęto uroczystą, koncelebrowaną mszą świętą w miejscowym kościele i odsłonięciem tablicy pamiątkowej ku czci patrona szkoły śp. prof. Antoniego Gładysza. Były liczne występy artystyczne i na zakończenie – zabawa taneczna. Ukazała się i była rozprowadzana książka – monografia Glinicy.

Myślę sobie, że swoim świętem 15 sierpnia 2007 roku, mała Glinica pokazała nam, jak można i należy pojmować Małą Ojczyznę, jak łamać utarte, często egoistyczne stereotypy historyczne, jak szanować i doceniać mądrą przeszłość, niezależnie od tego kto ją tworzył i budował. Wreszcie – tak to odebrałem – w Glinicy powiało tego dnia europejskim wiatrem. I już na zakończenie tej refleksji chciałbym gorąco pogratulować organizatorom wspaniałej imprezy i – jeśli mi wolno – zaproponować mieszkańcom Glinicy i władzom gminy Ciasna pewną kontynuację tego mądrego działania. Marzy mi się, aby glinicki kompleks szkolny znalazł się w katalogu chronionej prawem architektury, i aby na przyszkolnym krzyżu napisać na nowo słowa Chrystusa: „Wykonało się”. Bowiem w Glinicy zrozumiano słowa wieszca: „Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy, Choć macie sami doskonalsze wzniesć; Na nich się jeszcze święty ogień żarzy, I miłość ludzka stoi tam na straży, I wy winniście im cześć⁶⁰”.

60 Adam Asnyk, *Do młodych*.

Gwiazda betlejemską zaświeci nad Bruśkiem

W okresie świąt Bożego Narodzenia, w każdym polskim kościele, w każdym domu i w najmniejszym mieszkaniu stoi stajenka – ten szczególnie symbol Narodzenia Boga. Stajenki mają różną architekturę: są szopkami, stajniakami, chlewami, grotami; są zazwyczaj proste i ubogie, czasem przybierają kształty pałaców, ale zawsze ich najważniejszą częścią jest żłóbek, a w nim Bóg-człowiek.

Z pewnością większość mieszkańców powiatu lublinieckiego zna utopioną w pięknych lasach lublinieckich wioskę Brusiek, która słynęła przez całe wieki z hutnictwa. Nad rzeką Mała Panew stały liczne fryszerki i dymarki, a nawet wielkie piece hutnicze. W lasach – smolarze – nazywani czasami kurzokami i węglorzami – wypalali węgiel drzewny potrzebny do wytopu żelaza. Miejscowość słynęła na cały Śląsk i daleko poza tę krainę z kuźnictwa i dobrej roboty kowalskiej. Najbardziej znanymi kuźnikami byli Bruśkowie, a spośród nich najsłynniejszym był syn Jakuba Bruśka – Walenty Roździeński, kuźnik-poeta, który swym dziełem *Officina ferraria* wydanym w 1612 roku u Kempiniego w Krakowie, rozślawił Brusiek na całą Europę. Osa- da ta do końca XIX wieku była miejscowością „przemysłową” zamieszkałą przez ludzi, którzy – jak nikt inny – znali etos ciężkiej pracy, którzy budo- wali tu obiekty techniczne, domy mieszkalne, spichlerze, stodoły, a także wspaniałe – na tym samym miejscu – drewniane kościoły. Prawie cały stan XIX-wiecznej zabudowy Bruśka znalazł się pod ochroną. Jeszcze w 1960 roku – kiedy to ukazał się tomik *Architektury zabytkowej* – chroniono prawem oprócz XVIII-wiecznego kościółka – również drewniane domy mieszkalne o numerach: 7, 8, 9, 10, 11, 12 i 17 oraz wiele budynków gospodarczych – stodółek, spichlerzy – a wszystkie konstrukcji zrębowej o niepowtarzalnej budowie. Do lat 50. XX wieku, stały jeszcze, z prawej strony mostu, zabudo- wania wielkiego pieca, projektu architekta pałacowego Wilhelma Degnera. Dzisiaj – z tego bogactwa przeszłości – został w Bruśku jedynie drewniany kościółek św. Jana Chrzciciela i stojąca nieopodal jedyna, najmniejsza ze stodółek, uratowana dzięki ludzkiej życzliwości i uporowi. Wszystkie inne obiekty zabytkowej, drewnianej architektury świeckiej „padły” w powojen- nych latach, wiele z nich „straciło się po cichutku” stosunkowo niedawno, parę lat temu⁶¹.

61 Zresztą nie tylko Brusiek stracił wiele ze swego dawnego piękna, „straciło” się bezpow- rotnie wiele innych zabytkowych obiektów z terenu powiatu lublinieckiego. Zniszczono prawie całą architekturę folwarczną, wiele pałaców i innych budynków i budowli.

A ja chciałbym teraz skreślić parę zdań o nadziei, o „gwieździe betlejemskiej”, która w noc wigilijną 2006 roku zaświeci znów nad Bruśkiem. Kilka lat temu grupa zapaleńców postanowiła ratować stary Brusiek. Zaczynali od wiekowej stodółki przy kościele i aby ją ratować... urządzono w niej stajenkę. Obiekt został wtedy dzięki ich ofiarnej pracy – zabezpieczony. Połatano gontami walący się dach, naprawiono belkowane ściany, zmontowano wrota, uprzątnięto wnętrze. Postawiono drewniany żłóbek, „drabinki” na siano, wyścielono podłozę itp. W dzień wigilijny „weszli” tu – do tej plenerowej stajenki – drewniani – naturalnej wielkości: Maryja, Józef i Dzieciątko, a także – wystrugane w drewnie – zwierzęta i kilku pasterzy⁶².

I pomyśleć – to takie proste – pomysł, robota i dzieło jest! Czy chodziło tylko o stajenkę? Chyba nie, chociaż to przecież wspaniała idea. Przy starym drewnianym kościółku, w drewnianej szopie, drewniana Święta Rodzina. Po raz pierwszy, od wielu lat gwiazda betlejemska, swoista gwiazda nadziei ratowania starego Bruśka, zaświeciła nad tą historyczną miejscowością. Później znowu trochę „przygasła”, aby w tym roku zabłysnąć na nowo.

Chciałoby się, aby gwiazda, która zapali się w noc wigilijną nad bruśkowską stodółką, rozpromieniła swym światłem nie tylko nasze serca, chciałoby się – i taki jest cel – aby ten symbol narodzenia Boga-człowieka był „zielonym światłem” dla ratowania „starego” Bruśka, szczególnie pięknego kościółka, który czeka na natychmiastową pomoc. Ta stajenka – stojąca jakby „w cieńcu kościółka” jest znakiem sos wysłanym do wszystkich ludzi i instytucji, którzy chcieliby przyłączyć się do grona kilku zapaleńców.

ps Ten skromny artykuł o dawnym pięknie i o życzliwych, choć bezimiennie wspomnianych ludziach, napisałem dokładnie 13 grudnia 2006 roku (?). Dwa dni wcześniej zaprosił mnie na farę proboszcz malusieńkiej parafii w Drutarni, ks. Marian Krawczyk, wielce zatroskany o bruśkowski stary kościółek i o Brusiek – szczególnie o ten stary Brusiek – w ogóle. Oglądałem fachowo opracowane ekspertyzy i „dzieliłem” z proboszczem finansową biedę. Te wyżej napisane zdania są wołaniem o pomoc merytoryczną i finansową dla wielkiego dzieła małego Bruśka.

62 Figury ludowe ufundował pan Maciej K.

Franciszek Ochman i jego konik

O ludziach, którzy robią coś niestereotypowego, coś, co innym wydaje się czasem bezprzedmiotowe, śmieszne i niepoważne, co nie przynosi żadnych materialnych profitów – mówimy, że mają „ptoka” albo „konika”. Mój dzisiejszy bohater jest właścicielem nie „konika”, ale prawdziwego konia, pochodzącego z Ukrainy, któremu uratował życie wykupując go od handlarza „koniną”. Ochman nie jest rolnikiem, posiada zaledwie mały ogródeczek, parę arów ziemi ornej i trochę łąki, aby plony z tego wyżywiły jego ulubieńca. Całe swe życie do emerytury przepracował w Fabryce Papieru w Kaletach, która od wielu lat już nie istnieje. Tam też poznał swoją żonę Ewę Mazur, która akceptuje przez ponad 40 lat hobby swego męża. U Ochmanów zawsze był koń. Miał go dziadek Hermann i ojciec Józef. Oboje przez pokolenia byli rolnikami z kilku hektarami ziemi. Dorabiali wożąc koszęcińskich dostojników dorożkami i saniami. Byli też niejako na usługach księży, wożąc ich „do chrego” lub na pogrzeby i kolędy. Franciszek wyrastał od dziecka w wielkiej miłości do konia i do przyrody w ogóle. Mówi, że koń dużo nie potrzebuje, trochę jazdy i „ludzkiego traktowania”. Dodaje, że konik mu za wszystko odpląca, pracując, jak tylko może. Gospodarstwo Ochmanów liczy zaledwie parę arów. Stoi tam mały domek, stodółka, chlew dla swojego ulubieńca i małe pomieszczenia na kury i dostojnego koguta. W stodole przechowywane są liczne, dziś już antyczne maszyny rolnicze, jak przedwojenna koparka do ziemniaków, pług, kultywator, radło, stara fura, bryczka i sanie. Na podwórku widać – trochę kiczowate – figurki, naturalne i sztuczne kwiaty, stare akcesoria konne i furmańskie itp. Nie posiada dla swojego konia siodła, „bo by mu było za ciężko”. Konik ma piękny, mały wybieg, ciągle patrzy na swego pana, grzebiąc nóżką i kiwa głową, jakby swemu właścicielowi nieustannie dziękował za „ludzkie traktowanie”. Ochmanowe gospodarstwo to raczej mały skansen, coś w rodzaju muzeum sprzętu rolniczego i minizoo z jednym starym koniem i kilkoma kurami. Ale mówiąc poważnie to Ochman uczy innych szacunku i miłości do przyrody i do tradycji – a niejako przy okazji – zadowala się swoim „ptokiem” i „konikiem”.

Tom II zawiera teksty artykułów o tematyce społecznej i kulturalnej opisujące wydarzenia na ziemi lublinieckiej, publikowane na przełomie ostatnich dwóch wieków w prasie powiatowej. Ta część prezentuje opisy osobowości wielkich ludzi, znanych i cenionych za zasługi dla kultury i lokalnej społeczności *Heimatlandu* autora. Cytując jego słowa, tom II jest opisem kulturowego portretu społeczności lokalnej. Ciekawym zabiegiem pisarskim jest zamieszczenie przez autora tekstów „napisanych po śląsku”. Czytelnikom polecamy również tom I z tekstami autora o tematyce religijnej i historycznej. Opracowanie kierujemy do wszystkich zainteresowanych historią, religią i kulturą regionalną śląskiej i polskiej ziemi.

Artykuły prasowe — JAN MYRCIK

Artykuły prasowe

JAN MYRCIK

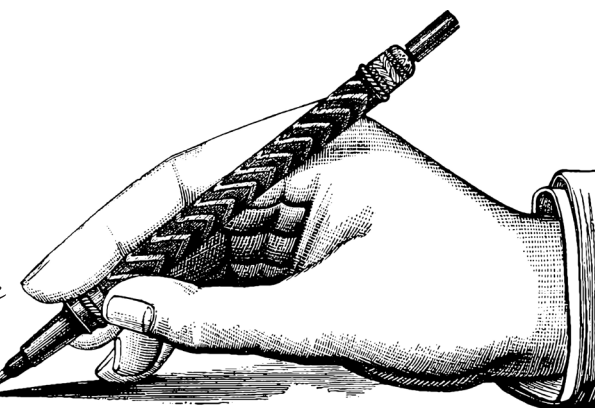
TOM II

wydanie I

Koszęcin 2019

II

tematyka społeczna
i kulturalna



9 788393 568079



Artykuły prasowe

J A N M Y R C I K

TOM II

wydanie I

Koszęcin 2019

Artykuły prasowe – Jan Myrcik

Teksty:

Jan Myrcik

Redakcja:

Jolanta Pilarska

Projekt graficzny i skład:

Aleksandra Toborowicz

Korekta:

Anna Gabrys

Copyright © Jan Myrcik

Koszęcin, 2019

ISBN: 978-83-935680-7-9

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Społecznych w Koszęcinie

ul. Rzeczna 6, 42-286 Koszęcin

Ośrodek Kultury i Edukacji Regionalnej „U Myrcika”

ul. Kochcickiego 2, 42-286 Koszęcin

Nakład: 200 szt.



**POWIAT
LUBLINIECKI**



Publikacja sfinansowana z dotacji Powiatu Lublinieckiego
w ramach realizacji zadania publicznego.

Artykuły prasowe

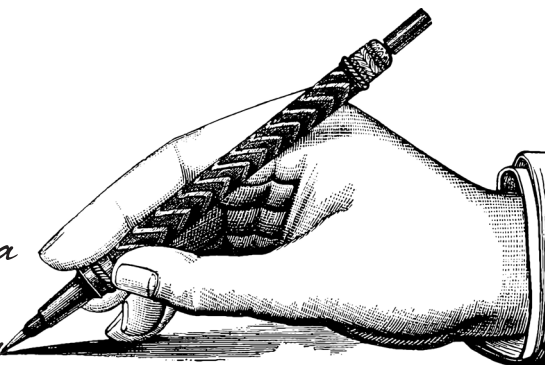
JAN MYRCIK

TOM II

wydanie I

Koszęcin 2019

*tematyka społeczna
i kulturalna*



CZĘŚĆ I TEMATYKA SPOŁECZNA I KULTURALNA

Fryderyk Degner i jego dzieło	9
Pokolenia rodu Ulfik	12
Czy Juliusz Ligoń popełnił plagiat?	13
Imię ponad imiona	16
Kalejdoskop kulturalny Katolickiego Centrum Kultury	17
Kamerun... w Koszęcinie	19
Przebaczamy i prosimy o przebaczenie	20
Narodowy Dzień Życia	21
Powiatowy Uniwersytet rozpoczął pracę!	22
Spitsbergen – połączenie uroku trzech żywiołów: gór, morza i lodu	24
Ochrona środowiska – idea, kaprys czy potrzeba?	26
Europejski Rok Niepełnosprawnych	28
Pięć dni w Lörrach	30
Taki sam, a jednak inny	32
Wielcy ludzie z małego Wierzbia	33
Wesołych świąt Wielkanocy	35
Koszęciński ekumenizm	36
Wystąpienie Jana Myrcika na xv Sesji Rady Powiatu Lublinieckiego	37
Szlachetny herb gminy Koszęcin	41
Tam się łącz, gdzie śpiewają...	43
Tyjdus i inni „chłopcy malowani”	45
Życie ofiarowane bliźnim	47
Zabytki ziemi lublinieckiej – drewniana architektura sakralna	48
Zabytki ziemi lublinieckiej – murowana architektura sakralna	51
Z podium mistrza świata... do klasztoru	53
Nie deptać przeszłości ołtarzy	56
Kościółek dyplomowany	57
W bydlęcych wagonach na wschód i zachód	58
Dla kogo „śląski ślabikorz”?	61
W cieniu bytomskiego muzeum...	62
Michał Wołoszczak – Sybirak rodem z Lublińca	63
Wspomnienie o śp. Henryku Dąbrowskim	66
Przyjechałem po raz ostatni do krainy mego dzieciństwa	67
Ludzie w białych fartuchach	70
Inwentaryzacja obiektów zabytkowych w powiecie lublinieckim	72
Skorowidz do ksiąg metrykalnych parafii NSPJ w Koszęcinie	73
O dobroci Bożej	75
Opowieść wigilijna	76
Na niej się jeszcze święty ogień żarzy...	78
Zgoda buduje, niezgoda rujnuje	79
Artyści-kamieniarze z „Granitu”	80
Dawne dzieje pożarnictwa w Koszęcinie	81

CZĘŚĆ II WIELCY LUDZIE NASZEJ ZIEMI

- Poeci ziemi lublinieckiej **85**
Walenty Rożdżeński i jego *Officina* **87**
Józef Lompa – nauczyciel i poeta **91**
Juliusz Ligoń – poeta spod Koszęcina **92**
Jan Nikodem Jaroń **95**
Ksiądz Konstanty Damrot (Czesław Lubiński) **97**
Profesor Jerzy Pietrucha **100**
Ksiądz proboszcz Antoni Rygula **103**
Czesław Pietruszka – muzyk, przyrodnik i sportowiec **104**
Ksiądz Leszek Henryk Irek **105**
Józef Mitas – muzyk i psycholog **107**
Aniela Pietrek **109**
Profesor Antoni Gładysz – socjolog kultury **111**
Słowo pożegnalne Jana Myrcika wygłoszone na pogrzebie
 śp. prof. Antoniego Gładysza **113**
Jan Famuła **114**
Antoni Famuła **115**
Zmarł ksiądz dziekan Józef Żurek **117**
Profesor Adolf Dygacz – Górnoślązak z Droniowic **120**
Robert Komendera – malarz-akwarelista **121**
Pamięć o nich nie zaginie **122**
Bracia Bernard i Ison Seltenowie – fundatorzy
 pierwszego szpitala w Lublińcu **125**
Stanisław Hadyna **127**
Elwira Kamińska **130**
Alina Ilnicka **133**
Józef Klimanek **134**
Józef Tkocz **136**
Urszula Porwoł **139**
Wspomnienie o Zygmuncie Izdebskim – lekarzu, kapitanie WP i aktorze **143**

CZĘŚĆ III NAPISANE PO ŚLONSKU

- Po naszymu, czyli po ślonsku **149**
Pogodejmy po naszymu **151**
Referendum „Witom was piyknie rostomili ludkowiel!” **152**
Kto ty jesteś? **153**
Ślonzok na pyndzyji **154**
Modlitwa starego Ślonzoka **155**
Fraszki: *Do górnika, Do Ślonzoka* **155**
Oda do młodych Ślonzoków **156**

- Posłowie **157**

część pierwsza:
tematyka społeczna
i kulturalna



A jednak coś ocalało!

Fryderyk Degner i jego dzieło

O architekcie Fryderyku Wilhelmie Degnerze¹, o jego pięknej architekturze, która prawie dwa wieki była ozdobą części powiatu lublinieckiego wspominałem już przed laty na łamach „Ziemi Lublinieckiej”. Nie zaszkodzi jednak jeszcze raz „porozmawiać” o tych sprawach, o tym, co zbudowaliśmy „wysiłkiem woli, rąk, myśli i dusz...” i o tym, co straciliśmy bezpowrotnie – z powodu złych decyzji i ludzkiej głupoty. Ale dzisiaj chciałbym także wspomnieć „o tym”, co – dzięki mądrym i roztroptym ludziom – zdołano uratować.

Fryderyk Wilhelm Degner był przez wiele dziesięcioleci pierwszej połowy XIX wieku nadwornym architektem i inspektorem budownictwa w licznych dobrach Hohenlohych. Projektował i budował pałace, piękne i funkcjonalne budynki mieszkalne (także czworaki) i budowle przemysłowe, liczne i bardzo piękne zabudowania folwarczne, palmiarnie, baszty i inne obiekty. Niestety – po wojnie, szczególnie we wczesnych latach 90. XX wieku – zniszczeniu uległo wiele obiektów architektonicznych stojących od wieków na śląskiej ziemi, w tym i część dorobku koszęcińskiego architekta Degnera. Kto zliczył zniszczone na Śląsku, w tym i w powiecie lublinieckim liczne pałace i zamki, piękną architekturę folwarczną i przemysłową, liczne pomniki i miejsca pamięci historycznej. Przejeżdż, drogi czytelniku – samochodem czy pociągiem – po naszej śląskiej Małej Ojczyźnie, a przekonasz się, że nie potrafimy dobrze gospodarować naszymi dobrami, że jesteśmy często nietolerancyjni, niesprawiedliwi i „bez serc, bez ducha” ludźmi. Ziemia śląska będzie wnet pustynią bez wspaniałej europejskiej przeszłości. Kikutami szkieletów przypominają swoją świetność śląskie kopalnie, huty i fabryki, piękne śląskie familoki i cała infrastruktura przemysłowa. Architektura folwarczna – zarządzana przez różne „agencje” – nie mające pojęcia o kulturze – rozpada się na naszych oczach. „Ozdobą” tych terenów są teraz tablice z napisami: „Wstęp wzbroniony” i „Obiekt przeznaczony do rozbiórki”. To paradoksalne, co powiem: Większości naszej architektury zabytkowej – dzięki Bogu – nie zniszczyły działania II wojny światowej. Zasoby śląskiej kultury niszczone we wczesnych latach powojennych i na przełomie XX i XXI wieku. „Wcześniej” – głównie chyba ze względów politycznych albo z nieświadomości historycznej, nietolerancji i ludzkiej głupoty. Później – z powodu złej i nieprzemysłanej restrukturyzacji.

1 Daegner – pisownia oryginalna.

Także Degner nie miał szczęścia. Po wojnie rozebrano wielki piec zbudowany w początkach XIX wieku w Bruśku. W Koszęcinie zniszczono piękne ogrodnictwo ze wspaniąłą palmiarnią, także cmentarz ewangelicki, obrabowano i zbezczeszczono kościół pałacowy oraz przebogate archiwa książęce i inne obiekty. Obecnie dogorywa – również nie byle jaka – architektura folwarczna w Koszęcinie, Prądach, Łazach, Boronowie, Cieszowej, Hadrze, Kochcicach i... można by mnożyć.

Dlatego przedstawmy dzisiaj (aby się nie denerwować) raczej to, co ocalało: piękny i zadbane pałacyk dawnego zarządu dóbr książęcych ocalony przez mądre zarządzanie Nadleśnictwa w Koszęcinie, a także uratowane stosunkowo niedawno obiekty dawnego „dworu” przy ulicy Ligonja w Koszęcinie – dawny budynek administracyjny, była „krowiarnia” i dawne warsztaty dworskie. Trwają prace zabezpieczające piękne obiekty byłej stajni, wozowni i stodoły.

Budynek Nadleśnictwa w Koszęcinie

Pałacyk zbudowano w 1810 roku (albo trochę później?) według projektu nadwornego architekta Hohenlohych Fryderyka Wilhelma Degnera. Obiekt wybudowany na planie prostokąta w stylu klasycystycznym, murowany z cegły, potynkowany, parterowy, na wysokim podmurowaniu. W piwnicach pod budynkiem sklepienia żaglaste na gurtach. Układ wnętrza dwutraktowy, od strony zachodniej elewacja jedenastotraktowa z portykiem wspartym na czterech kolumnach, zwieńczony trójkątnym przyczółkiem. Do drzwi wejściowych prowadzą dwustronne podjazdy, dawniej brukowane kamieniem, dziś wyłożone płytkami ceramicznymi. Przy elewacji od strony ulicy Ligonja portal flankowany dwiema kolumnami, nad którymi trójkątny przyczółek, w którym znajdował się – zniszczony po 1960 roku – herb rodowy Hohenlohych. Dach był wcześniej pokryty dachówką, później blachą. Obiekt, dzięki troskliwej dbałości gospodarzy, mimo prawie dwuwiekowemu trwaniu jest – tak jak przed laty – wizytówką Koszęcina.

PS Dopisek z lutego 2018 roku: W latach 2016–2017 została przeprowadzona gruntowna renowacja budynku, który aktualnie jest z pewnością piękniejszy niż pałacyk wybudowany przez Degnera. Cała architektura wewnętrzna i zewnętrzna urzeka pięknem.

Zabudowania folwarczne

Zabudowania folwarczne były kiedyś ozdobą wiosek i przysiółków powiatu lublinieckiego. Zbudowane w początkach i w połowie XIX wieku przetrwały w dobrym stanie do lat 90. XX wieku. Dużo takich – niestety niszczących budynków – a nawet ruin – można spotkać w Koszęcinie – przy ulicy Ligonia stały: „krowiarnia”, stajnie, wozownia, stodoły, warsztaty; w Cieszowej – czworaki, budynki administracyjne; w Prądach – gorzelnia, czworaki; w Hadrze – spichlerz, czworaki budynek administracyjny; w Kochcicach – m.in. piękna wozownia, czworaki; oraz w Gwoździanach, Lisowie, Kochanowicach, Ponoszowie i w innych miejscowościach powiatu. Są to – podobnie jak w Koszęcinie – budynki mieszkalne (czworaki), spichlerze, wozownie, stajnie, były warsztaty rzemieślnicze (kołodziejskie, kowalskie) i inne. Wiele z tych budynków podlega do dzisiaj ochronie, ale los większości z nich – głównie na skutek niedbalstwa administratorów – jest przesądzony. Taki bagaż też wnieśliśmy do Zjednoczonej Europy. Chyba trochę wstyd, ale co prawda to prawda. Ale nie wszystko stracono. Uratowano już dwa duże obiekty i budynki towarzyszące, inne – wierzę w to – dzięki mądrym nabywcom (których znam z fachowości i miłości do śląskiej ziemi) będą też wkrótce uratowane.

Dawny budynek administracyjny

W byłym dawnym „dworze” (*Dominium*) budynek administracyjny był nazywany także rządcówką (dziś ośrodek zdrowia) i był kiedyś ozdobą architektoniczną w dawnym kompleksie zabudowań folwarcznych, na które składały się: stodoły, cielętnik, stajnie, wozownia, duża chlewnia ze spichlerzem (dziś „Supermarket”), warsztaty kołodziejski i kowalski (dziś obiekty usługowo-handlowe) oraz kilka czworaków dla pracowników. W czasach PGR-u spełniał również swą administracyjną rolę będąc małym „biurowcem” w części kombinatu PGR. Jeszcze w latach 90. XX wieku PGR posiadał tu dobrze prosperujące (jak na ówczesne czasy) zaplecze socjalne, a w budynku mieściły się: duża kuchnia i stołówka dla pracowników i turystów oraz kilka pomieszczeń hotelowych. Wszystko „padło” w latach 1990–2005. Można powiedzieć, że nowi administratorzy „na oczach” władz administracyjnych i społeczeństwa doprowadzili wszystko do ruiny. Ale są ludzie, którzy na ruinach potrafią zbudować dom.

Budynek administracyjny uratowała od zupełnej zagłady lekarska rodzina Adama Koniny, która zakupiła działkę ze zrujnowanym budynkiem i postanowiła odbudować „przeszość”. Mogli rozebrać ruinę i zbudować

nową – przystosowaną do współczesnych wymogów – Przychodnię Medycyny Rodzinnej. Postąpiono jednak inaczej. Stary budynek zachował swój dawny styl. Wygląda jak przed ponad wiekiem i spełnia nowoczesne wymogi współczesnej medycyny rodzinnej. Uratowano przeszłość.

„Krowiarnia” i dawne warsztaty folwarczne

Podobnie jak uratowano dawny budynek administracyjny, tak stosunkowo niedawno otworzył swoje podwoje wielki sklep spożywczy samoobsługowy zlokalizowany w budynku, gdzie dawniej mieściło się ponad sto krów. To paradoksalne, ale prawdziwe. Najpierw jednak ten ciekawy obiekt musiał przejść „swoją drogę”. Piękny budynek z czerwonej cegły, „fugowany”, o ciekawej konstrukcji i wielkiej kubaturze służył przez półtora wieku książęcej rodzinie Hohenlohe, później PGR-om, a jeszcze później przez prawie 20 lat przechodził swoją „agonię”. Ale w sam raz przyszedł ratunek. Zniszczony budynek zakupiony został wraz z przyległym terenem przez Edwarda Kłykę, który ze swoją rodziną i firmą przywrócił mu nowe funkcje, pozostawiając jednak dawny blask. Elewacje zewnętrzne pozostały jak dawniej, stare wnętrza prawie też nie zostało zmienione, a jednak wszystko jest inne – piękne. Podobnie uratowano dawne warsztaty dworskie, z tym że nie ma tam kowali i kołodziejów, są za to placówki handlowo-usługowe, a na wielki plac przygarnięto koszęcińskie targowisko.

To wielka radość dla nowych właścicieli, to radość dla koszęcinian, mieszkańców okolicznych miejscowości i turystów. To także przykład dla innych. Jeśli się chce, to chyba wszystko jest możliwe.

Pokolenia rodu Ulfik

We wrześniu 2009 roku ukazała się w małym, żeby nie powiedzieć, rodzinnym nakładzie, książka Jana Ulfika zatytułowana *Pokolenia rodu Ulfik*. Motywem wydania tej publikacji nie była wcale rozpowszechniająca się od kilku lat w Europie, w tym także i w Polsce moda na dokumentowanie rodzinnych monografii, czy też – mówiąc inaczej na genealogię rodzinną.

Ulfikowie – wywodzący się z przysiółka Irki pod Koszęcinem, posiadają swój rodowód już od pół wieku. Autorem tego trudnego przedsięwzięcia był Józef Ulfik – abstynent, znany daleko poza rodzinną miejscowością badacz i kronikarz, autor unikalnego dzieła zachowanego w rękopisie pt. *Dzieje Koszęcina*, a także kilku innych prac, w tym *Kroniki jednego pokolenia*.

To niesamowite, że ten prosty, niewykształcony człowiek, posiadający jedynie świadectwo pruskiej szkoły elementarnej w Cieszowej, mógł podolać takiej pracy, powiedzmy „takiej naukowej pracy”. Bowiem ten dokument wymagał żmudnych badań archiwalnych, aby – na podstawie danych zawartych w księgach metrykalnych – sadowskiej (i innych) parafii skompletować dzieścię następujących po sobie pokoleń rodu Ulfików. Dodajmy, że sadowskie księgi – które Józef Ulfik przeglądał – pisane są w trzech językach: łacińskim, niemieckim gotykiem i po polsku. Józef Ulfik opisał genealogię swego rodu w „pionie” i „poziomie”. Poodnajdywał swoich dziadów i prapradziadów aż do protoplasty – założyciela rodu, ale także całe rozgałęzienie się tej rodziny poprzez ożenki i zamążpójścia, rodzenie się następnych bocznych pokoleń, a w „pionie” kończących się na Janie Ulfiku – autorze wydanej i artystycznie opracowanej przez Antoniego Famulę – monografii.

Strona tytułowa tego wydanej w formacie A4 dziełka wabi czytelnika kolorowym drzewem genealogicznym, u którego pnia umieszczone jest imię Jakuba Ulfika – duńskiego żołnierza, który pod koniec wojny 30-letniej (około 1640 roku) ożenił się z Cecylią Warwas z Harbułtowic. Na samym szczycie tego gigantycznego drzewa znajdują się imiona współczesnych pokoleń Ulfików. Pomiędzy założycielem rodu a ostatnim w prostej linii – Janem – wymienić należy imiona następujących członków rodu: Marcina, Jana, Pawła, Szymona, Macieja, Michała, Macieja, Jana, Józefa, Jana (autora) itd. Rodowód rozpoczyna się od pierwszej pary Ulfików i „idzie” coraz liczniejszymi pokoleniami – dziećmi, wnukami, pra i praprawnukami ku górze. Książka wzbogacona jest licznymi dokumentami i fotosami dotyczącymi współczesności, ale i bardzo odległych czasów. Autorowi Janowi Ulfikowi gratulujemy mrówczej pracy, a licznym pokoleniom Ulfików życzymy miłej lektury.

Czy Juliusz Ligoń popełnił plagiat?

Pod koniec ubiegłego roku było na Śląsku głośno o Juliuszu Ligoniu, poecie-kowalu spod Koszęcina. Obchodzono bowiem uroczystości 120. rocznicę śmierci tego znanego i cenionego człowieka, który swoją twórczością poetycką i działalnością społeczno-oświatową wpisał się na stałe w dzieje kultury i literatury śląskiej. Główne uroczystości miały miejsce w Prądach – miejscu urodzenia Juliusza – i w Chorzowie, gdzie poeta spędził wiele lat swego życia zawodowego, pracując jako kowal w hucie i działając w propolskich organizacjach społeczno-kulturalnych. Tam też powstało wiele jego wierszy i sztuk

teatralnych. O Juliuszu Ligoniu pisała nasza gazeta w ostatnim numerze kwartalnika, przybliżając czytelnikowi ważniejsze wydarzenia z biografii tego zasłużonego dla śląskiej kultury człowieka. Powszechnie wiadomo, że twórczość Ligoniego jest imponująca z kilku chociażby względów. Szczególnie, że propolski i piszący po polsku poeta żył i działał w czasie, gdy Polski nie było na mapach Europy (a Śląsk od wieków nie należał do Polski) oraz, że Juliusz Ligoń ukończył zaledwie czteroklasową pruską szkołkę elementarną w Strzebinie. Zaciekawienie musi budzić pytanie, skąd czerpał on polską wiedzę historyczną i polonistyczną, że tak pięknie operował w swojej twórczości poprawnym językiem polskim, zważywszy, że szczególnie wówczas Ślązacy posługiwali się prawie wyłącznie gwarą lub też nauczonym w szkołach językiem niemieckim. Myślę, że Juliusz Ligoń, oprócz wielkiego talentu, potrafił także w swej polskiej twórczości korzystać ze znajomości języka niemieckiego i z niemieckiej poezji.

Dzisiaj chciałbym poddać pod rozprawę czytelnika język i pewne cechy charakterystyczne jednego z najpiękniejszych utworów poetyckich Juliusza Ligoniego – wiersza *Mowa ojczysta*. Posiadam w swoich zbiorach kilka XIX-wiecznych pruskich podręczników szkolnych przeznaczonych dla śląskich szkół, a także niemieckie książki z poezją i pieśniami, które – tak przypuszczam – Ligoń z pewnością czytał. Musiał także znać – i to dobrze – wiersz niemieckiego poety Maxa von Schenkendorfa (1783–1817) zatytułowany *Muttersprache*. Nie tylko tytuły wspomnianych utworów obu autorów są identyczne, ale także treść jest zupełnie podobna, żeby nie powiedzieć „prawie taka sama”. Juliusz Ligoń urodził się sześć lat po śmierci Schenkendorfa, co oznacza, że *Muttersprache* było wcześniej napisane i chyba Ligoń zauroczył się tym poematem i – w swej wielkiej miłości do języka polskiego – „spolszczył” go, bo o plagiacie nie może być mowy, chyba tylko o „zapożyczeniu” bogatego słownictwa, którym posługiwał się Schenkendorf. Wniosek z powyższego jest jeden, że *Mowa ojczysta* albo *Muttersprache* to wiersze, które mówią o języku serca, a to, że dotyczą różnych języków jest obecnie – w Zjednoczonej Europie – sprawą wtórną, albo tylko przypadkiem.

Aby rozwiązać ewentualne wątpliwości przytaczam oba wiersze w oryginale, stwierdzając, że są przepiękne i głęboko patriotyczne.

Mowa ojczysta

Juliusz Ligoń (1823–1889)

*Matki głosie, matki mowo!
Jak brzmisz mile i wzorowo!
Pierwsze słowo, co mnie tknęło,
Jakie słodkie dla mnie było!
Mowa, w której je wydałem,
Brzmieć mi będzie w życiu całym!*

*Ach! Jakiż ból w duszy czuję!
Gdy u obcych się znajduję!
Uczyć muszę się ich mowy,
I obcemi mówić słowy.
Nie kocham ich, bo są inne,
Nie tak cudne, jak rodzinne.*

*Mowo ojców mych wspaniała!
Któraż jak ty, doskonała?
Któraż giętsza, ozdobniejsza,
W słowach, w zwrotach foremniejsza?
Żadnej dźwięk mnie nie ogłuszy,
Boś ty jedna, z serca, z duszy!*

*Słyszac cię, wgłębiam się w tobie,
W twem bogactwie, twej ozdobie,
Z tobą, w biedne odzian szaty,
Jestem możny i bogaty.
Przez nią przodkowie wołają,
Z grobów mi się odzywają.*

*Brzmij mi mowo ojców dalej,
Brzmij z dnia na dzień mi wspanialej,
Brzmij za życia, brzmij w skonaniu;
Brzmij, gdy mnie do trumny złożą
I nad grobem, gdzie położą.*

...

Muttersprache (1814)

Max von Schenkendorf (1783–1817)

*Muttersprache, Mutterlaut,
Wie so wonnesam, so traut!
Erstes Wort, das mir erschallet,
Süßes, erstes Liebeswort,
Erster Ton, den ich gelallet,
Klingest ewig in mir fort.*

*Ach, wie trüb ist meinem Sinn,
Wann ich in der Fremde bin,
Wann ich fremde Zungen üben,
Fremde Worte brauchen muß,
Die ich nimmermehr kann lieben,
Die nicht klingen als ein Gruß!*

*Sprache, schön und wunderbar,
Ach, wie klingest du so klar!
Will noch tiefer mich vertiefen
In den Reichtum, in die Pracht,
Ist mir's doch, als ob mich riefen
Väter aus des Grabes Nacht.*

*Klinge, klinge fort und fort,
Heldensprache, Liebeswort,
Steig empor aus tiefen Grüften,
Längst verschollnes altes Lied,
Leb' aufs neu in heil'gen Schriften,
Daß dir jedes Herz erglüht.*

*Überall weht Gottes Hauch,
Heilig ist wohl mancher Brauch;
Aber soll ich beten, danken,
Geb' ich meine Liebe kund,
Meine seligsten Gedanken,
Sprech' ich wie der Mutter Mund!*

*Prawdać to niezaprzeczenie,
Każda mowa, Boże tchnienie.
Lecz chcąc modlić się, dziękować,
Miłość serca ofiarować,
I wynurzać myśl cną, zdrową –
To matczyną tylko mową.*

Imię ponad imiona

Dzień 14 października 2005 roku zapisze się złotymi zgłoskami w wielowiekowych dziejach historycznych koszęcińskiej szkoły podstawowej i – także wielowiekowego – życia parafialnego. Myślę, że warto było czekać równe 70 lat na to imię, na polskiego, wielkiego papieża, na świętego – niebawem – i znanego każdemu dziecku na świecie człowieka.

14 października br. obchodzono również „Dzień nauczyciela” i „70-lecie Szkoły Podstawowej w Koszęcinie”. Było to więc potrójne święto, któremu towarzyszyły wielkie uroczystości: msza święta celebrowana przez ks. bpa Kusza i naszych duszpasterzy. Przepiękne widowisko, któremu organizatorzy – głównie nauczyciele i dzieci – poświęcili zdolności, kunszt i czas oraz – także uroczyste – odsłonięcie i poświęcenie tablicy pamiątkowej.

Liczni zaproszeni goście, w tym przedstawiciele władz i wszyscy byli nauczyciele i pracownicy szkoły przeżyli piękny dzień i wzruszające chwile, za które wypada jeszcze raz gorąco podziękować.

Nie mam zamiaru (i nie ma absolutnie takiej potrzeby) przedstawiać tutaj sylwetki patrona koszęcińskiej szkoły podstawowej. Znamy go wszyscy, uwielbiamy go i... modlimy się o jego beatyfikację. Jest to „imię nad imiona”. Chciałbym jednak wspomnieć krótko o bogatej historii szkolnictwa (i szkół) w Koszęcinie, a także... o „imieniu”, które szkoła miała otrzymać... 70 lat temu.

Dzieje koszęcińskiej edukacji sięgają swym rodowodem końca XVI wieku, kiedy miała tu istnieć szkołka przykościelna. Trochę później hrabia Rudolf Sobek ufundował „szkołę pałacową”, do której (zimą) uczęszczały także dzieci wiejskie. Najstarszym dokumentem dotyczącym szkolnictwa w Koszęcinie jest kwit wystawiony przez nauczyciela Antoniego Perkacza z 1803 roku za dzierżawę łąki na Bartosiu. Od tego czasu znane są dzieje szkolnictwa w Koszęcinie. Znamy też – z opisu i ze zdjęć – wszystkie budynki szkolne od dwustu lat. Najstarszą szkołę, która była czynna do 1935 roku, oddano do użytku 17 września 1817 roku (stała w miejscu budynku rodziny Kachel).

Następna szkoła – wybudowana w połowie XIX wieku – stała przy dzisiejszej ulicy Lompy, zaś w roku 1905 oddano szkołę przy ul. Sienkiewicza (dziś dom mieszkalny). W 1931 wybudowano szkołę niemiecką *Minderheitschule* – dziś przedszkole.

W styczniu 1935 roku, po świątecznych wakacjach, oddano w Koszęcinie do użytku nowoczesny gmach szkolny z salą widowiskowo-gimnastyczną, pracowniami, kuchnią i stołówką... nowoczesnymi sanitariatami, centralnym ogrzewaniem i wszystkim, co stanowiło wówczas o supernowoczesności w budownictwie szkół i w edukacji. W dniu 14 czerwca 1935 roku Rada Gminy Koszęcin uchwaliła nazwę szkoły w brzmieniu: „Katolicka Szkoła Powszechna im. Króla Jana Sobieskiego w Koszęcinie”. Uroczyste poświęcenie szkoły i nadanie jej imienia miało nastąpić 20 października 1935 roku, a więc równe 70 lat temu. Władze – starosta lubliniecki i Rada Wojewódzka – odrzuciły projekt, żądając, aby skreślić słowo „Katolicka”. Odwoływano się wielokrotnie od tej decyzji, twierdząc m.in. że „[...] w Koszęcinie mieszka ponad 90% katolików i szkoła musi być katolicka”, ale to nie pomogło. Koszęcin pogniwał się na władzę. Ksiądz dziekan Gąska powiedział wówczas: „Jeżeli szkoła nie może się nazywać „katolicka”, to poświęcenia nie będzie”. Nie było więc w 1935 roku uroczystości nadania imienia i – co gorsze... poświęcenia szkoły. Warto jednak było czekać 70 lat na Jana Pawła II wielkiego i świętego. A król Jan III Sobieski się na nas nie pogniewa. Przy szkole stoi od wieków kapliczka (o której historii warto i trzeba znowu wspomnieć, a może postawić tam tablicę pamiątkową). Tam bowiem rosły wiekowe lipy Sobieskiego – króla, który bywał w Koszęcinie u swego krewniaka hrabiego Filipa von Rauthena, tam na rozległych błoniach koncentrowały się w 1683 roku zwycięskie wojska. Tam przed wojną i we wczesnych latach powojennych odbywały się apele i uroczystości szkolne. Może warto powrócić do tych tradycji?

Kalejdoskop kulturalny Katolickiego Centrum Kultury

W małym Koszęcinie dzieją się czasem wielkie sprawy, przekraczające znacznie gminne opłotki. Jednym z takich wydarzeń były niewątpliwie „Dni otwarte koszęcińskiego pałacu” organizowane 25 i 26 sierpnia br. Dzięki życzliwości dyrektora zespołu „Śląsk” – Adama Pastucha – przeszło 700 osób mogło bezpłatnie zwiedzić pałac i „oczyszczoną” z powojennej nietolerancji kaplicę pałacową, która – jestem tego pewien – powróci do dawnej

świątyni religijno-historycznej i architektonicznej. Pałac zwiedzili nie tylko koszęcinianie, ale także mieszkańcy polskich miast i zagraniczni goście. O wejście do pałacu upominają się mieszkańcy miejscowości gminy Koszęcin. To cieszy. Organizujemy następne „dni pałacu”.

Do udanych imprez kulturalno-turystycznych trzeba zaliczyć organizowane przez Katolickie Centrum Kultury wycieczki pn. „Rowerem po rodzinnej ziemi”, mające na celu poznanie walorów kulturowych naszej gminy. Dotychczas odbyły się dwie takie wycieczki: do Cieszowej i do Bruśka. W pierwszej uczestniczyło ponad 120 osób, w drugiej ponad 90 turystów. W Bruśku zorganizowano także konkurencje rowerowe dla dzieci i młodzieży. Zwycięzcy otrzymali symboliczne nagrody.

W dniu 30 sierpnia br. koszęcińskie relikty kultury zwiedziło 108 wyższych oficerów Wojska Polskiego od kapitanów wzwyż – wykładowców i słuchaczy Akademii Obrony Narodowej z Warszawy. Byli zachwyceni historią naszej ziemi i naszymi zabytkami. Piszący te słowa (który miał przyjemność oprowadzać gości) był mile rozczarowany humanizmem wyższej kadry oficerskiej, a także ich religijnością. Każdy pułkownik, major czy kapitan, wchodząc do kościoła Trójcy Świętej uczynił wyraźny znak krzyża i przyklęknął. Armia zmieniała się!

Nasze kościoły i pałac zwiedzili także przebywający w Koszęcinie na zaproszenie władz gminy uczestnicy ogólnopolskiego karawaningu samochodowego, członkowie PZM biorący udział w rajdzie starych samochodów i pięćdziesięcioosobowa grupa niemieckich turystów z okolic Altötting w Bawarii, miejsca niemieckiego kultu maryjnego.

Pragnę serdecznie podziękować panu Stefanowi Szygule za piękne słowa zamieszczone na łamach naszej „Gazety parafialnej”, dotyczące kaplicy pałacowej i pana Ulfika – abstynenta. To cieszy, że artykuły o naszej przeszłości „są czytane a nawet dyskutowane w szerszym gronie”. O to właśnie chodzi. Przy okazji dziękuję serdecznie tym wszystkim, którzy osobiście, listownie i telefonicznie wyrażają zadowolenie i radość z działalności Katolickiego Centrum Kultury w Koszęcinie.

Kamerun... w Koszęcinie

Kamerun leży nad Zatoką Gwinejską, w samym sercu Afryki. Zamieszkały przez 10 milionów mieszkańców, podzielony na 7 prowincji jest krajem, który dopiero w 1960 roku wybił się ku niepodległości. Wcześniej, bo już w VIII wieku znajdowały się tu państewka plemienne zamieszkałe przez ludy Fulbe, Bamun, Bali i inne, które przetrwały tu do dnia dzisiejszego. W XVI stuleciu następuje penetracja tych terenów przez Europejczyków, a w XIX wieku kraj ten podbity jest przez Niemców. Później, już z początkiem XX wieku Kamerunem dzielili się Anglia i Francja, przy czym ta ostatnia ma do dziś silne związki z tym państwem. Ludność w przeważającej większości bardzo biedna – uprawia kawę, bawełnę, orzeszki ziemne, kaczuk, ryż, kukurydzę, sorgo i inne rośliny oraz zajmuje się hodowlą bydła, owiec i kóz.

W najbliższą niedzielę koszęcinianie będą mieli wspaniałą okazję poznać ten ciekawy kraj, jego kulturę, obyczaje i wierzenia. Wszystko to za przyczyną Sióstr Służebniczek NMP, z których wiele pracuje tam w placówkach misyjnych. Siostry, szczególnie matka generalna M. Zofia Fryc – od dawna były „nagabywane” o przyjazd do Koszęcina, o podzielenie się z nami zakonnym życiem, swoją działalnością i misją wśród „czarnych jak smoła”, ale „dobrych jak chleb” afrykańskich braci. Siostry będą się z nami spotykały podczas mszy świętych, ale także na tradycyjnym spotkaniu „Po nieszpórach” w Katolickim Centrum Kultury. Przywiezione przez misjonarki z Czarnej Afryki – bardzo zróżnicowane pod wieloma względami – pamiątki będą wyeksponowane na specjalnej wystawie pt. *Kamerun w Koszęcinie*. Dzięki uprzejmości sióstr mogłem już trochę wcześniej poznać ich trudną pracę w Afryce, mogłem przeczytać obszerną relację z wizytacji wszystkich placówek misyjnych w Kamerunie, a także obejrzeć piękne zdjęcia przedstawiające ludzi i przyrodę tego miejsca. Siostry prowadzą placówki misyjne m.in. w Mandama, Gorom, Tcholliré i w Kong-Rong położonym w głębokim buszu. Zajmują się życiem religijnym i szeroko pojętą działalnością służebną. Prowadzą szkoły i internaty, przedszkola i inne placówki oświatowe. Uczą zajęć praktycznych i leczą chorych. Szczególną troską otaczają dzieci, z których wiele bez pomocy sióstr byłaby skazana na zagładę. Oglądającego zdjęcia urzeka uroda Kameruńczyków, szczególnie urocze są właśnie dzieci widoczne prawie na każdym fotosie. Zdjęcia pokazują także ubogie lepianki, w których mieszkają podopieczni sióstr, spotkania w kręgach, a także uroczystości religijne z... tysiącami wiernych.

Kronikę z Kamerunu – spisaną przez matkę prowincjonalną M. Mariolę Marek – czyta się jak wspaniałą powieść fantastyczną. Trudno wprost uwierzyć w to wszystko, a zarazem ogarnia człowieka zachwyt i melancholia, zachwyt nad ludzkim dziełem dla Boga i ludzi, melancholia nad innością mieszkańców Kamerunu i przyrody, która ich otacza. Myślę, że w niedzielny dzień wszyscy – którzy na pewno licznie przyjdą na spotkanie z siostrami – doznają tych samych wrażeń i będą wdzięczni siostróm, podobnie jak piszący te słowa.

Przebaczamy i prosimy o przebaczenie

Kto choć trochę interesuje się historią, ten nie ma większych problemów z rozszyfrowaniem tych dat. Można by – w wielkim uproszczeniu – powiedzieć, że w 1517 powstał kościół protestancki, a w 1945 roku zakończyła się II wojna światowa. Ale ja – już w zasadniczym tekście tego artykułu – przytoczę jeszcze jedną datę – 1965 rok. Wtedy kończył się II Sobór Watykański, który przyniósł wielkie zmiany w Kościele katolickim. Wtedy to także episkopat Polski wręczył w Watykanie niemieckim biskupom orędzie o pojednaniu polsko-niemieckim. Tekst tego bardzo ważnego dokumentu, przypominającego dzieje historyczne obu narodów stał się ważny ze względu na jedno zdanie: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. To wielki gest, ale to także bardzo trudny gest, szczególnie w ówczesnym czasie. Z drugiej jednak strony chrześcijanie już od czasów Chrystusa powtarzają prawie codziennie w modlitwie *Ojcze nasz* po polsku: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, i po niemiecku: *Und vergib uns unsere Schuld, wie auch wir vergeben unsern Schuldigern*.

Szanowny czytelniku, daty wymienione u samej góry artykułu – co prawda jednoznaczne – pragnę wykorzystać w kontekście i w odniesieniu historycznym do Małej Ojczyzny. Mianowicie, pod datą 1517 pragnę przypomnieć – z okazji 500-lecia protestantyzmu – o koszęcińskich ewangelikach, zaś pod datą 1945 pragnę jeszcze raz wrócić do „Przędzalni”. Spójnikiem tych dat jest „orędzie” i słowa: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”.

Pomagać najsłabszym? **Narodowy Dzień Życia**

24 sierpnia 2004 roku Sejm RP przyjął uchwałę o ustanowieniu Narodowego Dnia Życia. W paragrafie pierwszym tej uchwały czytamy m.in.: „[...] Sejm Rzeczypospolitej Polskiej ogłasza dzień 24 marca Narodowym Dniem Życia. Dzień ten powinien stać się okazją do narodowej refleksji nad odpowiedzialnością władz państwowych, społeczeństwa i opinii publicznej za ochronę i budowanie szacunku dla życia ludzkiego, szczególnie ludzi najmniejszych, najsłabszych i zdanych na pomoc innych...”.

Z powyższych słów wynika jednoznacznie, że generalnym celem tego Dnia jest ochrona i obrona ludzkiego życia od chwili poczęcia do naturalnej śmierci. Ale przecież nie tylko w Polsce przypomina się o piątym przykazaniu.

Tegoroczny Dzień Życia jest poświęcony wielodzietnej rodzinie. W Internecie znajduje się dużo materiału na ten temat. Są też dwie piękne piosenki: *Dom pełen skarbów* i *Nie zmarnuj życia*. Kilka dni temu przeczytałem w niemieckiej gazecie – a było to w przeddzień naszego Dnia Życia – tekst piosenki zatytułowanej „Mama!”. Zdziwił mnie cudzysłów, w którym autor tekstu i muzyki Erwin P. Hilbert zamknął tytuł swojego utworu. Po przeczytaniu tego poematu – zrozumiałem autora. W piosence – nienarodzone dziecko opowiada „mamie” o swoim losie. W największym skrócie – który nie jest tłumaczeniem tekstu na język polski – wygląda to tak:

*Niestety, ja się nigdy nie narodziłem i grobu także nie posiadam.
Moją matkę straciłem za wcześnie i nie mogła zobaczyć mojej twarzy.
Nie zetknąłem się ze świeżą wodą, nie doświadczyłem głodu i poniewierki.
Chciałbym chociaż raz pobiegać po zielonej, pachnącej rosą trawie
I zobaczyć ptaka co zanosi się tkliwym śpiewem.
Zdruzgotano mnie w łonie matki.*

*Słyszałem bicie twego serca, byłem tak blisko Ciebie
Twoja krew krążyła w moich żyłach
Rośłem i byliśmy zgraną parą
Byliśmy jedno. Wkrótce miał zdarzyć się cud.
Wtedy zjawiała się czarna dłoń. Jeszcze dziś czuję nasz strach.
Nie mogłem się obronić. Moje życie „przeszyła” śmierć.
Opuściłem twoje łono martwy.*

...

*Za nasze winy cierniem ukoronowanego.
Zostałem zapakowany w czarny worek.
Dym z mojego ciała wzniósł się – przez komin kliniki – w niebo.
Miliony nienarodzonych podążają tą samą drogą.
Moja dusza jest w raju. Tu jestem w dobrych rękach.
Mamo, ja ci już dawno przebaczyłem. Czekam tu na ciebie.
Jestem już w szczęśliwej wieczności. Nie martw się.
A może idź do księdza i powiedz wszystko otwarcie.
I ufaj naszemu Wielkiemu Bratu, u którego jestem od dnia mojej zagłady.
On – którego serce też przebito – przebacza winy, bo kocha ludzi.
Mam tu dużo przyjaciół, miliony dzieci nienarodzonych, którym powiodło się
tak samo.
Nie jestem tu sam – mamo. Jest tu tak wielu, którym powiodło się podobnie.
Niechciani i odrzuceni, którzy „przeskoczyli” całe swe życie
I dotarli w dobre ręce.
Nic się nie skończyło. Wszystko trwa w nowej krainie za horyzontem.*

PS Przedstawiłem skrótowo i „białą” prozę – może trochę nieudolnie – fragmenty „mocnego” wierszowanego tekstu niemieckiego autora. Słowa – paradoksalnie – mówią też o życiu, o „życiu” nienarodzonych dzieci.

Powiatowy Uniwersytet rozpoczął pracę!

Uniwersytet to według najkrótszej definicji „najstarszy typ wyższej uczelni”, który miał swój początek w XII wieku we Włoszech. Słowo „uniwersytet” wywodzi się od łacińskiego *universalis* – powszechny, czy też od *universitas* albo *universum* – co oznacza wszechświat, całość, wszystko. Uniwersytety, to w dzisiejszym świecie edukacji i nauki najzacniejsze „Alma Mater”, ale przyjęły się też „uniwersytety powszechne”, „uniwersytety trzeciego wieku”, a w minionej niechlubnej rzeczywistości wymyślono również – dla aktywu partyjnego – „uniwersytet marksizmu-leninizmu”. Ale ten ostatni typ, to czysta ironia.

Dnia 26 listopada 2005 roku rozpoczął swoją działalność powołany przez Katolickie Centrum Kultury w Koszęcinie – chyba pierwszy w Polsce – Powiatowy Uniwersytet Parafialny, którego celem jest wprowadzenie nowej formy edukacji, skierowanej dla różnych grup społecznych z terenu powiatu lublinieckiego.

Wykład inauguracyjny wygłosił w historycznej sali kominkowej koszęcińskiego pałacu wybitny polski naukowiec prof. dr hab. n. med. Mieczysław Chorąży, który w słotny, zimowy dzień przyjechał wraz ze swą małżonką na kilka godzin do Koszęcina. 70 zebranych osób z zapartym tchem wysłuchało wykładu pt. „Czy genetycznie modyfikowane rośliny i żywność są zagrożeniem dla człowieka?”. Wykład był „upogładowiony” ciekawymi materiałami graficznymi, które pomogły lepiej zrozumieć, co oznacza dla człowieka, ludzkości i świata „modyfikacja”.

Na spotkaniu – wśród mieszkańców powiatu i Koszęcina obecni byli m.in.: ks. prałat Tadeusz Fryc, państwo dr Lidia Ciba i jej mąż prof. dr hab. Jerzy Ciba, pani Zofia Dytko – prezeska Śląskiej Fundacji Kultury i członkini Rady Programowej zespołu „Śląsk” oraz sekretarz powiatu lublinieckiego pan Tadeusz Konina.

Zebrani goście oprócz spotkania z prof. Mieczysławem Chorążym, zwiedzili pałac, muzeum zespołu „Śląsk”, piękną wystawę rzeźby Pawła Muchy i zabytkowy kościół pałacowy. W jednej z sal, organizatorzy „zafundowali” zebranym przy „szwedzkim stole” dobrą kawę i ciastka. Było to zdaniem uczestników i organizatorów piękne, kulturalne i edukacyjne spędzenie wolnego czasu.

PS Organizatorzy pragną gorąco podziękować panu prof. Mieczysławowi Chorążemu za życzliwość dla mieszkańców ziemi lublinieckiej, za bezinteresowność i bardzo ciekawe spotkanie oraz za piękną książkę – autobiografię profesora – podarowaną przez autora Janowi Myrcikowi. Książka *Z Janówki w świat* – w której profesor opisuje swoje oddane człowiekowi życie – będzie dostępna w bibliotece Katolickiego Centrum Kultury.

Prof. dr hab. n. med. Mieczysław Chorąży

- członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk;
- członek prezydium PAN;
- członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności;
- członek Polskiego Komitetu UNESCO;
- członek wielu polskich i zagranicznych organizacji naukowych;
- absolwent Akademii Medycznej w Warszawie;
- laureat wielu nagród i wyróżnień naukowych oraz odznaczeń państwowych;
- pracę naukową rozpoczął w Instytucie Gruźlicy w Warszawie;
- 33 lata kierował Zakładem Biologii Nowotworów Instytutu Onkologii w Gliwicach;

- zorganizował w Gliwicach pracownię biochemiczną, izotopową i hodowli tkanek;
- długoletni wykładowca biologii molekularnej Uniwersytetu Śląskiego;
- wielokrotny stypendysta Fundacji Rockefellera w Stanach Zjednoczonych;
- współorganizator i uczestnik kilkudziesięciu krajowych i zagranicznych kongresów i sympozjów naukowych;
- autor ponad 100 oryginalnych publikacji naukowych;
- współautor podręcznika PWN *Wstęp do biologii nowotworów*;
- promotor kilkunastu prac doktorskich i opiekun kilku habilitacji.

Profesor interesuje się szeroko pojętą kulturą – malarstwem, muzyką, fotografią, szkicowaniem tuszem i rysunkiem. W Koszęcinie będzie jednak mówił głównie o zdrowiu. Temat jego wykładu – który wybrał na inaugurację Powiatowego Uniwersytetu Parafialnego – brzmi: „Czy genetycznie modyfikowane rośliny i żywność są zagrożeniem dla człowieka?”.

Serdecznie zapraszamy na to interesujące spotkanie, które jest wielkim wyróżnieniem dla mieszkańców powiatu lublinieckiego i Koszęcina.

Powiatowy Uniwersytet Parafialny – wykład dra Jerzego Burzyka pt.

Spitsbergen – połączenie uroku trzech żywiołów: gór, morza i lodu

Kolejne, trzecie już spotkanie z naukowcem w ramach działającego od kilku miesięcy Powiatowego Uniwersytetu Parafialnego odbyło się 22 marca 2006 roku w auli Z.S. im A. Mickiewicza w Lublińcu. Około 200 uczniów z lublinieckich szkół średnich ze swymi nauczycielami wysłuchało ciekawego wykładu dra Jerzego Burzyka – naukowca, nauczyciela akademickiego i podróżnika, zafascynowanego jednym z najpiękniejszych zakątków naszej planety – Spitsbergenem. Doktor Burzyk – oprócz pracy dydaktycznej i naukowej na Uniwersytecie Śląskim – brał udział w kilku wyprawach naukowych, organizowanych przez Zakład Badań Polarnych Instytutu Geofizyki Polskiej Akademii Nauk. Zdobytymi tam doświadczeniami i plonem naukowych odkryć dzielił się ze słuchaczami przez prawie dwie godziny.

Spotkanie z doktorem Burzykiem było dla młodych słuchaczy niesamowicie interesujące. Wykład był bowiem bardzo ciekawym opisem geografii, historii i przyrody archipelagu. Ale poprzez dynamiczną formę przekazu wiedzy przez autentycznego świadka, popartą techniką wizualną wzbogacającą

słowo, stał się bardziej autentyczny. Pan doktor opowiadał nie tylko o swoich obowiązkach naukowca podczas wypraw, nie tylko o przyrodzie dalekiej północy i jej zjawiskach, ale także o przygodach, które spotkały go w krainie wiecznych lodów. Mówił także – z wielkim przekonaniem – o szacunku do przyrody, o tragicznych skutkach jej zanieczyszczania i konieczności jej ochrony. Badania dowodzą bowiem niezbicie, że negatywne skutki zanieczyszczania atmosfery z dala od Spitsbergenu np. w Ameryce i w Europie docierają aż na archipelag, zagrażając pośrednio człowiekowi i jego środowisku.

Wykład doktora Burzyka był trzecim – wygłoszonym „po kolei” – wielkim apelem naukowców o konieczności ochrony przyrody i środowiska, w którym człowiek współczesny żyje i w którym powinny żyć następne pokolenia. Wcześniejsze dwa wykłady tej swoistej „trylogii” wygłosili w naszym Powiatowym Uniwersytecie Parafialnym prof. Mieczysław Chorąży („Czy genetycznie modyfikowane rośliny i żywność są zagrożeniem dla człowieka?”) i prof. Jerzy Ciba („Ochrona środowiska – idea, kaprys czy potrzeba?”).

Panu doktorowi Jerzemu Burzykowi serdecznie dziękujemy za bardzo ciekawy i wygłoszony bezinteresownie referat.

Jerzy Burzyk ukończył w roku 1961 studia chemiczne na Uniwersytecie Śląskim. Po studiach rozpoczął pracę naukowo-badawczą w zakresie chemii fizycznej, której efektem była rozprawa doktorska przedstawiona w 1971 roku Radzie Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Śląskiego. Od września tegoż roku pracował w Instytucie Chemii UŚ na stanowisku adiunkta. Doktor Burzyk jest autorem 22 prac naukowych z zakresu chemii ciała stałego i katalizy chemicznej. Z początkiem lat 90. ubiegłego wieku nawiązał współpracę z Instytutem Geografii PAN w Warszawie. W ramach tej współpracy uczestniczył w latach 1993–1994 w całorocznej wyprawie polarnej. Następnie w latach 2000 i 2001 brał udział w kilkumiesięcznych wyprawach letnich (czerwiec – październik). Celem tych wypraw były badania geofizyczne na Spitsbergenie, a ich wyniki publikowano na Sympozjach Polarnych i w specjalistycznych czasopismach.

Następne wykłady pragniemy poświęcić filozofii i teologii z wielkim akcentem bliskich nam Sług Bożych: papieża Jana Pawła II i biskupa Wilhelma Pluty. Później zajmiemy się historią ziemi śląskiej, ochroną zabytków i wielkimi twórcami sztuki.

27 lutego 2006 roku odbył się kolejny wykład profesorski w ramach powołanego pod koniec ubiegłego roku Powiatowego Uniwersytetu Parafialnego. Przypomnijmy, że działalność tej społecznej placówki zainaugurował w grudniu ubiegłego roku sławny polski uczony prof. dr hab. n. med. Mieczysław Choraży, wykładem wygłoszonym w pałacu koszęcińskim pt. „Czy genetycznie modyfikowane rośliny i żywność są zagrożeniem dla człowieka?”. Wykład prof. Ciby – naukowca pracującego od kilku dziesięcioleci na Politechnice Śląskiej w Gliwicach – dotyczył środowiska, w którym żyje człowiek i konieczności jego ochrony. Spotkanie odbyło się w Z.S. im. A. Mickiewicza w Lublińcu przy udziale ponad 200 uczestników – nauczycieli szkół średnich i uczniów klas maturalnych. Zaszczycił je także swoją obecnością starosta lubliniecki Joachim Smyła. Ciekawy, na akademickim poziomie wygłoszony wykład składał się z kilku tez. Osobom związanym ze środowiskiem i ekologią, pragniemy w skrócie przedstawić główne cele referatu:

- działalność człowieka w środowisku – wyginięcie niektórych zwierząt i roślin, osuszanie terenów, korzystanie z kopalń, działalność przemysłowa;
- człowiek kształtuje środowisko – ogrody, parki, lasy, zbiorniki wodne, ochrona nabrzeży morskich i rzek;
- człowiek chroni środowisko, aby służyło następnym pokoleniom – ustawy, umowy, recykling;
- oddziaływanie na środowisko sił przyrody – trzęsienia ziemi, gwałtowne opady i burze, tajfuny, huragany, wielkie pożary lasów, systematyczna erozja gór i gleb (są także pozytywne skutki tych zjawisk – np. oczyszczanie rzek);
- skutki wojen – niszczenie budowli, dróg i mostów, bezwzględne wykorzystanie środowiska – zasobów naturalnych i leśnych, tworzenie zapór i bunkrów, produkcja materiałów wybuchowych, zanieczyszczanie poprzez zatrucie wód, gleb, powietrza, wybuchy jądrowe, wykorzystanie termitu, wykorzystanie broni biologicznej i chemicznej, powstanie terenów pustynnych;
- Program Środowiskowy ONZ – jednym z celów tej organizacji jest ochrona środowiska. W jej ramach działa m.in.: Światowa Fundacja Przyrody, Światowa Komisja ds. Środowiska i Rozwoju, Międzynarodowa Organizacja Standaryzacyjna (ISO), Raport Gro Harlem Brudtland (*Nasza Wspólna Przyszłość*);

- cele polityki ekologicznej – utrzymać najważniejsze procesy ekologiczne i systemy zapewniające życie, zachować różnorodność genetyczną, zachować trwałość gatunków i ekosystemów;
- promowanie rozwoju, w którym respektuje się obowiązek utrzymania i ochrony bazy źródeł naturalnych i poprawy jej stanu tam, gdzie nastąpiło zniszczenie lub zachwianie. Promowanie systemu administracyjnego, który zabezpieczy uczestnictwo mieszkańców w podejmowaniu decyzji. Promowanie decyzji z uwzględnieniem zagadnień ekonomicznych i dotyczących środowiska. Promowanie sprawiedliwego dostępu do jakości życia i środowiska dla wszystkich grup społecznych.

Z wykładu warto zapamiętać:

- ludzie wytworzyli około sześć milionów związków chemicznych;
- na skalę przemysłową produkuje się i stosuje od 60 tys. do 100 tys. substancji chemicznych;
- przy wytworzeniu każdego produktu otrzymuje się od kilku do kilkudziesięciu związków odpadowych – gazowych, ciekłych i stałych;
- najgroźniejsze odpady to: metale ciężkie, wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne (wwa) i związki polichloroorganiczne (np. dioksyny);

Zagrożenia dla powiatu lublinieckiego to: zanieczyszczanie powietrza z gospodarstw domowych, zanieczyszczanie rzek, kwaśne deszcze (zagrożenie dla lasów stanowiących 50% powierzchni powiatu) i... przemieszczanie się podziemnym zbiornikiem wodnym ogromnych ilości substancji trujących „idących” od Tarnowskich Gór (odpady po b. Czarnej Hucie) w kierunku Lublińca, co stwarza możliwość zatrucia wód czerpanych ze studni głębinowych.

Po wykładzie organizatorzy podziękowali gorąco panu prof. Cibie za wspaniały wykład, a liczny uczestnikom za obecność i wielkie zainteresowanie.

Prof. dr hab. Jerzy Ciba

- kierownik Katedry Chemii i Technologii Nieorganicznej Politechniki Śląskiej;
- członek Komisji Analiz Surowców Mineralnych PAN;
- członek Komisji Dydaktyki Chemii Analitycznej PAN;
- członek Komisji Analityki Metali PAN;
- członek Rady Oceny Środowiska przy Wojewodzie Śląskim (1998–2002);
- współorganizator konferencji „Chemia w służbie ekologii”;
- organizator Studiów Podyplomowych z zakresu Zarządzania Jakością wg Międzynarodowych Norm;

- autor i współautor ponad 90 publikacji naukowych oraz 21 podręczników dla studentów;
- autor i współautor dwóch tomów: *Poradnika chemika analityka*, *Małej encyklopedii pierwiastków* i książki *Prawie wszystko o pierwiastkach*;
- autor 14 patentów i dziesiątek ekspertyz.

W latach 1998–2002 Radny Sejmiku Śląskiego – przewodniczący Komisji Rolnictwa, a także członek Komisji Obszarów Wiejskich Rady Europy w Strasburgu. Profesor Ciba pełnił i pełni wiele funkcji społecznych i naukowych w różnych komisjach i organach. Zajmuje się kilkoma kierunkami badań naukowych.

Z czym do Europy?

Europejski Rok Niepełnosprawnych

Wielki znawca problematyki niepełnosprawnych – Henri Viskarolie powiedział: „Prawda jest taka prosta – kochać i być kochanym, niczym nie różnić się od reszty świata, mieć zwyczajny los mimo, że nie jest się zwyczajnym...”

Na temat ludzi inaczej sprawnych pisałem już wielokrotnie. Od wielu lat interesuję się ich „światem” zamkniętym najczęściej w czterech ścianach domu. Mój pierwszy, bliższy kontakt z nimi miał miejsce chyba przed ćwierć wiekiem. Wieczorową porą przyjechała wówczas do koszęcińskiego pałacu niezapowiedziana wycieczka. Zadzwoiła do mnie pewna pani z prośbą o oprowadzenie. Byłem zajęty. Nieznany głos odpowiedział krótko: „Jeśli pan nie ma czasu, to niech pan przyjdzie nas chociaż zobaczyć”. Poszedłem. Przywitałem się z panią prezes Koła Niepełnosprawnych z Bytomia, leżącą na długim wózku, niepełnosprawną motorycznie i niewidomą. Zobaczyłem na dziedzińcu pałacowym około 20 ludzi na wózkach i tyleż opiekunów – i zatkało mnie. Spędziłem z nimi wtedy kilka godzin. Poznałem „innych ludzi” i od tego czasu jestem z nimi. Przed laty oprowadzałem po Koszęcinie wycieczkę z DPS – niewidomych z Chorzowa. 40 ludzi z białymi laskami poznawało wszystko poprzez dotyk. Kiedy „obejrzeli” kościół Trójcy Świętej zaśpiewali „Ociemniałym podaj rękę...”. Wiedziałem, że te słowa odnoszą do Boga, ale ja czułem wtedy, że oni kierują je do mnie. Od tego czasu staram się „podawać” im nie tylko rękę, ale i serce. I jeszcze jedno spotkanie. W pewien zimowy, sobotni wieczór, krótko przed Wigilią 1998 roku, w kierunku mojego domu zbliżała się – trzymająca się pod rękę – dwójka mężczyzn.

Jednym z nich był młody lekarz, drugim – około 30-letni wówczas – pan Krzysiu z Lublińca, niepełnosprawny od urodzenia. Przyszli do „radnego powiatu”, aby mi powiedzieć, że mają do mnie zaufanie i prosili, abym wspierał ich działania. Od tego dnia jestem z nimi, z niepełnosprawnymi naszej Małej Lublinieckiej Ojczyzny.

Ludzi niepełnosprawnych jest w naszych mniejszych i większych środowiskach wielu. Są w twojej i mojej miejscowości, w naszym powiecie, województwie, w Polsce, Europie i na całym świecie. O ich życiu, o trudnych problemach codziennego bytowania informują nas środki masowej komunikacji, rodziny, w których oni żyją i samo ich „nie sielskie i nie anielskie” życie. Niby znamy ich, niby wiemy, że są naszymi sąsiadami, a jednak dzieli nas dystans niezrozumienia i – co gorsze – nietolerancji, głównie z naszej winy.

Świat tak zwanych ludzi „normalnych” stara się poprzez różne akcje dawać świadectwo zrozumienia dla niepełnosprawnych. Ale wtajemniczeni w problem wiedzą, że to często tylko pozory. Więcej jest „cofania się”, odbierania niepełnosprawnym przyznanych im wcześniej tzw. przywilejów, niżeli dawania. Tak jest niestety w naszym kraju. Dotyczy to m.in. edukacji poprzez integrację, zatrudniania niepełnosprawnych, przyznawania rent, likwidacji tzw. barier, pomocy rodzinom opiekującym się niepełnosprawnymi itd., itp.

Dobrze się stało, że rok 2003 został ogłoszony Europejskim Rokiem Niepełnosprawnych. Może społeczeństwo dowie się więcej o ludziach inaczej sprawnych, może także władza „od góry do dołu” będzie bardziej ludzka i mniej skąpa. Ale samo ogłoszenie Roku jeszcze niczego nie zmienia. Trzeba ogłosić rok i lata ludzkiej życzliwości, może niekoniecznie o europejskim zasięgu, ale tu, w zasięgu ręki, po sąsiedzku, w naszych miastach, gminach i powiecie, tu gdzie jest najbliżej, gdzie ty ich znasz i gdzie oni ciebie znają. Europejski porządek przyjdzie wraz z naszym wejściem do Europy. Tam, na zachodzie jest ten problem trochę inaczej poukładany. Inaczej, to znaczy korzystniej dla niepełnosprawnych.

Na drodze do Europy musimy się oswoić z pojęciem tolerancja, z łacińskiego *tolerare* albo *toleratia*, co oznacza „cierpliwa wytrzymałość”, także wyrozumiałość, uznawanie inności ludzi i kultur.

Myślę, że w „Na Marginesie” będę mógł głośno myśleć z czym do Europy wybiera się ziemia lubliniecka, co my – oprócz biedy i narzekań, a często braku tolerancji – wniesiemy do europejskiej Ojczyzny Ojczyzn?

Codziennie ocieramy się o ludzi niepełnosprawnych, widzimy ich jak z wielką trudnością poruszają się po naszych ulicach, spotykamy ich przykutych do wózków inwalidzkich. Czasem totalnie bezradni i zagubieni, żebrzą

na kolanach o przysłowiowy grosik. To zewnętrzny, widzialny świat tego problemu. Reszta ludzkich dramatów rozgrywa się w zaciszu rodzinnym, gdzie nie ma świadków z zewnątrz, gdzie tylko umęczeni rodzice i najbliższa rodzina wiedzą czym jest ludzka nędza, ale wiedzą oni także poprzez swoje doświadczenia, czym jest bezgraniczna miłość. Na ziemi lublinieckiej żyje wielu niepełnosprawnych, jest na tej ziemi również spora ilość ludzi i organizacji pomagających im. Starostwo prowadzi kilka szkół i ośrodków dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnej, domy opieki i domy dziecka. Od czterech lat organizowany jest corocznie Powiatowy Sejmik Kulturalny dla Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej. Raz w roku dla niepełnosprawnych dzieci i ich rodziców organizowane są z inicjatywy Jana Myrcika, władz powiatowych i piosła Edwarda Maniury – wycieczki krajoznawcze. Wielu niepełnosprawnych korzysta z turnusów rehabilitacyjnych i z innej opieki medycznej i rehabilitacyjnej.

Ale potrzeby są wielkie i trzeba wiele pełnych miłości i mądrości serc, aby sprostać rosnącym potrzebom. Każda dziedzina życia społecznego jest ważna, ale najważniejszym jest i powinien być człowiek, szczególnie ten niepełnosprawny fizycznie czy psychicznie. Ale również ten człowiek, który popadł w alkoholizm czy narkomanię. Każdemu z nich trzeba podać przyjazną dłoń, każdemu z nich trzeba pomóc.

Coraz bliżej do wyborów samorządowych. Prawdopodobnie w październiku 2002 roku pójdziemy do urn. Zastanów się już dziś – drogi czytelniku – na kogo oddać głos. Pomyśl, czy twój kandydat jest człowiekiem kompetentnym i prawym, czy może oprócz fachowości i talentu posiada także serce dla ludzi. Jeśli tak jest, to możesz być spokojny o los gminy i powiatu.

Uczyć się kochać ludzi

Pięć dni w Lörrach

Lörrach to pięćdziesięciotysięczne powiatowe miasto położone w pięknych okolicach Schwarzwald. Powiat Lörrach – nazywany potocznie „wielkim powiatem” – powstał w 1975 roku z połączenia wielu gmin i kilku miast. Rozciąga się od górzystych terenów na północy do granicy ze Szwajcarią i Francją na południu. Zamieszkiwany jest przez 230 tys. ludzi, a połowa jego terytorium to piękne lasy, tworzące największy w Niemczech park narodowy. Od 28 czerwca do 2 lipca 2002 roku przebywała u swych niemieckich partnerów kilkusobowa grupa pracowników Domu Pomocy Społecznej „Dom

Kombatanta” z Lublińca. Przybyli tam na zaproszenie jednego z najdłużej działających w Niemczech Domu Pomocy – Markus-Pflüger-Heim, który obchodził jubileusz 125-lecia istnienia.

Pojechali tam, aby uczestniczyć w uroczystościach jubileuszowych, aby poznać przepiękne okolice zaprzyjaźnionego z naszym powiatem niemieckiego powiatu Lörrach, ale także, i to przede wszystkim po to, aby doskonalić swoją profesję, aby uczyć się kochać ludzi potrzebujących pomocy. Niemieccy partnerzy przygotowali napięty program. Już w dniu przyjazdu do Schopfheim – dwudziestotysięcznego miasteczka – odbyła się wieczorem główna uroczystość jubileuszowa z udziałem ministra ds. socjalnych Baden-Württembergii, starosty powiatu Lörrach, setek gości – i co podkreślano – delegacji z zaprzyjaźnionego Lublińca. Kulminacyjnym punktem tej uroczystości było odsłonięcie pomnika ku czci zamordowanych 89 niepełnosprawnych pensjonariuszy przez hitlerowców w 1940 roku. Głównym jednak zajęciem delegacji Domu Kombatanta było poznawanie organizacji pracy wspaniale wyposażonego Domu Pomocy i bezpośredni udział poszczególnych uczestników – zgodny z wykonywaną funkcją – w pracach Domu. Główna księgowa Grażyna Górską poznawała bezpośrednio administrowanie ośrodkiem, księgowość i sferą ekonomiczną, kucharka pracowała we wspaniale wyposażonej kuchni, pielęgniarki „zatrudnili się” na oddziałach chorych – dodajmy – ciężko fizycznie i psychicznie upośledzonych pensjonariuszy. Niejako „po pracy”, organizatorzy zorganizowali kilkugodzinny wyjazd do graniczącej z powiatem Lörrach szwajcarskiej Bazylei, położonej nad Renem oraz wycieczkę „wokół Schwarzwaldu” i zwiedzenie – stanowiącego własność powiatu – bardzo starego zamku w górzystym Istein, gdzie uprawia się przedniej jakości winorośl. Polska delegacja została także przyjęta przez starostę Rübsamena, który w ciekawy sposób przedstawił swój powiat i jego proeuropejskie osiągnięcia.

I na zakończenie refleksja: Kilkuniodniowy pobyt u niemieckich przyjaciół był bardzo udany. Podziwu godna była życzliwość okazywana polskiej delegacji przez gospodarzy. Niezapomniane pozostaną urokliwe krajobrazy – utopione w dolinach miasteczka i wioski, dbałość o relikty przyrody i zabytkowej architektury, a także porządek i ład. Ale nade wszystko wielka troska o ludzi niepełnosprawnych. Zazdrościmy gospodarzom bazy i techniki (pokoje jedno i dwuosobowe, zaplecze socjalne i techniczne), ale w jednym byliśmy bez kompleksów – mamy jednakowe wielkie serca dla ludzi potrzebujących naszej opieki – a to jest – i pozostanie zawsze – najważniejsze.

Po koncercie rodzinnym „Śląska”

Taki sam, a jednak inny

W piątek 3 marca 2000 roku, w sali balowej koszęcińskiego pałacu odbył się występ artystów Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny nazwany koncertem rodzinnym. Dyrektor zespołu – pan Adam Pastuch – witając zebranych powiedział, że koncerty te (a więc będą następne?) mają zintegrować artystów z widownią, mają wykreować rodzinną atmosferę. I tak było.

Zespół „Śląsk”, który od prawie pół wieku rezyduje w koszęcińskim pałacu, znany jest głównie z uprawiania profesjonalnej kultury ludowej. To właśnie „Śląsk” pod kierownictwem jego założyciela i długoletniego dyrektora prof. Stanisława Hadyny, podniósł śląską – i nie tylko śląską – kulturę ludową do rangi kultury narodowej. I mogłoby się zdawać, że artyści tego zasłużonego zespołu zostali niejako „zaszufladkowani” w tej pięknej dziedzinie sztuki. Ale w piątek zobaczyliśmy innych, choć tych samych artystów, inny, chociaż ten sam „Śląsk”. Z estrady powiało klasyką. Grano i śpiewano najpiękniejsze utwory Chopina, Mozarta, Czajkowskiego, Verdiego, Jana Straussa i Gounoda, zaś tańcem wprowadzono widownię w zaczarowany świat baśni. Myślę, że mury koszęcińskiego pałacu „przypomniały” sobie bogatą przeszłość muzyczną. Tutaj bowiem, już w XVIII wieku, działał przez prawie 70 lat teatr pałacowy założony przez hrabiego Sobka (koszęcinianina z urodzenia), tutaj w „białej sali”², odbywały się przed laty koncerty nazywane *Musikalische Feierstunden*³. Ostatni koncert z tego cyklu odbył się 25 grudnia 1944 roku, a więc na dwa tygodnie przed wkroczeniem do Koszęcina czerwo-noarmistów. Śpiewano wtedy Wagnera, Pucciniego, Schumanna, Brahmsa i Haydna. Wśród wykonawców była zapomniana już dziś artystka operetkowa, koszęcinianka Czesława Grzesik.

Ale wróćmy do piątkowego koncertu. Wymieńmy tych, którzy swym talentem i dojrzałym artyzmem pozwolili nam przez godzinę przebywać w innym świecie. Autorami koncertu byli pedagodzy i artyści „Śląska”, a na estradzie zaprezentowali się: śpiew – Ewa Błaszczyk, Katarzyna Gojny, Dorota Sitek, Ewa Żurawiecka, Renata Urbanik, Piotr Szolka, taniec – Aleksandra Jasińska i Mario Maślaniec oraz wspaniały dwunastoletni pianista, uczeń lublinieckiej szkoły muzycznej Jakub Staniak. Akompaniament – Barbara

2 „Biała sala” – dzisiejsza stołówka.

3 *Musikalische Feierstunden* – muzyczne świąteczne godziny.

Drozd (pedagog zespołu) – fortepian i Brunon Czaja (koncertmistrz zespołu) – skrzypce. Całość prowadził niezastąpiony w tym fachu Piotr Hankus.

Warto jeszcze wspomnieć, że koncert był darmowy, nikt nie wspomniał o biletach i honorariach. Były podziękowania i serdeczności. Piękne słowa wygłosiła prezeska Śląskiej Fundacji Kultury, skądinąd znana i ceniona dyrektorka poważnej instytucji kultury – Zofia Dytko, moja koleżanka z czasów studiów, która dobrze zna „Śląsk”, a „Śląsk” zna ją. Były kwiaty i serdeczności, była owacja na stojąco.

Ale nie zaszkodzi jeszcze jedno dziękuję wypowiedziane publicznie na łamach naszej gazety. Dziękujemy dyrekcji, pedagogom i artystom za to godzinne spotkanie z Melpomeną i nie tylko z tą muzą.

Po lekturze *Od Wallenroda do Kordiana* J. Musioła

Wielcy ludzie z małego Wierzbia

Wierzbie, to mała, licząca niespełna 400 mieszkańców miejscowość w gminie Koszęcin.

Wieś wzmiankowano już w XV wieku jako *Viribe*. Na przestrzeni wieków władali tą osadą różni panowie, choćby wymienić Henryka Wierbskiego panującego tu w połowie XVII wieku, rodzinę Gerlach, sędziego Adamca, kapitana Timowa, rodziny Grittnerów, Bergów i Methnerów. Od wieków stoi w tej miejscowości piękny pałac, który w ostatniej chwili uratowano od grożącej mu ruiny. Wspaniale odremontowany świadczy o przeszłości tej ziemi i jest jej wizytówką. Pod koniec grudnia ubiegłego roku ukazała się na półkach księgarskich licząca ponad 600 stron publikacja znanego śląskiego literata od lat mieszkającego w Warszawie – dra Józefa Musioła – pt. *Od Wallenroda do Kordiana. Dramatyczne Ślązaków wybory*. Byłem chyba jednym z pierwszych czytelników tej interesującej – mówiącej o wielkich Ślązakach – publikacji, bowiem 16 grudnia 2000 roku sam autor zapukał do moich drzwi, aby wręczyć mi opatrzony piękną dedykacją jeszcze „ciepły” egzemplarz.

W jednym z rozdziałów Musioł wspomina bohaterskie losy braci Ranoszków urodzonych z początkiem XX wieku w Wierzbii. Ojciec czwórki braci, Franciszek Ranoszek, pochodzący spod Pszczyny, był w latach od 1907 do 1922 roku kierownikiem miejscowej szkoły. Tutaj poznał swoją żonę, której rodzice byli przez pewien czas właścicielami pałacu. Majątek utracili jednak na skutek szalejącej po I wojnie światowej inflacji.

Latem ubiegłego roku, dzięki przyjacielskim kontaktom z panem Józefem Musiołem, miałem szczęście spotkać się z jednym z braci Ranoszków, panem Franciszkiem, mieszkającym od lat w Południowej Afryce. Wspólnie odwiedziliśmy szkołę w Wierzbju, w której w 1920 roku pan Franciszek się urodził. Późnym wieczorem zostaliśmy życzliwie przyjęci przez sadowskiego proboszcza, który udostępnił nam pisane gotykiem księgi metrykalne. Tam odnajdywaliśmy ważne wydarzenia dotyczące rodziny Ranoszków, która później rozślawiła w świecie naszą Małą Lubliniecką Ojczyznę.

Kim zatem byli urodzeni w Wierzbju Ranoszkowie, czym zasłużyli sobie na historyczną pamięć? Otóż, cała czwórka braci brała aktywny udział w kampanii wrześniowej, później zaś gnana losami wojennej tułaczki walczyła w szeregach alianckich na różnych frontach II wojny. Tragicznie zakończyło się młode życie Gintera Ranoszka, oficera-pilota. Pod koniec września 1939 roku pilotowany przez niego samolot został przez Sowieców strącony, a ранego bohatera wzięto do niewoli, gdzie podzielił los tysięcy oficerów straconych w Katyniu. Pozostała przy życiu trójka braci: por. Joachim, ppor. Franciszek i mjr pilot Karol Ranoszkowie walczyli w siłach zbrojnych na zachodzie. Los – nie tylko wojenny – każdego z braci to fantastyczna opowieść o wielkich Ślązakach XX wieku. Joachim – farmaceuta z zawodu, był oficerem wojskowej służby zdrowia, Franciszek pełnił służbę w wojskach radarowych, zaś najśłynniejszy z nich Karol – pułkownik-pilot wojsk angielskich i major wojska polskiego – był w czasie wojny lotnikiem. Pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji, zarówno w armii angielskiej, jak i w wojsku polskim na zachodzie. Był pilotem samolotów bojowych, dowódcą eskadr i dowódcą słynnego 307. Nocnego Dywizjonu Lotniczego.

Po wojnie cała trójka braci Ranoszków osiadła w Południowej Afryce. Tam pracowali w swojej fabryce tworzyw sztucznych. Z wielkich wojskowych, dzięki talentowi, doskonaleniu wiedzy i śląskiej pracowitości, stawali się wielkimi „cywilami”. Kilku braci odeszło już na wieczną wachnię. Wojenne pamiątki pułkownika Karola Ranoszka znalazły się w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Jest tam jego mundur, są najwyższe odznaczenia bojowe Anglii i Polski, w tym order *Virtuti Militari*.

Ostatni z żyjących braci, Franciszek – rówieśnik papieża Jana Pawła II – mieszka nadal w Południowej Afryce, często jednak przylatuje do Polski, do swych rodzinnych stron. W 2001 roku pragnie zorganizować w koszęcińskim pałacu zjazd rodzinny. Może spotkamy wtedy rozsianych po świecie Ranoszków, których zacny ród wywodzi się z Wierzbja?

Wesołych świąt Wielkanocy

Z tego względu, że dzisiejsza „Ziemia Lubliniecka” to numer poniekąd świąteczny, chciałbym czytelnikom przesłać „najserdeczniejsze życzenia świąteczne”.

W dzisiejszym czasie można to uczynić na wiele sposobów: przesłać po prostu kartę za pośrednictwem poczty, przesłać „kartę” drogą elektroniczną, faksem, telefonicznie, za pośrednictwem prasy, telewizji, radia itp.

Elektroniczne sposoby przesyłania informacji to stosunkowo młoda technika, licząca sobie zaledwie kilkanaście, no może kilkadziesiąt lat. Ale pocztówka, albo karta pocztowa zrodziła się też – tak na dobre – dopiero w pierwszych latach XX wieku. Właściwie to dokładnie nie wiadomo kiedy i kto ją wymyślił. Francuzi twierdzą, że to oni podczas wojny francusko-pruskiej (1870–1871) kazali żołnierzom pisać listy bez kopert, aby cenzura była łatwiejsza. Niemcy uważają, że wynalazł ją Heinrich von Stephan, który twierdził, że koperta jest zbędna. Austriacy, których poczta miała dostarczyć adresatowi pierwszą kartę (bez żadnych ilustracji) już w 1869 roku, uważają się za pierwszych, itd. Tak czy inaczej, karty-pocztówki ze znaczkiem i adresem po jednej stronie i ilustracją albo informacją po drugiej – weszły do obiegu pocztowego dopiero z początkiem XX wieku. Wcześniej życzenia urodzinowe, świąteczne, noworoczne itp. przesyłano na małych kartonikach (*kleine Bildkarte*), przeważnie o wymiarach $6 \times 9 \text{ cm}^4$ lub na jeszcze mniejszych drukach, podobnych do dzisiejszych wizytówek. Takie „karty” przesyłano najczęściej przez posłańca. Ciekawie przedstawia się ustalenie nazwy dla „karty pocztowej” w Polsce. Otóż, w 1900 roku ogłoszono konkurs na tę nazwę. Propozycje – niejako już finałowe – brzmiały: „liścik”, „listówka”, „otwartka”, „pisanka” i „pocztówka”. Tę ostatnią propozycję złożył Henryk Sienkiewicz i to jemu zawdzięczamy polską nazwę karty pocztowej.

Dzisiaj chciałbym państwu pokazać te najstarsze (tak mi się wydaje) „małe pocztówki”, które posiadam w swoich zbiorach. Pochodzą one z lat 1861–1889. Są kolorowe, bardzo ozdobne i trochę naiwne, przeważnie o wymiarach $6 \times 9 \text{ cm}$, z pięknymi – gotykiem pisanymi – życzeniami. Nie są to – co prawda – karty świąteczne, bo te zrodziły się dopiero kilkadziesiąt lat później, ale warto popatrzeć na te „cacka”.

4 Format $6 \times 9 \text{ cm}$ stosowano później do amatorskich fotografii.

Koszęciński ekumenizm

Słowo „ekumenizm” oznacza porozumienie i współpracę między Kościołami chrześcijańskimi. Praktyka ekumeniczna zapoczątkowana u schyłku XIX wieku zaczęła się upowszechniać w drugiej połowie XX wieku, zaś pontyfikat polskiego papieża nadaje tej bardzo pozytywnej i nieodzownej dla chrześcijan sprawie przyspieszenia. Należy żywić głęboką nadzieję, że wiek XXI zjednoczy chrześcijańskie Kościoły.

Pamiętamy z historii Europy, a szczególnie z historii Śląska, w tym także Koszęcina, straszne dla chrześcijan skutki wojny trzydziestoletniej. Żywo w naszej pamięci rysuje się długoletnia wojna religijna w Irlandii. Ale przecież w grudniu ubiegłego roku powołano w Irlandii protestancko-katolicką władzę. Także w ostatnim czasie Kościoły – katolicki i protestancki – znacznie zbliżyły się w dialogu wiary, co zdaniem znawców, rokuje pomyślność prac nad ich zjednoczeniem.

Koszęcin w swym rozwoju historycznym miał także problemy protestancko-katolickie. Pierwszy duży rozłam i nietolerancja religijna miały miejsce właśnie podczas wojny trzydziestoletniej, kiedy to ówczesny pan na Koszęcinie – Andrzej Kochcicki – przechodząc na luteranizm, odebrał katolikom wszystkie w okolicy kościoły, w tym także kościół Trójcy Świętej. Również druga połowa XX wieku, kiedy to władcą Koszęcina był pruski generał Fryderyk zu Hohenlohe, lokalna wspólnota katolicka musiała się przez dziesięciolecia procesować z protestanckim panem o należne jej prawa i o kościół pałacowy, który był jej własnością.

Od końca II wojny światowej w Koszęcinie nie mieszka chyba ani jeden protestant. Ostatnim stałym mieszkańcem naszej miejscowości luteranckiego wyznania, był książę Karol Gotfryd zu Hohenlohe, który w styczniu 1945 musiał udać się na obczyznę. To on wprowadził w Koszęcinie u samego początku XX wieku spokój i współpracę między katolikami a protestanckim pałacem. Dzięki temu dialogowi zbudowano w Koszęcinie wspaniały – dziś już zabytkowy – kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa. Przez cały wiek XX nie było w Koszęcinie najmniejszego „zgrzytu” między katolikami i protestantami.

Gwoli prawdy historycznej, trzeba powiedzieć, że jednak po wojnie, od 1953 roku do końca 1998 roku, mieszkał w Koszęcinie jeden protestant, również wielki i tolerancyjny jak ostatni książę. Wielki muzyką i dziełem, które stworzył nadając mu imię „Śląsk”, a tolerancyjny, chociażby twórczością

sakralną i koncertami w świątyniach różnych wyznań. Wydaje mi się, że chyba za wyjątkiem kilku osób nikt nie wiedział w Koszęcinie przez długie lata, że Hadyna był luteraninem. Od wielu lat istniała współpraca między proboszczem ks. Tadeuszem Frycem a dyrektorem zespołu „Śląsk”, przez wiele też lat w koszęcińskim katolickim kościele, pod kierownictwem i batutą protestanckiego twórcy, zespół „Śląsk” występował ze wspaniałą twórczością sakralną skomponowaną przez Hadynę i innych światowej sławy klasyków muzyki.

W święto Objawienia Pańskiego, albo mówiąc tradycyjnie w „Trzech Króli” 6 stycznia 2000 roku, proboszcz parafii NSPJ w Koszęcinie odprawił przy licznym udziale wiernych, w tym także zespołu „Śląsk” (który dał koncert pieśni i muzyki sakralnej), uroczystą sumę w intencji zmarłego rok temu Stanisława Hadyny. To chyba również wymowny i ekumeniczny znak prowadzący do jedności chrześcijan. Także wymownym tego znakiem było – tradycyjnie na Śląsku praktykowane – „ofiarowanie”. Za „luteranckiego” Hadynę poszli prawie wszyscy obecni w kościele „wokół ołtarza”. Szli ci, którzy z nim przez lata współpracowali, ci którzy profesora znali bliżej, ale także ci, którzy spotkali się z jego wielkością jedynie na koncertach w koszęcińskim kościele. To dobrze, że kościół jest miejscem wiary i tolerancji, bowiem ekumenizm wymaga ofiary i miłości, a patrząc na te sprawy prościej... to przecież wszyscy chrześcijanie wierzą w tego samego Boga. I to jest właśnie największy i jedyny, a zarazem jakże prosty drogowskaz do ekumenizmu, do zjednoczenia.

Koszęciński pałac – 27 marca 2000 roku

Wystąpienie Jana Myrcika na xv Sesji Rady Powiatu Lublinieckiego

Szanowni Państwo!

Z upoważnienia i na prośbę starosty lublinieckiego przygotowałem krótkie wystąpienie. Zanim jednak przystąpię do meritum sprawy, chciałbym – jako człowiek w pewnym sensie związany z kulturą od wielu lat – wyrazić słowa wdzięczności panu Edwardowi Maniurze – posłowi a zarazem przewodniczącemu Rady Powiatu, zarządowi i panu staroście za życzliwe potraktowanie mojej prośby i umieszczeniu w porządku dzisiejszej sesji sprawy kultury, jako oddzielnego punktu programu. Ustawa z dnia 5 czerwca 1998 roku o samorządzie powiatowym określa w artykule 2. ciążące na powiecie

zadania publiczne o charakterze ponadgminnym, m.in. w zakresie kultury i ochrony dóbr kultury i co się z tym wiąże – promocji powiatu.

Dzisiaj mamy zająć się dobrami kultury materialnej w powiatowym wymiarze. Ze względów obiektywnych, pozwolę sobie jednak na umowną zmianę brzmienia punktu 14. dzisiejszego porządku obrad i słowo „prezentacja” zastąpię zwrotem „problematyka”. Pozwólcie państwo również na krótką refleksję nad pojęciem kultury w ogóle, a szczególnie w odniesieniu do dóbr kultury materialnej. Aby podkreślić pamięć o przeszłości samo Ministerstwo Kultury przyjęło nazwę: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Piękne i mądre polskie przysłowie mówi: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie”⁵. Kamil Cyprian Norwid w jednym ze swoich filozoficznych utworów powiedział: „Aby mierzyć drogę przyszłą, trzeba wiedzieć, skąd się wyszło”, zaś Adam Asnyk w wierszu *Do młodych* woła: „Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy, Choć macie sami doskonalsze wznieść; Na nich się jeszcze święty ogień żarzy, I miłość ludzka stoi tam na straży, I wy winniście im cześć!”. Dopełnieniem tych „przestróg” niech będą słowa naszego rodzimego twórcy, teologa i filozofa, a zarazem wspaniałego liryka Konstantego Damrota: „Skoro się wstydzisz swoich przodków gwary, wnet się zawstydzisz i wyprzesz ich wiary”.

Znam zacytowane przed chwilą zdania na pamięć. Zamieściłem prawie wszystkie jako motta w moich książkach i chciałbym, aby one stanowiły prelude do dzisiejszego tematu o przemijaniu i o pamięci. Słyszemy od czasu do czasu piękne i jakże prawdziwe zdanie wypowiedziane przez wielkiego człowieka naszej epoki: „Naród, który traci pamięć, traci swą tożsamość”⁶, a odnosząc to stwierdzenie do wymiaru naszej Małej Ojczyzny powiatowej i gminnych Małych Ojczyzn, z których się powiat składa, moglibyśmy to zdanie sparafrazować i powiedzieć: „Władza niepomna na przeszłość, nie jest godna tej władzy”. Dobrze więc, że dzisiaj – mówiąc o zabytkach – wrócimy do pamięci historycznej zakodowanej w dobrach kultury materialnej i duchowej zarazem. Jest bowiem kultura całokształtem materialnego i duchowego dorobku ludzkości, jej rozwoju umysłowego, moralnego, obyczajowości, i tego wszystkiego, co człowiek rozumem i talentem stworzył i oddał nam w posiadanie, aby trwało. Powiedzmy jeszcze, że rozwój kultury zależy od ludzi, którzy ją tworzą, ale także od tych, którzy odpowiadają za jej trwałość i ochronę. Na szczeblu międzynarodowym i krajowym, a także

5 Popularne powiedzenie pochodzi z utworu Stanisława Jachowicza pt. *Wieś*.

6 Słowa wypowiedziane przez Jana Pawła II.

w niżej zorganizowanych jednostkach działa wiele wyspecjalizowanych agend troszczących się i odpowiadających za teraźniejszość i przyszłość dóbr kultury. Można zatem powiedzieć, że to cywilizowani ludzie tworzą dobra kultury, ale wiadomo również, że niecywilizowani ludzie – świadomie lub nieświadomie – potrafią ten dorobek niszczyć. Na terenie naszego powiatu te działania są widoczne „gołym okiem”. Wystarczy – choćby tylko po amatorsku – zapoznać się z tym, co posiadaliśmy, co odziedziczyliśmy, a co posiadamy dzisiaj w zakresie zabytkowej architektury. Warto przyjrzeć się takiej mapie naszego kraju, województwa, powiatu i gmin, szczególnie naszego powiatu i działających tu gmin, aby stwierdzić, że czas na refleksję i działania.

Niespełna miesiąc temu zwróciłem się do Wojewódzkiego Oddziału Służby Ochrony Zabytków w Katowicach – Delegatura w Częstochowie z prośbą o aktualny stan chronionych obiektów znajdujących się na terenie powiatu lublinieckiego. Z przesłanego mi życzliwie przez panią kierownik wykazu i porównania go z *Katalogiem Zabytków Sztuki w Polsce*⁷ wynika, że wiele z podlegających ochronie zabytków uległo w tym przedziale czasowym zniszczeniu, bądź znajduje się w fatalnej kondycji technicznej. Ten fakt zaistniał i istnieje chyba w każdej gminie, i dotyczy on głównie architektury będącej we władaniu Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa, ale dotyczy to nie tylko tej firmy. Najlepiej utrzymane – co jest godne podkreślenia – są obiekty chronionej architektury sakralnej, takiej jak kościoły, plebanie, cmentarze, dzwonnice itp.

Mówiąc o dziedzictwie kultury materialnej należy z przerażeniem stwierdzić, że ostatnia inwentaryzacja tej substancji na śląskiej ziemi – i chyba także w Polsce – miała miejsce równe 40 lat temu i daremnie szukać później wydanych katalogów, bo takich wydawnictw nie było. Nie dziwmy się zatem, że „sami nie wiemy, co posiadamy”.

Z problematyką ochrony dóbr kultury – a patrząc szerzej – dziedzictwa narodowego i spuścizny kulturowej – wiąże się ściśle edukacja regionalna. Wchodząc do struktur europejskich musimy wiedzieć – i my starsi, i młodsze pokolenia – „skąd idziemy?”, musimy wszyscy poznać ogromne bogactwo regionalnej śląskiej kultury i zagmatwanej – ale przez to bogatszej – historii naszej Małej Ojczyzny – ziemi lublinieckiej.

7 *Katalog Zabytków Sztuki w Polsce* – tom VI (woj. katowickie), zeszyt 7 (pow. lubliniecki) z 1960 roku, red. Izabella Rejduch-Samkowa i Jan Samek; opr. M. Kornecki i I. Rejduch-Samkowa.

Jak państwo zauważycie, nie będzie w moim wystąpieniu szerszej prezentacji zabytków sztuki naszego regionu, bo tak na dobrą sprawę, nie wiemy dokładnie „na czym powiat stoi”. Z każdej mapy zniknęły jakieś obiekty podlegające ochronie, nowych chyba niewiele przybyło? Mam jednak głęboką nadzieję, że za niedługi czas poznamy aktualny stan naszego posiadania w tej ważnej dziedzinie kultury.

Szanowni Państwo!

Z zadowoleniem należy stwierdzić, że władze powiatu lublinieckiego doceniają kulturę. Pamiętamy, że ustalając budżet na 1999 rok w rozdziale „Kultura” nie było ani grosza, a jednak odbyły się „I Dni Powiatu Lublinieckiego”, „I Sejmik Kulturalny Niepełnosprawnych”, „I Dni Kultury Chrześcijańskiej” i inne działania z tego zakresu. W bieżącym roku Komisja Oświaty, Sportu, Turystyki i Kultury ma w projekcie planu działania – oprócz wymienionych wyżej imprez i działań dotyczących oświaty, sportu i turystyki – następujące problemy z dziedziny kultury: inwentaryzację zabytków kultury w regionie, opracowanie informatora „Ziemi Lublinieckiej”, powołanie Powiatowego Centrum Edukacji Regionalnej, wydawanie biuletynu lub gazety powiatu oraz opracowanie formy „honorowania działaczy kultury” z regionu lublinieckiego. Jest prośba, aby Rada i Zarząd Powiatu Lublinieckiego przyjęły te ambitne projekty komisji ośt*ik*.

Myślę jednak, że ważnym przyczynkiem do realizacji powyższych planów byłoby nawiązanie ścisłej współpracy z samorządami gmin z terenu powiatu, zaprogramowanie wspólnych działań w niektórych formach aktywności kulturalnej i stworzenie regionalnej polityki kulturalnej, turystyczno-rekreacyjnej i promocyjnej naszej Małej Ojczyzny – ziemi lublinieckiej.

Obradujemy dzisiaj – nie bez kozery – w miejscu naznaczonym kulturą od wieków. Tutaj, w koszęcińskim pałacu, Andrzej Kochcicki stworzył z początkiem XVII wieku centrum myśli humanistycznej kilku państw, tutaj zgromadził ogromny księgozbiór, tutaj Rożdzieński pisał swoje dzieło o etosie pracy ludzkiej – *Officinę*, tutaj działał przez kilka dziesięcioleci teatr pałacowy założony przez hrabiego Sobka.

W pięknym, koszęcińskim zabytkowym pałacu, rezyduje od prawie półwiecza zespół „Śląsk”, jedyna chyba w świecie placówka artystyczna, która podniosła kulturę ludową ziemi śląskiej do rangi kultury narodowej, która jest swoistą, profesjonalną akademią szeroko pojętej edukacji kulturalnej, w tym regionalnej w szczególności. Ale o „Śląsku” powie dyrektor tej instytucji, któremu zarezerwowano punkt piętnasty dzisiejszej sesji.

PS W wielu miejscowościach powiatu lublinieckiego istniała, bądź istnieje zabytkowa architektura dworska i folwarczna, a także inna, która w sposób nieodpowiedzialny, wręcz niszczyielski administrowana jest przez Agencję Własności Rolnej Skarbu Państwa. Także na skutek zaniedbań władz administracyjnych różnych szczebli i przeróżnych tzw. „dzierżawców”, zniszczeniu uległo bądź ulega, wiele pięknych i zabytkowych obiektów architektonicznych. Nie znamy więc na dziś – jeszcze raz to podkreślę – aktualnego stanu chronionej architektury na ziemi lublinieckiej. Nie moglibyśmy więc w pełni odpowiedzieć na zadane przez poetę pytanie, które trochę zaktualizuję: „A czy znasz, ty Bracie... (Radny Powiatowy)... Twe kurhany, twe mogiły i Twe dzieje...?”

Kończąc moje wystąpienie, chciałbym wszystkim państwu serdecznie podziękować za uwagę, pozostając w głębokiej nadziei i w przekonaniu, że kultura i pamięć historyczna będą zawsze w centrum uwagi władz, zarówno powiatu, jak i gmin ziemi lublinieckiej.

Szlachetny herb gminy Koszęcin

Długo – bo kilka lat – trwały starania o herb dla gminy Koszęcin. W poprzedniej i aktualnie trwającej kadencji Rady Gminy ogłoszono i przeprowadzono konkursy z nagrodami na znak heraldyczny herbu, jednak warszawska Komisja Heraldyczna wszystko odrzucała jako niezgodne z wymogami. Wójt gminy Grzegorz Ziaja sprawę herbu potraktował priorytetowo, powierzając sprawę znawcom przedmiotu – heraldykom i historykom. Tym zagadnieniem zajęła się także skutecznie powstała przy Radzie Gminy w Koszęcinie Komisja Historyczna.

Na efekt nie trzeba było czekać latami. Nowy, dobrze udokumentowany historycznie i merytorycznie uzasadniony wniosek z projektem herbu skierowano do Warszawy dokładnie 6 kwietnia 2009 roku. 6 lipca 2009 roku, a więc zaledwie po trzech miesiącach, do wójta gminy wpłynęło pismo Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji następującej treści: „Szanowny Panie Wójcie, W związku z wnioskiem z dnia 6 kwietnia 2009 roku znak 0861/1/09 w sprawie zaopiniowania projektów herbu, banneru i pieczęci gminy Koszęcin stosownie do postanowień art. 3 ust. 3 ustawy z dnia 21 grudnia 1978 roku o odznakach i mundurach uprzejmie informuję, że przedłożone projekty opiniuję pozytywnie. Podstawę wyrażenia powyższej opinii stanowi uchwała Komisji Heraldycznej, która zawiera merytoryczną

ocenę nadesłanego projektu w zakresie jego zgodności z zasadami heraldyki, weksylologii i miejscową tradycją historyczną”⁸.

Co zatem zawiera herb gminy Koszęcin, że jest zgodny z zasadami heraldyki, weksylologii i miejscowej tradycji historycznej? Odpowiedzmy najpierw na ostatni aspekt pytania. Otóż, znak herbu zapożyczony jest z dzieła Walentego Roździeńskiego *Officina ferraria* z 1612 roku, mówiącego o etosie ludzkiej pracy. Tekst dotyczy bogatych tradycji kuźniczych, które na naszym terenie sięgają XIV wieku. Herb przedstawia człowieka pracy – Ślązaka – z tutejszym rodowodem i z wszystkimi pozytywnymi zaletami, które Roździeński w swojej książce opisuje i które tutejsza tradycja potwierdza. Myślę przede wszystkim o pracowitości, o zawodowej – kuźniczej tożsamości, o oświacie i czytaniu, o religijności, o skromności i dumie, także o wielkiej lojalności wobec kolegów „po fachu” i o związkach z panującym na ziemi koszęcińsko-lublinieckiej wielkim humanistą i mecenasem kultury i postępu technicznego Andrzeju Kochcickim i jego wielkiej bibliotece w koszęcińskim pałacu. Człowiek przedstawiony na naszym herbie stoi przy swoim warsztacie pracy boso, skromnie ubrany, dumny, trzyma w jednej ręce młot – narzędzie pracy, w drugiej – podniesionej ku górze ręce – dzban obfitości („jak będziesz pracował, to będziesz miał”, „bez pracy, nie ma kołaczy”). Nie bez znaczenia jest również kolorystyka herbu, nawiązująca złotem i błękitem do herbu województwa śląskiego – a patrząc w przeszłość – to złoto i błękit przenoszą nas niejako terytorialnie – do barw Piastów górnośląskich, a więc zaliczają naszą gminę – zgodnie z wielowiekową historią do Górnego Śląska. Można krótko powiedzieć, że herbem gminy Koszęcin (nie Koszęcina) jest zamieszczony na błękitnej, późnogotyckiej tarczy brodaty mężczyzna – kuźnik, trzymający w dłoniach młot i dzban, ubrany w spodnie i koszulę srebrnego koloru i opasany kuźniczym fartuchem o złotej barwie. Niech czytelnik – mieszkaniec ziemi koszęcińskiej nie patrzy na nieudolność plastyczną obrazu, niech nie myśli, że można było tego hutnika „fajniej namalować”. Otóż nie. Obraz pochodzi z książki Roździeńskiego z 1612 roku. Pierwowzorem tej ryciny był drzeworyt wykonany zapewne przez „nieuczonego” rzeźbiarza. Ważny jest także fakt, że przedstawia on człowieka pracy, a nie tylko jakieś narzędzie czy symbol. Prawdopodobnie jest to artystyczna podobizna samego Walentego Roździeńskiego – kuźnika i poety, który podpisał ten rysunek w swojej

8 Herb gminy Koszęcin zaprojektowała dr Małgorzata Kaganiec.

unikatowej książce następująco: „Własny konterfekt, albo wyobrażenie żywota kuźniczego”.

To piękny herb, który będzie znakiem rozpoznawalnym gminy Koszęcin, będzie on pośrednio symbolem naszej historii, tradycji i dnia dzisiejszego. Kuźnik-poeta Roździeński był tylko jeden i herb z jego podobizną z jego książki jest tylko jeden w Polsce, a myślę, że i na świecie. Pogratulować mieszkańcom pięknej ziemi koszęcińskiej tego znaku. Osobiście cieszę się bardzo z tego symbolu i z tego, że dołożyłem do tej sprawy mój przysłowiowy grosik. Inaczej powiedziawszy – trochę dla niektórych osób egoistycznie, że to ja zainicjowałem i przygotowałem ten herb z Walentym Roździeńskim.

Jubileusz dziewięćdziesięciolecia chóru „Lutnia” w Koszęcinie

Tam się łącz, gdzie śpiewają...

4 października 2009 roku odbyła się w kościele NSPJ w Koszęcinie uroczysta msza święta dziękczynna za 90-lecie istnienia chóru „Lutnia” w Koszęcinie. Podczas tej religijnej uroczystości chór-jubilat – odśpiewał u stopni ołtarza dwa znaczące utwory: *Pieśń do św. Cecylii* – ks. R. Gajdy oraz utwór Mozarta – *Jubilat Deo*. W czasie tej uroczystości śpiewał gościnnie chór „Hejnał” ze Strzebinia.

„Świecka” część jubileuszu odbyła się 10 października w koszęcińskim domu kultury z udziałem licznych delegacji bratnich chórów, przedstawicieli władz wojewódzkich, powiatowych i gminnych, licznie zgromadzonej publiczności, a także chórów „Sienkiewicz” z Miasteczka Śląskiego i „Harfa” z Radzionkowa – które to zespoły obchodzą również w 2009 roku jubileusz 90 lat istnienia.

Jubileuszowy koncert koszęcińskiego chóru składał się zarówno ze wspaniałych utworów świeckich jak i religijnych, z pieśni frywolnych i zaliczanych do repertuaru klasyki śpiewactwa. Usłyszeliśmy m.in.: *Cecilia, Zjawiałaś się kiedyś Pani, Ave, o Theotokos, Gdybym ja dzwonkiem był*, ale także: *Dzieweczko ze Śląska, Nie będzie mnie głowiczka bolała, Walczyk tarnogórski*. Miłą niespodzianką dla publiczności było zaśpiewanie przez trzy jubileuszowe chóry trzech utworów: *Canticorum* – psalm xxix M. Gomółki, *Polonez towarzyski* – E. Ponieckiego oraz *Chętnie żeśmy tu przybyli*. Chórem „Lutnia” i zespolonymi chórami dyrygowała Stefania Biela.

Wojewódzkie władze śpiewactwa wyróżniły 27 chórzystów złotymi, srebrnymi i brązowymi odznakami. Było też dużo kwiatów, dyplomów i listów

gratulacyjnych oraz upominków. Na zakończenie koncertu, przed „kawą” dla wszystkich uczestników, publiczność odśpiewała koszęcińskim chórzystom gromkie *Sto lat*.

Krótką historią chóru „Lutnia” z Koszęcina

Prapoczątek koszęcińskiego ruchu śpiewaczego sięga końca XIX wieku, kiedy to kościół lokalny, przy udziale szkoły ubarwiał nabożeństwa śpiewem. Od 1902 roku pewną, już zorganizowaną formę społecznego ruchu artystycznego wprowadziła *Freiwillige Feuerwehr*⁹, przemianowana później na „Ochotniczą Straż Pożarną”. Jednak początek chórzysty w Koszęcinie dało dopiero powstałe w 1919 roku – utworzone z inicjatywy aptekarskiej rodziny Burzyńskich – „Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe św. Jacka”, przy którym powstała sekcja śpiewacza „Lutnia”.

Z biegiem czasu „Lutnia” usamodzielniała się i z przerwą wojenną (1940–1944) oraz z pewnymi „konspiracyjnymi” formami muzykowania w czasie powojennego prześladowania zespołów śpiewających repertuar religijny – działa do dnia dzisiejszego. Trudno w krótkim artykule opisać barwną historię „Lutni”, jeszcze trudniej przedstawić zasłużonych dla tutejszego śpiewactwa ludzi, których na przełomie dziewięciu dziesięcioleci było bardzo wielu. Jednak kilka nazwisk trzeba z obowiązku dziennikarskiego wymienić: dyrygenci – chronologicznie to (głównie): nauczyciele: Jerzy Hejda, Fryderyk Gąska, Karol Sobota, Karol Muszalski, Bernard Gałuszka, Czesław Pietruszka, Sylwester Karmański, Józef Irek, Józef Mitas, Maria Bambynek-Skawińska, Beata Horzela, Piotr Planetorz i Stefania Biela. Kilka nazwisk działaczy – prezesi „Lutni”: Stefania i Kazimierz Burzyńscy, Jan Famuła, Edward Wieczorek, Wiktor Mirczewski, Bożena Wilk, Aniela Świecik. Proboszczowie: ks. Walter Gąska, ks. (późniejszy biskup i Sługa Boży) Wilhelm Pluta, ks. Jerzy Reginek i ks. prałat Tadeusz Fryc.

Już w ostatnim akapicie wypada powiedzieć – chociaż bardzo ogólnie – że chór „Lutnia” posiada wielkie zasługi dla lokalnej i śląskiej kultury, że ma on swoje zaszczytne miejsce zarówno w Kościele, jak i w świeckiej działalności kulturalnej, że był i jest nam potrzebny – wczoraj, dziś i jutro. I jeszcze jedno, dokończenie zdania zamieszczonego w tytule tego artykułu: „Tam się łącz, gdzie śpiewają, bo źli ludzie pieśni nie znają”.

9 Tłum. Straż ogniowa.

Tyjdus i inni „chłopcy malowani”

Któż z nas nie zna słów romantycznej piosenki *Wojenki*: „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani, że za tobą idą chłopcy malowani...”. Niedawno była rocznica „września”. Na Westerplatte spotkali się prezydent Polski i kanclerz Niemiec i mówili tylko o przyjaźni. Także celowniczy ze Schleswig-Holstein i polski obrońca Gdańska wspominali, że wtedy strzelali do siebie, bo taki był rozkaz. A rozkaz to rzecz święta.

Za kilka dni będzie pierwszego listopada. Na cmentarzach zapalimy tysiące zniczy, świeceł pamięci po tych, którzy odeszli na zawsze. Ale nie każdy umarły ma mogiłę. Wielu z „malowanych chłopców” padło na obcej ziemi, na polach bitewnych rozsianych po całym świecie. Na wojenkę szli mając 18, 20, 25 lat i często w takim wieku ginęli, bądź wracali z wojennej tułaczki schorowani, sponiewierani, wycieńczeni długoletnią niewolą.

Na rowerowym rajdzie do Boronowa jechałem na końcu kolumny z panem Tyjdusiem. Jechaliśmy wolno, bo pan Teodor jest rówieśnikiem papieża¹⁰, a ja też już parę lat żyję na tym Bożym świecie. Ale był także inny powód wolnej jazdy. Słuchałem po drodze opowieści weterana ostatniej wojny, słuchałem dramatu „malowanego chłopca”, którego w wieku 20 lat ubrano w mundur Wehrmachtu, dano karabin i wysłano na front. Trzy i pół roku walczył na froncie, później półtora roku w radzieckiej niewoli, gdzieś na końcu świata. Po powrocie do domu dalsza poniewierka, bo był „innym” weteranem.

Jego „spacer” rozpoczął się 65 lat temu. Po ukończeniu koszęcińskiej szkółki w „starej szkole” Tyjdus wyjechał do dużego miasta Chorzowa, aby uczyć się na piekarza. Za naukę rodzice wozili majstrowi każdego roku dwie tony kartofli, chociaż w domu, w licznej rodzinie bieda aż piszczała. W Chorzowie Tyjdus chodził na mecze „Ruchu” i do dziś jest wierny temu klubowi. Stamtąd, po zdaniu egzaminu czeladniczego w 1940 roku zabrano go do niemieckiego wojska Wehrmachtu, chociaż nie znał niemieckiego języka, chociaż jego brat nosił w tym czasie polską, oficerską rogatywkę. Zawieźli go do Świdnicy, a po pięciu tygodniach rekrut jechał już tylko na wschód. Przez *Lublinitz*, *Tschenstochau* i inne miasta jechał na Kielecczyznę, a później osiadł na ówczesnej „granicy przyjaźni” ustanowionej paktem Ribbentrop-Mołotow. Tam ćwiczyli, wypoczywali, dobrze jedli i bawili się. Nawet podobała się Tyjdusiowi taka wojenka. Był nawet w niemieckim mundurze

10 Jana Pawła II.

na polskiej pasterce. Śpiewał polskie kolędy, że aż cały kościół nie dowierzał. „Niemiecki okupant” w polskim kościele, śpiewa polskie kolędy...?

W czerwcu 1940 roku zabawa w wojenkę się skończyła. Poczęli okopywać swoje działka w dojrzewającym zbożu i pachniało prochem. Mówiło się po cichutku, że będzie wojna z Rosją. W odpust Serca Jezusowego, 22 czerwca, kwadrans po trzeciej rano, zaczęło się piekło wojny dla Tyjdusia. Szli ciągle naprzód, coraz szybciej, aż doszli do Wołgi. Tam się odmieniło. Tam był Stalingrad. Naprzód szli Ruscy, a Niemcy tysiącami i setkami tysięcy padali w mroźny czas. Wtedy było prawie 50 stopni mrozu. Pan Teodor wspomina dramaty młodych chłopców, którzy składali swe młode życie *für Führer, Volk und Vaterland*. Z jego dwuosobowej kompanii zostało 22 kolegów. Większość padła, innych wysyłano z frontowych lazaretów, bez nóg, rąk, z połatаныmi ciałami. Takie ludzkie wraki po 18, 20, 25 lat dogorywały w domu. Przez lata wojennej poniewierki widział ruiny i zgłiszcza, tysiące ludzkich trupów, nieszczęście narodów. O sobie, o swej straconej młodości w piekle wojny, nie mówi za dużo. Jak większość frontowców, zabierze swój wojenny zyciorys na ostatnią zbiórkę do Trójcy Świętej.

Gdzieś w odwrocie, już blisko polskiej granicy wysłano go z rozkazem na pierwszą linię frontu. Było to 6 lutego 1944 roku. Nie doszedł. Miał szczęście, bo wziął go do niewoli osiemnastoletni czerwonoarmista z Moskwy rodem. Pogadali ze sobą po rosyjsku, ponarzekali na swój tragiczny los... i rozeszli się. Rosjanin poszedł walczyć, Tyjduś – do niewoli gdzieś na koniec świata. W lagrze było wtedy przeszło 12 tys. ludzi, gdy po półtora roku wypuścili go, połowa już nie żyła. Może Tyjduś by też nie przeżył, ale po pewnym czasie dostał się do obozowej piekarni, miał chleb. Drugim szczęściem było, że dostał się do „polskiej sotni” – między Ślązaków, Pomorzan i Poznaniaków. Mówili po polsku i w listopadzie 1945 roku puszczono ich do domu. Kiedy szedł na wojnę miał 20 lat, gdy wracał liczył prawie 26 wiosen. Młodość pierzchła. W niewoli spotkał czterech koszęcinian. Z narażeniem życia dokarmiał ich okruszami chleba. Wszyscy przeżyli. Przez ostatnie półtora roku wojennej poniewierki rodzina nic o Tyjdusiu nie wiedziała. Otrzymali wiadomość, że zaginął. Oficer donosił z frontu: *Mir fällt die traurige Nachricht...* „Przypadł mi smutny obowiązek powiadomić państwa, że wasz ukochany syn Teodor... zaginął na froncie. Jest prawdopodobne, że poległ śmiercią bohatera za wielkość i przyszłość wielkiego i wiecznego *Vaterlandu*”. Później wyrazi współczucia i... *Heil Hitler*. W koszęcińskim kościele przez półtora roku odprawiono kilka mszy świętych żałobnych za Tyjdusia. A kiedy wrócił pewnej nocy, matka myślała, że to jego duch.

Oto los jednego z koszęcińskich „chłopców malowanych”, los bohatera ostatniej wojny, w której Ślężacy musieli walczyć w różnych mundurach, przysięgać na różne świętości i składać swe życie na różnych ołtarzach. Walczyli czasem jedni przeciw drugim, brat przeciw bratu, jeden w polskim wrzesniowym czy andersowskim mundurze, drugi w niemieckim szynelu. Oto „spacer” po starym Koszęcinie, po ludzkich, tragicznych ścieżkach, które wiodły przez wojenne bezdroża. Z tego „spaceru” ponad stu „malowanych chłopców” nie powróciło do Koszęcina.

„Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani, że za ciebie giną chłopcy malowani”, że sponiewierałaś tyle rodzin, tyle narodów i dalej to czynisz.

Dobrze, że idziemy do Europy. Może już nigdy koszęcińskie matki i żony nie będą musiały opłakiwać „malowanych chłopców”, ubranych w taki czy inny mundur. Może następne pokolenia mężczyzn nie zaznają takiego piekła wojny jak pan Tyjduś.

Wybitny polski naukowiec na spotkaniu w Koszęcinie

Życie ofiarowane bliźnim

Są – na szczęście dla ludzkości – ludzie, którzy swoją karierę zawodową, swoje życie poświęcają dla ratowania innych. Są to ludzie o wielkich umysłach i o wielkich sercach, ludzie prawi i bezinteresowni.

Na zaproszenie Katolickiego Centrum Kultury w Koszęcinie, dzięki życzliwej pomocy prof. Jerzego Ciby, gościliśmy w środę 31 maja br. w koszęcińskim pałacu, wybitnego i światowej sławy polskiego naukowca – prof. dra hab. n. med. Mieczysława Chorążego.

Na spotkaniu, w referacie pt. „Rak, jako problem biologiczny i medyczny” – profesor mówił o najstraszliwszej chorobie naszych czasów – raku. Mówił jako lekarz i jako wybitny biolog, mówił językiem akademickim a zarazem bardzo zrozumiałym dla przeciętnego zjadacza chleba. 45 ludzi – o różnym przygotowaniu merytorycznym i edukacyjnym, z zapartym tchem słuchało tej ciekawej prelekcji. Dydaktyka zastosowana przez profesora – poparta interesującym materiałem poglądowym – była wzorem do naśladowania w salach wykładowych i lekcyjnych, była też wspaniałą lekcją o naszym zdrowiu, chorobie i szacunku do życia.

Spotkanie z prof. Mieczysławem Chorążym odbiło się bardzo pozytywnym echem w Koszęcinie.

Jadąc następnego dnia pielgrzymkowym autokarem do Lichenia, trzeba było jeszcze raz mówić o niektórych poruszonych przez profesora kwestiach, a uczestnicy dzielili się swymi doświadczeniami rodzinnymi spowodowanymi pojawieniem się w ich otoczeniu choroby raka. Słowa wypowiedziane przez prof. Chorążego: „wierzyć i ufać lekarzom”, „poddawać się badaniom”, „wystrzegać się znachorów i tzw. uzdrowicieli” – były często powtarzane.

Przygotowałem krótki biogram mówiący o życiu i pracy prof. Chorążego, który wyłuskałem z artykułu redaktorki Krystyny Bochenek, zamieszczonego w czasopiśmie „Śląsk”: Profesor urodził się w 1925 roku w Janówce, pow. Biała Podlaska. Trudne dzieciństwo, jeszcze trudniejsza młodość, która przypadła na lata wojny i powojennego okresu, udział w powstaniu warszawskim i studia medyczne w stolicy. Później kariera zawodowa. Praca w laboratoriach i wykłady na uczelniach, stypendia zagraniczne. Przez 33 lata kieruje Zakładem Biologii Nowotworów Instytutu Onkologii w Gliwicach. Autor przeszło 100 prac naukowych, członek prezydium PAN, członek PAU, członek Polskiego Komitetu UNESCO, laureat wielu nagród i odznaczeń. Profesor kocha także sztukę: malarstwo, muzykę, fotografię, sam szkicuje i rysuje. I jeszcze jedno zdanie profesora zaczerpnięte z artykułu redaktorki Bochenek: „Matka wpoila mi, że najważniejsze w życiu, to być porządnym człowiekiem”.

PS Szanowny Panie Profesorze Chorąży! Koszęcin wie, że było mu dane gościć dobrego człowieka, który dewizę swojej matki realizuje w swoim pochłoniętym pracą dla bliźnich życiu. Dziękujemy Profesorowi za wspaniałe spotkanie, za przekazanie bogatej wiedzy medycznej, za wyświadczoną bezinteresowność (profesor zrezygnował z honorarium). Życzymy zdrowia i dalszych wspaniałych osiągnięć naukowych. Dziękujemy także dyrekcji „Śląska” – za użyczenie pałacu, prof. J. Cibie – za okazaną życzliwość i księżom proboszczom – za reklamę.

Z czym do Europy?

Zabytki ziemi lublinieckiej – drewniana architektura sakralna

Z cyklu „Z czym do Europy” ukazały się w naszej gazecie dwa artykuły: „Historia ziemi lublinieckiej” i „Żydowski cmentarz w Cieszowej”. Dzisiaj chciałbym cię, drogi czytelniku, zainteresować bogatym wianem, które wnosimy do Zjednoczonej Europy, mianowicie zabytkami architektury. Ze względów

praktycznych podzielimy ten materiał na zabytkową architekturę sakralną i świecką, zamieszczając ten materiał w dwóch, a może i w trzech kolejnych numerach gazety.

Architekturę sakralną, do której zaliczamy kościoły, kapliczki, dzwonnice itp., można umownie podzielić na obiekty drewniane i murowane, przy czym niekoniecznie drewniane muszą być najstarsze i nie zawsze wiek, czy też budulec decydują o wpisaniu obiektu do chronionej prawem architektury.

Wśród zabytkowych kościołów stojących na ziemi lublinieckiej, szczególnie urzekają drewniane sanktuaria, utopione w zieleni, często wśród wiekowych cmentarnych lip, dębów czy kasztanowców. W świątyniach tych – podobnie jak w murowanej architekturze sakralnej – zakodowane jest nie tylko piękno architektoniczne, ale także kultura minionych wieków, talent i pracowitość architektów, cieśli i murarzy, rzeźbiarzy i malarzy, bardzo często anonimowych twórców, którzy swe dzieła tworzyli na chwałę Bożą.

W powiecie lublinieckim stoją wiekowe drewniane kościoły: w Bruśku, Boronowie, Cieszowej, Gwoździanach, Lublińcu, Woźnikach i Koszęcinie. Zabytkowe kościoły murowane z cegły i kamienia spotkamy: w Woźnikach, Kochanowicach, Koszęcinie, Lubecku, Lublińcu, Lubszy, Pawonkowie, Piaśku, Sadowie i Sierakowie.

Przedstawmy zatem krótko te szlachetne perły architektoniczne, zdobiące naszą Małą Powiatową Ojczyznę.

Drewniany kościółek św. Jana Chrzciciela w Bruśku – pamiętający dawne, świetne czasy kuźniczego trudu – został zbudowany w połowie XVII wieku, w miejscu wcześniejszego kościoła, na pewno przed 1670 rokiem. Zbudowany jest z drewna, konstrukcji zrębowej, jednonawowy orientowany, z wieżą słupową od zachodu i małą wieżyczką na sygnaturkę. Wnętrze kościołka ciekawe, ozdobione w 1693 roku przez Wawrzyńca Grochowskiego piękną polichromią. Kościół otoczony cmentarzem.

Kościół Matki Boskiej Różańcowej w Boronowie zbudowany na planie krzyża greckiego w roku 1609, w miejscu wcześniejszego (inne daty: 1911, 1621, 1646), konstrukcji zrębowej, orientowany, wieża słupowa, (zbudowana w późniejszym czasie), pokryta hełmem namiotowym. Wszystkie dachy i ściany boczne pobite gontami. Wnętrze kościoła bogato zdobione z pięcioma ołtarzami i wieloma dziełami sztuki sakralnej. Kościół otoczony jest starym cmentarzem, na który prowadzi bramka konstrukcji słupowej z mieczowaniami z XVII wieku.

Kościół św. Marcina w Cieszowej zbudowany w miejscu wcześniejszego w 1751 roku, „na 10 łokci szeroki i na 19 długi”, zbudowany jest z drewna, konstrukcji zrębowej, orientowany, jednonawowy z sobótkami. Wieża słupowa od północy, nad dachem siodłowym wieżyczka na sygnaturkę. Wnętrze bogato zdobione dziełami sztuki sakralnej. Wokół kościoła znajduje się stary cmentarz.

Kościół Trójcy Świętej w Koszęcinie zbudowany w 1724 roku przez Jakuba Ridzingera w miejscu poprzedniej świątyni z XVI wieku. Drewniany, konstrukcji zrębowej, jednonawowy, orientowany. Wszystkie dachy i zadaszenia – także sobótki – pokryte gontami z wieżą słupową od zachodu. W kościele – o bogatych tradycjach religijnych – trzy ołtarze i dzieła sztuki sakralnej. Kościół otoczony wiekowym cmentarzem.

Kościół Narodzenia NMP w Gwoździanach datowany na 1576 rok, został przeniesiony w 1978 roku z miejscowości Kościeliska koło Olesna. Konstrukcji zrębowej, orientowany, z wieżą słupową od zachodu. Dach pokryty gontami. Przy kościele zbudowano w 2004 roku piękną, wolnostojącą drewnianą dzwonnice.

Kościółek św. Anny w Lublińcu został zbudowany w 1653 roku z fundacji Andrzeja Celarego. Drewniany, konstrukcji zrębowej, orientowany. Dach siodłowy, pokryty gontem, na nim wieżyczka na sygnaturkę. W ostatnich latach – dzięki życzliwości ludzi – kościółek został generalnie odnowiony.

Cmentarny kościółek św. Walentego w Woźnikach wzniesiony w miejscu wcześniejszego w 1696 roku. Zbudowany z drewna, konstrukcji zrębowej, orientowany. Dach i sobótki pokryte gontem. Mała, ośmioboczna wieżyczka szalowana deskami. Kościół – aktualnie remontowany – otoczony jest starym cmentarzem.

Dzwonnica w Sadowie wzniesiona zapewne w XVII wieku, stoi w pobliżu zbudowanego w 1331 roku kościoła. Dwukondygnacyjna, w dolnej części podmurowana, powyżej drewniana, konstrukcji słupowej. Wysmukłą wieżę zdobi baniasty hełm, zwieńczony ośmioboczną latarnią.

Szanowny czytelniku! Oto „część” naszego bogactwa religijnego i kulturowego. Zachęcam do odwiedzenia tych świątyń, do bliższego ich poznania. Najlepiej wybrać się tam w niedzielne popołudnie, wtedy stoją otworem i czekają na ciebie, abyś w ciszy i zadumie zachłusnął się pięknem z dawnych wieków.

Z czym do Europy?

Zabytki ziemi lublinieckiej – murowana architektura sakralna

W ostatnim numerze naszej gazety ukazał się artykuł poświęcony zabytkom drewnianej architektury sakralnej. Dzisiaj – kontynuując ten wątek – pragnę czytelnikowi przypomnieć zabytkowe kościoły murowane stojące od wieków na ziemi lublinieckiej. One również – podobnie jak drewniana architektura sakralna – „wrosły” w krajobraz architektoniczny, geograficzny i historyczny naszych miast i wiosek. Oto – moim zdaniem – najciekawsze z nich:

Kościół św. Wawrzyńca w Kochanowicach wystawiony w 1823 roku z fundacji Sylwiusza von Aulock. Późnoklasycystyczny, murowany z cegły, potynkowany, orientowany, wzniesiony na planie prostokąta. Od zachodu wieża kwadratowa, od wschodu mała, półkolista absyda. Chełm wieży baniasty, zwieńczony ośmioboczną latarnią. Ołtarz główny dwukondygnacyjny, flankowany dwiema parami kolumn. W kościele dzieła sztuki sakralnej m.in. rzeźby barokowe z XVII wieku, pochodzące z nieistniejącego kościoła drewnianego w Lisowie.

Kościół św. Mikołaja w Lublińcu wzniesiony w latach 1576–1590 przez Kochcickich, w miejscu wcześniejszej świątyni z połowy XIV wieku, kilkakrotnie przebudowywany. Kościół murowany z kamienia i cegły, potynkowany, orientowany. Prezbiterium zamknięte trójbocznie, od południa przylegająca do kościoła kwadratowa kaplica św. K. Boromeusza zbudowana w 1648 roku przez Cellarich. Wieża o dwóch kondygnacjach – u dołu kwadratowa, powyżej zwężona – nakryta ośmiobocznym chełmem. W kościele zabytkowe ołtarze i inne dzieła sztuki sakralnej.

Kościół św. Krzyża w Lublińcu z 1823 roku, wystawiony w miejscu wcześniejszego drewnianego kościoła z 1679 roku, murowany, potynkowany, powiększony i gruntownie przebudowany w 1929 roku – bezstylowy. Kościół trzynawowy z prezbiterium zwróconym ku zachodowi. W kościele ołtarz z obrazem *Zdjęcie z krzyża* z połowy XIX wieku.

Kościół pałacowy w Koszęcinie zbudowany przez Andrzeja Kochcickiego w 1609 roku. Zbudowany na planie prostokąta z trójboczną absydą od północy, jednonawowy, wkomponowany architektonicznie w zabudowania pałacowe. Dach siodłowy, wieża kwadratowa, trójkondygnacyjna, przebudowana w latach 50. XX wieku. W kryptach kościoła znajdują się grobowce dawnych właścicieli dóbr koszęcińskich. Kościół wraz z pałacem odnowiony w latach 2002–2003.

Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa w Koszęcinie zbudowany w 1908 roku przy wydatnej pomocy protestanckiego księcia Karola Gotfryda zu Hohenlohe. Postawiony na rzucie krzyża w stylu neogotyckim, z wieżą o formach barokowych, murowany z cegły. Układ kościoła bazylikowy, trójnawowy z pięcioboczną absydą w części prezbiterialnej. Do kościoła prowadzi arkadowe wejście. W kościele trzy drewniane ołtarze, drewniana ambona i inne dzieła sztuki sakralnej – pochodzące głównie z pierwszych lat XX wieku. Kościół i stojąca obok plebania wpisane zostały do katalogu chronionej architektury.

Kościół św. Jakuba Starszego w Lubszy wzniesiony zapewne na przełomie XV i XVI wieku, w miejscu wcześniejszego. Wielokrotnie remontowany i przekształcany, zbudowany z kamienia, potynkowany, orientowany. Od południowej strony dawny kościół został znacznie powiększony, co zmieniło dawne wnętrze świątyni. Od zachodu kwadratowa, dwukondygnacyjna wieża. We wnętrzu kościoła ciekawe rozwiązania architektoniczne i wiele dzieł sztuki sakralnej. Przy kościele zabytkowa plebania pochodząca z 1803 roku, wzniesiona na rzucie prostokąta, murowana, potynkowana.

Kościół św. Katarzyny w Pawonkowie wzmiankowany w 1376 i 1447 roku. Obecny pochodzi z 1806 roku. Późnoklasycystyczny, orientowany, murowany, potynkowany, wzniesiony na planie prostokąta. Od zachodu kwadratowa wieża. Wnętrze nakryte sufitem z fasetą, dach trójspadowy. W kościele trzy zabytkowe ołtarze i wiele innych dzieł sztuki z początku XIX wieku. Przy kościele znajduje się zabytkowa plebania z 1831 roku.

Ewangelicki kościół w Piasku wzniesiony w 1754 roku, ostatnio wspaniale odnowiony. Murowany, potynkowany, na planie prostokąta. Wieża dwukondygnacyjowa, dobudowana w początkach XIX wieku. Dach wysoki, czterospadowy. Ołtarz w kościele ambonowy, rokokowy, z Okiem Opatrzności w zwieńczeniu.

Kościół św. Józefa w Sadowie zbudowany z kamienia w 1331 roku, potynkowany, wielokrotnie przebudowywany i przekształcany. Rozbudowany w XVII wieku i w latach 1955–1956. Kościół orientowany, prezbiterium zamknięte trójboczne. Architekturę wnętrza zdobią ciekawe sklepienia kolebkowe z lunetami oraz dzieła sztuki sakralnej. Pod kościołem trzy niedostępne krypty. Dachy spadziste pokryte gontem, z zachowaną więźbą storczykową w typie gotyckim. Nad nawą ośmioboczna, barokowa wieżyczka na sygnaturkę. Z kościołem związane wielowiekowe życie parafialne obejmujące kiedyś prawie połowę dzisiejszego powiatu.

Kościół św. Katarzyny w Woźnikach zbudowany w 1607 roku z wykorzystaniem pozostałości z wcześniejszego kościoła. Kościół spalony w 1798 roku, odbudowany w 1811 roku, później wielokrotnie przebudowywany i powiększony, orientowany. W zachodniej części kościoła dwukondygnacyjna wieża z 1608 roku, u dołu kwadratowa powyżej ośmioboczna, nad nawą wieżyczka na sygnaturkę. W kościele ołtarz główny i ołtarze boczne o charakterze barokowo-klasycystycznym i inne dzieła sztuki sakralnej.

Ciekawe biografie

Z podium mistrza świata... do klasztoru

Tę szczupłą, uroczą dziewczynę znają parafianie z Koszęcina. Była u nas razem z Siostrami Służebniczkami NMP – do których od prawie roku należy. Dowiedzieliśmy się wtedy, że postulanka była w 1995 roku mistrzynią świata w karate.

Zdobyła wszystko, co sportowiec zdobyć może, a jednak – jak pisze – nie to dało jej pełnię szczęścia. Stojąc na podium mistrza świata, słuchając hymnu narodowego i gromkich oklasków nie była szczęśliwa. *Mazurek Dąbrowskiego* był jakby akompaniamentem do jej rozmowy z Bogiem. To wspaniałe! Tam w Anglii, jako mistrzyni świata postanowiła... pójść do klasztoru. Można w przenośni powiedzieć, że po szczeblach z podium mistrzowskiego zeszła do ukochanego zgromadzenia.

Na naszą – koszęcinian – prośbę, za pozwoleniem władz zakonnych postulanka Dorota napisała swoje świadectwo. Przeczytaj je uważnie przy świątecznym stole, bo ono także mówi o Narodzeniu.

Tam, w Betlejem narodził się Jezus dla nas wszystkich w stajence. Dla Doroty urodził się ponownie w Anglii, na podium mistrza świata.

Świadectwo postulanki Doroty

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana

„Pragnę napisać to świadectwo mojego życia i powołania w podziękowaniu Panu Memu Jezusowi Chrystusowi i Maryi Niepokalanej za wszystkie łaski oraz miłość Jego jakiej doświadczyłam i doświadczam w moim życiu.

Jestem zwyczajną dziewczyną, mam 25 lat. Pochodzę z wioski w woj. Leszczyńskim w Wielkopolsce. Wychowałam się w rodzinie bardzo religijnej, katolickiej. Postawy życia i podstawowe wartości wyniosłam właśnie z domu rodzinnego. Pierwszym przykładem i nauczycielem była mi moja mama,

która z ogromnym oddaniem, bezinteresownością i wielką miłością wychowywała mnie i dwójkę mego rodzeństwa po śmierci ojca, którego straciliśmy w dzieciństwie. Zawsze, gdy wracam myślą do mojego dzieciństwa, żywię wdzięczność dla mojej mamy za wszystko, co dla mnie uczyniła. Za to, że pokazała mi jak trzeba kochać Boga i człowieka oraz co w życiu jest najważniejsze.

Po ukończeniu szkoły podstawowej rozpoczęłam naukę w Technikum Rolniczym z dala od domu. Tutaj pierwszy raz zetknęłam się z czymś, co stało się później najważniejszym elementem mego życia – ze sportami i sztukami walki wschodu. Od pierwszego spotkania odczuwałam niesamowity poryw i zapal do uprawiania karate. Zapisałam się do klubu mieszczącego się przy naszej szkole i od tego czasu zaczęła się fascynacja tym sportem.

Codziennie treningi, później w miarę zdobywania coraz większych umiejętności, wyjazdy na zawody zajmowały mi cały mój wolny czas. Mogę teraz stwierdzić, że istotnie karate stało się pasją mojego życia.

Gdzie wtedy w moim życiu był Jezus? Tak, był obecny, ale nie był dla mnie najważniejszy. Byłam nadal katolikiem wierzącym i praktykującym, ale też takim szarym, nieangażującym się. Wierzyłam w Jezusa i był mi bliski, lecz karate wyparło Go z mego serca. Myślałam wtedy, że przecież nic złego nie robię, nawet że wszystko jest w najlepszym porządku, ale nie zauważyłam, że na pierwszym miejscu u mnie stało się karate, a Jezus – potem. Jeżeli tak zaczyna się dziać, że Bóg nie jest na pierwszym miejscu, wtedy naprawdę nic nie jest na swoim miejscu. Przez okres pięciu lat żyłam z pełnym zaangażowaniem i pasją uprawiając karate. Chciałam być dobra, najlepsza, być kimś i coś znaczyć. Trud przyniósł pierwsze sukcesy, byłam w czołówce polskich juniorów w karate. Ale jakże długo w życiu człowieka może trwać ciągła ucieczka i spychanie Boga na margines życia, jak długo może trwać oddawanie Bogu tylko ostatnich wolnych chwil w życiu? W czasie wolnym od karate.

Odczuwałam wtedy w sercu rozdwojenie, że coś tutaj jest jednak w moim życiu nie tak jak być powinno. Momentem, który w sposób zasadniczy zmienił moje życie była porażka osobista jakiej doznałam w chwili, gdy wszystko układało się cudownie. Po skończeniu szkoły średniej marzeniem moim były studia na AWF, na które dwukrotnie w ciągu jednego roku próbowałam się dostać, jednak nie zdałam egzaminu. Było to zgodne z wolą Boga, który w ten specyficzny dla siebie sposób prowadził mnie do Siebie. Zdałam do Studium Nauczycielskiego w małym miasteczku Trzebnicy koło Wrocławia. Przeżyłam tam wspaniałe chwile, w których na nowo odkrywałam Jezusa. Karate

stawalo się jakby mniej znaczące, a Jezus zaczął ukazywać mi prawdziwe oblicze mego dotychczasowego życia. Jezus stawał się kimś szczególnym, ale rezygnacja ze sportu była dla mnie niemożliwa. Dalej dzieliłam moje serce między Jezusa a karate. Uciekałam od głosu, który z miłością pokazywał mi drogę, którą mam kroczyć. Ja jednak byłam zamknięta, nie chciałam oddać Jezusowi miejsca, które zajmowało w sposób niepodzielny karate. Jezus jednak nie zrezygnował, w chwilach ciszy i osamotnienia wiedziałam, że czeka i chce abym to ja sama zdecydowała się za Nim pójść. Wdzięczność muszę wyrazić z całego serca memu Panu za ogrom łask, których mi udzielał.

Jednym z najpiękniejszych i najważniejszych momentów jakie dane mi było przeżyć były rekolekcje w górach. Właśnie tam wśród ciszy łąk i lasów przeżyłam swoje nawrócenie. Zrozumiałam jak Jezus mnie kocha i zapragnęłam pójść za Nim, odpowiadając na Jego wołanie. Od tego czasu powoli karate zajmowało mi coraz mniej miejsca w moim życiu. Trenowałam nadal, zaczęłam więcej czasu poświęcać na odkrywanie Boga, a Jezus uwalniał mnie coraz bardziej od przywiązania do karate. Momentem, który w sposób zasadniczy zmienił moje życie uwalniającej mocy Jezusa były mistrzostwa świata, które odbyły się w listopadzie 1995 roku w Anglii, na które ja oraz moja drużyna z klubu we Wrocławiu pojechalśmy. Były to chwile, które przeżywa się w szczególny sposób i na zawsze pozostają w pamięci. Przed wyjazdem do Anglii obiecałam sobie, że będą to moje ostatnie zawody, że zakończę już trenowanie. Nie myślałam jednak, że dane mi będzie zdobyć Mistrzostwo Świata. Byłam dobrze przygotowana, jednak nie liczyłam na tak wysoką lokatę. Zrobiłam na miarę moich możliwości, a reszta to szczególna łaska Boża. To Jezus w specyficzny dla siebie sposób chciał przemówić do mnie przez wydarzenie. Każdy pewnie pomyśli, jakże byłam wtedy szczęśliwa, a ja stojąc na podium pierwszego miejsca i słuchając hymnu narodowego byłam dziwnie smutna. Zrozumiałam wtedy, że to nie to czego szukam, że tak długo goniłam za szczęściem, za sukcesem, a teraz, gdy to mam to nie czuję się szczęśliwa. Uświadomiłam sobie jak krótkie i przemijające oraz złudne jest takie szczęście i życie z dala od Jezusa. Zrozumiałam, że prawdziwe szczęście i radość może dać mi tylko Jezus. Po powrocie nie chciałam już trenować, karate straciło już dla mnie znaczenie. Jedynym Panem mego serca odtąd stał się Jezus. Nie chciałam już uciekać od Jezusa, ale służyć Mu i bliźnim tam gdzie jego woła mnie zaprowadzi. W styczniu skończyłam szkołę i stałam na rozdrożu życia, gdzie się udać, do jakich drzwi zapukać, gdzie jest moje miejsce, nie wiedziałam. Wtedy pokierowała moimi krokami Boża Opatrzność. Na początku lutego były rekolekcje zimowe u Sióstr

Służebniczek NMP w Warszawie. Już od pierwszego spotkania z siostrami odczułam wielką radość i pokój. Czułam się wśród sióstr jak u siebie w domu. Uderzała mnie na każdym kroku ich miłość i radość z życia. Trudno opisać, co Bóg mówi w sercu człowieka, ale zrozumiałam wtedy, że Jezus chce, abym służyła mu właśnie w Zgromadzeniu Sióstr Służebniczek. Dnia 7 marca przekroczyłam próg Domu Prowincjalnego w Warszawie. Minęło już dziewięć miesięcy mego pobytu w Zgromadzeniu i odczuwam wielką radość i szczęście, prawdziwe szczęście. Jestem wdzięczna Jezusowi za tak wielkie łaski, a szczególnie za łaskę powołania.

Niech Bóg będzie uwielbiany teraz i na wieki.

Postulantka Dorota”

Zadania samorządów – kultura

Nie deptać przeszłości ołtarzy

Dzisiaj chciałbym się zająć dobrami kultury materialnej w powiatowym wymiarze. Ale zanim o tym, niech mi czytelnik pozwoli na krótką refleksję o kulturze w ogóle, ze szczególnym jednak akcentem na zabytki architektoniczne i pomniki przyrody, na te skarby, które odziedziczyliśmy po przeszłości.

Kilka lat temu dawne Ministerstwo Kultury i Sztuki przyjęło nazwę Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Chciano chyba podkreślić ważność ochrony dziedzictwa narodowego. Już kilka wieków temu Stanisław Jachowicz – znany polski pedagog i bajkopisarz – powiedział znane każdemu Polakowi zdanie: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie”.

Wróćmy zatem, drogi czytelniku do pamięci historycznej, zakodowanej w dobrach kultury materialnej i duchowej zarazem. Jest bowiem kultura całokształtem materialnego i duchowego dorobku ludzkości, jej rozwoju umysłowego, moralnego, obyczajowości i tego wszystkiego, co człowiek rozumem i talentem stworzył i oddał nam w posiadanie po to, aby trwało. Powiedzmy jeszcze, że rozwój kultury zależny jest od ludzi, którzy ją tworzą, ale również od tych, którzy odpowiadają za jej trwałość i ochronę. Można zatem powiedzieć, że to cywilizowani ludzie tworzą dobra kultury, ale wiadomo również, że to niecywilizowani ludzie niszczą je, świadomie bądź z głupoty. Dotyczy to administratorów tych obiektów, ale i władzy, która ma czuwać i dbać o przeszłość naszej ziemi. Za niszczenie dóbr kultury radni i zarządy

gmin powinni być szczególnie rozliczani. Powyższe dotyczy również chronionych zasobów przyrodniczych.

Na terenie naszego powiatu i jedno i drugie widoczne jest gołym okiem. Na terenie gmin ziemi lublinieckiej spotkamy zabytki zadbane, ciągle remontowane, odnawiane, ale spotkamy także ruiny i zgliszcza. W każdej prawie gminie stoją wiekowe kościoły i kapliczki, rzadziej zamki i pałace, a już prawie w całości zdołano zniszczyć (i to szczególnie w ostatnim dziesięcioleciu) piękną architekturę folwarczną, która była ozdobą i ogromną wartością naszej ziemi. „Powiat” już wie, ile zniszczono i co posiadamy w zakresie chronionej kultury materialnej na ziemi lublinieckiej. Członkowie Komisji Oświaty, Kultury Sportu i Turystyki Rady Powiatu przeprowadzili (społecznie) inwentaryzację tych zasobów. Myślę, że jeszcze w tym roku zostanie sporządzony „raport” w postaci *Katalogu zabytków powiatu lublinieckiego*. Wtedy, czytelniku, dowiesz się „co posiadamy” i wtedy nowe władze gmin i powiatu – które wybierzemy jesienią – powinny dokonać „rozliczenia” przeszłości w tej dziedzinie.

Kończąc to moje krótkie i bardzo ogólne rozważanie o dziedzictwie kulturalnym, pozostaję w głębokiej nadziei i w przekonaniu, że kultura i pamięć historyczna będą zawsze w centrum uwagi władz samorządowych gmin powiatu lublinieckiego. Ale jest jeden warunek – wybrani radni muszą być ludźmi kompetentnymi i mądrymi, muszą także mieć serce, aby kochać piękno.

Widziane okiem krytyka

Kościółek dyplomowany

To było chyba niespełna rok temu. Młoda, uroczą studentka Karolina Szczepanowska – przygotowująca się do dyplomu reżyserskiego – zjawiła się w moim domu oznajmiając mi, że pragnie na podstawie jednej z moich publikacji napisać pracę dyplomową. Prosiła o zgodę, ale i o materiały dotyczące zabytkowego kościoła Trójcy Świętej w Koszęcinie. Wcześniej już wiele osób pisało prace dyplomowe o drewnianej architekturze sakralnej, zjawiając się z podobną prośbą w moim ośrodku. Zawsze z wielką radością udostępniam przyszłym magistróm moje publikacje i stare książki historyczne, często „białe kruki”. Wcześniej były to jednak prace magisterskie dotyczące architektury, sztuki, plastyki, historii, tym razem chodziło o reżyserię, o przedstawienie teatralne, o film. Na spektakl *Kościółek* zostałem zaproszony przez reżyserkę Karolinę dwukrotnie i dwukrotnie byłem zafascynowany. Wiedziałem teraz,

dłaczego wypożyczono ode mnie *Iskrę miłości z Górnego Śląska...* Juliusza Ligonia, i stary – z 1845 roku – *Dostateczny śpiewnik kościelny i domowy...* wydany w Piekarach Śląskich, z prymkami do poszczególnych utworów. Przedstawienie rozpoczęło się bowiem *Modlitwą* Ligonia zaczerpniętą z *Iskry...*, zaśpiewaną wspaniale przez brata pani Karoliny – studenta szkoły aktorskiej. Z racji mojej profesji i kierunku studiów, które przed laty ukończyłem, znam się trochę na teatrze i teatrologii, na adaptacjach publikacji do dzieł teatralnych i na „przeróbkach” reżyserskich, które często nie przypominają poprzedniego dzieła. Wiedziałem więc także, że moja króciuteńka *Legenda* (albo prawda) *o kościele Trójcy Świętej w Koszęcinie* ulegnie pewnym zmianom. Jednak to, co działo się z moim tekstem na koszęcińskiej scenie, przeszło wszelkie oczekiwania. Wspaniale dobrani młodzi, koszęcińscy aktorzy – amatorzy (rodzeństwo i krąg koleżeński pani Karoliny), umowna scenografia, skróty myślowe, zastosowane rekwizyty, muzyka i choreografia. (Trójca Święta – kukielki, rak – baletnica tańcząca „do tyłu”, konie i wozy z drewnem – skrzynia z kilkoma klockami i choreograficznie przedstawiony „bieg koński”, modlitwy, procesje, sztandary i nade wszystko bicie dzwonów). To wszystko zaowocowało entuzjazmem i radością licznej publiczności, przeważnie młodych, żeby nie powiedzieć, bardzo młodych ludzi. Pomyślałem wtedy i pragnę to po stokroć przypomnieć... Mamy dobrą, mądrą, grzeczną, wykształconą, kulturalną i trwającą przy Kościele młodzież, która kocha swoją Małą Koszęcińską Ojczyznę, swoją zagmatwaną politycznie i narodowościowo historię, i uwielbia życie, w tym – życie kulturalne. Nie bójmy się zatem przyszłości, nie bójmy się „kto nas zastąpi”, gdy nas kiedyś zabraknie. Trzeba wierzyć w młode pokolenie, trzeba im pomagać „stać na nogi”, powierzać stanowiska w administracji, ustąpić im miejsca w samorządach lokalnych, bo oni mają – jak to widzieliśmy na przedstawieniu *Kościółek* – inne, często mądrzejsze od nas – „zasiedziały” – spojrzenie na dzieje najnowsze. Serdecznie dziękuję pani Karolinie i jej artystom za *Kościółek*.

Tragedia Górnośląska

W bydlęcych wagonach na wschód i zachód

Szanowny czytelniku, zapewniam cię, że ten artykuł nie będzie ani za długi, ani za trudny dla ciebie. Może po raz pierwszy dowiesz się o „Tragedii Górnośląskiej”. Ten artykuł nie nosi też w żadnym wypadku znamion jakiegokolwiek rozliczania „tego czasu” rozgrywającego się w 1945 roku i we wczesnych

latach powojennych na naszej lublinieckiej ziemi. Przyświeca mi tylko jeden cel – pamięć – prawda historyczna o dramacie, który niosła z sobą straszną w skutkach II wojna światowa. Straszna w skutkach dla przymusowo wcielonych do Wehrmachtu i zabijanych na różnych frontach Górnolązackich, a także dramatyczna dla licznej grupy ludności cywilnej, która straciła swoich bliskich, swoje domy i mienie, i którą „wywieziono” w nieznane – na wschód – do katorżniczej pracy w radzieckich kopalniach, skąd wielu nie wróciło do swych rodzin, i na zachód, bo uznano ich za niegodnych mieszkać na polskim – Górnym Śląsku – dodajmy – na ziemi, gdzie mieszkali przez wieki ich przodkowie. Tym artykułem i tym problemem ośmielałam się zainteresować czytelników, a szczególnie młodych, zdolnych lublinieckich historyków – znawców i badaczy naszych dziejów, którzy od pewnego czasu – ku mojej radości – zaistnieli także w gazecie powiatowej „Ziemia Lubliniecka”. Ten temat był także przedmiotem wieloletnich i licznych rozmów na posiedzeniach redakcji „Ziemi Lublinieckiej”, szczególnie z moimi rówieśnikami i przyjaciółmi pamiętającymi te dzieje z autopsji – Kazimierzem Bromem i nieodżałowanej pamięci Gerardem Burkiem, ale na pisanie o tych „sprawach” było wtedy jeszcze za wcześnie. Nie chodzi mi dzisiaj o to, kto politycznie i personalnie „to zło” wówczas czynił, ale o to, dlaczego tych niewinnych ludzi po bandycku „łapano”, okradano i poniewierano? Warto po siedemdziesięciu latach od tej tragedii powiedzieć, czym były hale z betonowymi podłogami lublinieckiej *Spineryji* (Przędzalni), w których przetrzymywano w nieznośnych warunkach poszkodowanych przed dalszym transportem – już w bydłowych wagonach – na zachód. Wielu z wywożonych nie przeżyło tego „transportu”. Pochowano ich m.in. we Wrocławiu i okolicy, także w Dreźnie i w innych miastach, gdzie planowano ich osiedlić. Wielu uciekło „po drodze”, aby wrócić „na swoje”. A kiedy po tygodniach poniewierki wrócili, nie mieli już domów i mienia. Żyli w ukryciu u znajomych i krewnych. Niektórych ponownie łapano i jeszcze raz wysiedlono.

Od dawna, żeby nie powiedzieć „od zawsze”, nurtował mnie – i nurtuje nadal – ten przemilczany i ukrywany z politycznych względów i z tych samych powodów, niezbadany i niezapisany temat, ta kolejna w tragicznej historii ziemi śląskiej „biała karta”, ten wczesny powojenny czas na polskim Górnym Śląsku, kiedy wojna się już skończyła, a u nas zaczynał się nowy etap, nazwany przez poszkodowanych i historyków, a także przez niektórych polityków – „Tragedią Górnolązacką”. Naturalnie, nie mówię tu o szerokim, ogólnolązackim – a może należałoby powiedzieć – ogólnopolskim – aspekcie tego nieszcześcia – bo to jest zadanie raczej dla profesjonalistów. Ja myślę

natomiast o Małej Ojczyźnie – powiecie lublinieckim, a może o jeszcze mniejszych *Heimatach* – o Koszęcinie i gminie Koszęcin, a także o innych gminach ziemi lublinieckiej, których wielu mieszkańców dotknęła ta tragedia. Należę do nielicznego już dziś pokolenia ludzi, którzy pamiętają ten czas, którzy widzieli z bliska te ludzkie dramaty związane z „pozbywaniem się” wielu niewinnych Ślązaków, wywożąc ich w bydlęcych wagonach właśnie na przysłowiowy wschód i zachód. W wielu moich publikacjach – z różnych względów – pomijałem ten „przedział czasowy”, przesuwając go na bliżej nieokreśloną przyszłość. Jednak obecnie, kiedy w Radzionkowie działa już muzeum nazwane trochę umownie: „Centrum Dokumentacji Deportowanych Górnos Ślązaków”, otwarte przy udziale prezydenta Rzeczypospolitej 14 lutego 2015 roku, myślę, że nadszedł czas, aby o powojennej tragedii obywateli ziemi lublinieckiej także wspomnieć i nazwać te dzieje „po imieniu”. A następnie urzędowo powiedzieć: „Przepraszamy was, niewinni Ślązacy, obywatele naszej lublinieckiej ziemi! Przepraszamy i ubolewamy nad waszym nieszczęściem”. Koszęcin już to dawno uczynił. Na wniosek Komisji Historycznej powołanej z inicjatywy radnego Edwarda Wieczorka i kierowanej przez niego, Rada Gminy Koszęcin w dniu 29 grudnia 2008 roku, podjęła następującą uchwałę: „Rada Gminy Koszęcin wyraża ubolewanie nad losem wszystkich ludzi, których dotknęło bezprawie komunistyczne za pośrednictwem aparatu bezpieczeństwa, polegające na wysiedleniu w 1945 roku grupy stałych mieszkańców Koszęcina do Niemiec. Ludzie, których wówczas wysiedlono utracili cały swój majątek trwały i ruchomy. Tylko niektórym z nich udało się odzyskać, często po latach, puste domostwa”.

Warto się pochylić – po siedemdziesięciu latach – nad nieszczęściem ludzi, którzy wiele musieli przecierpieć podczas II wojny i po wojnie. Warto powiedzieć prawdę o strasznych doświadczeniach wojennych i powojennych ludzi mieszkających w Europie – Polakach, Żydach, Romach i tylu innych. Trzeba także powiedzieć prawdę o Ślązakach, o Tragedii Górnos Śląskiej, która tak, czy inaczej, wcześniej czy później, ujrzy światło dzienne bo „Naród, który traci pamięć przestaje być Narodem” – powiedział kiedyś J. Piłsudski. A więc tylko prawda może nas wyzwolić.

Dla kogo „śląski ślabikorz”?

Od niedawna głośno jest na Śląsku – a może i w Polsce – o wprowadzaniu do szkół śląskiego języka. Zaangażowali się w to dzieło działacze różnych śląskich organizacji, niektórzy pedagodzy i naukowcy, dziennikarze, a także posłowie na Sejm Rzeczypospolitej, którzy wyliczyli już, że samo wprowadzenie tego nowego „języka obcego” do szkół będzie nas kosztowało około 50 mln złotych.

Za rok w naszych szkołach będzie się „godało po śląsku”. Z godaniem byłoby jeszcze do wytrzymania, ale rehtory łód śląskiego języka (to będą dopiero specjaliści!) chcą nos też uczyć po śląsku pisać. Tak nie było nigdy na Śląsku, ale skoro mamy uczyć w szkołach śląskiego to bez gramatyki ani rusz. Będzie więc elementarz, nazwany przez wydawców „ślábikorz” (wyraz zakończony na „rz”). Myślę – proszę mnie nie posądzać o złośliwość – po takiej lekturze prawdziwi Ślązacy mogą się wykształcić na „ślápitkorzy”, bo jak przeczytają te literki z kropkami, kreskami i innymi zakrętami, to już im wyjdą zupełnie inne słowa od tych, których nauczyli się w śląskich domach. Myślę jednak, że Ślązacy będą zwolnieni od uczenia się śląskiego języka, bo to byłoby trochę śmieszne, kiedy uczeń wiedziałby dużo więcej od nauczyciela? Myślę także, że ci, którzy wprowadzają język śląski do szkół, myślą przede wszystkim o sobie, o swoich dzieciach i wnukach, bo oni śląskiego przeważnie nie znają. Myślę też o szkołach w „śląskich” powiatach: częstochowskim, myszkowskim, kłobuckim, zawierciańskim itd., a może też o wprowadzeniu języka śląskiego w ogóle do polskich szkół jako języka obcego? Proponowałbym też wprowadzić naukę śląskiego w formie kursowej albo zaocznie, głównie dla tych, którzy zajmują eksponowane stanowiska na Śląsku, a po śląsku nie umieją ani słowa. Jest też sprawa zróżnicowania gwary śląskiej w różnych częściach geograficznych ziemi śląskiej, a ściślej Górnego Śląska. Ale zostawmy te sprawy organizatorom. Ja wolałbym, aby śląskie dzieci opanowały w szkołach podstawowych macierzysty język, aby potrafiły się posługiwać językiem literackim, który umożliwi im dalszą edukację w polskim szkolnictwie średnim i wyższym. A język śląski niech będzie mową serca, zarezerwowaną dla prawdziwych Ślázaków, bo inni nigdy nie nauczą się gwary śląskiej w szkołach.

Na zakończenie moich rozmyślań o języku śląskim, chciałbym przypomnieć, jak to dawniej było na Śląsku. W domu, w pracy, w czasie wolnym godali „po naszemu”. W szkołach uczyli się po niemiecku, ale w rodzinie i w kościele czytali polskie książki, „żykali” po polsku i śpiewali też w tym języku. Niech czytelnik popatrzy na strony tytułowe polskich książek wydanych

przez Ślązaków i dla Ślązaków w XVIII, XIX i w początkach XX wieku. Nie uczyli się ani polskiego, ani śląskiego języka, a godali i śpiewali po śląsku i po polsku. Może jako lekturę do nauki języka śląskiego posłużą także moje gwarowe wierszyki, które proszę uważnie przeczytać.

Bytomska giełda staroci

W cieniu bytomskiego muzeum...

Od wielu lat, na bytomską giełdę staroci, nazywaną także „targiem staroci”, zjeżdżają raz w miesiącu z całej – co najmniej – południowej Polski liczni handlarze starociami. Na giełdę przyjeżdża też – różnymi środkami lokomocji – tysięczna rzesza interesantów. W pierwszy piątek i pierwszą sobotę miesiąca wszyscy zdążają na plac Thälmana (taką nazwę nosił ten plac w „minionej epoce” i giełda niejako „podtrzymuje” tę nazwę).

Nie wiadomo już dzisiaj chyba, dlaczego starociami handluje się w Bytomiu w tym właśnie miejscu. Tuż przy gmachu muzeum, a właściwie to wkoło tego budynku. Może był to nieprzypadkowy wybór? Może muzeum – którego naczelnym zadaniem jest gromadzenie i udostępnianie zwiedzającym zbiorów z różnych dziedzin kultury, sztuki, nauki, techniki itp. – miało i ma rozciągać patronat nad tymi, którzy przywożą tu swe „towary” i nad tymi, którzy je nabywają? A może... muzeum miało i ma być jednym z głównych klientów tego specyficznego bazaru? Tego nie wiemy, ale – myślę sobie – że dobrze by było, gdyby muzealnicy, a także bibliotekarze, historycy, etnografowie od czasu do czasu pojawili się w tym miejscu, spenetrowali leżące często na „gołej” ziemi lub na rozciągniętej folii – dzieła i dziełka sztuki materialnej. Może by uratowano – łacińskie, niemieckie i polskie „białe kruki” z wyrzucanej na „śmietnik historii” śląskiej kultury. Może to za wielkie słowa, może ktoś powie, że to zwykłe targowisko, gdzie jedni sprzedają, a drudzy kupują. I na pewno tak jest – ale chodzi o to, czym się tam handluje.

Na bytomskiej giełdzie jestem od lat. Wiem dokładnie kiedy ona jest, bo te dni miesiąca także Kościół obchodzi jako „pierwsze piątki i pierwsze soboty miesiąca”. Zaiste, ciekawe to miejsce, ciekawi są ci, którzy stoją za kramami lub siedzą na antycznych fotelach i książących kanapach przed swymi salonami handlowymi. Interesujący są ci, którzy oglądają, targują się godzinami i czasem coś kupują. A oferta jest przeogromna i arcyciekawa: antyczne meble za bajeczne sumy, stojące, wiszące i kominkowe zegary z minionych wieków, szlifowane lustra, różne ramy do obrazów, wazony i wazy, ogromny

wachlarz sztuki sakralnej – także pałacowej, przedmioty codziennego użytku z prostych śląskich domów i z bogatych salonów, militaria, numizmatyka, medalierstwo, sztuka rzemieślnicza – kowalstwo, kołodziejstwo, stolarstwo, metaloplastyka i tysiące innych „drobiazgów” zaliczanych do sztuki... i kiczu, a wszystko jest sprzedawane z powagą i nabywane z radością. Godnymi odwiedzenia są swoiste antykwariaty rozłożone na ziemi albo poukładane w kartonach, podzielone na rozdziały „białe kruki” – dzieła literatury polskiej, niemieckiej i łacińskiej, często z datami z XIX i początków XX wieku. Znajdziemy tam stare zdjęcia i pocztówki, gazety urzędowe i czasopisma sprzed wieków, cenne dokumenty urzędowe i prywatne. W Bytomiu, raz w miesiącu, można zobaczyć kulturę Śląska, zobaczyć i radować się, że jeszcze coś zostało, że są ludzie, którzy z tego żyją, kupując i sprzedając naszą przeszłość. Można to także inaczej skomentować: można zobaczyć... i zapłakać.

Zachęcam wszystkich do odwiedzenia bytomskiej giełdy staroci. W pierwszy piątek i w pierwszą sobotę każdego miesiąca czekają tam na nas.

Michał Wołoszczak – Sybirak rodem z Lublina

Przed trzema laty zadzwonił do mnie pewnego wieczoru nieznany mi człowiek z Elbląga. Przedstawił się jako Witold Ławrynowicz i przedstawiciel Koła Sybiraków w tym mieście. Rozmowa była krótka i dotyczyła zwiedzenia – niejako „po drodze” – Koszęcina. Należałoby tu wspomnieć, że oboje – Witold (z którym szybko przeszliśmy na „ty”) i ja – jesteśmy przewodnikami turystyki i jako piloci wycieczek zwiedziliśmy w swoim życiu niejedną zakątek ojczystej ziemi i niejedną kraj. Od trzech lat „Sybiracy” z Elbląga udając się na kolejne ogólnopolskie pielgrzymki do Częstochowy przyjeżdżają na kilka godzin do Koszęcina. Można powiedzieć, że połączyła nas przyjaźń. Ja wzbogaciłem się także – dzięki rozmowom z bardzo życzliwymi „Sybirakami” z Elbląga i lekturze literatury pamiętnikarskiej – o ciągle za mało znanej strasznej poniewierce tych ludzi.

Dziś chciałbym przedstawić krótko jednego z nich – Michała Wołoszczaka, rodowitego lublinianina, a od wielu lat mieszkańca Elbląga. Ale zanim o Michale (z którym jestem także na „ty”), niech mi wolno będzie zacytować dwa akapity z „Wprowadzenia” zamieszczonego w książeczce pt. *Wspomnienia z zesłania* autorstwa Lucyny Puźmirowskiej i Beaty Tuzimek: „Sybir. To słowo utrwaliło się w świadomości Polaków jako miejsce zesłań naszych

narodowych bohaterów w ciągu ostatnich trzystu lat. To tam trafiali barscy konfederaci, powstańcy listopadowi i styczniowi, bojownicy o wolność, prześladowani przez carskie władze za swoją patriotyczną działalność, pozbawieni praw więźniowie polityczni oraz osoby dobrowolnie im towarzyszące. Skazywani na roboty katorżnicze, służbę wojskową w kompaniach aresztanckich, zmuszani do zamieszkania na tej „niehumanitarnej ziemi” pod nadzorem policyjnym. Nigdy jednak represje, którym poddawani byli nasi rodacy nie były tak szeroko zakrojone, jak w okresie totalitaryzmu stalinowskiego, podczas II wojny światowej. Tym razem tysiące towarowych wagonów wypełnionych Polakami, ruszyły na Sybir i do Kazachstanu. Starannie zaplanowana akcja zsyłek ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej rozpoczęła się pod koniec 1939 roku. Szacuje się, że w masowych deportacjach, które miały miejsce w lutym, kwietniu i czerwcu 1940 roku oraz w czerwcu 1941 roku wywieziono z Kresów Wschodnich około 750 tys. obywateli polskich, przede wszystkim rodziny wojskowych osadników, funkcjonariuszy służb mundurowych, pracowników leśnych, inteligencję, ziemian, bogatych chłopów oraz uchodźców z centralnej Polski”.

Wśród tych setek tysięcy ludzi znalazła się także rodzina Michała Wołoszczaka z Lublińca. Jego wspomnienia należą do najdłuższych i najbarwniejszych w broszurce, a zdania rozpoczynające i kończące je, mówią wszystko.

Zdanie pierwsze: „Właściwie to jestem bardzo nietypowym Sybirakiem, ponieważ urodziłem się na Śląsku¹¹”. Zdanie ostatnie: „Moim marzeniem jest jeszcze raz pojechać na Syberię, zwiedzić Jakuck i koniecznie odwiedzić miejscowość Minor – miejsce, gdzie znajduje się grób mojej matki”.

Michał Wołoszczak urodził się 24 marca 1932 roku w Lublińcu, gdzie jego ojciec był zawodowym wojskowym. Rodzina posiadała – nadany przez Piłsudskiego, za zasługi dla Rzeczypospolitej – majątek ziemski na Kresach Wschodnich, gdzie corocznie spędzała wakacje. Również w 1939 roku, ośmioletni wówczas Michał, pojechał wraz z rodzicami na piękne Kresy, ale powrotu do Lublińca już nie było. Ojciec poszedł z 74. Pułkiem na wojnę i zdążył jeszcze przed pierwszym wrześniem wysłać z Lublińca telegram z ostrzeżeniem: „Nie wracać”. Później dostał się – już gdzieś na wschodzie – do niemieckiej niewoli, z której po kilku dniach zbiegł. Znając dobrze język rosyjski i ukraiński dotarł – kupionym po drodze rowerem – do rodziny. Ale radość ze spotkania nie trwała długo. Wiosną 1940 roku rozpoczynały się wywózki Polaków na „niehumanitarną ziemię”. Także rodzinę Wołoszczaków

11 W Lublińcu – przyp. J.M.

załadowano pechowego 13 czerwca 1940 roku na furmankę i zawieziono na stację kolejową do Sambora (Syberię opuścili także 13 czerwca 1946 roku?). W miejscowości Sarny przeładowano ich na „szeroki tor” i wieziono ciągle na wschód. Dniami i nocami, prawie trzy miesiące, w nieludzkich warunkach, transportowano ich aż do Irkucka. Ponad 10 tys. kilometrów od wschodniej polskiej granicy. Później płynęli jeszcze setki kilometrów rzekami Angarą, Leną i Aldanem, aż do miejscowości Minor, a stąd jeszcze 400 km łodziami ciągniętymi przez zaprzęgi konne do „sioła” o romantycznej nazwie Gwiazdeczka, gdzie rozładowano transport w pobliżu kopalni złota, w której zostali zatrudnieni. Łączna podróż trwała trzy miesiące, a miejsce oddalenia od domu liczyło ponad 11 tys. kilometrów. Wszyscy pracujący w odkrywkowej kopalni złota – dorośli i starsze dzieci mogące się samodzielnie poruszać – byli zmuszani do pracy, do ciężkiej roboty, często ponad siły, czasami do utraty tchu i do męczeńskiej śmierci. To właśnie tam, w pobliżu miejscowości Minor, pogrzebana została na polskim cmentarzyku – obok wielu innych – matka Michała. Tam chciałby jeszcze raz pojechać ten przesympatyczny – dziś już 80-letni człowiek – prezes Koła Sybiraków w Elblągu, emerytowany oficer marynarki, absolwent Akademii Marynarki Wojennej. Ciągnie go w te „nieludzkie strony” wielka tęsknota za najbliższą osobą – matką, którą stracił będąc dzieckiem na wygnaniu tysiące kilometrów od rodzinnego Lublińca, ciągną go na daleką Syberię wspomnienia dzieciństwa wcale nie „sielskiego i anielskiego”. Miał przecież osiem lat, gdy go wywieziono i skończone szesnaście, gdy powrócił do Lublińca w 1946 roku.

Opisałem powyżej tylko mały fragment dziecięcej tułaczki Michała Wołoszcza. Nie ma tu jego wspomnień o tym, co robił na dalekiej Syberii przez sześć długich lat, że kopał złoto, że był „woziwodą” i listonoszem, że powoził wielbłądem, że uczył się w polskiej szkole i... zachwycał się pięknem syberyjskiej przyrody. Nie ma tu wspomnień – narzekań o „głodzie” – który zabił wielu i „chłódzie” sięgającym czasem do 60 stopni poniżej zera. Przeżyli, bo praca zwiększała dzienną dawkę chleba z 30 dkg do 50 dkg, przeżyli, bo szczęśliwie zakwaterowano ich w przykopalanianych barakach, które łagodziły okropne zimno, przeżyli, bo ubrani byli w „zdobyte własnym sump-tem” filcowe buty zwane walonkami, kurtki – kufajki, futrzane rękawice i także czapki. Przeżyli, bo „karmieni” byli wiarą ojców i Bożą nadzieją, że wrócą „na ojczyzny łono”, do Polski, na Śląsk, do rodzinnego Lublińca. Nie ma – albo jest za mało – mowy o jego powojennych losach, o edukacji, pracy

i pasjach, o wielkiej wiedzy i osiągnięciach życiowych. Nie napisałem, bo w to trudno uwierzyć – że pan Michał wcale nie narzeka na „tych ludzi, którzy zgotowali im taki los”, przeciwnie wspomina Rosjan, prawie wszystkich, jako dobrych i życzliwych ludzi, którzy podobnie jak Polacy, byli w swoim kraju ciemieni. Nie można w krótkim artykule napisać wszystkiego. Jedno, co chciałbym podkreślić, to wielki humanizm – przebaczenie zła, które emanują we wspomnieniach Michała Wołoszczaka i jego współpracownicy – Sybiraków. Poznałem ich jako wielką, kochającą się rodzinę i dziękuję losowi, że moje życie zetknęło się z tymi ludźmi. Mogę powiedzieć, że jeśli większość z nas, ludzi Europy, będzie podobna do „Sybiraków” z Elbląga, to jest nadzieja że „wszyscy ludzie będą braćmi”, tak jak to zapisano – słowami w hymnie Zjednoczonej Europy.

Wspomnienie o śp. Henryku Dąbrowskim (1949–2011)

Świętej pamięci Henryka Dąbrowskiego znałem głównie z jego pasji oraz nieustających poszukiwań przeszłości, z jego wielkiej miłości do historii, ze szczególnym odniesieniem do kolei żelaznych. 23 października 2010 roku odbyło się w koszęcińskim Domu Kultury spotkanie miłośników Kolei Śląskich z okazji 125. rocznicy koszęcińskiego dworca. Głównym prelegentem był prof. dr hab. Stanisław Kozarski z Uniwersytetu Opolskiego. Pan Henryk Dąbrowski przyjechał tu z wystawą swoich muzealnych zbiorów dotyczących kolejnictwa. Stał za gablotami, planszami, witrynami i objaśniał, do czego poszczególne eksponaty kiedyś służyły, jak i skąd trafiły do jego ukochanego muzeum, które udało mu się zorganizować na dworcu w Herbach Nowych. Tu w Koszęcinie, wygłosił swoje płomienne – jak się okazało – ostatnie w swoim życiu przemówienie, które było przesłaniem dotyczącym szacunku i miłości do przeszłości. Mówił o konieczności ocalenia tego wszystkiego, co było, jest i pozostanie piękne, jeśli tylko ludzie tego nie zniszczą. Mówił także o cnotach kolejarza, o jego godności i zaszczytnej służbie. Takiego Henryka Dąbrowskiego – humanisty i intelektualisty – nie wszyscy znali, niektórzy myśleli, że był on tylko zwykłym zbieraczem staroci i za to głównie cenili jego hobby. Wtedy, w chłodne październikowe popołudnie nikt nie mógł przypuszczać, że za kilka miesięcy Henryka Dąbrowskiego zabraknie wśród nas. Żył za krótko, zaledwie 62 lata. Urodził się 10 lutego 1949 roku na ziemi olsztyńskiej, gdzie jego rodzice się osiedlili. Po ukończeniu szkoły podstawowej uczęszczał do technikum kolejowego, aby

podobnie jak jego ojciec i dziad, zostać kolejarzem. Później – praca na kolei w charakterze dyżurnego ruchu i aktywność społeczna na polu historii, ze szczególnym akcentem na zbiory muzealne dotyczące kolejnictwa. W listopadzie 2010 roku ciężko zachorował i po trzech miesiącach – w dzień po swoich 62. urodzinach – 11 lutego 2011 roku – zmarł. Jego szczegóły biograficzne – które powyżej w wielkim skrócie skreśliłem – zaczerpnąłem z książki pt. *Matka Boża w moim życiu*, gdzie w rozdziale „Zdażyłem na ostatnim przystanku”, Henryk Dąbrowski opisuje swoje zagmatwane karty biograficzne, zamykające się przedziałem czasowym – od szkoły średniej do lat 80. XX wieku. Pan Henryk, na czternastu zaledwie stronicach, opowiedział o sobie wszystko, „wyspowiadał” się Pani Częstochowskiej i czytelnikowi ze swojej – trwającej dobrych parę lat „wpadki” życiowej i dał nam receptę – potwierdzoną własnym przykładem – na godne, trzeźwe, religijne i radosne życie. A tym, którzy też wpadli w „pułapkę” Bachusa czy ateistycznego bożka pokazał, że zawsze można swoje życie wygrać i poukładać je na nowo, poprzez służbę Bogu i bliźniemu. Książkę tę – którą polecam każdemu – wypożyczył mi kolega Jan Ulfik, któremu, w dedykacji napisał: „W dowód głębokiej wdzięczności za okazaną serdeczność i pomoc wtedy, gdy inni mnie odtrącili”. Myślę – po przeczytaniu tej książki – że Henryk Dąbrowski był wielki i takim pozostanie – głównie przez to, że kiedyś zaznał „małości” i wyprostował się. Niewątpliwie muzeum i liczne spotkania historyczne, w których z radością uczestniczył są i pozostaną jego koronnym osiągnięciem. Ale, moim skromnym zdaniem, wygranie życia na nowo było czymś znacznie większym. Henryk Dąbrowski był człowiekiem ogromnie pracowitym i wdzięcznym za każde dobro. Za okazaną mu ludzką życzliwość potrafił dziękować bez końca. Najbardziej dziękował Bogu i jego matce, biorąc udział – jeśli nie przeszkodziły mu jakieś superważne sprawy – w codziennej mszy świętej na Jasnej Górze i uczestnicząc w Apelu Jasnogórskim. Już ciężko chory, brał jeszcze udział 7 listopada w tradycyjnej pielgrzymce kolejarzy na Jasną Górę, gdzie podczas mszy świętej czytał *Modlitwę Wiernych*. W swoim życiu służył Bogu, ludziom i to była dobra służba.

Przyjechałem po raz ostatni do krainy mego dzieciństwa

Dzisiaj – drogi czytelniku – pragnę znowu wrócić do mojego ukochanego tematu i z uporem maniaka kierować moje myśli i słowa – żeby nie powiedzieć – moją miłość – do najpiękniejszego miejsca pod słońcem – Małej Ojczyzny. Małej

Ojczyzny – zawsze pisanej przeze mnie z wielkiej litery, abyś zrozumiał, że chodzi mi o *Heimatland*. Tytuł artykułu został sformułowany w nawiązaniu do wypowiedzi dra Ferdinanda Kuby – syna byłych właścicieli Sadowa, który 20 października 2015 roku przyjechał – jak mówił – po raz ostatni odwiedzić rodzinne strony. To zdanie słyszałem od mojego inteligentnego gościa z Niemiec wiele razy, ostatni raz napisał je w e-mailu, odpowiadając mi na wiadomość o śmierci śp. wójta Grzegorza Ziaia. Proszę wybaczyć, że napiszę je w oryginale. Czynię to, abyśmy się mogli przekonać, jak piękny jest język, jeśli mówi nim wspaniały człowiek, który przecież przez ponad 30 lat – mieszkając w Paryżu i pracując tam w Europejskim Instytucie Ekonomii mówił po francusku. Tu chodziło o coś więcej niż posłużenie się klasyką mowy, tu chodziło przede wszystkim o miłość do ojcowizny, do tego, o czym Mickiewicz powiedział „Połały się łzy me czyste, rzęsiste. Na me dzieciństwo sielskie, anielskie...”. Doktor Ferdinand Kuba urodził się w Sadowie i tu – będąc po wielu latach na ojcowiznie mogła się niejedna łza w oku zakręcić.

„Lieber Herr Myrcik!

Haben Sie vielen Dank für die so traurige Nachricht vom Tode Ihres Bürgermeisters. Für die beigefügten Fotos bedanke ich mich ganz besonders. Sie rufen nochmals die Erinnerung wach an den Besuch in der alten Heimat und die Stunden die ich mit Ihnen gemeinsam verbringen konnte”¹².

Czego szukał dr Ferdinand Kuba na ziemi lublinieckiej? Co go – starszego już pana – przywiodło na niespełna trzy dni do krainy swego dzieciństwa – do Lublińca, Cieszowej, Koszęcina, a nade wszystko do Sadowa, gdzie się przed 83 laty urodził i gdzie do stycznia 1945 roku chodził do szkoły? To wspomnienia z dzieciństwa, które nie dawały spokoju. Sam, w pojedynkę przyjechał swoim samochodem, wędrując w jesienny, deszczowy czas przez czeską Pragę, Wrocław i inne miejscowości do swojej Małej Ojczyzny, w której spędził tylko 11 lat swego – poszarpanego wojną – życia.

Spotkaliśmy się, po raz pierwszy w życiu (choć znamy się z „komputera” ponad cztery lata) w lublinieckim zamku, gdzie w miejscowej restauracji spożywaliśmy najbardziej wyszukane przysmaki. Ale te kilka godzin były poświęcone raczej historii, zabytkom, ludziom. Wcześniej tego dnia,

12 Szanowny panie Myrcik!

Serdeczne dzięki za tę smutną wiadomość o śmierci śp. Waszego Wójta. Za załączone zdjęcia pragnę szczególnie podziękować. One po raz wtóry przypominają moje odwiedziny w Starej Małej Ojczyźnie i godziny, które wspólnie z panem mogłem tam spędzić.

przejeżdżając przez Lubliniec, pan Ferdinand poszukiwał miejsca, gdzie stał „jego” ewangelicki kościół (zniszczony w latach powojennych), szukał miejsca – zniszczonego po wojnie – protestanckiego cmentarza, gdzie stał grobowiec rodzinny. Następnego dnia byliśmy w sadowskiej szkole na nie-samowitej lekcji, przygotowanej perfekcyjnie przez nauczycielkę Elżbietę Kawę-Dziembałę i jej uczniów. Lekcja odbyła się w klasie, w której ponad 70 lat temu uczył się Ferdinand Kuba. Usiadł dokładnie „na swoim miejscu”. Widziałem zadumę w jego „zamglonych” oczach, w których perliły się łzy mocnych wspomnień. Wszyscy – my „dwaj starsi panowie”, dzieci i nauczycielka przeżyliśmy żywą i niezapomnianą lekcję historii o Małej Sadowskiej Ojczyźnie. W godzinach popołudniowych zwiedziliśmy Cieszowę (która kiedyś należała do rodziny Kubów), zaś o godzinie piętnastej byliśmy „na kawie” u wójta Ziai. Wspaniała, niezapomniana godzina pełna historii, teraźniejszości i planów na przyszłość, której niestety już nie będzie. Wszystko zabrała śmierć wspaniałego człowieka śp. Grzegorza Ziai. I znowu cisną się na usta jakże prorocze słowa księdza-poety Twardowskiego: „Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”. Bogu dzięki – myśmy jeszcze zdążyli... Ku mojemu zdziwieniu gość z Niemiec posługiwał się dość poprawnie akademickim językiem polskim. Okazało się, że jako młody doktor nauk ekonomicznych odbył w latach 60. XX wieku roczny staż na Uniwersytecie Jagiellońskim, zapoznając się głównie z polską ekonomią i gospodarką. Następnego dnia Ferdinand Kuba wyjechał pełen wrażeń do swojego domu położonego w Degerndorf, niedaleko Brannenburgu.

Podobnie jak Ferdinand Kuba, także inni dawni mieszkańcy Koszęcina i okolic, a często ich potomkowie przyjeżdżają do starego *Heimatu*, aby jak to mówiła niedawno zmarła Hedwig Cebulska – „podładować baterie” koszęcińskim słońcem. Rodziny Cebulskich, Zoporowskich, Żyłów, Odojów, Kucharczyców, Kirschnerów, Kowolików, Graulów, Obstów i innych, gościły w Koszęcinie szukając tu swoich korzeni i wspomnień. Byli wśród nich katolicy i protestanci. Zawsze odwiedzali pałac, kościoły i nade wszystko cmentarze. Szukali grobów swoich przodków, których od dawna nie było. Zniszczono je we wczesnych powojennych latach... bo były niemieckie. Na ewangelickim cmentarzu w Koszęcinie, gdzie znajdowało się do 1945 roku około 120 grobów przeważnie z pięknymi pomnikami, dziś nie ma nic. Hartmut Obst – niemiecki archiwista należący do czwartego pokolenia byłych rodzin kucharzy w pałacu – znalazł część pomnika swoich przodków. Powiedział jednak do mnie – naturalnie po niemiecku: „Mogliście nam chociaż zostawić ten kawałek ziemi, gdzie leżą kości naszych bliskich, ale wszystko

przywłaszczyliście sobie”. Po chwili przeprosił za ten zwrot, ale nie miałem do niego pretensji, bo to była prawda. Brak nam jeszcze ciągle tolerancji, brak nam szacunku do przeszłości, brak nam znajomości historii śląskiej krainy, jakże innej od pozostałych regionów Polski, naszego przecież kraju. Ale, kończąc te wspomnienia, powiem do wszystkich ziomków rozsianych po świecie: Przyjeżdżajcie do starego *Heimatu*, do naszej wspólnej Małej Ojczyzny. Zawsze usłyszycie: „Serdecznie witamy!” *Herzlich Willkommen!* I już na koniec słowa ostatniej zwrotki hymnu gminy Koszęcin, autorstwa Jolanty Pilarskiej:

*O, koszęcińska ziemia rodzinna
Najbliższa sercu i duszy
Bądź pozdrowiona i pochwalona
Stąd ja się nigdzie nie ruszę.*

Refren:

*A moja ziemia, jak zapisana księga
Każdego dnia otwiera się cała
W niej ludzie, domy, drzewa, rzeki wstęga
To wszystko jest Ojczyzna moja Mała.*

Ludzie w białych fartuchach

O służbie zdrowia jest od pewnego czasu głośno w Polsce. Ludzie narzekają, że powinno być lepiej, że jest za drogo, pracownicy służby zdrowia walczą o lepszy byt dla siebie. Z pewnością i jedni i drudzy mają rację. Być może, że planowana reforma w tej dziedzinie zmieni wszystko ku lepszemu. Ale zanim to nastąpi, chciałbym czytelnikom przypomnieć bogate dzieje lecznictwa w Koszęcinie. Powspominać, jak to dobrze było za księcia, jak było później i jak jest dzisiaj.

Pisałem już nieraz na łamach naszej parafialnej gazety o przeszłości Koszęcina w różnych dziedzinach życia społeczno-kulturalnego. Prawie zawsze przeszłość była lepsza od teraźniejszości. Podobny, pozytywny obraz rysuje się także w lecznictwie i opiece zdrowotnej. Już w połowie XIX wieku koszęcińscy panowie wybudowali szpital i dom starców przy ulicy Dąbrówki (oba bardzo piękne architektonicznie i funkcjonalne budynki zniszczono w latach 60. naszego wieku, stawiając na ich fundamentach ośrodek zdrowia

i dawną „porodówkę”. Księżna Luiza zorganizowała – także przy tej ulicy – duży sierociniec. W 1876 roku książę Fryderyk zu Hohenlohe wybudował przy dzisiejszej ulicy Ligonia „dom lekarza”, a przy ulicy Sobieskiego aptekę. W początkach XIX wieku nasi panowie wybudowali przy kapliczce obok budynku gminy „szpital” służący starszym, schorowanym ludziom. Podobne obiekty postawiono również w Boronowie i Tworogu, miejscowościach należących do dóbr koszęcińskich. Ten ostatni budynek stoi do dnia dzisiejszego, stanowiąc obiekt zabytkowy. Można zatem śmiało powiedzieć, że mieliśmy w XIX wieku – jak na ówczesne warunki – dużo lepszą od dzisiejszej bazę służby zdrowia.

Miał Koszęcin również wielu zacnych i oddanych lekarzy, którzy w służebnej pracy dla bliźnich strawili tu swe zawodowe życie. Było w Koszęcinie również wielu zasługujących na wspomnienie aptekarzy. Może najpierw kilka słów o tych ostatnich.

26 lutego 1877 roku uzyskano od Królewskiej Rejencji w Opolu zgodę na prowadzenie apteki. Petycję w tej sprawie podpisał osobiście sam książę Fryderyk a także 1716 obywateli z 19 wiosek, od Olszyny po Kalety, Woźniki, Tworóg i Sadow. Pierwszym aptekarzem był Hermann Sauer z Woźnik, który dzierżawił budynek od zamku. Przez następnych kilka lat – kupiwszy budynek od księcia – aptekę prowadził Jerzy Kolov. Kolejnymi aptekarzami i właścicielami budynku byli: Paweł Klinke, Jerzy Steinhof, Gustaw Krasse, Bolesław Wicherski i Franciszek Ciesielski. W 1910 roku aptekę zakupiła rodzina Burzyńskich, która swym fachem służyła mieszkańcom Koszęcina i okolicy przez prawie 60 lat. Obecnie właścicielem tego prawie historycznego budynku jest rodzina Odojów.

Pierwszym stałym lekarzem w Koszęcinie, zatrudnionym przez pałac w 1878 roku, był dr Augustyn Janus. Opiekował się wszystkimi poddanymi księcia, kierował szpitalem, był także położnikiem i chirurgiem. Należy tu również wspomnieć długoletnich, wspaniałych lekarzy: doktorów Skupe i Mige, którzy posługiwali w Koszęcinie do 1940 roku. W czasie wojny lekarzem był doktor Worth. Od wczesnych lat powojennych do 1972 roku, lekarzem Koszęcina był doktor Zygmunt Izdebski, troskliwy lekarz i wielki społecznik. Następnym długoletnim lekarzem naszej miejscowości był doktor Roman Gabryś, także zasłużony dla naszego zdrowia. Jego córka i syn poszli w ślady ojca, obierając ten sam fach. Trzeba również wspomnieć lekarkę Rutę Rak, która latami dbała o zdrowie naszych najmłodszych. O nasze zdrowie dbają także mieszkający od lat w Koszęcinie, chociaż pracujący w lublinieckiej służbie zdrowia, doktor Jerzy Półtorak i doktor Henryk Susza. Obecnie

koszęcińska służba zdrowia jest w „rękach” ludzi, którzy się tutaj urodzili, których my znamy i którzy nas znają. Najmłodszymi opiekuje się doktor Adam Konina, zaś lekarzem ogólnym jest doktor Stanisław Izdebski, którego matka od wielu lat kieruje laboratorium przy ośrodku zdrowia. Apteka przy ulicy Powstańców Śląskich należy do koszęcianki – Anny Kwiecińskiej. Wszystkim tym, którzy odeszli już na zawsze, i tym, którzy odpoczywają po trudach pięknej i odpowiedzialnej służby dla bliźnich w medycznym fachu, jesteśmy winni naszą wdzięczność. Tym zaś, którzy aktualnie dbają o nasze zdrowie, życzymy wiele radości i zadowolenia z pracy w białych fartuchach. Niech dalej swoją odpowiedzialną pracą zapisują chlubne karty koszęcińskiej służby zdrowia, zapoczątkowanej 150 lat temu.

Inwentaryzacja obiektów zabytkowych w powiecie lublinieckim

Materiał przygotowano na posiedzenie Komisji Oświaty, Sportu, Turystyki i Kultury w dniu 29 marca 2001 roku

W nawiązaniu do złożonej na posiedzeniu Komisji Oświaty, Sportu, Turystyki i Kultury w dniu 14 grudnia 2000 roku informacji dotyczącej inwentaryzacji obiektów zabytkowych na terenie powiatu lublinieckiego, pragnę przypomnieć cel oraz przebieg dotychczasowych prac w tym zakresie:

- celem podstawowym podjętego przez Komisję – a zaakceptowanego przez Radę i Zarząd Powiatu Lublinieckiego – zadanie zinwentaryzowania obiektów zabytkowych z terenu powiatu było stwierdzenie aktualnego stanu tej substancji kultury materialnej, jej kondycji technicznej, zagospodarowania i podporządkowania instytucjonalnego. Zainteresowaniem Komisji było także stwierdzenie zniszczonych obiektów i ewentualne wprowadzenie pod ochronę prawną nowych zabytków architektury;
- inwentaryzację przeprowadzała powołana Komisja, w skład której wchodził członkowie Rady Powiatu, przedstawiciele poszczególnych gmin oraz delegowani pracownicy Konserwatora Zabytków – Oddział w Częstochowie.

Z ramienia Powiatu w pracach komisji uczestniczyli: Piotr Chmiel, Henryk Gruca, Bogusław Hrycyk, Eugeniusz Bąk, Jan Myrcik. Konserwatora Zabytków reprezentowali: Stefan Zaleski, Małgorzata Panek i Włodzimierz Sikora.

Z ramienia gmin udział w pracach komisji wzięły następujące osoby: Bronisław Kucharczyk – gmina Boronów, Krystyna Bartocha – gmina Herby, Gabriela Brzezina – gmina Ciasna, Henryk Kukowka – gmina Pawonków, Gabriela

Lupa – gmina Kochanowice, Andrzej Dybała – gmina Koszęcin, Piotr Kalinowski – miasto gmina Woźniki, Teresa Janik i Edmund Gruca – miasto Lubliniec.

Inwentaryzacja przebiegała bardzo sprawnie przy zaangażowaniu jej członków i życzliwości wójtów i burmistrzów.

Konieczny jest drugi etap inwentaryzacji mający na celu sporządzenie aktualnego stanu chronionych obiektów, przy uwzględnieniu nieistniejących zabytków i wprowadzeniu pod ochronę nowych, zaproponowanych przez Komisję, Konserwatora i władze terenowe budynków. W tym celu konieczny jest kontakt z Konserwatorem Zabytków – Oddział w Częstochowie i władzami terenowymi. Zadaniem Komisji Oświaty Sportu, Turystyki i Kultury byłoby zwołanie wspólnego posiedzenia Komisji z przedstawicielami miast i gmin celem zaproponowania katalogu obiektów chronionej kultury materialnej z terenu powiatu lublinieckiego. Proponowany termin tego spotkania – czerwiec 2001 roku. Rozpoczęcie działalności Ośrodka Kultury i Edukacji Regionalnej „U Myrcika” z siedzibą w Koszęcinie planowane jest na 3 maja 2001 roku. Ośrodek powstanie w pomieszczeniach prywatnych i będzie prowadzony jako podmiot gospodarczy przy pewnej pomocy organizacyjnej powiatu.

Bazą ośrodka będzie Śląska Izba z drugiej połowy XIX wieku, stała ekspozycja polskiego stroju ludowego, pomieszczenie muzealne i kiosk z pamiątkami regionalnymi. Praca ośrodka będzie polegała na prowadzeniu lekcji dla zorganizowanych grup z dziedziny historii i kultury regionu śląskiego oraz wycieczek terenowych, mających na celu poznanie obiektów zabytkowych, pracy zespołu „Śląsk”, rodzimej przyrody itp. Planuje się także prowadzenie w instytucjach oświatowych z terenu powiatu pogadanek, konkursów wiedzy o regionie, konkursów plastycznych i innej działalności mającej na celu pogłębienie wiedzy o ziemi lublinieckiej.

Mrówcza praca Henryka Pikosa

Skorowidz do ksiąg metrykalnych parafii NSPJ w Koszęcinie

Od wieków każda parafia prowadzi księgi metrykalne, do których zaliczamy: księgi chrztów, księgi małżeństw i księgi pogrzebowe. Są to – oprócz wielu innych dokumentów prowadzonych przez proboszczów – bardzo ważne, nie tylko z religijnego punktu widzenia materiały, zawierają one również nieocenione personalia, a także historyczne, lingwistyczne, migracyjne

i inne wzmianki. Badacze mogą się zorientować np. ile dzieci rodziło się w Koszęcinie 100, 150 lat temu, jak liczne były rodziny, jakie nazwiska dominowały, jakie nadawano imiona, jaki był wiek małżonków, jakie posiadali zawody, ile ludzi umierało przedwcześnie itd. itp.

Losy historyczne ziemi śląskiej sprawiały, że księgi były zapisywane najpierw łaciną (takich ksiąg nasza parafia nie posiada), później czechizmami, a następnie przez całe wieki niemieckim gotykiem (zdarzało się, że w niektórych starych księgach można spotkać obok niemieckich, także polskie zapisy). I tu właśnie współczesne pokolenia mają kłopoty. Trudno jest z jednej strony czytać rękopisy dawnych proboszczów, którzy czasem mieli *Handschrifty*, jak przysłowiowi aptekarze, jeszcze trudniej rozszyfrować pismo gotyckie, z przeróżnymi ozdobnymi zakrętasami i ozdobnikami. Już tylko nieliczni radzą sobie z gotykiem. Na pewno są to ci, którzy uczyli się tego w szkole¹³. Pokolenia, które do czasu przyłączenia Górnego Śląska do Polski (1922) pisały wyłącznie niemieckim gotykiem, niestety już wymarły. Dzisiaj, nawet w niemieckim systemie szkolnym nie uczy się tego pisma. Wiem również, że wydziały germanistyki na polskich uczelniach nie uczą gotyku (?).

Dlatego opracowanie skorowidza do niemieckich ksiąg metrykalnych jest błogosławieństwem dla przyszłych badaczy, a także dla księży proboszczów (bo nasi koszęcińscy farorze są ostatnimi, którzy uczyli się tego pisma w szkołach). Skorowidz opracowany przez Henryka Pikosa jest iście benedyktyńskim dziełem. Obejmuje dane od 1868 roku do końca XIX wieku, a więc czas, w którym Koszęcin posiadał już pełne prawa parafialne¹⁴. Pan Henryk opracowuje obecnie ostatnie 23 lata ksiąg chrzcielnych (1901–1923), a później być może „weźmie się” za księgi małżeństw i zgonów. A więc ogrom pracy na długie miesiące... a może lata. Ale jestem pewien, że to praca dla przyszłych pokoleń.

Skorowidz zapisany jest na 124 stronach formatu A4 i zawiera dane prawie 5 tys. osób, które urodziły się w parafii koszęcińskiej w latach 1868–1900¹⁵. W imieniu tych, którzy dzięki pozwoleniu ks. bpa ordynariusza i naturalnie za zgodą ks. proboszcza mogą przeglądać od czasu do czasu te księgi, serdecznie panu Henrykowi dziękuję za skorowidz, który ks. prałat Tadeusz Fryc nazwał „pracą średniowiecznego mnicha”.

13 Pragnę przypomnieć, że wszyscy Ślązacy, którzy w czasie ostatniej wojny podlegali obowiązkowi szkolnemu, uczęszczali do niemieckiej szkoły i tam, co najmniej przez pierwszy rok obowiązywał gotyk.

14 Wcześniejsze księgi metrykalne znajdują się w sadowskiej parafii.

15 W tym czasie do parafii należały miejscowości: Strzebiń, Drutarnia i wiele innych wiosek i przysiółków.

O dobroci Bożej

Od mojego niemieckiego przyjaciela Manuela Aichera – mieszkającego od wielu lat w pięknej Szwajcarii – otrzymałem kartę świąteczną, na której brak jest tradycyjnych symboli wielkanocnych. A jednak karta ta sprawiła mnie i mojej rodzinie ogromną radość. Na tej niekolorowej karcie widać brzeg morski, na którego piaskach odbite są ślady ludzkich stóp. Symbolikę tego obrazu wyjaśnia zamieszczony obok tekst przetłumaczony z amerykańskiego anonimu (tak podaje wydawca) przez Jürgena Schwarca na niemiecki. Ja z kolei (może trochę nieudolnie) przetłumaczyłem tę piękną opowieść na polski. A brzmi ona następująco:

Żył kiedyś na świecie pewien człowiek, któremu śniło się, że wędrował z Dobrym Bogiem wzdłuż brzegu morskiego. Gdzieś, hen na niebie, widział dzieje swego życia, które jak w filmie odcinkowym poczynają się od beztrudnego dzieciństwa, poprzez wiek dojrzały, do późnej starości. Widział – i ciągle się ten obraz powtarzał – odcisnięte na wilgotnym piasku ślady stóp dwójki wędrowców. Jeden ślad był odbiciem Boskich stóp, drugi należał do niego. Kiedy na niebie pojawił się ostatni odcinek jego życia, spojrzał jeszcze raz wstecz na ślady stóp wędrowców. Zobaczył z przerażeniem, że często rysował się tam tylko jeden ślad, a dotyczyło to tego okresu jego życia, kiedy było mu najtrudniej, kiedy „walił się świat”.

Wtedy zwrócił się do Boga tymi słowy: „Gdy zdecydowałem się swego czasu iść z Tobą przez życie, zapewniłeś mnie o Twojej stałej obecności, o towarzyszeniu mi w chwilach dobrych i złych. Jednak w ciemnych okresach mego życia, na piaskach brzegu morskiego znajduje się tylko jeden ślad, co świadczy o tym, że wtedy nie było Cię przy mnie, że zostawiłeś mnie własnemu losowi?” Wtedy usłyszał odpowiedź Dobrego Boga: „Mój drogi przyjacielu, kocham cię. Nigdy nie zostawiłem cię samemu sobie. W tym czasie kiedy czułeś się samotnym i opuszczonym, kiedy widziałeś tylko jeden ślad odbitych stóp, wtedy brałem cię w moje ramiona i przenosiłem przez kręte ścieżki twego życia w bezpieczne miejsce”.

Na piękne święta Wielkanocy życzę czytelnikom „Gazety parafialnej”, aby ich życie odbijało się zawsze dwoma śladami. A jeśli przyjdą takie chwile, że na „zabrudzonych piaskach naszego życia”, pojawi się tylko jeden ślad, to niech to będzie ślad Zmartwychwstałego.

Opowieść wigilijna

I znowu oczekiwane Boże Narodzenie. Poprzedzi te najpiękniejsze ze świąt, kolejny w naszym życiu wieczór wigilijny, ten najbardziej oczekiwany czas dla wierzących, ale także dla ignorantów – bo w tę Świętą Noc narodzi się dla wszystkich bez wyjątku, ludzi Bóg-człowiek Jezus Chrystus. Znowu zabłyszczą światełka na strojonej choince, a kiedy na grudniowym niebie ukaże się pierwsza gwiazda, zasiądziemy do wieczerzy wigilijnej. Zostawimy – jak każe tradycja – jedno wolne krzesło dla ewentualnego, niespodziewanego gościa. O północy usłyszymy znowu najradośniejszą anielską nowinę „Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”. Dzięki Bogu żyjemy od dziesiątków lat w pokoju, ale nie zawsze tak było. Były lata wojen i kataklizmów, szczególnie straszne były lata II wojny światowej, które jeszcze wielu czytelników „Ziemi Lublinieckiej” pamięta z autopsji. Być może wyłonią się z naszej pamięci w ten świąteczny czas niespokojne, a może tragiczne święta Bożego Narodzenia, bez bliskich przy skąpo zastawionym stole wigilijnym. Być może zjawia się w naszej podświadomości postaci z dawno przeczytanej *Opowieści wigilijnej* Karola Dickensa – stary skąpiec Ebenezer, uosabiający zło i jego uczciwy współpracownik Jakub, będący wcieleniem dobra. Wiemy, że w powieści zwyciężyło dobro, pragniemy też, żeby zawsze dobro zwyciężało. Chciałbym dzisiaj – w ten świąteczny czas – przedstawić państwu „wojenną opowieść wigilijną”, która została zapisana przez okrutny wojenny los w Wigilię 1944 roku. Może dotyczy ona także poległych chłopców z ziemi lublinieckiej, którzy musieli tam walczyć, a na pewno dwudziestoletniego wówczas Józefa Pilarskiego z Koszęcina, który tam wówczas poległ. Przetłumaczyłem tę opowieść z niemieckiego miesięcznika katolickiego „Schlesien in Kirche und Welt” – nr 6/2006.

Zagubieni goście na wigilii w 1944 roku

Dwunastoletni wówczas Fritz Vincken mieszkał ze swoją matką, od czasu totalnego zbombardowania przez aliantów rodzinnego miasta Aachen, w małym stojącym na ustroniu domku, w pobliżu ówczesnej granicy niemiecko-belgijskiej. Tam właśnie, w Ardenach, rozegrała się w okresie Bożego Narodzenia w 1944 roku straszna bitwa, stoczona między żołnierzami amerykańskimi i niemieckim Wehrmachtem. Poległo wówczas po obu stronach ponad 100 tys. żołnierzy. Było krótko przed północą. Matka Fritza zaświeciła dopiero co świece na mizernym, wigilijnym stole, gdy ktoś załomotał do drzwi. Gospodyni ostrożnie otworzyła drzwi prowadzące na ogród. Tam zobaczyła

dwie żołnierskie postaci, stojące w pełnym uzbrojeniu obok ogrodowych drzew. Po chwili dostrzegła trzeciego, leżącego w głębokim, zabarwionym krwią śniegu. Żołnierze bezskutecznie próbowali nawiązać kontakt z gospodynią, ale ona nie rozumiała ich języka. Otworzyła szerzej drzwi i gestem poprosiła ich do środka, poprosiła także, aby broń zostawili w skrzyni na drewno stojącej w sieni. Dwójka Amerykanów usiadła przy stole, ich ciężko ranny, wykrwawiony kolega zasnął na łóżku Fritza. Kiedy wybiła północ, znowu łomotano do drzwi. Przerażona gospodyni zobaczyła czwórkę zmarzniętych w dwudziestostopniowym mrozie niemieckich żołnierzy, także mocno uzbrojonych. Zaprosiła ich do środka, prosząc, aby broń zostawili w skrzyni na drewno. Posłuchali. Najstarszy z nich, 23-letni podoficer, podszedł do rannego Amerykanina. Mówił płynnie po angielsku i fachowo zaopatrzył jego rany. Zanim parę miesięcy temu zaciągnięto go na wojnę, studiował w Heidelbergu medycynę. Siedzieli razem przy wigilijnym stole wrogowie, którym kazano się wzajemnie mordować. Ale w tę szczególną noc, siedzieli obok siebie, przez kilka nocnych godzin bardzo młodzi mężczyźni, żeby nie powiedzieć – dzieci. Wczesnym rankiem pożegnali się i każdy ruszył szukać „swoich”. Poszli znowu w piekło wojny. W 1966 roku, już historyk Fritz Vincken, po długich poszukiwaniach odnalazł dwoje Amerykanów – Ralpha i Jima. Z czwórki niemieckich żołnierzy nie znalazł nikogo. Można domniemywać, że wśród tej czwórki ubranych w wehrmachtowskie mundury chłopców, był – prawdopodobnie – może poległy wtedy Józef Piłarski z Koszęcina albo jego kolega z Lublińca, o którym w ostatnim liście do matki wspominał: „Kochana Matko, Ty się niy musisz ło mie starać, bo jo tam byda patszoł jakoś do dom psziś. Jak byda zaś na froncie, to wom niy byda pisoł. Tyla wom mogą ino pedzieć, że takiy szczęście jak jo tu miol to malo wto na froncie mo. My poszli na front cały nowy batalion, a nazot nos psziszło 14 chłopca. Teroz zech jest na granicy pszi Holandiii i za my dostali nowy *Ersatz*, to i może w nocy pošlom nos na front. Tak mi tu nic niy brakuje, a jest nos tu pora Slonzokow w kupie. Jest tu tyż jedyn z Lublińca i nom się tak wesolo wiedzie. Zyjcie z Bogiem i dejcie na mszo za mie i za brata Hanka, bo niy wiym jeżeli się jeszcze bydziymy widzieć”. Już się nie zobaczyli. Matka, po wielu latach poszukiwań otrzymała 18 czerwca 1965 roku powiadomienie z Deutsche Dienststelle w Berlinie, że syn Józef, żołnierz 3. Dywizji Szturmowej Wehrmachtu, poległ pod koniec 1944 roku niedaleko Den Heuvel.

À propos kolejowej wieży ciśnień w Koszęcinie
Na niej się jeszcze święty ogień żarzy...

Polski wieszcz Stanisław Jachowicz wołał przed stu pięćdziesięciu laty do swoich rodaków: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie”, zaś trochę później Adam Asnyk w wierszu *Do Młodych* powiedział m.in.: „Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy, Choć macie sami doskonalsze wznieść; Na nich się jeszcze święty ogień żarzy, I miłość ludzka stoi tam na straży, I wy winniście im cześć.”

Pod koniec lutego 2011 roku zobaczyłem na wybudowanej w 1884 roku kolejowej wieży ciśnień w moim rodzinnym Koszęcinie, żółtą tablicę z napisem: „Obiekt w likwidacji. Wstęp wzbroniony. Grozi śmiercią”. I przeraziłem się! Myślałem najpierw, że to może Wojewódzki Konserwator zawiesił tablicę z napisem: „Zabytek architektury. Należy otoczyć opieką”. Wtedy przypomniał mi się Asnyk i zrodziła się w mojej głowie mała parafraza do jego słów: „Na niej się jeszcze święty ogień żarzy”. „Ogień” kolejarskich serc, których w Koszęcinie było parę setek. Jeszcze tu żyją maszyniści, którzy „tankowali” tam wodę do swoich parowozów. Ta wieża jest dla koszęcinian i dla wielu miłośników dawnych czasów niczym wieża antycznego kościoła, z życiodajną wodą, która napędzała cywilizację na śląskiej ziemi. Wiem, że tam, niedaleko kościoła Trójcy Świętej, przy wieży – „miłość ludzka stoi na straży”.

Przypomniało mi się także jedno z moich cyklicznych spotkań, które także miałem przyjemność prowadzić. Poświęcone było śląskim kolejom i dworcom. Pełna sala widowiskowa miejscowego domu kultury, wielu zacnych ludzi w kolejarskich mundurach i jeden szczególny gość, który wówczas w Koszęcinie miał swoją ostatnią wystawę w swoim życiu – śp. Henryk Dąbrowski, założyciel i kustosz kolejarskiego muzeum w Herbach. Rozmawiałem wtedy z Helmutem Klabisem – dyrektorem jednej ze struktur PKP – właśnie o owej wieży. Za parę dni – po obejrzeniu „żółtej tablicy” – zadzwoniłem do niego trochę niepewny... i otrzymałem numer telefonu do bardziej kompetentnej osoby w tej sprawie – dyrektorki Jolanty Michalskiej. I okazało się, że szefowie w kolejarskich mundurach mają bardzo ludzkie i życzliwe serca.

Myślę, że wszystko jest na dobrej drodze, że wieża będzie dalej stała i wkrótce zobaczymy na tej pięknej, historycznej budowli tablicę: „Obiekt zabytkowy”. Sprawą zajął się wójt gminy – Grzegorz Ziaja. Wierzę mu.

Najnowsza publikacja Henryka F. Spornia **Zgoda buduje, niezgoda rujnuje**

O Henryku Sporniu pisałem już na łamach „Ziemi Lublinieckiej” (nr 3/2013) w artykule pt. „Henryk Sporoń podarował bibliotekom 100 książek”, dziękując mu za bezinteresowny gest dla śląskich bibliotek i dla polskich i niemieckich archiwów. Wspomniałem wówczas krótko o jego życiu i twórczości, także o jego związkach z ziemią lubliniecką, szczególnie z pracą nauczycielską w Koszęcinie i w Rusinowicach. Dziś – przed zasadniczym tematem związanym z najnowszą publikacją autora – przypomnę czytelnikowi bardzo encyklopedycznie jego biogram:

Rocznik – 1926, zawód – nauczyciel historii i geografii, wykształcenie – Liceum Pedagogiczne w Tarnowskich Górach i studia pedagogiczne w Warszawie i w Katowicach, pasja – miłość do śląskiej Małej Ojczyzny, twórczość – publicystyka historyczna, m.in.: *Z rodzinnych stron i emigracji*, *W poszukiwaniu historycznej prawdy*, „Nowy Dziennik”, „Ulica Wszystkich Świętych” i wiele innych publikacji. Dodajmy jeszcze do tych skrótów biograficznych kilka wątków z trudnego życiorysu pana Henryka. Urodził się na Śląsku i tu ukończył szkołę podstawową przed II wojną światową. W wieku młodzieńczym wcielony do Wehrmachtu, ciężko ranny, „cudem” wraca w 1946 roku w rodzinne strony. Kończy szkoły i uczelnie pedagogiczne i pracuje jako nauczyciel. W okresie stanu wojennego internowany i więziony w Katowicach, Jastrzębiu-Zdroju, w Uhercach i w Rzeszowie Załężu. W 1983 roku wyjechał wraz z rodziną do Niemiec (bez prawa powrotu) i tam zamieszkuje do dzisiaj. Przynajmniej dwa razy w roku przyjeżdża na Śląsk, aby „naładować akumulatory” intelektu i odwiedzić licznych znajomych i – coraz mniej licznych – krewniaków.

Powyższy akapit mówi o ciężkim życiu Ślązaków i zagmatwanej historii śląskiej krainy, ale także o ważnych przymiotach ludzi tej ziemi, o naszych cechach, których nam zazdroszczą inni – pracowitości, życiu rodzinnym, religijności, a nade wszystko o wielkiej miłości do śląskiego *Heimatu* (termin „Mała Ojczyzna” jest za „mały” i – nieadekwatnie tłumaczony – aby ściśle określić ten najpiękniejszy skrawek naszej ojcowizny).

I teraz – także krótko – o książce Spornia noszącej tytuł *Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Polemistom pod rozważę*. Nie napiszę tu zdania, że może to jest ostatnia książka sędziwego wiekiem (...ale tylko wiekiem...) Henryka Franciszka Spornia. Chociaż, mówiąc szczerze, wiele wątków tej publikacji wskazuje na pewnego rodzaju „zamknięcie bilansu” i na podsumowanie płodnego

pióra. Książka – oparta jest głównie na przedrukach najważniejszych wątków z dwóch publikacji: *Z rodzinnych stron i emigracji* oraz *W poszukiwaniu historycznej prawdy*. Autor napisał w „Przedmowie” m.in. „Wybrałem z tych pozycji te teksty; listy, recenzje, felietony, które mają coś wspólnego ze Śląskiem. To znaczy dotyczą jego przeszłości, teraźniejszości, a czasem i życzeń dotyczących jego przyszłości”. Co zatem zawiera ta publikacja? Piękna okładka z własnoręcznie (chyba) nakreśloną mapą Górnego Śląska, interesujący „Wstęp” i niepowtarzalny, w wielu przypadkach niedościgniony i niestosowany przez innych autorów styl, i teksty składające się z niezliczonych wątków tematycznych, unikalnych wypowiedzi i treści listów wielce zasłużonych, znanych i uznanych ludzi. Książka jest odzwierciedleniem bogatego życia autora, jego błyskotliwości i pięknego języka. Publikacja jest przede wszystkim podręcznikiem dla „zaawansowanych”, jest – moim zdaniem – lekturą dla ludzi pamiętających te dzieje, które autor przedstawia. Sporoń chce nam to wszystko, co głównie dotyczy Śląska i Ślązaków utrwalić i – tak po cichu, między wierszami nam powiedzieć: „To jest mój mały testament, który macie nosić w umysłach i sercach i przekazywać następnym pokoleniom”.

Szanowny Panie Henryku, Drogi, Szanowny Przyjacielu, dziękuję za tę książkę. Myślę, że nie jest to ostatnia Pana *Ewangelia* dla Ślązaków. Życzę zatem zdrowia i czekam na następną publikację.

Artyści-kamieniarze z „Granitu”

Mocowanie się z kamieniem, najczęściej z najtwardszym – granitem, to codzienność w tym fachu. Jest w powiecie lublinieckim taki zakład, który przed dziesięciu laty pobił rekord europejski (i zajął II miejsce na świecie), wykonując dla Sztokholmu granitową kulę o przekroju 250 cm i wadze 26 ton. Produkty tej firmy zdobią place i kościoły wielu krajów, m.in.: Niemiec, Szwecji, Francji, Anglii, Danii, Ukrainy, a także Kuwejtu i Panamy. O tym zakładzie pisałem szerzej w „Ziemi Lublinieckiej” (nr 1/2008). „Granit” w Ciasnej odwiedziłem przypadkowo w listopadzie 2014 roku i znowu – podobnie jak osiem lat temu – zostałem zauroczony ludzką pracą, żeby nie powiedzieć etosem ciężkiej roboty. Ciężkiej – bo obrabiane tam gązły ważą po kilka i po kilkanaście ton. Zauroczył mnie także – po raz wtóry artyzm wykonywanych tam dzieł sztuki kamieniarskiej, szczególnie sakralnej.

W ogromnej hali „myśląca” maszyna szlifowała na przysłowiowy połysk górny blat ołtarza dla kościoła Bożego Ciała w Bytomiu Miechowicach. Sama (maszyna) dobierała głowice odpowiedniej granulacji, „zakładała je sobie”, i dozując odpowiednią ilość wody jeździła po gładzi i zakamarkach przyszełego Stołu Pańskiego. Inna ogromna maszyna cięła wielotonowy głaz na odpowiednie, wcześniej zaprogramowane wymiary, z których zmontowana zostanie wspanią i wielka fontanna. Przyglądałem się tej gigantomanii z zapartym tchem. Obserwowałem także – ubranego jak kosmonauta – nieznanego mi z nazwiska mistrza, który odpowiednim urządzeniem „wykuwał” kwiaty i różne symbole religijne na obramowaniu wykonanej z włoskiego marmuru Breccia Sarda ambony i chrzcielnicy, przeznaczonej dla bytomskiej świątyni.

Przypomniały mi się przysłowia: „Modlitwa i praca ludzi wzbogaca”, „Módl się i pracuj”, „Praca nie hańbi”, „Bez pracy nie ma kołaczy”, „W pocie czoła będziesz pracował”. Są ludzie, jest ogromna większość ludzi przekonanych o tym, że praca jest także błogosławieństwem, że praca – niezależnie od jej ciężaru – daje ludziom szczęście i radość. Żyjemy w czasach, w których wielu ludzi nie ma pracy, a w konsekwencji nie ma środków do życia. Tak dzieje się przeważnie z powodu egoizmu mniejszości tzw. „kapitalistów”, którzy nie chcą się dzielić ani pracą, ani chlebem, który jest owocem pracy. Ale to o czym powyżej wspomniałem jest już z „innej półki”. Dziś chylę czoła przed ludźmi, którzy pracując bardzo ciężko, czerpią z tego radość, a poprzez swoją pracę i dzieła, które wytwarzają, dają także innym radość. Swoim krótkim artykułem chciałbym także znobilitować rzemiosło i powiedzieć, że pracują tam często artyści, którzy – parafrazując trochę poetkę Marię Czerkawską – „wysiłkiem woli, rąk, myśli i dusz” służą swą pracą Bogu i ludziom.

Ze wspomnień rodzinnych

Dawne dzieje pożarnictwa w Koszęcinie

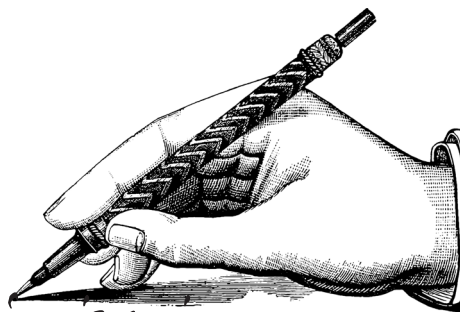
W domowych archiwaliach, w starych albumach fotograficznych i na wiszących kiedyś na ścianach rodzinnego domu obrazach przewijała się historia koszęcińskiego pożarnictwa. Wszystko w domu było podporządkowane ogromnej pasji i etosowi służby strażackiej mego ojca Franciszka Myrcika. Strażakiem-ochotnikiem został w 1917 roku, mając wówczas 16 lat. Wstąpił – podobnie jak wielu jego rówieśników – do pruskiej *Freiwillige Feuerwehr*, która

w Koszęcinie powstała co najmniej na przełomie XIX i XX wieku. Od 1923 roku – kiedy Koszęcin był już polski – ojciec służył w Ochotniczej Straży Pożarnej. Jego służba skończyła się w latach 70. XX wieku. Członkami tej zawsze apolitycznej organizacji byli przeważnie miejscowi kupcy, rzemieślnicy i częściowo urzędnicy, którzy mieszkali i pracowali w samym Koszęcinie. Każdy strażak posiadał w domu – w miejscu zarezerwowanym – wszystkie akcesoria potrzebne w razie alarmu. W zakładzie mego ojca stał przygotowany rower, nad nim wisiała trąbka-sygnałówka, „litewka” (górna część munduru), „kopa” (pas mundurowy) i skórzany hełm z dużą „klapą” skórzaną chroniącą szyję. W razie pożaru, w mgnieniu oka ubierał się w mundur, siadał na rower i ruszał ulicami Koszęcina trąbiąc umowny sygnał – inny na pożar w Koszęcinie, inny na pożar w sąsiednich miejscowościach, jeszcze inny na pożar lasu. Wszyscy strażacy czynili podobnie, po czym udawali się natychmiast na miejsce zbiórki. Konie do wozu strażackiego zabezpieczali wyznaczeni grafikiem rolnicy, którzy – niezależnie od tego, gdzie przebywali – w gospodarstwie czy na polu, po usłyszeniu sygnału udawali się błyskawicznie z zaprzęgiem do remizy. Dopiero w latach wojny Koszęcin otrzymał samochód strażacki i syrenę alarmową. Komendantami OSP w Koszęcinie od 1902 roku do lat 70. XX wieku byli: Spritzmeister Absalon, Spritzmeister Adolf Lesch i komendanci: Józef Kocyba, Franciszek Czok i Teodor Dreszer. Warto tu wspomnieć, że w trzech jednostkach OSP gminy Koszęcin – OSP Koszęcin, OSP Sadów, OSP Wierzbie – zachowały się do dziś konne sikawki z początku XX wieku.

PS Aktualnie w gminie Koszęcin czynnych jest sześć jednostek OSP zrzeszających łącznie około 300 strażaków „do akcji”: Koszęcin – 55 osób, Strzebiń – 50 osób, Sadów – 47 osób, Wierzbie – 67 osób, Rusinowice – 36 osób i Cieszowa – 35 osób. Wszystkie jednostki posiadają jeden albo kilka wozów bojowych, pełne wyposażenie bojowe i piękne obiekty strażackie.

część druga:

Wielcy ludzie naszej ziemi



Poeci ziemi lublinieckiej

W ostatnim numerze naszej „Gazety parafialnej” pisałem o języku w ogóle, a o śląskiej gwarze w szczególności. Dzisiaj chciałbym ten temat przenieść na ludzi pióra, których szczęśliwie na naszej ziemi działało wielu. Byli oni tu obecni już w początkach XVII wieku (Roździeński, Pistorius, Twardokus), ale szczególnie owocny był wiek XIX, kiedy to działali tutaj: Józef Lompa, Juliusz Ligoń, ks. Konstanty Damrot i Jan Nikodem Jaroń.

Pierwszą dwójkę z wyżej wymienionych pisarzy należałoby zaliczyć do twórców ludowych, którzy nie posiadając odpowiedniego wykształcenia, tworzyli raczej w języku rozumianym przez lud, „czymś” gwarowo-literackim. Natomiast Damrot (wykształcenie teologiczno-filozoficzne) i Jaroń (doktor prawa) zaliczani są do pionierów polskojęzycznej literatury i poezji lirycznej na Śląsku. Ciekawe, że choć ani jeden z omawianych lublinieckich poetów nie kończył polskich szkół, to jednak ich twórczość przepojona jest miłością do polskiej ojczyzny, której ani oni, ani ich przodkowie nie znali, bo na Śląsku Polski od XIII wieku nie było.

Język ojczysty wynieśli z domu rodzinnego i z Kościoła, i chociaż nie była to najpiękniejsza literacka mowa, to Ślązacy ją dobrze rozumieli. Zresztą nasi poeci potrafili tworzyć także w języku niemieckim, i wszyscy (może za wyjątkiem Ligonia) pisali w tym języku.

Pierwszym piszącym po polsku, a wywodzącym się z naszej ziemi poetą, był kuźnik Walenty Roździeński, syn Jakuba Bruśka, autor unikalnego dzieła *Officina ferraria...* wydanego w 1612 roku u Kempiniego w Krakowie. Badacze literatury są zgodni, że *Officina* jest pierwszym w Polsce i na świecie dziełem o etosie ciężkiej pracy, pisanym w języku narodowym – polskim.

Wielkim śląskim twórcą był Józef Lompa – nauczyciel i organista z Lubszy Śląskiej, autor i tłumacz wielu polskojęzycznych książek i podręczników do szkół elementarnych, organizator i korespondent licznych na Śląsku w XIX wieku gazet polskojęzycznych, także etnolog i badacz przeszłości naszej ziemi.

Szczególnie bliski Koszęcinowi jest urodzony w 1823 roku w przysiółku Prądy, Juliusz Ligoń. Ten kowal-poeta zasłynął z pięknych wierszy, sztuk teatralnych, publicystyki i ogromnej miłości do książek. Myślę, że piękniejszego wiersza o miłości do języka, o mowie polskiej nikt – nawet z tych uznanych polskich poetów – nie napisał.

[...]

*Mowo ojców mych wspaniała!
Któraż jak ty, doskonała?
Któraż giętsza, ozdobniejsza,
W słowach, rymach foremniejsza?*

*Żadnej dźwięk mnie nie ogłuszy,
Boś tyś jedna z serca, z duszy!*¹⁶

Najbardziej płodnym twórcą w dojrzałym pisarstwie, szczególnie w poezji, był – wywodzący się z Lublińca – ks. Konstanty Damrot. Zaliczany jest do najwybitniejszych śląskich liryków polskiego języka działających w XIX wieku. W swoich wierszach opiewał piękno ojczystego kraju, tęsknotę za przeszłością ziemi śląskiej, przyrodę, ale nade wszystko chwalił Boga.

<i>Niech przypomną wam te świeże Kwiaty hasło śląskiej ziemi, Że przy ojców mowie, wierze Aż do zgonu stać będziemy.</i>	<i>Niech przypomną prawdę starą: Że nie cudem, ale trudem, Miarą, wiarą i ofiarą Zostaniemy wolnym ludem.</i>
--	---

Jan Nikodem Jaroń, którego doczesne szczątki spoczęły w 1923 roku na lublinieckim cmentarzu, należy – podobnie jak Damrot – do ścisłej czołówki śląskich poetów. Urodzony w 1881 roku pod Olesnem, spędził swe krótkie życie z dala od śląskiej ziemi, wracając tu dopiero na krótko przed śmiercią. Jaroń pisał dramaty, uprawiał publicystykę, miał się także innej twórczości literackiej, ale największą sławę przyniosła mu poezja, szczególnie liryka miłosna i patriotyczna. W tomiku *Z pamiętnika Górnoślązaka* napisał:

<i>Ukochałem śląski lud Że przetrzymał twardy trud I nawały wszystkie zmógł, Tak, że zadrżał przed nim wróg.</i>	<i>Ukochałem szczęk i dym, Gdzie rodacy młotem swym Rozkuwają łańcuch swój I gotują się na bój.</i>
--	---

Mówiąc o ludziach słowa naszej ziemi, trzeba również wspomnieć wybitnego kaznodzieję z Tworoga (ta miejscowość również należała kiedyś do dóbr koszęcińskich), który w pierwszej połowie XIX wieku głosił słowo Boże

¹⁶ Juliusz Ligoń, *Mowa ojczysta*.

w języku polskim. Swoje kazania ks. Andrzej Zagłówek spisywał w grubym brulionie znajdującym się dziś w archiwum Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Oprócz dziesiątków homilii głoszonych w różnych miejscach, znalazłem tam kazanie wygłoszone podczas odpustu kościoła Trójcy Świętej 2 czerwca 1823 roku.

Należy podkreślić, że wszyscy nasi poeci pisali głównie w języku zrozumiałym dla ludu. Dlatego ich twórczość jest tak cenna i bezcenna zarazem. Powyższe słowa niech potwierdzi fragment wiersza Juliusza Ligonia z poematu *Obrona Wiednia...*¹⁷:

[...]

*Proszę więc przyjąć tę pracę małą,
Choć dla uczonych niedoskonałą,
Lecz dla was dobrą, ludkowie mili;
Wy byście górnych słów nie pojęli.*

Walenty Roździeński i jego *Officina*

Jednym z wielkich ludzi pióra naszej Małej Ojczyzny, który rozślawił ziemię koszęcińską na całą Europę, był kuźnik-poeta Walenty Roździeński. Jego rodowód wywodził się z miejscowości Brusiek.

Chociaż życie poety przypadało na lata około 1560–1622, to jednak do roku 1928 jego nazwisko nie było znane badaczom literatury. W roku 1612 wydano w drukarni u Kempiniego w Krakowie jedyne dzieło tego autora pt. *Officina ferraria, abo huta y warstat z kuźnikami szlachetnego dzieła żelaznego*. Książka ta „zniknęła” jednak wkrótce na kilka wieków. Jedyne egzemplarz został odnaleziony przez kanonika kapituły gnieźnieńskiej ks. Leona Formanowicza, który od 28 kwietnia 1927 do 1939 roku zarządzał archiwum i Biblioteką Kapituły Metropolitalnej w Gnieźnie. Formanowicz – według biografii spisanej przez ks. Józefa Nowackiego – „był przykładnym kapłanem i gorącym patriotą”, ale wiemy także z późniejszych badań, że był on także nieocenionym badaczem naszej literatury. Dzięki swej bogatej wiedzy, wybrano go w roku 1938 na członka Komisji Historycznej Polskiej Akademii Umiejętności.

17 Juliusz Ligoń, *Obrona Wiednia, czyli niemieckiego państwa i chrześcijaństwa przez króla polskiego 14 września 1863* – poemat z 1883 roku.

Właśnie temu człowiekowi zawdzięczamy wydobyć na światło dzienne dzieła Rożdżeńskiego. Znalazł on bowiem w „klocku” starodruków o sygnaturze „PL 178” jedyny egzemplarz *Officiny ferraria*. On też, jako pierwszy napisał o swoim odkryciu, które – ze względu na jego wartość – bardzo wysoko ocenił. Powiadomił też niebawem o znalezionym skarbie kilku naukowców, w tym prof. Romana Pollaka – wybitnego badacza i znawcę literatury.

Dzięki ogromnej naukowej pracy prof. Pollaka, wydano drukiem w latach 1933, 1936, a także po wojnie – w 1948 roku – to unikalne dzieło. (W książce *Poezi ziemi lublinieckiej* poświęciłem sporo miejsca Rożdżeńskiemu). Starodruk zaginął podczas ostatniej wojny i dotychczas nie został odnaleziony.

Nie znamy do dziś dostatecznie życiorysu Walentego Rożdżeńskiego. Nie znał go także prof. Pollak, który we wstępie do pierwszego wydania pisał m.in.: „Radzi byśmy poznać żywot Rożdżeńskiego z całym bogactwem szczegółów. Tymczasem wiemy o nim niewiele. To i owo można wyłonić z jego poematu to i owo dorzuciły archiwalne poszukiwania. Ale to wszystko wystarczyć nie może. Pole do dalszych badań – oby najobfitszych w zdobycze – otwarte i wdzięczne...”. Jednak do dnia dzisiejszego mimo dość obfitych badań prowadzonych przez różne ośrodki naukowe i różnych badaczy, niewiele zdołano dopisać do tego, co wiedział o Rożdżeńskim prof. Pollak. Spróbujmy zatem zestawić krótko to, co zdołano dotychczas ustalić o mistrzu Walentym, uzupełniając tę wiedzę o stawiane hipotezy i domysły. Otóż, Walenty Rożdżeński wywodził się ze „starożytnego domu Hercygow, pełnego animuszu i znacznych postępów...”, jak sam o swoim rodowodzie wspomina w *Officinie*.

Bruszkowie prowadzili kuźnice na terenie dzisiejszej gminy Koszęcin co najmniej do czasów Rożdżeńskiego. Wiadomo, że Adam Brusiek jeszcze w 1632 roku składał sprawozdania z kuźnicy koszęcińskiej. Najwięcej jednak wiadomości o życiu W. Rożdżeńskiego zaczerpnięto z akt archiwum książęcego w Pszczynie. Dowiadujemy się tam, że ojciec Walentego, Jakub Brusiek, przybyły z Bruśka, ożenił się z córką Sycha, właściciela kuźnicy Rożdżeńskiej. Z tego małżeństwa urodziły się dwie córki – Dorota i Anna, zaś około 1595 roku dwaj synowie – Jan i Walenty. Pod koniec XVI wieku Walenty Rożdżeński popadł w konflikt z panią na Pszczynie – Salomonową i po rozprawie sądowej, która miała miejsce 28 czerwca 1596 roku, Rożdżeński został wtrącony do miejskiego więzienia w Pszczynie. O późniejszym losie autora *Officiny ferraria* wiemy bardzo mało. Hipotetycznie, biorąc pod uwagę niektóre fragmenty poematu, w których autor pisze o Bruśku, Koszęcinie i Kochcickich, należy przypuszczać, że znalazł on się na ziemi swoich

przodków w bruśkowskiej kuźnicy, bądź też na służbie u swego mocodawcy i opiekuna Andrzeja Kochcickiego w Koszęcinie, któremu jedyny utwór swego życia zadedykował.

Wiemy jednak z całą pewnością, że najważniejszym szczegółem biografii Roździeńskiego jest jego jedyne dzieło *Officina ferraria* zadedykowane panu na Koszęcinie – Andrzejowi Kochcickiemu.

Już na wstępie poematu, w dedykacji, mistrz Walenty napisał: „Jaśnie wielmożnemu panu Andrzejowi Kochcickiemu, swobodnemu panu na Kochcicach, Lublińcy, Koszęcinie i Turawie etc., panu memu miłościwemu”.

W treści dedykacji czytamy m.in.:

*A to wszystko do książki tej w takim sposobie,
Jako baczysz zebrawszy tu, cny Panie tobie
Dedykuje. Niech pod twym zacnym herbem będzie
I między kuźnikami rozniesiona wszędzie.*

Dedykację kończą słowa: „W.M. mego miłościwego pana najniższy a powolny służebnik Walenty Roździeński”.

Z pewnością rola Andrzeja Kochcickiego w napisaniu *Officyny* była ogromna, chociaż zdarza się, że niektórzy – na szczęście osamotnieni współcześni badacze – widzą te sprawy trochę inaczej. Myślę jednak, że rację miał prof. Roman Pollak twierdząc, że „przez Lubliniec i Koszęcin wiodła dalsza droga Roździeńskiego, który w latach 1601–1611 miał tu właśnie pisać swoje dzieło”. Należy więc przypuszczać, że *Officina* zrodziła się w koszęcińskim pałacu, bowiem tylko tu były wówczas najdogodniejsze warunki do pracy twórczej. Andrzej Kochcicki był wielkim mecenasem ludzi pióra. Osiadł on, po powrocie ze studiów w roku 1596 w koszęcińskim pałacu, zaś w latach 1605 lub 1609 w odbudowanej części pałacu założył wielką bibliotekę, o której znakomity badacz Lucae powiedział „zgromadzone tam¹⁸ foliały rozsiewały blask swymi złożonymi okładkami...”.

Można więc śmiało powiedzieć, że Walenty Roździeński był powiązany z ziemią koszęcińską zarówno więzami rodzinnymi, pracą, a także twórczością. W publikacji *Officina ferraria* wielokroć jest mowa o ludziach ciężkiej pracy,

¹⁸ W koszęcińskim pałacu – J.M.

o krajobrazie hutniczym, zwyczajach i obyczajach ludzi zamieszkujących w początkach XVII gminę Koszęcin.

PS Szanowny czytelniku! Powyższy artykuł nie znalazł się w „Echu Gminy” przypadkowo. Prawdopodobnie za niedługo usłyszysz o Rożdżeńskim i zobaczysz jego podobiznę (zamieszczoną w 1612 roku w *Officinie ferraria*) na ważnym – jeśli nie najważniejszym – akcie gminy Koszęcin. Wtedy będziesz na pewno dumny z mistrza Walentego.

Warto więc chociaż encyklopedycznie przedstawić dzieło mistrza Walentego: *Officina* jest pierwszym w Europie dziełem o etosie pracy ludzkiej, pisany w języku narodowym – polskim. Jest to książka opisująca historię hutnictwa żelaza od czasów antycznych po początek XVII wieku, ze szczególnym uwzględnieniem tego przemysłu na ziemi śląskiej.

Rożdżeński opisał w swoim dziele nie tylko „gospodarstwo kuźnicze”, ale także legendy i opowieści związane z kuźnikami, np. „O Freszku, którego szatan odarł ze skóry”, „O Szarleju”, „O latawcach” i „Ubożach”, które pomagały kuć żelazo.

Język poematu mistrza Rożdżeńskiego obejmuje szeroki wachlarz średniowiecznego piśmiennictwa. Zawarte są tam wątki historyczne, religijne, socjologiczne, geograficzne, folklorystyczne, lingwistyczne itp. Rożdżeński pisał swoje dzieło wierszem, niezbyt udolnie, i słusznie krytycy dostrzegają słabości językowe tego utworu, np. wiązanie zdań, stosowanie czechizmów, słownictwa gwarowego, łacińskich cytatów itp. Ale przecież *Officinę* pisał zwyczajny hutnik, kowal, człowiek ciężkiej pracy, a nie „profesjonalny literat”.

Języka Rożdżeńskiego w *Officinie* bronili np.: Jerzy Łanowski, Herbert Myśliwiec, Wilhelm Szewczyk i inni, twierdząc, że Rożdżeński nie był przecież erudytą a hutnikiem.

Warto wspomnieć, że *Officinę* ozdobili swymi pochwalnymi, łacińskimi epigramami, należący do kręgu literackiego gromadzonego w koszęcińskim pałacu przez Andrzeja Kochcickiego – Daniel Morovius – pastor z Koszęcina oraz Paweł Twardokus – rektor szkoły w Lublińcu, co może także świadczyć o „tutejszości” tego poematu.

Jest zatem *Officina ferraria* wybitnym dziełem w polskiej i nie tylko polskiej literaturze, zaś Walenty Rożdżeński wszedł dzięki rzetelnej pracy i talentowi literackiemu na stałe do skarbnicy polskiej i europejskiej kultury.

Józef Lompa – nauczyciel i poeta

Józef Lompa urodził się 29 czerwca 1797 roku w Oleśnie Śląskim, w zasiedziałej tu od pokoleń śląskiej rodzinie. Ojciec Michał był z zawodu krawcem, ale prowadził również mały sklepik, handlując najpierw warzywami, później korzeniem i tabaką. Matka imieniem Józefa z domu Strużyk, była córką kowala z Dobrodzienia.

Lompa w wieku sześciu lat rozpoczął naukę w katolickiej szkółce elementarnej w Oleśnie, gdzie zaliczono go do najbardziej uzdolnionych uczniów. Równocześnie pobierał lekcje rysunku u francuskiego oficera, kwaterującego w czasie wojny napoleońskiej w rodzinnym domu przyszłego poety. Oprócz uzdolnień plastycznych, Józef zdradzał także zainteresowania muzyczne. Tę zdolność odkrył u przyszłego organisty profesor katolickiego gimnazjum we Wrocławiu – Feliks Prudło, który uczył Józefa także gry na „klawikordzie”. W 1811 roku Lompa wstępuje do opolskiego gimnazjum, jednak wysokie koszty chesnego w tej szkole uniemożliwiają dalszą naukę. Za namową siostry mieszkającej w Wieluniu, przenosi się do tamtejszej szkoły pijarów przy klasztorze reformatorów. Koszty utrzymania i zamieszkania, a także nauki miał pokrywać z pensji organisty klasztornego. Jednak warunki za murami klasztornymi nie odpowiadały Lompie, który bez wiedzy rodziców i przełożonych opuścił klasztor. Ojciec, nie mogąc pogodzić się z samowolą syna, odmawia mu utrzymania. Józef ima się więc różnej pracy: przyjmuje posadę kancelisty, później protokolanta w oleskim sądzie, dorabia także jako skrzypek w orkiestrze przygrywającej do tańca w miejscowej karczmie, jest również nauczycielem domowym.

Mając 18 lat wstępuje w 1815 roku do Katolickiego Seminarium Nauczycielskiego we Wrocławiu, które kończy po dwóch latach z patentem nauczyciela szkoły elementarnej. We wrocławskiej szkole Lompę uczyli wybitni nauczyciele tacy jak: Daniel Kruger, Feliks Renschmidt czy też Gustaw Busching. Także wykładane tam przedmioty – anatomia, etyka, rysunek, matematyka, nauki przyrodnicze i gra na organach – przyczyniły się do rozszerzenia horyzontów myślowych przyszłego nauczyciela, organisty, pisarza i obrońcy ludu.

Pierwszą posadę nauczycielską otrzymał Lompa w szkole elementarnej w Cieszyńcu w powiecie sycowskim, jednak wkrótce zrezygnował z tej pracy, głównie ze względu na bardzo trudne warunki bytowe. Musiał tam spać „gdzie pastuch leżał, a mieszkać w komorze” – napisał później w autobiografii. Również druga posada w Łomnicy koło Olesna nie okazała się trwała. Tutaj jednak, niespełna 21-letni Józef żeni się w 1818 roku z córką nauczyciela

i organisty w Sternalicach – Marią Bensiówną. Po latach napisze o tym związku „[...] z tą pobożną i czcigodną małżonką spłodziłem dziewięcioro dzieci...”. Razem z młodą żoną i swym pierworodnym dzieckiem przenosi się Lompa w 1819 roku do Lublińca, gdzie dał się poznać jako przykładny nauczyciel i dobry organizator szkolnictwa, jednak z bliżej nieznanых przyczyn, w tym samym roku opuszcza to miasto i przenosi się do Lubszy Śląskiej. Tutaj spędzi – jako nauczyciel, organista i pisarz gminny – 30 lat swego pracowitego życia. W Lubszy rozwinię się jego talent literacki, tutaj też ukształtuje się jego propolska orientacja zapoczątkowana w rodzinnym domu, a pogłębiona we wrocławskiej szkole wśród podobnie myślących kolegów. W Lubszy przeżyje także wiele rozczarowań, przykrości i dramatów. W 1836 roku umiera mu żona Maria, w rok później traci na zawsze swe najstarsze dziecko. Lompa żeni się po raz drugi – z córką nauczyciela i organisty z Ligoty Woźnickiej – Weroniką Grzegorz, która urodziła mu siódmkę dzieci. W tym czasie rozpoczynają się zawodowe kłopoty Lompy zaangażowanego w propolską działalność. Poetę prześladowe zarówno właściciel Lubszy, hrabia Henckel von Donnersmarck, jak i Rejencja Opolska. W jego szkole, w której sam uczył przeszło 250 dzieci (?) pojawiały się różne wizytacje i kontrole, które kończyły się przeważnie pomyślnie dla lubszańskiego „reктора”.

Juliusz Ligoń – poeta spod Koszęcina

Juliusz Ligoń urodził się w małej miejscowości Prądy pod Koszęcinem 23 lutego 1823 roku. W dotychczasowych biografiach podaje się – chyba mylnie – dzień 28 lutego jako datę urodzenia poety-kowala. Już w roku 1993, badając archiwa sadowskiej parafii, znalazłem w księdze chrztów z 1823 roku następujący wpis, który w tłumaczeniu z niemieckiego brzmi: „Strzebiń, Prondy, 23 lutego – Julius. Zjawił się kowal Franciszek Ligoń, którego żona z domu Skiba dnia 22 o godz. 12:00 w Prondach urodziła syna. Ochrzcił go kapelan Kost. Otrzymał imię Julius. Świadkowie: Józef Łebek – stolarz, Wincenty Barć – krawiec i Marianna Wiatrek z Koszęcina”.

Ojciec Juliusza – Franciszek (1792–1871) – był kowalem dworskim w dobrach koszęcińskich należących do bardzo bogatej rodziny Hohenlohe-Ingenfingen. Ród ten osiadł w Koszęcinie w 1805 roku i panował tu przez trzy pokolenia do 1945 roku. W pierwszej połowie XIX wieku panem na Koszęcinie był założyciel tej linii – Adolf zu Hohenlohe (1797–1873) – rówieśnik Franciszka Ligoń. Był on generałem armii pruskiej, podobnie jak jego ojciec, a później także

jego synowie. Piastował on wysokie funkcje polityczne w Prusach. W 1847 roku zasiadł w Sejmie Zjednoczeniowym, zaś w 1850 roku został przewodniczącym parlamentu, a rok później mianowano go prezydentem pruskiej Izby Panów. W 1862 roku w czasie kryzysu politycznego został premierem. Rodzina Franciszka była dość liczna, bowiem pierwsza żona – matka Juliusza powiła kilkoro dzieci, a po jej śmierci, z powtórnego małżeństwa rodzina jeszcze się powiększyła. Przyszły kowal-poeta uczęszczał do małej szkółki elementarnej w pobliskim Strzebinie, gdzie jedynym nauczycielem, uczącym przeszło 150 dzieci był rektor Hadrosek. I chociaż ówczesne władze pruskie nakazywały uczyć w języku niemieckim, to w strzebińskiej szkółce – podobnie jak w Lubszy u Lompy i na całym Śląsku, wiedzę przekazywano w dwóch językach – niemieckim i polskim.

Po ukończeniu strzebińskiej szkółki Ligoń uczy się kowalstwa w dworskiej kuźni u swojego ojca, pracując tam do dwudziestego roku życia. Zwabiony pogłóskami o dobrych zarobkach w uprzemysławiającej się części Górnego Śląska, udaje się wraz z bratem Janem pieszo do Królewskiej Huty¹⁹ – wówczas niedużej miejscowości – gdzie znalazł zatrudnienie w tamtejszej hucie. Niedługo tu pracował, bowiem po dwóch latach zaciągnięto go do 22. Pułku Piechoty w Nysie, gdzie przebywał przez trzy lata. Był z pewnością zdyscyplinowanym i wzorowym żołnierzem, gdyż na pożegnanie służby otrzymał dobre świadectwo. Wspominał także później otrzymane w wojsku odznaczenia. Po powrocie do dzisiejszego Chorzowa, oprócz pracy w hucie, Ligoń zaangażował się w działalność społeczną, będąc aktywnym członkiem powstałego tu „Kółka Towarzyskiego” zwanego „Kasynem dla robotników”, a później „Kółkiem Katolickim”. Ligoń był w tej organizacji sekretarzem i bibliotekarzem.

W Chorzowie zetknął się także z wydarzeniami i ruchami, które niosła z sobą Wiosna Ludów. Tutaj zaczęło owocować staranne wychowanie przepełnione kultem religijnym i wielką miłością do ojczyzny. Te dwie cechy znajdują odbicie w całej twórczości literackiej naszego poety. W pewnym okresie życia, na skutek prowadzonej propolskiej działalności, Ligoń popada w konflikt ze swymi chorzowskimi pracodawcami i jest zmuszony przenieść się do Zawadzkiego. Także w tym środowisku angażuje się w działalność społeczną, zakłada bibliotekę, kolportuje polskie gazety, odciąga robotników od szerzącej się plagi alkoholizmu.

19 Królewska Huta – obecnie Chorzów.

Po kilku latach bytności w Zawadzkiem powraca Ligoń z powrotem do Chorzowa. Tutaj na nowo angażuje się w służbę Kościołowi, współbraciom – robotnikom i polskości. Pisz wiersze i sztuki teatralne, współpracuje z polskimi gazetami, kolportuje książki. Tutaj też doświadcza upokorzeń i krzywd. Za swe propolskie przekonania traci ponownie pracę. Pozbawiony jakichkolwiek zasiłków i emerytury popada z liczną rodziną w skrajną nędzę.

Procesuje się z ówczesną kasą chorych *Knappschaft* o odszkodowanie za wypadek w pracy, w którym stracił oko. Po latach, dopiero pod koniec życia wygrywa i otrzymuje odszkodowanie i rentę. Nie jest już jednak zdolny do pracy i walki o dobro ludu. Powoli odkłada także pióro, które przez lata było orężem jego działań. Na krótko przed śmiercią pisze do brata Jana: „[...] Lecz podług światowego i cielesnego rozumienia, to wiedzie mi się niedobrze, bo świat i ciało nic cierpieć nie chcą, a tu Bóg z dobroci swej zesłał na mnie chorobę piersiową, która już przeszło rok mi dokucza; muszę bardzo wiele kaszleć i wypluwać, przy czym coraz więcej wysycham. Lecz dobrze tak, bo robaki nie będą miały wiele do obgryzania. Było już i krucho ze mną, bo przez dwa tygodnie plułem tylko czystą krwią, lecz doktorzy z pomocą Boską zatamowali mi ją. Ponieważ nie jem i nie piję nic ostrego, więc może się jeszcze życie nieco przedłużyć, lecz wyleczyć już się na pewno nie wyleczę. Toteż powodem, że ci już dawniej nie pisałem, bo już teraz tak nie mogę jak pierwsi, gdyż przy pisaniu tym większy ból w piersiach czuję, a ręka słaba wodzić pióro nie chce. Lecz czas żniwa się zbliża, bo już 68. rok nadchodzi, a tu na niwie całego życia więcej kłólu jak pszenicy...”

Juliusz Ligoń umiera 17 listopada 1889 roku, a prochy jego spoczęły na cmentarzu przy kościele św. Barbary w Chorzowie. I chociaż Juliusz odszedł na zawsze, pozostała po nim bogata spuścizna, na którą składa się poezja, publicystyka i twórczość dramatyczna.

Ligoń pokazywał w swych publikacjach i poetyckich utworach prawdziwe oblicze Śląska i śląskiej krainy, uczył szacunku do ludzi ciężkiej pracy i miłości do ojczystego języka, walczył z nałogami i ciemnotą. Bolała go krzywda robotników, których dzień pracy trwał od dziesięciu do piętnastu godzin, ale mimo tego, że sam dzielił ich los, znajdował jeszcze czas, aby przeczytać im dobrą książkę. W roku 1852 pisał z Zawadzkiego do swego brata Jana: „[...] Przez tydzień to nie ma czasu przed pracą, ponieważ robimy zawsze do północy, a w niedzielę też, zanim się przyjdzie z kościoła, jest dwie po południu, a potem to się ich najdzie pełno, a ja im czytam nieraz do północy”.

Wielka miłość Ligonia do książki wyraziła się w liście z roku 1888: „[...] Mam jeszcze wiele innych podobnie pięknych książek, jest to mój zaoszczędzony

skarb, który zostawię dzieciom w spuściźnie. Ludzie, którzy miłują mamonę kpią z takiego skarbu, lecz choćby posiadał ten marny kruszec, cóżby mi z mojej nieuleczalnej choroby przyszło?”.

Działalność oświatowa Ligonia zasługuje na szczególną uwagę, bowiem ten poeta-kowal, widział w oświacie możliwość wydzwignięcia się ludu górnośląskiego z wielowiekowego zacofania. W twórczości Ligonia dostrzec musimy pewne wzajemne przenikanie się walorów patriotycznych i religijnych. Te ostatnie z różnych względów przemilczano w ostatnich dziesięcioleciach. Ligoń, mimo że swe dojrzałe życie spędził w przemysłowej części Śląska, to istnieją jednak dowody jego częstej bytności w rodzinnych stronach. W roku 1853 był obecny przy remoncie zabytkowego kościoła Trójcy Świętej w Koszęcinie, gdzie odnalazł bezcenną kronikę kościoła. Napisze również po latach wiersz o „Trójcy” przepojony miłością do Boga, ojczyzny i Śląska. Podobnie jak Roździeński, również Juliusz Ligoń był wielkim człowiekiem naszej Małej Koszęcińskiej Ojczyzny.

Ludzie naszej ziemi

Jan Nikodem Jaroń

1 sierpnia 2002 roku minie 80. rocznica śmierci wybitnego syna ziemi śląskiej – Jana Nikodema Jaronia. W przeciwieństwie do Ligonia i Damrota, poeta nie urodził się na ziemi lublinieckiej, spędził tu jedynie ostatni okres swego ciekawego życia, a jego prochy spoczęły na lublinieckim cmentarzu. Jaroń urodził się 3 lutego 1881 roku w Jastrzygowicach koło Olesna w wielodzietnej rodzinie. Tam kończy jako prymus pruską szkołkę elementarną, a następnie uczy się w bytomskim gimnazjum, mieszkając w tamtejszym Konwiktzie Biskupim. Należał do najzdolniejszych uczniów, jednak ze względu na propolskie przekonania, zostaje na rok przed maturą usunięty ze szkoły. Na swe utrzymanie zarabiał poprzez udzielanie korepetycji. Ten trwający trzy lata okres w nędzy i niedostatku, był główną przyczyną nabytej choroby płuc, która powoli będzie niszczyła organizm naszego poety. Za ojcowskie, w ciężkim trudzie zapracowane pieniądze, wysłano Jana na leczenie do szwajcarskiego kurortu Davos.

Powraca stamtąd w 1903 roku i osiada we Wrocławiu, gdzie eksternistycznie zda je upragnioną maturę. Mimo biedy i słabego zdrowia wstępuje na Wydział Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. Studia przerywa kilka razy, aby w dworach ziemiańskich zapracować na swoje życie. W końcu – wzorem wielu

Ślązaków – udaje się na dalsze studia do Lwowa, aby w latach 1910–1914 ukończyć je i zdobyć tytuł doktora prawa. Jaronia nie zaciągnięto do pruskiej armii, przyjął bowiem wcześniej austriackie obywatelstwo i pracował nawet krótko w konsulacie tego kraju.

Pod koniec I wojny światowej poeta przenosi się bliżej rodzinnych stron. Osiada najpierw w Opolu, a po II powstaniu śląskim pracuje na odpowiedzialnym stanowisku w Polskim Komisariacie Plebiscytowym w Bytomiu. W III powstaniu bierze już aktywny udział, walcząc na froncie olesko-kluczborskim. Niezadowolony z podziału Górnego Śląska Jaroń wyprowadza się do Ostrowa Wielkopolskiego, z myślą o pracy w sądownictwie.

Daremnie. Nieuleczalna choroba poczyniła ogromne, wyniszczające organizm postępy i śmiertelnie chory Jaroń przenosi się do Lublińca, gdyż jego rodzinne Olesno było już po drugiej stronie granicy. Osiada w dworku rodziny Matyjasów w Jawornicy. Ostatnią radością jego krótkiego życia była uroczystość wkroczenia wojska polskiego do Lublińca 22 czerwca 1922 roku. Pięć tygodni później, 1 sierpnia 1922 roku poeta umiera.

Profesor Antoni Gładysz, któremu w głównej mierze zawdzięczamy zaistnienie Jaronia w polskiej literaturze, napisał w jednej z książek poświęconych poecie: „W pogrzebie Jaronia na cichym lublinieckim cmentarzu wzięła udział garstka osób, wśród nich najbliższa rodzina. Świeżą mogiłę oznaczoną numerem 874 w bocznej alejce u stóp strzelistego klonu pokryły nieliczne wiązanki kwiatów”.

To właśnie ta ostatnia droga na cmentarz i ta mogiła sprowadziły Jaronia na lubliniecką ziemię. Tu spoczął na zawsze, ale razem z nim zawitała tu jego wspaniała twórczość. Napisał bowiem Jaroń w różnych okresach swego życia, i w różnych miejscach, sporo. W tej twórczości odbija się zarówno jego niepokorna dusza, miłość do rodzinnych stron, szacunek do przyrody i umiłowanie wolności.

W młodszej twórczości dominuje poezja miłosna i wątek przyrodniczy. Piękne są wiersze z tomików: *Pieśni wiosenne*, *Pieśni latowe*, *Pieśni jesienne* i *Pieśni zimowe*. Jednak szybko ten rodzaj opisywania osobistych przeżyć ustępuje miejsca liryce patriotycznej i wierszowanej publicystyce. W zbiorze *Z pamiętnika Górnoślązaka* poeta daje wyraz miłości do ziemi ojczyстей i do upragnionej wolności Ślązaków. Oprócz poezji Jaroń napisał kilka dramatów – *Eleusis* – komedia satyryczna, *Konrad Kędzierzawy*, *Wojsko św. Jadwigi*, *Wywłaszczenie*, *Zakłęci rycerze*, *Z pobojowiska*. Uprawiał także publicystykę, pisząc w „Kurierze Śląskim”, „Gazecie Ludowej”, „Nowinach”.

Pozostawił po sobie kilka nowel, wśród nich *Skarb*, *Srebrny flet* czy też *Syna górnika*.

Twórczość Jaronia znalazła w dziejach polskiego piśmiennictwa na Śląsku trwałe miejsce. Szkoda, że jest ciągle niedostatecznie znana. Może z okazji okrągłej rocznicy śmierci Jaronia uczymy jego i innych poetów ziemi lublinieckiej pamięć, sięgając po ich utwory?

Ksiądz Konstanty Damrot (Czesław Lubiński)

Konstanty Damrot urodzony w Lublińcu 13 września 1841 roku, zaliczany jest do najwybitniejszych liryków ziemi śląskiej.

Ojciec przyszłego księdza i poety, noszący także imię Konstanty, był z zawodu rolnikiem, ale pełnił także przez wiele lat obowiązki kościelnego w kościele św. Mikołaja w Lublińcu. Matka Karolina z domu Jüttner wywodziła się z niemieckiej rodziny zamieszkałej w Lublińcu. Konstanty miał liczne rodzeństwo składające się z dziewięciu siostr i brata. Ksiądz Damrot urodził się w domu numer 75 przy ulicy noszącej wówczas nazwę *Lange Gasse* (długa uliczka). Domek stanowił własność jego rodziców, a wcześniej dziadków i pradiadków.

Dzisiaj ulica ta nosi imię naszego bohatera. Domek rodzinny Damrota spłonął prawdopodobnie podczas pożaru Lublińca w 1848 roku, a na jego miejscu wybudowano „dom masywny” tzn. murowany. Po latach, poeta napisał piękny wiersz pt. *Powrót do domu*.

Mając sześć lat Konstanty rozpoczął naukę w lublinieckiej szkole elementarnej, w której uczono podobnie jak we wszystkich wówczas szkołach na Śląsku – w języku polskim, jednak w tym samym 1847 roku, zabiera małego Konstantego z tej szkoły ks. Juliusz Jüttner – brat matki i umieszcza go w sierocińcu przy Seminarium Nauczycielskim w Paradyżu, w Wielkopolsce. Damrot uczęszczał tam do „Szkoły Ćwiczeń”. W roku 1853 kształci się krótko w Katolickim Gimnazjum św. Macieja we Wrocławiu, skąd przenosi się do świeckiej szkoły średniej w Opolu.

Świadectwo dojrzałości otrzymał 13 lipca 1862 roku i rozpoczął studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Po dwóch latach przenosi się na Wydział Teologiczny.

Równocześnie studiuje historię starożytną i nowożytną, geografę, języki romańskie i literaturę słowiańską. We Wrocławiu zetknął się z polskimi organizacjami młodzieży studenckiej i wstąpił do Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego.

Tam krystalizuje się jego polska orientacja wyniesiona z domu rodzinnego. Tutaj także podejmuje pierwsze próby działalności twórczej. W dniu 13 listopada 1886 roku przesyła Ignacemu Danielewskiemu swoje pierwsze płody poetyckie z prośbą o ich wydanie drukiem.

W liście pisze m.in. „wiersze przesłane są płodem dwóch ostatnich lat spędzonych na Akademii, odkąd się polszczyzną trudzić zacząłem...”.

Przed tymi „dwoma laty” Konstanty musiał przerwać studia, aby jako pruski żołnierz walczyć na froncie przeciw Duńczykom. Świecenia kapłańskie przyjął 27 czerwca 1867 roku, zaś uroczystość prymicyjna miała miejsce w lipcu tego roku, w rodzinnym Lublińcu. Jako młody kapłan pracuje przez kilka miesięcy w Koszęcinie, a następnie przenosi się jako wikary do Opolą. Dalsza praca duszpasterska prowadzi przez Pilchowice koło Raciborza, gdzie uczy religii w miejscowym Seminarium Nauczycielskim, przez Kościerzyn na Pomorzu, gdzie od 1870 roku dyrekturuje w Katolickim Seminarium Nauczycielskim. Podobne funkcje pełnił w Opolu od 1884 roku i w Prószkowie – 1887–1892.

Ze względu na postępującą chorobę płuc z dniem 1 lipca 1892 roku przechodzi na emeryturę i zamieszkuje w klasztorze Braci Miłosierdzia w Pilchowicach, prowadzonym przez bonifratrów. Po kilku latach ciężkiej choroby i bezustannej pracy badawczej i literackiej Konstanty Damrot umiera 5 marca 1895 roku. Pochowany został na przyklasztornym cmentarzu.

Konstanty Damrot był poetą propolskim mimo tego, że kończył tylko szkoły i uczelnie niemieckie. W swojej twórczości opiewał piękno ojczystego kraju i języka polskiego. Wiersze są przepełnione tęsknotą za przeszłością ziemi śląskiej, rodzinnych stron i pięknem przyrody. Jednak nade wszystko chwalił Boga. Potrafił pięknie łączyć – czasem w jednym utworze – kilka z wymienionych wyżej uczuć, jak np. w wierszu adresowanym do Towarzystwa Polskich Górnoślązaków, którego był członkiem i założycielem.

*Niech przypomną wam te świeże
Kwiaty hasło śląskiej ziemi,
Że przy ojców mowie, wierze
Aż do zgonu stać będziemy.*

*Niech przypomną prawdę starą:
Że nie cudem, ale trudem,
Miarą, wiarą i ofiarą
Zostaniemy wolnym ludem.*

Damrot był wielkim podróżnikiem po ojczystym kraju. Już w dzieciństwie spędzał wakacje to u stryja ks. kanonika Franciszka Damrota w Kielcach, to w Głogówku, gdzie ks. Jüttner był proboszczem, to w rodzinnym Lublińcu, skąd wyprawiał się do Częstochowy i okolicznych miejscowości. Pracując już jako ksiądz na różnych placówkach zwiedzał Pomorze, Prusy Królewskie

i wiele innych miejsc, gdzie poznawał przeszłość tej ziemi, ludzi, ich obyczaje i tradycje. Z tego poznawania czerpał natchnienie do swojej twórczości. Rodziły się pod jego piórem *Szkice z ziemi i historii Prus Królewskich. Listy z podróży odbytej przez Czesława Lubińskiego* i różne, piękne wiersze.

Godzi się przypomnieć, że ze względów bezpieczeństwa Damrot używał pseudonimu Czesław Lubiński. Przybranie imienia Czesław i nazwiska Lubiński nie było przypadkowe. Imię nawiązuje do błogosławionego Czesława wywodzącego się z Odrowążów, zaś nazwisko, to odmiana nazwy miasta rodzinnego Lublińca.

Cała twórczość Damrota przemawia za wielką miłością do Polski, do języka polskiego i do historii tego kraju.

Damrot pisał wiele. Z jego bogatego dorobku literackiego na naszą uwagę zasługują przede wszystkim zbiory wierszy: *Wianek z Górnego Śląska* (1867), *Z niwy Śląskiej* (1893) i *Wiersze ostatnie*, wydane już po śmierci poety w 1896 roku. Bardzo wartościowe są także publikacje *Szkice z ziemi i historii Prus Królewskich...* (1886) i wydane w niemieckim języku *Die älteren Ortsnamen Schlesiens, ihre Entstehung und Bedeutung* (1896), w której Damrot zajął się zagadnieniem polskich nazw dawnych miejscowości na ziemi śląskiej.

Godna podkreślenia jest również religijna twórczość ks. Konstantego Damrota, który oprócz pięknej poezji, przepojonej wartościami filozoficzno-religijnymi, publikował także książki i podręczniki religijne, takie jak: *Opis Ziemi Świętej: do użytku szkolnego i prywatnego* (1873), *Obrazki misyjne z wszystkich krajów i wieków* (1873), *Dzieje Starego i Nowego Testamentu dla szkół katolickich* (1922), *Prosty wykład dziejów Starego i Nowego Testamentu...* (1876, 720 stron). W języku niemieckim wydał podręcznik metodyczny do nauki religii w szkołach pt. *Katechetik oder Methodik des Religionsunterrichts in der katholischen Volksschule* (1881).

Świadomy swej nieuchronnej śmierci Damrot napisał:

*Gdy raz umrę, życzę sobie:
Aby stanął przy mym grobie
Choćby jeden, nawrócony
Słowem mojem; z drugiej strony
Jeden, co za mą przemowę*

*Duszę swą zachował zdrową;
Wkoło ludek nasz serdeczny
Westchnął za mój spokój wieczny;
Dziatek polskich zaś drużyna
Śpiewała: Salve regina!*

Profesor Jerzy Pietrucha²⁰

Zbliżają się dwie kolejne rocznice Jerzego Pietruchy, z urodzenia koszęcinianina, a z działalności wielkiego syna ziemi śląskiej – w marcu przypada 68. rocznica urodzin, a w maju czwarta rocznica śmierci.

Za długo kazałem Jurkowi czekać na wspomnienia. Ostatni raz mówiłem do niego nad jego grobem, żegnając go w imieniu i z upoważnienia wielu przyjaciół. Pamiętam, wtedy zobowiązaliśmy się napisać wspomnienia o profesorze. Wśród chętnych byli naukowcy ze śląskich uczelni, pisarze, koledzy i przyjaciele, a także ci, którzy dzielili z Jurkiem celę PRL-owskiego więzienia. Jakoś dotychczas nie udało się zebrać w całość tych materiałów, ale wierzę, że to kiedyś nastąpi.

Jurka Pietruchę znałem od wczesnego dzieciństwa i przyjaźń nasza trwała nieprzerwanie do nagłej i niespodziewanej śmierci w Bohum (RFN), gdzie jako profesor wykładał na tamtejszej wyższej uczelni.

Jerzy urodził się 29 marca 1931 roku w Koszęcinie. Ojciec Jan – poplebiscytowy uchodźca był z zawodu krawcem, ale w Koszęcinie zajmował się badaniem mięsa, matka Adelajda z domu Machoń pochodziła z koszęcińskiej rodziny. Jurek miał nieżyjącego już brata Józefa. W 1938 roku rozpoczęliśmy razem naukę w polskiej szkole podstawowej, przerwana wybuchem wojny. W latach 1939–1945 uczęszczaliśmy podobnie jak wszyscy tutaj urodzeni, do niemieckiej *Grundschule* w Koszęcinie. Następnie, już po wojnie, Jurek uczęszczał do lublinieckiego gimnazjum. W 1950 roku, po zdaniu na piątkę pisemnej matury został aresztowany i osadzony w więzieniu UB w Lublińcu. Mimo prośb nauczycieli i rodziny oprawcy nie pozwolili mu zdać egzaminów ustnych.

W tym czasie nie było mnie przez dłuższy czas w rodzinnym Koszęcinie. Służyłem w II Brygadzie „Służby Polsce” w Warszawie na Bielanach, odbudowując stolicę ze zniszczeń wojennych. Wtedy z Jurkiem działy się straszne rzeczy. Akt oskarżenia zarzucał mu m.in. przynależność w czasie od 1949 roku do 20 maja 1950 roku do tajnej, podziemnej i nielegalnej organizacji pod nazwą „Bojowy Związek Wolnych”, którego celem było zmienić przemocą ustrój Polski. Od 1945 roku do czasu zdelegalizowania w 1949 roku harcerstwa w Polsce, Jerzy Pietrucha – podobnie jak dziesiątki dziewcząt i chłopców z Koszęcina – był członkiem pręźnie działającego tu ruchu ZHP.

20 Profesor zw. dr hab. nauk ekonomicznych Jerzy Pietrucha.

Później młodzież zbierała się nadal, nielegalnie już, pod kierownictwem Jurka, i to właściwie było głównym powodem jego aresztowania.

Siedział kilka miesięcy w Lublińcu, przesłuchiwany i maltretowany, aby na rozprawie przed Sądem Wojskowym w Katowicach „otrzymać” karę siedmiu lat więzienia, z czego przesiedział przeszło sześć lat.

Na prośbę jego matki i wspólnie z nią odwiedzałem Jurka odsiadującego karę w więzieniu w Jaworznie. Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, łzy cisnęły się do oczu. To był cień tego Jurka, którego od dzieciństwa znałem. Za długą szybą – oddzielającą skazanych od odwiedzających – siedzieli poprzdzielani strażnikami więźniowie. Nie mogliśmy odnaleźć Jurka, bo wszyscy byli do siebie podobni, bardzo młodzi, prawie dzieci, ostrzyżeni na „głacę”. Jurek był bardzo wychudły, z powybijanymi zębami. Poznaliśmy go po uśmiechu. Jego matka nie mogła wydobyć słowa patrząc na syna, ciągle płakała. Ja też nie wiedziałem, co mi wolno powiedzieć, tym bardziej, że wcześniej dokładnie spisano nasze personalia. Patrzyliśmy na siebie – i tak minęło pierwsze dwudziestominutowe widzenie. Następne były podobne. Po latach dowiedziałem się, że najtrudniej było Jurkowi w lublinieckim więzieniu. Tam powybijali mu podczas „przesłuchań” zęby, tam doznał dużego uszczerbku na zdrowiu.

Ale ani bicie, ani długoletnie więzienia nie złamały Jurka. Po powrocie, w październiku 1956 roku, zakłada w Koszęcinie *Esperanto Rondo Kosentino*, gdzie uczył nas, modnego wówczas języka esperanto, którego sam nauczył się w celi więziennej. Następnie założył tu pierwszy w Polsce „Klub Młodej Inteligencji”, którego pierwszym zadaniem była budowa basenu kąpielowego w Koszęcinie. Chodziliśmy dwójkami od domu do domu zbierając datki na ten cel, a później miesiącami kopaliśmy łopatami, i tak rodził się dzisiejszy GOSiR.

Przerwaną aresztowaniem maturę, zdawał Jurek eksternistycznie w Katowicach. Niejako „na złość” swoim prześladowcom, zdawał w jednym czasie dwie matury: jedną w „Ogólniaku”, drugą w „Ekonomiku” – obie na piątkę. Następnie doktorat i wkrótce habilitacja. Trochę później docentura i nominacja na profesora nadzwyczajnego. Kariera naukowa prof. Jerzego Pietruchy rozwijała się jak w pięknym opowiadaniu, bowiem po kilku latach Jurek otrzymuje w Belwederze najwyższą godność naukowca – tytuł profesora zwyczajnego nauk ekonomicznych.

Pamiętam, zapytałem kiedyś profesora, dlaczego wybrał ekonomię. Ja osobiście, znając jego humanistyczne zainteresowania w młodości, widziałbym go raczej jako historyka, czy polonistę, a szczerze mówiąc, jako wybitnego

człowieka pióra. Jurek we wczesnej młodości pisywał piękne wiersze, sztuki teatralne, nawet powieści. Wszystko to zaginęło podczas aresztowania i rewizji przeprowadzanych przez ówczesną władzę. Na moje wątpliwości Jurek odpowiedział: „To zasługa długoletniego przebywania za kratkami”. Młodzi więźniowie polityczni – a takim był Jerzy Pietrucha – nie mogli w celi posiadać żadnych przyborów do pisania. Dlatego ćwiczyli się w przedmiotach ścisłych. Jurek miał wszystkie wzory dokładnie zapisane w głowie, niczym na twardym dysku komputera.

Jurek miał żelazny charakter, ogromny upór, niesamowitą konsekwencję realizowania celów, i – ośmielał się to powiedzieć – był genialnie uzdolniony. Aby taką opinię upublicznić, trzeba było profesora znać, a ja miałem to szczęście być przez całe życie jego bliskim przyjacielem. Zresztą, talent i zdolności Jurka znali również i podziwiali ludzie ze świata nauki, kultury i polityki.

W 1985 roku wspólnie z prof. Pietruchą zorganizowaliśmy pod patronatem Polskiej Akademii Nauk cykliczne „Biesiady w pałacu koszęcińskim”, których celem była promocja wielkich – często skazanych na zapomnienie – Ślązaków. Były to sesje naukowe, z udziałem naukowców, pisarzy, historyków, ludzi kultury i polityki. Tam poznałem osobiście Żukrowskiego, Szewczyka, prof. Szczepańskiego, prof. Brożka, Lubosza, Osmańczyka i wielu innych.

Profesor Jerzy Pietrucha był cenionym naukowcem, autorem wielu prac naukowych i podręczników akademickich. Niektórzy ludzie dopiero na pogrzebowej klepsydrze mogli przeczytać kim był Jurek. A był m.in.: kierownikiem Zakładu Regionów Instytutu Organizacji i Zarządzania Przedsiębiorstwem Politechniki Śląskiej, wieloletnim pracownikiem i dyrektorem Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach, prezesem Europejskiej Akademii na Śląsku, członkiem Komisji Nauk Demograficznych i Gospodarki Regionalnej PAN, Międzynarodowej Akademii Badań Przestrzennych i Planowania Regionalnego w Hanowerze, Międzynarodowego Instytutu Praw Mniejszości Narodowych i Regionalizmu, Międzynarodowego Centrum Biograficznego z siedzibą w Cambridge (Wielka Brytania), Biura Studiów Strategicznych z siedzibą w Essen (RFN). Był ponadto członkiem wielu towarzystw naukowych. Posługiwał się językiem niemieckim, angielskim i esperanto. Był po prostu kimś wielkim. Miał wiele odznaczeń dyplomów i wyróżnień. Bardzo sobie cenił pismo z błogosławieństwem papieża, otrzymane za wielką pracę dla państw i narodów Trzeciego Świata.

Myślę, że prof. Jerzy Pietrucha zasługuje na pamięć w Koszęcinie. Ale nie tylko tu, bowiem jego działalność dotyczyła Polski, także Europy, a nawet świata, a już na pewno ziemi śląskiej, której był wiernym i oddanym synem.

Ksiądz proboszcz Antoni Ryguła (1931–2002)

27 kwietnia 2002 roku odszedł niespodziewanie do Pana, długoletni proboszcz parafii Trójcy Świętej w Koszęcinie ks. Antoni Ryguła. W maju 1966 roku Kuria Biskupia w Katowicach mianowała dla kościoła Trójcy Świętej osobnego rektora, z poleceniem zorganizowania przy tym kościele samodzielnego duszpasterstwa.

Funkcję tę powierzono przysłemu proboszczowi ks. Antoniemu Rygule, który w dniu 25 lutego 1967 roku przybył do Koszęcina, aby pozostać tu przez 35 lat, do swojej śmierci.

Ksiądz Antoni Ryguła urodził się 7 maja 1931 roku w Piasku koło Pszczyny, gdzie ukończył także szkołę podstawową. Egzamin dojrzałości zdał w 1951 roku w pszczyńskim liceum, po czym rozpoczął studia teologiczne w Śląskim Seminarium Duchownym w Krakowie. Świecenia kapłańskie otrzymał z rąk ks. bpa Golińskiego w dniu 5 czerwca 1955 roku.

Jako wikary pracował w parafiach: Narodzenia MB w Pszowie, św. Jana w Goduli, MB Różańcowej w Łaziskach Górnych i w parafii św. Antoniego w Siemianowicach Śląskich.

Ksiądz biskup Bednorz doskonale wiedział, kogo posłać do nowo utworzonej parafii przy wiekowym kościele Trójcy Świętej w Koszęcinie. Także ks. Antoni znał historię tego świętego koszęcińskiego miejsca, któremu służył przez dziesięciolecie jako troskliwy duszpasterz i podziwu godny kustosz tego wspaniałego sakralnego obiektu. Przez wiele lat piastował godność wicedziekana dekanatu woźnickiego.

Po przyjeździe do Koszęcina niezwłocznie przystąpił do remontu dachu świątyni, później do jej konserwacji. W następnych latach w kościele wymieniono podłogi, wyremontowano wieżę, uporządkowano cmentarz i jego ogrodzenie, przystosowano zabytkową kostnicę do obrzędu pogrzebowego, wyremontowano organy, wybudowano probostwo. W Roku Jubileuszowym 2000, dzięki staraniom ks. Ryguły, parafia ufundowała dla kościoła trzy nowe dzwony. Ksiądz proboszcz Antoni miał przysłowiowe „złote ręce” i ogrom prac remontowo-konserwacyjnych wykonywał osobiście.

Oddał parafii i kościołowi Trójcy Świętej w Koszęcinie cały swój talent, siły i zdrowie. Podziwiali go wdzięczni parafianie, wszyscy koszęcinianie, liczni pielgrzymi i turyści, którym chętnie otwierał podwoje swojej wspaniałej świątyni.

Dnia 1 maja 2002 roku ks. Antoni Ryguła spocznie na zawsze w uświęconej wiary i tradycją ziemi, na prastarym cmentarzu w cieniu wiekowego kościoła Trójcy Świętej w Koszęcinie.

Miłosierny Boże, spraw, aby Twój sługa kapłan Antoni, którego w ziemskim życiu zaszczyciłeś świętym posłannictwem, radował się wiecznie w niebieskiej chwale. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Czesław Pietruszka – muzyk, przyrodnik i sportowiec (1926–2005)

Czesiek – jak go pospolicie nazywali koledzy i przyjaciele – urodził się 1 maja 1926 roku w Koszęcinie. Po plebiscycie Pietruszkowie przenieśli się – już do polskiego Koszęcina z małej miejscowości na Opolszczyźnie, która pozostała w granicach państwa niemieckiego. Ojciec Czesława przez długie lata był naczelnikiem gminy i naczelnikiem poczty w Koszęcinie i pełnił wiele funkcji w organizacjach społecznych i politycznych. Matka była organizatorką i duszą polskich – głównie kobiecych – organizacji społeczno-kulturalnych, dbając szczególnie o pielęgnowanie tradycji kulturowych ziemi śląskiej (muzyka, strój, pieśń). Z tego chyba głównie powodu Czesław od dzieciństwa związany był z muzyką organową, ćwicząc pod opieką matki na fisharmonii. Ale szczęśliwe dzieciństwo trwało tylko do wybuchu wojny w 1939 roku. Ojciec, za swe polityczne przekonania, pozbawiony został pracy. Rodzinę przez wiele lat utrzymywał kilkunastoletni Czesław – organista w parafii NSPJ w Koszęcinie. W 1954 roku, już wówczas artysta-muzyk Czesław Pietruszka napisał o tym przedziale swego życia w dokumencie skierowanym do zespołu „Śląsk”: „[...] Całą okupację przeżyłem w Koszęcinie, pracując na rodzeństwo – trzech braci i siostrę oraz ojca który zmuszony był się ukrywać...”. Ówczesna praca – na szczęście – wiązała się z zainteresowaniem i talentem Czesława, był bowiem organistą w Koszęcinie i w – oddalonej od miejsca zamieszkania o 10 km – Olszynie.

W 1946 roku Czesław Pietruszka ukończył – przerwana wojną – szkołę podstawową i natychmiast rozpoczął naukę w gimnazjum i liceum dla pracujących w Bytomiu. Później studia na Wydziale Pedagogicznym w PWSM w Katowicach, w której to uczelni ukończył jeszcze dwa kierunki: teorię muzyki i dyrygenturę. Wszechstronnie przygotowany rozpoczął w 1954 roku pracę w zespole „Śląsk”, gdzie przez 27 lat był cenionym wykładowcą,

chórmistrzem i dyrygentem. Współpracował blisko z prof. Stanisławem Hadyną i prof. Elwirą Kamińską. Jego talent i mrowcza praca przyczyniały się w znaczącym stopniu do wielkich osiągnięć artystycznych „Śląska”, szczególnie w czasie, kiedy usunięto z zespołu Hadynę.

Czesław Pietruszka był również znanym na Śląsku sportowcem – długodystansowcem, trenującym m.in. w „Górniku Zabrze”.

Ale drugą – po muzyce – prawdziwą pasją Czesława była przyroda. Będąc już absolwentem trzech kierunków studiów muzycznych ukończył... trzyletnie Gimnazjum Leśne w Brynku, aby fachową wiedzą podbudować swoją miłość do świata przyrody, szczególnie do ogromnych, liczących wiele tysięcy hektarów lasów otaczających Koszęcin i okolice. Lasy – florę i faunę – znał niczym wytrawny leśnik, prawie codziennie chodził (raczej biegał) po nich, chronił je przed niszczeniem i zagładą. Brał czynny udział w ochronie pomników przyrody rosnących m.in. w parku koszęcińskim. Szczególnie aktywny był przy tworzeniu znanych w całej Polsce rezerwatów przyrody „Mikuliny” i „Jeleniok”.

Ostatnie 25 lat swego pracowitego, oddanego muzyce i przyrodzie życia spędził poza granicami kraju, poświęcając się głównie muzyce kościelnej i organowej. Czesław Pietruszka zmarł w maju 2005 roku w Lissendorf w Niemczech w wieku 79 lat.

Ksiądz Leszek Henryk Irek (1929–2002)

30 września 2002 roku odszedł do Pana śp. ks. Leszek²¹ Henryk Irek – salwatorianin. Odszedł nagle, mimo, że ostatnie trzy lata był ciężko chory. Ale ciągle walczył o dalsze miesiące i lata życia. Chciał służyć innym, zniewolonym nałogami, biednym i opuszczonym, dla których od lat prowadził w Nieboczowach Fundację Betlehem „Dom Chleba”.

Ksiądz Leszek urodził się w Koszęcinie 16 lipca 1929 roku. Tutaj się wychowywał, tu kończył podczas wojny niemiecką *Grundschule* i tu zdobył u pana Pajaka fach piekarza. W 1947 roku przenosi się do Chorzowa, gdzie pracując w swym zawodzie zdobywa dodatkowo kwalifikacje cukiernika. W Chorzowie zagościł na parę lat, do 1949 roku. Wtedy zdelegalizowano w Polsce ruch harcerski i organizacje kościelne. Za przynależność do tych organizacji został wówczas – wraz z siedmioma kolegami – wtrącony do PRL-owskiego

21 Leszek – imię zakonne.

więzienia. Tam, za kratami krystalizowały się dalsze losy życiowe inteligentnych chłopców. Czwórka z tej siódemki została kapłanami. Po odsiedzeniu kary, ks. Leszek wstępuje do Niższego Seminarium Księży Salwatorianów w Mikołowie, a po zamknięciu tej placówki przez ówczesne władze, studiuje teologię w Trzebini koło Krakowa i w Trzebnicy. 29 czerwca 1959 roku, przyjmuje z rąk ks. bpa Bolesława Kominka święcenia kapłańskie. Po 42 latach, na rok przed śmiercią, wspominał w swoim liście zatytułowanym „Oddani Panu Bogu do końca” ten dzień: „[...] Dokładnie 42 lata temu leżało nas na zimnej podłodze w bazylice św. Jadwigi w Trzebnicy 24 młodzieńców. Większość z nas była już z różną przeszłością. Byli chłopcy, którzy służyli w niemieckiej armii, byłem ja – człowiek z przeszłością kryminalną, skazany za przynależność do tajnej organizacji Sodalicia Marianańska”.

Jako kapłan, ks. Leszek pracował na różnych placówkach duszpasterskich, m.in. w Warszawie, w Lublinie, kilka lat posługiwał w Watykanie. Przez długie lata współpracował z kandydatem na ołtarze – ks. Franciszkiem Blachnickim w Ruchu Światło Życie. Ostatnie kilkanaście lat prowadził – założoną przez siebie – Fundację Betlehem „Dom Chleba” w Nieboczowach koło Rybnika. Niedawno napisał w swoim liście²²: „Dzięki Ci, Panie, za przeżyte lata w Twoim kapłaństwie. Daj mi pogodnego ducha i zdolności do dalszej służby, aż do momentu, kiedy Ty mnie wezwiesz do siebie, Ty, jako dobry i litościwy Ojciec”.

I dobry, litościwy Bóg i Ojciec wezwał go do siebie. Ksiądz Leszek spoczął – zgodnie ze swoim życzeniem – na wiekowym cmentarzu przy kościele Trójcy Świętej w Koszęcinie. Jego grób znajduje się obok mogiły ks. proboszcza Antoniego Ryguły. Spoczywają w cieniu „Trójcy Świętej”, który to kościół oboje tak bardzo kochali.

Ksiądz Leszek był z moją skromną osobą od dziecka zaprzyjaźniony, a mówiąc dokładniej – był moim kuzynem. Zawsze, kiedy zawitał do rodzinnego Koszęcina „wpadał” do naszego domu, dzieląc się z nami swoimi radościami i troskami. Na równy tydzień przed swoją śmiercią, zadzwonił do mnie w niedzielny wieczór. Rozmowa była długa, trwała kilkadziesiąt minut. Ksiądz Leszek snuł plany na przyszłość, a może – tak myślę dzisiaj – chciał podsumować swoje życie. Mowa była o pamiętniku, który chciał wydać. Prosił mnie, abym „przeglądnął” to dziełko, nim zostanie opublikowane. Nie wykonał tego zadania. Bóg chciał inaczej, powołując go do siebie. Nie

22 Listy ks. Leszka to swoistego rodzaju kazania zawierające „drogowskazy” dla siebie i innych.

wszystkie biografie, czy też autobiografie muszą mieć swój epilog ziemski. Za księdza Leszka zrobi to może ktoś inny. On zapisuje już tam dzieje swojego kapłaństwa, tam, w Wiecznej Ojczyźnie pełni dalej swoją służbę wysławiając Boga, któremu służył przy ołtarzu przez 43 lata.

Fundacja Betlehem – „Dom Chleba” w Nieboczowach, stanowiąca własność Zgromadzenia Księży Salwatorianów, nosi już imię ks. Leszka Henryka Irka. Dalej będzie służył ludziom potrzebującym pomocy.

My mamy w Koszęcinie jego kapłański grób. Mammy na naszym przepięknym cmentarzu pięć kapłańskich grobów (ks. Dietrich, ks. Denisch, ks. Dreszer, ks. Ryguła i ks. Irek). Wśród około 1400 mogił, w pięciu spoczywają księża, spoczywają ci, którzy prowadzili nas najkrótszą drogą do Boga. Odwiedzając groby krewnych i znajomych, stańmy na chwilę w zadumie nad kapłańskimi mogiłami, podziękujmy Bogu za ich kapłaństwo, za wierną służbę Kościołowi i Ludowi Bożemu.

Józef Mitas – muzyk i psycholog (1915–2005)

„Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”.

Kilka miesięcy temu pisząc – życzliwie przyjętą przez czytelników książkę *Pół wieku „Śląska”* – użyłem ww. słów wspominając biografie wspaniałych muzyków działających w Koszęcinie: Stanisława Hadyny, Elwiry Kamińskiej, Aliny Ilnickiej, Urszuli Porwoł, Józefa Klimanka i Józefa Tkocza. Tych siedem słów – wyjętych z dłuższego wiersza ks. Twardowskiego – stało się już swoistą klasyką przypominającą przykazanie miłości: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego”. Dzisiaj do tej plejady znakomitych śląskich muzyków dopisać trzeba także śp. Józefa Mitasa.

Tak się jakoś składa, że wielkich – wyrastających poza przeciętność – ludzi wspominamy (czasem także nagradzamy) najczęściej dopiero po ich odejściu na zawsze. Znając tę dewizę, chciałem o Józefie Mitasie napisać „trochę wcześniej”. Krótki biogram – tak ustaliłem z panem Józefem – miał się ukazać na jego 90. urodziny. W tym celu odwiedziłem go kilkakrotnie w styczniu i w pierwszych dniach lutego br. Jak zawsze życzliwy, wspominał swoje dzieje od wczesnego dzieciństwa do wieku dojrzałego dodając: „Późniejsze moje życie zna pan dobrze”.

To prawda, że zdolności i twórczość Mistrza były mi znane, że – podobnie jak wielu innych ludzi kultury – byłem zauroczony jego talentem, pracowitością i sukcesami, a mówiąc trochę patetycznie jego miłością do... greckich muz

Erato i Euterpe. To one, a prościej, trochę paradoksalnie powiedziawszy, to muzyka i śpiew były najważniejsze w ciekawym i długim życiu erudyty Józefa Mitasa.

Urodzony 14 marca 1915 roku w Wymysłowie koło Kozłowej Góry pan Józef – po ukończeniu jako prymus szkoły podstawowej – zdał trudny egzamin do pięcioletniego Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Tarnowskich Górach, które także ukończył z wyróżnieniem. Wychowany w muzykującej rodzinie od wczesnej młodości zajmował się dyrygowaniem, prowadząc już w wieku 15 lat chór szkolny, a trochę później chór „Tęcza” w Wymysłowie. W 1935 roku rozpoczyna pracę jako nauczyciel muzyki w średniej szkole w Pszczynie, gdzie dyrygował także chórem szkolnym im. F. Nowowiejskiego. Po dwóch latach przeniesiono go z Pszczyny do szkoły w Bielsku. W sierpniu 1939 roku został zmobilizowany do 22. Pułku Piechoty. Ranny pod miejscowością Zimna Woda – dostaje się do sowieckiej niewoli, z której udaną ucieczką ratuje swoje życie. Podczas okupacji pracuje w dobrach Donnersmarcków, najpierw jako *Waldarbeiter*, a później – dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego – jako... geometra. Po wojnie – czynny w szkolnictwie państwowym i spółdzielczym. Przez kilka lat pracował u boku Grzegorza Fitelberga w Polskim Radio Katowice, a przez ostatnie 10 lat pracy zawodowej Józef Mitas był dyrektorem Ośrodka Kształcenia Kadr Górniczych w Świerkłańcu.

Ale praca zawodowa służyła głównie – jak to określił nasz bohater – do „zarobienia na przeżycie”. Pasją pana Józefa była muzyka, a dokładniej chóralistyka. Przez całe swe dojrzałe życie stał za pulpitem dyrygenckim. Przez 30 lat prowadził chór mieszany „Halka” w Kozłowej Górze, doprowadzając go na szczyty powodzenia artystycznego. Sylwetka Józefa Mitasa jest zwięźle opisana w książeczce pt. *Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia” w Koszęcinie 1919–2004*. Józef Mitas – nauczyciel śpiewu i muzyki, także wspaniały psycholog, wieloletni dyrygent i twórca sukcesów chóru „Halka” z Kozłowej Góry, a także chóru „Andaluzja” z Piekar Śląskich; organizator wielu imprez śpiewaczych na terenie Śląska i kraju; członek komisji w różnego rodzaju konkursach i festiwalach śpiewaczych; dyrygent klasy „s” przyznanej przez Ministra Kultury; niezwykle zasłużony dla rozwoju śpiewactwa na Śląsku; nagrodzony wieloma wyróżnieniami i wysokimi odznaczeniami, w tym Honorową Odznaką Śpiewactwa Polskiego z Laurem, Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 1983 roku, będąc już na emeryturze zamieszkał w Koszęcinie, gdzie przez wiele lat dyrygował chórem mieszanym „Lutnia”. To dzięki jego pracy chór

ten przeżył przysłowiową „drugą młodość”. W zacytowanej już monografii „Lutni” napisano: „Praca chóru intensyfikuje się, wzbogacają się jego formy działania, podwyższa się poziom artystyczny zespołu, co jest niewątpliwie zasługą wysokiej klasy dyrygenta Józefa Mitasa, wyróżniającego się długoletnim doświadczeniem, profesjonalizmem i oddaniem muzycznej pasji. Od początku wiele uwagi poświęca on technice śpiewu, emisji głosu i dokładności wykonania utworów pod wszystkimi względami sztuki wokalne”. Do tych superlatywów można jeszcze dodać: Józef Mitas opracował dla potrzeb amatorskiego ruchu śpiewaczego około 200 pieśni – religijnych, patriotycznych, lirycznych i ludowych. Utwory te są do dziś i pozostaną jeszcze długo „żelaznym” repertuarem wielu śląskich chórów. Pan Józef był nie tylko wybitnym muzykiem, pedagogiem i psychologiem, ale – to należy mocno podkreślić – był bardzo wymagającym dyrygentem. Dużo wymagał od siebie i wiele od innych. Ale wiadomo nie od dziś, że tylko oddanie i pracowitość prowadzą na szczyty powodzenia. Świętej pamięci Józef Mitas był perfekcjonistą, człowiekiem oddanym bez reszty sztuce. Znał – jak chyba nikt inny – i wcielał w życie treść dwóch przysłów: „Tam się łącz gdzie śpiewają, bo źli ludzie pieśni nie znają” i drugie jeszcze ważniejsze: „Kto śpiewa, ten dwa razy się modli”.

Ludzie ziemi lublinieckiej

Aniela Pietrek (1933–2010)

Rubryka „Ludzie ziemi lublinieckiej” jest niejako zarezerwowana w naszej gazecie dla tych ludzi, którzy na przestrzeni minionych wieków, dziesięcioleci i lat zasłużyli się naszej Małej Powiatowej Ojczyźnie. Wspominamy tu tych, którzy swymi czynami i działalnością wykraczali często poza granice gmin naszego powiatu, ale także tych, którzy swoim powołaniem życiowym i pracą zawodową, a szczególnie aktywnością społeczną i zaangażowaniem zostawili w Małych Ojczyznach materialne, bądź duchowe ślady swojej działalności.

W dniu 16 sierpnia 2010 roku odeszła na zawsze od nas śp. Aniela Pietrek, długoletnia i zasłużona nauczycielka i dyrektorka Szkoły Podstawowej w Koszęcinie. Była rodowitą koszęcinianką, urodzoną 11 maja 1933 roku. Jej wczesne dzieciństwo przypadło na czas wojny i trudny okres powojenny. W latach 1939–1945, kiedy to naszą ziemię włączono do Rzeszy, uczęszczała z obowiązku do niemieckiej szkoły podstawowej w Koszęcinie. Po wojnie

uczyła się w lublinieckim Liceum Ogólnokształcącym im. A. Mickiewicza, w którym w 1951 roku zdała maturę.

Ze względu na ogromny deficyt nauczycieli w tym czasie, Aniela Pietrek (z domu Samek) chętnie oddaje się pedagogicznej pasji, zdobywając niezbędne kwalifikacje. Ukończyła Studium Nauczycielskie i Instytut Naukowy Badań Oświatowych w Katowicach. W umiłowanym zawodzie nauczyciela przepracowała ponad 40 lat. Była wzorową nauczycielką i dyrektorką, dobrą koleżanką braci nauczycielskiej i przyjaciółką dzieci. Wielokrotnie wyróżniana za bardzo dobre wyniki w nauczaniu i kierowaniu koszęcińską podstawówką, w której spędziła całe swe zawodowe życie.

Aniela Pietrek należała do nielicznego grona nauczycieli – społeczników. Całą swoją bogatą wiedzę, zdolności, doświadczenie życiowe i wyniesione z domu rodzicielskiego wartości przekazywała zarówno młodzieży jak i dorosłym. Nie dzieliła swego czasu li tylko na „godziny szkolne” i przebywanie w domu. Była na służbie społecznej zawsze i wszędzie, gdzie było coś ważnego do zrobienia i gdzie był potrzebujący pomocy człowiek. Wiedzą o tym ci wszyscy, którzy byli blisko niej, z którymi utrzymywała przyjacielskie i koleżeńskie kontakty, konsultując z nimi wiele koszęcińskich, powiatowych, czy śląskich spraw i potrzeb. Wiedzą ci, którym pomogła i wiedzą władze różnych szczebli – administracyjnych i oświatowych – u których zabiegała o społeczne i ludzkie sprawy.

Aniela Pietrek była inicjatorką odbudowania zniszczonej przez hitlerowców w czasie wojny historycznej kapliczki św. Jana, znajdującej się w pobliżu polskiej szkoły, a upamiętniającej związek króla Jana III Sobieskiego z Koszęcinem. Do lat 80. XX wieku trzeba było czekać na to wydarzenie. Jej zasługą jest także wybudowanie dzisiejszego gmachu koszęcińskiego gimnazjum, który wcześniej był pomyślany jako obiekt poszerzający znacznie bazę szkoły podstawowej, w której dzieci musiały uczyć się na zmiany. Śp. Aniela Pietrek ma także wielkie zasługi w promowaniu i wpajaniu uczniom śląskich tradycji i wydarzeń historycznych, a także wybitnych ludzi tej ziemi. Za jej dyrektorowania szkołą powstawały liczne szkolne kółka zainteresowań i zespoły artystyczne oraz nawiązana została wzorcowa współpraca ze znajdującym się w sąsiedztwie szkoły Domem Kultury. Trudno wyliczyć pozytywne aspekty edukacyjne i wychowawcze wprowadzane przez zmarłą w koszęcińskiej szkole. Jeszcze trudniej wspominać pojedynczych ludzi i rodziny, którym Aniela Pietrek pomagała uregulować trudne sprawy rodzinne, edukacyjne i wychowawcze, mające często patologiczne podłoże. Niechaj

te sprawy pozostaną w dalszym ciągu we wdzięcznych sercach ludzkich i niech pozostaną dla większości z nas anonimowe.

Może na zakończenie tych wspomnień przytoczę fragment z pięknej homilii pogrzebowej ks. prałata Tadeusza Fryca: „Znałem ją przez 42 lata mojego pobytu w Koszęcinie. Ta jej dobroć wyrażała się przede wszystkim w czynie. Nie potrafiła obojętnie przejść obok ludzkiej krzywdy i nieszczęścia. Każdą podjętą decyzję realizowała niemal natychmiast. Była dyrektorką szkoły w bardzo trudnych czasach powojennej historii. Wierna swoim chrześcijańskim korzeniom nieraz narażała się ówczesnej władzy, chociażby wymienić zainicjowanie przez nią spotkania nauczycieli z biskupem Bednorzem podczas wizytacji parafii...”. Wszystkie zasługi śp. Anieli Pietrek dla Małej Koszęcińskiej Ojczyzny nie pójdą w zapomnienie.

Profesor Antoni Gładysz – socjolog kultury

Każdy skrawek ojczystej ziemi związany jest z ludźmi dobrze zasłużonymi dla jej dziejów. Takich ludzi nazywamy „zasłużonymi” albo „wielkimi”. Byli oni – lub są – czynni w różnych dziedzinach aktywności zawodowej czy działalności społecznej. Wielkich ludzi odnosimy do formatu globalnego – świata, kontynentu, narodu, do różnych dyscyplin naukowych, działalności zawodowej, charyzmatu, czynu bohaterskiego itp. Ale ludzie wielcy – zanim zostali „zauważeni” i obdarowani zaszczytami, działali często na „peryferiach wielkości”, pracując w małych społecznościach lokalnych, w małych instytucjach czy też w najmniejszych Małych Ojczyznach. Takiego właśnie człowieka pragnę krótko przedstawić. Czytelnik mi wybaczy, że nie napiszę tu niczego nowego, posłużę się po prostu artykułem, który zamieściłem kilka lat temu na łamach „Ziemi Lublinieckiej”, wspominając – pośmiertnie – wielkiego człowieka – Antoniego Gładysza. Oto ten artykuł, bez żadnych zmian i korekt:

W cyklu artykułów „Ludzie naszej ziemi” wspomniałem już wielu zasłużonych ludzi, którzy urodzeniem bądź pracą związani byli z ziemią lubliniecką. Dziś chciałbym wspomnieć człowieka wielkiego formatu, socjologa kultury prof. Antoniego Gładysza, wielce zasłużonego pedagoga i uczonego.

Dnia 13 sierpnia 2002 roku jego doczesne prochy spoczęły na cmentarzu w Tarnowskich Górach. Profesor spoczął na zawsze w mieście, z którym przez

wiele lat był związany i które ma mu wiele do zawdzięczenia, choćby tylko wymienić „Święto Gwarków”.

Antoni Gładysz urodził się w 1915 roku w małej miejscowości Szum pod Kluczborkiem. Po ukończeniu gimnazjum w Kępnie, studiował w latach 1934–1938 polonistykę i socjologię na Uniwersytecie Poznańskim. Jego wykładowcami i promotorami byli wybitni uczeni m.in. prof. Florian Znaniecki i Roman Pollak. W czasie wojny Antoni Gładysz – ukrywając się przed okupantem – pracował jako młynarz w Glinicy. Liczni rolnicy nie wiedzieli, że mąkę miał magister socjologii i polonistyki. Zнали go jedynie jako dobrego „Antka-młynarza”, który – jak to profesor określał – „nie cygańił na wadze”. Gliniczanie byli bardzo zdziwieni, gdy po wyzwoleniu Antoni Gładysz zorganizował polską szkołę w tej miejscowości i przez dłuższy czas był jej kierownikiem. Lata spędzone na ziemi lublinieckiej, wśród wiejskiego ludu pozwoliły przyszłemu profesorowi lepiej poznać zagmatwane losy śląskiej ziemi, jej kulturę i obyczajowość. To procentowało później w jego karierze naukowej, poświęconej głównie szeroko pojętej kulturze Śląska, a także pracy dydaktycznej w szkolnictwie wyższym. Profesor Gładysz pracował wiele lat w Śląskim Instytucie Naukowym, był także dyrektorem Studium Kultury i Oświaty w Katowicach, a w latach 70. ubiegłego wieku zorganizował Filię Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, w której przez wiele lat piastował godność prorektora, a także dziekana Wydziału Pedagogiczno-Artystycznego na tej uczelni. Przez całe swoje długie życie był niestrudżonym badaczem i twórcą. Kultura śląska, a patrząc szerzej – kultura polska i europejska ma mu wiele do zawdzięczenia. Nam, mieszkańcom ziemi lublinieckiej, Śląskowi i Polsce przybliżył wielkie postacie naszej Małej Ojczyzny: Jana Nikodema Jaronia (praca doktorska), Jana Dzierżonia, Józefa Lompę, Jana Przybyłę. Dorobek pisarski Antoniego Gładysza – książki, artykuły naukowe, periodyki – jest pokaźny i zapełniał on wiekową lukę kulturoznawstwa śląskiego. Dopełnieniem jego naukowej pracy jest wydana w ostatnich dniach życia profesora książka pt. *Sto lat kultury na Górnym Śląsku*.

Piszący te słowa znał profesora przez kilka dziesięcioleci. Studiowałem „u niego” przez prawie osiem lat, kończąc najpierw Studium Kultury, a później studia magisterskie. Profesor Gładysz był także recenzentem wielu moich publikacji zwartych, do których chętnie i bezinteresownie pisywał „przedmowy” i „posłowania”.

I jeszcze jedno – bardzo proste zdanie: Profesor Antoni Gładysz był dobrym człowiekiem. I to prawie wszystko co o Nim – na razie – chciałem powiedzieć.

Słowo pożegnalne Jana Myrcika wygłoszone na pogrzebie śp. prof. Antoniego Gładysza

Droga, pogrążona w smutku Rodzino Gładysz. Szanowni zgromadzeni na tej smutnej uroczystości przyjaciele i znajomi zmarłego.

Stoimy nad otwartą mogiłą, pogrążeni w smutku i w zadumie nad majestatem śmierci, która wpisana jest w każdą biografię.

Przyszliśmy tu – na to uświęcone miejsce – aby oddać hołd człowiekowi wielkiego formatu, humaniście-socjologowi oddanemu bez reszty w służbie dla polskiej kultury, a szczególnie dla kultury pięknej śląskiej ziemi.

Żegnamy dziś na zawsze człowieka bardzo prawego, uczonego i nauczyciela akademickiego, przyjaciela nas wszystkich prof. dra hab. Antoniego Gładysza. Ja, żegnam Cię Profesorze Antoni w imieniu wielkiej rzeszy absolwentów Wydziału Pedagogiki Kultury cieszyńskiej uczelni, którą budowałeś materialnie i merytorycznie jako jej prorektor i długoletni profesor.

Byłeś dla nas wszystkich wielkim autorytetem i wymagającym nauczycielem, ale przede wszystkim przyjacielem i takim pozostaniesz na zawsze w naszej pamięci. Dziękujemy Ci za przekazaną wiedzę, za życzliwość i przyjaźń. Szczególnie moje pokolenie Ślązaków, dzieci wojny, których uczono w różnych językach, których historia nie oszczędzała, dziękuję Ci za to, że kazałeś nam uwierzyć w siebie, że przekonywałeś iż Ślązak może i powinien kończyć wyższe humanistyczne uczelnie. Żegnam Cię również – Kochany Profesorze w imieniu mieszkańców ziemi lublinieckiej, gdzie przebywałeś podczas okupacji, ukrywając się i pracując jako młynarz, młynarz z dyplomem akademickim, a po wyzwoleniu jako kierownik szkoły w małej Glinicy.

Profesorze Antoni, powiedziałeś do mnie, kiedy odwiedzałem Cię w pięknym tarnogórskim grodzie, leżącego już na łożu boleści, na krótko przed Twoją śmiercią: „Janku, rozpoczął się finisz mojego życia, wszystko ma swój kres, odchodzę. I tak Bóg pozwolił mi długo żyć”. I odszedłeś. Tak majestatycznie i świadomie odchodzą tylko wielcy ludzie, ludzie którzy wypełnili z należytą powagą swe ziemskie zadania. Ale – profesorze Antoni, Ty nie wszystkich odchodzisz. Zostawiłeś nam tu obecnym i tym, którzy z różnych powodów nie mogli się tu dzisiaj znaleźć, bogate wiano Twojej naukowej pracy, zostawiłeś armię absolwentów cieszyńskiej Alma Mater, zostawiłeś przykład człowieka bez reszty oddanego ludziom i temu wszystkiemu, co mieści się w szerokiej definicji pojęcia kultura”.

Żegnamy Cię Kochany Profesorze pogrążeni w głębokim smutku, będzie nam wszystkim Twojej osoby bardzo brakowało. Żegna Cię śląska ziemia

od Lublińca poprzez ziemię tarnogórską po Cieszyn i Bielsko. Tam wszędzie miałeś i masz oddanych przyjaciół, w których pamięci na zawsze pozostaniesz. Niech ta ziemia, której tak gorliwie posługiwałeś lekką Ci będzie. Dziękuję.

Jan Famuła (1910–1994)

Nie jako *postscriptum* do „Słowa wstępnego”, chciałbym przybliżyć czytelnikowi najbarwniejszą w całej plejadzie ludzi wielce zasłużonych dla koszęcińskiej chóralistyki i kultury w ogóle, postać Jana Famuły. Ten wspaniały człowiek, od wczesnej młodości do kresu swych dni, był duszą wszystkiego, co miało związek z koszęcińską kulturą. Był przez długie lata prezesem „Lutni”, śpiewakiem i swoistego rodzaju gawędziarzem, grał na kilku instrumentach (akordeon, skrzypce i waltornia), pisał piękne wierszowane kuplety, w których – niczym wytrawny psycholog – obnażał wady i zalety poszczególnych ludzi, nie obrażając nikogo. Nie było chyba w Koszęcinie żadnej apolitycznej organizacji, w której zabrakłoby pana Jana – wspomniany już chór „Lutnia”, Ochotnicza Straż Pożarna, szkoła, dom kultury, ośrodki wczasowe, Koło Emerytów, Rencistów i Inwalidów – wszędzie był obecny i wszędzie bardzo potrzebny.

Jan Famuła – którego osobiście dobrze znałem i z którym przez dziesięciolecia współpracowałem – urodził się w 1910 roku w małym przysiółku *Emilienhof*, pow. Strzelce Opolskie, w rodzinie kowala dworskiego. W 1915 roku dziesięcioosobowa rodzina przenosi się do folwarku Hohenlohych w Boronowie, gdzie Jan kończy pruską szkołę podstawową. W latach 30. XX wieku Famułowie zamieszkali w Koszęcinie. Jan Famuła od czternastego roku życia rozpoczął pracę – najpierw jako uczeń biurowy w Urzędzie Okręgowym w Koszęcinie, później sekretarz gminy, sekretarz Nadleśnictwa i księgowy. W czasie II wojny światowej wcielony do Wehrmachtu. W kwietniu 1944 roku, jako jeńiec, przebywał krótko w niewoli amerykańskiej, po czym – do grudnia 1945 roku – służył w polskiej armii generała Andersa. Można powiedzieć, zwyczajny los Ślązaka XX wieku.

Ale biografia Jana Famuły ukazuje Ślązaka kreatywnego, społecznika-lidera, człowieka pogodnego i bezkonfliktowego. Jan Famuła ma ogromne zasługi dla śpiewactwa Koszęcina i ziemi śląskiej. Cieszę się, że poproszono mnie o „Słowo wstępne” do tej publikacji, w którym mogłem ustosunkować się krótko do pięknych kart naszej przeszłości. Wielką radość i satysfakcję

sprawiło mi, że mogłem przypomnieć sobie i czytelnikom barwną postać Jana Famuły. Szkoda, że dziś takich ludzi już nie ma i szkoda, że te piękne dzieje, to już tylko historia.

Antoni Famuła (1941–2015)

„Spieszmy się kochać ludzi...”. Jeszcze raz, dziesięć i sto razy można by to – prawie każdemu Polakowi znane – zdanie ks. Twardowskiego powtórzyć i powtarzać bez końca. Śmierć zawsze przychodzi za wcześnie – tak nam się wydaje – jeszcze było tyle do zrobienia, tyle marzeń, tyle planów, tyle niedokończonych rzeczy. Także śp. Antoni Famuła zostawił wiele „zaszufadkowanych”, niedokończonych spraw dotyczących śląskiego *Heimatu*, naszej wspólnej Małej Ojczyzny – szczególnie Miasteczka Śląskiego i ukochanego Koszęcina, gdzie się przed 74 laty urodził i gdzie miał tylu bliskich i serdecznych przyjaciół.

Antoni Famuła nie zamieszkiwał od 49 lat w rodzinnym Koszęcinie. Przeniósł się – po zawarciu związku małżeńskiego w 1965 z nauczycielką Stefanią Tobor – do Miasteczka Śląskiego, w którym mieszkał do kresu swoich dni. Antoś odszedł na zawsze – po ciężkiej i nieuleczalnej chorobie – tuż przed świętami wielkanocnymi i spoczął 11 kwietnia 2015 roku na miasteczkowskim cmentarzu w pobliżu grobu świątobliwego i wielce zasłużonego dla Kościoła katolickiego ks. Teodora Christopha, o którym wspominał w swoich publikacjach wielokrotnie.

Antoni Famuła urodził się 23 lutego 1941 roku w Koszęcinie z matki Augusty – nauczycielki i ojca Jana – urzędnika. Dzieciństwo i wiek młodzieńczy spędził w ukochanym Koszęcinie. Tu uczęszczał do szkoły podstawowej i stąd dojeżdżał przez pięć lat do tarnogórskiego liceum pedagogicznego, aby – podobnie jak matka, ciocia Berta i później siostra Helena – zostać nauczycielem. Następnie kończy na WSP w Katowicach studia pedagogiczne i przez sześć lat – 1962–1968 – (do czasu likwidacji tej zasłużonej nauczycielskiej szkoły) uczył w „swoim” liceum. Później na wiele lat związał się z hutą „Miasteczko Śląskie” prowadząc tam pracownię plastyczną i redagując gazetę zakładową „Hutnik”. W międzyczasie studiował na Wydziale Dziennikarskim Uniwersytetu Warszawskiego, zdobywając w tej profesji tytuł magistra. Niedawno „Stowarzyszenie Góra Jerzego” w Miasteczku Śląskim poświęciło śp. Antoniemu wspaniały wieczór wspominając jego niebagatelne zasługi dla tego miasta, dla jego kościołów, zasłużonych organizacji i ciekawej historii.

Zmarły pozostawił bogaty plon literacki w postaci licznych artykułów prasowych, książek, opracowań graficznych i innej działalności – głównie artystycznej. Wspomnijmy te najważniejsze – *Dom Boży na wieki* – monograficzny opis kościoła parafialnego z okazji stulecia jego istnienia. *Miasteczko Śląskie – parafia i kościół Wniebowzięcia NMP w Miasteczku, Miasteczkowskie bery i legendy*, a także wydaną w miesiąc po śmierci autora monografię chóru „Sienkiewicz” w Miasteczku Śląskim, w którym to – liczącym już ponad sto lat – chorze zmarły przez długi czas śpiewał. Antoni Famuła jest także autorem słów pieśni religijnej poświęconej – czczonej od wieków w Miasteczku – Matce Boskiej Siedmiobolesnej.

Miasteczko godnie pożegnało na zawsze swego piewcę i współorganizatora życia społeczno-kulturalnego. Wielka rzesza ludzi uczestniczyła w ceremonii pogrzebowej, grała miejscowa orkiestra dęta, śpiewał chór „Sienkiewicz”. Ksiądz proboszcz Henryk Dyka w wygłoszonej mowie pożegnalnej przypomniał liczne zasługi Antoniego Famuły dla miejscowego kościoła i „posrebrzonego” wiekową historią miasta.

Ale piszący niniejszy tekst, nie jest i nigdy nie był mieszkańcem Miasteczka Śląskiego. Uczestniczyłem w tej żałobnej uroczystości wraz z licznym gronem nauczycielskim i dyrekcją Szkoły Podstawowej w Rusinowicach, w której przez wiele lat wspólnie z Antonim pracowaliśmy. Żegnaliśmy naszego wypróbowanego przyjaciela i długoletniego mieszkańca Koszęcina, który dzieje naszej ziemi znał nie gorzej niż Miasteczko Śląskie. Ze śp. Antonim i jego rodziną łączyła mnie przeszło półwiekowa przyjaźń podyktowana wspólnymi zainteresowaniami i miłością do najpiękniejszego miejsca pod słońcem – Małej Ojczyzny. Na niwie kultury współpracowałem przez lata z ojcem Antka – Janem Famułą, który zapisał się w koszęcińskiej kulturze – szczególnie w działalności wiekowego chóru „Lutnia” – złotymi zgłoskami. Antoni Famuła pozostawił także w Koszęcinie część swego talentu. Wspólnie opracowaliśmy kronikę parafii NSPJ w Koszęcinie, w której szczególnie urokliwa jest grafika i ręczny opis historycznych zdarzeń parafii, wykonany przez Antoniego. Opracował także – graficznie niepowtarzalny – duży obraz związany ze 125-leciem parafii NSPJ w Koszęcinie, który przez długie lata wisiał przy wejściu do kościoła. Był również autorem i wykonawcą (nieistniejącej już) dużej stajenki rozmieszczonej w części prezbiterialnej kościoła NSPJ w Koszęcinie. Antoni Famuła wykonał również wspaniałą grafikę do książki Jana Ulfika dotyczącej genealogii rodziny Ulfik, rozpoczynającej się w czasach wojny trzydziestoletniej. Jest także „graficznie” obecny w kilku moich książkach m.in. *Drewniane kościoły*

na ziemi lublinieckiej, Epitafium dla poległych, Zabytkowy kościół Trójcy Świętej w Koszęcinie i w innych pracach i opracowaniach.

Nie ma już wśród nas Antoniego Famuły, ale dobrze, że pozostały w Koszęcinie i w Miasteczku Śląskim jego dokonania, które znaczą nie tylko talent i artyzm, ale są one – przede wszystkim – synonimem miłości i życzliwości śp. Antoniego do ludzi i minionych, pięknych czasów naszej Śląskiej Małej Ojczyzny. Będziemy o naszym koledze i przyjacielu Antonim Famule pamiętać, bo był jednym z nielicznych wielkich ludzi Koszęcina kochających w czynach Małą Ojczyznę.

Zmarł ksiądz dziekan Józef Żurek (1933–2009)

W piątkowe dopołudnie – 22 maja 2009 roku – po ciężkiej rocznej chorobie, Bóg powołał do siebie swego sługę – śp. ks. dziekana Józefa Żurka.

Zmarły urodził się 15 stycznia 1933 roku w Koszęcinie. Tu – wspólnie z czterema siostrami pod opieką zapracowanej matki – spędził niełatwe dzieciństwo i bardzo trudny – prawie głodowy – czas wieku wczesnomłodzieńczego²³. Tu, w rodzinnym Koszęcinie zrodziło się – z inspiracji Sługi Bożego ks. bpa Wilhelma Pluty – wówczas proboszcza – powołanie do kapłaństwa. Tu wrócił w 2003 roku – po przejściu na zasłużoną emeryturę. W dniu 26 maja 2009 roku doczesne szczątki śp. ks. dziekana Józefa Żurka spoczęły w cieniu ukochanego kościółka Trójcy Świętej na starym, liczącym sobie ponad pięćset lat cmentarzu. Pochowano go w tworzącej się od kilku lat przy „Trójcy” – „Alejce Zasłużonych Kapłanów” – gdzie w jednym szeregu pochowano już ks. Antoniego Dreszera, ks. Antoniego Rygułę i ks. Leszka Irka.

Wszyscy koszęcinianie znali dobrze śp. ks. dziekana Józefa Żurka. Starsza generacja pamięta go od dzieciństwa, wielu było z nim „na ty”, wielu – chyba wszystkich – obdarzał szczerą i życzliwą przyjaźnią. Młodszy poznali go w 2003 roku, kiedy – jak się okazało – wrócił tu już na zawsze. Codziennie był obecny przy ołtarzu i w konfesjonale w kościele NSPJ w rodzinnym Koszęcinie, w tym samym kościele, w którym był chrzczony, bierzmowany i gdzie w 1957 roku odbyły się jego prymicie.

Kiedyś szczupłusienki, czarnowłosa, bardzo urodziwy i wysportowany, później dobrze zbudowany, siwiuteńki i powolniejszy. Zawsze uśmiechnięty, pobożny, odcytany, roztropny i skory do żartów. Tak „z wyglądu” albo jednym

23 Internowany po wojnie ojciec zmarł w 1946 roku.

zdaniem można by opisać charakter śp. ks. Józefa Żurka. I takim zachowamy go po wsze czasy w naszej wdzięcznej pamięci.

Ale to byłby bardzo zawężony i uproszczony opis. Te prawie 60 lat przebywania poza Koszęcinem było wypełnione – żeby nie powiedzieć przepełnione – najpierw studiami na zacnej Alma Mater w Krakowie, a później rzetelną, kapłańską posługą.

Jako kolega zmarłego, znający śp. ks. Józefa od lat dziecinnych, chciałbym w wielkim skrócie (kiedyś może obszerniej) przedstawić jego biografię i przybliżyć sylwetkę zacnego człowieka-kapłana rodem z Koszęcina.

Od 1942 roku wspólnie z „Jozikiem” Żurkiem i wieloma innymi kolegami (m.in.: Paulek Świtała, Stefek Wyżgoł, Fritz i Józik Mastalerzowie, Marian Lange, Hubert Waclawek i inni) byliśmy przez wiele lat ministrantami, najpierw *Nachknijerami*²⁴, a później *Oberministrantami*. (Proboszczem Koszęcina w czasie wojny był zacny ks. dr Anastazy Muża, zaś wikarym ks. Erwin Muszer – późniejszy twórca i pierwszy proboszcz parafii w Strzebinu). Wtedy nic jeszcze nie wskazywało na późniejszą, kapłańską drogę ks. Żurka. Myśle – ale o to nie pytałem ks. dziekana – że może jego powołanie rodziło się w „Sodalitji Mariańskiej” założonej i prowadzonej wspaniale przez ks. dra Wilhelma Plutę, pierwszego powojennego proboszcza Koszęcina, później biskupa, a dziś Sługę Bożego i kandydata na ołtarze.

Świętej pamięci ks. Józef Żurek po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Koszęcinie (pięć klas niemieckiej i dwie klasy polskiej) oraz po zdaniu matury w lublinieckim Liceum Ogólnokształcącym im. A. Mickiewicza podejmuje studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, aby po dwóch latach – na skutek likwidacji tego kierunku przez władze PRL na UJ – kontynuować je w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym. Świecenia kapłańskie przyjmuje 23 czerwca 1957 roku z rąk ks. biskupa Bednorza w katedrze Chrystusa Króla w Katowicach.

Następnie przez 14 lat pełni obowiązki wikarego w parafiach: św. Jana Nepomucena w Łagiewnikach (Bytom, 1957–1962), św. Barbary w Chorzowie (1962–1965), Wszystkich Świętych w Pszczynie (1965–1969) i św. Marii Magdaleny w Bielszowicach (1969–1971). W latach 1971–1980 ks. Żurek proboszczuje w parafii Wniebowzięcia NMP w Lubecku. Za jego czasów powraca wielki kult maryjny do starej lubeckiej świątyni, która dekretem ks. biskupa

24 Tłum. „klęczącymi obok”.

ordynariusza Jana Wieczorka staje się Diecezjalnym Sanktuarium Matki Boskiej Lubeckiej. Ze względu na dużą ilość pątników ks. Józef buduje nieopodal kościoła „plenerowy ołtarz”. Przewodzi też remontom i malowaniu kościoła, budowie nowego ogrodzenia, brukowaniu terenu przykościelnego i wielu innym pracom. Jednak najważniejszym zadaniem duszpasterskim proboszcza Żurka był zawsze wielki kult do Matki Boskiej i wielka cześć do Eucharystii. Po dziewięciu latach owocnej pracy w Lubecku ks. Żurek zostaje proboszczem w parafii św. Mikołaja w Lublińcu. Tu posługuje przez 23 lata do przejścia w 2003 roku na emeryturę. Tutaj wprowadził codzienną „wieczną adorację” Przenajświętszego Sakramentu i cykliczne nabożeństwa (we wtorki i niedziele) do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, której wizerunek zamieścił w ołtarzu głównym kościoła. Dbał o historyczny wygląd zabytkowej świątyni, którą wielokrotnie remontował.

Inne ciekawostki biograficzne ks. dziekana Józefa Żurka w skrócie:

- studiował przez pięć lat na tym samym roku z ks. arcybiskupem Damianem Zimoniem;
- przez dwa lata studiów wykładowcą etyki społecznej był prof. Karol Wojtyła (u którego wspólnie z późniejszym arcybiskupem Damianem Zimoniem składali egzaminy. Ksiądz Żurek wspominał późniejszego papieża i Sługę Bożego jako wspaniałego, zawsze uśmiechniętego i bardzo sprawiedliwego profesora, a studia „u niego” za ogromny zaszczyt);
- pełnił przez 12 lat godność dziekana dekanatu lublinieckiego;
- w młodości był przez wiele lat utalentowanym piłkarzem koszęcińskiego klubu sportowego;
- z zamiłowania był filatelistą – kolekcjonerem i znawcą tego hobby;
- posiadał wspaniałą dykcję, zmysł muzyczny i piękny głos;
- był człowiekiem bezpośrednim, tolerancyjnym, koleżeńskim i bardzo życzliwym;
- kochał śląską ziemię, „godoł po naszymu” i bardzo cenił ludzi „robiących coś” dla Śląska.

Świętej pamięci ks. dziekan Józef Żurek spoczął w uświęconej wierą i tradycją ziemi na wielowiekowym cmentarzu przy kościele Trójcy Świętej w Koszęcinie. Będziemy o nim pamiętali w modlitwie, zapalając od czasu do czasu światło pamięci na jego mogile.

Profesor Adolf Dygacz – Górnślązak z Droniowic

5 kwietnia 2005 roku minęła pierwsza rocznica śmierci wybitnego muzykologa, pedagoga, publicysty i zbieracza śląskiego folkloru prof. Adolfa Dygacza. Z tej okazji pragnę naszym czytelnikom przypomnieć sylwetkę naukowca i ciekawą, choć niełatwą drogę, która prowadziła profesora po szczeblach edukacji od wiejskiej szkółki do sal wykładowych akademii i uniwersytetów.

Adolf Dygacz urodził się 23 lipca 1914 roku w Droniowicach. Tam też ukończył szkołę podstawową, w której jak sam wspomina – „nauczyciel Juliusz Bromer w czasie lekcji śpiewu chodził po klasie i wygrywał na skrzypcach różne melodie”. Następnie w latach 1930–1934, zdobywał wiedzę w Niższym Seminarium Duchowne u ojców oblatów w Lublińcu, doskonaląc tam swoją wiedzę ogólną i muzyczną. Maturę zdobył w gimnazjum humanistycznym w Katowicach. Rozpoczęte studia w Warszawie przerywa wojna, na którą Dygacz, jako adept kursu podchorążych został powołany. Po klęsce wrześniowej – za udział w ruchu antyhitlerowskim – przebywał w więzieniu od stycznia 1941 roku do zakończenia II wojny światowej. Po tym tragicznym okresie swego życia kontynuuje rozpoczęte już w młodości dzieło – zbierania starych pieśni, studiując równocześnie w PWSM w Katowicach²⁵, a także muzykologię na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Studiował również prawo i ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim. Doktoryzował się na Uniwersytecie Wrocławskim, habilitował na Uniwersytecie Poznańskim, a tytuł profesora nadzwyczajnego uzyskał w cieszyńskiej filii Uniwersytetu Śląskiego. Profesor Dygacz był promotorem ponad dwustu prac magisterskich, czternastu doktoranckich i trzech habilitacji. Jest autorem kilkunastu książek i ponad stu rozpraw naukowych. Szczególnym polem naukowej aktywności profesora było jednak zbieractwo folkloru muzycznego. W swoim archiwum zgromadził kilkanaście tysięcy pieśni ludowych z regionu śląskiego, w tym także tom zatytułowany *Śpiewnik pieśni lublinieckich*. We wstępie do tej publikacji Adolf Dygacz napisał m.in. „Należy oddać wielką cześć folklorowi ziemi lublinieckiej, który uważam za bogaty wkład w polską ludową kulturę muzyczną”. Przytoczmy – na zakończenie tego artykułu – jedną piosenkę z prawie dwustu pieśni zamieszczonych w tym lublinieckim śpiewniku. Tekst i melodia tej żartobliwej piosenki – noszącej tytuł *Co za cudok, co za cudok* – zostały zapisane przez profesora w rodzinnych Droniowicach w 1958 roku.

25 Dziś Akademia Muzyczna w Katowicach.

PS Profesora Adolfa Dygacza – podobnie jak wielu innych znanych i uznanych wielkich ludzi śląskiej nauki – znałem osobiście. Bywał w moim domu, w moim Ośrodku Kultury i Edukacji Regionalnej. Bywałem także zapraszany na rocznice i inne uroczystości profesora. Na zakończenie moich wspomnień, krótki wierszyk ze zbiorów Adolfa Dygacza.

*Co za cudok, co za cudok Kozali mu koze napaść
z Jędry Bartkowego, na łące za rzeką,
iż się wystraszył kozieł roz zabeknął,
koprucha jednego, i synek ucieknął.
Kiej na dworze pod stodołą Dali Jędrze bic do ręki,
Lito słoma młócił, miał poganiać woły,
Cepem roz wywinął, a on z tym biczyskiem
Zaroz się przewrocił, uciekł do stodoły.*

Robert Komendera – malarz-akwarelista (1927–2005)

Urodził się w 1927 roku u podnóża beskidzkiego w Kozach pod Bielskiem. Tam – do czasu wybuchu wojny – zamieszkiwał i uczył się w miejscowej szkole podstawowej. Rodzice i nauczyciele szybko rozpoznali jego talent i zamiłowania plastyczne. Robert już w wieku szkolnym pięknie rysował, szkicował postacie historyczne i tworzył swoje pierwsze akwarele, utrwalając na nich piękno rodzinnej przyrody. Wojna przerwała dalszą naukę. Pana Roberta „wywieziono” na przymusowe prace w głąb Niemiec, skąd powrócił w rodzinne strony dopiero w 1945 roku. Po ukończeniu szkoły średniej pracował jako ekonomista w bielskim przemyśle włókienniczym. Wszystkie wolne chwile poświęcał umiłowanej sztuce. Będąc członkiem zespołu plastycznego w Bielskim Centrum Kultury i w Domu Kultury Włókniarzy rozwijał swoją pasję i talent. Interesowały go różne techniki malarstwa: szkic, rysunek, akwarela i malarstwo olejne. Brał udział w licznych konkursach i wystawach zdobywając cenne nagrody. W roku 1952 ukończył z wyróżnieniem trzyletnie Ognisko Sztuk Plastycznych w Bielsku. Często wspominał swoich nauczycieli z tej szkoły m.in. Krystynę Mazur, Jana Zippera i Stanisława Suknarowskiego, którzy także później udzielali mu cennych rad, będąc zarazem entuzjastami jego twórczości. Z Lublińcem Robert Komendera związał się 30 lat temu, zamieszkując z rodziną w północno-zachodniej części miasta. Tutaj także tworzył – głównie w plenerze i w zaciszu domowym.

Z natury skromny, nieafiszujący się, dokumentował na płótnie i kartonie piękno ziemi lublinieckiej – swojej drugiej po Bielsku – Małej Ojczyzny. Na dziesiątkach, setkach, a może tysiącu obrazach przedstawiał kościoły i kapliczki, pałace i zabytkową architekturę, pomniki przyrody, strumyki wodne i kwiaty polne. Roberta Komenderę spotkałem po raz pierwszy przed 20 laty przy kościele Trójcy Świętej w Koszęcinie. Siedział w krótkich spodenkach przy sztaludze, na której kolorami mieniła się akwarela przedstawiająca stary kościółek w otoczeniu pięknej i bujnej przyrody. To był początek fascynacji jego twórczością i początek naszej przyjaźni. W Koszęcinie mistrz akwareli Robert Komendera miał kilka wystaw: w pałacu, w Katolickim Centrum Kultury i w moim Ośrodku Kultury i Edukacji Regionalnej. W wielu domach na lublinieckiej ziemi i poza nią jego obrazy są ozdobą. Z różnych aukcji i darowizn wiele prac pana Roberta powędrowało w Polskę i poza jej granice, przypominając piękno „małoojczyźnianych” stron i samego autora, który każde dzieło podpisywał.

Od kilku lat pan Robert nie malował. Po śmierci swej dwudziestoletniej córeczki Ewy, twórczość straciła jakby sens. Chyba życie także straciło znaczenie. Artysta bez muzy nie mógł się odnaleźć. Pokoik Ewy stał się jego świątynią. Nie pozwolił niczego tknąć i zmienić. Tam – na ścianach wisiały najpiękniejsze płótna, między nimi portret Ewy i obraz zatytułowany *Kwiaty*. Zawsze, kiedy go odwiedzałem wprowadzał mnie w to magiczne miejsce.

Dnia 21 listopada 2005 roku, po ciężkiej chorobie zmarł. Pochowano go na lublinieckim cmentarzu komunalnym. Świeży, bielusieńki śnieg perlił się na sąsiednich mogiłach i osiadał na drzewach otaczających cmentarz. Kryształowe płatki pokrywały także otwartą jeszcze mogiłę śp. Roberta. Patrzyłem w zadumie na ten plener, którego artysta już nie utrwali.

Koszęcińskich policjantów zamordowano strzałem w tył głowy

Pamięć o nich nie zaginie

I znów kolejne Boże Narodzenie, najpiękniejsze ze świąt, upamiętniające narodzenie Boga-człowieka. U nas w Polsce – dzięki Bogu – świętowane ciągle jeszcze jako wielkie wydarzenie religijne. W naszych świątyniach, w naszych domach i mieszkaniach – głównie w kręgach rodzinnych i parafialnych – prawie wszystko jest podporządkowane temu wydarzeniu. Także przyroda – szczególnie w środowisku wiejskim i małomiasteczkowym – ubiera się w zimową, białą szatę, niebo jest bardziej jaskrawe i gwiazdy

migają do nas z odległości tysięcy i milionów lat świetlnych. Na świecie i w kosmosie rozgrywa się wielki spektakl wyreżyserowany przez Stwórcę-Władcę Świata i Wszechświata. Czekamy na Wigilię, na ten szczególnie, jedyny dzień w roku, czekamy na tę noc, w której na ziemski padół przyjdzie Bóg-człowiek – Jezus Chrystus. Wcześniej, przed pasterką, zasiądziemy w rodzinnych kręgach do tradycyjnego, wigilijnego stołu, zostawiając – także tradycyjnie – wolne krzesło dla ewentualnego przybysza z daleka. Po świętach przywitamy uroczyście – coraz częściej już „po europejsku” Nowy 2017 Rok i wszystko rozpocznie się od nowa. Ale – jak to przypominam prawie corocznie w naszej powiatowej gazecie „Ziemia Lubliniecka” – nie zawsze tak było. Były święta także – w moim 85-letnim już życiu – szare i smutne, pełne wojennej grozy i niepewności, pełne płaczu i żalu po tych, których zabrała straszna wojna. Najbardziej smutnym dniem w roku, w czasie wojennym i długo po wojnie były i są jeszcze ciągle właśnie Wigilie, na których często wspomina się tych, których zabrakło w rodzinnym gronie, którzy nie zasiedli już nigdy przy wigilijnym stole. Po II wojnie światowej zabrakło w naszej małej przecież miejscowości, ponad dwustu ludzi. Na frontowych polach w polskich i niemieckich mundurach zabito ponad 150 głównie młodych mężczyzn. Byli to nasi bliscy krewni – synowie, ojcowie, bracia, wujkowie i często dziadkowie. W hitlerowskich obozach zagłady uśmiercono Kazimierza Burzyńskiego, Wiktora Opiełkę, Józefa Ochmana, Józefa Klimasa, Jana Słodczyka, Waltera Gąskę, Romana Jelonka i moich sąsiadów – żydowską rodzinę Hoffmannów. A ilu koszęcinian uśmiercono w haniebnym sposób na „Golgotach Wschodu”? Tego do dziś nie wiemy. Nie znamy bowiem miejsca ich stracenia. Nie wiemy kiedy i gdzie dosięgła mordercza kula powstańca – kolejarza (mojego wujka) Józefa Myrcika, naczelnika stacji PKP Władysława Śmigła, polskiego żołnierza (także mojego wujka) Jana Dreszera i innych. Wiemy tylko jedno, że było to na wschodzie. Z początkiem października 2016 roku odebrałem telefon z Komendy Powiatowej Policji w Lublińcu. Dzwoniła do mnie pani rzecznik – st. asp. Iwona Ochman, która zapytała o losy przedwojennych policjantów z Koszęcina i o ewentualne miejsca czczące ich pamięć. Powiedziałem wówczas, że jest od wielu lat – takie miejsce – u mnie w ogrodzie, z wyrytymi na dużej metalowej płycie pomnika 370 nazwiskami poległych ludzi z Koszęcina na różnych wojnach i różnych „Golgotach”. Za dwa dni zjawiła się w moim Ośrodku Kultury i Edukacji Regionalnej pani rzecznik w towarzystwie pana policjanta, których oprowadziłem po muzeum i podarowałem dwie moje książki: *Epitafium dla poległych koszęcinian* i *Gmina Koszęcin i jej patron Walenty*

Różdziński. Pani rzecznik wykonała kilka zdjęć, kierując aparat na fragment tablicy: „1940 – policjanci – więźniowie Ostaszkowa: st. post. Alojzy Krzosok, st. post. Franciszek Witek, st. post. Leopold Tyrol”. Już wiedziałem, że muszę o nich jeszcze raz wspomnieć, korzystając z moich wcześniejszych opisów ich tragedii. Przytoczę zatem fragment wyjęty z mojej książki *Pro Memoria. Epitafium dla poległych koszęcinian* (tom I, ss. 31–33) – artykuł pt. „Ostaszków – Gólgota Wschodu”.

Pierwszymi współczesnymi golgotami były obozy koncentracyjne i łagry w hitlerowskich Niemczech i w stalinowskim Związku Radzieckim. Ofiarami z naszej koszęcińskiej ziemi, zamordowanymi w Ostaszkowie byli Józef Witek, Leopold Tyrol i Alojzy Krzosok. Wszyscy trzej byli z urodzenia Ślązakami, którzy po powstaniach śląskich i plebiscycie przywdziali granatowe, policyjne uniformy, aby służyć – najpierw w śląskiej, a później w polskiej policji. Służbę pełnili do końca września 1939 roku na posterunku w Koszęcinie, położonym wówczas zaledwie osiem kilometrów od granicy polsko-niemieckiej, między polskim Bruśkiem i niemieckim Tworogiem. I tu zastał ich wybuch II wojny światowej. W nocy, z ostatniego sierpnia na pierwszego września, ewakuowali się podążając wozami z majątku księcia Hohenlohego na wschód. Tę drogę opisał (przed 10 laty) na prośbę J. Myrcika, syn koszęcińskiego policjanta Józef Witek²⁶. „W naszym wozie, pod warstwą słomy, znajdowało się około 80 sztuk broni myśliwskiej, odebranej wcześniej niemieckim leśnikom. Sami policjanci – w tym również mój ojciec – opuścili posterunek w godzinach rannych i na rowerach podążali naszą trasą, która wiodła przez Woźniki, Szczekociny, Jędrzejów i Lublin na Zamość. W miejscowości Stary Zamość nastąpiło pożegnanie z ojcem, który wozem udał się w dalszą drogę. Podobno dojechali do Tarnopola, gdzie zostali przez czerwonarmistów rozbrojeni i internowani”. Józef Witek po 60 latach poszukiwań ojca otrzymał w 1999 roku z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji kopię listy transportowej nr 05/1 z kwietnia 1940 roku, na której pod pozycją nr 73 figuruje nazwisko ojca, który został zamordowany w Twerze i pogrzebany w lesie opodal wsi Miednoje. Z całą pewnością jego los podzielili wówczas także policjanci: Alojzy Krzosok i Leopold Tyrol. Ten ostatni zdążył jeszcze – jakimś cudownym zbiegiem okoliczności – napisać pod koniec grudnia 1939 roku kartę pocztową do rodziny w Koszęcinie. Tych kilka ostatnich w swoim życiu, pełnych nadziei zdań do najbliższych, napisał kopiaowym ołówkiem, piękną

26 Józef Witek – dziś liczący 92 lata – przyp. J.M.

niemczyzną i poprawną kaligrafią. Słowa te, w tłumaczeniu na język polski brzmią: „Kochana Gertrudo i dzieci! Znajduję się przy najlepszym zdrowiu w Rosji. Nie tracę nadziei, bo wszystko jest w rękach Boga i wkrótce się zobaczymy. Mam nadzieję, że wróciliście szczęśliwie do domu. Przesyłam Tobie i dzieciom najserdeczniejsze pozdrowienia. Leopold. Do zobaczenia, Moi Najukochańsi”. Podał także swój adres: cccr Leopold Tyrol Ostaszków Skrytka poczt. 37 gub. Kalinskaja.

Jednak już nigdy dzieci i żona nie zobaczyli ojca i męża. I na zakończenie tego dramatu, moja refleksja zamieszczona w *Epitańfium*...: „Niech już nigdy nie powtórzą się czasy wojennych tragedii, niech już nigdy nie poleje się niewinnie przelana krew, niech już nigdy nie płyną łzy dzieci, matek i żon, niech nasza Mała Koszęcińska Ojczyzna, niech Polska, Europa i świat, żyją po wsze czasy w pokoju”.

Bracia Bernard i Ison Seltenowie – fundatorzy pierwszego szpitala w Lublińcu²⁷

Władze powiatu lublinieckiego mocują się od kilku lat z tzw. restrukturyzacją szpitala powiatowego, działającego pod nazwą SP ZOZ. Także dyrekcja tej jednostki i cały personel czynią intensywne starania o uratowanie szpitala od finansowej (wysokie zadłużenie) i fizycznej (likwidacja) zagłady. Komisja Zdrowia i Polityki Społecznej Rady Powiatu – której od kilku lat przewodniczy piszący te słowa – na każdym swoim posiedzeniu analizuje dokładnie stan organizacyjny i finansowy tej ważnej, a może najważniejszej placówki w naszym powiecie. Rozpoczęła się niedawno rozbudowa bazy szpitala, który w perspektywie kilku lat ma się stać nowoczesną jednostką leczenia zamkniętego.

Po tym krótkim wstępie, chciałbym wrócić do meritum tego artykułu – do braci Seltenów i ich wiekopomnego dzieła dla Lublińca i powiatu. Minęła w ostatnich dniach 130. rocznica utworzenia przez wspomnianych braci „Fundacji budowy szpitala dla leczenia biednych chorych bez różnicy na wyznanie”. Bernard Selten – królewski radca handlowy przeznaczył wówczas na ten szczytny cel 30 tys. marek, zaś jego brat Ison – bankier – noszący również zaszczytny tytuł radcy królewskiego, ofiarował 40 tys. marek. Za tę ogromną

27 Artykuł opracowano korzystając z dzieła J. Fikusa seniora pt. *Lubliniec: z dziejów miasta na Górnym Śląsku* (wyd. 2003).

sumę zakupiono parcelę i materiały budowlane i w ciągu kilku lat wybudowano piękny szpital. Z pięcioprocentowej lokaty bankowej zebrano kilka tysięcy marek i przeznaczono je na leczenie najbiedniejszych. 1 czerwca 1882 roku (za pół roku będzie 125. rocznica tego wydarzenia) w powiatowej gazecie „Lublinitzer Kreisblatt” starosta lubliniecki von Klitzing napisał: „Od dnia 1 czerwca 1882 roku wszyscy chorzy bez względu na wyznanie, na wiek i płeć mogą się leczyć w nowo wybudowanym przez braci Seltenów szpitalu”. Lekarzem szpitala fundacyjnego został sprowadzony przez fundatorów z Legnicy dr Friedlaender, zaś posługę pielęgniarską powierzono siostron elżbietankom, które w lublinieckiej służbie zdrowia były obecne przez długie dziesięciolecia. Należałoby tutaj dodać, że budowa szpitala w Lublińcu to niejedyny akt humanitarny rodziny Seltenów. Już wcześniej wielokrotnie i w różny sposób wspomagali ludzi potrzebujących i samo miasto Lubliniec.

Kim byli Seltenowie, że tak wielkim darem serca i materialnym wsparciem wspomogli Lubliniec? Byli Żydami, których dziadkowie na początku XIX wieku osiedlili się w Lublińcu zajmując się kupiectwem. Rodzice Bernarda i Isona Seltenów – Mojżesz i Joanna posiadali na lublinieckim rynku dom ze sklepami i lokaty w nieruchomościach. Wspominało się ich też jako darczyńców dla ubogich mieszczan. Bernard i Ison kształcili się zapewne we Wrocławiu, bowiem z tym miastem wiązały się także ich późniejsze zawodowe losy, tam też obaj zmarli i zostali pochowani na żydowskim cmentarzu²⁸. Ale ich dzieło trwało dziesiątki lat i praktycznie trwa do dzisiaj. Szpital im. Seltenów został w 1931 roku rozbudowany, a w 1937 roku – mimo sprzeciwu władz powiatowych i specjalnie założonego „Komitetu Społecznego” – przejęty przez województwo, a szczytną fundację braci Seltenów rozwiązano. Dzisiaj – to trochę przykro mówić – prawie nikt nie wspomina tych wspańiałych dla Lublińca i powiatu lublinieckiego ludzi.

Ale „historia kołem się toczy”. W rozmowach z dyrektorem SP ZOZ doktorem Pakulskim i panią Anną Bregułą, słyszałem, że myśli się o nadaniu lublinieckiemu szpitalowi imienia. Tak myśli dyrekcja, tak myślą także lekarze. Zapewne propozycji na patrona lublinieckiego szpitala będzie sporo. Ziemia lubliniecka ma bowiem wielu – działających w różnym czasie i w różnych historycznych warunkach – zasłużonych dla tej godności ludzi, wywodzących się zarówno z elit społeczno-obywatelskich jak i ze środowisk medycznych.

28 Bernard umarł nagle w listopadzie 1892 roku, a jego brat Ison zaledwie kilka miesięcy później – 10 czerwca 1893 roku.

Ale, jeśli się pojawi propozycja nadania imienia lublinieckiemu szpitalowi, to chciałbym już dzisiaj – wyprzedzając w pewnym sensie czas – zgłosić na patronów szpitala powiatowego w Lublińcu braci Seltenów. To byli ludzie szlachetni i hojni dla biednych i opuszczonych, niekierujący się względami politycznymi ani wyznaniowymi. Oni widzieli przede wszystkim człowieka potrzebującego pomocy i ratunku. Wiedzieli, że poprzez budowę szpitala mogą uczynić najszlachetniejszy z uczynków. I tak zrobili – obdarowali obywateli powiatu i miasto Lubliniec życiodajnym – szczególnie w ówczesnych czasach – skarbem. I jeszcze jedno zdanie: Najlepszym terminem do nadania szpitalowi imienia byłaby data 1 czerwca 2007 roku. Będzie to 125. rocznica oddania do użytku Szpitala im. Braci Seltenów i – mam taką nadzieję – że wtedy także powiat odda do użytku budujący się już nowoczesny segment szpitala.

Stanisław Hadyna (1919–1999)

Założyciel zespołu „Śląsk” i jego długoletni dyrektor. Urodził się 23 września 1919 roku w małej wiosce Karpętna koło Cieszyna. Ojciec Jerzy z zawodu nauczyciel muzyki, a z zamiłowania zbieracz pieśni ludowych, przygotowywał poniekąd klimat i warsztat do przyszłej pracy artystycznej syna Stanisława. Matka, Emilia z Plichów, dbała o dom i zajmowała się wychowaniem dzieci. Stanisław Hadyna, po ukończeniu szkoły podstawowej w rodzinnej wiosce, kontynuuje dalszą edukację w Cieszynie, kończąc najpierw szkołę średnią a następnie Instytut Muzyczny im. I. Paderewskiego w Cieszynie – filię konserwatorium w Katowicach. W 1938 roku rozpoczyna studia psychologii i socjologii na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie wojny – w latach 1942–1944 kontynuuje naukę na konspiracyjnej uczelni humanistycznej, wykładając równocześnie na tajnych kursach gimnazjalnych. Po wojnie studiuje kompozycję u prof. Ludomira Różyckiego i dyrygenturę u prof. Artura Malawskiego – znanych i bardzo cenionych w świecie muzyki wykładowców Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach. Pracę zawodową rozpoczął jako nauczyciel gimnazjalny w Wiśle, pracując tam równocześnie jako kierownik Wydziału Kultury przy Radzie Narodowej. W latach 1947–1952 Hadyna pełnił różne funkcje: był dyrektorem Biura Okręgu Związku Zawodowego Muzyków PRL, dyrektorem Biura Koncertowego, a następnie w roku 1952 pracował krótko w Wojewódzkiej Delegaturze „Artosu” w Katowicach.

Następny okres pracy zawodowej Stanisława Hadyny to już przygoda ze „Śląskiem”, której początek twórca dość romantycznie opisał w książce *W pogoni za wiosną*: „Pierwsza myśl o zespole była dzieckiem pachnących wieczorów, kiedy wraz z pasterzami beskidzkimi siadywałem na pniach wokół ogniska, a stary baca opowiadał rozmaite opowieści i legendy o skarbach w Girowej, skarbach w Okodžitej, o śpiących rycerzach na Czantorii, o utopcach i strzygach, o czarnej księżnie i latających dzwonach, o zbójniku Ondraszku, co gnębił panów a bronił biednych ludzi. A kiedy minęło wiele lat przyszło mi na myśl, że można by podzielić się tym światem z innymi...”.

Najpierw z pewnością podzielił się wizją utworzenia zespołu „Śląsk” ze znajomymi, później z władzami i – jak to sam opisał we wspomnianej już wyżej książce: „[...] mając odpowiednie pełnomocnictwo, ale żadnej dotacji, wziąłem pod pachę rolkę afiszy propagandowo-werbunkowych, pudełko pluskiewek do kieszeni i ruszyłem w teren na poszukiwanie zespołu „Śląsk”...”.

To „poszukiwanie” w terenie w pojedynkę trwało pewien czas, ale nie mogło doprowadzić do skutecznego finału – skompletowania 120 pełnowartościowych kandydatów do chóru. Hadyna – mimo swej ogromnej wiedzy, zapału i samozaparcia – potrzebował już od samego początku „rodzenia” się „Śląska” utalentowanych i zdolnych pedagogów. Od czasu, gdy zamianowano go kierownikiem artystycznym, mógł sobie taką kadrę dobierać. Odwrócił więc role. Nie on i nie członkowie Komisji jeździli w teren, ale młodzież przyjeżdżała na eliminacje do Pałacu Młodzieży i do Filharmonii w Katowicach.

1 lipca 1953 roku została zainaugurowana w koszęcińskim pałacu działalność Państwowego Ludowego Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Teraz Hadyna był już nie tylko pomysłodawcą i organizatorem zespołu, ale także jego kierownikiem artystycznym, dyrygentem, kompozytorem i reżyserem. Chciał, aby „Śląsk” pod każdym względem rozwijał się według jego koncepcji, z jego muzyką i pod jego batutą. I tak było przez wiele lat. Hadyna i zespół odnosili sukcesy, z upływem czasu coraz większe sukcesy, oklaskiwano go tak w kraju jak i poza jego granicami. Bliski współpracownik Hadyny – prof. Karol Hławiczka, opisując w roku 1965 w artykule pt. „Spoza kulis Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk””, pisze w jednym z akapitów: „Zarzuca się Hadynie, że sam pod względem muzycznym zaopatruje program w kompozycje...” i dodaje: „[...] Ale któż tak jak on może wykorzystać możliwości zespołu, uzdolnienia poszczególnych śpiewaków i tancerzy, któż tak jak on, zna reakcje publiczności na poszczególne efekty?...”. Te słowa zostały napisane w 1964 roku. Być może, że już wówczas, po dziesięciu latach istnienia zespołu, planowano „usunięcie” Hadyny ze „Śląska”, a może władzom chodziło tylko

o ograniczenie „monopolu władzy” założyciela nad całokształtem pracy artystycznej i nie tylko.

W 1968 roku – jak to czytamy w encyklopediach – „Hadyna został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska, przeniósł się do Krakowa, gdzie w 1977 roku został kierownikiem muzycznym Teatru im. J. Słowackiego”. W biografii Stanisława Hadyny powstała, jakby dziewięcioletnia luka w zatrudnieniu – między 1968 rokiem – kiedy go „usunięto”, a 1977 rokiem – kiedy go zatrudniono w Teatrze im. Słowackiego. Od lat nikt nie chce tej sprawy dostatecznie jasno wyjaśnić, nikt też jak dotąd – nie powiedział głośno o tym, co było przyczyną odejścia Hadyny ze „Śląska”.

Z tym „odejściem” to chyba niezupełnie tak było jak się mówi i pisze. Hadyna pracował bowiem nadal do 1977 roku w zespole i to na tym samym stanowisku kierownika artystycznego. Zatem nie całkiem pożegnał się w 1968 roku ze „Śląskiem”, raczej „zdjęto” go wówczas ze stanowiska dyrektora naczelnego. Funkcję tę – z czym profesorowi trudno było się pogodzić – powierzono Januszowi Maciejowskiemu.

Hadyna objął ponownie ster „Śląska” 1 marca 1990 roku i kierował zespołem do swej śmierci – 1 stycznia 1999 roku.

Na dorobek artystyczny Stanisława Hadyny – oprócz wielkiego dzieła, jakim było niewątpliwie zorganizowanie zespołu „Śląsk” – składają się liczne kompozycje i publikacje.

Hadyna skomponował m.in.: koncert *Concertino* na fortepian i orkiestrę (1945); dwa koncerty fortepianowe: I (1947) i II (1948), poemat symfoniczno-baletowy *Wiosna* (1968), 250 pieśni wydanych m.in. w zbiorach: *50 piosenek „Śląska”*, *Wybór piosenek z repertuaru Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”*, *Pięć pieśni „Śląska”*, *Narodziła nam się dobroć* – 14 kolęd do słów K. Szemiotha, *Alleluja* – 13 pieśni pasyjnych i wielkanocnych do słów K. Szemiotha, kantaty: *Pieśń o potędze* do słów L. Staffa, *Śląsk pracuje*. Hadyna pisał muzykę baletową, filmową i teatralną.

Publikacje Hadyny to m.in.: *Niezatarte ślady* (1960), *Na podbój kontynentu* (1964), *W słońcu Hellady* (1968), *Pod niebem Allacha* (1969), *Droga do hymnu* (1976), *Gdzie niebo z ziemią graniczy* (1981), *W pogoni za wiosną* (1983), *Dwa ognie* (1988), *O Ludomirze Różyckim* (1990). Dramaty: *Beethoven*, *Blessed Are the Peacemakers* (1969), *Shattered dreams*²⁹ (1972), *Identity*, *Declaration 76* (1977).

29 Tłum. Zdruzgotane sny.

Elwira Kamińska (1914–1983)

Elwira Kamińska należy – obok Hadyny – do najważniejszych postaci, które swe losy artystyczne związały ze „Śląskiem” i których talent i praca wyniosły ten zespół na szczyty artystycznego powodzenia. Gdyby istniała możliwość jakiegoś symbolicznego chociażby oddzielenia pracy baletu i tego – co nazywamy „ruchem scenicznym” – od działalności muzyczno-chóralnej zespołu, to w tej dziedzinie profesor Kamińska byłaby liderem „Śląska”. I nawet, niezależnie od tej „przymiarki” Kamińską należy i trzeba zaliczać do współtwórców zespołu i jego sukcesów. To duet – Hadyna-Kamińska – stworzyli „Śląsk” i prowadzili go ku „Słonecznej Republice”. Prawdą niezaprzeczalną jest, że Hadyna był pomysłodawcą „Śląska”, to pod jego kierownictwem wybierano najpiękniejsze głosy, to on komponował muzykę, on dyrygował. Ale patrząc inaczej, to Kamińska kształtowała balet, to ona komponowała układy taneczne – także dla chóru – ona tworzyła ruch sceniczny, którym zachwycali się fachowcy i miliony ludzi oglądających występy „Śląska”. I – co nie bagatelne – to Elwira Kamińska „ubierała” zespół, przystosowując ludowe ubiory do potrzeb widowiska scenicznego, zachowując przy tym – co nie jest proste – autentyczność stroju.

Wiem, że niełatwo jest podjąć się próby biograficznego przedstawienia znanej osoby, trudniej, gdy brak jest materiału faktograficznego o jej życiu i twórczości, jeszcze trudniej, gdy bohaterem jest kobieta, a bardzo trudno, gdy tą kobietą jest profesorka Elwira Kamińska. Już wiele osób kontaktowało się ze mną, w różnym czasie, pytając o szczegóły biografii Kamińskiej, ja sam poszukuję śladów dotyczących jej życia i pracy. Nie pozostawiła bowiem po sobie nawet szerzej napisanego życiorysu, trudno znaleźć dokument świadczący o jej działalności artystycznej, a dokładniej mówiąc, o jej twórczości choreograficznej i reżyserskiej. Nie wiem, czy miała czas na dokumentowanie tego co robiła, projektowała, reżyserowała. Większość swego czasu spędzała bowiem na sali baletowej, rzadziej można ją było spotkać w gabinecie choreografa. Gablota w muzeum „Śląska” poświęcona Kamińskiej jest mizernie wątpa – oprócz paru rysunków-szkiców, legitymacji (nie partyjnych), może skromnych odznaczeń, niewiele więcej tam jest. Myślę, że profesorka Kamińska nie przywiązywała wagi do kreowania swojej osoby. Nie było jej widać „na pierwszym planie” w filmach i kronikach kręconych o „Śląsku”, prawie nie wymieniano jej nazwiska przy wielkich fetach, rzadko udzielała wywiadów, rzadko pozowała do zdjęć. Wydaje mi się, że była skromną osobą, usytuowaną gdzieś „w cieniu” wielkości „Śląska”, lub „za

plecami” liderów zespołu. Czy tak chciała? A może inni o tym decydowali? Tego nie wiemy i chyba się nie dowiemy. Od śmierci Kamińskiej upłynęło już ponad 20 lat. Zmarła w przeddzień uroczystości jubileuszu trzydziestolecia działalności zespołu, „krzyżując swym odejściem” – jeśli tak można powiedzieć – w pewien sposób program ówczesnej uroczystości. Zespół, zamiast na bal jubileuszowy, wybrał się do Katowic na pogrzeb ukochanej pani profesor. Mimo upływu czasu, chyba nikt nie „zajął” się życiem i twórczością Elwiry Kamińskiej. Ona sama nie zdążyła z pewnością również napisać zapowiadanej książki autobiograficznej. A szkoda, bo byłoby to – i powinno być – dopełnieniem monografii „Śląska” i jej ubogaceniem. Dotarłem do jednego dokumentu autobiograficznego Elwiry Kamińskiej – jej życiorysu – pisanego w Bielsku – chyba w pośpiechu – w dniu 29 sierpnia 1952 roku. Nie było wtedy jeszcze „Śląska”, ani nawet komisji rekrutującej przyszłych artystów. Życiorys dotyczy okresu przed podjęciem pracy w koszęcińskim pałacu.

Elwira Kamińska urodziła się 9 grudnia 1914 roku³⁰ w rodzinie „inteligencji pracującej”. Ojciec – z zawodu muzyk, matka – gospodyni domowa. Po ukończeniu szkoły podstawowej uczęszcza do gimnazjum w Białej Krakowskiej, gdzie w 1934 roku zdaje maturę. Przez następne trzy lata uczy się w Studium Tańca Artystycznego w Krakowie, gdzie wykładowcami byli wybitni pedagodzy. Kamińska podkreśla w swym życiorysie, że „wykładowcą folkloru i tańca regionalnego był tam wówczas etnograf Aleksander Godlewski”. Dalsze studia choreograficzne kontynuuje Kamińska w Budapeszcie na Węgrzech. W 1939 roku prowadzi – „na podstawie koncesji Ministerstwa Oświecenia Publicznego i Wychowania” – własną szkołę choreograficzną w Bielsku. Podczas wojny nie pracowała zawodowo. Wspomina że „była przy mężu, który pracował fizycznie w kamieniołomach w Wojkowicach Komornych koło Będzina”. Po wojnie w latach 1945–1946 prowadzi – zamkniętą w okresie okupacji – prywatną szkołę tańca w Bielsku. Od 1948 roku Kamińska pracowała w uspołecznionym ruchu artystycznym, najpierw w Miejskiej Szkole Choreograficznej w Bielsku, a później w ogniskach choreograficznych podległych Ministerstwu Kultury i Sztuki³¹. Po likwidacji ognisk choreograficznych, z powodu braku budżetu, Kamińska pracowała w „świetlicach publicznych” związków zawodowych i w Bielskim Domu Kultury, a później także w Wojewódzkim Domu Kultury w Katowicach. Prowadzone przez nią

30 W niektórych dokumentach podawany jest rok urodzenia – 1912.

31 Prof. Kamińska wspominała mi, że w 1946 roku władze zamknęły jej prywatną szkołę i „dalej musiała się tulać po domach kultury” – J.M.

zespoły taneczne plasowały się w czołówce krajowej. Były m.in. laureatem I miejsca na Festiwalu Muzyki Polskiej, Nagrody Państwowej II stopnia i wielu innych. Za działalność i sukcesy w amatorskim ruchu artystycznym Elwira Kamińska otrzymała indywidualną Nagrodę Państwową I Stopnia.

Już w 1952 roku Elwira Kamińska została powołana w skład komisji kwalifikującej kandydatów do zespołu „Śląsk”, zaś od 1 lipca 1953 roku – z chwilą rozpoczęcia pracy przez zespół – została jego choreografem, pracując tam prawie 30 lat, z tego 15 lat ze Stanisławem Hadyną. Elwira Kamińska była współtwórczynią wielkich i wspaniałych osiągnięć zespołu „Śląsk”. To ona – opracowując układy taneczne i ruch sceniczny, a także stroje i rekwizyty – była reżyserem wspaniałych widowisk „Śląska”. Niestety, nie spotkałem do dzisiaj zwartego albumu jej dorobku artystycznego, jej opracowań „nazwanych po imieniu”. To prawda, że na afiszach i w folderach było zawsze zdanie: „choreografia – Elwira Kamińska” albo „opracowanie tańców – Elwira Kamińska”, ale to nie wszystko, co chciałoby się wiedzieć o tej utalentowanej kobiecie i o jej pracy w „Śląsku”. Właśnie w „Śląsku”, gdzie była kimś wielkim i niepowtarzalnym. Niezapomniane dla mnie, a myślę, że dla historii zespołu znamienne i niejako symboliczne było zdanie, które usłyszałem jesiennego wieczoru 1977 roku w gabinecie pani choreograf. Wcześniej tego dnia przeprowadzałem – dzięki uprzejmości Kamińskiej – badania ankietowe wśród całej grupy artystów baletu. Miałem także pytania do kadry kierowniczej, ale profesor przeczytała ankietę i powiedziała: „Panie Janie, proszę przyjść wieczorem do biura, tam porozmawiamy”.

Rozmowa była długa i nie dotyczyła tylko pytań zawartych w ankiecie. Ale najważniejsze było owe zdanie – odpowiedź na pytanie: „Kiedy w „Śląsku” było najlepiej?” Profesora odpowiedziała: „Dobrze było wtedy, kiedy w zespole nie było jeszcze tej polityki, a najlepiej było wtedy, gdy w „Śląsku” było dwóch „bogów” – bóg Hadyna i bóg Kamińska”.

Właśnie o Kamińskiej starałem się powyżej wspomnieć z myślą, że ktoś kiedyś, napisze biografie obu „bogów” zespołu „Śląsk”.

Moich zaś rozmyślań nad życiem i pracą Kamińskiej nie należy odczytywać jako próby przedstawienia jej biografii, są to raczej epizody przedstawione w jej życiorysie i wątki wspomnień zarejestrowane w mojej pamięci z moich z nią spotkań. A pierwsze spotkania – wspomniałem już o tym we wstępie tej publikacji – miały miejsce w latach 50. XX wieku w koszęcińskim Klubie Młodej Inteligencji. Później – miałem to szczęście – jeszcze wiele razy spotykać się z „bogami Śląska” – Elwirą Kamińską i Stanisławem Hadyną.

Alina Ilnicka (1936–2002)

Alina Ilnicka przepracowała prawie całe swe zawodowe życie w zespole „Śląsk”, za wyjątkiem pierwszych trzech lat po dyplomie, kiedy to zatrudniła się w Filharmonii Krakowskiej.

W czerwcu 1962 roku przyjechała po raz pierwszy do Koszęcina, przywożąc ze sobą opinię dyrektora Filharmonii, następującej treści: „Obywatelka Alina Ilnicka urodzona 17 marca 1936 roku we Lwowie, zam. w Krakowie ul. Straszewskiego 15. Przyjęta do pracy 18.03.1959 w charakterze chórzystki i korepetytora chóru. Wykształcenie: Wyższa Szkoła Muzyczna w Krakowie – Wydział Dyrygentury. Uczelnię ukończyła z odznaczeniem. Ob. Ilnicka Alina była zatrudniona w Państwowej Filharmonii w Krakowie od 18.03.1959 roku do 31.05.1962 roku. W tym okresie pełniła również funkcję korepetytora w chórze, biorąc aktywny udział w przygotowaniu zespołu do programów oratoryjnych i w utworach *a capella* – od muzyki najdawniejszej do współczesnej. Wyżej wymieniona dyrygowała również przez siebie przygotowanymi utworami chóralnymi *a capella* i brała udział w audycjach szkolnych.

Z natury swojej pilna i ambitna, wykonująca swoje obowiązki sumiennie, była wielką pomocą kierownika chóru.

Obywatelka Ilnicka wykazała w swojej pracy wiele zalet muzycznych i pedagogicznych. Mając równocześnie przygotowanie wokalne, śpiewała w grupie sopranów naszego chóru.

Obywatelka Ilnicka odchodzi z pracy na własną prośbę”.

Opinia ówczesnego dyrektora Filharmonii Krakowskiej – Tadeusza Krzemińskiego – pisana przed 40 laty, zawierała wszystkie cechy charakteru długoletniej dyrygent i chórmistrza zespołu „Śląsk”. Po latach trzeba by do wymienionych w opinii zalet, jeszcze kilka superlatywów dopisać: koleżeńska, wymagająca od siebie i od podopiecznych, zawsze życzliwa, pogodna, a mówiąc najogólniej – niesamowicie dobry człowiek.

Alina Ilnicka – jak już wspomniano – urodziła się we Lwowie 17 marca 1936 roku. Po wojnie osiadła z rodzicami w Krakowie. Miała szczęście w nieszczęściu – szczęście, że z jednej metropolii polskiej kultury – Lwowa – przeniesiono ją wraz z rodzicami i rodzeństwem do miasta królewskiego Krakowa, nieszczęście, bo wojna zabrała jej wczesne dzieciństwo i wypędziła z rodzinnego miasta.

15 czerwca 1962 roku Alina Ilnicka podjęła pracę w zespole „Śląsk” w charakterze chórmistrza i dyrygenta. Przeniosła się z Krakowa do małego Koszęcina, aby tu pozostać przez długie lata – do śmierci. Być może w Krakowie rysowała się przed nią wielka kariera. Przecież już na kilka miesięcy przed absolutorium zatrudniono ją w chórze Filharmonii, a z czasem powierzono obowiązki korepetytora, a nawet dyrygenta. Wybrała jednak Koszęcin, a raczej pałac koszęciński, w którym swoją siedzibę miał zespół „Śląsk”. Kochała muzykę i muzyce poświęciła swój talent, swoje zdolności, siły i zdrowie – wszystko. Przez prawie 40 lat – od czerwca 1962 roku do końca 2001 roku – pracowała w „Śląsku”, albo lepiej powiedziawszy, służyła swoją wiedzą i fachowością zespołowi. Trudno jest wymierzyć zasługi jednostki w zespołowym działaniu instytucji, jeszcze trudniej, gdy w kadrze artystycznej tej jednostki pracują wybitni muzycy. Ale nie będzie cienia pomyłki, gdy powiem, że Alina Ilnicka bardzo przysłużyła się swoją pracą osiągnięciom artystycznym zespołu „Śląsk”. Początkowo nawet „zasilała” chór swoim pięknym sopranem.

Piszący te słowa znał panią Alinę Ilnicką, później – Dienstl-Ilnicką (wyszła za mąż za długoletniego akompaniatora „Śląska” – Janusza Dienstla). Mogłem niejednokrotnie podziwiać jej pracowitość i życzliwość dla innych. Oprowadzając wycieczki po pałacu często „wchodziłem” z grupami za jej przyzwoleniem na zajęcia chóru. Bywało, że widząc mnie „kręcącego się” po pałacu, sama proponowała spotkanie z artystami – wiedząc, że tym gestem sprawia ludziom wielką radość, a zespołowi przysparza entuzjastów.

Alina Ilnicka w ostatnim roku swego życia ciężko zachorowała, jednak mimo tego, jeszcze prowadziła zajęcia z artystami. Umarła 16 października 2002 roku. Była więc obecna w Koszęcinie przez długie lata i nadal pozostaje we wdzięcznej pamięci tych, którzy ją znali. W pierwszą rocznicę jej śmierci – w październiku 2003 roku – odbyła się w kaplicy pałacowej w jej intencji msza święta. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że w tej świątyni nie było od stu lat nabożeństw katolickich. I jeszcze jeden powód – Alina Ilnicka należała sercem i duszą do Kościoła.

Józef Klimanek (1930–2002)

Józef Klimanek związał ostatnie dziesięć lat swej pracy zawodowej z zespołem „Śląsk”, pracując w tej instytucji w latach 1991–2001 roku jako dyrygent i kierownik orkiestry. Był bardzo utalentowanym i wszechstronnie

wykształconym muzykiem. Urodził się 17 marca 1930 roku w Katowicach, gdzie jego ojciec Konrad był pedagogiem i kapelmistrzem. Po ukończeniu szkoły podstawowej uczęszcza w latach 1948–1952 do Państwowego Liceum Muzycznego w Katowicach, będąc uczniem i wychowankiem Ludomira Różyckiego. W 1956 roku kończy studia na Wydziale Kompozycji, Dyrygentury, Teorii Muzyki i Rytmiki w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Poznaniu w klasie prof. Waleriana Bierdiajewa i prof. Stanisława Wisłockiego. Jako stypendysta Ministra Kultury i Sztuki Józef Klimanek zapoznaje się z pracą instytucji muzycznych Wiednia, Salzburga, Berlina, Budapesztu, Drezna, Lipska i Pragi.

Jego kariera artystyczna rozwijała się bardzo pomyślnie: W 1957 roku Józef Klimanek objął funkcję dyrygenta Państwowej Opery Śląskiej w Bytomiu i pozostawał na tym stanowisku przez dziewięć lat. Współpracował wówczas również z Operetką Śląską w Gliwicach, Filharmonią Górniczą w Zabrzu, redakcją muzyczną Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach i z Państwowym Zespołem Ludowym Pieśni i Tańca „Śląsk”.

W 1965 roku przenosi się do Opery Łódzkiej na stanowisko dyrygenta i kierownika orkiestry. Na uroczystość otwarcia Teatru Wielkiego w Łodzi, Klimanek wystawia operę *Carmen* G. Bizeta i balet Ludomira Różyckiego *Pan Twardowski*. Przez pięć lat pracy w środowisku artystycznym Łodzi Józef Klimanek wielokrotnie występował z zespołami teatralnymi Teatru Wielkiego w gościnnych występach zagranicznych. Był także czynny w szkolnictwie artystycznym oraz współpracował z amatorskim ruchem artystycznym.

W różnych sezonach artystycznych Józef Klimanek był m.in. kierownikiem artystycznym Wielkopolskiej Orkiestry Symfonicznej w Poznaniu, pierwszym dyrygentem Opery i Operetki w Bydgoszczy, kierownikiem muzycznym Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego. Dyrygował również orkiestrami symfonicznymi Częstochowy, Katowic, Zielonej Góry, Poznania, Wrocławia i Łodzi. Przez trzy sezony artystyczne w latach 1978–1980 pełnił funkcję kierownika muzycznego i pierwszego dyrygenta w Państwowej Operetce Warszawskiej. W tym czasie był również starszym wykładowcą na wydziale wokalnym akademii muzycznej. W latach 1980–1986 dyrygował w Państwowej Operze w Bydgoszczy, zaś od 1987 roku do czasu rozpoczęcia pracy w zespole „Śląsk” w 1991 roku, pełnił obowiązki dyrektora naczelnego i artystycznego Orkiestry Symfonicznej Filharmonii w Zabrzu.

Józef Klimanek pisał także muzykę dla teatrów, plenerowych widowisk artystycznych, filmów animowanych i inną. Przygotował i opracowywał specjalne programy artystyczne dla Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego,

zarówno na występy krajowe, jak i na koncerty w USA i w Kanadzie, którymi sam dyrygował. Nie przywiązywał jednak zbytnej uwagi do ochrony swej twórczości i trudno będzie zebrać ją w autorską całość i nazwać „po imieniu”. Pan Józef był wielce utalentowanym artystą, niesamowicie uzdolnionym i z dużym dorobkiem artystycznym. Jednak – jak to czasem w świecie artystycznym bywa, był pod koniec swej kariery człowiekiem – może na skutek „swej słabości” – osamotnionym. Niedostatecznie leczona choroba drażniła powoli jego zdrowie. We wrześniu 2002 roku, po ciężkiej chorobie artysta umiera. Jednak nie cały odszedł. Ludzie, z którymi stykał się za życia wspominają go z wielką życzliwością i sympatią, widząc w nim przede wszystkim wielkiego muzyka.

Józef Tkocz (1929–2003)

Józef Tkocz był skromnym człowiekiem, nigdy i nigdzie nie zajmował żadnych stanowisk urzędniczych i nie piastował funkcji kierowniczych. Całe swe życie zawodowe przepracował w „Śląsku”, z tego większą część na tzw. etacie fizycznym. Zapyta więc ktoś, dlaczego o nim wspominam między tak znakomitymi postaciami? Odpowiedź jest prosta: Józef Tkocz, albo jak go potocznie nazywano w zespole – „Froncik” – był niesamowicie utalentowanym człowiekiem. Utalentowanym muzycznie, bo śpiewał przez dwa lata w chórze Zespołu Wojska Polskiego, a potem przez 15 lat w chórze zespołu „Śląsk”. Był także utalentowanym artystą rzeźbiarzem, malarzem, metaloplastykiem, grafikiem; wykonywał misterne linoryty, artystyczne pieczęcie, dyplomy i medaliony. Zajmował się grawerowaniem na szkłe, w metalu, kamieniu, oraz wieloma innymi, temu podobnymi sprawami. Wiele jego dzieł pozostało w zespole „Śląsk”, część znajduje się w rodzinnym archiwum, inne – poświęcone miejscom pamięci historycznej, martyrologii i Kościołowi znajdują się w różnych miejscach na polskiej i obcej ziemi, jeszcze inne trafiły do prywatnych zbiorów.

Biogram Józefa Tkocza wspominam także z innego powodu. Należał on bowiem do grupy pionierskiej zespołu z 1953 roku, która – pod kierownictwem Hadyny i Kamińskiej – budowała zespół od podstaw. Ogromna większość przyjętych wówczas do „Śląska” miała podobne życiorysy. Kilkanaście lat życia, ledwo ukończona szkoła podstawowa, czasem „zawodówka”, dzieciństwo poszarpane wojennymi losami. Wszyscy nieprzeciętnie uzdolnieni

muzycznie i wybrani spośród tysięcy. Józef Tkocz był jednym ze 120 szczęśliwców, o których chciałoby się napisać.

Urodził się 9 listopada 1929 roku w miejscowości Toul niedaleko Nancy we Francji, jako syn Antoniego i Marii z Zakarzeckich. Jego ojciec opuścił w latach 20. XX wieku rodzinny Śląsk, udając się „za chlebem” na obczyznę. Tam spotkał swoją żonę – matkę Józefa, pochodzącą z centralnej Polski, którą do Francji przywiodły podobne losy. Jednak w 1932 roku, rodzice wraz z trzyletnim Józefem wracają do kraju i osiadają w Lipinach, gdzie Józef uczęszcza – najpierw do polskiej – a później – od 1939 do 1943 roku – do niemieckiej szkoły podstawowej. Po jej ukończeniu wysłano go do pracy „u Bauera” w Ambach, skąd wrócił do domu po zakończeniu wojny. Następnie, przez trzy lata uczęszczał do Gimnazjum Przemysłowego w Nowym Bytomiu i do czasu powołania do wojska, pracował w hucie „Pokój” w charakterze ślusarza narzędziowego. Dzięki uzdolnieniom muzycznym, okres dwuletniej służby wojskowej spędził w zespole artystycznym.

W swym podaniu o „przesłuchanie” do „Śląska” napisał m.in.: „Nadmieniam, że jestem bardzo rozmiłowany w kulturze, a w szczególności w śpiewie i pragnę w tym kierunku dalej się uczyć i sumiennie pracować. Najbardziej chciałbym zostać w waszym zespole, gdyż jestem ze Śląska i do tamtych rodzinnych stron chciałbym powrócić”. We wrześniu 1953 przeszedł pomyślnie „przesłuchanie” i od pierwszego listopada tego samego roku został przyjęty do chóru zespołu „Śląsk”. Został artystą-śpiewakiem, co dla młodego rzemieślnika było ogromnym awansem społecznym. Po rocznym przeszkoleniu wystąpił wraz z zespołem na pierwszym koncercie w Warszawie, a później, przez 15 lat śpiewał na scenach krajowych i zagranicznych. Józef Tkocz przewędrował ze „Śląskiem” przysłowiowe „pół świata”. Ze swoimi kolegami z zespołu koncertował między innymi w USA, Chinach, Afryce, Mongolii, Kanadzie, Izraelu, Monako i Meksyku. Był wielokrotnie we Francji, Anglii, w Niemczech, w dawnym ZSRR, NRD i we wszystkich innych krajach Europy.

Ale w 1968 roku skończyła się dla Józefa przygoda „na praktykach”, tam zastąpili go inni. Nie opuścił jednak „Śląska”, bo był tej instytucji nadal potrzebny. Pracował przez kolejne 27 lat w dziale technicznym, wykonując przeróżne – najczęściej skomplikowane – żeby nie powiedzieć artystyczne – prace, bo pan Józef miał „złote ręce”. Ze „Śląskiem” pożegnał się na dobre ostatniego grudnia 1995 roku. Żał mu było jego pracowni, znajdującej się na pierwszym piętrze wschodniego skrzydła pałacu. Bywałem – od czasu do czasu – w tym zaczarowanym miejscu, pełnym przeróżnych przedmiotów, narzędzi i materiałów. Panował tam ogromny „bałagan artystyczny”,

w którym tylko pan Józef mógł się należycie orientować. Środkiem prowadził wąski ganeczek, po bokach długie stoły pełne „potrzebnych rzeczy”, nad nimi półki i różnego rodzaju wieszadła, rozgałęziające się poprzez zawieszane na nich kolejne wieszaki. A wszędzie i „na wszystkim” – niczym w sklepie Wokulskiego – przeróżne towary i materiały.

Na emeryturze – już w swoim lublinieckim małym domku – pan Józef dalej pracował, wyczarowując z przeróżnych materiałów – od drewna, papieru i stali począwszy, a na srebrze, złocie i platynie skończywszy – wspaniałe jak na amatora – dzieła sztuki. Tam, w domu na Steblowie pozostało również – nigdy do końca nieuporządkowane – archiwum, z przeróżnymi wzorami, rysunkami, matrycami, półfabrykatami i mininarzędziami. W każdym pokoju, na różnych miejscach można zobaczyć pamiątki, które zadedykował swoim najbliższym: szklane puchary i kielichy z misternie wygrawerowanymi życzeniami, „zatopione” w tworzywie rysunki na płótnie, „zaczarowany świat” przyrody i antycznej architektury wyrzeźbiony w malusieńkim korku po winie, gdzie kolumny są cieńsze od szpilki, a drzewa oliwkowe wysokie na kilka milimetrów.

Józef Tkocz wykonał piękne mosiężne tabliczki z wrytymi personaliami lublinieckich policjantów, które jego żona Krystyna – córka zamordowanego policjanta – zawiozła na miejsce kaźni do Miednoje. W lublinieckim kościele św. Edyty Stein znajdują się dalsze dzieła sztuki wykonane w różnym czasie przez Józefa Tkocza: płaskorzeźba Matki Boskiej Katyńskiej z przestrzeloną głową, urna, do której włożono symboliczne grudki ziemi z „Golgota Wschodu”, gdzie ginęli polscy oficerowie i policjanci. Do wykonanej przez siebie urny Józef Tkocz włożył – artystycznie wykonaną – listę 53 rozstrzelanych w Miednoje policjantów i oficerów WP z powiatu lublinieckiego. Kościołowi w Steblowie podarował różaniec – chyba jedyny w swoim rodzaju egzemplarz na świecie – mierzący jedenaście metrów długości, wykonany z poroża jeleni. Dla „Praskiego Dzieciątka”, czczonego w steblowskiej parafii, pan Józef wykonał piękne, galwanicznie pozłacane korony.

Pamiętam o tym wszystkim, i o wielu innych dziełach Józefa wspominał w słowie pożegnalnym podczas ceremonii pogrzebowej ks. dziekan Zając – proboszcz parafii św. Edyty Stein w Lublińcu.

I jeszcze jeden szczegół z życiorysu Józefa Tkocza, a właściwie z ostatnich godzin jego życia, który żona zmarłego tak opisała: „W sobotę niespodziewanie dostał zawału serca i zabrano go do szpitala. W niedzielę odwiedziłam go, czuł się lepiej i prosił o ciekawości i ołówki. Projektował linoryt na 50. rocznicę

zespołu „Śląsk”. Wieczorem tego dnia zadzwonił do domu, przypominając mi, że jutro przyjedzie Janek Myrcik odebrać „rulonik”.

W poniedziałek 31 marca 2003 roku o godzinie dziewiątej rano zjawiłem się zgodnie z umową w domu państwa Tkoczów po ów rulonik, przedstawiający zabudowania klasztorne w Miednoje. W domu na Steblowie był wielki płacz. Na pytanie czy mogę poprosić Józefa, usłyszałem odpowiedź żony: „Nie! Józek nie żyje, zmarł godzinę temu”.

Nie mogłem uwierzyć, ale to była prawda.

Urszula Porwoł (1939–1962)

Legenda o Urszulce Porwoł nie została do dnia dzisiejszego napisana. Od półwiecza ludzie opowiadają o niej – o jej urodzie, zdolnościach muzycznych, karierze, a także przedwczesnej śmierci – przeróżne historie. Tak jest w najbliższej rodzinie, w której się wychowała i kształtowała swój charakter, tak jest w Koszęcinie, gdzie w wieku 13 lat rozpoczynała swoją błyskotliwą karierę w zespole „Śląsk”, tak jest w tych instytucjach i środowiskach, w których przebywała i koncertowała, tak jest wszędzie tam, gdzie Urszula Porwoł zostawiła swój ślad.

Jesienią 2003 roku, niedługo po wielkich uroczystościach jubileuszowych półwiecza zespołu „Śląsk” wybrałem się do Rybnika, do domu brata Urszulki – Jerzego. W pięknym salonie, z drewnianym, belkowanym sufitem, tuż nad kominkiem, na centralnym miejscu wisi ogromny, olejny portret artystki Urszuli Porwoł. W domu jest także wiele drobnych pamiątek po nieodżałowanej i ciągle opłakiwanej Urszulce. Po długiej rozmowie, wspomnieniach i wertowaniu kroniki rodzinnej wybraliśmy się na cmentarz w Rybniku.

W głównej alei, gdzie spoczywają zacy rybniczanie, niedaleko mogiły – pomnika żołnierzy „września” przystanęliśmy obok grobu Urszulki. Zdobio go piękny i bogaty w symbolikę pomnik, który rodzina postawiła córce i siostrze. O granitowy krzyż z figurą ukrzyżowanego Chrystusa oparta jest marmurowa otwarta księga z napisem:

Ingrid Urszula Porwoł

* 30.9.1939

† 20.2.1962

Na odwrotnej stronie kamiennej karty wykuto – trochę sparafrazowany – fragment VIII trenu Jana Kochanowskiego:

*Wielkieś nam uczyniła
Pustki w domu naszym
Nasza droga Urszulko
Tym zniknięciem swoim
Tyś za wszystkich mówiła
Tyś za wszystkich śpiewała*

I jeszcze jeden szczegół tego monumentu: w złożonej elipsie umieszczono piękne zdjęcie Urszuli: głowa trochę pochylona w dół, twarz rozjaśniona lekkim uśmiechem, na szyi złoty łańcuszek. Patrząc na ten obraz, aż wierzyć się nie chce, że Urszulki nie ma wśród żywych od ponad 40 lat.

W tym biogramie chciałbym wspomnieć krótkie i barwne – rozwijające się jak w zaczarowanej baśni – życie Urszulki Porwoł.

Była rodowitą Ślązaczką, posługującą się – wyniesioną z rodzinnego domu – głęboką gwarą śląską. Urodziła się w Suminie – małej wiosce niedaleko Rybnika 30 września 1939 roku. Wówczas Śląsk był już od miesiąca ziemią wcieloną do Rzeszy, dlatego chyba pierworodna córka Sylwestra i Eleonory Porwoł otrzymała na chrzcie imię Ingrid, którym posługiwała się do wczesnych lat powojennych, kiedy to „przechrzczono ją urzędowo” na Urszulę. Zdolności muzyczne Urszuli zostały rozpoznane wcześniej. Jerzy Porwoł tak wspomina wczesne dzieciństwo swej siostry: „W 1946 roku rozpoczęła naukę w szkole podstawowej, gdzie natychmiast rozpoznano w niej talent śpiewaczy. Od wczesnych lat siostra należała do chóru kościelnego, chóru szkolnego i do kółka tanecznego. Później rozpoczęła naukę w szkole muzycznej, gdzie dyrektor Szafranek był zachwycony jej pięknym sopranem”. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Hadyna – w jednej ze swych książek – opisuje to w następujący sposób: „[...] Jeszcze nie tak dawno, jej drobne nóżki chodziły długą polną dróżką do szkoły albo po mleko, w deszcz czy pogodę, czy w mróz. I któregoś dnia wpadła w śnieg... i wołała o pomoc. A potem podmuch wiatru rzucił jej pod nogi afisz zdarty z płotu. To był mój afisz. Mała jeszcze wtedy i drobna, przyszła zgodnie z jęgo wezwaniem na eliminacje...”

To prawda, że trzynastoletnia Urszulka pojechała do Pałacu Młodzieży w Katowicach na eliminacje i została natychmiast przyjęta do „Śląska”. Ale z tym afiszem nie było znów tak romantycznie, jak to opisuje Hadyna – przeczytała

go w szkole muzycznej. Brat Urszuli opowiedział mi jeszcze jeden szczegół z tego przesłuchania: Otóż, członek komisji prof. Janicki – po zaśpiewaniu przez Urszulę piosenek: *Ej, przeleciał ptaszek* i *Szła dziewczeczka* – powiedział: „Ile was jeszcze jest w domu takich dzieci, bo ty już tam nie pojedziesz. Jesteś przyjęta”.

Do Koszęcina przyjechała ostatniego czerwca 1953 roku, pod opieką trochę starszych od niej kolegów z Rybnika, którzy także zakwalifikowali się do zespołu. Była najmłodszą spośród 120 wybranych. W wieku 15 lat, w dniu 6 listopada 1954 roku, artystka Urszula Porwoł była już solistką i konferansjerką pierwszego koncertu „Śląska” w Warszawie. Później przychodziły dalsze wspaniałe sukcesy artystyczne Urszuli, najpierw na krajowych scenach, a od 1955 roku – kiedy przed zespołem otworzyły się granice – również na scenach całego świata. Urszula „rosła” wraz z sukcesami zespołu, albo – patrząc trochę inaczej – to ona w dużej mierze dodawała „Śląskowi” i kierownictwu zespołu skrzydeł i gwarantowała powodzenie. W swej krótkiej karierze w „Śląsku” – trwającej zaledwie siedem lat – Urszula Porwoł była gwiazdą pierwszej wielkości. Hadyna komponował specjalnie dla niej piękne utwory, biorąc pod uwagę jej wspaniałe predyspozycje muzyczne. Tak było z piosenką *Szła dziewczeczka do laseczka*, o której Hadyna napisał: „Na eliminacjach śpiewała ją prawie połowa przesłuchiowanych, nikt jednak nie zaśpiewał jej tak, jak jasnowłosa Urszulka. Potrafiła z tego banału zrobić błyskotliwą zabaweczkę. Śpiewała lekko, zabawnie i figlarnie. Zaplanowałem, aby jej śmiech w piosence przejmował chór lub odwrotnie. Obejrzyjcie to na kolorowym filmie, a przyznacie, że Urszulka w tej piosence była niezrównana”. W innych piosenkach – napisanych przez Hadynę „tylko pod nią”, też jej nikt nie dorównywał. Furorę zrobiła piosenka *Hej, tam w dolinie*, po której wykonaniu sale grzmiały od oklasków, a bisom nie było końca. Dla Urszuli zrodziły się też piosenki *Pod moim okienkiem*, *Kary koń* i inne. Zawsze i wszędzie oklaskiwane i gorąco przyjmowane. Ale to co stało się w Ameryce przeszło wszelkie oczekiwania. Urszula śpiewała tam w języku angielskim – na zakończenie programu *America the Beautiful*. Sale nie milkły od oklasków, a sceny pełne były kwiatów. Także dla „wybranych” Amerykanów, podczas specjalnego przedstawienia Urszula Porwoł zaśpiewała amerykańską piosenkę *My Old Kentucky Home*. Wzruszenie było ogromne. A prasa po tym koncercie pisała o wykonawczyni w samych superlatywach. Za te piosenki – wykonane na najwyższym poziomie – Urszula została „Honorowym Pułkownikiem Armii Amerykańskiej”, co oczywiście wiązało się z pewnymi przywilejami.

O sukcesach artystycznych Urszuli Porwoł, podczas siedmioletniej bytności w „Śląsku” można by pisać dużo. Ale to nie jedyne jej osiągnięcia. Warto i trzeba podkreślić niesamowitą pracowitość tej dziewczyny nad własną edukacją. Przecież zdając do zespołu była uczennicą siódmej klasy szkoły podstawowej, a w „Śląsku” zjawiała się w wieku 13 lat. Mimo trudnych warunków – ze względu na ciągłe próby i koncerty – ukończyła średnią szkołę muzyczną i studiowała na Wydziale Wokalnym Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach w klasie prof. Marii Vardi. W 1960 roku pożegnała się z ukochanym „Śląskiem”, prowadząc przez niespełna dwa lata – do swej nagłej i niespodziewanej śmierci – samodzielne życie artystyczne i studenckie zarazem. W jednym ze swych listów napisała wtedy: „Jestem bardzo zajęta, ale uczyniłam ważny krok w moim życiu. Jestem po maturze, zdałam wszystko i mogę iść dalej. Muszę szybko wszystkich dogonić...”. Do studiów wokalnych namawiali Ulę wielcy ludzie muzyki m.in.: amerykańka Maria Stuart Pattison – wnuczka Heleny Modrzejewskiej, Witold Małcurzyński, Stanisław Hadyna i inni. Urszula z chwilą otrzymania indeksu studenckiego nie zaprzestała pracy artystycznej. Nadal dużo koncertowała, współpracując z Filharmonią Opolską, Filharmonią Szczecińską i Górnictwem. Uczestniczyła także w różnych konkursach śpiewaczych, zajmując tam czołowe lokaty. Warto wspomnieć, że w 1961 roku została laureatką Ogólnopolskiego Konkursu Śpiewaczego.

Ciągłe dzienne dojazdy środkami komunikacji miejskiej z rodzinnego Rybnika do Katowic były uciążliwe i pochłaniały dużo czasu. Skorzystała więc z propozycji dziennikarskiej rodziny państwa Daszkiewiczów i zamieszkała w ich katowickim mieszkaniu.

20 lutego 1962 roku wieczorem, po powrocie z odwiedzin domu rodzinnego w Rybniku do swego mieszkania w Katowicach, brała kąpiel, chcąc wypocząć przed czekającym ją następnego dnia koncertem. Niestety, ulatniający się z piecyka gazowego czad osłabił ją i straciła przytomność. Gospodarze zaalarmowali pogotowie, jednak na ratunek było już za późno. Urszula umarła. Jej śmierć okryła kirem żałoby najbliższą rodzinę, znajomych i wszystkich wielbicieli jej talentu na Śląsku, w kraju i poza jego granicami.

Kilka dni później, po uroczystej mszy świętej, chłopcy ze „Śląska” ubrani w mundury górnicze zanieśli jej trumnę na rybnicki cmentarz. Urszulę Porwoł żegnały tłumy ludzi, wśród nich artyści z zespołu „Śląsk” i koledzy z zaprzyjaźnionego „Mazowsza”. Liczni goście przemawiali nad jej mogiłą, wśród nich – kolega Urszuli z zespołu „Śląsk”, który powiedział m.in. „[...] Urszulo, żegnam Cię w imieniu zespołu „Śląsk”. Byłaś zawsze pierwszą

wśród nas, pierwsza też poszła tam, dokąd wszyscy za Tobą podążamy. Do widzenia”. O tragedii związanej z przedwczesną śmiercią Urszuli Porwoł informowało radio i prasa, szczególnie śląskie media zamieszczały liczne klepsydry i artykuły wspominające o jej życiu, talencie, sukcesach i ciężkiej pracy nad sobą. W jednej z gazet napisano piękne słowa: „Jej głos przewodził „Śląskowi”, śpiewała zawsze z serca i z miłej chęci. Śpiewała ludziom na pożytek, a Bogu na chwałę. Jej głos zanosił słowa pieśni *Ave Maria* ponad sklepienia zamorskich katedr i przebijał niebiosą nad kościołami ukochanej śląskiej ziemi”. O śmierci Urszuli krążyły i krążą przeróżne hipotezy. A prawda – którą potwierdziła także prokuratura, umarzając śledztwo – jest jedna: nieszczęśliwy wypadek.

Urszula Porwoł odeszła w dwudziestej drugiej wiosnie swego życia, przepełnionego ciężką pracą. Osiągnęła w krótkim czasie to, na co inni uzdolnieni ludzie pracują całe życie. Ale przed nią rysowała się wspaniała kariera, otworem stały sale koncertowe wielkich teatrów i oper, miała już bowiem wyrobioną markę, „miała to, czego inni nie mają” – w jej genach zakodowany był ogromny talent. Szkoda, wielka szkoda, że tak wcześnie odeszła, ale „niezbadane są wyroki Boskie”.

Wspomnienie o Zygmuncie Izdebskim – lekarzu, kapitanie WP i aktorze

Na szpaltach tej gazety miałem możliwość wspomnieć wielu zasłużonych dla naszej koszęcińskiej ziemi ludzi, zarówno tych, którzy działali tu przed wiekami, jak i tych, którzy odeszli na wieczną wachtę stosunkowo niedawno. Dnia 20 stycznia 1972 roku Koszęcin żegnał na zawsze człowieka bardzo prawego, lekarza o judymowskim charakterze, oddanego bez reszty tym, którym przysięgą Sokratesa zobowiązał się służyć. Pogrzeb doktora Zygmunta Izdebskiego był wielką manifestacją ludzi, którym przez wiele lat służył. Podobno liczniejszego konduktu w Koszęcinie nie było.

W 1997 roku młody katowicki lekarz – Tomasz Toborek – zafascynowany postacią doktora Izdebskiego (znalazł jego akta osobowe w Okręgowej Izbie Lekarskiej w Katowicach), napisał w kwartalniku „Medycyna Ogólna” dość obszerny artykuł pt. „Doktor Zygmunt Izdebski – lekarz i społecznik z Koszęcina”. Autor, który wcześniej kontaktował się z rodziną doktora, a także z moją skromną osobą, odnalazł w różnych dokumentach i publikacjach wiele szczegółów biograficznych o koszęcińskim lekarzu, które nie były znane

nawet najbliższej rodzinie. Fakty te mogły zaprowadzić naszego bohatera na ławę oskarżonych i przyczynić się do wydania nawet wyroku śmierci.

Zygmunt Teofil Izdebski nie był z pochodzenia koszęcinianinem. Urodził się 20 grudnia 1910 roku w Nowym Sączu, gdzie ukończył szkołę podstawową i gimnazjum klasyczne. Następnie studiował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego i równocześnie w Szkole Podchorążych Sanitarnych. W 1937 roku kończy obie uczelnie uzyskując dyplom lekarza-podporucznika. Pracę rozpoczyna w warszawskich szpitalach wojskowych, a w 1939 roku pełni obowiązki starszego lekarza 3. Pułku Piechoty Legionowej w Jarosławiu. Z chwilą wybuchu II wojny światowej, zamianowano go lekarzem naczelnym 164. Pułku Piechoty. Po krótkim pobycie w niewoli rozpoczyna pracę w ubezpieczalni społecznej. W tym samym czasie jest lekarzem-wolontariuszem w konspiracyjnym szpitalu wojskowym. Od 1942 kieruje oddziałem zakaźnym szpitala, w którym leczono również żołnierzy podziemia (tutaj nawet Gestapo nie wchodziło). W tym czasie doktor Izdebski był już zaprzysiężonym członkiem Armii Krajowej, awansując do stopnia kapitana. Po działaniach wojennych nie dekonspiruje się. Cała jego służba w AK jest jego wielką tajemnicą do końca życia. Za taką bowiem działalność sądy komunistyczne uśmierciły jego szwagra Włodzimierza Kulczyckiego, a drugi szwagier – Tadeusz Wojdałowicz spędził wiele lat w PRL-owskich więzieniach.

Jesienią 1945 roku doktor Z. Izdebski, dzięki zaprzyjaźnionym ludziom znalazł się w Koszęcinie, prawdopodobnie na „przechowanie”. Tutaj rozpoczął pracę lekarza ogólnego i kierownika założonego przez siebie szpitala przeciwgruźliczego. Lekarz Izdebski miał dwie specjalizacje: medycynę ogólną i ftyzjatrię³². Ftyzjatria była jego ulubioną dziedziną, bowiem tutaj mógł w sposób szczególny pomagać ludziom w ciężkiej chorobie, która – szczególnie w latach powojennych – zbierała ogromne żniwo. Wspomniany wyżej doktor Toborek napisał: „Sam wykonywał odmy i punktacje opłucne, leczył ropniaki opłucnej, prześwietlał w pracowniach rentgenodiagnostycznych w Koszęcinie i w Lublińcu. Również jako lekarz rejonowy nie oszczędzał się, obsługując chorych z kilkunastu wiosek, od Sadowa po Woźniki i od Drużarni po Boronów. Tutaj był internistą, chirurgiem, ginekologiem, położnikiem, a nawet pediatrą. Można śmiało powiedzieć, że był on tytanem pracy, i chyba dlatego jego życie trwało zaledwie 62 lata”.

32 Ftyzjatria – nauka o rozpoznawaniu i leczeniu gruźlicy płuc.

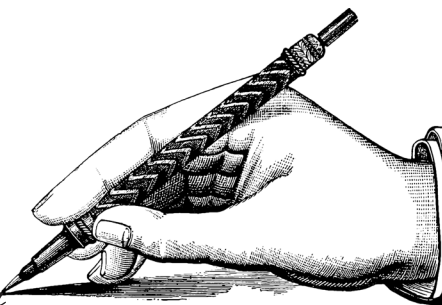
Ja, podobnie jak wielu koszęcinian, znałem doktora Izdebskiego także z wielkich zainteresowań teatrem. Z przekazu jego rodziny wiem, że w młodości zamierzał zostać aktorem. Nie został, ale pozostała pasja, która zaowocowała w Koszęcinie znanym na kilka województw teatrem amatorskim, założonym przez doktora. Aktorów dobierał osobiście, często podczas badań w gabinecie, i nikt mu nie odmawiał, przeciwnie, grać w jego teatrze było wielkim wyróżnieniem. Występowały całe rodziny: Izdebskich, Krychów, Famułów, Walisków, Lasków. Pamiętam Jerzego Poloczka, Adolfa Samka, Huberta Kotarę, także wiele utalentowanych pań m.in. nauczycielki: Irenę Janeczek (obecnie Schiewe) i nieżyjącą od dawna Marię Zając (później Koza), Anielę Grabolus (obecnie Myrcik), Elżbietę Rajtor (później Kotara) i wielu innych.

Graliśmy mnóstwo bardzo różnorodnych sztuk – *Odprawę posłów greckich*, *Hiszpańską muchę*, *Wesele*, *Dom otwarty*, *Rewizora* – z którym objechaliśmy przysłowiowe „pół świata” samochodami ciężarowymi. Doktor był świetnym aktorem i nieprzeciętnym reżyserem, miał wspaniałą dykcję i gestykulację. W teatrze, podobnie jak w życiu zawodowym, był człowiekiem bardzo wymagającym, zarówno od siebie jak i od tych, z którymi pracował. Był również bardzo wesołym i tryskającym humorem współtowarzyszem teatralnej przygody.

Koszęcin zapamiętał doktora Izdebskiego jako wzorowego lekarza, oddanego bez reszty chorym i potrzebującym pomocy, jako organizatora szpitala i wzorcowego wówczas ośrodka zdrowia, również jako wielkiego formatu społecznika. Takim zapamiętałem go również i ja, zapamiętałem, i pragnę się tą pamięcią podzielić, szczególnie z młodszą generacją koszęcinian.

Zygmunt Izdebski nie urodził się w Koszęcinie, ale wszystko, co posiadał najlepszego – głęboką wiedzę i posługę medyczną, a także serce społecznika oddał Koszęcinowi. Został również na zawsze z nami, spoczywając na cmentarzu przy kościele Trójcy Świętej.

część trzecia:
Napisane po słonsku



Po naszymu, czyli po ślonsku

Witom Wos piyknie rostomiyli ludkowie, miyłośnicy ślonskiygo godanio. Nazynom się Jan Myrcik i pszyjechoł żech ku Wom z piykneho i starego jak świat Koszęcina coby Wom łopedzieć ło jednym Ślonzoku, kery się w mojjj wiosce pszed wojnom, niedaleko zomku łod prynca Hołynłatego urodził a kerego staroskowie zagnieździyli się na tym skrowku ślonskiyj ziymiczki łot wiekow. Miał łon na miono Jan, ale podwiyl boł bajtlym wołali go Hanysek. Żywot Hanyaska niy boł „sielski i anielski”. Łojciec miał szewiecko werkstela w keryj łod jasnoka do cimoka klepoł stare charboły i szewiecko biyda. W 1938 roku Hanysek łostoł szkolożym. Miał wyglancowano tabulka ze szwamym i szmatkom na powrozecku a w Federkastli piyknie naśpicowane rysiki i insze rostomajtne szkryfłoki. Chocioż był synym szewieca, łot wiosny aże na podzim lotoł do szkoły po bosoku, a żeczy nosiyl pod pazom. Piyrszego września 39 roku Hanyaska wyrzchtowali do drugijj klase, ale niy doszoł, bo bes Koszyncin jechali jednym ciyngiym na pancrach, motorcyklach i rostomajtnych autach niymieckie wojoki, keży strzylali ze flyntow, maszynowek i kanonow a w lufcie furgaly jejich wojskowe fligry. Zaczła się ta pszejynto wojna. Łot tego casu już niy Hanysek, ale Johann musioł bes mała sześ łot łązić do miymieckijj Gruntszule, w keryj rehtory ucyły go piykneho gotyku i prały witkom po żici za polskiy godaniy. A jak wleżli do Koszęcina Ruse, to Hanysek z żolym łoglondoł duzo pozabijanych wojokow, keży leżeli na bioluśkim zmrożonym śniegu. Potym poszed do łopusconego zomku i spoziyroł na pryncesowskie skarby. Barzo się dziwowoł ksionzkom, kerych tam wszandy była moc a moc – a padom Wom – jedno piyknieszjo łot drugijj. Hanysek medytowol: „Po co łonym tyła kśionżek, pszeca tyn Prynz tego za żywota niy pszecyto. A jak w moju śtyrdiestego piontego gupieloki polyli te ksionski na srogich fojerach przy zomku to Hanysek ślimtoł. Szkoda mu było tych ksionżek, bo łon bardzo lubioł cytać, a dwie ksionżecki kere miol w doma – *Droga do nieba* i *Weg zum Himmel* – umiol jus prawie na spamiynć. Po wojnie Hanysek niy mok zaroski chodźić do wyższych szkołow bo borocek niy umioł cysto po polsku godać, bes to ucył się u łojca za szewieca a po fajramcie siadoł kandy w konciku i pisoł gryfne wierszyki, bery i bojki ło tym jak to piyrwyj w Koszyncinie i na Ślonsku było. W 1953 roku Hanysa zaciongli do wojska, kaj – po rocyj skole łostoł kapralym – a bes to iże miał piykny handśrift – zrobili śniego pisoża. Roz pedzioł mu łoficiyr, coby się dobrze pszyrychtowol, bo do wojska pszyjadom Krzyżacy, kerym trza dać dobrze w dupa. Hany niy

dowiyżoł, bo ło Krojcritrach trocha się ucył i ło tym co się pod Gruwoldym w 410-tym stało doże wiedziół. Łokożoł sie, iże tymi Krzyzokami byli chopcy ło Łopolo, keży niy godali ino żondziyli po ślonsku tak iże Łoficyry nijako niy mogli ich pochopić. Hanys musioł łoficiyrom tłumaczyć wszystko z naszego na polski. W wojsku boli się wieża, iże te Ślonzoki, co rządcom po slonsku chcom może w Polsce rządzić i bes to migiy, za pora tydni wysibli ich na gruby. Hanys wtedy zafaroniył. Czamu te Ślonzoki ino na te pierońskie gruby? Czamu niy posłali tych karlusow do szkołow, kaj by się mogli richtik po polsku nauczyć. Łot tego casu Hanys wiedziół, że Ślonzok bes szkołow był i bandzie zawsze poniewiyrany. Wzion się pieży-nym za ucyniy. Bes jedyności ło studziyrowoł w rostomajtnych szkołach. W Katowicach zrobiył Technikom, w Warszawie Studia Kultury i Łoświaty a po tym jeszcze ślonski Uniwerek. A wszystkie diplomy zdoł na piontka. I tak z szewieca Hanys stoł się magistrym ło kultury, w keryj bes cołkie życiy robiył. Hanysa był tyż kupa ło za rehtora. A po robocie, po nocach, w świontki, piontki i w niedziele Hanys grzeboł w starych ksiyngach i szpyrłoł w downych papiorach, coby się jak nowiyncyj dowiedzieć ło swoim hajmacie i mondrych Ślonzokach. A potym wzion się za pisaniy, Napisoł kupa rostomajtnych artykułow i ze 20 ksionżek, a to ło ślonskiy historyji, ło piyknych kościołach, kapliczkach i zomkach, kere zwiekowały na Ślonsku, ło downych szkołach, szkolożach i rehtorach, ło ślonskich pisorzach i poetach, chciożby ło Walyntym Roździyńskim i Juliuszu Ligoniu rodym spot Koszęcina, kerym Hanys potym postawiył w Koszyncinie pomniki i ło pieśnikach z nojpiykniejszego na świecie zespolu „Śląsk”. Hanys łoprowadziył tysz po koszynciński yzmi tysionce rostomajtnych ludzi ze Slonska, z Polski a nawet z inszych krajof. A wszystko jeno skiż tego, coby Ślonzoki wiedzieli skond som i coby wreszcie te gowy dwigli do gory, i coby insi poznali nasz piykny *Heimat*, kery niy jest tam kaj zachodzi cerwone słonecko, ale tukej kaj łonki, pola i lase woniajom po ślonsku, kaj bes dziyń i bes noc larmujom keby piknom muzykom ślonskie werki gruby i fabryki, tukej kaj miyszkajom dobrzy, robotni i pobożni ludzie, keży w niedziela po wielkim jedzom na łobiot nudle, kłoski modro kapusta i rolady. Hanys godo wszystkim Ślonzokom coby się ucyli i coby niy zabocyli ślonskiy gotki. Spomino co pedziół Damrot „Skoro się wstydzisz swoich przodków gwary, wnet się zawstydzisz i wyprzesz ich wiary”. Ślonzoki! Nie zapierejcie się swojy gwary i wiary bo to gańba! Godejcie kaj się jyno do po naszymu i żykejcie tysz do Ponbocka po ślonsku, coby Vos lepi pochopiył. I pamiyntejcie: Wto zatraci mowa łojcow, tyn jest stracony na wieki wiekow. I choćech niy jest

farożym ani kapelonkiym, skońca ta egzorta jak ksionc i powiyym – Amyn – co łoznoco niech tak byndzie.

Dziynkuja piyknie – Hanys Jan Myrcik – Ślonzok z Koszęcina
(kery wom łopedzioł trocha ło swojim żywocie).

Pogodejmy po naszymu

Witom wos piyknie roztomiyli ludkowie. Bardzo sie raduja, iże wom się ta ślonsko gotka – a po prowdzie – ta ślonsko pisanina w naszymy gazetyce spodobała. Byndymy łoć czasu do czasu po naszymu pisać. A jest ło czym pogodać. Choćby jeno ło gramatyce, za kero mie trocha „przeciongnon” pan dr nauk technicznych Józef Kulisz (ja ja panocku Kuliszu, my się dowiedzieli zeście som uczonym Ślonzokiem, a to się bardzo chwoli!) Ale sporo ludzi niy umiało tych waszych „uo”, i tych rotomajtnych krysek nad „buchšťabami” pochopić. Piyknie „Bog zapłać” wom za tyn piykny artykuł. Napisaliście tyż, iże się dziwujecie że, „[...] Ślonzoki co ponoś zamiyłowaniy do porzóndku mają w gynach, jeszcze niy zadbali uo („uo” to się mo czytać jak „ło”) to. Żeby uoporządkować swoja mowa”. Nojano na tym cały wic polego, iże gwara niy mo gramatyki, bo to jest jak godajom ucyni „mowa ludu”. Jak by było inacj, to Ślonzoki niy mieliby gwary, ini jynzyk ślonski. To by dopiyo była komedyjo. Ale łołowmy te uczone sprawy. Pogodejmy dzisiok ło cym inszym, ło tym, jak to niewtore Ślonzoki „robiom” do swojygo gniozda i bez to Gorole się ciesom, iże Ślonzoki to takie gupieloki co niy umiom nicego do końca zrobić, że to chachary i pijoki. Wiycie kogo mom na myśli? Niy wiycie? To wom to trocha inacj wyłoża. Pod Rybnikiem, koło Wodzisławia jest toko piykno gmina Gorzyce. Podług ich gazety „U nas” – kero łoć nich dostowom – za co im piyknie dziynkuja – miyszkajom tam sami mondrzy ludkowie. A te redaktory tyj gazety – to padom wom – same uczone gowy. Kwolom swoja historyjo, srogich ludzi, piykne ślonskie tradycyje, a co mie się nojbardziej podoba – gyografijo. W każdy gazecie jest staro Landkarta, kolorowo i piyknie łopisano. Padom Wom ino zowiścić. Ale jo niy ło tym chcioł godać. Jo chcioł ło tych łopedzieć, co miyniom sie Ślonzokoma, a swoja Mało Łojczyzna pypszom i łopsmolajom.

Ale to niy byndzie mojymi słowami. To tysz z tyj gazety „U nas”. W jednym takim – pisanym ślonskom gotkom – artykule zamieściyli tako pieśniczka, kero śpiywoł zespół wokalny z Olzy i wygroł ważny konkurs. Muzyka i słowa

napisali członkowie zespołu „Hajer” – kapela ze Chwałoic. A pieśniczka jest ło serialach. Może zgodniecie ło jakiygo Ślonzoka tam sie łośchodzi.

Pozdowio Wasz Hanys

Referendum „Witom was piyknie rostomili ludkowiele!”

Dzisiok chciołbych wom łoopedzieć trocha ło Jelropie, kero za niedugo mo się stać naszom wspólnom matkom. To mo być ponoś tak, jak w srogijj familiji. Europa to tak jakby tatulek i mamulka, a insze kraje to siostry i bracia. Łoni już łoł downa majom swoje miona, jak Francyjo, Belgijo, Miymcy, Szwecyjo i insze. Niekero som bardzo srogie, a niekere – jak Luksynburk – to takie europyjskie bajtle. Ale wszystkie się miłujom i pomagajom jedne drugim. W tyj familiji europyjskiej jest już piytnoscie krajow, a mo do niyj jesce wlyś dziesiynć. Byndzie nos tam cało kupa, ale noprzod tsza tam być.

Bestos za niedugo byndzie u nos referendum, takie wybory, w kerych musimy łoopedzieć się za tym, czy chcemy być w Europie. Myśla se, iże wszyscy pedzom tak, abo po ślonsku: ja, jo chca należeć do Europy.

Godom wom, tam w tyj Europie Polsce byndzie dobrze, i Ślonzokom byndzie dobrze. Byndziymy mogli dalyj godać po polsku i po ślonsku. Mogemy tysz łośprawiać – jak się w szkole naucymy – po angelsku, po francusku i po niymiecku. Byndziymy mogli fcinać hokdogi i insze rarytasy, ale tysz zymloki, krupnioki i ciapkapusta. A w niedziela na łobiot: nudelzupa, kłoski zołza, rolada i modro kapusta.

Jo się już ciesza na ta Europa, na ta srogo Familijo różnych krajow, ale noprzody musicie pedzieć tak. Pochopiyliście? Mocie pedzieć tak, chcemy być w Europie. Powiycie? No to wom dziykuja. Pyrsk.

J.M. Hanys z Koszęcinia

Kto ty jesteś?

*Coś za jedyn?
Ślonzok mody.
Mosz jakiś znak?
Pyrlik srogi.
Kaj ty miyszkosz?
Miyndzy tymi, co niy som ze slonskiyj ziymi
Co Ślonzokom mocno pszajom
Hoć po ślonsku źle godajom
Miyszkom jo se w familoku
Kiery stoi pszy chasioku.
Landszaftym mojjj krajiny
Som chołdy, corne kominy.
Mosz wygody?
Hazieli w siyni!
W jakim kraju?
W ślonskiyj ziymi.
Czym ta ziymia?
Łojcowizna. Dlo Ślonzoka jak łojczyzna.
Jo jom požond w sercu nosza
I ło jedno Boga prosza
By dlo nos jak matka była
I wszystkim ludziom służyła.*

*Ślonzok na pyndzyji*³³

*Na pyndzyji siedzisz w koncie
Stary ślonski bałamoncie
Jużeś swoje wyfedrował
Inszy z eś to łofiarował.
Łoni ci już łotpłocąjom
Gruby, werki zawiyrąjom.
Gżejesz się przy żeleźniku,
Stary ślonski gupieloku
Żeleźniok chnet zimny byndzie
I śmiertka po ciebie pszydzie
Godom ci to mój pszocielu
W niebie się byndziesz weselył.
Tam byndom już sami swoji
Ci insi, co ci nie pszoli
Byndom się już w piekle gżoli
Ale to dopiero potym
Teros żeś jest z tyj chołoty
Co jak gupio fedrowała
I wszystko inszym łozdała
Pamiyntej, stary pieronie
Ślonzok mondry jest po zgonie
A Polok ponoć „po szkodzie”
Jak Ślonzoka nie ubodzie.
Na pydzyji siedzisz w koncie
Stary ślonski bałamoncie
Kapnon ześ się za nieskoro
Zdrowio niy mosz, a zić goło.*

33 Wiersz napisany dla Edwarda Wieczorka.

Modlitwa starego Ślonzoka

*Przeboc Pon Bocku, że inaczej rzykom.
Nie z Gebetbuchu, bo jo lichu czytom.
Choć przeca trocha z ksiązek czytać umia
Tych uczonych słów niy bardzo rozumia.*

*Wiyem, iż w żykaniu Ciebie Boże spotkom,
choc byda godoł naszom śłońskom gotkom.
Jo Cie Pon Bocku ło jedno jno prosza,
Żeby mi stykło jutro na chłyp grosza.*

*Żeby mi słońko na niebie świeciyło
I żeby gorzyj juz nigdy nie było.
Przeboc Pon Boczku, że się Ciebie spytom
Czyś mie pochopił, choć po śląsku żykom?*

Do górnika³⁴

*Kopółżeś wągel,
insi spszedowali.
Jak się zbogacyli,
Ciebie wykopali.*

Do Ślonzoka

*Kapnon się Ślonzok'
trocha za nieskoro.
Robił jak gupi,
teroz mo zić goło.*

34 Do górnika, Do Ślonzoka – wybrane fraszki.

Oda do młodych Ślonzokow

*Zawiyrajom gruby, werki
Bes roboty Ślonzok wszelki
Biyda nom w łocy zagłondo
A pszyszłość lichy wyglondo.*

*Smol na gruby, smol na werki
A kończ szkoły, uniwerki
Ściepnij tyn pukel wiekowy
Do żondzynio bońć gotowy.*

*Kup se anzuk bigłowany
Byś wyglondoł jak te pany
Keży choć szkołow niy mieli
Żawdy na Ślonsku wżeszczeli*

*Żońdziyli tu jak guptasie,
Łostow im to – po hałasie
Smol na gruby, smol na werki
A kończ szkoły uniwerki.*

*Ślonzoku! gowa do gory
Wyłaś z tyj pierońskiej skory
Co przez wieki cie tu gniotła
I robiyła z ciebie kmiotka.*

*Smol na gruby, smol na werki
A kończ szkoły, uniwerki.
Kup se anzuk bigłowany
I żońć lepi jak te pany.*

Posłowie

Jan Myrcik (ur. 15 listopada 1931 roku w Koszęcinie) – człowiek wielkiego formatu, jedna z najwybitniejszych współczesnych postaci na Śląsku. Magister pedagogiki kultury, wieloletni dyrektor Domu Kultury w Koszęcinie, nauczyciel, wykładowca, prelegent i przewodnik, pisarz, publicysta, poeta, znawca kultury, historii, tradycji ludowej, obyczajów, zabytków i dialektu śląskiego, tłumacz języka niemieckiego. Badacz lokalnej historii Koszęcina, obszaru gminy i ziemi lublinieckiej. Założyciel prywatnego Ośrodka Kultury i Edukacji Regionalnej „U Myrcika” w Koszęcinie. Autor ponad trzydziestu publikacji książkowych, wśród których należy wymienić: *Pałac w Koszęcinie i jego właściciele*, *Legendy koszęcińskie*, *Koszęcin i okolice*, *Drewniane kościoły na ziemi lublinieckiej*, *Koszęcińskie kościoły i kapliczki*, *Koszęcin na starej fotografii*, *Pół wieku „Śląska”*, *Poeci ziemi lublinieckiej* i cykl książek pod wspólnym motto *Pro Memoria*. Doskonała znajomość języka niemieckiego i tłumaczenie na język polski książki pt. *Biała Róża* autorstwa Inge Scholl przyniosło mu także sławę na skalę europejską.

Jan Myrcik to naoczny świadek wielu wydarzeń, w tym działań wojennych, co znalazło odzwierciedlenie w jego licznych publikacjach opisujących burzliwe losy Śląska, a przede wszystkim ziemi koszęcińskiej.

Wyrazem tych przeżyć jest stworzony przez niego pomnik poświęcony koszęcinianom poległym i pomordowanym na frontach I i II wojny światowej – Epitafium dla poległych.

W swojej karierze zawodowej przez wiele lat był instruktorem kulturalno-oświatowym przy Powiatowej Radzie Narodowej i instruktorem artystycznym lublinieckiego zespołu „Halka”. Szesnaście lat zarządzał Domem Kultury w Koszęcinie. W tym czasie jednostka ta została uznana przez ówczesne Ministerstwo Kultury i Sztuki za instytucję wzorcową w skali kraju.

Inicjator przedsięwzięć kulturalno-oświatowych, takich jak „Dni Koszęcińskich Kuźników – Juliusza Ligonia i Walentego Roździeńskiego”, efektem czego są istniejące do dziś i postawione z jego inicjatywy pomniki upamiętniające te postaci. W latach 80. XX wieku pomysłodawca cyklicznych spotkań na temat życia wybitnych Ślązaków pod nazwą „Biesiady w pałacu w Koszęcinie”, z udziałem ludzi świata nauki, pisarzy i animatorów kultury. Organizator Powiatowego Sejmiku Kultury Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej, Dni Otwartych Koszęcińskiego Pałacu i Spotkań z Kulturą i Historią z wybitnymi prelegentami.

Jan Myrcik był także radnym gminy Koszęcin, a w kolejnych latach zasiadał w samorządzie powiatowym, dzięki czemu znał potrzeby mieszkańców i miał wpływ na rozwój obszaru gminy i powiatu lublinieckiego.

Dzięki jego zaangażowaniu gmina Koszęcin nawiązała współpracę partnerską z austriacką gminą Kraubath an der Mur, w której ostatnie lata swojego życia spędził ostatni z rodu zu Hohenlohe-Ingelfingen, właściciel dóbr koszęcińskich, książe Karol Gotfryd.

Z inicjatywy Jana Myrcika w 400-letnią rocznicę wydania poematu o kuźnictwie *Officina ferraria abo warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego Walentego Roździeńskiego* ogłoszono rok 2012 w gminie Koszęcin Rokiem Walentego Roździeńskiego, wydano reprint tego dzieła i publikację *Gmina Koszęcin i jej patron Walenty Roździeński*.

Szerokie horyzonty zainteresowań, poczynwszy od zagadnień religijnych, poprzez kulturalne i społeczne, znalazły odbicie w opisach piękna architektury, przyrody i działalności kronikarskiej. Ważny jest dla niego człowiek i jego życie. W swoich publikacjach opisuje ludzi, których działalność w istotny sposób wpłynęła na losy ziemi lublinieckiej. Zachowanie walorów przyrodniczych dla przyszłych pokoleń mieszkańców jest kolejną sprawą, którą podejmuje w swoich rozważaniach. Zanieczyszczenie środowiska i ograniczanie drzewostanów są obecnie jego wielkim zmartwieniem.

Niniejsze opracowanie to zbiór artykułów prasowych, które były publikowane w parafialnej gazecie kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa w Koszęcinie „Z życia kościoła i parafii” i powiatowym periodyku „Ziemia Lubliniecka”, którego Jan Myrcik był redaktorem naczelnym przez ponad dziesięć lat. Na łamach tego czasopisma przypominał zagadnienia dotyczące historii, tradycji i kultury ziemi rodzinnej. Artykuły zebrane w dwutomowym opracowaniu są skarbnicą wiedzy na temat historii ostatnich kilku dziesięcioleci przełomu XX i XXI wieku i stanowią materiał źródłowy dla wielu innych prac.

Wyrafinowany język, stylistyka i bezpośredni zwrot do czytelnika jak do przyjaciela, to cechy charakterystyczne stylu pisarskiego Jana Myrcika. W swojej działalności sięga do kronik i innych materiałów archiwalnych. Na ich podstawie stawia hipotezy i wyciąga wnioski. Po jego książki i artykuły sięgają młodzi ludzie zainteresowani przeszłością swojego regionu, a na ich podstawie powstało wiele prac dyplomowych. Jako autor jest cytowany w wielu publikacjach.

Pan Myrcik jest także laureatem wielu prestiżowych nagród, odznaczeń i tytułów. Należą do nich Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty,

Srebrny i Brązowy Krzyż Zasługi, nagroda Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Animator Kultury Roku 2000, Złota Odznaka Honorowa Zasłużony dla Kultury Polskiej, Złota Odznaka za Zasługi dla Województwa Śląskiego oraz najstarsza regionalna nagroda w Polsce – Nagroda Śląska im. Juliusza Ligonia przyznana przez Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana.

W 2006 roku został pierwszym laureatem statuetki Zasłużony dla Powiatu Lublinieckiego, a w 2012 roku Rada Gminy Koszęcin uhonorowała go tytułem Zasłużony dla gminy Koszęcin. Wyróżnienie to zostało mu nadane w uznaniu „za wszystkie zasługi dla gminy Koszęcin i jej mieszkańców, w szczególności za osiągnięcia w dziedzinie historii i kultury”.

Jest mi niezmiernie miło, że w krótkim podsumowaniu tej publikacji, mogę po raz kolejny przedstawić sylwetkę pana Jana Myrcika, wielkiego koszęcianina, człowieka o gołęmbim sercu, zatroskanego o obecne i przyszłe losy naszej Małej Ojczyzny.

Panu Janowi Myrcikowi dziękuję za szczególne zaufanie, jakim mnie obdarzył podczas pracy nad publikacją i za zgodę na jej wydanie przez Stowarzyszenie Inicjatyw Społecznych w Koszęcinie.

Z wyrazami szacunku,
Anna Korzekwa-Wojtal

